



LIZ RIGBEY



FAŁSZYWE LATO

Matka opowiadała tę historię mnie i mojej siostrze wiele razy. Mówiła nam, jak to całymi dniami pociąg jechał i jechał przez Rosję i jak do czasu, kiedy znalazł się na granicy, było jasne, że dziecko nie żyje.

Ojciec wiedział to już od dawna. Do jego trzech córek prawda ta docierała stopniowo. Inni pasażerowie przekazywali ją sobie pełnymi grozy spojrzeniami. Tylko matka jak gdyby nie pojmowała, co stało się z niemowlęciem, które trzymała w ramionach.

Od chwili, kiedy wsiedli do pociągu, dziecko nie przestawało płakać. Nie było to jednak zwykle zanoszenie się płaczem noworodka, tylko klasyczny, nieustępliwy płacz półrocznego niemowlęcia.

Gdy rodzina Andrejewów z wielkim bagażem, opryskliwym ojcem i rozwrzeszczanym bachorem wsiadła do przedziału, pasażerowie zaczęli gorączkowo sprawdzać bilety w nadziei, że pomylili wagon. Kiedy się jednak okazało, że są skazani na to, by drogę na zachód odbywać w towarzystwie koszarnej rodzinki, pocieszali się, że niemowlę wkrótce przestanie płakać, a trzy dziewczynki nie zajmują ostatecznie aż tak dużo miejsca. Każdy z wagonów był przepelniony i każdy z pasażerów miał na sobie grube palto, czapkę, szalik i rękawiczki. I te bagaże! Torby, pudła, kosze, walizki - wszystko spiętrzone wysoko ponad głowami pasażerów, na podłodze, na kolanach.

Kiedy znacznie później, niż to przewidywał rozkład, i po serii gwałtownych drgawek pociąg wreszcie ruszył z Dworca Białoruskiego, pasażerowie z nadzieją wyczekiwali chwili, kiedy dziecko, ukołysane miarowym rytmem wielkich metalowych kół, toczących się po wielkich metalowych szynach, spokojnie zaśnie.

Ale cisza nie nadchodziła.

Pociąg mknął po prostej, tnąc tory i zostawiając za sobą miasto z jego fabrykami, blokami mieszkalnymi i pokrytymi śniegiem i błotem placami, na których bawiły się dzieci. Udręczeni pasażerowie siedzieli apatycznie i słuchali powtarzających się w nieskończoność krzyków. Przerwy, w czasie których niemowlę nabierało tchu, były stanowczo za krótkie, zwłaszcza że po każdej następował krzyk brzemienny tak wielkim bólem, jakby dziecko było wyrazicielem bezgranicznego smutku i żalu wszystkich

obecnych. W innych wagonach pasażerowie skracali sobie czas, nawiązując znajomości, dzieląc się chlebem, a czasem i słoniną, wyciągając butelki, opowiadając różne historie. Jednakże w wagonie Andrejewów wszelkie relacje międzyludzkie zostały zablokowane przez płacz dziecka.

Początkowo, kiedy już Moskwa została za nimi, pasażerowie z przyjemnością podziwiali wiejski krajobraz. Miło było, wyszukując szczeliny między ludźmi i stertami bagażu, łapać przez brudne szyby migawki pokrytych śniegiem równin. Jednakże szybko okazało się to nużące. Kilometr za kilometrem - a dla podróżnych oznaczało to godzinę za godziną - ciągnęły się ciemne sosnowe lasy albo nieskażone drzewem, drogą ani żywo-
płotem równiny, gdzie urozmaicenie terenu maskował śnieg. Lasy nie stanowiły żadnej odmiany - rozczarowywały monotonią jednakowych ponurych pni. Przypominało to podróżowanie wśród gigantycznych czarno-białych puzzli. I cały czas, nawet wtedy, kiedy noc otuliła bezmiar śnieżnej przestrzeni, stanowiącej Rosję, nawet wtedy dziecko nie przestawało płakać.

- Czy nie możecie państwo, na miłość boską, coś z tym zrobić!? - wrzasnął ktoś wreszcie, nie wytrzymując nerwowo. Był to młody mężczyzna o zimnych niebieskich oczach i rumianych policzkach. Ale jego zdenerwowanie utonęło we wrzaskach niemowlęcia, a matka tylko wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

Ojciec nie zwracał najmniejszej uwagi ani na dziecko, ani na żonę, tylko siedział spokojnie, z surową, zaciętą twarzą, cały czas rozbieganym wzrokiem myszkując po twarzach pasażerów w sposób zdradzający pewien rodzaj profesjonalizmu. Czwórka dzieci, tak, czwórka dzieci, dobrze ubrana rodzina, a do tego każda z dziewczynek trzymała na kolanach małą skórzaną walizeczkę. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Andrejewowi musiało się dobrze powodzić. Ale jego groźna, oficjalna mina zniechęcała do dalszych skarg.

Po kilku godzinach jazdy pociąg stanął, mimo że nie było stacji, światła ani żadnego wyraźnego ku temu powodu. Grupa ludzi z obsługi pociągu, najprawdopodobniej łącznie z maszynistą, wysiadła i paliła przy torach papierosy. Co śmielsi spośród pasażerów poszli w ich ślady, potem jeszcze kilku. Wkrótce wagon, w którym jechali Andrejewowie, opustoszał, pozostała tylko matka, trzy dziewczynki i wrzeszczące niemowlę.

Dopiero kiedy na szare ze zmęczenia twarze podróżnych padły pierwsze promienie

perłowego światła, pociąg szarpnął i ruszył. Dziecko płakało w dalszym ciągu.

Jednakże wiele godzin po tym, jak już wszyscy stracili nadzieję, że kiedykolwiek zapanuje cisza, przerwy pomiędzy krzykami malca stały się dłuższe, a same wrzaski wyraźnie straciły na zaciekłości. Pasażerowie wymieniali pełne otuchy spojrzenia. Kilka osób zaczęło się modlić. Przyglądali się trzymanemu przez matkę zawiniątku, z którego wyzierała purpurowa twarzyczka. Teraz już niemowlę ledwie popiskiwało. Potwór wyraźnie został poskromiony. Dziecko zasypiało.

Kiedy wreszcie zapadła cisza, na twarzach podróżnych odmalowała się błogość, jakby ktoś wpuścił do przedziału gaz rozweselający. Wszyscy, z wyjątkiem matki, która nadal trzymała maleństwo w ramionach, zasnęli. Niektórzy spali całkiem długo. Inni, z powodu panującego w przedziale ścisku, ucinali tylko krótkie drzemki, od czasu do czasu zerkając w stronę dziecka. Narastające podejrzenie powoli zamieniało się w pewność. Buzia niemowlęcia była teraz biała, bardzo biała. I niezależnie od tego, jak długo na nią patrzyli, pozostawała nieruchoma. Dziecko nie żyło. Trzy dziewczynki widziały, jak na twarzach pasażerów odmalowuje się zgroza. Nikt nic nie powiedział; nikt w ogóle nie odezwał się słowem. Kobieta dalej tuliła w ramionach nieruchome zawiniątko, jakby je chciała ogrzać.

Strażnik kolejowy zaraz po otwarciu drzwi do przedziału Andrejewów zorientował się, że coś jest nie w porządku. Przede wszystkim ta cisza. Poza tym sposób, w jaki pasażerowie na niego patrzyli, też był jakiś dziwny. Jakby czekali, aż coś zauważy. Nie patrzyła na niego tylko jedna osoba - zmęczona kobieta ze śpiącym dzieckiem na rękach.

Strażnik spojrział na nią i na leżące na jej kolanach zawiniątko. Wyciągnął rękę i dotknął małej białej twarzyczki. Była zimna. Zimniejsza od metalu, od kamienia, zimna jak grób. Podniósł rączkę dziecka i próbował zgnać maleńkie paluszki; bez skutku. Dziecko musiało już nie żyć od kilku godzin.

- Będziecie państwo musieli oddać dziecko. Ono nie żyje i nie może dalej podróżować - powiedział.
- Nie! - krzyknęła matka. - Nie, nie, on śpi. Kobieta szlochała.
- Nie! Nie! Ojciec wstał nagle.
- Proszę mi dać dziecko - rozkazał strażnik i kobieta pozwoliła zabrać sobie sztywne zawiniątko.

Ojciec, śledzony przez trzy pary oczu swoich córek, wręczył dziecko czekającemu strażnikowi, który wziął je niezdarnie. Kobieta uczepiła się wyszarganego munduru mężczyzny.

- Proszę, proszę, bardzo proszę. Proszę mi obiecać, że moje dziecko zostanie przyzwoicie pochowane.

Strażnik spojrzał na matkę. Nie mógł jej dać takiej gwarancji; nawet teraz widać było, że się zastanawia, jak się pozbyć tego niepożądanego martwego ciała w sposób jak najszybszy i jak najmniej kłopotliwy. Bynajmniej nie brał pod uwagę wielogodzinnego kucia kilofem zamarzniętej ziemi.

Mężczyzna opuścił wagon wraz z dzieckiem i po chwili usłyszano, jak wysiada z pociągu. Do końca podróży kobieta płakała cicho.

Matka знаła tę historię bardzo dobrze, ponieważ była najmłodszą z trzech jadących pociągiem dziewczynek, a szlochająca kobieta była moją babką. Tej opowieści słuchałam przez całe dzieciństwo, gdy jednak moją matkę zabrano do szpitala psychiatrycznego, tamta historia - wraz z innymi - umknęła z mojej świadomości, wówczas kilkunastoletniej dziewczynki, jak ławica małych rybek znikająca w szczelinie skały. I dopiero kiedy sama urodziłam syna i niemal ogłupiała z miłości trzymałam go w ramionach, rybki wróciły, łyskając do mnie srebrem. A kiedy moje dziecko zmarło i zabrała je ode mnie potężnie zbudowana kobieta w ciemnym ubraniu, które z powodzeniem mogło być jakimś uniformem, siedziałam w naszym domu w Kalifornii, czując, że tamta kobieta, szlochająca w pociągu wśród śniegów Europy Wschodniej ponad sześćdziesiąt lat temu, była mną, a ja byłam nią.

2

Jest wiosenny dzień, zimny, ale za każdym razem, kiedy przechodzę przez ulicę, na jej końcu pojawia się słońce niczym jakaś reklamowa sztuczka. Idę na skróty przez park. Patrzę na siedzące w wózkach dzieci; ich ciała wydają się nieruchawe, a buzie bezosobowe jak u ludzi w metrze. Od chwili, kiedy trzymałam na rękach dziecko, minęły trzy lata. Prawie dokładnie trzy lata.

Klik-klak, klik-klak. To moje nowe buty wydają taki odgłos, kiedy idę po chodniku, jednocześnie lekko obcierając mi piętę. Chwilami, gdy następuje jedna z tych dziwnych przerw w ogólnym zgiełku Manhattanu, kiedy nie słychać syren i nieoczekiwanie cichnie ruch uliczny, odnoszę wrażenie, że lewą nogą mocniej uderzam w chodnik niż prawą. Próbuję wyrównać krok, ale z chodzeniem jest jak z rodziną - ani jej nie wybieramy, ani nie możemy zmienić. Klik-klak.

Hol naszego budynku zdaje się obejmować tych, co do niego wchodzą. Jest to wysokie przeszklone atrium, w którym rosną krzewy niczym w tropikalnym ogrodzie. Niektóre z nich przypominają drzewa, rosnące u mojego ojca w Kalifornii, tyle że te mają bardziej regularny kształt, a także dorodniejsze, barwniejsze i piękniej pachnące kwiaty. Drzwi windy się zamykają i jak zawsze, kiedy kabina jedzie w górę, mam uczucie lekkiego zawrotu głowy.

Gdy ojciec przyjechał do mnie do Nowego Jorku, ten jeden jedyny raz, zabrałam go w sobotę rano do biura. To było jeszcze przed atrium; mieliśmy wtedy ciemny hol z dywanem w kolorze czerwonego wina. Od tamtej pory musiały minąć ze dwa lata. Gdy winda zaczęła nas unosić w górę, tata był tak zaskoczony jej gwałtownym ruszeniem i szybkością, że aż się zatoczył do tyłu. Sięgnęłam ręką, żeby go przytrzymać, ale on zrobił zabawną minę i przylgnął do ściany, udając przerażenie. Uśmiechnęłam się, może nawet z pewną ulgą. Nie przyjmujemy do wiadomości wieku taty i nawet jeśli zdarzają mu się chwile słabości, konsekwentnie je ignorujemy. Nie ma prawa ani się starzeć, ani chorować.

Idę szybko korytarzem, nasłuchując klik-klak, ale dywan jest tu za gruby.

- Cześć. Cześć. Cześć.

Zwykle jestem pierwsza w biurze, ale dziś widzę już kilka głów kiwających do mnie

spomad ścianek działowych. Witają mnie z szacunkiem, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest to ważny dzień i że będę miała swoje pięć minut. Minęły zaledwie trzy miesiące od chwili, kiedy przy moim biurku pojawił się Gregory Hifeld, mnąc w palcach klapy marynarki, uszytej z materiału tak solidnego, ze Szkocji czy może z Irlandii, że mógł ją spokojnie nosić przez ostatnie czterdzieści lat bez prasowania i bez najmniejszego przetarcia. Zmartwieniem Gregory'ego jest jego syn. George ma na swoim koncie trzy rozwody, problemy z alkoholem i zero głowy do interesów. A więc nie jest człowiekiem, który mógłby przejąć po ojcu Myślące Zabawki - ani teraz, ani nigdy.

- Masz sześćdziesiąt osiem lat, nie jesteś taki stary. A poza tym wydajesz mi się człowiekiem silnym i zdrowym - powiedziałam Gregory'emu. Nie tak silnym i zdrowym jak tata, ale takich jak on po prostu nie ma. - Dlaczego w ogóle chcesz coś zrobić z firmą, akurat teraz?

Gregory pochylił głowę i przez chwilę myślałam, że się rozplacze. Odwróciłam się.

- Czuję narastające zmęczenie, a moja żona jest chora. Resztę życia chcielibyśmy jakoś miło spędzić razem.

Wkrótce przy moim biurku miejsce Gregory'ego Hifelda zajął jego syn George. Żółte palce i drżenie rąk zdradzały człowieka, który bardzo potrzebuje papierosa, ale boi się, że uruchomi alarm przeciwpożarowy i wywoła panikę na osiemdziesięciu trzech piętrach. I wreszcie Mittex. Chętny, żeby kupić Myślące Zabawki, a jednocześnie robi wszystko, żeby tego nie okazywać. Ciemne garnitury, siwe potakujące głowy, wyglądają jak sępy. Ich p.o. dyrektora generalnego, Jay Kent, zadaje pytania i przedstawia analizę wyników i długoterminową strategię firmy tak profesjonalnie i precyzyjnie, jakby był zawodowym kucharzem krojącym cebulę. Dzisiaj po raz pierwszy wszyscy razem zasiądą przy stole konferencyjnym i może, ale tylko może, pod koniec dnia dowiemy się, czy Mittex kupi Myślące Zabawki.

Kiedy pojawia się szef, trzymam w ręku drugi kubek kawy. Kubki są papierowe, ale przyjemne w dotyku, miękkie jak sierść psa.

Jim Finnigan jest łysy. I otyły. Kiedy zaczynałam tu pracować, był po prostu gruby, ale dojeżdża do biura pociągiem, a tuż przy stacji facet sprzedaje ciepłe, ociekające masłem cynamonowe drożdżówki. Jim co rano zjada trzy. Ale swojej żonie, June, mówi, że tylko jedną. Ma zgagę moralną z tego powodu, że okłamuje żonę, a mnie mówi prawdę,

ale w naszej pracy, gdy długie godziny spędzamy w pokoju biurowym, gdzieś wysoko pod niebem, rodzina pozostawiona w domu wydaje się trochę nierealna. Jeśli więc już ma się kogoś okłamywać, to właśnie ich. Jesteśmy szczerzy głównie wobec siebie.

- Jezu - mówi Jim, przysuwając sobie krzesło i kładąc nogi na moim biurku. - Jezu, będziesz miała dziś po południu twarde orzechy do zgryzienia tam na sali konferencyjnej. Myślałem o tym na stacji i z tego powodu musiałem zjeść dodatkową cynamonkę.

W ciągu lat dzienna racja drożdżówek systematycznie rosła.

- Pierwszy raz zjadłeś cztery? - pytam. Jim szura nogami po moim biurku.

- Hmm, prawdę mówiąc... to pięć...

- Jiiim. Codziennie jadłeś po cztery? Kiwa głową; wygląda jak zbity pies.

- Tylko przez miesiąc czy dwa. Może trzy.

Jest potulny. Tak naprawdę tłumaczy się przed June.

- To się zaczęło pewnego bardzo zimnego ranka. Pociąg się spóźnił i... ten facet, kiedy mnie widzi, zawsze ma drożdżówki w pogotowiu. I zaraz mówi: Dziś mamy spóźnienie, szanowny kliencie, trzeba wziąć o jedną drożdżówkę więcej, żeby nie stracić za dużo ciepła. I ja się zgadzam, żeby mi dał jedną więcej do serwetki. Żeby niby nie stracił za dużo ciepła. A ja stoję i gapię się, jak on to robi. A potem mu płacę i odchodzę. I - do cholery - zżeram to wszystko.

- Och, Jim.

- Nie pozwól mi już dzisiaj nic więcej wziąć do ust. Nic. Zgoda? Absolutnie nie.

- Zgoda.

- I nie mów June.

- Naturalnie, że nie powiem.

Jim patrzy na mnie z nieśmiałym uśmiechem.

- To jak zamierzasz sobie poradzić dziś z Kentem na tym spotkaniu?

- On nie jest moim klientem, Jim. Hifeldowie są moimi klientami.

- Jasne. Więc jak zamierzasz sobie poradzić z Kentem?

Jay Kent, niespecjalnie wysoki jak na mężczyznę, szczupłością i zwinnością przypomina metalowe ostrze.

- On cię potrzebuje, Lucy - mówi Jim, a ja się wzdrygam, bo używa dokładnie tych samych słów, których użył Jay Kent, kiedy siedział wyprostowany w restauracji w

Michigan.

Jim zdejmuje z mojego biurka ogromne pozbawione kostek nogi, do czego potrzebne mu są obie ręce, i starannie manewrując stopami, opiera je w ulubionym miejscu na pojemniku na śmieci.

- Czy między wami do czegoś doszło? - pyta. Słyszę wysiłek w jego głosie. - Tylko nie próbuj oszukiwać wujka Jima.

- Nie mam zamiaru.

- To znaczy, że nie? - Jim nalega, wpatrując się w moją twarz.

- W każdym razie nie w sensie fizycznym, jeśli o to ci chodzi.

Jim wykrzywia twarz jednocześnie w dwie strony, tak że wygląda jak w zniekształcającym lustrze.

- Lucy, ty wiesz, o co mi chodzi.

- Sporo rozmawiamy. Przez telefon.

- Rozumiem. Rozmowy do poduszki bez poduszki, tak?

- Taka przyjacielska gadka. - Głównie mówi Kent, a ja słucham. Niewiele o mnie wie i jestem z tego zadowolona.

Jim przygląda mi się, wypatrując w mojej twarzy śladów nieuczynności, wreszcie mówi:

- June uważa... - June, nieszczęsna ciemna bryła, wiecznie oblegana przez gromadkę czepiających się jej dzieciaków, June, która zostawia koło wanny mokre romansidła i ma zawsze łzy na zawołanie, gdy ogląda w telewizji kliwne komedie. - June uważa, że ciebie interesują tylko związki bez przyszłości, jak choćby z takim Kentem, który ma żonę i małe dziecko.

Wyobrażam sobie dzieciaka Kenta - chudy brzdąc z tych, co to chwili nie usiedzą na miejscu, wśród plastikowych hałaśliwych zabawek Mitteksu.

- Taki związek jak mój z Kentem jest zarezerwowany wyłącznie na użytek służbowy. - Mówię to bardzo energicznie, ponieważ wolałabym, żeby June przestała gadać jak publiczność popołudniowego talk-show.

Jim, wstając, pyta:

- A co robiłaś w weekend?

- Och, byłam z wizytą u przyjaciół.

- Aha. A dlaczego nie masz na nogach butów?

- Mam, pod biurkiem, Jim. Są nowe i trochę mnie obcierają.

- Aha. - Jim wychodzi, ciągnąc za sobą nogi; w pochyleniu jego ramion widać niezadowolenie. W pewnym momencie odwraca się z taką miną, jakby miał powiedzieć coś przykrego:

- Lucy, jestem głodny. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem głodny, ale nie będę jadł.

Dzwoni moja siostra. W Kalifornii nie ma jeszcze siódmej. Za chwilę musi wyjść do szpitala; w jej głosie słychać pośpiech.

- Przez cały weekend próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić, Luce.

- Nie było mnie...

- To fantastycznie! Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, zamiast latać ze ścierką.

- Ze ścierką też trochę latałam. Jej głos nagle mięknie.

- Och, Luce, czy wszystko u ciebie w porządku?

- Tak.

- Zabrałam tatę na grób Steviego. Zanieśliśmy tam trochę wiosennych kwiatków z ogródka ojca.

- Dzięki ci, Jane.

To ja powinnam zawieźć tatę do dzieciennego sektora wielkiego cmentarza. I zaprowadzić go pod rękę do miejsca, które upamiętnia krótki pobyt Steviego na świecie. Tak zwykle myślę o moim synu: jako o kimś, kto wpadł tu na krótko i poszedł dalej.

- Trudno uwierzyć, że to już trzy lata - mówi Jane. - Czasem mam wrażenie, że to było wczoraj.

Jeżeli w ogóle pozwalam sobie o tym myśleć, to śmierć Steviego jest dla mnie jak terażniejszość. Ten moment, kiedy znalazłam jego ciało w niebieskiej kołysce, białe i nieruchome. Ten moment jednoczesnej świadomości i niedowierzania. Syntezy nowej potwornej rzeczywistości i rzeczywistości dotychczasowej. Tej koszmarnej syntezy, dającej się ogarnąć tylko etapami, z których pierwszym jest szok. Nade wszystko chciałabym wymazać ten moment ze świadomości, ale jedyne, co mogę zrobić, to próbować go od siebie odsuwać.

- Kilka razy dzwoniłam do taty podczas weekendu, ale musiał gdzieś wyjść - mówię. - Czy wszystko u niego w porządku?

Jane się waha. Kiedy wreszcie zaczyna mówić, jej głos jest łagodny:

- W sobotę naturalnie miał dołek, ale ostatecznie trudno wymagać, żeby był wesoły, odwiedzając grób wnuka... Potem pojechaliśmy ze Scottem do niego nad morze na lunch i odnieśliśmy wrażenie, że Scott jest w lepszej formie, niż był ostatnio, co tatę wyraźnie ucieszyło. Larry twierdzi, że powinno się wykorzystywać rocznice do tego, żeby akceptować złagodzenie bólu. Chodzi o to, by cieszyć się, że człowiek wraca do formy, zamiast hodować w sobie z tego powodu poczucie winy. Tata się z nim zgadza, a przecież on wie najlepiej.

Tata nigdy nie mówi o tym wprost, ale on też stracił syna. Mojego brata. Nawet go nie pamiętam. Zginął w jakimś wypadku jako bardzo małe dziecko. Kiedy umarł Stevie, tata w dalszym ciągu o tym nie mówił, ale rozumiał. Wiedział, jak to jest, wiedział lepiej niż ktokolwiek inny.

- Mam nadzieję... - Jane jest bardzo ostrożna, to, co mówi, brzmi jak pytanie - mam nadzieję, że już tak bardzo nie cierpisz...?

Nie chcę mówić o moim cierpieniu, więc pytam:

- Jak biodro taty?

Ostatnio mówiło się o biodrach ojca, szczególnie o prawym. Były to luźne niekontrolowane uwagi. Padały nagle jak śmieci, których nie chciało się rzucić, ale też nie ma się chęci podnieść.

Znów wahanie, a potem uspokajający głos Jane:

- Myślę, że czasem go boli, ale nie na tyle, żeby miał problemy z chodzeniem. Na miłość boską, Lucy, ojciec ma siedemdziesiąt dwa lata i jest w lepszej formie niż wiele osób o połowę młodszych od niego. A co do jego pamięci, to wspominaliśmy jakąś wycieczkę sprzed wielu lat i ojciec powiedział, że pamięta dosłownie każdy kamyk, jaki wtedy znaleźliśmy.

- Jaką wycieczkę? - Każda wycieczka była odrębnym wspomnieniem. Zawsze się na nich coś działo, coś znajdowaliśmy, kogoś spotykaliśmy. Tylko kamienie wydawały się te same.

Jane mówi cicho:

- Do Arizony.

Pamiętam tę wycieczkę. Do dziś czuję tamten upał.

- Arizona - powtarzam jak echo.

Mam w uszach głos Jane, widzę, jak ostrożnie stąpa i mówi cicho, żeby nie płoszyć skorpionów i węży.

- Tata nigdy tego nie mówi, ale jestem przekonana, że tak naprawdę marzy o tym...
Czekam.

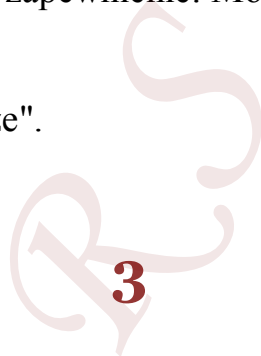
- ...żeby cię zobaczyć, Luce. Wiem, że spodziewał się ciebie w ten weekend, może dlatego był taki smutny, bo... bo myślał, że wrócisz do domu. Powiedział nawet coś takiego, że może mamie by się poprawiło, gdyby cię zobaczyła. Nie sądzę, by cię w ogóle poznała, ale pewnie w ten pośredni sposób tata chce powiedzieć, że jemu by to dobrze zrobiło.

- Mam teraz bardzo ważne negocjacje, Jane. Nie mogę stąd wyjechać. Ale jak się wszystko przewali, to może przyjadę.

Jane bierze moje ustępstwo za zapewnienie. Mówi, jak bardzo się cieszy.

Uświadamiam jej:

- Ja tylko powiedziałam: „może”.



Wczesnym popołudniem, po zakończeniu przygotowań do ważnego spotkania, zakładam płaszcz i wychodzę. Ludzie jeszcze ciągle posilają się w ulicznych kafejkach, na stojąco, jak konie. Wchodzę do przeszklonego baru i biorę bajgielka, z którego bokami wyłazi twarożek.

Nagle spostrzegam tatę. Wpatruje się we mnie przez okno. Zaraz jednak zdaję sobie sprawę, że jest to twarz młodej kobiety, tyle że podobnej do taty. Jeszcze chwila i już wiem: niebo na zewnątrz pociemniało i mam przed sobą odbicie własnej twarzy.

Wystające kości policzkowe, ciemne włosy, ciemne oczy, tak naprawdę zielone, ale nie w tym dziwnym ujęciu... Do tej pory dziwiłam się, kiedy ludzie mówili o mnie „wykapany ojciec”.

- Większość pięknych kobiet - powiedział mi kiedyś Jay Kent - ma mało interesujące twarze. Twoja uroda jest intrygująca. - Ot, po prostu stwierdził fakt.
Beznamiętnym tonem.

Kawa, którą tu podają, jest tak gorzka i mocna, że aż wykrzywia usta. Tak jak Kent wykrzywił usta w tamten zimny poranek w Michigan. Drugi dzień wizyty Mitteksu w zakładach Myślących Zabawek w Michigan i w dalszym ciągu pada śnieg. Tego ranka Jay Kent stał na brzegu parkingu na skraju sosnowego lasu i węszył. Był zmarznięty, ale nie dlatego pociągał nosem. Patrzył, jak zjeżdżają się robotnicy. Słychać było ich wesołe głosy, kiedy się pozdrawiali nawzajem przez parking. Większość z nich miała nadwagę, niektórzy wyraźnie cierpieli na otyłość, ale otaczała ich aura prowincjonalnej dobroduszości, kiedy tak leżli ociężale, by objąć swoją zmianę, i rzucali dyskretne spojrzenia w stronę niewielkiej grupki, stojącej na brzegu parkingu. Jeśli nasza obecność wywołała w nich jakiegokolwiek zaniepokojenie, to w każdym razie nie dali tego po sobie poznać.

- Krasnale Świętego Mikołaja... - Kent miał policzki i oczy zapadnięte z zimna. - Wesołe krasnale, maszerujące do grotu. - W sposobie, w jaki to powiedział, nie było nic życzliwego.

- Widzę, że nie miałbyś ochoty tu żyć i być jednym z nich, co? - zapytałam. Wydawało mi się, że w każdym gdzieś głęboko drzemie marzenie o wsi. Kent rozciągnął wargi w uśmiechu.

Nie wiedziałam, czy jego usta są takie cienkie z zimna, czy z natury.

Później, kiedy siedzieliśmy w ciepłe wyłożonego drewnem wnętrza restauracji, pełniejszymi już ustami Kent powiedział:

- Ty też byś nie mogła być jedną z nich, nie udawaj, Lucy.

- Tak się składa, Kent, że mniej więcej kimś takim byłam. - Nikt nie nazywa go Jayem. Może z wyjątkiem żony.

Uniósł brwi. Nauczył się tak bardzo panować nad swoją twarzą i ciałem, że najmniejsze nawet gesty nabierają u niego szczególnego znaczenia, a ruch może się wydawać wręcz groźny.

- Kiedy pracowałam w jednym z prywatnych banków w Kalifornii, tak samo włókłam się przez parking do pracy jak ci krasnale.

- W prywatnym banku? W Kalifornii? - Wygiął wargi w dół. Przyjęłam pozycję obronną.

- Miałam bardzo poważnych klientów. Głównie obrzeża Pacyfiku.

- Marnowałaś się tam. To pewnie były twoje pierwsze samodzielne kroki?

Nie, to było, zanim przeniosłam się do Nowego Jorku, doprowadzając tym do rozpaczki mojego męża, sprawiając zawód rodzinie i robiąc przykrość ojcu. Dokładnie trzy lata temu. Ale nie miałam zamiaru mówić tego wszystkiego Kentowi. Patrzył na mnie, oczekując odpowiedzi. Ale ja zawzięcie studiowałam menu. Wreszcie powiedziałam:

- Same ochłapy.

To właśnie wtedy Kent wyprostował się i oznajmił:

- Potrzebuję cię, Lucy. I zupełnie nie wiem, co z tym fantem zrobić.

Czułam, że powinnam na niego spojrzeć, ale dość długo z tym zwlekałam, a kiedy w końcu podniosłam wzrok, jego oczy były stalowoniebieskie i twarde mimo wypowiedzianych słów.

Miałam nadzieję, że chodzi mu o to, byśmy teraz, kiedy dyrektor generalny Mitteksu odszedł na emeryturę i Kent pełnił jego obowiązki, stali się jego bankiem inwestycyjnym. Jim od samego początku ostrzył sobie na to zęby. Alians Myślące Zabawki - Mittex to dobry interes, ale skoro zrobiliśmy na Mitteksie aż tak korzystne wrażenie, że chce zamienić swój poważny bank na nas, to znaczy, że interes jest bardzo dobry. Dlatego kiedy Kent powiedział, że mnie potrzebuje, mógł mieć na myśli sprawy zawodowe, tak w każdym razie wolałam to rozumieć. Z początku wolno, a potem bardzo szybko przedstawiłam mu swoją analizę rynku zabawkarskiego, wskazując punkty, w których Mittex miał szansę odegrać przodującą rolę. Wysłuchał mnie bez ruchu, jeśli nie liczyć lekkiego uniesienia brwi.

Ciało Jaya Kenta pozostawało nieruchome przez cały czas, kiedy mi tłumaczył, że jego zainteresowanie moją osobą nie ogranicza się do sprawy przejęcia przez Mittex mojego klienta ani nawet do mojej analizy rynku zabawkarskiego.

Zanim mu odpowiedziałam, chciałam się upewnić, że będę tak samo nieruchoma jak on, musiałam jednak poruszyć głowę, a może nawet nią potrząsnąć, bo poczułam lekkie muśnięcie włosów o policzki. Patrzyłam na swoje palce, którymi wodziłam po fakturze drewnianego blatu stolika.

- Musimy się ściśle trzymać granic kontaktów służbowych. Podczas różnych negocjacji często delikatnej natury siedzimy po przeciwnych stronach stołu - powiedziałam.

Kent odparł szybko, zanim zdążył pomyśleć:

- Można trzymać się granic kontaktów służbowych i być jednocześnie w związku o charakterze osobistym. Jeśli oboje będziemy tego chcieli.

Spojrzałam na jego obrączkę, a potem, odruchowo, na swoją. Czasem myślę, żeby ją zdjąć, ale coś mnie powstrzymuje, być może wzgląd na Scotta, który dalej nosi obrączkę.

- Może - powiedziałam.

Opuszczając bar, konspiracyjnie spoglądam na kobietę w oknie i zastanawiam się, jak to będzie dzisiaj, gdy będę prowadziła negocjacje z człowiekiem, który zna mnie tak jak Kent.

W drodze powrotnej do biura mijam kwiaciarnię. Cofam się, wstępuję do środka i posyłam kwiaty June Finnigan - wiosenne kwiaty, głównie tulipany, ale i parę strzelistych irysów. Bilecik podpisuję imieniem Jima.

Kiedy już znów siedzę przy biurku, na osiemdziesiątym trzecim piętrze, dotykam pięty i wyczuwam gąbczastą miękkość pęcherza. Wyglądam przez okno, ale ponieważ szyby są przyciemnione, domyślam się tylko, że na zewnątrz jest słońce. Bujając gdzieś w obłokach nieba Manhattanu, na nieprawdopodobnej wprost wysokości, gdzie temperatura jest kontrolowana, a powietrze klimatyzowane, wcale nie wiemy, jaka naprawdę jest pogoda. Świat zewnętrzny odbieramy jak gady o grubej skórze i prymitywnym systemie nerwowym.

Gregory i George Hifeldowie zjawiają się z teczkami i zabawkami. Ojciec i syn, jeden obok drugiego, czekają u nas w sekretariacie. Przychodzą ludzie, podają im ręce, oglądają zabawki. Gregory sztywno wyjaśnia zasady ich działania. Kiedy rozmawiam z George'em o samolotach, które są jego pasją, czuję od niego alkohol. Ma dwie stare maszyny i niewielki pas startowy przed domem ojca.

- Te rozwody - mówi - będą mnie kosztowały cholernego stearmana. - Gryzie czubek palca. - A może i mustanga.

- Możesz zapalić na schodach. To znaczy, nie powinieneś, ale jest niewiele wykrywaczy dymu, więc ludzie to robią - mówię.

Patrzy na mnie z wdzięcznością, a potem zerka na ojca, oczekując pozwolenia. Ma czterdzieści dwa lata.

Kiedy Fatima oznajmia, że ludzie z Mitteksu są już na sali konferencyjnej, wsiadamy do windy. Nie patrzymy na siebie. Zastanawiam się, czy słusznie robiliśmy, trzymając do tej pory Jaya Kenta i Hifeldów na dystans i pozwalając, żeby negocjacje były takie luźne. Tyle pracy, a sprawa może się dziś sfinalizować, kiedy usłyszą swoje głosy na żywo. Przypomina mi się, jak dopiero co w rozmowie telefonicznej z moją siostrą prawie jej obiecałam, że kiedy skończymy negocjacje, na jakiś czas przyjadę do domu. Przysięgam sobie, że dziś dopniemy wszystko na ostatni guzik, że sprawa nie rozbije się o personalia. A Jane powiedziałam przecież tylko, że może przyjadę.

Idąc na salę konferencyjną, mam świadomość, że Kent na mnie czeka. Rozmawia z kimś i jest nieruchomy, ale na dźwięk mojego głosu ledwie dostrzegalnie prostuje plecy. Kiedy się odwraca, żeby mnie powitać, widzę w jego oczach blask, którego nie usprawiedliwiają okoliczności naszego spotkania. Patrzy na mnie o sekundę za długo i dopiero potem przenosi wzrok na Hifeldów. On cię potrzebuje - powiedział Jim.

Witam się z doradcą Kenta z wielkiego banku inwestycyjnego, którego miejsce spodziewamy się zająć. Są też jego koledzy, zespół, który Kent wokół siebie montuje, żeby mieć swoich ludzi, kiedy na dobre obejmie stanowisko dyrektora generalnego Mitteksu. Z późnych telefonów Kenta, który dzwoni zawsze, kiedy jest w delegacji, a więc wyluzowany, lekko pijany i poufały, wiem, że chciałby, aby ta chwila nastąpiła jak najprędzej.

Przedstawiam naszego analityka i Hifeldów. Widzę Gregory'ego takiego, jakim musi go postrzegać Kent. Wysoki, wyprostowany, ale na jego twarzy widać zmęczenie, a w piwnych oczach smutek. Nie czuje się dobrze w roli rozmówcy młodych ludzi, którzy są szybcy i niezrozumiali jak nowa technologia i którym ma sprzedać swoją firmę. Przez całe życie ją budował, by służyła miejscowej społeczności i by mógł się w niej kiedyś, wspierany przez syna, zestarzeć. Cuchnący nikotyną George siedzi obok niego, uśmiechając się za szeroko, i mimo nowego garnituru wygląda dość niechlujnie.

Kiedy jesteśmy już gotowi do rozpoczęcia narady, z irytacją patrzę na pokornie opuszczone głowy Hifeldów, którzy zdają się zapraszać Mittex, by jednym haustem połknął Myślące Zabawki razem z ich fabryką.

- No więc, George - mówi raptownie Kent, a ja lekko podskakuję. George, który nachylał się trochę za blisko do siedzącej po jego prawej stronie przedstawicielki

Mitteksu, również podskakuje. - Powiedz mi, George - podejmuje Kent - co mógłbyś robić w firmie? Jakie widzisz dla siebie miejsce w nowych Myślących Zabawkach?

George się uśmiecha. Odgarnia z czoła włosy gestem nabytym zapewne jeszcze w dzieciństwie, tyle że teraz nie ma już żadnych włosów do odgarniania.

- Hmm, stanowisko dyrektora mnie nie interesuje - mówi zupełnie niepotrzebnie.

Kent krzywi usta w uśmiechu, ale widzę, jak jego oczy migocą, i wiem, że będzie bezlitosny. Gregory odchrząkuje.

- Powiniennem był powierzać George'owi bardziej odpowiedzialne zadania - mówi. - Kto wie, może byłby lepiej przygotowany do pełnienia funkcji kierowniczych?

My wiemy. Wiedzą wszyscy. George gapi się przed siebie.

- Hmm. - Kent gładzi podbródek. - Hmm. Zastanawiam się, George, jak byś sobie poradził ze zmianami, które planujemy w Myślących Zabawkach?

- No cóż... - wtrąca się przedstawiciel banku. - Proponowałbym, żebyśmy najpierw jako bank przyjrzeni się niektórym z tych zmian.

Kent wyjaśnia, że według Mitteksu wydajność pracy w Myślących Zabawkach jest za niska, a płace za wysokie. Że tysiąc pracowników to za dużo, za dużo o tysiąc. Gregory ma kamienną twarz.

Zaciskam obie pięści; czuję, jak interes nieodwołalnie wymyka mi się z rąk.

Gregory patrzy na Kenta.

- Wasz świat - mówi lekko drżącym głosem - jest plastikowy. Najwyraźniej nie rozumiecie, że wysokiej jakości produkty z drewna są pracochłonne. Stan zatrudnienia w naszej firmie to sprawa drugorzędna. Liczy się lojalność i jakość pracy naszych ludzi.

Kent nagle posyła uśmiech Gregory'emu, ale ten uśmiech przypomina błysk śmiertelnego ostrza.

- Panie Hifeld, Gregory, ja wiem, że dobro waszych pracowników było zawsze dla was najwyższym priorytetem, i podziwiam szlachetność, z jaką utrzymujecie w swoich zakładach wysoki poziom płac przy jednoczesnej niskiej wydajności pracy, zwłaszcza tam, w lasach, gdzie produkujecie kosztowne zabawki edukacyjne. Chcę być dobrze zrozumiany: ja naprawdę podziwiam wszystkie wasze dokonania. Ale my w Mitteksie nie odznaczamy się aż taką lojalnością wobec swoich pracowników. Jesteśmy przekonani, że moglibyśmy wytwarzać wasze produkty o równie wysokim, a może nawet wyższym

standardzie na Dalekim Wschodzie. Nie widzimy żadnego powodu, by je produkować w Fullton w stanie Michigan, gdzie koszty produkcji są dwukrotnie wyższe.

- Na Dalekim Wschodzie? - powtarza jak echo Gregory. - Na Dalekim Wschodzie?

- Tam jest usytuowana większość naszych zakładów produkcyjnych. - Zzzuu, zziuu.

Kent tnie jak gilotyna. - W tej chwili koncentrujemy nasze środki w Malezji.

- Na Dalekim Wschodzie... - powtarza znów Gregory Hifeld. - Wasze wyniki finansowe z pewnością się poprawią, ale skutki takich posunięć w kategoriach dobra pracowników z Fullton są nie do przewidzenia. - Zdaję sobie sprawę, jak bardzo Gregory musi nienawidzić Kenta. W tym momencie ja też go nienawidzę.

Rozlega się stukanie do drzwi. Ktoś nam przerywa konferencję. Tego nie było w programie i wydaje mi się, że wszyscy o tym wiedzą. Drzwi się otwierają i do środka wsuwa się Fatima. Robi wrażenie chudszej niż zwykle. Jak mogła w ciągu godziny tak schudnąć? Uświadamiam sobie, że to złudzenie wywołane sposobem, w jaki Fatima się porusza. Jej twarz, kiedy odwraca się do nas po przesadnie dokładnym zamknięciu drzwi, jest jak jej własna karykatura. Rzucam na nią wściekłe spojrzenie, a uczestnicy spotkania patrzą, jak Fatima, udając, że nikt nic nie widzi, usiłuje się do mnie przedostać. Kiedy wreszcie jest przy mnie, czerwona na twarzy wtyka mi kartkę do ręki. Poznaję duże niechlujne pismo Jima. „Sprawa bardzo pilna. Musisz koniecznie wyjść. Przepraszam. J.”.

Gapię się na papier. Nie ma tak pilnej sprawy, która byłaby wystarczająco pilna, by mnie stąd wyrwać. Poza tą salą może się stać ze mną wszystko.

- Proszę cię, Lucy, wyjdź, teraz - szepcze Fatima. Wszyscy ją słyszą. Równie dobrze mogłaby to wykrzyczeć.

Rozglądam się dokoła. Nie chcę patrzeć na Kenta, ale mimo to patrzę.

- Bardzo przepraszam - zwracam się do Gregory'ego, a potem do Kenta. - Czy moglibyśmy zrobić pięciominutową przerwę? - Nawet nie próbuję ukryć irytacji. - Nie mam bladego pojęcia, o co chodzi.

Po minie Fatimy poznaję, że nie ma sensu z nią dyskutować. Kent skinieniem głowy wyraża zgodę.

- No to przerwa - mówi.

Hifeldowie kiwają głowami, George trochę za energicznie.

Wszyscy patrzą na mnie, jak wychodzę, szczególnie Kent. Wymykając się z sali,

przepraszająco wzruszam ramionami.

Na korytarzu spoglądam na Fatimę. Oczekuję od niej wyjaśnień, ale ona mówi tylko:

- Czy możesz iść do Jima, zaraz, w tej chwili?

- Co się stało? Fatima odwraca głowę.

- Nie wiem, o co chodzi. Jim na ciebie czeka. Och, Lucy, boję się, że to jakaś zła wiadomość, tak mi przykro...

Idziemy do windy, zjeżdżamy dziewięć pięter w dół i wysiadamy razem, nie odzywając się do siebie. Nawet nie próbuję się domyślać, o co chodzi. Zamiast strachu czy paniki czuję drętwotę. W ogóle nie myślę. Czekam. Jestem gadem.

4

Jim siedzi za biurkiem, z nogami opartymi o brzeg pojemnika na śmieci. Jego twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu. Kiedy wchodzę, gramoli się zza biurka, obchodzi je i bierze mnie w ramiona. Bezmiar jego gąbczastości sprawia, że chce mi się chichotać, a może po prostu w ten sposób objawia się moje skrępowanie. Nigdy do tej pory nie byliśmy z Jimem tak blisko siebie. Kiedy podnosi oczy, z bezgranicznym zdumieniem stwierdzam, że płacze.

- Jim?

- Przepraszam... - mówi zdławionym głosem. - Płaczę, bo... bo to nie powinno spotkać ciebie, Lucy.

W dalszym ciągu o nic nie pytam. Wolę nie wiedzieć.

- Chcesz usiąść?

- Nie, chcę wrócić na zebranie.

- Lucy, chodzi o twojego ojca. On nie żyje.

Milczę. Czekam na jakiś przypyływ bólu, emocji, ale na próżno. Nic nie czuję.

Mówię:

- To niemożliwe... Jane widziała się z nim w weekend...

- On nie żyje, Lucy.

Małe ciało Steviego, martwe w niebieskiej kołysce. I nas pięcioro gapiących się w nią z niedowierzaniem. Tata, ja, Scott, Larry i Jane. Ja pierwsza sięgam do kołyski.

Wyjmuję Steviego i czuję, że jest cięższy niż zwykle, czuję ciężar martwego ciała. Jego twarzyczka, jeśli nie liczyć cieniutkiej strużki krwi, jest biała, idealna. Oczy ma zamknięte, a jedną rączkę nieznacznie uniesioną. Kiedy go jednak podnoszę, rączka opada bezwładnie. Jane powiedziała wtedy: „On nie żyje, Lucy”.

- Co do szczegółów... - mówi Jim - to ich nie znam. Ale sprawa nie jest jasna. Twoja siostra prosi, żebyś przyleciała do domu najbliższym samolotem. Lucy... wygląda na to, że twój ojciec mógł się utopić... W oceanie.

Patrzę na Jima i pytam energicznie:

- Czy jesteś tego pewien, Jim?

- Policja chce z tobą rozmawiać - odpowiada. - Może zadzwonisz do siostry, ona ci na pewno wszystko wyjaśni.

- Nie, Jim, nie teraz.

- Fatima już ci zarezerwowała samolot. O siódmej wieczór. Powinnaś jechać do domu i się spakować. Ale nie puszczę cię samej...

Skądś z daleka słyszę głos. Kobieta ubrana tak jak ja mówi:

- Czy jesteś pewien, że on nie żyje? Że nie uległ tylko jakiemuś wypadkowi? Na pewno nie żyje?

Głowa opada Jimowi na piersi; przypomina piłkę, którą ktoś upuścił.

- No cóż, Lucy, naprawdę, twój ojciec naprawdę nie żyje. Bardzo mi przykro...

- Nie rozumiem tej gorączki, Jim. Skoro ojciec nie żyje, to nie ma co się tak spieszyć.

Jim wydaje cichy jęk. Marszczy twarz, która przypomina w tej chwili zmiętoszoną pościel.

- Na razie to jeszcze do ciebie nie dotarło. Kiedy dotrze, poczujesz ból.

- W porządku. Polecę dziś wieczorem - mówi tamta kobieta - ale zarezerwujcie mi późniejszy lot. Albo wcześniej rano. Muszę dopiąć tamtą sprawę.

Zabiera się do wyjścia. Wie, że wszystkie twarze są zwrócone na nią. I że wszystkie są wykrzywione. W windzie zaskakuje ją duch mężczyzny, dużego starzejącego się mężczyzny, który jest tak nieprzygotowany na gwałtowne ruszenie windy, że zatacza się na ścianę.

- Tata nie żyje - mówi kobieta, idąc korytarzem, ale te słowa nic nie znaczą, więc

nawet nie przerywa marszu.

W sali konferencyjnej jest ciepło. Większość obecnych stoi. Panuje gwar pogaduszek. Przy oknie widzę Jaya; w jednej ręce trzyma filiżankę kawy, w drugiej talerzyk. Na zewnątrz powoli zapada zmrok i na niesamowitym tle popołudniowego nieba unoszą się jak gdyby w powietrzu światła innych biur.

Kiedy obecni uświadamiają sobie, że wchodzi kobieta, robi się cicho. Wszyscy spiesznie wracają na miejsca. Gapią się na nią i nie ulega wątpliwości, że przeczytali notatkę.

- Czy wszystko w porządku, Lucy? - pyta Gregory. Kent wygląda, jakby przyrósł do krzesła.

- Czy w porządku... - Po raz pierwszy się waha, ta kobieta. Po czym mówi: - Mój ojciec zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Wieczorem lecę do Kalifornii, więc prosiłabym bardzo o maksymalną koncentrację i współpracę do końca naszego spotkania.

- Nie mów mi nawet, co uzgodniliście - odzywa się Jim, kiedy idziemy razem ciemną już ulicą, wypatrując taksówki, która by nas zawiozła do mnie. - Nawet nie chcę o tym słyszeć. Zamiast tam siedzieć, powinnaś była zadzwonić do swojej siostry. Ona jest całkowicie wytrącona z równowagi. Dzwoniła już trzy razy, a dzwoniłaby więcej, gdyby nie to, że właśnie szła zawiadomić matkę.

- Moja siostra jest lekarką i nigdy nie bywa wytrącona z równowagi.

- Ale boi się o ciebie. Dzwonił też twój szwagier, Lennie.

- Larry.

- Larry. Dzwonił Larry i też jest kompletnie wytrącony z równowagi.

- Larry jest psychoterapeutą i tak samo nigdy nie bywa wytrącony z równowagi.

Czy dzwonił także Scott? Założę się, że dzwoniли wszyscy troje, zgadza się?

- Tak, dzwonił Scott i zachował się jak przystało na naprawdę dobrego męża. Był bardzo o ciebie niespokojny. Lucy, przestań temu zaprzeczać. Przecież chcesz wiedzieć, co się stało z twoim ojcem, na pewno chcesz.

W świetle latarń widzę pojedyncze płatki padającego śniegu.

- Wkrótce się dowiem, a jak się dowiem, to już od tej wiedzy nie ucieknę.

Jim jest zniecierpliwiony. Krótkimi rączkami wymachuje do zajętych taksówek. Podczas przerwy w ruchu przestępuje z nogi na nogę. Wreszcie światła się zmieniają i

sznur samochodów rzuca się gwałtownie do przodu niczym gigantyczny bardzo zły pies. Wóz holowniczy przejeżdża tak blisko mnie, że niemal czuję na sobie jego ruch.

- Co ty... - Jim opiekuńczym gestem bierze mnie pod rękę. Patrzy mi w oczy. -
Boisz się tych olbrzymów?

Kiwam głową. Boję się, ale mówię:

- Jim, nie musisz mnie odprowadzać do domu. Śmierć taty jeszcze ciągle wydaje mi się nierealna. W tej chwili mam wrażenie, że to jakiś wybieg, że chcą mnie w ten sposób ściągnąć do Kalifornii, do mojej przeszłości.

- Ja też mam takie wrażenie. Lecisz z Newark, mogę cię tam zawieźć.

Jim jeszcze nigdy nie był u mnie w domu. Stoi w korytarzu i mruga.

- Nie wierzę, żebyś była aż taka porządna - mówi. - Nie ma takich porządných ludzi.

Przyznaj się, spodziewałaś się kogoś wieczorem. Może Jaya Kenta.

- Daj spokój, Jim, nikogo się nie spodziewam, a Kent nigdy tu nie był.

- Czy możesz zadzwonić do Jane i podać jej godzinę przylotu tak, by cię mogła odebrać?

- Nie chcę, żeby mnie odbierała.

- To zadzwoń do Scotta.

- Dam sobie radę.

- Nie puszczę cię do samolotu, dopóki nie zadzwonisz do kogoś, by cię odebrał. I nie kłóć się ze mną, jestem twoim szefem.

Wzdycham.

- Do kogo dzwonicz? - Jim wtyka mi telefon. - Do Jane czy do Scotta?

- Nie chcę się zatrzymać ani u niej, ani u niego.

- Pozwól im zająć się tobą. Jane bardzo tego chce. To widać. - Jane zawsze się mną zajmowała. Była moim lekarzem na długo przedtem, nim została lekarzem kogokolwiek innego. Jako dziecko cierpiałam na chorobę, która stale wymagała pomocy, i to właśnie moja starsza siostra mi jej udzielała. Mniej wysiłku. Więcej wysiłku. Mniej emocji. Więcej jedzenia. Mniej jedzenia. Od trzech lat nikt się mną nie zajmował tak jak Jane. Na wspomnienie jej długich, zręcznych palców wiążących mi temblak, badających skaleczenia i przemywających rany coś mnie ściska za gardło. Ale zamiast tego wszystkiego mówię Jimowi:

- Ja od tego właśnie uciekłam, Jim.

Jim patrzy na mnie zdenerwowany. Kocha swoją rodzinę. Ucieka od nich tylko na czas pracy w biurze.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z siostrą?

- Dziś rano, a przedtem w jej urodziny. Nie, później. Może kilka tygodni temu. Od czasu do czasu do siebie dzwoniemy i są to bardzo uprzejme rozmowy, ale ona nie może mi wybaczyć, że wyjechałam. Tak samo jak Larry i Scott.

Jim przełyka ślinę.

- Wybaczą ci, jeśli zadzwonisz i powiesz im, że przyjeżdżasz.

- Zadzwonię do Saszy.

- A kto to jest ta Sasza?

- Ten Sasza. Aleksander.

Szukam numeru telefonu do biura Saszy. Być może od czasu, kiedy z nim ostatni raz rozmawiałam, ten numer się zmienił, mimo to jednak próbuję. Jim wyjmuje mi z ręki słuchawkę.

- Chwileczkę. Co to za facet ten Sasza?

- Moja matka ma cztery siostry, a najfajniejsza z nich to Zina. Sasza jest jej synem. Mam tłumy kuzynów, ale jego lubię najbardziej. Żyją sobie po rosyjsku w rosyjskiej części miasta, gdzie jest zupełnie jak w Moskwie, tyle że cieplej.

- A co on robi, ten Sasza?

- Pracuje w jednej z dużych organizacji pomocowych. Działa na terenie całej Europy Wschodniej, ogarnia swoim zasięgiem jedenaście stref czasowych.

- Chcesz powiedzieć, że tak jak Stalin?

- Pasowalibyście do siebie z Saszą. On też jest fanem drożdżówek.

Jim patrzy na mnie podejrzliwie.

- A mógłby zjeść pięć?

- Jestem przekonana, że tak.

- To obrzydliwe. Żarłoczna świnia.

Tym razem Jim pozwala mi wybrać numer Saszy. Niemal natychmiast ktoś się zgłasza, bez entuzjazmu, ale za to z wyraźnym rosyjskim akcentem.

- Czy zastałam Aleksandra?

- Nie - odpowiada kobieta. Z jej tonu wnoszę, że już jest znudzona naszą rozmową.
- A kiedy będzie?
- Nie wiem.
- A czy w ogóle jest dziś w biurze?
- Był.
- A czy jeszcze wróci?
- Niewykluczone.

Głos jest młody, a ja zdaję sobie sprawę, że opryskliwość i obojętność jego właścicielki mogą być usprawiedliwione tylko przez jej urodę.

- Czy pani jest sekretarką Saszy?
- Jestem osobistą asystentką Aleksandra Pawłowicza.

Pomyślałam o matce, młodej pięknej Rosjance, która pracowała na uniwersytecie jako osobista asystentka, nie, sekretarka ojca. Czy ona też odpowiadała na telefony do ojca w ten sam wrogi, obojętny sposób, zdradzający intymny związek z człowiekiem, do którego dostępu tak bardzo broniła?

- A może - proponuję - zadzwonię za dziesięć minut?
- Jak pani chce - odpowiada i odkłada słuchawkę.

Jim snuje się po mieszkaniu, oglądając obrazki i dywany.

- Co to są za kamienie, na miłość boską?
- To taty. Jest geologiem i zawsze obdarowuje wszystkich kamieniami.
- Myślałem, że on był profesorem czy kimś takim.
- Profesorem geologii. Jim gładzi kamienie.
- Jest w nich jakieś piękno, oczywiście jeśli się lubi kamienie.
- Te pasiaste to ja kolekcjonowałam. Jeździłam z ojcem w teren.
- Skąd je przywieźliście? - Jim zamyka w dłoni jeden z pasiastych kamyków, drugi

obraca w palcach.

Dotyk kamieni, gładkich, ale nieustępliwych, wyraźnie sprawia mu przyjemność. Podaje mi kamyk, twardy i ciepły. Przesuwam opuszkami palców wzdłuż pasków.

- Z Arizony.
- Jak to możliwe, że one są w paski? Czy twój ojciec to kiedykolwiek wyjaśniał?

Tata wyjaśniał wszystko, ruchami rąk ilustrując ery geologiczne, unosząc brwi, tak

że się prawie stykały z kosmykiem czarnych włosów, ucłowieczając kamienie, żeby je nam przybliżyć. Tak byłam oczarowana jego zachowaniem, że w ogóle nie słuchałam tego, co mówił. Nawet w chwili spoczynku miał twarz, którą chciało się widzieć w ruchu. Wydatne kości policzkowe, mocna szczęka i duży nos człowieka, który ma coś do powiedzenia. Wsuwam kamień do kieszeni.

- Jeśli wyjaśniał, to i tak zapomniałam. Nie sądzę, żeby akurat te kamienie szczególnie go interesowały.

- Dlaczego nie odkładasz słuchawki, Lucy? - pyta Jim. W dalszym ciągu trzymam słuchawkę przy uchu.

- Bo mi właśnie sekretarka elektroniczna powiedziała, że są dla mnie wiadomości.

Ja już i tak wiedziałam. Nazbierało się tego przez weekend, aż pięć wiadomości.

Domyślałam się, że dzwoniła rodzina, by mi przypomnieć o rocznicy śmierci Steviego, że wyrażali troskę o mnie i pytali, gdzie się podziewam. Nie odsłuchałam tego wszystkiego. Ale teraz, kiedy pomyślałam, że jeden z tych telefonów mógł być od taty, czuję, że żołądek kurczy mi się jak morski ukwiał.

Jim myśli to samo; mówi łagodnie:

- Powinnaś je odsłuchać, dzieciно.

Dwie wiadomości od Jane. Jedna od Scotta. I dwie od taty. Pierwsza, w sobotę rano, to jedynie sygnał, że chce się ze mną skontaktować. Druga zupełnie inna. „Lucy, już wcześniej próbowałem do ciebie dzwonić. Jest sobota wieczór, wiem, że to musiał być dla ciebie ciężki dzień. Zdaję sobie z tego sprawę. Jeśli jesteś w domu, siedzisz smutna i nie odbierasz telefonów, to bardzo cię proszę, zrób to przynajmniej teraz". Jego głos jest tak potężny, tak nakazujący, że zmuszam się do podniesienia słuchawki. Po chwili milczenia tata nalega. „No, Lucy! Zrób to dla mnie". Myślę: Na miłość boską, Lucy, podnieś słuchawkę. W miarę jak cisza się przedłuża, żal z powodu mojej nieobecności, z powodu nieobecności taty coraz mocniej ściska mnie za serce.

„Więc dobrze, powiem tylko tyle". - Bierze słuchawkę w swoje duże, żyłaste dłonie i przytyka ją do twarzy. Ma potężny głos. Mój wielki, głośny tata. - „Wiem, jak bardzo cierpisz. Wiem, ile już wycierpiałaś. Ale nie zamykaj w sobie tego bólu jak dzikie przestraszone zwierzę. Czas otworzyć drzwi klatki, wypuścić je. Może się okazać, że to tylko psiak, którego da się oswoić. On cię nigdy nie odstąpi, ale nie będzie już taki groźny.

Niech ta rocznica stanie się okazją do podsumowań. Nie ma cię w domu już prawie trzy lata, Lucy. Nigdy z tobą na ten temat nie dyskutowałem. I nie zamierzam cię przekonywać do powrotu. Możesz nawet wyjść tam w Nowym Jorku za męża za jakiegoś nieświadomego rzeczy durnia, ale niezależnie od tego, co postanowisz, musisz zwolnić Scotta, bo to dobry chłopak i w dalszym ciągu na ciebie czeka. Taka jest moja rada. A przy okazji..." - Tu chwila wahania, jakby lekka nutka słabości. - „O mnie się w każdym razie nie martw. Dam sobie radę". - Biodro taty. Jego wiek. Zagrożenie chorobą, nieuchronność śmierci. Sprawy, których nawet do siebie nie dopuszczamy i o których nigdy nie mówimy. Jakby ta chwila milczenia miała to wszystko za niego wykrzyczeć. Przeżyłam nerwowo.

Głos taty traci na sile, a może po prostu odsunął słuchawkę od twarzy.

„Nie chcę, żebyś była smutna, Lucy. Proszę cię, nie bądź aż tak bardzo smutna". - Odnoszę wrażenie, że ojciec skończył. Zapada długie milczenie. Ale po chwili jego głos znów wraca, tym razem nabrzmiąły emocjami. - „Uważaj na siebie, córeczko. Proszę cię, Lucy, uważaj na siebie".

Przewijam taśmę i ponownie odsłuchuję tatę. Mam takie uczucie, jakby mnie coś pokąsało na całym ciele, jakby mnie nagle obsiadła chmara maleńkich insektów.

- Wszystko w porządku? - pyta Jim. Obserwuje mnie z niepokojem. Nawet nie udaje, że ogląda kamienie czy patrzy przez okno. - Lucy?

- W porządku.

- A więc była wiadomość od twojego ojca.

- Tak.

- Miła? Zastanawiam się.

- Chciał być miły - mówię w końcu.

Jeszcze raz przewijam i odsłuchuję taśmę. To prawda, że tata nie dyskutował ze mną, kiedy wyjeżdżałam. Był jedyną osobą w rodzinie, która mi nie powiedziała, że z powodu mojego wyjazdu do Nowego Jorku jest zła, zawiedziona, czuje się zdradzona. On jeden się nie spodziewał, że za tydzień wrócę. I to prawda, że Scott w dalszym ciągu na mnie czeka. Nadal mieszka w domku na plaży, tam gdzie kończą się sosny, a zaczyna piasek, i kiedy o nim myślę, widzę tego wielkiego mężczyznę, rozciągniętego na dwóch fotelach na werandzie, z filiżanką kawy w ręku. Jego szaroniebieskie oczy, jak chmurne niebo, utkwione są w oceanie, jakbym miała przyplłynąć łodzią.

- Kiedy ojciec ci się nagrał? - pyta ostro Jim.
- W sobotę. Nie miałam czasu odsłuchać sekretarki.

Znów przewijam i przesłuchuję taśmę. Jednocześnie odnajduję torbę, kładę ją na łóżku i pakuję. Jim siedzi w sąsiednim pokoju. Przez chwilę milczymy, a potem zaczyna mi opowiadać o śmierci swojego ojca. Ojciec Jima był na tyle przyzwoity, że wszystko robił powoli. Najpierw powoli chudł, a potem było trzymanie za ręce, przeprosiny, pożegnania. Chwilami Jimowi głos się łamie i wtedy wiem, że płacze.

Podczas gdy cicho szlocha, ponownie dzwonię do Saszy. Czekam na głos pięknej młodej kobiety, który brzmi tak jak kiedyś, niewyobrażalnie dawno, głos mamy. Ale zgłasza się mężczyzna.

- Planowanie i Rozwój, dział Europy Wschodniej. - Ten głos sprawia, że planowanie, rozwój i cała Europa Wschodnia wydają się bezgranicznie nudne.

- To ty, Saszeńka?

Głos zmienia się błyskawicznie.

- O Boże, a któż to nazywa mnie Saszeńka i jednocześnie mówi do mnie po angielsku? - Ponieważ nie odpowiadam od razu, Sasza zaczyna zgadywać. - Zaraz, niech pomyślę... Naturalnie ktoś z dawnych czasów...

Sasza zawsze lubił gry. I lubił wygrywać. Wiele lat temu, kiedy się zdarzało, że zdołaliśmy się zebrać razem liczną gromadką kuzynów ze strony mamy, tata brał dzieciaki na bok i robił wszystko, żeby na rosyjskiej glebie zaszczerpić amerykański bejsbol. Rezultat był zawsze opłakany, ale mogłam dać głowę, że to Sasza pozbiera się pierwszy i ogłosi wygraną swojej drużyny.

- Zgadza się - potwierdzam. - Z bardzo dawnych czasów.

- Ale to ktoś, kto ma bezbłędny amerykański akcent. Dziwne, bo Amerykanie zawsze mówią na mnie Alex.

- Ale nie ta Amerykanka, Saszeńka.

- Ooooo, nu tak... - Sasza zaczyna coś mamrotać po rosyjsku. Mimo że jego angielszczyzna jest nienaganna, to jednak akcent pozostawia wiele do życzenia, więc kiedy przerzuca się na rosyjski, robi to z łatwością i wdziękiem nurkującej w wodach oceanu foki.

- Aha, aha, już wiem. Ktoś z rodziny, ale Amerykanka. Mam dwie amerykańskie

kuzynki, Jane i Lucy. Jesteś albo Jane, albo Lucy, tak, prawdopodobnie Lucy, nie, na pewno Lucy. Mam rację, Lucia?

- Tak, Saszeńka, masz rację.
- Cudownie. Fantastycznie, że się odezwałaś.
- Ale ja dzwonię... dzwonię ze złymi wieściami, Sasza.

Jestem świadoma obecności Jima, który siedzi nieruchomo na krześle.

- Och - mówi Sasza. - Och, och.

I w tym „och, och” zawiera się wiedza, że wszyscy jesteśmy śmiertelni i że życie nasze i naszych bliskich jest kruche. Och, och, Sasza szykuje się, żeby przez szczeliny w czerwonym kanionie spojrzeć w dół, w przepastną otchłań.

- Ktoś umarł? - pyta. - Śmierć w rodzinie, tak?
- Tak, Sasza, śmierć w rodzinie.
- Och, Lucia, pewnie twoja biedna matka...?

Przez jeden ulotny, pełen goryczy moment żałuję, że nie dzwonię po to, żeby go zawiadomić o śmierci matki.

- Nie, tata. Utonął dzisiaj w oceanie. Jakiś wypadek. Nic więcej nie wiem. Nie pytaj o szczegóły.

- O Boże. O Boże. Przyjmij najserdeczniejsze wyrazy współczucia. A gdzie ty teraz jesteś?

- Jestem w Nowym Jorku, wieczorem lecę do Kalifornii. Wiem, że cię zaskoczyłam. Wiem, że się od kilku lat nie widzieliśmy. Wiem, że bezczelnie wykorzystuję mojego ulubionego kuzyna. Ja to wszystko wiem, ale czy mógłbyś po mnie wyjechać na lotnisko?

Krótką chwilą ciszy

- Sasza musi się pozbierać.
- Proszę cię - dodaję.
- Oczywiście, nie ma o czym mówić. Czy mam cię zawieźć do siostry? Czy może do Scotta?

Teraz moja kolej na milczenie.

- Właściwie mogę się zatrzymać u taty. Lepiej, żeby dom nie stał pusty.

Ale Sasza jest szybki.

- Nie, Lucia, byłoby ci za smutno, a poza tym naprawdę sprawiłabyś mi wielką

przyjemność, gdybyś się u nas zatrzymała. I mamie oczywiście też.

- Znów mieszkas u ciotki Ziny?

- Znów.

- Już nie jesteście z Mariną małżeństwem?

- Poinformowała mnie, że nie. Ale to nie miejsce na tego typu rozmowy. Proszę cię, zatrzymaj się u nas. Będziemy naprawdę szczęśliwi.

Próbuję protestować, ale Sasza nie dopuszcza mnie do głosu.

- Lucia, kochanie, mimo że całe lata nie widywałem się z twoim ojcem, z wyjątkiem przypadkowych spotkań u twojej matki, to mam wiele ciepłych wspomnień związanych z jego osobą. To był bardzo dobry człowiek, jeden z najlepszych, jakich znałem, naprawdę jest mi bardzo przykro. Zakładam, że wasza matka została zawiadomiona?

- Tak sądzę, ale nawet nie wiem, czy to do niej dotarło. Głos Saszy jest smutny.

- To wielka strata dla tych, którzy go kochali. Wszyscy odczuwają śmierć taty silniej niż ja.

- Dzięki, Saszeńka. - Podaję mu szczegóły mojego przylotu.

- Saszeńka będzie na lotnisku - zapewnia mnie. - I mimo że jest, ogólnie rzecz biorąc, patologicznie spóźnialski, w takiej sytuacji można na nim polegać.

- Wszystko załatwione? - pyta Jim, kiedy odkładam słuchawkę.

- Aha. - Wracam do sypialni. - Czy mogę ci wreszcie powiedzieć, jakie są losy Myślących Zabawek? - Otwieram garderobę i wyciągam stare, ale wygodne buty. Z ulgą czuję, jakie są delikatne dla moich obolałych stóp. Nowe pantofle wrzucam do torby i zaczynam składać nocną koszulę. Jim jest ciekawy. Chętnie pogapiłby się na sypialnię, na ubranie, które pakuję, ale nie chce być wścibski, więc siedzi w sąsiednim pokoju w fotelu, przy szeroko otwartych drzwiach, tyłem do mnie.

- Powiedziałaś tam na zebraniu o ojcu? - pyta. - Czy udawałaś, że wszystko jest w najlepszym porządku?

- Powiedziałam. To wzmocniło moją pozycję. Zrobili się potulni jak baranki, nawet Kent, i przyjęli wszystkie moje sugestie.

- To znaczy?

Podsumowuję problemy, które wynikły w trakcie negocjacji, i podaję zaproponowane przeze mnie rozwiązania. Widzę, że zaimponowałam Jimowi.

- Brawo. Dobrze się spisałaś.
- To ciekawa sytuacja, kiedy ktoś ci gratuluje, siedząc do ciebie tyłem.

Jim odwraca się przodem do mnie. Patrzy mi w oczy.

- Naprawdę wspaniale się spisałaś. Znow siada tyłem do mnie.
- Ale to nie wszystko. George będzie prowadził firmowy samolot.
- Co takiego?

- To znaczy, niewykluczone. Cały czas siedział i mówił, że nie nadaje się do pracy koncepcyjnej, do planowania, zarządzania, badania rynku, marketingu... A Kent robił się coraz bardziej uszczypliwy. I w pewnej chwili ktoś, okay, niech to będę ja, zapytał o odrzutowce Mitteksu. Jak się okazuje, mają trzy. Trzy odrzutowce, a George jest licencjonowanym pilotem. Sprawa wydaje się więc oczywista, pod warunkiem, że przestanie pić.

Jim ponownie odwraca się do mnie. Sprawdza, czy przypadkiem nie pakuję nic osobistego.

- Tylko że to może się okazać bardzo kosztowne - mówi.
- Dlaczego?
- Bo nikt nie będzie chciał latać samolotem pilotowanym przez George'a Hifelda.

Chyba że będzie miał własny spadochron.

Chichoczę.

- W porządku, jestem spakowana. Jim wstaje i patrzy mi prosto w oczy.
- Lucy, twój ojciec nie żyje - mówi.

Ale tym razem już pozwalam, żeby walec drogowy po mnie przejechał. Czuję, jak miażdży mi serce w piersi, jak tracę oddech. Duszę się z bólu. Czuję gorąco własnych łez. Regularne szlochy są jak mechanizm, który wstrząsa moim ciałem. Tata nie żyje i już nikt nie będzie mnie kochał tak jak on. Nie żyje i cała wiedza i mądrość życiowa zawarte w jego głowie straciły jakiegokolwiek znaczenie. Nie żyje, i ta przestrzeń, którą kiedyś wypełniało jego duże ciało i silny głos, pozostanie pusta. Nie żyje, ale dom, w którym mieszkał, rzeczy i ludzie, których znał, miejsca, w których bywał, są w dalszym ciągu, tylko że bez niego. A czas jak fale przyływu i odpływu zmyje kiedyś wszelkie ślady jego istnienia. Szlocham więc w tę pustkę, jaka po nim została, ale on nie żyje, więc nawet nie może odpowiedzieć na moje szlochanie.

5

U Jima czeka na nas jego żona, June. Jest zimna noc, więc June dosłownie wciąga mnie do środka i bierze w ramiona, a potem prowadzi korytarzem do salonu. Po drodze potykamy się o zabawki, wpadamy na kolejne dzieci, mijamy wielki bukiet kwiatów.

- Kochanie - mówi June - nawet nie próbuj powstrzymywać łez. Po śmierci mojego taty płakałam - bez przesady - dzień w dzień przez cały rok. To jedyna metoda, żeby jakoś z tego wyjść. Trzeba płakać, płakać i jeszcze raz płakać.

June czuje się samotna, jest jedyną kobietą w sąsiedztwie, w obrębie jakichś dziesięciu przecznic, która siedzi w domu i zajmuje się rodzeniem dzieci. Co rok prorok. Jim z lekkim zawstydzeniem anonsuje każdy kolejny poród.

- Ach, ta moja żona - mówi - nie może przestać. Czasem mi się wydaje, że kompletuje całą cholerną drużynę futbolową.

Teraz, we własnym domu, zachowuje się tak, jakby był trochę dumny, a trochę speszony. Moja obecność uświadamia mu, że przez cały dzień jest grubą rybą w dziedzinie bankowości, a tu, w rodzinie, tylko tatą, przytłoczonym lawiną potrzeb małych dzieci i problemów rodzinnych, całkowicie zdany w tych sprawach na June. Stoї teraz, potulny, podobny do Chaplina, ze stopami rozchylonymi na zewnątrz, przygarbiony, obstąpiony przez wdrapujące się na niego dzieciaki.

June w dalszym ciągu trzyma mnie w ramionach, nie przerywając swoich zaklęć:

- Och, Lucy, kochanie, chciałabym, żebyś tu do nas częściej przychodziła. Musisz się solidnie wypłakać, a najlepiej zrobisz to właśnie u June. Posłuchaj mnie, bardzo cię proszę, posłuchaj.

I rzeczywiście, w cieple ich salonu, z krzykami jednego z malców w tle, z widokiem na pocący się w celofanie wielki bukiet, który June przypisuje Jimowi, płacząc i płacząc jak zmęczony, ale niezawodny mechanizm. Kiedy w jakiś czas potem wychodzimy z Jimem i idziemy do samochodu, okazuje się, że przednia szyba i wszystkie pozostałe okna są zamrożone.

- Cholera! - przeklina Jim i wysiada. - Kto by pomyślał, że jest aż tak zimno! Powinienem był wstawić go do garażu.

Po chwili wraca, a za nim widzę June z parującym garnkiem wody i depczącą jej po

piętach gromadką maluchów, niektórymi w samych piżamach. Jim wskakuje do samochodu i zapala silnik. June oblewa przednią szybę gorącą wodą, która rozpędza lodowatą mgłę, odsłaniając uśmiechnięte pulchne buzie June i dzieciaków. Kiedy odjeżdżamy, ich podobizny, mimo ulicznych latarni i krzykliwych szyldów restauracji i sklepów, które mijamy po drodze, pozostają jak gdyby odcisnięte na przedniej szybie samochodu.

Po pewnym czasie Jim odchrząkuje.

- Czy twój ojciec ma dużą rodzinę? - pyta.

- Właściwie żadnej. Wszyscy krewni są ze strony matki.

- Nikogo?

- Jego rodzina żyła w społeczności religijnej, a kiedy ojciec wziął rozbrat z wiarą, musiał się rozstać i z rodziną. Od szesnastego roku życia nie miał z nimi żadnego kontaktu.

- To okropne. - Jim wydyma policzki. - Straszne: w wieku szesnastu lat opuścić dom rodzinny. Jezu, to musiało być trudne. Ciężko coś takiego zrobić i ciężko potem samemu sobie radzić. Ile miał lat, kiedy poznał twoją matkę?

- To było znacznie później. Wtedy już wykładał na uniwersytecie, gdzie ona pracowała jako sekretarka. Tam się poznali, a w trzy tygodnie później wzięli ślub.

- Miłość od pierwszego wejrzenia?

Matka była piękna, tajemnicza, ekscytująca - do tego cudzoziemka. Myślę, że tak to było, ale nie wiem, czy tak ją sobie tylko wyobrażałam, czy taką ją rzeczywiście zapamiętałam.

- Czy twój ojciec nie poznał nikogo...? Po tym, jak... - Jim zawiesza głos.

- Po jej pierwszym poważnym załamaniu psychicznym? - pomagam mu. - Nie, był jej całkowicie oddany do końca...

Jim znów odchrząkuje.

- To, jak człowiek przyjmuje śmierć innych, w dużej mierze zależy od tego, jak jest przygotowany na własną śmierć. A jak jest z tobą, Lucy?

Mój głos dochodzi do mnie jak z oddali.

- Po Steviem było mi wszystko jedno, czy żyję, czy nie. I niewiele się od tamtej pory zmieniło.

- Czyli co? Całkowita akceptacja śmierci?

- Tak. To nie jest takie złe, bo znaczy, że możesz latać samolotem czy jechać taksówką z szalonym kierowcą i nie czuć lęku. Możesz spokojnie wracać nocą do domu i otwierać drzwi mieszkania, nie myśląc o tym, że ktoś tam na ciebie czeka.

- Nie wierzę ci.

- Jim, oświadczam ci, że jestem całkowicie przygotowana na swoją śmierć i zawsze byłam. Kiedy samolot nie spada z nieba, przyjmuję to ze zdziwieniem. Kilka razy w życiu byłam bliska śmierci: spadłam na dno kanionu, mało się nie utopiłam w basenie, miałam wypadek samochodowy. Ale za każdym razem tym, co mnie naprawdę poruszało, była świadomość, że jednak żyję.

- Nie, nie, ja w to nie wierzę. Kiedy umiera nam dziecko, myślimy, że nasze wiadro stuknęło o dno studni żalu, ale to nieprawda, w tej studni jest jeszcze bardzo, bardzo wiele i dopiero kiedy nie ma w niej już nic, tak, dopiero wtedy jesteśmy gotowi umierać. Takie jest w każdym razie moje zdanie. Bo my rozpaczamy nad sobą, a nie nad naszymi zmarłymi.

- Tęsknimy za naszymi zmarłymi, Jim. I to jest właśnie rozpacz.

- Nie, to jest tęsknota.

Dalej jedziemy w milczeniu. Jim się upiera, że zaparkuje samochód. Ale ja się z nim żegnam, dziękując mu za towarzystwo. W drodze do wyjścia odwracam się i widzę go, jak stoi pośród spieszącego się tłumu pasażerów, groteskowy, ze stopami skierowanymi na zewnątrz, z rękami bezradnie opuszczonymi wzdłuż ciała, gruby, galaretowaty. Nie macha do mnie, tylko mnie obserwuje. Z najwyższym trudem zmuszam nogi, żeby szły w stronę samolotu. Jadę do domu.

Podczas lotu mam wrażenie, że śmierć taty, śmierć Steviego i śmierć mojego brata, imię nieznane, rysy zapomniane, że wszystko to razem zbija się w jedną wielką kulę smutku i rozpacz, która siedzi na sąsiednim fotelu, przygniatając mnie jak otyły pasażer. Myślę o tobie i nie chcę, żebyś była smutna. Proszę cię, córeczko, nie bądź taka smutna.

Obracam w kieszeni kamyk z Arizony, aż robi się ciepły. Tata twierdził, że te pasiaste kamyki są bezwartościowe, że występują wszędzie masowo i że z geologicznego punktu widzenia są mało interesujące, ale tak mi się podobały, że mimo to je zbierałam. Stanowią moją jedyną pamiątkę z tamtej koszmarnej wyprawy.

Wybraliśmy się na nią zaraz po śmierci mojego brata. Przypuszczam, że tata chciał po prostu wyciągnąć mamę z domu. Oczywiście były to smutne wakacje, mama prawie cały czas milczała, ale w końcu pierwotny krajobraz Arizony urzekł nas i poddaliśmy się jego ponadczasowemu urokowi.

Tata z upodobaniem wdrapywał się na strome ściany czerwonych kanionów, aż od osiadającego na wszystkim pyłu nawet włosy zrobiły mu się czerwone. Zwykle Jane i ja towarzyszyłyśmy mu w jego wyprawach i tak też było tamtego upalnego dnia, którego nigdy nie zapomnę. Mama nie chciała iść z nami, wołała zostać w samochodzie. Jeszcze dziś widzę ją przez tylną szybę, jak siedzi sztywno i smaży się, mimo otwartych drzwi i okien samochodu, gdzieś na opuszczonym skrawku asfaltu.

Tata zazwyczaj szybko poruszał się po pustyni. Przemykał między skałami jak duch, brnął wyschniętymi korytami rzek, pewnie stawiając stopy, bez obawy, że skalne odłamki mogą mu się spod nich usunąć, czasami też bez najmniejszego wahania przesadzał skalne szczeliny czy skakał z głazu na głaz. Oczywiście wkrótce zostawałyśmy z Jane w tyle. Miałam ze sobą niewielki młotek do łupania skał, rzadko go jednak używałam do tych celów, traktując raczej jako broń przeciwko grzechotnikom i skorpionom. Po jakimś czasie, kiedy było nam już za gorąco na to, żeby cokolwiek udawać, a słońce prażyło tak niemiłosiernie, że dosłownie przygważdżało nas do ziemi, uznałyśmy z siostrą, że jednak młotek nie jest skuteczną bronią przeciwko jadowitym węzom. I że niech raczej pełni funkcję talizmanu. Brnęłyśmy przez pustynię ostrożnie, wpatrując się w ziemię. Daleko przed sobą słyszałyśmy postukiwanie młotka taty albo jego głos, który niósł się echem zza jakiegoś wielkiego skalnego załomu: „No, dziewczynki, pospieszcie się trochę”. A potem ukazywał się nam, znów bardzo daleki, i miałyśmy wrażenie, że nigdy go nie dogonimy.

Po upadku, kiedy moje ramię stało się jednym wielkim pulsującym węzłem bólu, a reszta ciała, myśli, uczucia, wszystko zostało przez ten ból zagłuszone, Jane wysypała z płóciennego worka zebrane przez nas kamienie w sposób, który świadczył o tym, jak niewielką przywiązuje do nich wagę, i z ogromnym skupieniem, składając buzię w ciup, zrobiła mi z niego temblak. Potem mnie zostawiła i poszła szukać taty, a ja czekałam z pulsującą przytuloną do serca ręką, sama wśród skał. Patrzyłam, jak się gramoli białym niby kość korytem wyschniętego strumienia, które stawało się coraz węższe i węższe, aż

wreszcie całkiem znikło mi z oczu pod potężnym skalnym nawisem, a wraz z nim znikła Jane i już się więcej nie pojawiła.

Sama w kanionie, tylko z idiotycznym młoteczkim, szybko zrozumiałam, dlaczego matka wolała smażyć się w samochodzie. W samochodzie można patrzeć przed siebie i widzieć asfalt hen daleko, aż do miejsca, gdzie się stapia ze słońcem w jedno, podczas gdy tu, w kanionie, były tylko skały i skały, napierające jak tłum. Milczący tłum. Rozejrzałam się dokoła i cisza była tak intensywna, że wydała mi się namacalną obecnością. Obecnością, napierającą na mnie z obu stron kanionu niczym wielkie gązdy, które mogły mnie w każdej chwili zmiażdżyć. To było nie do zniesienia. Noga odmawiała mi posłuszeństwa, bo jakiś groźny skalny pazur zdarł z niej skórę, ale wiedziałam, że muszę iść.

Wyszędłszy z cienia, potknęłam się, jakby słońce wymierzyło mi cios między oczy. Jaskrawe i nieznośnie gorące, utrudniało posuwanie się, ciągnąc za opuchniętą nogę, szarpiąc za temblak. Włokłam się z trudem i często przystawałam, pamiętając, żeby nie chwycić się skał, które dosłownie parzyły. Nagle coś przerwało ciszę, a ja w pierwszej chwili pomyślałam, że to wrzask jakiegoś rozzłoszczonego ptaka, i instynktownie spojrzałam w górę. Wpatrzona w niebo, stałam tak spokojnie, że prawie nie oddychałam. Za drugim razem poznałam odgłos. Był to krzyk kobiety, tak silny i wysoki, że aż się załamał. Ale po chwili powrócił, z jeszcze większym natężeniem. Był nienaturalnie głośny i cienki. W tym niezemskim upale, który wyolbrzymiał wszystko, nawet myśl, rozpoznałam w głosie szaleństwo i histerię i wzdrygnęłam się. Myślałam, że jesteśmy sami w tej pustynnej głuszy, a tymczasem okazało się, że towarzyszy nam jakaś psychicznie chora osoba.

Słowa kobiety, dziś już dawno zapomniane, powtarzało w kanionie echo. Patrzyłam, jak jaszczurka śmiga po pionowej skale, zatrzymuje się i znika w szczelinie. I wtedy, osłabiona strachem, nieoczekiwanie dowlokłam się do źródła głosu.

Wyłoniłam się spomiędzy skalnych zębów kanionu i znalazłam się na poboczu drogi. Kanion miał kształt półkola i w odległości jakichś czterystu metrów zobaczyłam na asfalcie drgający w upale nasz samochód, spłowiały od słońca, z lakierem spękanym od nocnych przymrozków. A obok niego, również drgających, jakby nie stali pośród rozprażonej pustyni, tylko pod wodą, tatę, mamę i Jane. Nie obcego szaleńca, tylko moją

własną rodzinę z twarzami milcząco obróconymi ku mnie.

Pasiaste kamyki znalazłam później, w kieszeni, czekając w szpitalu na prześwietlenie. Podobały mi się, bo wyglądały tak, jakby je pomalował ktoś równie niechlujny jak ja. Trzymałam je w samochodzie na podłodze i kiedy wracaliśmy do domu, nagle, w pośpiechu, zaraz po przygodzie w kanionie, przesuwały się z jednej strony na drugą, ilekroć tata skręcał w prawo czy w lewo. I mimo że moje ramię zostało nastawione i unieruchomione w gipsie, za każdym razem, kiedy tata brał zakręt i kamyki się przesuwały, pulsowało boleśnie. Uciekaliśmy z Arizony w takim pośpiechu, że kłykcie taty i jego twarz były upiornie białe. Pewnie dotarło do niego, że kobieta, którą zastał po powrocie z kanionu, nie jest i nigdy nie będzie tą samą kobietą, którą zostawiliśmy w rozprażonym samochodzie na asfalcie.

Prawie nie odzywaliśmy się po drodze, naturalnie z wyjątkiem mamy. Kiedy popadała w długie chwile milczenia, z uczuciem ulgi chłonęliśmy ciszę, marząc o tym, żeby trwała wiecznie, a już co najmniej przez całą drogę do Kalifornii, i wtedy tata jeszcze przyspieszał, jakby w ten sposób mógł zwiększyć odległość między ostatnią stacją benzynową a następną, między ostatnim a następnym napadem matki. Obie z Jane zapewniłyśmy tatę, że nie chcemy lunchu, nie chcemy do ubikacji i że w ogóle nie chcemy się zatrzymać w żadnej innej sprawie, bo nade wszystko nie chcieliśmy, żeby matka wysiadała z samochodu. A może łudziłyśmy się, że kiedy ją wreszcie dowieziemy na miejsce, okaże się tą samą mamą co dawniej, jakby nigdy nie wyjeżdżała z domu.

Minęło kilka lat od chwili, kiedy ostatni raz widziałam Saszę, i ogarnął mnie zupełnie irracjonalny lęk, że go nie poznam. Ale jego szeroka twarz, z rozciągniętymi w uśmiechu ustami, natychmiast rzuca mi się w oczy w tłumie oczekujących przy wyjściu. Jest mniejszy i szerszy, niż go zapamiętałam, może nawet mniejszy, a z pewnością szerszy ode mnie. Twarz ma pełniejszą, włosy się przerzedziły.

Stawiam torbę i w jednej chwili znajduję się w jego ramionach. Czuję przy swoim policzku szorstki policzek Saszy, pachnącego papierosami, skórą i czekoladą.

- Lucia, kochanie, sam nie wiem, czy się cieszyć z tego, że cię widzę, czy martwić się twoją stratą. Muszę jakoś pogodzić oba te uczucia. - Bierze moją torbę. - Nic więcej nie masz? - pyta.

- Nic.

- Zupełnie inaczej niż moja żona, dla której nie ma podróży bez opłaty za nadbagaż.
- Czy jesteście z Mariną rozwiedzeni?
- Powiedzmy, że jest dla mnie czymś w rodzaju takiej opłaty za nadbagaż w mojej podróży życiowej. Chodź, idziemy.

Ochoczo ruszam za Saszą do wind, a potem przez mroczny parking do samochodu, mając przed oczami jego szerokie plecy w skórzanej kurtce. Ostatni raz widziałam go jakieś cztery czy pięć lat temu, w klinice. Spotkaliśmy się z okazji urodzin mamy, która zachowywała się wtedy fatalnie. Pamiętam, jaka wściekła byłam na Saszę o to, że go ta cała historia bawiła i że bawiła go nawet moja złość.

Zatrzymując się przy windzie, Sasza pyta:

- Jak dawno nie byłeś w Kalifornii, Lucia?
- Trzy lata.
- Od wyjazdu nie byłeś tu ani razu? Można powiedzieć, że śmiały exodus...

Dochodzimy do jego samochodu i Sasza odwraca się do mnie twarzą. Po raz pierwszy od naszego spotkania mam okazję się jej przyjrzeć. Struktura kostna twarzy mojego kuzyna jest całkowicie niewidoczna pod fałdami tłuszczu. Zęby Sasza ma krzywe, włosy przerzedzone na czubku głowy i nieostrzyżone po bokach, ale za to oczy pozostały przenikliwe, porażająco piękne. Jak u Jane, jak u mojej matki, jak u naszej babki.

Sasza też na mnie patrzy, ma ochotę coś powiedzieć, ale się wzdraga. Wreszcie pyta:

- Lucia, co ci powiedziano na temat śmierci twojego taty?
- Nic. Poza tym, że się utopił w Pacyfiku. Nawet nie wiem, w którym miejscu.
- Gdzieś na plaży Big Brim, jeśli się orientuję.
- Big Brim? - Big Brim to rząd ponurych wydm piaszczystych przy nadbrzeżnej drodze i niewidoczna plaża.

Ale Sasza nie daje za wygraną, pyta niepewnie:

- Naprawdę nic więcej nie wiesz? Nie wiesz na przykład, jaka w tym wszystkim była rola policji?

- A, policja. Tak, wydaje mi się, że ktoś mówił o policji... Twarz Saszy jak gdyby zamknęła się w wyrazie troski.

- Lucia, robisz wrażenie takiej zmęczonej, że po prostu nie mam serca ci tego

powiedzieć...

Nie czuję żadnej ciekawości, nie domagam się wyjaśnień.

- Zamiast zawieźć cię od razu do nas, gdzie mama z ciotką Zoją czekają na ciebie z otwartymi ramionami, coś tam pichcą i szykują dla ciebie pokój, chyba rzeczywiście zabiorę cię tam do was, tak jak mówiłaś na początku.

Myślę o naszym starym domu, przycupniętym na stoku wzgórza jak ogromne ciemne ptaszysko, które za chwilę, trzepocząc skrzydłami, zerwie się do lotu i poszybuję ponad leżącą u jego stóp doliną. Ten dom czekał na mnie i oto - wreszcie jestem.

- Dzwoniła do nas twoja siostra... - ciągnie Sasza.

- Ale ja jej nie mówiłam, że mam się u was zatrzymać.

- Mimo to wiedziała. Tak to już jest z siostrami. Nasze matki to z pewnością potwierdzą. Jane zadzwoniła, by powiedzieć, że masz prosto z lotniska jechać do domu wujka Eryka. Mama próbowała z nią dyskutować, ale ona oświadczyła, że takie było życzenie policji.

Nic z tego nie rozumiem, ale wsiadam do samochodu. Mijamy budkę parkingowego, gdzie sztuczne oświetlenie zmienia kolory samochodów, i wtedy przypominam sobie, co mi powiedział Jim: że śmierć ojca nastąpiła w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Przyznam szczerze - mówi Sasza - że zainteresowanie policji śmiercią twojego ojca wydaje mi się dziwne, ale kiedy zajedziemy na miejsce, z pewnością wszystko się wyjaśni. Wydaje mi się, że pamiętam drogę. Zajmie nam to jakieś trzy kwadransy, prawda?

- Może nawet godzinę.

Jedziemy na wschód. Wdycham balsamiczny słony aromat powietrza San Francisco. Sasza zakręca okno i mówi:

- Lucia, będzie ci potrzebny samochód, jutro wynajmiemy. Kilka przecznic od nas jest tania wypożyczalnia.

- Nie ma potrzeby. Mój kolega, który ma taką firmę, wysłał rano do was samochód dla mnie.

- Boże, samochód dostarczony do naszego domu! Ten samochód i wielkomiejskie stroje wpędzą w kompleksy twoją skromną rosyjską rodzinę.

Czerwienię się, a ponieważ przejeżdżamy akurat przez dobrze oświetlony most, Sasza to zauważa i mówi:

- Przepraszam cię, Lucia, zapomniałem, że nie jesteś już tą małą dziewczynką, która zawsze gubiła się na skalistej plaży czy, będąc z wizytą u babci, wrzucała but do szybu windy.

Ponieważ milczę, dodaje z szelmowską miną:

- Może jednak ta dziewczynka gdzieś się tam w dalszym ciągu ukrywa, co?

- A ty, co z tobą, Sasza? - pytam w odpowiedzi. - Ze zdziwieniem znalazłam cię pod tym samym numerem telefonu.

Sasza wzdycha.

- Mnie samego to dziwi. Ale za każdym razem, kiedy zamierzam odejść z fundacji, moje imperium czy moje zarobki zwiększają się na tyle znacząco, że mnie zatrzymują. Pewnie jesteś zgorszona tym, że Sasza mieszka z mamą, jak dawniej, i pracuje w tym samym biurze co piętnaście lat temu. Ale łatwość, z jaką człowiek podejmuje wątki z przeszłości, jest zdumiewająca, o czym możesz się sama przekonać teraz, kiedy wróciłaś.

Potrząsam głową.

- Nie zamierzam nic podejmować.

- Uważaj, Lucia, czasami przeszłość okazuje się silniejsza od nas.

Przez chwilę wydaje mi się, że szybkość samochodu nie ma nic wspólnego z jego silnikiem. Że ciągnie nas, całkowicie bezradnych, do tyłu, w przeszłość, jakaś potężna, choć niewidzialna ciężarówka.

Usiłuję się otrząsnąć z tej myśli, ale od chwili kiedy droga się zwęża, a na jej obrzeżach pojawiają się ciemne, przypominające żałobników sylwetki drzew, zaczynam przeżywać na nowo tamtą podróż sprzed lat, którą odbywałam tą samą drogą. I mimo że później jeździłam nią tyle razy, to właśnie teraz przypomina mi się tamten nasz pośpieszny powrót z Arizony, a związane z nim zapachy i kolory mają w moich wspomnieniach świeżość nowej farby. Mogliśmy jechać inną drogą, przez dolinę, ale tata specjalnie wybierał autostrady, gdzie mógł rozwijać większą szybkość i gdzie z powodu ogromnego ruchu nie byliśmy tacy widoczni. Tam ludzie podróżują zwykle pogrążeni we własnych myślach, mieliśmy więc nadzieję, że mało kto zauważy na przednim siedzeniu naszego samochodu miotającą się i wrzeszczącą szaloną kobietę. Kiedy przejechaliśmy przez most,

do matki najwyraźniej dotarło, że zbliżamy się do domu, ale ten fakt wcale jej nie uspokoił. „Morderca!” - wrzasnęła do zdumionego mężczyzny pobierającego opłaty na autostradzie. Jane i ja padłyśmy z tyłu na podłogę, żeby nas nie było widać. „Tak - warknęła. - Tak, widzę po twoich oczach, że też zabijałeś! O, ja wszystko o tobie wiem”.

Tata przeprosił mężczyznę i odjechaliśmy błyskawicznie, jakbyśmy byli łodzią, w którą nagle uderzył potężny podmuch wiatru, ten sam, który wywiewał nas ze wszystkich stacji benzynowych, sklepów spożywczych i raz nawet - o zgrozo - z przydrożnego motelu. Ten sam, który gnał nas przez całą drogę z Arizony.

Kiedy skręciliśmy w nasz wyboisty podjazd, matka uspokoiła się nagle. Gapiała się na dom z pogodnym wyrazem twarzy, a Jane i ja wymieniliśmy pełne wdzięczności i ulgi spojrzenia. Byliśmy w domu i mamie zrobiło się lepiej. Tata zatrzymał samochód i wysiadłyśmy ostrożnie. Nauczyłyśmy się robić wszystko wolno, ponieważ każdy szybszy ruch czy niespodziewana czynność wywoływały u matki podobną, tyle że znacznie gwałtowniejszą reakcję. Rozprostowałyśmy się, mrugając ze zdumieniem jak ludzie, którzy wreszcie osiągnęli upragniony cel. Potykałyśmy się z lekka, nie mogąc przywyknąć do tego, że już nie jesteśmy w ruchu. Rozglądałyśmy się dokoła. Trawa i drzewa jak gdyby rozciągnęły się przez te parę tygodni naszej nieobecności, wypełniając pozostawioną przez nas wolną przestrzeń. Zerkaliśmy ostrożnie w stronę matki. Siedziała nieruchomo na przednim siedzeniu samochodu. Widziałam na jej twarzy tę samą białą, wykrzywioną maskę, za którą w tajemniczy sposób ukryła się zaraz po moim wypadku w kanionie. Tata bardzo delikatnie otworzył drzwi z jej strony. Nawet nie drgnęła. Głosem tak łagodnym, że miałam ochotę go przytulić, powiedział: „Tania, chodź, pójdziemy do domu, na pewno poczujesz się lepiej”. Stanęliśmy całą trójką przy drzwiach samochodu, ale nie za blisko, na wypadek kolejnego wybuchu szaleńczych wymysłów połączonych z wymachiwaniem rękami. Ale matka, z twarzą płaską, wężową, powiedziała spokojnie: „Nie wysiadam z samochodu. Traktujecie mnie jak bagaż, który można włączyć ze sobą po całym świecie, jak skrzynię, torbę, starą zniszczoną walizkę, a potem zostawić byle gdzie. Dostyc tego, już mnie nigdzie nie zostawicie, bo ja po prostu nie wysiądę z samochodu”.

Gapiliśmy się na nią w osłupieniu. Od czasu kanionu robiliśmy wszystko, żeby ją jakoś uspokoić i ograniczyć jej ruchy, a teraz, w najmniej stosownym momencie, jakby

zastygła w bezruchu.

„Słyszycie mnie?!“ - wrzasnęła tak głośno, że odskoczyłam do tyłu i wpadłam w parzące zielsko. Spojrzałyśmy na tatę i zobaczyłyśmy, że jego twarz, twarda i zacięta przez tę całą koszmarną drogę, zaczyna przypominać starą zmiętą koszulę.

„Tania, przecież nie możesz tu siedzieć bez końca...” - zaczął, ale natychmiast jego delikatny głos utonął w jej wrzaskach.

„Nie mam najmniejszego zamiaru...” - W otwartej ciemnej czeluści jej ust widać było tylko poruszający się język i zęby. - „Nie mam najmniejszego zamiaru wysiadać z samochodu i już!”.

Czekaliśmy i czekaliśmy bez ruchu, aż wreszcie, z wielkimi oporami, poszliśmy do domu. Zrobiło się ciemno. Tata zaniósł jej jedzenie, którego nie tknęła. Przemawiał do niej z wielką czułością. Zatrzasnęła mu przed nosem drzwi samochodu. Przez okno kuchenne widziałam jego całkowitą bezradność. Był wystarczająco duży i silny, żeby wyciągnąć ją z samochodu i zawlec do domu, ale nawet nie próbował tego zrobić, nawet nie podniósł na nią głosu.

Matka przesiedziała w samochodzie całą noc i prawie cały następny dzień, za to Jane i ja nie opuszczałyśmy tym czasie domu. Obserwowałyśmy ją ukradkiem przez okno kuchenne, ale miałyśmy wrażenie, że się w ogóle nie ruszała. Chwilami, nie mogąc sobie poradzić z dziwną ciszą i niezrozumiałym impasem, w jakim znalazło się nasze życie, siadałyśmy na pomoście, z którego roztaczał się widok na dolinę. Byłyśmy zadowolone, że od matki dzieli nas cały dom. W pewnym momencie tata powiedział nam ze smutkiem, jakby się przed nami usprawiedliwiając, że będzie zmuszony wezwać pomoc. Miał opuszczone ramiona i wydawał się mniejszy. Przyjechało dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z nich, w garniturze, odbył z tatą w kuchni długą, poufną rozmowę, podczas gdy jego towarzysze próbowali dogadać się z mamą. Nie odkręciła okna, nie odpowiedziała im na ani jedno pytanie i w ogóle w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że ich słyszy. Zabrali ją wreszcie wieczorem. Kiedy już nie mogłam wytrzymać jej krzyków, puściłam się biegiem przed siebie. Upał dnia powoli ustępował, a noc doganiała mnie, kiedy kluczyłam pomiędzy drzewami. Nie zatrzymywałam się, nawet kiedy krzewy szarpały mnie za ubranie i drapały do krwi. Wreszcie, wykończona, skuliłam się w najdalszym rogu ogródka, palcami zatykając uszy, żeby nie słyszeć jej wrzasków („Tak,

wiem, że jesteście mordercami! To on was nasłał, żebyście mnie zamordowali, teraz już wszystko rozumiem!"). Nawet nie słyszałam, jak odjeżdżali, ale kiedy wreszcie uświadomiłam sobie, że jest cicho, i chyłkiem wymknęłam się zza stodoły, zobaczyłam stojący samotnie nasz samochód, w którym nie było matki.

Jedziemy z Saszą w milczeniu. Droga wiję się wśród niskich pagórków. Światła miasta rozplynęły się za nami w ciemności. Nawet mrużenie silnika samochodu jest jak rodzaj ciszy. Falisty, pagórkowaty teren ze swoim monotonnym rytmem, który zachowałam we wspomnieniach, działa na mnie usypiająco. Poddaję się zmęczeniu i zamykam oczy.

6

- Śpisz? - pyta nagle Sasza.
- Nie jestem pewna, czy śnię, czy tylko wspominam.
- Daleko jeszcze do zakrętu?
- Musimy pokonać to wzgórze i jeszcze kawałek w dół.

Sasza zwalnia. Silnik jęczy; skręcamy w prawo. Jedziemy szybko wzdłuż stromych ścian doliny, podskakując na dziurach niebrukowanej drogi. Wiem, że po lewej stronie, tam gdzie ustępują krzewy, dolina zaskakuje jak szeroko otwarte wielkie, groźne oko. Ale teraz nie ma tam nic poza ciemnością. Zbliżamy się do domu taty. Serce bije mi coraz szybciej, oddech mam krótki.

- Wydaje mi się, że poznaję to miejsce - mówi Sasza, zatrzymując samochód przed przerwą w zieleni. Nasze reflektory oświetlają podjazd, tajemniczo myszkując po zboczu wzgórza.

- Nie, to dom Hollerów.
- To wasi przyjaciele?
- W dzieciństwie bawiłam się z Jimem Bobem Hollerem. Kiedy miałam dziewięć lat, a on jedenaście, wydawało mi się, że jestem w nim zakochana. - Wzdrygam się, gdy nagle staje mi przed oczami jak żywy Jim Bob, śniady, ostrzyżony na jeża blondyn. Widzę, jak złocistobrązowy, dynamiczny, biegnie brzegiem basenu i słysząc ostrą komendę ojca, raptownie zwalnia.

- Aha - mówi Sasza, jadąc dalej powoli. - Dziewięć i jedenaście. Pewnie pierwsze

nieuświadomione potrzeby seksualne...?

- Jako dziewięciolatka nie miałam o takich sprawach zielonego pojęcia.
- A później? Kiedy przyszła ta świadomość?
- Wtedy już nie było przy mnie Jima Boba.

Sasza penetruje wzrokiem pobocze drogi, wypatrując przerwy w zieleni. Od lat nie myślałam ani o Jimie Bobie Hollerze, ani o tamtej wyprawie do Arizony. Tę odległą przeszłość przybliżyły mi szok, zmęczenie i nagły powrót do domu; poczułam się tak, jakby mój wzrok zyskał jakąś niezwykłą ostrość.

- Teraz już nie mam wątpliwości, że to ten zakręt - mówi Sasza, nachylając się do przedniej szyby, jakby w ten sposób mógł lepiej widzieć w ciemnościach.

Gdzieś w dali majaczy w świetle reflektorów skrzynka pocztowa.

- Nie, to tu, bliżej. Tamten na zakręcie to dom Zacarrów.
- A Zacarrowie byli dobrymi sąsiadami? - Sasza mamrocze pod nosem, wolno zbliżając się do celu.

- Chyba w porządku. Pan Zacarro chorował w dzieciństwie na chorobę Heine-Medina i był trochę kulawy. Nawet nie trochę. Kiedy szedł, miało się wrażenie, że połowa jego ciała chce zostać w miejscu. Musiał całą tę lewą stronę wlec, próbując ją ożywić jak bruchomówca swoją kukłę. Czasem sobie wyobrażałam, że kiedy pan Zacarro nie ma ochoty wziąć jej ze sobą do pracy, to ta jego lewa strona leży bez czucia na ganku i czeka.

Nagle podjazd domu taty dosłownie wyskakuje na nas z gąszczu zieleni.

- Jesteśmy na miejscu?

Tata sam zrobił ten podjazd. Wkopywał w ziemię okrągłe, wypolerowane przez morze kamienie, ta praca musiała mu zająć wiele miesięcy. Ale tata lubił pracę fizyczną. Sąsiedzi sprowadzali ludzi z ciężkim sprzętem do kopania, budowania czy asfaltowania, a tata wiele rzeczy robił sam, sam też dokonywał napraw. Od dawna zapowiadał, że musi wyremontować podjazd, który z biegiem czasu miejscami się pozapadał i trzeba było odbijać kierownicą w lewo, a potem w prawo, żeby uniknąć najgłębszych dziur. Wiele razy je omijałam. I w rzeczywistości, i we śnie. Idąc na piechotę do szkolnego autobusu. Jadąc samochodem, skulona w kącie, wśród rodziny, bagażu czy zakupów. Wożona przez młodych mężczyzn samochodami ich ojców, pachnącymi papierosami, z gazetą rzuconą

na tylne siedzenie. A kiedy sama zrobiłam prawo jazdy i posiadałam sztukę równoległego parkowania, nauczyłam się też unikać nierówności kamienistego podjazdu taty.

- Tak, jesteśmy na miejscu - potwierdzam. Ale kiedy Sasza odwraca się do mnie, wyraźnie oczekując odpowiedzi, zdaję sobie sprawę, że powiedziałam te słowa tylko w myślach. - Tak, to tu, jesteśmy na miejscu - mówię.

Zanim jednak Sasza zdążył skrócić kierownicę, musi zatrzymać samochód. W poprzek podjazdu, wpleciona między gałęzie krzewów, zwisa jaskrawa czerwono-żółta taśma, a na niej powtarzające się jak mantra słowa: „policja zakaz wjazdu policja zakaz wjazdu”. I to właśnie te słowa, a nie krucha taśma, sprawiają, że dalej nie jedzie.

Nagle w twarz uderza mnie światło, odbija się od przedniej szyby i wciska w ciemne zakamarki samochodu. Skręcamy i promień latarki zatacza łuk, ukazując mundur. Sasza odkręca okno i do samochodu zagląda policjant.

- Nie mogę państwa puścić dalej. Gapię się na niego zdumiona.

- Ale ja tutaj mieszkam. - Słyszę swój głos. - To znaczy... mieszkałam.

Policjant patrzy poprzez Saszę na mnie.

- Może... - zaczyna, nagle spuszczać wzrok, za którym podąża światło latarki - mam pani nazwisko na tej liście.

Podaję mu nazwisko i policjant kiwa głową.

- Aha, rozumiem, to pani jest tą drugą córką, tak? Tę, co mieszka na wschodzie?

Patrzy na Saszę, a ja wyjaśniam:

- To jest mój kuzyn, który wyjechał po mnie na lotnisko. Mężczyzna znów oświetla latarką notatnik.

- W porządku, będę musiał prosić, żeby państwo zostawili samochód po tej stronie taśmy, zrobiło się tu bardzo ciasno.

Sasza cofa samochód do drogi.

- Czy mają państwo latarkę? - pyta policjant, kiedy schylamy się i przechodzimy pod taśmą.

- Tylko zapalniczkę - mówi niepewnym tonem Sasza.

- To proszę uważać, bo te kamienie są po ciemku bardzo niebezpieczne. Tam, na górze, jest jasno od kogutów policyjnych, ale to jeszcze kawałek stąd.

Sasza bierze mnie pod rękę i bezskutecznie wymachuje przed nami zapalniczką.

Potyając się i objijając palce u nóg, brniemy w stronę domu. Obcasy butów wpadają mi co chwila w szczeliny między kamieniami i wtedy policjant świeci nam latarką, ale ilekroć znajdujemy się poza jej zasięgiem, w tych paru minutach ciemności, owiewa nas rześkie nocne powietrze, a nad głowami pojawiają się gwiazdy. Nocą czuć w powietrzu leśną wilgoć.

Zamykam oczy. Mimo trudności w pokonywaniu wzniesienia i zakrętu, mimo że cały czas słyszę u swego boku sapanie i przekleństwa Saszy, rozkoszuję się ostatnimi chwilami spokoju, wynikającego z nieświadomości. Za chwilę będę wiedziała wszystko.

- Z pewnością - mówi Sasza - czekają tu na ciebie Jane i Larry. Pokonujemy wzniesienie, skręcamy w prawo i otwieram oczy.

Zatrzymuję się na widok wielkiego domu. Kiedy go wspominam - a często zdarza mi się to w snach - widzę go takim, jaki był za mojego dzieciństwa: pomalowany na jasny błękit, otoczony wątlymi drzewami i rzadkimi krzewami, które sadił tata. W czasach, kiedy tu mieszkałam, dom zmieniał się, aż przybrał obecną postać, ale ja już zdążyłam zapomnieć, że niemal całkiem obrósł zielenią, że drzewa dosłownie napierają na okna, a pnącza oplatają ganek.

- Lucia, co z tobą, w porządku?

Kiwam głową. Drzwi domu i stodoły są szeroko otwarte, co odczuwam jako akt gwałtu: jakby z osoby pełnej godności zdarto ubranie. Surrealistyczna scena, oświetlona przez wóz policyjny, miga mi przed oczami czerwono, niebiesko, biało. Koło samochodu z kogutem stoją inne wozy, w tym dwa policyjne. Przez cały ten czas, kiedy tu mieszkałam, z rzadka zaglądali do nas goście, a już zwłaszcza policja, może z wyjątkiem niefortunego wypadku, kiedy to nieznany sprawca - zamiast kojotów - otruł psa matki. A teraz stały tu trzy wozy policyjne, zaparkowane byle jak, opuszczone, z migającym kogutem, z pootwieranymi oknami, z włączonym radiem.

Ciągnąc Saszę wokół stodoły, czuję się, jakbym kończyła wielką epicką podróż, a nie jak ktoś, kto przebył zaledwie kilkusetmetrowy odcinek kamienistego podjazdu. Serce wali mi jak młotem; nagle stwierdzam, że się duszę, że nie zrobię ani kroku dalej. Opieram się o jakiś samochód, najpierw bokiem, a potem przekręcam się na plecy i wspieram łokciami o dach.

- Lucia?

- Za minutkę, Sasza, zaraz wszystko będzie w porządku. - Mój głos jest jakiś dziwnie cichy. - Tylko poczekaj minutkę.

Patrzę na wielki oświetlony dom o ozdobnych szczytach i kręconych słupkach ganku. Powinien być wdzięczny jak domek z piernika, ale nie jest. Wznosi się jak wielki drab. Szydzi ze mnie i z mojego galopującego serca. Uświadamiam sobie, że kiedy tu mieszkałam, byłam kimś innym. Najpierw niemowlęciem, potem dzieciakiem, który - zanim opanował grę w klasy - nauczył się rozbijać młotkiem skały, dziewczynką przemykającą chyłkiem po domu, żeby nie drażnić psychicznie chorej matki, wreszcie zakochaną nastolatką. Z tych wszystkich osób ten dom także szydzi.

Sasza czeka na mnie przy samochodzie. Niezdarnie przestępuje z nogi na nogę. A potem bierze mnie pod rękę i ciągnie.

- Rozumiem, że potrzebne jest dodatkowe oświetlenie - mówi lekko poirytowany, kiedy wśród migających drzew brniemy w stronę ganku - ale czy muszą zaraz robić z tego miejsca Las Vegas?

Kiedy wchodzę po stopniach, z domu wyłania się kolejny policjant. W mundurze i w sztucznym oświetleniu robi wrażenie człowieka bez twarzy. Ma przypięte do paska radio, z którego wydobywa się zniekształcony trzaskami głos kobiety, mówiącej jakby nie po angielsku.

- Aha - odpowiada mężczyzna.

Gałązki pełzają po moim karku jak pająki. Słyszę za sobą ciężkie dyszenie Saszy.

- Proszę nazwisko albo prawo jazdy - zwraca się do mnie mężczyzna.

Po drugiej stronie domu jest pomost, z którego roztacza się widok na dolinę. Ale architekt musiał zdawać sobie sprawę, że widok doliny, płaskiej i bezkresnej jak ocean, tyle że suchy, musi przyprawiać o szaleństwo. Dlatego dodał ganek, zwrócony ku stodole i podwórku, ocieniony wzgórzem, a teraz obrośnięty zielenią. Ta strona domu była ciemna. Jako dziecko spędzałam tu wiele godzin. Ogrodowa bujawka, na której lubiłam siadywać, stoi dalej na ganku w tym samym miejscu przy drzwiach. Mam przed oczami małą, wtuloną w sam róg bujawki dziewczynkę, przypominającą porzuconą lalkę, i czuję, jak serce mi się ściska z żalu nad jej samotnością. Mrugam i dziewczynka znika.

Mężczyzna opiera ręce na biodrach i dokładnie mi się przygląda.

- Nie mogę pani tu wpuścić - mówi.

Sięgam ręką do bujawki i palcami natrafiam na rdzę. Siedzenie jest nieruchome. Płatki rdzy opadają na podłogę jak łupież, czuję lekki metaliczny zapach. Początkowo siadywała koło mnie matka i gdy huśtałyśmy się lekko w tył i w przód, opowiadała przeróżne historie. Pachniała cukrem i przeczesywała mi włosy palcami. A potem, kiedy już przestała być matką od opowieści i czesania, jej miejsce zajęła moja rozchichotana jasnowłosa przyjaciółka Lindy. Aż wreszcie zostałam już tylko samotną skuloną w kącie lalką, jakby ich nieobecność była namacalna i tak wielka, że zajmowała resztę miejsca na bujawce.

- Zechce pani podać swoją tożsamość? - Nowa łagodność w tonie policjanta sprawia, że czuję pieczenie w oczach, które w chwilę później wypełniają słońce, gorące łyzy. Czuję zaskakującą słabość w nogach, więc siadam na górnym stopniu ganku i patrzę, jak łyzy kapią mi na kolana.

Sasza coś mamrocze i mężczyzna pochyla się nade mną.

- Panią coś łączy z denatem? - pyta.

- Jestem córką - odpowiadam. Słowo „córka” brzmi dziwnie, jakbym je zapożyczyła z obcego języka. Policjant znika, czemu towarzyszy odgłos przypominający wystrzał. Zatrząskują się przesuwane drzwi.

Sasza siada obok na schodku, tłustą ręką obejmuje mnie za ramiona; jego noga dotyka mojej. Siedzimy tak w migającym jaskrawym czerwono-niebiesko-białym świetle, podczas gdy policjanci, jedni w mundurach, inni po cywilnemu, kręcą się w milczeniu tam i z powrotem.

A potem nagle słyszę głos:

- Luce?

Zrywam się i widzę przed sobą Jane.

Stoimy przez chwilę naprzeciwko siebie. Wejście na ganek jest jak rama, w której oprawie moja siostra przypomina fotografię sprzed trzech lat. W pamięci zachowałam ją wyższą, prostą jak trzcina, z ostrzejszym zarysem brody i bardziej niebieskimi oczami, ale teraz Jane jak gdyby wtapia się w ten wizerunek i te dwa obrazy niedostrzegalnie się na siebie nakładają. Gapimy się tak jedna na drugą przez chwilę, a potem Jane wyciąga ręce i tuli mnie w ramionach, jakbym nadal była małym dzieckiem.

- Jesteś za chuda - beszta mnie. Powinnam się już od niej oderwać, ale nie mogę.

Płacę. Wszystko było w porządku, dopóki nie przemówiła do mnie tym swoim tonem starszej siostry. Tuli mnie mocniej. Czuję jej perfumy - delikatny aromat zgniecionych kwiatów - dobry zapach. Wreszcie odrywam się od niej, chlipiąc i wycierając oczy wewnętrzną stroną dłoni.

- Och, Luce - mówi łagodnie. Bierze mnie za rękę i gładzi, jakby ją chciała wytrzeć.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo mi ciebie brakowało.

W Nowym Jorku nie ma ani jednej osoby, która by tak słodko do mnie przemawiała. Ale to był mój wybór. To ja wybrałam Nowy Jork. Przypominają mi się szklane niebieskie oczy Kenta, kiedy mi mówił, że mnie potrzebuje.

Teraz, w ramionach Jane, znów czuję, jak to jest być kochaną. Nigdy nie wątpiłam w jej miłość. W dzieciństwie, w szkole, zawsze zastępowała mi matkę, kiedy mamy nie było albo kiedy nie mogła sprostać swojej roli. Zawsze służyła mi radą, gdy chodziło o przyjaciół i nauczycieli, pomagała w matematyce. Kiedyś nawet uratowała mnie przed utonięciem w basenie. Po wypadku samochodowym, jaki mieliśmy z Robertem Josephem, odwiedzała mnie w szpitalu, zatroskana, z twarzą ściągniętą bólem. I to właśnie Jane, po wyjeździe na studia medyczne, zorientowała się od razu, że mama nie powinna być w domu, i nalegała na ojca, żeby ją oddał do kliniki. A w wiele lat później, kiedy zmarł Stevie, Jane siedziała przy mnie całymi godzinami, czy może nawet dniami, to przemawiając do mnie, to znów milcząc, w każdym razie jakoś zawsze wiedziała, co robić, kiedy wszyscy inni, nawet Scott, byli zbyt przerażeni, onieśmieleni czy rozdrażnieni moją rozpaczą.

Jane odsuwa się, żeby mi się dobrze przyjrzeć.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś, żebyśmy cię odebrali z lotniska...

Jakiż delikatny wyrzut, i to od osoby, która przecież miała prawo być zła. Mój wyjazd z San Francisco był dla niej tyleż bolesny, co niezrozumiały. A teraz znów ją uraziłam.

- Taki kawał czasu... - brnę beznadziejnie. - Nie wiedziałam, jak byście to przyjęli, gdybym tak po prostu przyjechała...

- Jak byśmy to mogli przyjąć? Bylibyśmy szczęśliwi. Trzy lata czekaliśmy właśnie na to, żebyś tak po prostu przyjechała... - Jej wielkoduszność jest nieskomplikowana i bezwarunkowa. Zdumiewające ilości łez spływają mi po policzkach, dostając się do ust i

skapując po brodzie.

Sasza występuje do przodu. Nie całuje się z Jane, tylko podaje jej rękę. Zarówno w jego kondolencjach, jak i w sposobie, w jaki Jane je przyjmuje, jest coś oficjalnego.

- Czas - mówi Sasza - żebyśmy się Wreszcie czegoś dowiedzieli o śmierci wujka Eryka.

Nagle Jane robi się jakaś starsza, bardziej zmęczona.

- Co do okoliczności... to policja uważa... och, nie wiem, jak to wyrazić, żeby nie zabrzmiało tak okropnie... - Bierze mnie za rękę. - Policja podejrzewa... że... że śmierć taty mogła nie być przypadkowa...

Kiwam głową. Udaję, że rozumiem, o co chodzi.

- Oni podejrzewają... - pyta ostrożnie Sasza - że... że wujek chciał umrzeć?

Samobójstwo. Po raz pierwszy pozwoliłam sobie choćby w myśli powiedzieć to słowo, ale teraz, kiedy się już odważyłam, uświadomiłam sobie, że unikałam go od chwili, kiedy Jim zawiadomił mnie o śmierci taty, od chwili kiedy mi powiedział, że była to śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach. Samobójstwo. Pętający się koło domu stary pies, którego można ignorować. Co najwyżej. Ale tylko dopóki nie zaczną się domagać jedzenia. Sasza wyciąga rękę, żeby mnie podtrzymać.

- To śmieszne - mówię. Słyszę swój głos, słaby, jakby uszło ze mnie całe powietrze.
- Samobójstwo. To absurd.

- Lucy... to rzeczywiście może wyglądać tak, jakby tata miał zamiar... - Jane zawiesza głos. Prawie jej nie słucham. Myślę o tym, że przecież nigdy dotychczas mojej siostrze głos tak bardzo nie odmówił posłuszeństwa, nigdy nie była aż tak bezradna. Zawsze podziwiałam ją za to, że kiedy rozpoczyna zdanie, wie dokładnie, jak się ono skończy. Czekam więc, obserwując ją, i kiedy Jane znów zaczyna mówić, jej głos jest już silny. - Ale - dodaje ostrożnie - policja traktuje śmierć taty jak zabójstwo.

- Zabójstwo... - powtarza Sasza. Patrzę na niego i mam wrażenie, że oczy zapadły mu się głębiej w białej twarzy; żuje niezapalonego papierosa. - W żadnym razie - mówi. - To nie wujek Eryk.

Teraz z kolei odzywam się ja, tym razem mocniejszym już głosem.

- To znaczy, że według policji ktoś go zabił...?

- Czekają na ostateczny wynik sekcji zwłok, ale wstępne wyniki wskazują na to,

że...

- Że go zabili?! Że tata został zabity?

- Ciii, Lucy.

- I to wszystko z tego powodu? Ta taśma zamykająca podjazd i faceci w mundurach z notatnikami i latarkami? Są tutaj dlatego, że podejrzewają, że ktoś zabił tatę?

Głos Jane jest cichy.

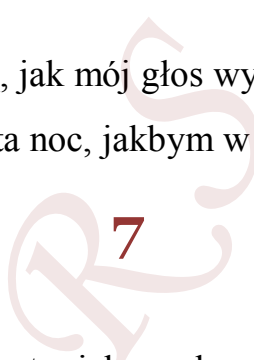
- Wiem, Luce, że to szok, ale pamiętaj, że ta śmierć wcale nie musiała być gwałtowna ani bolesna, ani...

- Ale kto by, na miłość boską, mógł zabić tatę? Kto by miał powód...?

- Ciii, przestań krzyczeć, Luce.

- Przecież tata był profesorem uniwersytetu, a nie żadnym bandziorem. Dobrych, przyzwoitych ludzi, jak nasz tata, mających szczęśliwe rodziny, jak nasza, nikt nie morduje!

Wrzeszczę w ciemność, słyszę, jak mój głos wydostaje się poza obręb ganku i jak natychmiast wchłania go czarna, gęsta noc, jakbym w ogóle nic nie mówiła.



Jane znika w domu, szczupła, ostra jak nawleczona igła. Sasza rusza za nią, przytrzymując mi przesuwane drzwi, ale na progu przystaję, z dziwnym trzepotem w żołądku, żeby zaciągnąć się atmosferą starego domu, jego specyficznym zapachem. Nafty, dywanów, drewna i kawy. Przez chwilę wydaje mi się, że czegoś w tym zapachu brakuje, ale szybko się orientuję, że tej niezwykłej nocy czas spletał mi kolejnego figla i że szukam woni domu z okresu mojego dzieciństwa, kiedy mama była zdrowa i otaczał ją aromat perfum, cytrynowej emulsji do czyszczenia mebli i miękkich, słodkich ciasteczek.

- Prosimi, żeby nie wchodzić nigdzie, poza holem i kuchnią - słyszę z głębi korytarza głos Jane. Wsadza głowę do małego pokoiku i mówi: - Jest moja siostra. - Odpowiedź do mnie nie dociera.

W domu palą się wszystkie światła, ale w korytarzu są w dalszym ciągu nisze ciemności. Zaczynam iść. Przechodzę przez plamy cienia. Koło mnie przepycha się jakiś mężczyzna, który przeprasza, kiedy wpadam na ścianę.

- Proszę niczego nie dotykać - mamrocze.

Mężczyzna znika, a ja wchodzę do salonu. Rozglądam się dokoła. Krzesła taty, w tym jego ulubione, z wytartym oparciem i poręczami. Fotografie. Książki. I kamienie. Kamienie używane jako przyciski do papieru. Gładkie, okrągłe kamyki na kupce przy kominku przypominają eksponat na jakiejś wystawie. Próbki skał na półkach. Odłamki skał o zaskakującej budowie czy jaskrawych kolorach, które czasem wypluwa natura, kamienie służące do klinowania drzwi, kamienie z wielką miłością poukładane na komodzie. Kamienie jako rzeźby. Kamienie jako obrazy.

- Dużo się zmieniło? - pyta od drzwi Sasza.

- Nie, w gruncie rzeczy nic - odpowiadam, nawet się nie odwracając.

Podchodzę do wielkich rozsuwanych drzwi i otwieram je powoli. Warczą na mnie groźnie. A potem przemierzam pomost i wychylam się ku dolinie, wielkiej, bezkresnej czarnej płaszczyźnie. Widzę rozrzucone z rzadka skupiska świateł samochodów, po dwie, po trzy pary reflektorów. Migają w ciszy, poruszając się wolno. Tu i tam większa konstelacja świateł wskazuje na dom czy farmę. Wysilam wzrok, szukając czworokątów utworzonych przez szyny czy sady, ale nie ma nic, poza bezruchem i ciszą. Ze starego nawyku szukam długiego, prostego odcinka asfaltu, gdzie kiedyś dachowaliśmy z Robertem Josephem. Szukam farmy, do której trafiłyśmy pewnego dnia z Lindy, moją przyjaciółką, tą samą, z którą huśtałam się na bujawce. Miałyśmy wtedy po siedem lat i wybrałyśmy się z boczem wzgórza, w dół, aż na dno płaskiej, rozprażonej słońcem doliny. Szłyśmy prosto przed siebie, aż trafiłyśmy do tej właśnie farmy. Dali nam wody i poczęstowali melonem, a potem odwieźli półciężarówką do domu. Zawsze marzyłam o tym, żeby się przejechać półciężarówką jak farmerskie dzieciaki. Podskakiwałyśmy na wybojach wiejskiej drogi, patrząc, jak nasz samochód wzbija tumany kurzu, i bawiąc się, że jesteśmy burzą, która nawiedziła okolicę. Z całej siły wyteżam więc wzrok, żeby zobaczyć tę farmę i tę drogę, ale nie widzę dosłownie nic, jakby tam, w dole, był tylko wielki, ciemny ocean nie do przebycia.

Sasza w dalszym ciągu czeka na mnie przy drzwiach, ale w pokoju jest już mężczyzna, który przepychał się wtedy koło mnie w korytarzu, i kobieta w lateksowych rękawiczkach.

- Przepraszam panią, ale jeszcze nie zakończyliśmy tu pracy - zwraca się do mnie mężczyzna.

Patrzę na niego zdziwiona.

- Jakiej znowu pracy? - pytam.

- Bardzo proszę, żeby pani zechciała opuścić ten pokój i nie wchodziła tu bez naszego zezwolenia.

Mam już właśnie wyjść, kiedy w ręku mężczyzny dostrzegam kilka plastikowych woreczków. Przypominają mi woreczki, których używał tata na próbki skał i pyłu skalnego. Kiedy NASA przysłała na wydział geologii próbki skał z Księżyca, tata trzymał je w takich właśnie woreczkach.

- Czy pan ma tam kamienie? - pytam mężczyznę.

- To są próbki dla Zakładu Kryminalistyki - odpowiada. Ma kamienną twarz, ale przestępuje z nogi na nogę, wyraźnie czekając, aż wyjdę. Kobieta gapi się na mnie uparcie.

Prowadzę Saszę koło małego, pozbawionego okien pokoiku, zawałonego papierami i kamieniami. Kobieta w mundurze i dwóch mężczyzn po cywilnemu patrzą na mrugający monitor komputera taty, nie podnosząc głów.

Larry robi nam w kuchni kawę. Kiedy wchodzę, jego brwi podjeżdżają do góry, mój szwagier uśmiecha się i bierze mnie w ramiona. Czuję, że jest go jakby więcej, a kiedy zwalnia uścisk i odstepuje do tyłu, również to widzę. Nawet rysy twarzy mu zgrubiały tak, że nos wydaje się mniejszy, a dobrze utrzymana bródka za mała na dolną szczękę.

- Miło cię widzieć, Lucy - mówi - mimo smutnej okazji. Odnoszę wrażenie, że jest szczerzy w tym, co mówi. Jego spojrzenie, które tak dobrze pamiętam, zdradza wiedzę, nie wścibstwo.

„Drażni mnie sposób, w jaki on na mnie patrzy - powiedziałam kiedyś do Scotta - jakby wiedział o mnie więcej niż ja sama o sobie". Ale Scott uwielbia Larry'ego, więc potrząsnął tylko głową i odparł: „On jest psychoterapeutą, a nie szamanem, Luce. On po prostu wie o tobie rzeczy, które wiesz i ty, ale nie chcesz się do nich przyznać". Mówiąc to, Scott tylko częściowo żartował.

Larry wita się z Saszą, a Jane podaje nam kawę. Rozglądam się dokoła. Kuchnia nie zmieniła się przez te wszystkie lata, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka była obskurna. Nie zauważyłam na przykład, że kuchenka, wyraźnie za mała, nie pasuje do przeznaczonego dla niej miejsca, że zlewozmywak jest poplamiony i poobijany, a

drzwiczki niektórych szafek się nie domykają. Nigdy mi też nie przeszkadzało, że część podłogi przy kuchni jest w dalszym ciągu pokryta linoleum.

- Posłodziłaś tę kawę, Jane? - pytam.
- Troszeczkę.
- Od lat nie używam cukru. Jane się uśmiecha.
- Wiem. Ale robisz wrażenie, jakby ci czegoś brakowało.

I chociaż nie znoszę cukru, to jednocześnie cieszy mnie jego słodycz, słodycz dzieciństwa.

Bezszelestnie zjawia się policjant z salonu.

- Za chwilę będzie tu Kirsty, musimy wziąć pani odciski palców - oznajmia.

Uświadamiam sobie, że mówi do mnie.

- Moje?

- Tak, to konieczne. Otwierała pani drzwi na pomost i trzymała się barierki... czy dotykała pani jeszcze czegoś?

- Nie.

Mężczyzna położył na stole przede mną niewielką walizeczkę.

- Proszę zdjąć zegarek i biżuterię.

Larry, Jane i Sasza patrzą, jak wyciągam do niego prawą rękę. Mężczyzna podnosi ją za nadgarstek i moje palce dyndają w powietrzu jak martwe. Bierze jeden z nich, przytyka do papieru i dość szorstko obraca. Następnie robi to samo ze wszystkimi palcami po kolei, a kiedy kończy z prawą ręką, powtarza tę czynność z lewą. Potem macza moje dłonie w atramencie i przyciska do papieru, najpierw palce, później resztę, jakbyśmy wspólnie malowali obraz.

- A teraz poproszę pana. - Mężczyzna zwraca się do Saszy.
- Ale ja niczego nie dotykałem.
- Mimo to muszę na wszelki wypadek wziąć i od pana odciski palców.
- Wolałbym nie.

Mężczyzna wzdycha i przestępuje z nogi na nogę.

- Może zresztą - mówi uszczypliwie - już gdzieś mamy pana odciski palców.

Sasza traktuje go z góry.

- Nie sędzę. W każdym razie nie życzę sobie, żeby moje odciski palców trafiły na

zawsze do jakiejś komputerowej bazy danych.

- Te odciski mają służyć do wyeliminowania podejrzanych i zostaną zniszczone zaraz po zamknięciu postępowania - wyjaśnia mężczyzna.

- Chyba - dodaje z uśmiechem Larry - że zostaniesz uznany za winnego popełnienia zbrodni.

Sasza z pogardą wodzi wzrokiem od Larry'ego do policjanta i z powrotem.

- Moje odciski palców nie są wam do niczego potrzebne.

- Na miłość boską, Aleksandrze - mówi Jane. Patrzę na nią zaskoczona, że zwraca się do Saszy jego pełnym imieniem, zdziwiona jej irytacją, jej chłodem. Nigdy do tej pory nie była tak szczerą w okazywaniu uczuć naszym rosyjskim krewnym. Matka uwielbiała swoją rodzinę i jednocześnie nią pogardzała. Irytowała ją sama ich rosyjskość, mimo, a może właśnie dlatego, że widziała ją w sobie. Jane odziedziczyła po matce pogardę, ale bez tej drugiej części - bez miłości.

- O co ci chodzi, Aleksandrze, wzięli odciski palców ode mnie i od Larry'ego. I nawet od Scotta. Biorą od wszystkich, którzy byli dzisiaj w tym domu.

Sasza patrzy na nią z uporem.

- No cóż, Jane, potraktuj to jako przejaw mojej rosyjskiej paranoi.

Teraz już głos Jane jest wyraźnie napięty z irytacji:

- Rzeczywiście, jesteś bardzo rosyjski; można zapomnieć, że się tu nie tylko urodziłeś, ale i spędziłeś całe życie. Nie ucierpiałeś od reżimu sowieckiego. Paranoja jest uzasadniona u jego ofiar.

Jane uważa, że Sasza zachowuje się po rosyjsku. Każde nietypowe zachowanie jest dla niej rosyjskie. Kiedy na przykład traciłam nad sobą panowanie, bez powodu wybuchałam płaczem, krzyczałam czy w jakikolwiek inny sposób zwracałam na siebie uwagę, mogłam być pewna, że usłyszę: „Daruj sobie te rosyjskie numery, Lucy”. Matka w rosyjskich numerach była oczywiście na poziomie Oscara.

Sasza jest wyraźnie urażony. Patrzę na siebie z Jane. Nic nie mówią, ale w tym spojrzeniu jest coś ze wspólnego dzieciństwa. Larry już ma zamiar interweniować, kiedy słyszymy głosy. Na progu kuchni staje kobieta, którą zauważyłam w pokoiku komputerowym taty. Nie widzę mężczyzny, z którym rozmawia, tylko jego cień, groteskowo wydłużony przez oświetlenie. Po chwili mężczyzna znika, a kobieta zwraca się do nas,

wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy.

- Czy coś się stało?

Jest mniej więcej w moim wieku i mojego wzrostu. Dopiero teraz widzę, że ma na sobie nie mundur, tylko ciemne ubranie prostotą nawiązujące do munduru.

- Muszę wziąć odciski palców w celu eliminacji podejrzanych - ucina krótko policjant - a ten facet mi to uniemożliwia.

Sasza wzrusza ramionami. Z szeroko rozciągniętymi ustami, tworzącymi prostą linię, i czerwonymi plackami na policzkach przypomina klauna.

- To jest zupełnie zbędne. Nie dotykałem i nie zamierzam dotykać niczego poza obrębem tego pomieszczenia.

Kobieta pyta:

- Kim pan jest?

Larry i Jane przedstawiają mnie i wyjaśniają obecność Saszy. Kobieta kiwa głową. Wygląda na osobę o dobrej do niedawna figurze, która ostatnio z jakichś względów - praca, dzieci, zły stan zdrowia - wyraźnie przytyła. Ma ciemne, krótko obcięte włosy, ale kiedy podnosi rękę do szyi, wiem, że to odruch bawienia się włosami, które tam kiedyś były. Prawdopodobnie nie tak dawno się zmieniła. Jak ja.

- Nie widziałem zmarłego wuja od czterech lat - informuje ją lodowatym tonem Sasza.

- Dobrze - mówi kobieta. - Damy panu dzisiaj spokój, bylebyśmy w razie czego mieli z panem kontakt.

Specjalista od odcisków palców zamyka walizkę i ulatnia się z kuchni. Gdy myję ręce, kobieta informuje mnie, że chciałaby ze mną porozmawiać, i prosi Jane, Larry'ego i Saszę, by wyszli na ganek. Wycieram ręce w ręcznik taty i chociaż je porządnie wyszorowałam, robię na nim serię nowych atramentowych odcisków palców.

Przed wyjściem z kuchni Jane zatrzymuje się jeszcze na chwilę i mówi:

- Kirsty, czy moglibyście poczekać z tą rozmową do jutra, a może nawet jeszcze dzień dłużej? Lucy jest nie tylko zmęczona, ale zupełnie oszołomiona. Zawsze była słabego zdrowia i taki silny stres może się na niej fatalnie odbić.

Słowa Jane wzruszają mnie i jednocześnie peszą. Wzruszają, bo ostatnio nie jestem przyzwyczajona do czulej troski innych. A peszą, bo chociaż jako dziecko istotnie dużo

chorowałam, to obecnie stres wyraźnie mi służy.

Kobieta przygląda mi się badawczo.

- Co ty na to, Lucy? - pyta.

- Dzięki ci, Jane - zwracam się do siostry - bardzo ci dziękuję, ale naprawdę nie musisz się o mnie martwić, dam sobie radę.

Sasza wychodzi z kuchni za Jane i Larrym. Posyła mi długie spojrzenie, ale nie bardzo wiem, co ono ma znaczyć.

Kiedy zostajemy same, kobieta gestem ręki wskazuje mi miejsce przy stole.

- Rozluźnij się, Lucy. - To prawda, że jestem spięta, ale jak mogłam się z tym zdradzić. Myślałam, że stać mnie na opanowanie, stwarzające przynajmniej pozory spokoju.

- Na tym etapie mam tylko kilka nieformalnych pytań. - Kładzie przed sobą notatnik. - Zacznijmy od podstawowych informacji: imię i nazwisko, data urodzenia, adres...

- Czy możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - pytam.

Kobieta patrzy w notatnik.

- Po wstępnych oględzinach zwłok twojego ojca specjalista od medycyny sądowej nabrał pewnych wątpliwości... Jutro będzie pełny wynik sekcji, ale naszym obowiązkiem jest zajęcie stanowiska już wobec wstępnych oględzin ciała.

- A co z nich wynika?

Napotykam spojrzenie jej piwnych oczu.

- Ciało denata, unoszące się na wodzie niedaleko brzegu w Retribution, zauważył o jedenastej trzydzieści jakiś rybak. Początkowo sądziliśmy, że przyczyną śmierci było utonięcie, ale lekarz sądowy mimo wszystko podejrzewa, że śmierć nastąpiła, zanim ciało znalazło się w wodzie.

Jej głos odbija się echem w mojej głowie. „Podejrzewa, że śmierć nastąpiła, zanim ciało znalazło się w wodzie”. Wreszcie mówię:

- A jak umarł?

- No cóż... - Spojrzenie piwnych oczu zsuwa się ze mnie na źle dopasowaną kuchenkę i obdrapany zlew. - To jeszcze nie jest jasne. Jego ubranie, złożone na kupkę, leżało na plaży Big Brim. Nie ma samochodu twojego ojca i nie wiemy, jak się dostał nad

morze. Wiemy tylko, że morderca chciał, by wyglądało na to, że twój ojciec poszedł się wykapać i umarł w wodzie. Uważamy, że jest to dobrze zaplanowane morderstwo z premedytacją. Mordercę zdradziła tylko nieznaną technik kryminalistycznych.

- Ale... - próbuję protestować - przecież nikt nie miał powodu zabijać taty...

Kobieta milczy, ma nieruchomą twarz.

- To musiał być chyba jakiś szaleniec na plaży - mówię. - Jeden z tych maniaków, co to dla radia czy dwóch dolarów potrafią zakłuć nożem człowieka uprawiającego w parku jogging.

Obserwuje mnie. Jej spojrzenie nie jest nieuprzejme, ale mówi:

- Nie, Lucy, ja to widzę inaczej. Tylko niewielki procent zabójstw jest dziełem ludzi całkowicie obcych, a to, szczerze mówiąc, nie wygląda mi na taką śmierć.

- A na jaką śmierć ci wygląda? - Wiem, że mówię bardzo głośno. Zdaję sobie z tego sprawę, słysząc jej spokojny, opanowany ton.

- Na taką, kiedy ofiara zna mordercę. Bogiem a prawdą, mamy podstawy sądzić, że twój ojciec nawet bardzo dobrze znał zabójcę.

Czekam na uzasadnienie, ale bezskutecznie.

- Uważacie, że to był ktoś mu bliski? Przyjaciel? Ktoś... - Przełykam. W ustach mam słony smak, język suchy, szorstki. - Ktoś, kogo mogę znać?

- To był prawdopodobnie ktoś znany tobie albo twojej siostrze. Ale niekoniecznie. Niewykluczone, że w życiu waszego ojca były sprawy, do których nie miałyście dostępu.

Potrząsam głową.

- To nie nasz tata - mówię.

Kobieta czeka, nie spuszczając ze mnie wzroku. Pytam:

- Czy nie bierzecie pod uwagę żadnego innego wytłumaczenia tej tragedii? Że na przykład dostał na plaży ataku serca i fala zmyła go do morza? Albo że uderzył się głową o skałę i w jakiś sposób wpadł do wody...

Milczy, nie spuszczając ze mnie oczu.

- Rozumiem, że obie te koncepcje są dla ciebie łatwiejsze do strawienia, ale, niestety, wstępne oględziny zwłok nie potwierdzają żadnej z nich.

Mrugam. Ze zmęczenia kiepsko kojarzę. Na ciemnym ubraniu kobiety dostrzegam plamy, tuż poniżej ramienia. To jest właśnie miejsce, w którym małe dzieci zostawiają

ślady, przytulając się do nas buzią. Teraz już wiem, dlaczego zmieniła figurę, ostrzygła włosy.

- Kiedy umarł? - pytam.

- W tej sprawie czekamy jeszcze na dalsze informacje. Prawdopodobnie w poniedziałek rano. Lucy, muszę cię zapytać, gdzie byłaś w niedzielę wieczorem.

- W domu.

- A w poniedziałek rano?

- Przed ósmą przyszedłam do pracy... miałam ważne zebranie, do którego chciałam się przygotować.

- Muszę to sprawdzić. Poproszę cię o nazwisko, adres i numer telefonu twojego pracodawcy.

Zapisuje te dane.

- Wiem od twojej siostry, że weekend spędziłaś u przyjaciół. Gdzie to było?

Czuję, że dostaję wypieków.

- Tak tylko powiedziałam Jane... Unosi brwi.

- To znaczy, że nie byłaś u przyjaciół?

- Nnno nie.

- To wobec tego gdzie byłaś?

- W domu. U siebie. Od piątku wieczór, od powrotu z pracy, prawie się nie ruszałam z mieszkania.

Zapada cisza i dopiero po chwili Kirsty pyta:

- Czy w tym czasie z kimś rozmawiałaś? Kogoś odwiedzałaś? Do kogoś dzwoniłaś?

- Nie.

- Przez cały weekend?

- Pracowałam. Miałam dużo roboty. Musiałam się przygotować na poniedziałek...

- I nie ma nikogo, kto by to potwierdził?

- Nie.

Jest nieustępliwa, ale mówi spokojnie.

- Nikogo? Jesteś pewna, że nikt cię nie widział? Portier, ekspedientka ze sklepu, sąsiad?

Potrząsam głową.

- To jest Nowy Jork.

- Czyli że nikt cię nie widział przez cały weekend. - Odwraca się ode mnie i przenosi wzrok na za małą kuchnię, na sfatygowany zlew, na linoleum.

- Ale to nie znaczy, że nie było mnie w domu - mówię. Wracają do mnie jej oczy, szybkie, bystre.

- Dlaczego skłamałaś siostrze?

- Bo nie odbierałam telefonów. A nie chciałam, żeby o tym wiedziała. Nie chciałam jej robić przykrości.

- Rozumiem. Kiedy ostatni raz byłaś w Kalifornii?

- Prawie trzy lata temu.

- Czy wtedy po raz ostatni widziałaś się z doktorem Schafferem?

- Nie. Odwiedził mnie w Nowym Jorku w jakieś sześć czy dziewięć miesięcy później.

- To znaczy, że nie widziałaś go ponad dwa lata?

- Tak.

- I w ciągu ostatnich trzech lat ani razu nie byłaś w Kalifornii?

- Nie.

- Kiedy z nim ostatni raz rozmawiałaś?

Mówię jej o tym, że ojciec nagrał mi się w sobotę na sekretarkę.

- Czy dzwoniła także twoja siostra?

- Tak.

Jej oczy są wielkie, ciemne.

- A dlaczego nie przyjmowałaś telefonów? Przecież cały weekend byłaś w domu...

- Kiedy pracuję, nie odbieram telefonów, bo to jedyny sposób, żeby coś zrobić.

Prawdopodobnie gdybym wiedziała, że dzwoni tata albo Jane, tobym odebrała.

Wodzi wzrokiem po całej kuchni, jakby ściagała muchę.

- Nie wykasowałaś tych nagrań? - pyta w końcu.

- Nie.

- Chciałabym je przesłuchać. Waham się.

- Będę musiała znaleźć międzymiastowy kod dostępu...

- Daj mi znać, kiedy będziesz z tym gotowa. Postaraj się, żeby to było jak najszybciej. - Wstaje. I ja się zrywam, jakby mi nagle zdjęła kajdanki.

- Robisz wrażenie zmęczonej, w Nowym Jorku jest już bardzo późno. Mam do ciebie jeszcze wiele pytań, ale mogą poczekać do jutra rana. Zakładam, że zatrzymałaś się u siostry?

Do mojej twarzy, która już zdążyła ochłonać, znów uderza krew.

- Teraz, skoro już tu jestem, pomyślałam, że może bym się zatrzymała...

- W tym domu? - Kobieta nie podniosła wprawdzie głosu, ale jest w nim nuta niepokoju. - Ekipa kryminologiczna jeszcze nie skończyła swoich czynności, to trochę potrwa - mówi. - Ale nawet gdyby skończyli, byłoby nierozsądnie, gdybyś tu była sama.

- Dam sobie radę...

- Lucy, dopóki się nie dowiemy, co się stało twojemu ojcu i dlaczego, nie możemy być pewni twojego bezpieczeństwa. Na plaży nie znaleziono jego kluczy. Nie wiemy, kto je w tej chwili ma.

Prowadząc mnie korytarzem, zatrzymuje się na chwilę.

- Mamy problemy z dostępem do pewnych dokumentów twojego ojca, które są w komputerze. Nie znasz przypadkiem jego hasła?

Potrząsam głową.

- Nie domyślasz się nawet?

- Hmm... To może być nazwa jakiegoś minerału... obsydian, jadeit, kwarc, piryt...

Uśmiecha się.

- Zajrzę do encyklopedii minerałów. Lucy, chciałabym się tu z tobą spotkać jutro rano. Może być dziewięta trzydzieści?

- Może.

- Weź to na wypadek, gdybyś chciała się ze mną skontaktować. - Wręcza mi swoją wizytówkę. Nazywa się Kirsty MacFarlane. Jest starszym detektywem w Wydziale Zabójstw.

- Wszędzie widzisz zabójstwo, bo to jest twoja praca. Twoje życie. Ale są takie środowiska, w których się tego rodzaju rzeczy nie zdarzają. Na przykład w zwyczajnych rodzinach jak nasza.

Nie odpowiada. Otwiera przesuwane drzwi żaluzjowe. Z korytarza słyszę głosy

Larry'ego, Jane i Saszy, pogrążonych w kordialnej wieczornej pogawędce. Po chwili widzę ich na ganku - Larry siedzi w fotelu, a Jane, szczelnie otulona płaszczem, na bujawce. Między nimi unosi się kółko dymu. Sasza, przycupnięty na stopniach ganku, na skraju kręgu światła, obserwuje mnie, wydmuchując dym. Jane robi wrażenie zziębniętej i zmęczonej.

- No co tam? - pyta. - W porządku? Kiwam głową.

- Chodź, Lucy, jedziemy, zabieram cię do nas - mówi Sasza. - Mama już na ciebie czeka.

Jane i Larry wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Larry mówi:

- U nas czeka już na nią gotowe łóżko.

Przed oczami staje mi ich miejskie mieszkanie, z białymi krzesłami, białymi powierzchniami i białymi dywanami.

- Ale mama też już przygotowała dla ciebie łóżko - nalega Sasza. - Byłaby bardzo zawiedziona, gdybyś z niego nie skorzystała.

Spoglądam na Jane, która kiwa głową z przyzwoleniem, ale kiedy mnie ściska na pożegnanie, mówi otwarcie:

- Przyjdiesz jutro do domu nad morzem? Wybieramy się tam z Larrym w porze lunchu, a Scott na pewno chciałby się z tobą zobaczyć... Chyba że... - Jane odwraca się, przygotowana na moją odmowę. - Chyba że nie masz ochoty jechać do Needle Bay? Czy widzieć się ze Scottem? A może w ogóle z nami? Zupełnie nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Lucy. Jeśli rzeczywiście nie chcesz się u nas zatrzymać, to spróbujemy to zrozumieć.

Czuję się zawstydzona jej dobrocią.

- Jane, zależy mi na was najbardziej na świecie. - Wiem, że to prawda.

Jej ciało rozluźnia się i moja siostra uśmiecha się do mnie.

- Nie wyłączając Scotta?

Idiotycznie, w tajemnicy, po ciemku, w samotności dużego miasta, wiele razy wyobrażałam sobie mój powrót do Scotta - zawsze jako radosne wydarzenie w domu na plaży, w dniu na tyle ciepłym, że powietrze jest gęste od zapachu oceanu i sosen. W moich snach uśmiechamy się do siebie, bogatsi o drobne oznaki starzenia się, jak siwe włosy czy głębsze zmarszczki, o mądrość, która przyszła wraz z nimi i każe wybaczać.

- Cieszę się na spotkanie ze Scottem - mówię.

Jedziemy z Saszą do miasta. Częstoje mnie czekoladą, a kiedy odmawiam, zjada ją sam. Radzi mi, żebym się przespała, ale oczy nie chcą mi się zamknąć, więc wpatruję się w bezkresną szosę rozwijającą się przed nami w świetle reflektorów, aż wreszcie ulegam złudzeniu, że to nie my się poruszamy, tylko ona.

Kiedy zbliżamy się do obskurnego domu ciotki Ziny, ogarniają mnie emocje, na jakie zupełnie nie jestem przygotowana. Od śmierci babki jej mieszkanie zajmuje ciotka Zina, którą latami odwiedzałyśmy regularnie z matką. Nagle ta część dzieciństwa, jak pies, który do tej pory czekał cierpliwie, rzuca się na mnie i w ferworze powitań przywala mnie swoim ciężarem. Przysadzisty, obskurny budynek, z gołą, źle oświetloną klatką schodową, winda, pokryta rosyjskimi napisami, zapach kapusty i bezsensowne przekonanie, że tutejsze schody są nie do pokonania, mimo że budynek ma zaledwie trzy kondygnacje. Niezmienne piętno życia moich krewnych miesza się teraz z rozpaczą, całkowicie mnie przytłaczając. Kiedy czekamy na podrygującą windę, spoglądam w szyb, tak jak za czasów dzieciństwa, i przez moment, zanim kabina zdaży zjechać, mam wrażenie, że pod stertą innych śmieci widzę brudny mały bucik.

Na drugim piętrze winda przystaje, a ja na widok moich ciotek ze wzruszenia nie mogę dobyć głosu. Podobna do wysokiej, chudej miotły ciotka Zoja i mniejsza od niej energiczna ciotka Zina obsypują mnie czułościami, prowadząc korytarzem do mieszkania, gdzie panuje typowy zaduch rosyjskiej kuchni.

- Ach, twój biedny tata - mówią, gdy tylko drzwi się za nami zamknęły. - Jak to się stało, że utonął? Co na to policja?

Mówię im wszystko, co wiem, a one cmokają, kiwają głowami i wymieniają zatroskane spojrzenia.

- Nie, to niemożliwe - powtarzają ze smutkiem - kto mógłby skrzywdzić twojego kochanego tatę?

- To był bardzo dobry człowiek - informuje mnie ciotka Zina. - Więcej niż hojny, miał potrzebę dawania. Ofiarowywał ludziom czas, uwagę, pieniądze... wielu mężów na jego miejscu odwróciłoby się od Tani, a Eryk tyle z siebie dawał. Lucia, twój tata doskonale potrafił odróżnić dobro od zła i miał bezbłędny instynkt dobra.

Jest mi przyjemnie. Tak, to prawda, że tata zawsze starał się robić to, co właściwe.

- Podziwiałam nie tylko jego serce, ale i umysł - dodaje ciotka Zoja, a mnie się przypomina scena sprzed wielu lat, jak siedzą z tatą na plaży, pogrążeni w ożywionej dyskusji, odgarniając z twarzy włosy, które targa im wiejący z tyłu wiatr. O czym mógł dyskutować tata z brzydką, inteligentną starszą siostrą swojej żony, kobietą, którą wszyscy na początku dostrzegali, a potem ignorowali? Żałuję teraz, że zamiast kopać dołki w piasku, nie przysłuchiwałam się wtedy ich mądrej rozmowie.

- Jego umysł - ciągnie dalej ciotka - nigdy nie był spokojny. Twój ojciec do końca zbierał informacje, a potem je porządkował i przetwarzał, chętnie dzieląc się z innymi efektami swoich przemyśleń.

Ich ciepłe słowa podnoszą mnie na duchu. Sposób, w jaki tamta kobieta detektyw wyrażała się o tacie, kompletnie go odczłowieczał. Sprowadzał do przypadku zabójstwa. W jej ustach tata był denatem, może wręcz numerem. A teraz ciotki zwróciły mi człowieka.

- Nikt nie mógł mieć powodu, by zabić takiego człowieka jak twój ojciec... - zapewniają mnie ciotki. - To niemożliwe, policja z pewnością się zorientuje, że popełniła błąd.

Spoglądam w stronę Saszy, ale on jest zajęty nalewaniem do kieliszków jakiegoś jasnego napoju, którym mamy uczcić nasze spotkanie, i nie odpowiada na moje spojrzenie.

- A twój mąż? - pytają. - Czy dalej jesteście małżeństwem?

- Od kilku lat nie żyjemy ze sobą. Ale na razie nie mówimy o rozwodzie...

Jednak ciotki machają ręką na takie formalności.

- Ważne, czy on cię kocha?! - krzyczą. - I czy ty go kochasz?

- Tak... to znaczy tak myślę. Ale... - Zawieszam głos, a Sasza spieszy mi z pomocą.

- Mamo, ciociu, gdybyście okazały tyle okrucieństwa wobec psa, z pewnością trafiłybyście za kratki. Na miłość boską, zamiast się znęcać nad Lucią, wypijmy jej zdrowie. - I Sasza stuka się ze mną kieliszkiem.

Jestem pieszczona, głaskana, karmiona i pojona. Niewiele się ode mnie wymaga. Siedzę i słucham opowieści moich krewniaków, od czasu do czasu rumieniąc się ze wstydu, kiedy wychodzi na jaw, że nie znam imion małżonek kuzynów. Wreszcie roz-

mowa nieuchronnie schodzi na mamę.

- Odwiedzamy ją regularnie raz na tydzień - zapewnia mnie ciotka Zina. - I nawet Sasza czasami do niej zagląda.

Sasza, rozluźniony już teraz, rozparty w fotelu, unosi w górę kieliszek w geście potwierdzenia.

Nikt mi nie wytyka zaniedbania obowiązków, mimo to czuję się lekko dotknięta. Zaraz po wyjeździe z Kalifornii kilkakrotnie dzwoniłam do matki do kliniki, ale nasze rozmowy były, mówiąc oględnie, trudne, więc ich z czasem poniechałam. Na Boże Narodzenie, na jej urodziny, a nawet i bez okazji posyłam jej kolorowe kartki. Wybieram je długo i starannie. Zdjęcie brązowego psa, podobnego do tego, którego sama kiedyś miała. Jakaś abstrakcja, w której dominował jej ulubiony niebieski kolor. Karty z Wystawy Rosyjskiej, przedstawiające niezliczone brzozy albo wieśniaków w walonkach, ciągnących sanie po śniegu. Te małe cienkie kolorowe kawałki kartonu dźwigają ostatnio cały ciężar naszych wzajemnych stosunków.

Jak gdyby wyczuwając mój nastrój, ciotka Zoja wyrzuca w górę długie ramiona.

- Ach, jakie piękne są te kartki, które jej przysyłasz!

- Tak, tak - wtrąca ciotka Zina - ona je zbiera i bardzo często o tobie mówi. Twój przyjazd sprawi jej naprawdę wielką przyjemność.

Czuję, jak twarz oblewa mi rumieniec. Wolałabym, żeby ciotki nie mówiły o matce tak, jakby była zdrowa. Sasza patrzy na ciotkę Zinę.

- Na miłość boską, mamó - mówi. - Czy ty wiesz, która godzina jest teraz w Nowym Jorku? Piąta rano, a Lucia dowiedziała się o śmierci ojca zaledwie kilka godzin temu. To nie jest w porządku, że trzymamy ją tutaj, kiedy powinna spać. - I dodaje coś po rosyjsku.

Ciotki Zoja i Zina zgadzają się z nim natychmiast i prowadzą mnie do pokoju, który kiedyś należał do mojej babki. Niewiele się zmienił i mam wrażenie, że dalej zalega w nim zapach słodczy i lekarstw. Za każdym razem, kiedy przejeżdża samochód, pokój rozjaśnia się przelotnie. Leżę otulona jak kokon w łóżku babki. W błyskach świateł, jak na serii zdjęć, widzę kolekcję pamiątek: fotografie i drobiazgi, które pod koniec każdego dnia tworzyły jej świat. Z salonu dochodzi muzyka ściszonych rozmów, które moi krewni wiedzą po rosyjsku, jakby na pół mówili, a na pół śpiewali. To śmierć taty - myślę - sprawiła, że w ciągu jednego dnia z osiemdziesiątego trzeciego piętra w Nowym Jorku

przeniosłam się w samo serce historii mojej rodziny.

8

We śnie dręczy mnie ryk silnika wielkiej ciężarówki. Chowam się, ale wkrótce słyszę najpierw telefon, a potem dzwonek do drzwi i dalekie głosy. Wreszcie budzi mnie jakieś dziwne światło. Na moich powiekach i wszędzie dokoła jest żółto, jakbym się znalazła wewnątrz jajka. A może jestem w domu, tylko zapomniałam zgasić na noc lampę. I wtedy uświadamiam sobie, że tata nie żyje i że jestem w Kalifornii. Znow przeżywam szok, smutek i ból, i wszystkie fizyczne objawy, jak w komiksach, które czytywałam w dzieciństwie. Wrrr! Wiuuu! Puff! Najpierw brzuch, potem klatka piersiowa i kolejne ciosy w okolicach skroni. Otwieram oczy i... mam w nich pełno słońca.

Błądzą po salonie. Ściany są grube od regałów, a każdy regał ugina się pod ciężarem zawartości. Książki, pudełka, torebki, sterty dokumentów i listów, ozdoby, niektóre z poodłamywanymi częściami. Łabędź z długą szyją czeka na naprawę - nie mam co do tego wątpliwości - od czasów mojego dzieciństwa. Jest także kilka ładnych kamieni, z pewnością od taty.

W kuchni krząta się ciotka Zina. Obserwuję ją przez chwilę, korzystając z tego, że mnie nie widzi. Drepcze od lodówki do kuchenki i z powrotem, jak koliber. Uderza mnie jej podobieństwo do mojej matki. A więc tak mogłaby kiedyś wyglądać matka, gdyby nie była psychicznie chora. Szybkie, precyzyjne ruchy, bystre spojrzenie, włosy przyzwoicie przystrzyżone, prawie bez siwizny.

- Aaach! - wykrzykuje, wyraźnie rada na mój widok. Podaje kawę, tost, kaszę, galaretkę i sok i gdy tylko zjem jedno, zaraz namawia na spróbowanie następnego.

Sasza pojechał dziś wcześniej do pracy, wcześniej niż zwykle. Wczoraj do późna miał zebranie, z którego musiał wyjść przed końcem, żeby zdążyć na lotnisko po swoją ulubioną kuzynkę. Orzą w niego w tej pracy okropnie. Traktują jak niewolnika. - Ciotka Zina mówi z emfazą, energicznie potrząsając głową.

Uśmiecham się.

- Ani trochę się nie zmieniłaś, ciociu. Zina wręcza mi duże zdjęcie w nowej ramce.

- Od kiedy? Od tamtych czasów? - chichocze.

Poznaję na fotografii trzy siostry, Zoję, Zinę i moją matkę, siedzące skromnie z

rodzicami. Twarz dziadka zwraca uwagę wystającymi kośćmi policzkowymi i małymi ustami. Babcia, delikatna w swojej młodości, młodsza niż ja obecnie, wprawdzie bez uśmiechu, ale piękna, o przenikliwych oczach.

- Sasza znajdzie jakieś miejsce, żeby to powiesić - informuje mnie ciotka Zina, rozglądając się z powątpiewaniem po ścianach w poszukiwaniu kawałka wolnego miejsca.

- Zoja znalazła to stare zdjęcie i dała je do powiększenia z okazji moich urodzin, może dlatego, że wyjątkowo dobrze na nim wyszła.

Przyglądam się ciotce Zoi, najmniej atrakcyjnej z sióstr, i widzę, że istotnie, jej dziwnie okrągła twarz miała w młodości szlachetniejsze rysy.

- To zdjęcie zostało zrobione wkrótce po naszym przyjeździe do Ameryki, kiedy tata podjął swoją pierwszą pracę w przedsiębiorstwie budowlanym. Jeszcze przed urodzeniem Katii i Oli. Ale już trochę widać, że mama jest w ciąży, prawda?

- Rzeczywiście. Czyli, że to musiał być... tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy rok?

- Albo czterdziesty drugi. Zoja ma tu jakieś czternaście lat, ja dwanaście, a twoja mama dziewięć, nie, dziesięć. Już wtedy była śliczna.

Przyglądam się najmniejszej z dziewcząt. Nie uśmiecha się, ale patrzy w obiektyw. Blond włosy wiją się koło buzi, zwracają uwagę wyraźnie wystające kości policzkowe, po ojcu, i olśniewające oczy, na zdjęciu całkiem szare. Dziewczynka, która dorosła, by zostać matką.

- Byliśmy biedni, ale ojciec nie pożalował pieniędzy na zdjęcie. Wiedział, że pospolitość może być fascynująca, gdy z czasem przeminie.

- Wcale nie byliście tacy pospolici, żadne z was - mówię, ale w dalszym ciągu przyglądam się mamie.

Kiedy moi rodzice zdecydowali, że się pobiorą, tylko ciotka Zina nie była przeciwna ich pospiesznemu namiętnemu związkowi. Babcia i dziadek proponowali kandydatów z kręgu rosyjskich emigrantów. Ciotka Zoja namawiała, żeby się jeszcze zastanowili, a rozchichotane nastolatki, Katia i Ola, przekonywały mamę, żeby sobie znalazła kogoś młodszego. To prawda, że tata, już wtedy profesor na wydziale geologii uniwersytetu, był od niej o dziesięć lat starszy. Mama pracowała na wydziale rusycystyki jako sekretarka. Jak wielu kobietom z tamtego pokolenia nie przyszło jej nawet do głowy,

że mogłaby studiować. Pewnego razu - było to w lecie - jej szef wyjechał na urlop i mama nie miała co robić, kiedy więc wydział geologii zaczął poszukiwać chętnych do pomocy w przeprowadzce, zgłosiła się na ochotnika. Pracowała dla ojca, a kiedy po upływie trzech tygodni wydział geologii ostatecznie zmienił siedzibę, byli już małżeństwem.

Lubię tę historię. Zawsze ją lubiłam, jeszcze w czasach dzieciństwa. Matka potrafiła pięknie opowiadać o tym, jak pomagała ojcu katalogować kamienie. Nie jedno pomieszczenie, nie dwa... - Tu robiła rękami szeroki gest - trzy, tak, trzy pokoje zavalone kamieniami! Nachylała się i przymykała oczy, wspominając, jak podglądała ojca, kiedy wodził palcami po wypukłościach malachitów i głaskał pierścienie hematytowe. Jak, obchodząc się bardzo ostrożnie z każdym okazem, starannie go opisywał, a potem ona je wszystkie katalogowała.

„Wiedziałam, że dla taty kamienie nie były, tak jak dla większości znanych mi osób, tylko martwymi odpryskami skał. I nie miałam wątpliwości, że człowiek, który potrafi kochać nawet skały, znajdzie i dla mnie ciepły kącik w sercu” - powiedziała kiedyś. Promieniała wtedy i jej twarz, często smutna w chwilach spoczynku, uległa głębokiej przemianie, stając się twarzą pięknej kobiety, która porządkowała zbiory okazów geologicznych i je katalogowała, która wyszła za mąż za profesora. Przyglądała włosy i wyprostowała się. „I wydział geologii urządził przyjęcie na naszą cześć! Dostaliśmy tort...”. - Matka chichotała po dziewczęcemu. - „Dostaliśmy tort w kształcie góry ze wszystkimi warstwami geologicznymi! Dla żartu poprosili mnie, żebym wymieniła ich nazwy, a ja już wtedy zdążyłam się wiele nauczyć i, wyobraźcie sobie, ku ich zdumieniu, sprostałam zadaniu!”. I znów wybuchnęła głośnym beztróskim śmiechem. Śmiechem inteligentnej, wesołej kobiety. „Prekambr i paleozoik z okresami: kambrem, ordowikiem i sylurem...”. Z radością wyrzucała z siebie kolejne nazwy jak błyski latarni morskiej na wodzie.

- Boże! - wrywa mi się mimo woli. - Boże, co się stało z tą kobietą? - Z kobietą, która poślubiła tatę. Która nam opowiadała, jak do tego doszło. Z kobietą o gęstych, jasnych włosach, jak gdyby wylewających się z jej głowy. Z kobietą o błękitnych oczach, która śmiała się głośno, serdecznie i która, uśmiechając się, wyglądała, jakby ktoś nagle zapalił w niej światło. Pewnego dnia weszłam do kanionu, a kiedy z niego wyszłam, była już kimś zupełnie innym.

- Czasami - mówi ciotka Zina, jakby czytała w moich myślach - i teraz jeszcze można w niej odnaleźć coś z dawnej Tani.

Ale ja już od lat nawet nie próbuję wśród ludzkich wraków w klinice Redbush szukać mojej matki. W milczeniu zwracam ciotce zdjęcie, a ona w zamian wręcza mi kluczyki.

- To od twojego wspaniałego lśniącego samochodu. - W oczach ma ogniki. -
Przyprowadził go dziś rano młody mężczyzna. Młody mężczyzna w uniformie. Te stare domy, jak nasz, mają mało miejsca do parkowania. Oczywiście on tego nie mógł wiedzieć. I tak się złożyło, że zajął miejsce, które Dmitrij Sergiejewicz, ten z dołu, uważa za swoje. To nieprzyjemny człowiek i zły sąsiad, już dwa razy dzwonił w tej sprawie. Sasza w końcu mu wszystko wyjaśnił i Dmitrij zgodził się, żeby twój samochód tam został, ale tylko na dziś.

- Jak wrócę wieczorem, postawię go tam, gdzie zwykle mama stawiała swój.

- Nie, Lucia, to za daleko, tam zaparkuje Sasza, a ty zajmiesz jego miejsce.

Nie chcę zajmować miejsca Saszy, ale jest już piętnaście po ósmej i nie ma czasu na spory. Mówię, że muszę zaraz wyjść, i ciotka prychnęła, niezadowolona.

- A niby dlaczego policja musi cię tak pilnie przesłuchiwać? W czym możesz im pomóc? Tylko niepotrzebnie marnują czas swój i twój.

Nietrudno zgadnąć, który z samochodów na parkingu ma być dla mnie. Lśni nowością. Kiedy wsiadam, mierzy mnie wzrokiem siwy mężczyzna, zgięty niemal wpół. Nie wiem, czy trzyma ręce na biodrach, bo demonstruje agresywną postawę, czy łatwiej mu się w ten sposób wyprostować. Mówi coś do mnie opryskliwie po rosyjsku.

Kiedy zjawiam się w domu taty, nie ma tam już ani taśmy zamykającej wjazd, ani policjantów mundurowych. Podjeżdżam pod górę i widzę między drzewami, że coś błyska, ostrego jak nóż i lśniącego jak chrom, więc skręcając do domu, czuję, jak wali mi serce. Spodziewam się wozu holowniczego, ale to jest pokrywka od puszek, którą musiał tu rzucić ktoś z ekipy policyjnej. Za życia taty mowy być nie mogło o żadnych śmieciach.

Ogarnia mnie poranne ciepło. Stoję w cieniu domu i poza sporadycznym tykaniem rozgrzanego silnika mojego samochodu nic nie zakłóca ciszy. Nic się nie porusza. Nawet liście są spokojne, jakby stary dom czekał na mnie. Zupełnie nie wiadomo, dlaczego przypomina mi się szczególnie pewnej opowieści mamy - o maleńkim synku babci, który

umarł w pociągu, kiedy rodzina uciekała z Rosji. A konkretnie, jak strażnik graniczny otworzył drzwi do ich przedziału i natychmiast, po całkowitym bezruchu pasażerów, poznał, że coś jest nie w porządku i że wszyscy tylko czekają, by on to zauważył. I jak sam bezruch tych ludzi dosłownie skierował jego wzrok na kobietę z martwym dzieckiem na kolanach.

Odwracam się szybko, przekonana, że coś jest nie w porządku, niemal pewna, że w panującym tu nienaturalnym spokoju jest coś, co powinnam zauważyć. Ale liście na drzewach wiszą bezwładnie jak chustki do nosa, gałęzie są nieruchome, w domu i stodole cisza aż dzwoni, a kamienie podjazdu lśnią tam, gdzie pada na nie słońce. Jediną rażącą rzeczą jest pokrywka od puszek. Podnoszę ją.

W dalszym ciągu mam klucz od domu. Przez te trzy lata mojej nieobecności w Kalifornii nawet nie zdjęłam go z kółka. Leży teraz na mojej dłoni, płaski jak ryba. Idę pod drzewami w stronę ganku i z przyjemnością witam odgłos własnych kroków. Sucha kora i ostre jak noże liście eukaliptusa szumią i szeleszczą pod moimi stopami, a w górze unosi się apteczny aromat. Na progu przystaję, żeby się oswoić z zapachem domu, z jego chłodem i ciemnością. A także z brakiem czyjejkolwiek obecności. Nie mogę uwierzyć, że tata tak całkowicie opróżnił przestrzeń, która należała do niego przez tyle lat. Nie mogę uwierzyć, że go tam nie zastanę.

- Cześć! - słyszę nagle jakiś głos. To moja znajoma detektyw. Ciemna sylwetka pod ciemnymi drzewami zbliża się z małą walizką w ręku. Moje palce zaciskają się wokół czegoś twardego i ostrego. Wieka od puszek. - Co za piękny dzień. Dopiero marzec, a pogoda jak w lecie - zagaduje wesoło. Razem wchodzimy do domu. Stoimy na progu taty pokoiku do pracy i kobieta oznajmia, że zabrała jego komputer. - Dalej mamy kłopoty z dostaniem się do niektórych jego dokumentów. Nie przypominałaś sobie przypadkiem hasła?

- Jestem przekonana, że nigdy go nie znałam.

Prosi, żebym dała jej to na piśmie, i żebym pokwitowała papiery, które zabrała z pokoju komputerowego ojca.

- Jakie papiery? - pytam z zaciekawieniem.

- Och, finansowe.

- Jak na przykład... wydruki bankowe?

- O właśnie, dokładnie o to chodzi. Musimy mieć pełny obraz finansów twego ojca. Zastanawiam się, po co, ale podpisuję papiery, które mi podsuwa, nie zadając żadnych pytań.

- Wszystko wprawdzie skopiowałam, ale i tak musisz mi to podpisać - informuje mnie, kładąc na biurku taty sterty papierów. - Oryginały będą potrzebne Scottowi.

- Scottowi?

- On jest osobistym przedstawicielem twojego ojca.

- Kim on jest?

- Wykonawcą testamentu. Egzekutorem. Tak się ich obecnie nazywa.

- Scott? - powtarzam z niedowierzaniem jak echo. - Tata wyznaczył Scotta na wykonawcę swojego testamentu?

Kirsty patrzy na mnie.

- Czy to takie dziwne?

- Tak. Scott jest inteligentnym facetem, ale matematyka nigdy nie była jego mocną stroną. Mało nie zawałił przez nią szkoły średniej i nawet z kalkulatorem nie jest w stanie osiągnąć dwa razy tego samego wyniku...

Kirsty przygląda mi się badawczo.

- Uważasz, że profesor Schaffer powinien raczej ciebie o to poprosić?

- To znaczy... - Oczywiście, powinien mnie przynajmniej zapytać.

- Ostatecznie to ty pracujesz w bankowości...

Przygląda mi się badawczo. Zastanawia się, dlaczego tata nie miał do mnie na tyle zaufania, żeby mi powierzyć wykonanie testamentu. I ja się nad tym zastanawiam, ale ostatecznie tylko wzruszam ramionami. Nie chcę, żeby wiedziała, że czuję się dotknięta.

- Pewnie miał swoje powody - mówi na koniec. Chciałabym, żeby wreszcie przestała się na mnie gapić.

Z ulgą więc przyjmuję propozycję, że przesłucha mnie na pomoście, bo mogę się do niej odwrócić tyłem, prowadząc ją przez salon na zewnątrz.

- Przynajmniej jesteś beneficjentką - mówi kobieta. - Ty i Jane. Wiedziałaś o tym?

- Mogłam się tego domyślać.

Otwieram rozsuwane drzwi. Przygotowuję się na szok, jaki wywoła we mnie widok doliny, ale mimo to trwa chwilę, zanim ogarniam jej ogrom i płaskość, jej uporządkowaną

produktywność. Wyłożona przed nami, przypomina gigantyczny stół, uginający się pod ciężarem jedzenia.

Siadamy. Dzień wydawał się bezwietrzny, ale gdy kobieta wyciąga z walizeczki notes, jego kartki zaczynają trzepotać.

- Mam nadzieję - mówi, tuląc do siebie papiery jak dziecko - że znalazłaś już kogoś, kto mógłby potwierdzić, iż ostatni weekend spędziłaś w domu?

Potrząsam głową.

- Nie mam nikogo takiego.

- Cały czas pracowałaś?

- Nie widziałam się z nikim, kto mógłby potwierdzić, że byłam w Nowym Jorku.

- I nie wychodziłaś z mieszkania?

- Robiłam sobie krótkie przerwy na posiłki.

- Czy praca jest twoim sposobem na spędzanie weekendów? Waham się przez chwilę.

- Najczęściej - odpowiadam.

Kobieta unosi brwi. Spoglądam na dolinę. Ciągnie się jak okiem sięgnąć. Po przeciwległej stronie są wzgórza i czasem w chłodne, słoneczne zimowe poranki można je dostrzec jak na morzu mający w oddali ląd.

- Czy może wiesz coś na temat planów ojca w weekend? - pyta. - Rozmawiał z tobą o tym?

Nie wspominam o wizycie taty na grobie Steviego. Informuję ją tylko, że zamierzał sobotę spędzić w towarzystwie Jane, Larry'ego i Scotta.

- A niedzielę? Wzruszam ramionami.

- Mam powody interesować się tym, jak twój ojciec spędził niedzielne popołudnie. Proszę cię bardzo, skup się i spróbuj sobie przypomnieć, czy ci na przykład nie mówił, że spodziewa się gości. A może był ktoś, kto go zwykle odwiedzał w niedzielę?

Wyteżam pamięć, ale na próżno. Potrząsam więc głową i cała dolina kołysze się z boku na bok. A potem uspokaja się i znów jest równo podzielona prostymi liniami dróg na duże czworokąty i rzędami drzew owocowych na mniejsze.

- W dalszym ciągu nie ma jego samochodu - mówi kobieta. - Czy nie domyślasz się przypadkiem, dokąd mógłby nim pojechać w poniedziałek wczesnym rankiem? Czy

jeździł w poniedziałki do miasta? A może spotykał się z kimś z przyjaciół na śniadaniu?

- Nie wiem, mógł się umówić na jakieś sportowe zajęcia ze swoim przyjacielem Seymourem. Czasem chodzili razem do klubu fitness.

Nie odpowiada, więc się domyślam, że Jane już jej to podsunęła i że Kirsty zdążyła się skontaktować z Seymourem. Zadaje mi jeszcze inne pytania dotyczące taty, jego zwyczajów, przyjaciół, charakteru. Szczegółowe pytania, na które odpowiadam z trudem. Nigdy się nie zastanawiałam, jakim był człowiekiem. Jąkam się niepewnie, a potem wpadam na pomysł i zaczynam powtarzać drobne komplementy, jakie prawily wczoraj ciotki pod jego adresem.

- Zawsze starał się robić to, co uważał za słuszne. - Moje słowa brzmią nieprzekonująco. Najwyraźniej policjantka czuje, że je po kimś powtarzam.

- A kiedy byłaś mała, kiedy odwiedzałaś inne dzieci... - nalega. Sztywnieję. Rzadko chodziłyśmy do innych dzieci, bo prędzej czy później te dzieci chciałyby odwiedzić nas, a to by mogło się okazać kłopotliwe, chyba że mama byłaby akurat w klinice. - Poznałaś ich ojców? Co wtedy myślałaś o swoim ojcu: że jest do nich podobny czy że jest inny?

Kiwam głową.

- Rozumiem. Na ogół bałam się tamtych ojców. Mówili bardzo głośno i byli jacyś za duzi.

Uśmiecha się.

- Za duzi?

- To znaczy, często nam przeszkadzali. Czasem chcieli się bawić ze swoimi dziećmi, ale w tamtych czasach większość z nich nie wiedziała, jak to robić. Organizowali nam, powiedzmy, grę w piłkę, a potem się na nas złościли, bo myśmy ustanawiali własne reguły gry. I dużo krzyczeli... Kiedy się na przykład poszło z którymś z nich do sklepu, to zawsze obrywaliśmy za jakieś głupstwa, na przykład za to, że się bawiliśmy automatem z gumą balonową...

- A twój ojciec nie krzyczał?

Potrząsam głową. Tata był zawsze miły. Nigdy nam nie próbował organizować zabaw, chyba że same go o to poprosiłyśmy, a i wtedy nie narzucał swojego towarzystwa. Uważał, że powinnyśmy bawić się same. Inni ojcowie, burkliwi, napaleni na grę w piłkę, robili tylko bałagan, przez co zabawki się psuły, a oni dosłownie nie mogli się doczekać,

kiedy te ich żony wróca z zakupów albo z wizyty i z uczuciem wyraźnej ulgi pozbywali się dzieciaków najszybciej, jak tylko mogli. Tata nie miał możliwości się nas pozbyć, ale i nigdy nie dał nam odczuć, że miałby na to ochotę. Nie pamiętam, by był zły, kiedy wracałyśmy z letnich obozów, czy żeby witał z ulgą rozpoczęcie roku szkolnego. Po-dziwiam go teraz za jego stałość i odpowiedzialność. Ciekawe, czy kiedykolwiek był na nas wściekły, a jedynie tego nie okazywał?

Próbuję sobie przypomnieć tatę zdenerwowanego czy podnieconego, czy choćby w najmniejszym stopniu zachowującego się po rosyjsku. Ale nie mogę. Nie pamiętam też, by się śmiał tak jak inni, czerwony na twarzy, trzęsąc się, z odrzuconą do tyłu głową.

Policjantka mówi w zamyśleniu:

- Jane wspominała mi o problemach waszej matki. Domyślam się, że w tej sytuacji profesor Schaffer musiał wam zastąpić i matkę, i ojca. Przypuszczam, że było to trudne, zwłaszcza że przecież pracował. Czy często zostawiał was same?

Mam wrażenie, że odkąd matkę wchłonęło jej własne piekło choroby psychicznej, już zawsze byłam samotna. Kiedy stałam w kanionie, a jej krzyki odbijały się echem od jego ścian, już wtedy czułam dojmującą samotność, która nie opuściła mnie nigdy, do dziś.

- No cóż... miałam starszą siostrę. Robiła wiele rzeczy, które należały do obowiązków matki.

- Czy jako dzieci byliście sobie bliskie? Spoglądam poprzez dolinę.

- Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie Jane - wyznaję. - To znaczy... byłam jej pierwszą pacjentką. Bez przerwy chorowałam i Jane się mną zajmowała.

- Może dlatego poszła na medycynę.

- Dlatego, że chorowałam? Może. Miałam też wypadek samochodowy, w dolinie, zaraz po ukończeniu szkoły średniej, i wtedy Jane też mi bardzo pomogła.

Spoglądam w dół, na Sunnyfruit Orchards, a potem zatrzymuję wzrok na tamtym prostym odcinku drogi, na którym samochód ze mną i z Robertem Josephem dachował. Widzę to jako serię ujęć fotograficznych: droga, pionowa zamiast poziomej, drzewo owocowe za blisko, a potem jeszcze jedna wywrotka i kontakt z ziemią. Pierwszymi osobami, jakie zapamiętałam, były pani Joseph i jej przyjaciółka, która ją właśnie odwiedziła. Ta przyjaciółka powiedziała mi, żebym się nie ruszała, i cały czas trzymała

mnie za rękę, czule do mnie przemawiając. Ktoś musiał zadzwonić do nas, bo szybko zjawiała się Jane, przebywająca akurat w domu z powodu letniej przerwy. Jane została ze mną, a przyjaciółka pani Joseph gdzieś się ulotniła. A potem przyjechały karetki pogotowia. Robert był bardzo ciężko ranny. Jane powiedziała, że mam na razie leżeć i się nie ruszać, gdy tymczasem Roberta bardzo delikatnie wyjęto z samochodu przez otwarte drzwi i wyniesiono na noszach, które ułożyły się dokładnie w kształt jego sylwetki. Jane powiedziała wtedy: „Nie, Luce, on się nie zabił, naprawdę”. W szpitalu dowiedziałam się, że ma zmiążdżoną jedną stronę ciała i że zapewne amputują mu nogę. Mnie wypuszczono jeszcze tego samego dnia, z drobnymi złamaniami kości stopy, a kiedy przyjechałam do domu, widziałam nadal w dolinie samochód ojca Roberta. Leżał pocięty przy drodze, na dachu, jak wielki, martwy, przewrócony na grzbiet żuk. Upłynął jeszcze cały dzień, zanim Josephowie go usunęli. Teraz, po tylu latach, znów szukam wzrokiem tamtego samochodu, jakbym dopiero co skończyła szkołę i była zakochana w Robertcie Josephie. I jakbym w lewej stopie czuła tępy, nieustępliwy ból.

- Lucy?

Spoglądam na policjantkę. O coś mnie pytała, ale jej głos utonął w dalekiej przeszłości. Powtarza pytanie, tym razem chyba nieco głośniejsze. Chce wiedzieć, czy w rodzinie były jakieś kłótnie. Jakież tatę łączyły stosunki z Larrym i ze Scottem, czy miał wrogów. W odpowiedzi przede wszystkim wzruszam ramionami.

- Nasza rodzina niczym się nie różni od innych - mówię. - Wszyscy żyjemy w zgodzie. Nikt nikogo nie nienawidzi. Tata nie miał wrogów, nie był takim typem człowieka.

- Lucy, dlaczego wyjechałaś z Kalifornii? - Jej głos brzmi ostro.

- Ze względu na pracę zawodową - odpowiadam szybko.

- Ale nie chcesz powiedzieć, że doszło do jakiegoś pęknięcia w rodzinie, do jakiejś kłótni?

- Ach, nie. Ja po prostu pracowałam w banku przy kontaktach osobistych, ale tak naprawdę interesowałam się inwestycjami, a tutaj inwestycje to jedynie Silicon Valley. Albo wyjazd do Nowego Jorku.

Patrzy na mnie, jakby czekała na coś więcej, jakby wiedziała, że jest na co czekać. Trwa to tak długo, że wreszcie słowa powoli zaczynają się ze mnie wydobywać.

- Mieliliśmy dziecko, ale umarło. - Stwierdzam fakt. Mój głos jest beznamiętny, płaski jak dolina. Pozbawiony emocji. Wyczuwam w nim jednak jak gdyby lekkie napięcie, ale tak słabe, że prawie nieuchwytne. Mój głos dochodzi zza doliny, zza horyzontu.

Kobieta nie reaguje, więc dodaje:

- Zespół nagłej śmierci łóżeczkowej. - Napięcie w moim głosie jest już znacznie wyraźniejsze.

- Śmierć dziecka odegrała ważną rolę w twojej decyzji wyjazdu, prawda?

- Tak. Wyjechałam wkrótce potem. Dokładnie trzy lata temu. Dlatego cały weekend przesiedziałam w domu. Dlatego nie odbierałam telefonów.

Kobieta kiwa głową i zamyka notatnik.

- To na razie wszystko. Dziękuję ci za pomoc. - Na wszelkie sposoby próbuje schować notatnik do walizeczki, ale jakoś jej to nie wychodzi. Jest gruby od moich trosk. - Spodziewałam się tu dziś rano kolegi, detektywa Michaela Rougemonta - mówi - ale pewnie coś go zatrzymało. On też będzie chciał z tobą porozmawiać w najbliższym czasie.

Wstaję, ale Kirsty w dalszym ciągu walczy z walizeczką. Po chwili uświadamiam sobie, że ruchy, które wykonuje, wcale nie są konieczne. Wyjmuje i wkłada mały notes dwukrotnie. Gra na zwłokę, jednocześnie myśląc o czymś, co chce mi powiedzieć, zastanawiając się nad doborem słów, nad tonem. Jest tak rozkojarzona, że mogę ją otwarcie obserwować. Ubrana na ciemno, odznacza się swoistą spokojną urodą. Dostrzegam to dopiero teraz, tak samo jak dostrzegam siatkę drobnych zmarszczek wokół jej oczu. I cienie pod nimi. Wraca do domu zmęczona. Dzieci wołają matkę po nocach. Wstaje do nich jak lunatyczka. A potem leży bezsennie i myśli. O swoich zabójstwach. O ludziach, którzy zabijają ludzi.

Kirsty wstaje i jej oczy nagle znajdują się dokładnie na poziomie moich. Jesteśmy tego samego wzrostu. I prawdopodobnie mniej więcej w tym samym wieku. Mówi ostrożnie:

- Bywa, że śmierć któregoś z rodziców przybliży nam przeszłość, zauważyłaś to może?

Kiwam głową, przyznając tym samym, że przeszłość wróciła do mnie z nową ostrością.

- Jadąc do Nowego Jorku, uważałaś, pewnie, że się od tego wszystkiego Odetniesz - dodaje. - Ale może teraz, kiedy wróciłaś do Kalifornii, dojdiesz do wniosku, że czas przestać uciekać. Czuję, że obejrzyś się wreszcie za siebie i popatrzyś temu, co cię ściga, w oczy.

Czeka, aż coś powiem.

- Gdzie jest teraz ciało taty? - pytam.

Ale nie to chciała usłyszeć. Odpowiada mi nie od razu.

- W policyjnej kostnicy.

- Chciałabym go zobaczyć.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Twój szwagier już zidentyfikował zwłoki.

- Mimo to chciałabym go zobaczyć.

- Odradzam ci to. - Stara się być miła.

- Ale ja muszę.

Odrzuca te urojone włosy i uśmiecha się smutno.

- No cóż, do mnie należy raczej zachęcanie rodziny do identyfikacji zwłok, więc nie będę się z tobą spierała.

Z komputerowego pokoju taty Kirsty dzwoni do kogoś i po krótkiej dyskusji ustalamy, że po południu wybiorę się do Bellamy, nadmorskiego miasteczka położonego na północ od San Francisco, gdzie znajduje się najbliższa Big Brim i Retribution kostnica.

Odprowadzam wzrokiem jej podskakujący na wybojach podjazdu samochód, ale zamiast wrócić do domu, obchodzę go dokoła, co wymaga pewnej zręczności: w pozycji ukośnej do stromego stoku wzgórza, z jedną nogą wyciągniętą, a drugą ugiętą, posuwam się wzdłuż podstawy pomostu. Pnie drzew są już na tyle grube, że jest się czego uchwycić, a same drzewa dostatecznie duże, by można było zbudować domek na drzewie. Pamiętam, jak w dzieciństwie marzyłam o takim domku i jaka byłam rozczarowana, kiedy tata obejrzał wszystkie drzewa i powiedział, że żadne tego nie wytrzyma. Teraz dom pójdzie na sprzedaż i nowy właściciel będzie mógł sobie zbudować taki domek, jeśli tylko zechce. Ogarnia mnie zazdrość na myśl o obcej rodzinie, która się tu sprowadzi. Przytulam się do drzewa; za mną wśród liści prześwituje dolina. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić naszych następców. Ale zarówno dom, stodoła, jak i otoczenie domu są całkowicie zajęte - wypełnione przeszłością mojej rodziny.

Okrażam dolny ogród, zarośnięty teraz całkowicie, i przy sadzie Hollerów idę na skróty, między drzewami, do stodoły. Kolczaste gałązki szarpią ubranie, krzewy rozsiewają ziołowy aromat. Patrzę w ziemię. Niedaleko sadu Hollerów znajduję kamień. Ma znajomy kształt. Podnoszę go. Nie jest to jednak kamień, tylko obcas. Oglądam moje znalezisko, ale zanim zdążę je schować, słyszę odgłos. Trzask. Bardzo krótki, ale wystarczy, by do mnie dotarło, że nie jestem sama. Trzask suchej gałązki pod butem. Poznają go tak samo jak głos mojej siostry, jak trzaśnięcie drzwi przesuwanych, jak skrzypienie bujawki na ganku.

Obracam się gwałtownie. Gałęzie, liście, trawa jakby się we mnie wpatrywały, jakby ze zdumienia zamaryły. Szybko, z niepokojem, wychylam się w prawo i w lewo, a potem już wolniej, systematycznie obracam się o sto osiemdziesiąt stopni, wypatrując czegoś między drzewami, na drzewach, za ich pniami. Niektóre są tak grube, że z powodzeniem mogłyby zasłonić człowieka. Stoję tak spokojnie, że prawie nie oddycham. Zbocze wzgórza też jak gdyby wstrzymało oddech. Panuje idealna cisza, nic się nie porusza, tylko w sadzie Hollerów miga mi cień, który może być szybko przemykającym człowiekiem, ale równie dobrze drzewem targanym przez wiatr.

Z ociąganiem wracam na górę, do domu. Po drodze dwukrotnie oglądam się za siebie, ale nie widzę nic. Słyszę za sobą łomot drzwi przesuwanych, znajduję torebkę i do jednej z jej kieszonek chowam obcas. Zamykam torbę. Trzaśnięcie zamka rozlega się echem w ciszy jak trzask gałązki pod czyimś butem - twarz nieznana, zamiary nieznane.

Na pomoście panuje cisza. Oparta o barierkę, obserwuję teren dokoła domu. Wypatruję ruchu, ale poza ptakiem, który od czasu do czasu daje o sobie znać, jest spokój. Stopniowo moją uwagę przyciąga dolina. Błądzą wzrokiem wśród znajomych punktów. Miejsce, w którym dachował samochód. Skrzyżowanie. Farma, do której trafiliśmy z Lindy po długiej, męczącej wyprawie w upalny dzień. Wiejskie drogi, którymi wieźli nas potem do domu, nasze podskakiwanie w skrzyni półciężarówki, przylizane od potu jasne włosy Lindy i nasze chichoty, kiedy nas rzucało w prawo i w lewo. Lindy Zaccaro. Kiedy o niej myślę, czuję w żołądku skurcz bólu. Lindy Zaccaro, dziewczynka, która huśtała się ze mną na ogrodowej bujawce. Moja najlepsza przyjaciółka, przez jakiś czas.

Czuję, jak włoski na ramionach i karku stają mi dęba. Z początku nie wiem dlaczego. A potem widzę, daleko w dole, na samym dnie doliny, jadący wolno i

błyskający w słońcu jak srebrna ryba z płetwą grzbietową do góry wóz holowniczy. Z mojego miejsca wydaje się nie większy od zabawki i porusza się bezgłośnie. Na skrzyżowaniu skręca na północ. Patrzę za nim, dopóki nie skryje go mgła, która tam, na dole, nigdy nie jest mgłą, a jedynie granicą, wyznaczającą zasięg wzroku, kiedy patrzy się z góry.

9

Wyjeżdżam z domu, kierując się w stronę wybrzeża i czekającej mnie tam rodziny, i mimo woli wspominam twarz Lindy Zacarro. Latami o niej nie myślałam i nagle wczoraj mimowolnie zobaczyłam ją oczyma wyobraźni, jak siedzi koło mnie na skrzypiącej bujawce, a dzisiaj znów przypomina mi się Lindy, jakby jakiś zwariowany archiwista kładł przede mną na biurku wszystko, co mamy na jej temat. Przypomina mi się więc twarz Lindy, okrągła, bardzo ładna. Jasne włosy i dużo różowego. Różowy język, różowe wargi i niezmiennie różowe ubranie. Najładniejsza, najróżowsza dziewczynka w całej klasie.

Kiedy farmer, z karkiem spalonym słońcem i pooranym bruzdami jak gruba skóra, odwoził nas do domu, Lindy od razu skierowała go do Zacarrów. Nawet nie musiała na mnie spoglądać, by wiedzieć, że postąpiła słusznie. Od wyjścia mamy z kliniki nie bawiłyśmy się u mnie w domu. Łudziłam się, że kiedy ją wreszcie wypiszą ze szpitala, wróci do nas taka, jaka była dawniej, zanim zwariowała wtedy w kanionie. Ale po kilku odwiedzinach w klinice, do której zabierał nas tata, wiedziałam, że jest to niemożliwe. Matka całymi godzinami siedziała w swoim małym pokoiku i w pełnym niesmaku milczeniu patrzyła na naszą trójkę, jakbyśmy byli autostopowiczami, którzy zwabili ją w zasadzkę, domagając się podwiezienia. Ciągle czekałam, żeby mnie wreszcie poznała i przytuliła. Marzyłam o tym, by owiał mnie zapach jej perfum i cukrowy aromat ciasteczek. Wydawało mi się, że jeśli tylko jej dotknę, to ta dziwna nowa skorupa, w której się zamknęła, rozprysnie się na części i ze środka wyjdzie mama, która znów zacznie nam piec ciasteczka i opowiadać różne historie. Ale gdy tylko spróbowałam się do niej zbliżyć, zrobiła przerażoną minę i Jane natychmiast mnie od niej odciągnęła, a kiedy w milczeniu wyszliśmy z pokoju, zaczęła płakać. Tata gestem dał nam znak, żebyśmy zaczekały w korytarzu, ale ja zostałam jeszcze przez chwilę i patrzyłam na ojca, który,

przykucnąwszy najbliżej, jak tylko matka pozwoliła mu podejść, przemawiał do niej łagodnie, pocieszająco. Miałam nadzieję, że tymi słowami wywabi ją jakoś ze środka tej dziwnej skorupy.

Kiedy wreszcie wróciła do domu, widziałam, że próbuje być sobą, podjąć dawne życie. Starła się bardzo, ale była to tylko maska. Kiedy się śmiała, robiła to za głośno, a kiedy opowiadała nam różne historie, to zawsze były pogmatwane i kończyły się, zanim zdążyła dobrać do jakiegokolwiek puenty. Podobnie było z czułościami: albo łapała mnie i przyciskała do siebie, niemal dusząc, albo jej dotyk był lekki jak muśnięcie owada i w rezultacie uciekałam od niej po całym pokoju, rozdrażniona. Drobne domowe obowiązki, takie jak gotowanie, niemal całkowicie przekraczały jej możliwości. Kiedy piekła ciasteczka, to wprawdzie pachniały jak trzeba, ale za to były twarde jak kamień. Udawałyśmy, że nam smakują, a tak naprawdę chowałyśmy je po kieszeniach. Udawałyśmy przed nią i przed sobą nawzajem, że jest normalna.

- Myślę, Luce, że raczej nie powinnaś przyprowadzać teraz do domu koleżanek - ostrzegła mnie przezornie Jane. Miała włosy do połowy pleców, splecione porządnie w jeden warkocz, i zawsze ją podziwiałam za to, że potrafi sobie sama z nimi poradzić. Kiedy ja chciałam zapleść warkocz, męczyłam się przeważnie z dziesięć minut, a w końcu i tak prosiłam ją o pomoc.

- Ale mamie naprawdę się poprawiło. - Z uporem wmawiałam sobie, że wszystko jest w porządku.

- Jasne, my wiemy, że jej się poprawiło... ale inni nie muszą tego widzieć - tłumaczyła mi tak łagodnie jak tata.

- Dlaczego? Właśnie, że muszą - nalegałam. Jane jednak nie miała zaufania do innych ludzi, bała się, że nie będą razem z nami udawali, że mama jest zdrowa, ale ja tego wtedy nie rozumiałam. - Może chociaż Lindy mogłaby do nas przyjść - nie prosiłam mojej siostry, ja się do niej przymilałam.

Jane zmarszczyła czoło.

- Nie, Lindy też nie może - powiedziała spokojnie. - To dla twojego dobra. Ja wiem, czym mogłoby się to skończyć.

Byłam na nią wściekła. Często bywałam wściekła na Jane i teraz widzę, że buntowałam się wtedy przeciwko niej jak dziecko przeciwko zakazom matki czy ojca,

uważające je za nieracjonalne akty przemocy, arbitralnie ograniczające jego wolność wyłącznie w ich własnym interesie. Dlatego się dąsałam. Dąsałam się przez całą drogę do domu Zacarrów i trwało dłuższą chwilę, zanim zmusiłam się do tego, żeby powiedzieć Lindy, że już nigdy nie będzie mogła do nas przyjść, a kiedy to wreszcie wykrztusiłam, nadała się i ona.

W odległości jakichś dwudziestu minut jazdy na południe od domu Scotta zatrzymuję się w miejscu, gdzie można zjechać z drogi i postawić samochód przy skale z bardzo niewielkim marginesem bezpieczeństwa w stosunku do morza. To miejsce nazywa się Focze Skały, ale dziś nie widzę tu ani jednej foki. Gaszę silnik i słyszę łomot fal o skałę, jakby morze chciało wyrąbać ją spode mnie, razem z samochodem.

Wyjmuję z torebki obcas. Wsiadam z samochodu i zbliżam się do krawędzi skały tak, że widzę masy wodne napierające na nią jak groźny tłum. Od patrzenia na dzikie ataki fal, na to, jak rozkołysane we wszystkie strony syczą z wściekłością, dostaję zawrotu głowy. Spoglądam na wijącą się brzegiem morza drogę, nie widzę na niej żadnego samochodu i wyrzucam obcas do morza najdalej, jak tylko mogę. Jednakże albo mój rzut jest słaby, albo wiatr porywa obcas, w każdym razie widzę go znów przed sobą na wodzie: kołysze się wolno, jakby nic nie ważył, by za moment pójść wreszcie na dno.

Za Foczymi Skałami jest parę piaszczystych zatok i - Big Brim. Serce wali mi mocno, próbuję więc zwolnić, ale inni uczestnicy ruchu, widząc nagle przed sobą prosty kawałek asfaltu, przyspieszają. Przy drodze, po prawej stronie, jest parking, a po lewej wysokie wydmy przesłaniające morze. Po chwili mam to za sobą, brzeg jest skalisty i droga znów wije się wzdłuż jego linii.

Kiedy dojeżdżam do Needle Bay i widzę łagodny łuk plaży w miejscu, gdzie kiedyś mieszkałam ze Scottem, ogarnia mnie wzruszenie. Jednakże zamiast jechać dalej drogą, która prowadzi do domu, zatrzymuję samochód na parkingu na szczycie wzgórza. W milczeniu znów odwiedzam ten wewnętrzny krajobraz straty, ciszy i pustki po śmierci Steviego.

Niewielki drewniany dom przesłaniają korony drzew, ale plaża krzyczy do mnie swoją bielą, a za nią rozciąga się bezkresne morze, im dalej, tym ciemniejsze. We snach bywałam tu nieskończenie wiele razy, ale teraz, kiedy jestem naprawdę, odczuwam rodzaj ulgi. A także pewnej nostalgii za tym krótkim okresem, kiedy się tu przeprowadziliśmy

tuż po śmierci Steviego i kiedy mój ból był świeży i puszysty jak jeszcze ciepły chleb. Wtedy przynajmniej życie wydawało się proste. Bez reszty wypełniała mnie rozpacz. Nic innego nie czułam i nic innego nie robiłam, poza tym, że nieustannie, niestrudzenie, wciąż od nowa przeżywałam wieczór, kiedy umarł Stevie. Od tamtej pory ten wieczór tyle razy powracał w mojej pamięci, że czas wypłukał z niego kolory jak ze starej używanej sukienki. Została uprana, uprasowana i głęboko schowana do jakiejś szafy. I oto teraz znów jestem w Needle Bay i drzwi szafy stają przede mną otworem.

Ostatni dzień życia Steviego spędziłam w pracy. Była to wprawdzie sobota, ale przyjechał bardzo ważny klient z wybrzeża i postanowiłam, że zanim się z nim spotkam w hotelu, w którym się zatrzymał, pójdę do biura i zapoznam się z jego aktami. Nieraz próbowałam robić takie rzeczy w domu, ale teraz Stevie, mimo że taki malutki, wypełniał sobą całą wolną przestrzeń.

Kiedy brałam prysznic i się ubierałam, spał, prawdopodobnie dlatego, że wielokrotnie budził się w nocy. A kiedy już miałam wychodzić, nagle otworzył oczy. Nakarmiłam małego i przewinęłam, a Scott próbował go utulić, ale na nic się to wszystko zdało. Zaczął płakać z wytrwałością i determinacją świadczącymi o tym, że nie zamierza przestać.

- Idź - powiedział Scott - po prostu idź. Dam sobie radę.

Jadąc ładną uliczką, przy której mieszkaliśmy, cały czas w duchu słyszałam płacz Steviego i muszę przyznać, że dominowało we mnie uczucie ulgi. Szłam do pracy, w której byłam dobra, zostawiając w domu sytuację, z którą wyraźnie sobie nie radziłam. Dzień spędziłam z klientem. Okazał się wymagający, ale pod koniec pogratulował mi mojej pracy. Początkowo w ogóle nie myślałam o Steviem, ale po południu coraz częściej dopadały mnie nagłe ataki tęsknoty, a wracając do domu, nie mogłam się już doczekać, kiedy poczuję w ramionach jego delikatne ciało, jego zapach. Na podjeździe zobaczyłam samochód Larry'ego i oldsmobila taty. Zaparkowałam na ulicy i kiedy zgasiałam silnik, usłyszałam ten sam dźwięk, który ścigał mnie rano. Stevie znów płakał. Siedziałam w samochodzie i nasłuchiwałam. Moje ciało reagowało bezwiednie. Każdy nowy atak płaczu przenikał mnie głębiej, aż wszystkie mięśnie miałam kompletnie sztywne.

Kiedy wreszcie weszłam do domu, całe jego wnętrze wypełniała rozpacz Steviego. Z kuchni wyłonił się Scott trzymający w ręku awokado, którym bezradnie pokazywał w

górze na schody.

- Nakarmiliśmy go, przewinęliśmy, zabawialiśmy na wszystkie możliwe sposoby, ale nic z tego nie wyszło. Teraz jest z nim Jane.

- Płakał cały czas?

- Nie, czekał z tym na ciebie.

Trudno mi było nie czuć się winną łez Steviego.

Ale nie od razu poszłam na górę. Najpierw zajrzałam do salonu, gdzie Larry i tata w oczekiwaniu na obiad grali w szachy, najwyraźniej nieświadomi krzyków małego.

- Cześć, Lucy - powitał mnie tata. - Szach - rzucił pod adresem Larry'ego.

Larry posłał mi konspiracyjne spojrzenie, dając do zrozumienia, że pozwala staruszkowi wygrywać. Ale ja wiedziałam, że zgarbione plecy Larry'ego oznaczają porażkę. Nigdy nie wygrałam z tatą w szachy, ale może dlatego, że po prostu nie chciałam.

Ruszyłam po schodach na górę - za każdym stopniem hałas się wzrósł. Jane siedziała przy oknie, ze Steviem na rękach. Wątle popołudniowe słońce padało na książkę, którą próbowała czytać, mając wrzaski małego za sobą. Cały czas głaskała go delikatnie po plecach.

- Próbowałam już wszystkiego - powiedziała na mój widok. - Wreszcie poddałam się i pomyślałam: niech płacze.

Wzięłam od niej Steviego, bardzo delikatnie. Obrócił do mnie mokrą buźkę, która się rozpogodziła. Przestała być czerwona, oczka otworzyły się szerzej i przez chwilę miałam wrażenie, że przestanie płakać. Ale cisza okazała się bardzo krucha, bo kiedy tylko przytuliłam go do siebie, wygiął się w łuk, uniósł główkę i ryknął z nową siłą.

- Myślałam, że twoja obecność go uspokoi - powiedziała Jane. Potrząsnęłam głową. Wyglądało na to, że Stevie czerpie z jakiejś studni ludzkiego nieszczęścia, a ta studnia była bardzo głęboka.

- Płakał już rano, kiedy wychodziłam z domu. Płacze, kiedy wróciłam. A w żłobku mówią, że jest cichy jak myszka. Nie mam pojęcia, co ja takiego robię źle.

- Nic. Po prostu musi sobie czasem popłakać, z dziećmi tak bywa. - Ton Jane zabrzmiał profesjonalnie.

- Dlaczego jestem taką kiepską matką?

- Wcale nie jesteś. - Jane była jeszcze bardziej stanowcza.

Hałas nasilał się z każdą chwilą. Obiad był gotowy. Jane i Scott próbowali mnie namówić, żebym zostawiła Steviego w kołysce.

- Trzymanie go na rękach nic nie pomoże, a ty musisz jeść - tłumaczyła mi Jane.

- Na pewno zaraz zaśnie - zapewnił mnie Scott, ale wiedziałam, że i on nie lubi zostawiać naszego synka samego w chwilach takiej rozpacz.

Kiedy wszyscy zeszli na dół, zamknęłam się w czterech ścianach z krzykiem Steviego. Śpiewałam mu, otwierałam i zamykałam okno, potrząsałam przed buzią różnymi grzechoczącymi zabawkami. Ale Stevie płakał dalej. W końcu usiadłam tam, gdzie siedziała Jane, i czekałam tak, jak ona czekała, a potem zaległa upragniona cisza.

Spojrzałam na maleńką twarzyczkę mojego synka, umęczoną wysiłkiem. Jego ciepłe ciało było bezwładne, ale giętkie. Znow stał się różowym, spokojnym dzieciaczkiem, jakim być powinien. Znow budził czułość. Położyłam go delikatnie, jakby był z porcelany, w niebieskiej kołysce, na skutek czego muślin, upięty nad jego główką w rodzaj baldachimu, zakołysał się lekko. Nakryłam małego kocykiem i zanim zeszłam na dół, przyjrzałam mu się jeszcze dokładnie.

Kiedy po obiedzie poszłam na górę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, zaraz po otwarciu drzwi wiedziałam, że coś nie gra. W pokoju panowała ta jakaś szczególna cisza, cisza śmierci. Zanim jednak fakt śmierci dotarł do mnie, poznała go moja skóra, na której zjeżyły się wszystkie drobne włoski. Zapaliłam światło i podbiegłam do kołyski. Zerwałam z niej kocyk.

Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu oddechu Steviego, wypatrywałam go, nasłuchiwałam, wreszcie zaczęłam naciskać małe ramionko dziecka, żeby ten oddech z niego wydobyć. Wodziłam wzrokiem po jego piersiach, rączkach, buzi, szukając choćby najmniejszych oznak ruchu. Pociągnęłam go za rączkę, która powinna była wrócić na swoje miejsce. Nie wróciła. W sztywnych, zimnych paluszkach nie było życia, wiedziałam, że przede mną leży martwe ciało mojego synka, który już nigdy nie będzie oddychał.

Wisząca nad pokojem cisza zaczęła opadać w dół, ciężka, dusząca. Gardło najpierw mi się zacisnęło, a potem otworzyło, wydając długi, wysoki dźwięk. Ale gęstość ciszy tłumiła wszelkie odgłosy; nie słyszałam dosłownie nic.

Kiedy moi bliscy wpadli na górę, zdyszani, z zapadniętymi twarzami i szeroko otwartymi oczyma, nikt nie odezwał się słowem. Zaczęli napierać na kołyskę, sprawiając, że błękitny muślin zatrzepotał leciutko w szyderczym naśladownictwie życia.

Ściągnięte w wyrazie zgrozy twarze dokoła niebieskiej kołyski. Scott przezroczysty, z pobielałymi wargami. Jane z płonącymi oczyma w białej masce twarzy. I tata. Tata z ustami otwartymi jak pływak, który trochę za późno wystawił głowę dla zaczerpnięcia tchu, z oczami wytrzeszczonymi w potwornym szoku. Tata, który najpierw popatrzył na ciało Steviego, potem spojrział mi w oczy i zaraz spuścił wzrok, jakby przytłaczający go ciężar był nie do udźwignięcia.

Kiedy wyjęłam Steviego z kołyski, a on nie wtulił się we mnie całym ciałkiem i nie położył mi główki na ramieniu, miałam wrażenie, że cisza w pokoju jest ogłuszająca.

- Usiądź, Lucy - powiedział stanowczym głosem Larry.

- Uspokój się, uspokój. - Tym razem była to Jane. Ale ja nie rozumiałam ani ich tonu, ani słów. Myślałam, że w obliczu tak wielkiej nieuchronności jestem spokojna, ale Larry zachowywał się, jakby mnie aresztować: przycisnął mi ręce do ciała i zamierzył się jak do ciosu. Jane wzięła dziecko gwałtownym, stanowczym ruchem.

- Spokój, Lucy! - rozkazał mi Larry i cisza, którą, jak się dopiero teraz zorientowałam, wypełniałam wrzaskiem, przestała być taka gęsta.

Jane i Larry położyli ciało Steviego na stoliku do przewijania i zaczęli zdejmować z niego ubranka. Stevie poddawał się tym zabiegom, ale nie pomagał. Larry wziął go za puls, Jane zaś przytknęła ucho do piersi, a potem wymienili spojrzenia i wszelkie słowa były już zbędne. Mimo to Jane nachyliła się nad Steviem, uniosła w górę łokcie, położyła dłonie jedną na drugiej na jego serduszku i zaczęła się nad nim trzepotać jak długi, smukły, kościsty ptak.

- To nic nie da - powiedział Larry szorstko. - Jest już za zimny.

- Ale trzeba próbować - upierała się Jane, jednak kiedy Larry wzruszył tylko ramionami, opuściła łokcie i wtedy ja wzięłam Steviego na ręce, żeby go ogrzać, żeby nie dopuścić do tego, by uszły z niego resztki ciepła.

Larry powiedział:

- Wezwę policję. - Jego głos zabrzmiał tym razem profesjonalnie, jakby mówił do telefonu.

W odpowiedzi rozległ się ryk tak potężny, że instynktownie zasłoniłam ręką główkę i uszy Steviego.

- Policję?! A co ma do tego cholerna policja!

- Ciii, tato. - Jane próbowała go uspokoić, ale tata spojrzał tylko na nią i jego stare ramiona zaczęły się trząść. Ruchy miał konwulsyjne, dziwne. Nigdy też nie widziałam, żeby tak wykrzywił usta. Po policzkach płynęły mu łzy, zbierając się w napotkanych brzdach, a oczy szukały u Jane wsparcia, które zawsze u niej w trudnych chwilach znajdowaliśmy. Po raz pierwszy w życiu widziałam ojca płaczącego, odwróciłam się więc, odgradzając plecami mokrą twarz taty od mojego martwego synka.

- Tatusiu, to jest rutyna - powiedziała Jane swoim „szpitalnym” głosem. - Umarło dziecko i policja musi zostać zawiadomiona.

Widziałam, jak Scott drgnął na te słowa. W dalszym ciągu stał jak skamieniały przy kołysce Steviego. Nie ruszył się od chwili wejścia.

Kiedy przyjechali policjanci, trzymał Steviego na rękach, owiniętego w kocyk. Potem poprowadził ich na górę. Tymczasem pojawili się inni, niektórzy odjechali. Mnie przeszukiwał siwy mężczyzna.

- To moja wina - powiedziałam.

Mężczyzna, który uznał przesłuchanie za zakończone i właśnie zamierzał iść, zatrzymał się i spojrzał na mnie tak, jakby w tym spojrzeniu był zawarty cały ciężar jego ciała.

- Proszę?

- To moja wina. Ja powinnam za to odpowiadać. Usiadł z powrotem, tym razem bliżej mnie.

- Jak to - zapytał - jak to pani wina? - W jego szeroko otwartych oczach było coś więcej niż współczucie. Było w nich podejrzenie.

- Kocyk musiał być za ciężki. Noc wydawała mi się tak zimna, że przykryłam go grubym kocykiem, ale dziś jest już ciepło i powinnam była zmienić kocyk na lżejszy, może nawet wystarczyłoby samo prześcieradelko...

Słyszałam słowa wylewające się ze mnie i widziałam detektywa, który wyjął notatnik i coś w nim pracowicie zapisywał. W końcu spojrzał na mnie i powiedział:

- Ustalimy, czy była jakaś przyczyna śmierci. Ale w przypadku zespołu nagłej

śmierci łóżeczkowej na ogół przyczyny nie ma. Matki często obwiniają siebie, zwłaszcza matki pracujące. Usiłują znaleźć jakieś uchybienie, coś, co robiły źle, próbując w ten sposób sprawę wyjaśnić. Ale zwykle przyczyna zgonu po prostu nie istnieje.

- To moja wina - powtórzyłam. Siwy detektyw powiedział:

- Przyślę kolegę, który tu z panią chwilę posiedzi. Wyszedł, a ja słyszałam, jak Larry rozmawia z kimś w salonie.

- Wpadła w histerię - mówił. - Biegała po schodach w dół i w górę, krzycząc wniebogłosy, a kiedy weszliśmy do pokoju Stewego, miotła się po nim i wrzeszczała.

Zastanawiałam się, o kim oni mówią. Bo przecież nie o mnie. Ja przez cały czas zachowałam kamienny spokój.

Przyszedł kolega detektywa. Był młody i porządnie uczesany, z przedziałkiem. Zamknął drzwi, usiadł i przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, a potem nachylił się i syknął mi prawie do ucha:

- Czy słyszałaś słowo Boże? Otwórz swoje serce dla Boga, a on ci pomoże w twoim cierpieniu. Mogę ci dać numer telefonu, żebyś zadzwoniła do mojego kościoła, tam uzyskasz pomoc od kobiety. Tylko proszę cię, nie mów mojemu koledze, że ci to powiedziałem. - Spojrzałam w jego jasne oczy, nie rozumiejąc nic z tego, co do mnie mówił, ale bez wrogości. Dla mnie był on częścią szaleństwa tej nocy.

Wkrótce przyszła Jane i usiadła koło mnie. W milczeniu wzięła mnie za rękę i wtedy młody detektyw wyszedł.

Znacznie później przyszedł Scott z dzieckiem na rękę, zawiniętym w kocyk, odchylony tak, że ukazywał małą nieruchomą twarzyczkę.

- Zaraz go zabiorą - powiedział, ale głos mu się załamał i rozprysł na tysiące kawałków. A kiedy mi wręczał sztywną kukielkę, która kiedyś była Steviem, łzy popłynęły mu strumieniami po twarzy.

W drzwiach stali, podświetleni od tyłu, mężczyzna i kobieta. Byli ubrani w schludne, luźne uniformy, bardzo ciemnogrnatowe, prawie czarne. Jak sępy czekali na ciało mojego syna. Odwróciłam się do nich tyłem z nienawiścią.

- Nie ma pośpiechu, kochanie - powiedziała kobieta.

Przytuliłam do siebie sztywne ciało w dramatycznym akcie pożegnania, wpatrując się w nie zachłannie. Kiedy znów się odwróciłam, zobaczyłam, że kobieta zdążyła się

tymczasem do mnie zbliżyć i stała teraz z wyciągniętymi rękami, gotowa wziąć ode mnie dziecko. Pustka miejsca, kiedyś wypełnionego przez synka, była tak dojmująca, że przenikała głębiej niż do mojego serca, wdzierając się do samej duszy. Kiedy tamta dwójka wyszła ze Steviem, poczułam samotność, jakiej nie byłam w stanie sobie wyobrazić; poczułam wieczność samotności, samotność grobu. Zatkanam uszy, żeby nie słyszeć, jak odjeżdżają.

Gdy podniosłam oczy, zobaczyłam tatę. Jego twarz wyrażała nieszczęście. Na chwilę nasze oczy się spotkały we wzajemnym potwierdzeniu odniesionych ran, po czym jego napełniły się łzami. Nie odwrócił wzroku.

- Nie da się... - Usiłował coś powiedzieć, ale głos mu się załamał. Kilka razy zaczynał to samo zdanie, zanim je wreszcie skończył. - Lucy... nie da się uciec od bólu, który jest jeszcze przed tobą,

Skinęłam głową i otworzyłam usta, ale głos odmówił mi posłuszeństwa, był jak tępy nóż, który nie chciał kroić słów. Pragnęłam powiedzieć tacie, że w jakiejś pierwotnej głęboko ukrytej części mego umysłu, która nie podlega racjonalnym procesom myślowym ani kontroli, a także nie ma nic wspólnego z codziennością, pogodziłam się z moim bólem, że jestem gotowa przyjąć go nie jako obcego, tylko jako starego przyjaciela rodziny.

10

W Needle Bay jest odpływ. Przez ten czas, kiedy siedzę na szczycie wzgórza, fala cofnęła się, zostawiając wzdłuż brzegu idealny pasek mokrego piasku. Słońce miejscami - tam gdzie jego promienie sięgają powierzchni oceanu - rozbiła błękitną wodę. Fale wznoszą się, mienia i opadają.

Zapalam silnik i wśród aromatycznych sosen zjeżdżam w dół. Słyszę, jak opony samochodu wydają mlaszczący odgłos na mokrej jeszcze po zimie drodze. Wkrótce słońce wysuszy ją na pył. A potem polanka wśród drzew, wiata, samochód i przycupnięty na plaży poniżej, na wprost mnie, mały drewniany domek z gankiem, który oblizują fale piasku. Kiedy się tu sprowadziliśmy, domek był świeżo pomalowany na żółty, słoneczny kolor, ale farba zdążyła już zblaknąć.

Wysiadam i czuję pod stopami igły sosnowe. Zaledwie kilkaset metrów dalej zatrzymuje mnie ich intensywny zapach i bezmiar roziskrzonej wody.

Tył domu siedzi nisko, jakby go ktoś zasadził w piasku, a on nie urósł. Potem trzeba pokonać niebezpieczne stopnie w dół i obejść dom dokoła, żeby się znaleźć od frontu, tam gdzie okna, drzwi i ganek. Moje stopy dotykają gęstego, suchego piasku, a potem brnę z wysiłkiem i kiedy wreszcie docieram do drewnianych stopni, czuję się tak jak wczoraj pod domem taty - jakbym zakończyła epicką podróż.

Na ganku siedzi Scott i patrzy w morze, tak jak sobie zawsze wyobrażałam, że na mnie czeka. Na stole, przed nim, leżą dwie otwarte książki, a on bawi się filiżanką kawy. Kiedy mnie widzi, jak z butami w rękę wlokę nogi, jego twarz zmienia się całkowicie. Rysy Scotta jak gdyby nabrzmiwiają, a potem się wygładzają, ale niekoniecznie na swoje miejsce, a ja wiem, że i on wiele razy marzył o naszym spotkaniu.

Kiedy stawiam nogę na najwyższym stopniu, wstaje i kładzie rękę na barierce. Patrzymy na siebie. Jest między nami presja trzech lat i pewna nieśmiałość. Mimo to idę na skrót przez te trzy lata, podchodzę do niego i Scott bierze mnie w ramiona, a ja się czuję, jakbym wskoczyła w stare ciuchy, które dawno temu ułożyły się do ciała. Przyciska mnie do siebie coraz mocniej, aż wreszcie cały zaczyna się trząść, i wiem, że płacze. Stoję, otulona ciepłem tego wielkiego mężczyzny, bezpieczeństwem jego ramion.

Wreszcie - a jest to trudna operacja - siadamy razem przy stole. Trzymam go za rękę i głaszczę po dużej kudłatej głowie, a Scott płacze i płacze. Czuję się, jakbym głąskała lwa. Odsuwam jedną z książek, żeby jej nie zamoczył. Szepczę, że jest mi przykro, a on w odpowiedzi płacze jeszcze bardziej.

- Przepraszasz za to, że wyjechałaś? - pyta zdławionym przez łzy nie swoim głosem.

- Nie wiem.

- To dlaczego jest ci przykro?

- Bo wydaje mi się, że to wszystko moja wina.

Scott odwraca się i patrzy prosto na mnie. Oczy ma czerwone, twarz opuchniętą.

- Ale że co jest twoją winą? Stevie? Ojciec?

- Wszystko. Wszystko, co powoduje, że płaczesz.

Scott się prostuje, obejmuje mnie ramieniem i oboje patrzymy w morze jak tamta para, która się tu sprowadziła w cztery lata od pierwszego spotkania, w trzy lata po ślubie i w dwa tygodnie po śmierci Steviego.

- Jesteś zły? - pytam. - Czy jesteś na mnie bardzo wściekły?

- Byłem na ciebie zły przez trzy cholerne lata, Luce - odpowiada. - W myślach nieraz na ciebie wrzeszczałem. A teraz... kiedy jesteś, nie chce mi się wrzeszczeć, tylko płakać.

Po pewnym czasie, wypełnionym jego płaczem, Scott mówi:

- Nie mogę uwierzyć, że Eryk nie żyje. Jeszcze w sobotę tutaj siedział. Kochałem tego faceta bardziej niż własnego ojca. - Głos mu się łamie, odmawia posłuszeństwa, więc żeby go pocieszyć, przysuwam się bliżej; w tej chwili mieszczę się dokładnie pod jego ramieniem. Zupełnie zapomniałam, że tak dobrze do siebie pasujemy.

- A jak tata się czuł w sobotę? - pytam.

- Był milczący. Pewnie dlatego, że akurat wypadła rocznica śmierci Steviego. Milczący i smutny. Myślałem o tym, jak wiele smutku było w jego życiu

- Nie! - protestuję instynktownie. Nie chcę, żeby życie taty było smutne, mimo że nie dalej jak wczoraj nie mogłam sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek się śmiał.

- Naturalnie, że miał smutne życie. Ożenił się z olśniewająco piękną kobietą, która - jak się okazało - nie była fascynująca jako Rosjanka, tylko jako osoba psychicznie chora. To smutne. No i stracił małego synka. A potem wnuka. I wreszcie twój wyjazd. Wszystko to razem jest ogromnie smutne, z jednym wyjątkiem - że bardzo nas do siebie zbliżyło. Obu nam bardzo ciebie brakowało i do tego Eryk doskonale rozumiał wszystko, co miało związek ze Steviem. Bo ja się przekonałem, że mogę być blisko tylko z tymi, którzy potrafią zrozumieć sprawę Steviego.

Teraz, kiedy się znalazłam w domu, gdzie mnie kochają, dociera do mnie, że w Nowym Jorku nie jestem blisko absolutnie z nikim.

- Przesłuchiwała mnie wczoraj policja - mówi Scott. - Jakbym był cholernym podejrzanym. Mówiłem tej kobiecie, jak bardzo kochałem Eryka, ale ona to zignorowała, jakbym mówił coś wstydliwego.

- Kto cię przesłuchiwał?

- Kobieta detektyw. Był też mężczyzna, starszy facet. Nic nie mówił, ale dużo kiwał głową i myślę, że rozumiał. Wszystkie pytania zadawała ona. Cały czas miałem wrażenie, że już gdzieś ją widziałem. I wtedy, tamtego ranka, sobie przypominałem. Widziałem ją w naszym starym domu na Lalupa. Wydaje mi się, że była u nas tamtego dnia, kiedy umarł Stevie.

Gapię się na niego, tak bardzo wytrzeszczam oczy, jakby były szklanymi bańkami, które w każdej chwili mogą pęknąć.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Scott?

- Tylu ich się wtedy kręciło, wchodzili i wychodzili, jakby się zebrał u nas cały komisariat. Ale jestem przekonany, że ona była wśród nich.

- Nie - mówię. - Nie, ja jej nie poznaję, nie przypominam sobie nawet, żeby była u nas wtedy jakakolwiek kobieta.

- Czy już byłeś na grobie Steviego? - pyta Scott. Potrząsam głową.

- Wiem, przysłałeś mi to zdjęcie nagrobka, ale ja grób Steviego w dalszym ciągu pamiętam jako wzgórek pokryty kwiatami.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Tak.

Nie słyszałam samochodu, więc na widok dwojga ludzi, obchodzących dom, jestem trochę zaskoczona. Jane ściska mnie tak samo ciepło jak wczoraj. Czuję zapach jej perfum, a kiedy spoglądam w oczy mojej siostry, widzę jej dobrą mądrość. Wskazuje na nią delikatna struktura kostna jej twarzy i sposób, w jaki jasne włosy spadają na ramiona - bez żadnych komplikacji.

- Cześć, Lucy - mówi Larry, który stoi za nią, ciężko dysząc po męczącej przeprawie.

Scott podaje zimne napoje, rozsiadamy się na ganku, rozmawiając jak zwykle. W pewnej chwili odwracam się w stronę morza. Patrząc, jak porusza się niespokojnie w swojej wielkiej czaszy. Słyszę ich głosy, ale nie słucham słów i stopniowo rośnie między nami dystans, aż wreszcie huk fal staje się tak głośny, jakbym siedziała nad samą wodą, a ich rozmowy docierały do mnie ze znacznej odległości.

- Chodzi mi o to, czy on rzeczywiście chciał iść się kąpać? Czy został do tego zmuszony?

- We dwóch z Seymourem zaczęli jakiś nowy program fitness, który przewidywał dużo pływania.

- Big Brim jest znane ze swoich prądów.

- To prawda, ale...

- Ale nic. Gdyby rzeczywiście chciał popływać, toby nie wybrał tego zakazanego

miejsca, poszedłby tam, gdzie jest bezpiecznie, choćby tutaj. Eryk został zwabiony do Big Brim albo zmuszony, żeby tam pojechać.

Patrzę daleko przed siebie. Mogę opisać całe moje życie według plaż. Jako osoby dorosłej, przed Steviem, po Steviem, przed Scottem, po Scotcie. Jako nastolatki, członka młodzieżowej paczki, grającej w siatkówkę, jako dziewczyny zakochanej w Robercie Josephie. Jako córki, z matką i Jane, i być może z ciotką Ziną i Saszą. Widzę siebie, jak trzymam w obu rękach kule piknikowe i wkręcam je w piasek, jak zeskrobuję piasek z naczynia do chłodzenia napojów, jak wycieram piasek spomiędzy palców nóg i jak czuję jego gorąco pod stopami. Rozmowy puentowane przez szum morza, sterowane przez kierunek fal, przerywane krzykiem mew i wrzaskami dzieciaków. Wydaje mi się teraz, że nigdy nie rozstawałam się z plażą.

- Chodzi o to, że mógł umrzeć dosłownie wszędzie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie musieli go zabijać na plaży.

- Mówisz, że ktoś... że to się mogło stać w domu...?

- Niewykluczone.

- No to dlaczego zniknął jego samochód?

- Powiem ci. Bo to się nie stało u niego w domu. On tym samochodem dokądś pojechał i tam zginął. Może był świadkiem czegoś, czego nie powinien widzieć? Zabito go tam na miejscu, ciało przeniesiono na plażę. Może coś takiego. Kiedy znajdą samochód...

- Jeśli go znajdą.

- Jeśli go znajdą, to pewnie właśnie tam, gdzie się to wszystko stało.

- Jane, a czy policja wie, ile czasu upłynęło od jego śmierci do chwili, kiedy znalazł się w wodzie?

- Myślę, że z tym muszą poczekać na ostateczny wynik sekcji zwłok, a nawet i wtedy mogą tego nie wiedzieć.

- Uważasz, że ojciec zginął gdzieś wiele kilometrów stąd, a potem jego ciało zostało przywiezione do Big Brim i wrzucone do wody?

- Wszystko na to wskazuje.

- Powiedz mi, Larry, czy kiedykolwiek byłeś w Big Brim?

- No, nie.

- To wiedz, że trzeba pokonać dwie, nie, trzy wydmy piaszczyste, żeby się dostać do morza, i nie wyobrażam sobie, by można to było zrobić, niosąc ciało.

- Ale, Scott, kto by to robił? To znaczy, kto by chciał zabić Eryka?

Zapada cisza: fala rozbija się z hukiem. Krzyczy mewa. Płacze dziecko. Dzwoni telefon.

Scott zrywa się i jego kroki dudnią po drewnianej podłodze ganku. Wsłuchujemy się w ton jego głosu. Najpierw jest bardzo ostrożny. Przy pytaniu „gdzie?” słychać w nim już niepokój. Spoglądamy najpierw na siebie, a potem na drzwi domu. Jeszcze chwila i - wypełnia je potężna postać mojego męża.

- Policja znalazła samochód Eryka - mówi.

Na te słowa podskakuję lekko i wybijam łokciem pustą filiżankę po kawie, która nagle wylatuje w powietrze. Mało brakowało, żeby Larry ją złapał, ale filiżanka ląduje na wypaczonych deskach podłogi u naszych stóp. Jane idzie rozmawiać z policją, a tymczasem Scott schyla się i zbiera kawałki. Patrząc, jak leżą na jego dłoni - trzy czysto odłamane skorupki.

Pojawia się Jane, z kredowobiałą twarzą. Siada, Larry kładzie sobie jej rękę na kolanach i gładzi.

- Znaleźli samochód taty niecałe osiem kilometrów stąd na południe. W miejscowości Lowis.

- Ja wiem, gdzie to jest - mówi Scott. - Niedaleko Bellamy, dokładnie tam, gdzie się zjeżdża z autostrady w dolinę San Strana. Ale jak to możliwe...?

Jane, nie czekając na koniec zdania, wzrusza ramionami.

- Policja jeszcze nie wie, jak to możliwe. Na razie zabezpieczyli na oldsmobilu wszelkie możliwe ślady. Pytali mnie, gdzie go mają odstawić. Uznali, że najtaniej będzie, jeśli odholują go do domu taty, więc się zgodziłam... ale nie wiem, czy nie powinni od razu zawieźć go na złomowisko.

Patrzemy po sobie.

- Cieszę się, że samochód wróci na swoje miejsce - mówię. Uspokaja mnie myśl, że po wizycie policji w domu taty wszystko wróci do normy, łącznie z samochodem.

Ale Larry potrząsa głową.

- Czas na zmiany, Lucy, już nigdy nic nie będzie takie, jak było. Musisz to

zrozumieć.

Patrzę na plażę, na pasy kolorów. Jasny brąz tam, gdzie piasek jest suchy, potem skrawek mokrego piasku przy samej wodzie, a później błękit jasny i ciemny i wreszcie - tam gdzie rozciąga się bezkresna głębia bez dna - nieprzenikniona czerń.

11

Bellamy jest ładnym nadmorskim miasteczkiem. Za sklepikami, pełnymi wyrobów artystycznych, kawiarenkami i łodziami rybackimi, które stanowią atrakcję turystyczną, znajduje się posterunek policji i niewielki budynek sądu. Jane, Larry i Scott próbowali mi wyperswadować wizytę w miejscowej kostnicy. W końcu Scott uparł się, że pójdzie ze mną.

- Tylko się niepotrzebnie zdenerwujesz - powiedziałam. Ale zacisnął szczęki w sposób, jakiego u niego nie pamiętam, i oświadczył, że i tak pójdzie.

Sprawdzamy adres i ulicę, ale wygląda na to, że budynek, którego szukamy, po prostu nie istnieje. Łazimy tam i z powrotem i na próżno wypatrujemy napisu „Kostnica”.

- Zapytajmy w bibliotece - proponuje Scott. Wchodzimy do bliżej nieokreślonego czworokątnego budynku i od razu wiemy, że jesteśmy we właściwym miejscu.

Orientujemy się po zapachu, który - na pewnym zwierzęcym poziomie - rozpoznajemy jako zapach śmierci.

Naciskamy dzwonek i mężczyzna w białym fartuchu odsuwa szybkę w ścianie.

- Czy państwo są umówieni? - pyta, mierząc nas wzrokiem.

- Lucy Schaffer, trzecia trzydzieści. - Nagle czuję, że wzbiera we mnie chichot, i mężczyzna to najwyraźniej widzi. Patrzy na mnie nieprzyjemnym wzrokiem i mówi opryskliwie:

- Pani jest spóźniona. - Ma na nogach białe obuwie i przypiętą do klapy plaketkę ze zdjęciem w rogu, która informuje: „David Davis, asystent medycyny sądowej”. - A jak pani sobie wyobrażała kostnicę? - pyta, jakbyśmy się z nim sprzeczali. Nie odpowiadamy.

Bocznymi drzwiami prowadzi nas do wielkiego rześście oświetlonego pomieszczenia. Odór jest tu silniejszy, bardzo silny. Scott patrzy na mnie i marszczy nos. Jest to zapach palonej gumy. Zapach smutku, który odziera istotę ludzką z wszelkiej nadziei, godności. Zapach środka dezynfekcyjnego.

- Dziś mamy dzień brzydkich zapachów - informuje nas mężczyzna. - W tym tygodniu przywieźli nam kilku denatów z ulicy, dlatego tak śmierdzi. Ja normalnie nic nie czuję, to kwestia przyzwyczajenia, ale dziś nawet do mnie ten zapach dociera. Dla was musi być trudny do wytrzymania.

Mężczyzna prowadzi nas środkiem dusznego, pozbawionego okien pomieszczenia, z obu stron wyłożonego wielkimi metalowymi szufladami. Mniej więcej w połowie zagląda do swoich notatek i sprawdza nazwisko na szufladzie. Profesor Eryk Schaffer. Gapię się w osłupieniu.

Scott odwraca się do mnie gwałtownie. W sztucznym oświetleniu kostnicy jego twarz wydaje się niebieska, jakby sina.

- Możesz się jeszcze rozmyślić, Luce - mówi. - Jeszcze nie jest za późno.

Mężczyzna trzyma rękę na uchwycie szuflady. Pytająco unosi brwi. Jest młody i ma regularne rysy. Wysuwa szufladę. W środku widzę prześcieradło, a pod nim ciało taty - leży tak samo jak ciało Steviego pod kocym.

- Luce... - syczy mi do ucha Scott. - Nie rób tego. Nie patrz. - Stoi tak blisko mnie, że czuję na włosach jego ciepły oddech.

Ale ja skinieniem głowy daję znak asystentowi, który odwija prześcieradło, jeszcze raz odsłaniając przede mną dziwną maskę śmierci. Odlew twarzy taty. Białej, chudej i pomarszczonej jak lalka, którą ktoś zostawił na deszczu.

U nasady szyi, tam gdzie u lalki wypadałby szew, widać - jakby grube sznurowanie rękawicy bejsbolowej - fioletowe pryszcze.

- Och! - wyrwało mi się cicho.

Scott odwrócił się, z ręką przy ustach.

- Och! - mówię. - Jaki on jest zimny.

David Davis wybucha nienaturalnym śmiechem. Mówi z zapalem:

- Oni tu wszyscy są zimni. Dla nich to jest Alaska.

Scott zaczyna się dławić. Wstrząsają nim potężne skurcze. Cały czas zatyka ręką usta.

- Czy mogę chociaż na chwilę zostać z moim ojcem sama? - pytam.

David Davis robi niezadowoloną minę. Pracuje ze zmarłymi, a oni są niewymagający. Nie jest przyzwyczajony do uczynności.

- Nasze przepisy na to nie pozwalają.

Z niepokojem patrzę najpierw na Scotta, a potem na asystenta.

- Bardzo pana proszę, naprawdę na krótką chwilę.

Mężczyzna patrzy na zieloną twarz Scotta, na jego wstrząsane konwulsjami ciało i wzdycha.

- Proszę za mną - zwraca się do niego i ruszają z powrotem, a ja przez moment patrzę, jak idą wśród lśniących stalowych szuflad kostnicy niby przez gigantyczną kuchnię.

Odwracam się do taty, ale nagle zapadają ciemności. Ciało mojego ojca, cały świat znika w jakiejś czarnej czeluści, gdzie ciemność ma nienaturalną wszechogarniającą gęstość. Serce wali mi gwałtownie, jego łomot wypełnia uszy, w palcach rąk i nóg czuję mrowienie. Wszystko to, czego boję się najbardziej, o czym staram się nigdy nie myśleć, ale co czasami krzyczy do mnie w najgorszych snach - wszystko to nagle otacza mnie dookoła. Otwieram usta, żeby krzyczeć, ale nie mogę złapać tchu. Duszę się - dopadają mnie moje nieokreślone strachy, fetor i ciemność. I wtedy nagle zapala się światło.

- Och, przepraszam! - woła David Davis od drzwi. - Po prostu za każdym razem, wychodząc z kostnicy, odruchowo gaszę światło. Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem. - Drzwi zatrząskują się za nim z hałasem.

Tata leży w swoim metalowym łożu, nieświadom bicia mego serca i drżenia palców. Nieświadom niczego. Nachyliłam się nad nim i jego bezruch mnie uspokaja. Chcę mu powiedzieć coś, czego bym mu nigdy nie powiedziała za życia, ponieważ nie byliśmy taką rodziną.

- Kocham cię, tato.

Ale taty tu nie ma pod tą zimną maską. Nie słyszy mnie.

Jest w dalszym ciągu duży. Śmierć mu tego nie mogła odebrać. I w dalszym ciągu ma w twarzy tę siłę, która przyciągała do niego ludzi. Wystające kości policzkowe, mocna dolna szczęka, wysokie czoło. Nawet kiedy jego ciało się rozłoży, co teraz, po śmierci, nieuchronnie nastąpi, to i tak sam szkielet zaświadczy o tym, że był kimś dużym, silnym i wyjątkowym.

- Chcę, żebyś wiedział, że nie kocham cię mniej tylko dlatego, że nie żyjesz.

Wzdłuż lewego policzka taty dostrzegam jakieś opuchlizny nienaturalnie sinego

koloru, niektóre z nacięciami pośrodku. Nachylam się, żeby je lepiej zbadać. Nie podobają mi się. Udaję, że ich nie ma, i wtedy widzę, że tata postarzał się bardzo od naszego ostatniego spotkania. Ale twarz poorały mu jednak troski, nie wiek. Teraz nie widać na niej trosk, tylko patynę wieku. Dotykam jego włosów, bielszych i rzadszych niż trzy lata temu, ale w dalszym ciągu swoim dostojenstwem przypominających lwią grzywę. Przyglądam się siatce drobnych zmarszczek na policzkach, małym bliznom, myszce, piegom, niewielkiemu pryszczowi poniżej ucha. Znakom, które się gromadziły przez ponad siedemdziesiąt lat. Hieroglifom życia, opowiadającym dzieje ojca tym, którzy potrafią je czytać po śmierci.

- Tato, czym się tak martwiłeś? Mną? Mam nadzieję, że nie - szepczę.

Delikatnie odginam z boku prześcieradło, odsłaniając rękę. W jasnym błękitcie żył zachowała coś z oceanu. Porządnie utrzymane paznokcie, wypukłe kłykcie palców. Duże, kwadratowe, praktyczne dłonie. Lubiałam patrzeć, jak ojciec nimi pracuje. Jak robi różne rzeczy. Naprawia. Jak silnymi, precyzyjnymi ruchami rąbnie skały, które wreszcie poddają się w obłokach pyłu.

Leciutko dotykam palca. Nie jest to jednak ludzki palec, tylko zimny, zręcznie wykonany model. Przyglądam się liniom jego dłoni, nadgarstka. Lewego. Widzę na nim jakby bransoletkę białego ciała, cienką jak igła. Dotykam, ale ledwie ją wyczuwam opuszkami palców.

Kroki. Jednakże nie ciche skradanie się Davida Davisa, tylko energiczny stukot wysokich obcasów. Odkładam rękę taty, delikatnie, jakby była ze szkła, i kiedy podnoszę wzrok, widzę przed sobą kobietę w niebieskim jedwabnym kostiumie, eleganckiej skromnej biżuterii i ze staranną fryzurą. Ciekawe zderzenie zapachów - perfum i śmierci. Czy ona to wszystko nosi dla zmarłych?

- Czy pani ma pozwolenie na przebywanie w kostnicy? - pyta.

- Tak. Mój mąż... - Obcość tych słów, po tylu latach, działa na mnie jak wstrząs. - Mój mąż źle się poczuł i David Davis go wyprowadził.

Kobieta robi wrażenie ugłaskanej.

- Będę musiała z panią zostać albo proszę wyjść do powrotu męża. Nie pozwalamy tutaj na wizyty bez nadzoru.

- Czy pani jest lekarzem medycyny sądowej?

- Tak.

- Czy to może pani przeprowadzała sekcję zwłok mojego ojca?

Kobieta wzdycha. Zastanawiam się, w jakim jest wieku. Jej ubranie, uczesanie i makijaż przypominają przebranie. Czy i ja w ciągu ostatnich trzech lat chodziłam w przebraniu?

- Owszem, ja. Ale nie mogę zdradzać żadnych szczegółów.

- A może mi pani powiedzieć, co to jest to?

Pokazuję cienką białą obrączkę wokół nadgarstka taty. Kobieta patrzy na nią, ale nie zbliża się ani do mnie, ani do ciała. Nie potrzebuje. Jest oswojona z takimi bliznami. Waha się.

- Proszę mi powiedzieć - nalegam. Wreszcie mówi:

- To ślad po próbie samobójczej. Zapiera mi dech, nie mogę się ruszyć.

- Sprzed wielu lat. Profesor Schaffer musiał być wtedy młodym człowiekiem.

Potrząsam głową.

- Nie, nie, to niemożliwe. On by nigdy czegoś takiego nie zrobił.

- Był praworęczny i próbował sobie podciąć żyły lewej ręki.

- Ale ja nigdy dotychczas nie zauważyłam tej blizny.

- Rozumiem, że sprawa musi być dla pani trudna, ale jest to klasyczny ślad samookaleczenia: blizna, wyraźnie głębsza po lewej stronie niż po prawej. Zmarły zdołał dokonać całkiem głębokiego cięcia, zanim zrezygnował. Prawdopodobnie odgiął rękę tak, że naczynia krwionośne schowały się za ścięgna i kość, i ból okazał się zbyt wielki, żeby mógł się skutecznie targnąć na swoje życie.

- Ale kiedy? Kiedy on to zrobił?

- Mogę pani powiedzieć jedynie, że bardzo dawno. Wpatruję się w nadgarstek taty.

- Nie zauważyła pani tej blizny, bo się jej pani nie spodziewała. Poza tym pewnie nosił nisko zegarek.

- A te sine ślady po lewej stronie twarzy... co to takiego?

- Siniaki.

Tym razem jestem szybka.

- Siniaki? To znaczy, że była jakaś bójka? - pytam.

Jestem zdecydowana nie płakać. Jeśli sobie na to pozwolę, kobieta przestanie

odpowiadać na moje pytania. Zadzwoń po kogoś, a sama - klik, klik - odmaszeruje na swoich sztyletach.

- Nie mogę powiedzieć, czy była jakaś bójka, w każdym razie te obrażenia na pewno nie są śmiertelne. Mogły powstać tuż przed śmiercią albo zaraz po niej, ale z pewnością nie były takie wielkie jak teraz; sine wylewy rozchodzą się jeszcze w kilka dni po śmierci. Do czasu pogrzebu profesora będą znacznie ciemniejsze.

Mój głos jest zbyt napięty, by mógł zadowolić lekarzkę medycyny sądowej, przyzwyczajoną do pełnego dystansu, wręcz klinicznego tonu wypowiedzi.

- A co ze skaleczeniami?

- Też nie są śmiertelne. Uszkodzenia skóry nie są głębokie i omijają zarówno tętnice, jak i żyły. Zostały spowodowane uderzeniem twardym, ostrym przedmiotem, może odłamkiem skały, trudno powiedzieć. Niestety, siniaki nie odzwierciedlają kształtu przedmiotu, który spowodował uraz.

Zapominam o klinicznym tonie.

- Uważa pani, że ktoś uderzył tatę w twarz? Kamieniem? Kobieta wzdycha, jej biżuteria dzwoni niczym poirytowana.

- Kilka obrażeń wskazywałoby na atak ze strony praworęcznego napastnika, ale moim zdaniem to raczej Ocean Spokojny spowodował te obrażenia wkrótce po śmierci pani ojca.

- Ale... ale czy Big Brim nie jest plażą piaszczystą? Kobieta wzrusza ramionami.

- Tu już wkraczamy w kompetencje detektyw MacFarlane.

- A czy... czy ojciec cierpiał, umierając?

Kobieta się waha. Mam nadzieję na szybką, szczerą odpowiedź i czekam na taką. Ale ona mówi:

- Mam nadzieję, że nie. Jeśli denat walczył ze śmiercią albo był w wielkim stresie, można to poznać po wielu objawach. Skutki stresu są wyraźnie widoczne nie tylko na twarzy. Czasem inne mięśnie kurczą się tak, że całe ciało bywa wygięte w kabłąk. Zdarza się, i to wcale nierzadko, że kiedy człowiek walczy ze śmiercią, ma połamane albo wbite w dłoń paznokcie.

Odwracam głowę. Myślę nie o tacie, tylko o Steviem. Buzię miał spokojną, jakby spał, ale sposób, w jaki leżał w kołysce, z lekko uniesioną rączką, mógł świadczyć o tym,

że w instynktowny, nieskuteczny sposób walczył ze śmiercią.

Ton kobiety nie łagodnieje, ale w jej głosie pojawia się leciutka nuta jak gdyby życzliwości.

- U profesora Schaffera żadnych takich oznak nie było. Patrzą jej prosto w oczy.

- Czy pani jest pewna, czy jest pani przekonana o tym, że mój ojciec padł ofiarą zabójstwa? Nikt z tych, co go znali, nie może uwierzyć, że został zabity.

Dyskretny śmiech złotej biżuterii. Pani doktor nie lubi, by kwestionować jej opinie.

- To może - mówi ostro - nikt go tak naprawdę nie znał? W kostnicy zalega cisza.

Kobieta mięknie trochę.

- W przypadkach utonięć - wyjaśnia - znajdujemy w ciele okrzemki, mikroskopijne algi, obecne w wodzie morskiej. Serce wpompowuje je tam podczas zanurzenia. Jeżeli człowiek zostanie wrzucony do wody już martwy, to okrzemki nie dostają się do żadnego organu poza płucami. U pani ojca znalazłam je tylko w płucach.

- Ale w jaki sposób umarł?

Poprzez makijaż kobiety przebija się jakaś nieznaczna mimowolna reakcja.

- Co do tego nie mam jeszcze pewności. Jeszcze się temu przyjrzymy.

Prawdopodobnie w piątek będziemy z tym gotowi, a ciało wydamy w przyszłym tygodniu.

Otwierają się drzwi. Wchodzi David Davis, asystent medycyny sądowej, tym razem sam. Kobieta traktuje to jako okazję do wyjścia, ale zrobiwszy krok czy dwa, zatrzymuje się i odwraca.

- Panno Schaffer? Kiwam głową.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca.

- Dziękuję.

- Powinam to była powiedzieć już wcześniej. W mojej pracy łatwo zapominamy, jakim skomplikowanym i interesującym człowiekiem był zmarły.

Kobieta idzie do wyjścia. Asystent woła do niej jeszcze:

- Bardzo przepraszam, doktor Ball. - Jego głos niesie się swobodnie w cichym pomieszczeniu. Ton mężczyzny jest pełen szacunku. Mogę dać głowę, że jej nigdy nie zgasił światła. - Musiałem na chwilę wyjść, bo mąż tej pani dostał torsji.

Doktor Ball macha ręką i znika.

Po raz ostatni rzucam okiem na leżący w szufladzie nieruchomy kształt,

zamieszkiwany kiedyś przez tatę.

- Do widzenia - mówię.

David Davis przykrywa rękę taty i naciąga prześcieradło na jego twarz. Szyny szuflady dudnią, kiedy ciało wjeżdża do metalowej niszy.

Scott, z twarzą w dalszym ciągu białą jak papier, siedzi w poczekalni, gdzie odór nie jest tak silny. Na mój widok wstaje. W milczeniu kierujemy się do drzwi. Po ich przekroczeniu uwolnimy się całkowicie od przykrego fetoru.

- Dziękujemy za pomoc - mówimy, a David Davis uśmiecha się w odpowiedzi.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnia. - Dobrze czasem zobaczyć tutaj jakąś żywą tkanę. - Uśmiecha się szeroko. Użył sobie na nas, wykorzystując swoją pozycję.

Wychodzimy z kostnicy i ogarnia nas ciepło późnopołudniowego słońca. Grupa umundurowanych policjantów opuszcza budynek sądu i idzie wolno, jakby im to sprawiało przyjemność. Na ulicy pełno kolorowo ubranych ludzi. Większość zmierza w tym samym kierunku, jakby brali udział w jakimś żwawym tańcu. To jest życie, a my, wracając do samochodu, rozkoszujemy się jego pieśczętą.

- Ten świr specjalnie zgasił ci światło - mówi Scott w drodze powrotnej do Needle Bay.

- Widać było, że mu to sprawia przyjemność.

- Jestem przekonany, że robił to nieraz. Kiedy wyszliśmy, powiedział, że większość kobiet w takiej sytuacji wrzeszczy.

- Kiedy człowiek jest naprawdę przerażony, to nie wrzeszczy.

- A byłaś naprawdę przerażona?

- Tak. Przeżyłam weekend w piekle. Scott wzdycha.

- Jezu, Luce, to naprawdę nie do wiary, że ktoś mógł zabić Eryka, zwłaszcza ktoś znajomy. Całą noc łamałem sobie głowę... - Scott, ubrany w sweter, może dwa, siedzi na ganku, a w ciemności huczą fale. Myśli, odgrzebuje w pamięci przyjaciół, których ojciec kiedykolwiek wspominał, próbuje przypomnieć sobie ich nazwiska, szuka wyjaśnień. - On przecież nie miał żadnych wrogów. Owszem, bywał irytujący, przekonanie go w jakiejś dyskusji wydawało się niemożliwe, poza tym tak bardzo trzymał emocje na wodzy, że czasem doprowadzał mnie tym do szału. Ale kto by mógł go zabić? Chyba że ktoś jeszcze

z czasów jego dzieciństwa...

- On się od tego odciął, Scott. Nie miał żadnego kontaktu z rodziną, a oni nie mieli szansy go znaleźć.

- To może później, kiedy był młodym człowiekiem... Kiedy tata był młodym człowiekiem, to próbował przeciąć sobie żyły w lewym nadgarstku.

- Czy ludzie rzeczywiście potrafią wyrównywać rachunki z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem? - wzdygam.

Jedziemy w milczeniu. Zatrzymujemy się na światłach i tam, na skrzyżowaniu, stoi mężczyzna o bujnych włosach do ramion, z kawałem tektury, na którym nabazgrał: „Jestem weteranem wojny wietnamskiej. Walczyłem za mój kraj, a teraz nie mam ani dachu nad głową, ani pracy. Czuję się zdradzony. Proszę o pomoc”.

Scott sięga do portfela i macha banknotem przez okno. Facet podchodzi i bierze pieniądze.

- Dziękuję, sir. Bogu dzięki ma pan tyle cholernych pieniędzy, że może pan jeszcze rzucić ochłap takiemu jak ja niczym zwykłemu żebrakowi.

Zmieniają się światła i szybko odjeżdżamy.

- Do diabła - mówi Scott. - Ostatni raz daję cokolwiek tym facetom.

Patrzę na niego. Wydaje się zdruzgotany agresją tego człowieka. W dalszym ciągu jest blady i zgarbiony, jakby cisnęła go koszula.

- Tak samo by postąpił tata - mówię. - Zawsze dawał pieniądze ludziom na ulicy. A jeśli się spotykał z czymś takim, tylko wzruszał ramionami, bo rozumiał, jak trudno jest brać od innych.

- Aha - bąka ponuro Scott.

Kiedy dojeżdżamy do Needle Bay, plaża jest już prawie pusta i słońce chyli się ku zachodowi. Siedzimy na ganku i widzę, jak ciało Scotta zaczyna stopniowo odzyskiwać swoją normalną krągłość, a na policzkach pojawia się różowy refleks popołudniowego słońca.

- Czy Eryk bardzo się zmienił od czasu, kiedy go ostatni raz widziałaś? - pyta.

- Chyba się trochę postarzał. I wyglądał, jakby... jakby był zatroskany.

Scott kiwa głową.

- Tak.

Czuję, że głos mi się łamie, jakbym nim rzuciła o kamienny mur.

- Czym on się zamartwiał?

- Nie wiem. Ale kiedy się na niego patrzyło tak, że on o tym nie wiedział, widać było, że jest to człowiek, który ma poważne problemy. Problemy, z którymi należy się zmierzyć, gdy przyszedł czas. Tak chyba było. Że miał problemy. Och, na miłość boską, Luce, nie chciałem cię doprowadzić do łez...

- Powinam tu być - szlocham. - Powinam być ze względu na niego.

Scott obejmuje mnie ramieniem, ale mówi dalej:

- To nawet dobrze się składa, że Eryk umarł jakoś tak blisko rocznicy śmierci Steviego. Dobrze, bo śmierć Steviego miała dla niego wymiar katastrofy i odnoszę wrażenie, że od tamtej pory nie był już tym samym człowiekiem. Jakby się na niego zważyło o jedno nieszczęście za dużo.

Widzę małe ciało Steviego: leży w niebieskiej kołysce, jakby się bezwolnie unosiło na wodzie, wywołując nie małe zmarszczki, ale tsunami. Szlocham i szlocham.

Scott bierze mnie w ramiona, a ganek obejmuje nas jak stary, czuły ojciec. Czas i warunki atmosferyczne sprawiły, że farba z jego filarów oblażała i zostało gołe szorstkie drewno.

Plaża jest pusta, z wyjątkiem dwojga amatorów kąpieli, którzy ben, daleko wchodzą ostrożnie do morza. Wahają się, czując lodowate zimno wody, ale już po chwili idą dalej. Wkrótce stają się tylko dwiema małymi główkami na powierzchni oceanu. Wielkie cielsko wody unosi ich, a potem strąca w dół, niczym wielki kot igrający ze swoją ofiarą.

- Czy myślałeś kiedyś o tym, żeby się stąd wynieść? - pytam. - Może coś gdzieś kupić?

- Wkrótce nie będzie wyboru.

- A co, właściciel naciska?

- Ocean naciska. W przyszłym miesiącu fala będzie wyjątkowo wysoka, a jeśli jeszcze do tego pogoda się popsuje... no, cóż, pewnie będę musiał się na kilka dni wynieść.

Wyobrażam sobie, jak gigantyczna fala ciska w domek wielką masą wody, rozbijając go w drobny mak. Mały domek, teraz zbiorowisko luźnych rur, desek, krzeseł i zardzewiałych rondli, wirujących w porywach wiatru, który rozrzuca je w różne strony.

- W ubiegłym roku, przy wysokiej fali, poszło mi okno - mówi Scott.

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

- Byłeś wtedy w domu?

- Byłem.

- Och, Scott, sam?

- Nie. Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie, ale to był tylko pył wodny. Następnym razem może być gorzej.

- Czy to się stało w nocy?

- W samym środku nocy. Kiedy kładliśmy się spać, morze robiło wrażenie całkiem spokojnego.

Sam środek nocy i ktoś tu u Scotta spał. Coś mi się kurczy w żołądku, jak morski ukwiał.

- A kto tu u ciebie mógł w nocy spać? - pytam, za szybko, i zaraz tego żałuję. Scott nie patrzy na mnie. Jego twarz jest teraz bardziej różowa niż morze, różowa jak samo słońce. Zwraca się do mnie tonem, w którym wyczuwam agresję i szyderstwo, jak u tamtego weterana wojny wietnamskiej, który walczył za swój kraj, a teraz jest bez dachu nad głową i bez pracy.

- A cóż cię to może obchodzić?

- Przepraszam za to pytanie. Nie mam prawa się tym interesować.

Patrzy na mnie spode łba. Nagle jego ramiona robią się kwadratowe, a ciało jak gdyby się składało z samych kątów prostych.

- Mam dziewczynę - mówi. - Uczy francuskiego na kampusie. Wiele lat mieszkała we Francji. Ma tam syna, który jest z jej byłym mężem. Akurat teraz spędza z synem ferie.

- We Francji?

- We Francji.

- U tego byłego męża? Twarz Scotta robi się chmurna.

- Daruj sobie dalsze pytania, Luce. Nie mam zamiaru na ten temat dyskutować.

- Ja tylko pytałam, czy...

- Dość, Lucy.

Jest zły. Wiele razy widziałam, jak się złościł, ale nigdy na mnie.

- A ty, Luce? Masz w Nowym Jorku jakiegoś faceta, który jest dla ciebie ważny?

Podnoszę się do wyjścia. On również się podnosi. Staje naprzeciwko mnie.

- Nie - odpowiadam i obchodzę go dokoła. - Nie mam nikogo.

- Aha. Ale jak się dowiedziałas o Brigitte, to wychodzisz.

- Wychodzę, bo chcę dotrzeć na plażę Big Brim, zanim się zrobi ciemno.

Jest wyraźnie zmartwiony.

- Nie jedź tam sama, Luce.

- Ale ja chcę.

- Zobaczysz, będziesz się fatalnie czuła

- Umarł mój ojciec i już się fatalnie czuję.

Scott wzdycha i patrzy mi badawczo w oczy. Wreszcie mówi:

- No cóż, to rzeczywiście pospiesz się, zanim się ściemni. Ale... chwileczkę. Mam coś dla ciebie.

Wchodzimy do domu i mały salonik dosłownie na mnie skacze. W moich snach i wspomnieniach nigdy nie było tej słonej wilgoci, którą teraz czuję, buty nigdy tak głośno nie stukały o podłogę, a stare, spłowiałe sprzęty nie były takie rozedrgane.

- Tutaj! - woła do mnie z sypialni. Chce, żebym tam przysła. - Nie możesz chodzić w tych miejskich ubraniach. Mam tu w dalszym ciągu twoje stare ciuchy.

Stoi pochylony, z głową w szafie. Wewnątrz zauważam wiszące między jego koszulami damskie rzeczy. Pomyślałam, że to garderoba Brigitte, ale nie, poznaję moje stare kalifornijskie rzeczy, jakich już teraz nie noszę. Jest ich niewiele. Kiedy tu przyjechaliśmy, zaraz po śmierci Steviego, większość wyrzuciłam.

- Nie jestem pewna, czy będę je nosić...

Scott pakuje moje ciuchy do torby, a na wierzch wrzuca kostium kąpielowy.

- Weź je. Robi się za gorąco na te miejskie żakiety, zapowiadają falę upałów.

- W marcu?

- Tak mówią.

Obchodzimy dom i Scott odprowadza mnie do samochodu, a potem stoi i patrzy tak długo, aż między nami pojawi się tyle sosen, że wydają się jednym wielkim drzewem. Kiedy wjeżdżam na drogę nadmorską, widzę go jeszcze daleko, jak z rękami w kieszeniach idzie w kierunku oceanu. Chciałabym, żeby spojrzał w moją stronę, ale jego oczy są utkwione w morzu. Brigitte. Szkoda, że mi o niej powiedział.

Zatrzymuję się na odsłoniętym parkingu w Big Brim. Parking, położony na poziomie morza, ciągnie się wzdłuż autostrady. Nie ma tam drzew. Nie ma też żadnego innego schronienia. Po intensywności światła domyślam się, że ocean musi być blisko, zasłania go jednak równoległa do drogi góra piachu. Pęd śmigających pojazdów kołysze moim samochodem. Kiedy otwieram drzwi, ciężarówki wydają się za szybkie i za bliskie. Przy pierwszej okazji przechodzę przez asfalt i ruszam pod górę piaszczystą wydumą.

Ze szczytu dostrzegam czerwone sionce, ale ocean kryje się za kolejną wydumą i dopiero po jej zdobyciu, tym razem już mocno spocona, widzę rozciągającą się pode mną płaską plażę. Siadam, ciężko dysząc. Próbuję wyobrazić sobie wśród tych piasków tatę. Był w dobrej formie, ale nie na tyle, żeby pokonywać te wzniesienia bez częstych odpoczynków. Czy z własnej woli przyjechał tu popływać, czy został do tego zmuszony? Czy szedł tędy z kimś, kogo uważał za przyjaciela? A może za nim czy obok niego był ktoś, komu nie miał siły się oprzeć?

Słońce opadło nisko, rzucając potężny snop światła na brzeg. Daleko na morzu dostrzegam dwie łodzie rybackie. Lekko w stronę Retribution. Łodzie robią wrażenie nieruchomych. Ocean też. Jak to możliwe, że tak szybko, zaledwie w trzy godziny, przeniósł ciało taty z tej plaży do tamtych łodzi?

Plaża ciągnie się około półtora kilometra, prawie idealna gładź, niezakłócona niczym, poza widocznymi tu i ówdzie kawałkami wyrzuconego przez morze drewna i wodorostów. Po obu stronach ostre języki piasku, które - jak ktoś pewnie kiedyś zauważył - ukształtowały ocean w formie runda kapelusza. Nie widzę tu żadnych skał, które by spowodowały siniaki i zadrapania na ciele taty, chociaż mogą się kryć pod powierzchnią wody.

Zbiegam z ostatniej wydmy na brzeg, aż do miejsca, gdzie mokry piasek daje stopom solidne oparcie. Morze, zbryzgane czerwienią przez rozdęte słońce, ma kolor krwi. Czuję, jak woda kąsa mnie w palce stóp. Wchodzę głębiej, do kostek, unosząc spódnicę. Ocean jest lodowaty. I zwodniczy w tym miejscu. Kołysze się w ciszy. Zaprasza do pływania, nie ma tu bowiem wielkich fal, rozbijających się o brzeg. Namawia, by wejść w jego spokojne głębiny, ale Scott ostrzega, że prądy odrzeglone czynią z Big Brim

najbardziej zdradliwy kawałek wybrzeża.

Plaża jest w tej chwili pusta, jeśli nie liczyć dwóch osób, z których jedna zmierza w kierunku drogi. Druga, potężny mężczyzna, idzie, a raczej prawie biegnie, wzdłuż linii brzegu, w moją stronę; kilka metrów za nim drepcze mały biały piesek.

Kiedy odwracam się plecami do morza i po własnych śladach ruszam z powrotem, widzę, że mężczyzna i piesek zatrzymują się niedaleko mnie i coś zbierają - albo kawałki drewna, albo małże, choć niewiele tu zarówno jednego, jak i drugiego.

Po wydostaniu się na suchy piasek siadam. Pozostała już tylko połowa słońca, ale ogromna, barwiąca czerwienią zarówno niebo, jak i wodę, które zlewają się niemal w jedno. Czuję, że moja twarz, zwrócona ku słońcu jak gdyby z nabożeństwem, też świeci czerwonym blaskiem.

Myślę o zapowiedzianej na przyszły miesiąc wysokiej fali i o tym, że może ona zniszczyć kruchy domek Scotta, a wraz z nim wszelkie ślady naszego krótkiego wspólnego w nim życia. Choć nie, domek pozostanie tak długo, jak długo odwiedzający Needle Bay ludzie na widok drzew będą myśleli: „Czy tu przypadkiem nie było takiego małego domku?”. Małego, kwadratowego domku, przycupniętego wśród sosen? I dopiero wtedy, kiedy nie będzie już nikogo, kto by go chociaż raz wspomniał, domek zniknie na dobre.

Słońce chowa się za horyzont. Tam gdzie nad wodą wisi niebo, w dalszym ciągu widać poświatę i czerwone bryzgi na wodzie. W milczeniu patrzę na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą było słońce, myśląc o wszystkich tych domach- duchach i innych charakterystycznych punktach krajobrazu, które najpierw istniały w rzeczywistości, a później tylko w pamięci ludzi, by ostatecznie zniknąć wraz z ich śmiercią.

Może tak samo jest z ludźmi. Może istnieją tak długo, jak długo żyje ktoś, kto ich pamięta. Ta myśl mnie uspokaja. Sprawia, że tata wydaje się nie tak bardzo umarły. Mimo woli spoglądam na plażę, jakby od tego, czy będę dostatecznie szybka, zależało, czy go zobaczę, czy nie. I rzeczywiście, w wieczornym świetle, które jeszcze nie gaśnie, a już się zagęszcza, dostrzegam postać. Pojawiła się za wydmami i zmierza w kierunku morza. Kiedy się do mnie zbliża, rozpoznaję wysokiego, chudego mężczyznę w garniturze i krawacie, zupełnie nie na miejscu w tym otoczeniu. Mężczyzna musiał się tu zatrzymać w drodze z jakiegoś biura w mieście do domu. Człowiek zbierający kawałki drewna prostuje

się i patrzy. Piesek tańczy.

Tajemniczy człowiek idzie w kierunku oceanu pewnym, zdecydowanym krokiem. W ręku niesie buty. Niewykluczone - myślę - że wcale się nie zatrzyma, tylko wejdzie do wody, w garniturze i krawacie, i fale nakryją go z głową. Zrywam się w pierwszym odruchu paniki; grubas z pieskiem robi to samo. Słyszę jego sapanie i szuranie psich łap po piasku. Nim jednak zdążyli dopaść mężczyzny w chwili, gdy fala sięgała jego stóp, intrygujący przybysz odwraca się gwałtownie i zaczyna iść w przeciwną stronę, w stronę lądu. Siadam. Człowiek z psem zawraca.

Wysoka postać ukazuje się teraz w aureoli płomiennej łuny. Odnoszę wrażenie, że idzie w moim kierunku. Po chwili widzę twarz. Jest trupia. Zapadnięte policzki, wystający nos, bardzo szerokie usta, ściągnięte jak u klauna w dół, ale bez humoru.

- Dzień dobry - mówi ostrym głosem. - Przepraszam, że przeszkadzam. Czy to Lucy? Lucy Schaffer?

Gapię się na niego, a widoczne w moich oczach zdziwienie wystarcza za odpowiedź. Usta dzielą jego twarz na pół. Nieznajomy się uśmiecha.

- Jestem detektyw Michael Rougemont. Z ramienia policji prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci twojego ojca. Mieszkam niedaleko domu profesora, znaliśmy się trochę. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Skinieniem głowy wyrażam podziękowanie. Przypominam sobie chudą, wysoką postać - stał w drzwiach kuchni i rozmawiał z kobietą detektywem. Kobieta powiedziała wtedy, że jeden z jej kolegów chciałby mi zadać parę pytań. Intruz macha jakimś identyfikatorem, który ignoruję, ponieważ moje zdumienie zamieniło się w złość. Tu, na tej wielkiej plaży, zapędził mnie w kozi róg. To, że szedł prosto w moją stronę, początkowo nawet na mnie nie patrząc, wyraźnie świadczy o tym, że musiał się mnie tu spodziewać. Czuję do niego niemal fizyczną niechęć, która się bierze gdzieś z głębi brzucha. Odwracam się od niego i patrzę w ciemniejące morze.

- Proszę to wziąć do ręki - radzi mi, machając lekko identyfikatorem. - A przynajmniej spojrzeć. Autentyczność takich rzeczy należy sprawdzać.

- Mam wrażenie, że pan jest autentyczny - mówię.

Uśmiecha się i wyciąga do mnie rękę. Potrząsam nią bez przekonania. Mam uczucie, jakby moja dłoń wpadła w worek kości. Mężczyzna siada koło mnie, a ja się

znów od niego odwracam.

- Mam nadzieję, że zgodzisz się na chwilę rozmowy. Przejeżdżałem tędy akurat i postanowiłem przypomnieć sobie to miejsce.

- Pan tu już był?

- Wiele lat temu, ponad trzydzieści. Zachowuję się wobec niego impertynencko.

- I co, bardzo się zmieniło, panie...?

- Rougemont. Ale mów mi Michael. - Rozgląda się po plaży w prawo i w lewo.

Przechyla na bok wielką głowę. - Nie przypominam sobie, żeby ten facet był tutaj wcześniej - mówi w końcu, wskazując gestem gruszkowatego mężczyznę z pieskiem, wracającego plażą z naręczem drewna pod pachą.

Patrzę na Michaela Rougemonta i znów widzę na jego twarzy szeroki uśmiech. Jest wyraźnie rad ze swoich żartów. Ma żółte zęby. Nie odwzajemniam jego uśmiechu.

Nagle poważnieje.

- Twój ojciec był kimś wyjątkowym. To taki typ człowieka, którego inni słuchają i któremu ufają. Miałem wrażenie, że rodzina była zawsze dla niego najważniejsza. Nie o wszystkich można to powiedzieć. Niektórzy tak nie chcą albo nie potrafią i wtedy coś tracą. Dlatego podziwiamy takich ludzi jak twój ojciec. Chciałbym, Lucy, żebyś mi o nim opowiedziała, ale nie chodzi mi o ostatni okres jego życia. Chciałbym poznać historię profesora od samego początku.

- Ale przecież pan się zajmuje końcówką jego życia, a nie początkiem, panie Rougemont. - Nie mam najmniejszego zamiaru nazywać go Michaeliem.

Znów ten koszmarny uśmiech.

- Och! - mówi z wyraźną przyjemnością. - No cóż, tak się składa, że te dwa okresy często się ze sobą wiążą. - Z odrazą patrzę na jego uśmiech. Widzę, że lubi skojarzenia. - Przypomina mi to moją zabawkę z dzieciństwa. Lubiłem ustawiać ołowiane żołnierzyki tak, że kiedy się popchnęło pierwszego, padały wszystkie po kolei. Człowiek wiedział, że jest to nieuchronne, a jednak uważał to za fascynujące. Może właśnie ta nieuchronność jest taka fascynująca. Do diabła, Lucy, ale ty przecież nie bawiłaś się ołowianymi żołnierzykami. Ty miałaś miękkie przytulanki, na przykład pluszowego pieska.

Gapię się na niego zdumiona, ale on nie patrzy na mnie. Obserwuje morze. Wolałabym nie dawać mu satysfakcji, wynikającej ze świadomości, że ma rację.

Rzeczywiście lubiłam pluszaki, a moim ulubieńcem, wręcz przyjacielem, był właśnie brązowy piesek o poczciwych oczach i kłapciastych uszach. Miał na imię Hodges, nie przypominam sobie dlaczego.

- Co chciałby pan wiedzieć o moim ojcu?

- Wszystko, cokolwiek pamiętasz. Jakies opowieści o nim, o jego rodzinie, o młodości...

- Opowieści były specjalnością mojej matki. - A potrafiła opowiadać z odrzuconą do tyłu głową, to szeroko otwierając oczy, to je zwążając, modulując głos, gestykułując.

- Ojciec musiał coś mówić o swojej przeszłości. Z pewnością go pytałyście.

Patrzę na detektywa i w jego osobliwym, smutnym wyrazie twarzy widzę nawyk bólu. Jakies odległe cierpienie zostawiło na jego twarzy trwałe koleiny. Mówił nawet coś o stracie. Na chwilę ogarnia mnie ciekawość, nawet współczucie. Mimo to mówię:

- O przeszłości ojca tak naprawdę nic nie wiadomo. Odciał się od niej bardzo dawno temu.

Rougemont śmieje się; jest to jakiś dziwny zwierzęcy odgłos.

- Wybacz, Lucy, ale człowiek nie może zgubić swojej przeszłości, tak jak nie może zgubić swojego cienia.

Wzruszam ramionami.

- No to zerwał z nią, jeśli pan woli.

Zalega milczenie. Oboje wpatrujemy się w morze. Wyraźnie czeka, żebym zaczęła mówić. I oto - ku swojemu zdziwieniu - rzeczywiście zaczynam. Początkowo szybko i cicho, tak że delikatny szum spokojnego oceanu skutecznie konkuruje z moimi słowami i detektyw Rougemont musi przybliżyć do mnie swoje wielkie ucho, by cośkolwiek usłyszeć. A potem, stopniowo, mój głos nabiera siły, jakby go usztywniała unosząca się w powietrzu morską sól.

Opowiadam mu o dziwnych początkach taty w małej religijnej społeczności wysoko w górach Utah. Rytm godzin dnia i dni tygodnia wyznaczały modlitwy, udział w praktykach religijnych i prześciganiu się w gorliwości. Społeczność była zamknięta dla ludzi z zewnątrz i całkowicie zdominowana przez starszyznę kościelną, wśród której poczesne miejsce zajmował ojciec taty. Ale tata tego nienawidził. Zbyt sprytny na otwarty bunt, pracował jako cieśla, dzięki czemu nauczył się naprawiać dosłownie wszystkie

urządzenia. Stwarzał pozory, że wiele się modli, a w gruncie rzeczy cały czas planował - oczywiście ucieczkę.

W lecie przyjeżdżał tam raz na tydzień ciężarówką facet po ryby, które członkowie tej społeczności łowili w górskich jeziorach. Pewnego razu ciężarówka się zepsuła i ojciec prawie cały wieczór ją naprawiał. Zwolniono go z tego powodu z modlitw. Miejscowi nie chcieli, żeby mężczyzna zostawał na noc i Bóg wie co sobie wyobrażał na temat ich córek. Kiedy ciężarówka odjechała, razem z rybami zabrał się tata. Miał trzy dolary przy duszy i pajdę chleba, i chociaż kierowca w połowie drogi w dół zbocza wpuścił go do szoferki, tata śmierdział już wtedy okropnie rybami. Kiedy znaleźli się w Salt Lake City, mężczyzna zabrał go do domu studenckiego. Tutaj tata zamieszkał, znalazł pracę i zapisał się do wieczorowej szkoły. Z rodzimego środowiska raz na zawsze wyniósł awersję do zbiorowych praktyk religijnych i miłość do gór i skał, które stały się jego zawodem.

- Aha. - Michael Rougemont wykrzywia twarz i kiwa dużą głową. - Aha, to bardzo interesujące. Kto ci o tym mówił?

- Ojciec.

- A czy wspominał, że kiedykolwiek się tam pokazał?

- Z tymi ludźmi to było niemożliwe. Jeśli się stamtąd raz wyjechało, to o powrocie już nie mogło być mowy.

Rougemont poprawia nogi obleczone w czarne nogawki spodni. Wyciąga je w kierunku morza, lekko ugięte w kolanach, tak że przypominają nogi gigantycznego pająka.

- Czy miał rodzeństwo?

- Siedmioro. Był najmłodszy z ósemki.

- Utah, tak? I ośmioro rodzeństwa. Czy byli mormonami?

- Nie jestem pewna, czy należeli do oficjalnego Kościoła, mormońskiego.

Przypuszczam raczej, że była to jakaś grupa odszczepieńcza.

W dalszym ciągu kiwa głową, która przypomina zabawkę na gumce. Tandetną błazeńską zabawkę, typowy wyrób Mitteksu, nie z tych, które produkuje Gregory Hifeld.

- Aha, aha, aha - powtarza rytmicznie. Jego usta krążą po całej twarzy. - I nigdy, według twojej wiedzy, nie próbował nawiązać z nimi kontaktu?

Ciemni ignoranci, piszcząca bieda, bogobojna hołota. Tak swoją rodzinę opisał tata, kiedy - wiele lat temu - byłam na tyle głupia, żeby go o to zapytać. Jego słowa mnie

przeraziły, tyle w nich było złości i szorstkości, które bardziej pasowały do matki niż do niego. Nigdy go więcej o to nie zapytałam.

- Nie chciał żadnego kontaktu. Rozpoczął zupełnie nowe życie, bez nich.

Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę z niezwykłości tego, co zrobił tata, mając zaledwie szesnaście lat. Przychodzi mi do głowy, że może kochał któreś z siódemki swojego rodzeństwa czy jedno albo nawet oboje rodziców. Może leżał bezsennie po nocach, tęskniąc za ciepłem rodzinnym, za nimi, za ich miłością, może chciał wrócić tam, w góry. Kiedy myślę o samotności młodego człowieka, serce mi się ściska, a w ustach czuję słony smak. Przypomina mi się cieniutka biała blizna, okalająca nadgarstek taty, i nagle moje serce zaczyna się trzepotać jak ryba, która wyskoczyła ze strumienia i miota się bezradnie na piasku.

- Kiedy twój ojciec przyjechał do Kalifornii?

- Nie wiem dokładnie. Z całą pewnością był tu, kiedy studiował, ale nie jestem pewna, ile miał wtedy lat... Przypuszczam, że koszt nauki pokrywał z pieniędzy zarobionych w warsztacie naprawy samochodów, w którym przez jakiś czas pracował.

- Mówił ci o tym?

- Niezupełnie. Ale w Utah z pewnością nauczył się naprawiać wszelki sprzęt. Właściwie do końca życia reperował różne rzeczy. Stare samochody, traktory, dżipy, wszystko.

- A kiedy poznał twoją matkę?

W mojej wiedzy o tym okresie ziele wielka dziura. Nie wiem, co działo się w życiu taty pomiędzy ukończeniem szkoły średniej a poznaniem mamy. Te lata musiały upływać powoli, ludzie i wydarzenia miały swoje znaczenie, ale teraz, kiedy tata nie żyje, zostały stracone. Nie przetrwała z tamtych czasów żadna przyjaźń, żadne opowieści, nie zajęły one w mojej wyobraźni żadnego miejsca, nie pozostawiły śladów. Dziesięć, nie, piętnaście lat z życia ojca zniknęło całkowicie i nieodwracalnie.

Opowiadam detektywowi, jak rodzice się poznali, jak mama wymieniała wszystkie warstwy geologiczne w weselnym torcie i jak lubiła mi o tym opowiadać.

Michael Rougemont niepostrzeżenie przysuwa się do mnie i obserwuje mnie teraz w słabym świetle wypełniającym przestrzeń między nami.

- Czy była dobrą matką? - pyta.

Patrzę na niego w mroku. Musi już znać odpowiedź na to pytanie.

- Moja matka jest chora na schizofrenię.

- Czy zawsze tak było?

- Ostatecznie jej choroba została zdiagnozowana jako schizofrenia epizodyczna. To znaczy, że między kolejnymi nawrotami choroby są przerwy, tyle że coraz krótsze. Od mojego czternastego roku życia matka praktycznie cały czas jest w klinice.

- A przed chorobą... była w domu i opiekowała się wami? Nerwowo przełykam ślinę.

- Tak, była w domu. Ale nie powiedziałabym, żeby się nami opiekowała.

Zachowywała się dziwnie, coraz dziwniej. Jako uczennica drugiej, trzeciej klasy nie lubiłam, kiedy wychodziła z domu, bo zawsze robiła coś krępującego. Na przykład wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem podczas uroczystości Ślubowania Posłuszeństwa w dniu otwartym w szkole. Albo gapiła się na dyrektora z wyrazem ponurej zgrozy na twarzy, kiedy opowiedział jakąś zabawną historyjkę. Zatrzymała się na przykład, jadąc samochodem, żeby oskarżyć zaskoczzonego przechodnia, że za nią chodzi.

- Ale, Lucy, przecież twoja matka nie zawsze była chora. Na pewno kiedy ojciec się z nią żenił i kiedy wymieniała warstwy geologiczne tortu, musiała być zdrowa. Tak samo kiedy byliście małże. Czy zdarzyło się coś, co wywołało chorobę, to znaczy pierwszy jej atak?

Nie mówię Rougemontowi o naszej wyprawie do Arizony zaraz po śmierci mojego maleńkiego braciszka. Ani o tym, jak rozpacz matki wybuchła nagle tam, na rozprażonym asfalcie, jakby ją słońce Arizony rozgrzało do punktu wrzenia. Nie mówię mu także, jak bardzo starałam się sobie przypomnieć słowa, które wtedy wyrzaskiwała i które słyszałam jeszcze z kanionu. Zamiast tego mówię:

- Byłam małym dzieckiem. Nie pamiętam. Trwało lata, zanim ją zdiagnozowali jako schizofreniczkę, ale kiedy już nam to powiedzieli, zrozumieliśmy znacznie więcej. To jest brak chemicznej równowagi w mózgu. Żaden emocjonalny bodziec nie jest potrzebny.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne, Lucy.

Piasek, suchy, kiedy siadałam, zdążył wchłonąć sporo wilgoci, od której wieczorne powietrze jest aż gęste. Wstaję.

- Na szczęście miałam Jane. Dlaczego pan z nią o tym nie rozmawia? - Obracam

stopę z boku na bok, tak że piasek tryska mi między palcami.

- Już z nią rozmawiałem. Ale nikt nie znał Eryka Schaffera tak jak ty. Nikt. Nawet Jane.

Rougemont ma rację. Nigdy bym tego nie powiedziała głośno, nikomu, a już szczególnie Jane, ale zawsze w tajemnicy, z wielkim poczuciem winy, wiedziałam, że byłam ulubienicą ojca. A może on po prostu umiał tak zrobić, żeby każda z nas w tajemnicy przed drugą uważała się za jego pupilkę.

- Zatrzymałam się u ciotki - mówię - muszę już iść.

Kiwa głową. Pomiedzy pozycją siedzącą a stojącą jest chwila zeszywnienia, a nawet bólu, ale zaraz twarz detektywa się rozpogadza. Bierzymy buty i ruszamy w milczeniu przez niepoddający się nam piasek, który za każdym krokiem na nowo jak gdyby z westchnieniem układa się wokół naszych stóp. Nieustanne pomruki oceanu stają się cichsze. Kiedy pokonujemy zasy i gdy nasze nogi i ramiona pracują, jakbyśmy brnęli w głębokim śniegu, Rougemont zaczyna sapać i zostaje za mną w tyle. Wreszcie docieramy do naszych samochodów - zaparkowanych zbyt blisko jeden drugiego - i reflektory śmigających koło nas pojazdów oświetlają jego twarz, która jest mokra od potu. Zmarszczki na czole i wokół ust wydają mi się długie i głębokie. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że Rougemont jest stary, nie taki stary jak tata, ale niewiele młodszy.

Otwieram drzwi samochodu, a kiedy odwracam się do detektywa, widzę, że drżą mu ręce. Nie może trafić kluczykiem do dziurki. Usiłuje zasłonić sobą tę nieudolność, ale ja stoję tuż koło niego, obserwując jego wysiłki, jego wielkie dłonie. Poznają w nich ręce starego człowieka, ręce taty. Gregory'ego Hifelda. Duże kłykcie, wypukłe żyły. Robię krok do przodu i delikatnie wyjmuję mu z ręki kluczyk. Wisi na kółku, razem z drugim kluczem - od domu. Dom Rougemonta. Samochód Rougemonta. Dwie osie jego egzystencji, połączone małym metalowym kółkiem.

Większość osób do chwili, kiedy zaczynają im się trząść ręce, dorabia się cięższego pęka kluczy. Mają klucze od domów rodziny i przyjaciół, od domków letniskowych, od biur, od samochodów małżonków, od tajnych sejfów, od szuflad z aktami. A Rougemont ma tylko dwa klucze. Przypomina mi się, jak mówił o mężczyznach, którzy tracą nieraz całą rodzinę, i że jest to cena tego, że nie mogli czy nie chcieli uczynić jej centralnym punktem swego życia. Wkładam kluczyk w zamek i otwieram drzwi samochodu.

- Dzięki, Lucy - rzeź. - Doceniam twoją pomoc. Znów się niedługo zobaczymy.
- Do widzenia.

Wycofuję samochód i ruszam na południe. W świetle reflektorów widzę przy drodze duży znak: „Plaża Big Brim. Uwaga, prądy odbrzegowe!”.

13

W mieszkaniu jest duszno od kuchennych zapachów. Ciotka Zina namawia mnie, żebym w salonie zrzuciła buty, a ona tymczasem przygotowuje wieczorny posiłek.

- Och - mówi, patrząc, jak z mojego buta sypie się piasek. - Byłaś w Big Brim, tak? Czy to cię przybliżyło do twojego taty?

- Nie - przyznaję, zsuwając drugi but.

- Był do ciebie telefon. Jakiś mężczyzna, chyba z Nowego Jorku. Tam ludzie bardzo często mówią jak karabin maszynowy. Nic nie zrozumiałam, nawet jego nazwiska. Na pewno jeszcze zadzwoni.

- Jay Kent? - Żadna ze znanych mi osób nie przypomina bardziej swoim mówieniem karabinu maszynowego niż Kent.

- Możliwe - mówi ciotka, wracając do kuchni. - Mógł się tak nazywać.

W chwilę później wraca do domu Sasza. Proponuje mi whisky.

- Cieszę się, Lucia - mówi rozanielony, kiedy przyjmuję jego propozycję. - Nie ma lepszego środka uspokajającego jak whisky.

Wręcza mi drinka i patrzy, jak się krzywię przy pierwszym łyku.

- Twoje życie od razu zmieniłoby się na korzyść, gdybyś polubiła whisky.

- Ale ona parzy mnie w usta.

- Zaraz zrobię tak, że będzie smaczniejsza. - Sasza znika i po chwili pojawia się ze szklanką pełną kostek lodu, które dzwonią jak monety.

Sadowiąc się w fotelu, przy akompaniamencie skrzypienia skórzanej marynarki i fotela, pyta:

- Kiedy jest pogrzeb?

- Nie wiem. Widziałam się dzisiaj na plaży z Jane, Larrym i Scottem i umówiliśmy się, że obgadamy wszystko jutro, w domu taty.

- Gwarantuję ci pokażną liczbę ciotek, wujów i kuzynów na pogrzebie, ale

najważniejsze, czy będzie ciotka Tania?

Ilekcóż ktoś wspomni mamę, ogarnia mnie, jak zwykle, poczucie winy.

- Jeśli mam być szczerą, Sasza, to wolałabym, żeby jej nie było. Boję się, że może zrobić coś nieobliczalnego.

- Ale ciocia Tania powinna być na pogrzebie swojego męża. W imieniu własnym i mamy zapewniam całkowitą opiekę nad nią tego dnia. Możemy po nią pojechać, zająć się nią podczas pogrzebu, a potem odwieźć do Redbush.

- Ale jeśli ona...

- Ostatnio jest fizycznie bardzo słaba, ale jeśli ma cię to uspokoić, gotów jestem cały czas prowadzić ją pod rękę. A mam żelazny uchwyt.

- Ale ona potrafi wykrzykiwać różne rzeczy.

- Nie ostatnio, ale obiecuję, że gdyby się na coś takiego zanosilo, zaraz ją wyprowadzę.

- Dzięki. Zapytam Jane...

- Nie, nie - nalega Sasza. - Wolę, żebyś sama podjęła decyzję. Tak jak sama decydujesz w Nowym Jorku.

Waham się, a po chwili się zgadzam.

- Uważam, że to właściwa decyzja.

- Dzięki ci, Sasza.

- Relacja między kuzynami jest fascynująca i przyjemna. Kuzyn to coś więcej niż przyjaciel, a mniej niż rodzeństwo. No, a teraz powiedz, Luce, co działo się dzisiaj.

Wracam pamięcią do początku dnia. Ziejąca pod nami dolina, kiedy z Kirsty MacFarlane próbujemy zrekonstruować życie taty. Obcas, zamknięty w mojej dłoni, trzask gałązek, miniaturowy wóz holowniczy pełznący w kompletnej ciszy po dnie doliny. Fale rozbijające się o Focze Skały, Scott szlochający w domku na plaży, posiniaczona twarz taty w kostnicy, ustawione w szereg ołowiane żołnierzyki Rougemonta.

- Stłukłam filiżankę - mówię. Oczy Saszy migoczą.

- Nu, tak. Ale czy ona się potłukła symbolicznie, tak jak w sztuce, powiedzmy, Czechowa? Czy po prostu się tylko wyszczerbiła?

- Potłukła się na trzy kawałki. Sasza popija whisky i oblizuje wargi.

- Nie jest to może tak satysfakcjonujące jak tysiąc drobnych odprysków, ale

zobaczmy przynajmniej, jaka symbolika może się kryć w tych trzech czystych kawałkach... może na przykład symbolizują one idealny krąg Jane - Larry - Scott, który jest w tej chwili zagrożony pęknięciem... od środka.

Zastanawiam się nad słowami Saszy.

- Odnoszę wrażenie, że ta trójka z tatą tworzyła coś w rodzaju idealnego kręgu. Spotykali się we czworo niemal co tydzień, głównie w domu na plaży, a czasem u taty albo u Jane i Larry'ego.

- Aha, rozumiem. Kiedy zabrakło wujka Eryka, równowaga tych wzajemnych relacji została naruszona czy wręcz zagrożona. Jak widzisz, stłuczona filiżanka może mieć swoją symbolikę.

Patrzę na Saszę z podziwem. Mój kuzyn skromnie wzrusza ramionami.

- Dwa stopnie naukowe, doktorat i Bóg wie ile lat w fundacji kulturalnej z pewnością musiały wpłynąć na spotęgowanie, jeśli nie czego innego, to przynajmniej zdolności interpretacyjnych.

Pojawia się ciotka Zina z tacą małych słonawych ciasteczek.

- Pojadajcie sobie to, zanim podam kolację. Musicie poczekać jeszcze z pół godziny, a człowiek naprawdę głodny nie może docenić posiłku. Jestem przekonana, że Sasza tak długo był zajęty na zebraniu, że nawet nie miał czasu na lunch. A co do ciebie, Lucia, to smutek tylko zaostrza apetyt.

Ciotka wraca do kuchni, a my sięgamy do tacy.

- A co to było za zebranie w porze lunchu? - pytam. Sasza przewraca oczami.

- Nie było żadnego zebrania, Lucia. Po prostu mama zadzwoniła do biura, a moja asystentka została poinstruowana, że ma udzielać takich informacji. Tymczasem ja po prostu siedziałem jedną ulicę dalej w kawiarence i rozwiązywałem krzyżówkę.

Sasza pracuje w fundacji kulturalnej, która wspiera lokalne inicjatywy artystyczne i kulturalne na całym świecie. Poszedł tam zaraz po studiach i mimo kolejnych prób odejścia utknął na dobre.

- Ale dlaczego nie możesz się przyznać do tego, że korzystasz z przerwy na lunch?

Sasza wzdycha. Wybiera z tacy ciasteczko wielkości orzecha. Opisuje mi swojego szefa tyrana i innych współpracowników w słowach niezbyt pochlebnych, co wprawia go w dobry humor. Dolewa mi whisky. Śmieję się z jego karykatur. Miło mi siedzieć i tak

sobie gwarzyć z kuzynem. Moje ciało się rozluźnia, zapadając głębiej w fotel, który po jakimś czasie wydaje się częścią mnie.

- A co to za kobieta, która odbiera u ciebie w pracy telefony? - pytam.

- Natasza. - Zmiana jego tonu jest ledwie dostrzegalna.

- Kiedy dzwoniłam do ciebie z Nowego Jorku, prowadziłyśmy rozmowy najkrótsze, jakie tylko można sobie wyobrazić. A i tak miałam wrażenie, że są dla niej za długie.

- Rozmowy Nataszy są jak jej spódniczki - bardzo krótkie.

- Mhm, rozumiem, Saszeńka. Szeroka twarz Saszy różowieje.

- Co rozumiesz?

- Dlaczego nie jesteś już mężem Mariny. Dobrze rozumiem? Róż ciemnieje, zamieniając się w czerwień.

Sasza gorączkowo spogląda w stronę kuchni.

- Lucia, jak ja mogłem zapomnieć o twojej nieprzeciętnej bystrości? Ale po czym to poznałaś?

- Po twoim tonie, kiedy wymawiałeś jej imię.

- Och, wy, kobiety, kobiety... - Nachyla się do mnie i mówi szeptem: - Posłuchaj. Ona ma dwadzieścia jeden lat i nogi do drugiego piętra, a chciałbym cię poinformować, że nasze biuro mieści się na ósmym. Świeżo skończyła jakiś Instytut Pedagogiczny w Moskwie. Rewelacyjne ciało, bez najmniejszej przesady, do tego czuje się bardzo samotna w Kalifornii i - mam pewne podstawy sądzić - uważa mnie za fantastycznego faceta. I co ma robić człowiek z takim temperamentem jak ja?

- A te wszystkie zebrania, na które rzekomo musisz chodzić po pracy, to... Natasza?

- Owszem, jak słusznie wydedukowałaś, są to najczęściej dwuosobowe zebrania właśnie z Nataszą. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny, że zechciałaś się u nas zatrzymać i zająć trochę moją mamę w czasie, kiedy tak ciężko z Nataszą pracujemy. Początkowo te zebrania ograniczały się do wczesnych ranków, pory zbyt mało romantycznej w powszechnym mniemaniu, żeby budzić podejrzenia.

- A czy ciotka Zina jest przeciwna Nataszy?

- Żeby ocenić reakcję matki, nie trzeba jej informować o związku. Jest całkowicie przewidywalna.

- Nie zamierzam jej o niczym informować.

- Dziękuję ci, kochana kuzynko. - Ponownie dolewa sobie whisky. A tymczasem wchodzi do pokoju obładowana jedzeniem ciotka. - Dzięki. Kocham cię.

Nazajutrz rano jadę do domu taty, ubrana w niebieską sukienkę, którą znalazłam wśród rzeczy zwróconych mi przez Scotta. Przypomniałam ją sobie zaraz po wyciągnięciu z torby, a kiedy wsunęłam w nią głowę, miałam wrażenie, że układa się na moim ciele jak gdyby z lekkim drgnieniem - na znak, że mnie poznaje. Jest nieco skąpsza od tego, co noszę obecnie, bez rękawów, ale jej luźny krój sprawia, że mam uczucie, jakby za mną szła, zamiast mnie otaczać. Na widok sukienki ciotka Zina wyrzuca w górę ręce.

- Piękna, i wiesz co, jesteś w niej podobna do swojej mamy. Ona też nosiła niebieskie sukienki.

- Ale ona jest psychicznie chora, ciociu, nie chcę być do niej podobna.

Ciotka Zina obejmuje mnie ramieniem.

- Zanim Tania zachorowała, była piękna i teraz też jeszcze bywa - mówi i przyciąga mnie do siebie. - Na szczęście nie masz po niej choroby, ale masz jej wielką zdolność kochania. A taka zdolność jest na wagę złota. Bardzo wielu osobom jej brakuje.

Odsuwam się od ciotki i patrzę w jej błękitne wodniste oczy.

- Kochania?

- Dziwi cię to? Choroba z pewnością zabrała ci Tanię, ale kiedy byłaś mała, kochała cię tak żarliwie jak najlepsza matka. I ty ją. Można powiedzieć, że byliście nierozłączne.

Usiłowałam sobie przypomnieć jej miłość. Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy moja miłość do niej nie prowadziła do rozczarowania.

- Lucia - powiedziała ciotka Zina łagodnie - ona mówiła po rosyjsku tylko do ciebie.

Potrząsnęłam głową, ponieważ poza swoją rosyjską rodziną matka nigdy nie mówiła w ojczystym języku, a już na pewno nie przy Jane ani przy mnie. Kiedy była jeszcze w niezłej formie, pytałyśmy ją czasem, jak jest po rosyjsku „cześć” albo „jak się masz?”, ale nigdy nie chciała nam powiedzieć, a kiedy w szkole średniej się pochwaliłam, że zaczynam *Podstawy rosyjskiego* pana O'Sullivan, matka zrobiła się tak niespokojna i nieszczęśliwa, że zmieniłam język na niemiecki.

Ale ciotka Zina nie dawała za wygraną.

- Tania często mówiła do ciebie po rosyjsku, a ty jej odpowiadałaś. Uczyła cię wierszyków, piosenek. Nie pamiętasz, jak z nią śpiewałaś? - Ciotka drżącym głosem

zanuciła parę taktów dziecinnej piosenki, wykonując rękami jakieś ruchy, prawdopodobnie naśladowujące ptaka, ale ja jestem przekonana, że nigdy tej piosenki nie słyszałam.

- Wybierasz się do niej dzisiaj? - pyta, a ja, rumieniąc się, odpowiadam, że umówiłam się z resztą rodziny w domu taty, żeby omówić sprawę pogrzebu i innych formalności.

- Może jutro - mówię.

Jadąc teraz do domu taty i pokonując kolejne niewielkie wzniesienia, usiłuję sobie przypomnieć tamtą inną osobę, nie tę, którą wzdramam się odwiedzić w klinice Redbush, tylko tę czarującą, ciekawą matkę, z którą byliśmy nierozłączne. Ale nie mogę. Jest obębkiem znikającej sukni, smugą perfum, ciepłym, szybkim dotykiem i cichym głosem. Czymś nieuchwytnym.

Podskakuję na podjeździe i widzę zaparkowanego, jak zwykle przed stodołą, starego szarego oldsmobila taty. Jest miejscami zardzewiały i widać wyraźne wgięcie na przednim błotniku, ale na jego widok robi mi się ciepło na sercu. Ponieważ jestem pierwsza, stawiam swój samochód koło niego.

Mam uczucie, że powietrze puchnie od upału, i kiedy wysiadam z samochodu, niebieska sukienka jak gdyby unosi się wokół mnie. Przeciągam palcami po spłowiałym lakierze oldsmobila. Samochód jest zdezelowany. Tata lubił jego starość, cieszyła go ciągła potrzeba uzupełniania oleju i wsłuchiwania się w kolejne zgrzyty. Miał zamiłowanie do naprawiania starych maszyn i tak naprawdę szczęśliwy był wtedy, kiedy mógł sobie podłubać w jakimś silniku. W stodole stał traktor, który tata reperował latami, a przed traktorem była staroświecka maszyna drukarska, przed maszyną półciązarówka, przed półciązarówką motorynka i generator.

Próbuję otworzyć drzwi od strony kierowcy, a ponieważ ustępują od razu, niemal wpadam do środka. Samochód jest pusty. Nie ma w nim nic - ani gazety, ani kwitka parkingowego, ani nawet szmaty, którą ojciec zawsze miał pod ręką do przecierania szyb. Opadam na fotel kierowcy i zamykam drzwi. Odnoszę wrażenie, że czuję bardzo słaby zapach taty. Słodki, delikatny oleisty zapach jego spodni i podartej koszuli w kratę, w których pracował na podwórku, reperując samochód lub wymieniając w starym traktorze jedną metalową część na drugą. Przez chwilę ojciec jest tu ze mną w samochodzie: ołówek za uchem, kwadratowe palce zatłuszczone, myśli nad jakimś mechanizmem, koncentrując

się w sposób, który angażuje całe ciało.

Kiedy otwieram drzwi domu, upał wyskakuje na mnie jak radosny pies. Już teraz ściany absorbują w dzień więcej ciepła, niż są w stanie oddać w nocy. Zastawiam drzwi i wchodzę do środka. Uderza mnie zapalone światło tam, gdzie powinno być ciemno. Pali się w holu. I w komputerowym pokoju taty. Cofam się w zacienioną część korytarza; instynktownie robię się podejrzliwa. Kto mógł być tutaj po mnie, po tym, jak wczoraj zamknęłam dom i pojechałam nad morze? Dochodzę do wniosku, że to pewnie ktoś z policji, by zostawić kluczyki od samochodu. Kiedy zaczynam się za nimi rozglądać, słyszę głos.

- Dzień dobry, Lucy - mówi Kirsty MacFarlane. - Przyjechałam sprawdzić, czy przyprowadzili samochód i czy wszystko jest w porządku.

- Wydaje mi się, że ktoś tu był - mówię. - Pałą się światła. Tu i w pokoju komputerowym ojca.

- Może Jane? - zastanawia się Kirsty, ale właśnie mijamy drzwi salonu, gdzie zatrzymuję się na chwilę.

- Rozsuwane drzwi! Są otwarte!

Kirsty patrzy na mnie i energicznym krokiem przemierza pokój. Porusza się cicho jak duży kot. Między skrzydłami drzwi zieje przerwa o szerokości ponad pół metra. Czuję delikatny powiew wiatru, ciągnący od pomostu. Zasłony drżą.

- Czy jesteś pewna, że nie zostawiłaś ich wczoraj otwartych? - pyta, sprawdzając zamek. - Nie ma żadnych śladów włamania.

Obserwuję falujące wolno zasłony jak coś bezwładnie unoszącego się w wodzie.

- Jestem prawie pewna, że... - Już dawno nie byłam niczego pewna. Pamiętam, że otwierałam zasuwane drzwi i wychodziłam na pomost, kiedy przyszła Kirsty MacFarlane. Usiłuję sobie przypomnieć, czy je zamknęłam przed wyjściem, ale pamiętam tylko lęk, kiedy poczułam, że ktoś mnie z zewnątrz obserwuje, i że siedząc na pomoście, widziałam sunący w dole wóz holowniczy.

Kirsty sprawdza drzwi frontowe, ale i one nie zdradzają śladów włamania.

- A klucze taty... czy to możliwe, że ten ktoś... - Rozglądam się po ciemnym korytarzu w poszukiwaniu innych, lepszych słów. - Że ten ktoś, kto był z nim na końcu...

Kiwa głową.

- Tak, to jest możliwe. Mówiłam twojej siostrze, że należałoby jak najszybciej zmienić zamki. Rozejrzałaś się może, czy niczego nie brakuje?

- Dopiero przyszłam.

- To popatrzmy razem.

Najpierw wchodzimy do pokoiku komputerowego. Wygląda tak jak wczoraj, ale Kirsty się zatrzymuje.

- Nie sędzę, żebym zostawiła te rzeczy w ten sposób - mówi, przewracając sterty papierów na biurku taty. Przerzuca jedną z nich. - Ale może ty czy twoja siostra czegoś tu szukałyście? Albo Scott jako wykonawca testamentu.

- Nikt z nas już później tu wczoraj nie był... Kirsty mówi teraz szybko, z marsem na czole.

- Jestem prawie pewna, że testament i polisę ubezpieczeniową zostawiłam na wierzchu. Wiedziałam, że to będzie pierwsza rzecz, jaką się zainteresujecie.

- A co, zginęły? - pytam, wpatrując się w nią z niepokojem.

- Nie, ale są teraz na spodzie, pod wyciągami bankowymi i listami od spółki lokacyjnej twojego ojca.

Na dole wszystko wygląda normalnie. W kuchni panuje porządek. Filiżanki, w których ja i Kirsty piłyśmy wczoraj kawę, są tam, gdzie je zostawiłam, przy zlewozmywaku.

Policjantka idzie na górę. Jak reszta domu, jest to skarbnica przeszłości. Pokoje służyły tu głównie za schowki. Wszędzie piętrzą się pudła, i w pomieszczeniach, i na korytarzach. Teraz, po śmierci taty, trzeba będzie to wszystko uporządkować - pudła pootwierać, jakby się uwalniało zapachy ze szczelnie pozamykanych latami butelek.

Kirsty mówi:

- Będziecie tu mieli sporo roboty.

Zgadzam się z nią. Czeka nas zaglądnienie do pudeł, szuflad, schowków. Wyrzucanie i oddawanie rzeczy. Podejmowanie decyzji. Sprzedaż domu. Życie taty zostanie roztrwonione. Przeszłość naszej rodziny rozrzucona - jak deszcz meteorów - po sklepach ze starzyzną, złomowiskach, sklepach geologicznych. Ktoś inny będzie jeździł samochodem taty, obce osoby będą nosiły jego rzeczy, książki trafią nie wiadomo w czyje ręce, może wręcz ludzi, którzy zaginają rogi kartek albo obrywają okładki.

Na górze Kirsty otwiera najbliższe drzwi. Łazienka. Mydło taty w onyksowej mydelniczce. Jego brzytwa. Szczotki do zębów, dwie. Pasta do zębów w uchwycie, pędzle, wygięte na zewnątrz albo do środka, przypominają tłum pijaków.

Przy drzwiach do sypialni próbuję coś powiedzieć, jakąś zwyczajową uprzejmość, ale nie znajduję słów. Umykają mi tak nagle, jak nagle jest pęknięcie lodu. Kirsty mnie obserwuje. W ciemnym korytarzu jej oczy wydają się czarne. Wreszcie przerywa milczenie.

- Chcesz, żebym weszła pierwsza?

- Nie.

Ale moja ręka w dalszym ciągu tkwi nieruchoma. Przez całe życie uczono mnie, że mam pukać przed wejściem do sypialni rodziców. Czy teraz, kiedy tata nie żyje, a matka nie opuszcza kliniki, te stare zasady przestały obowiązywać? Wszystkie, bez wyjątku? Czy już nie muszę wycierać butów w korytarzu, kiedy pada deszcz, brać rano prysznic, mówić „poproszę o sól”, zamiast po prostu po nią sięgać, albo pytać: „Czy mogę pomóc?”, kiedy ktoś niedołączny, niewidomy czy wystraszony próbuje przejść przez ulicę? Zamykam oczy i wchodzę do sypialni.

14

Za sobą czuję ruch kobiety, mimowolny, nagły, jak ruch spłoszonego konia. Opanowuje go z profesjonalną sprawnością. To reakcja na widok łóżka - nawet jeśli się je już kiedyś widziało. Stanowi ono nieprawdopodobną bajkową mieszaninę najróżniejszych ozdóbek, pętelek i kokardek. Łoże wisi nad całym pokojem jak wielki błękitny zamek królujący nad okolicą.

- Łoże to dzieło matki - wyjaśniam. - Jest takie jak ona, kompletnie zwariowane.

Kirsty kiwa głową, a ja się domyślam, że już próbowała rozmawiać z matką. Pytam:

- Czy udało ci się wyciągnąć z niej coś sensownego?

- W każdym razie odpowiadała na pytania. Po rosyjsku.

- Po rosyjsku?! To coś nowego.

Rozglądam się po sypialni. Nie zaszła w niej nawet najmniejsza zmiana. Te same bibeloty i zdjęcia na toaletce. Te same ozdobne niebieskie zasłony w oknach. Te same duże niebieskie obrazki na ścianach. To był wyraźnie pokój matki: tata nie zrobił nic, żeby

nadać mu własne piętno, tak jakby czekał, że pewnego dnia matka wyzdrowieje i wróci do domu. A przecież musiał wiedzieć, że jest to niemożliwe.

Na komodzie zdjęcia krewnych, młodzieńcze, nie do poznania. Fotografia ślubna rodziców. Robią wrażenie szczęśliwych, a nie sztywnych, jak większość nowożeńców w tej sytuacji. Kolejne zdjęcie przedstawia naszą czwórkę na plaży. Mam tu może ze dwa lata i matka podnosi mnie do aparatu. Jane tuli się do taty. Ojciec śmieje się w sposób, jakiego u niego nie pamiętam: z odrzuconą do tyłu głową, pokazuje wszystkie zęby. Biorę zdjęcie do ręki i przyglądam mu się dokładnie. Wydaje mi się absolutnie niemożliwe, że ci ludzie to byliśmy kiedyś my.

- Wiesz, co mi przypomina to łóżko? - mówi policjantka. Odwracam się do niej twarzą. Ton Kirsty wydaje się swobodny, ale ja jestem napięta jak struna.

- Kołyskę twojego dziecka.

Kompletnie się nie ruszam, ale po chwili milczenia uświadamiam sobie, że mam otwarte usta, więc je zamykam.

- Zapomniałam ci powiedzieć, zresztą może sama się zorientowałaś, że myśmy się już kiedyś spotkały.

Czeka, aż coś powiem, potem dodaje:

- To było trzy lata temu. Trzy lata temu w sobotę. Włosy jeżą mi się na karku.

- Byłam wtedy w początkowym okresie ciąży - podejmuje. - Może dlatego tak dobrze to zapamiętałam.

Pytam cicho:

- A jak twoje dziecko? Uśmiecha się i twarz jej łagodnieje.

- Dobrze. - Zaraz jednak jej rysy tężeją i nabierają charakterystycznego obojętnego wyrazu.

Idę po niebieskim dywanie i siadam na samym brzegu łóżka, grzecznie, jakbym odwiedzała chorego. Zadzieram głowę i widzę baldachim - intensywnie błękitne niebo, warstwa po warstwie, aż do wieczności. Zastanawiam się nad poczuciem bezpieczeństwa i ambicjami kobiety, która w ten sposób zaprojektowała łóżko i pokój. Tamtej innej, roześmianej kobiety, która podsadzała mnie do kamery i która kochała mnie żarliwie jak najlepsza matka. A ja - według ciotki Ziny - ją. Można powiedzieć, że byliśmy nierozłączne.

- Naturalnie, tamtego wieczora poznałam całą twoją rodzinę, nie wyłączając ojca - mówi Kirsty. - Czy to nie dziwne? Niewiele ofiar zabójstw miałam okazję poznać za ich życia. Profesor Schaffer robił wrażenie oszołomionego śmiercią twojego synka. Wszyscy byliście w szoku, ale jego rozpacz zapamiętałam szczególnie. Kiedy wykonywaliśmy te wszystkie rutynowe czynności, siedział sam w kącie salonu i po prostu cicho płakał.

Tego nie wiedziałam. Świat skurczył się wtedy dla mnie do mojej własnej rozpacz. Świadomość, że tata gdzieś tam w kącie płakał samotnie, jak zwierzę, które w ukryciu liże rany, jest dla mnie bardzo przykra. Żałuję, że go wtedy nie znalazłam i nie przytuliłam.

- Widziałam już tyle wylanych łez - podejmuje Kirsty - że mogłyby napęścić basen albo małe jezioro. Są tacy, co zawodzą, krzyczą, szlochają, dostają spazmów. Ale twój ojciec, płaczący samotnie, cicho, w kącie, to było dla mnie jedno z najsilniejszych przeżyć.

Pod wpływem jej słów podskakuję jak oparzona. Ale natychmiast robi mi się głupio. Nagle mam jak gdyby za dużo ciała i nie wiem, co z nim zrobić.

- Czy kupiłaś tę piękną błękitną kołyskę dla swojego dziecka dlatego, że przypominała ci to łóżko? - pyta Kirsty, przyglądając mi się badawczo.

Ze zdziwieniem słyszę własny głos, zardzewiały, jak kawałek żelastwa, które długo leży w stodole nieużywane.

- Nigdy o tym nie myślałam...

- A może sama tak ozdobiłaś kołyskę...? - Kirsty nie spuszcza ze mnie oka.

Odchrząkuję.

- Nie, kupiłyśmy ją razem z Jane.

Krąży po pokoju, przyglądając się meblom, patrząc na niebieskie obrazki.

- Kupiłyście tę kołyskę razem, dwie siostry? To ciekawe. I nigdy nie zauważyłaś jej podobieństwa do łóżka rodziców?

- Nie, chyba nie.

- Tyle że błękit kołyski był jakby trochę jaśniejszy, prawda?

- Tak, możliwe.

Kiedy byłam już w późnej ciąży i miałam to poczucie oczekiwania, które oddala teraźniejszość, Jane oświadczyła, że chciałaby kupić dla mojego dziecka kołyskę. Mówiła już całkiem spokojnie o tym, że właściwie pożegnała się z nadzieją na własne dzieci i że

chciałaby być dobrą, a nawet wyjątkowo dobrą ciotką. Odwiedzałyśmy duże markety i małe drogie butik, a im więcej chodziłyśmy po sklepach, tym bardziej wyszukane stawały się nasze oczekiwania. Kiedy więc zobaczyłyśmy błękitną kołyskę z tymi wszystkimi zakładkami, falbankami i draperią, uznałyśmy, że koniecznie musimy ją mieć. Spojrzałam na cenę i zasłoniłam oczy. Ale Jane nalegała. Kiedy dostarczyli kołyskę do domu, nie byłam w stanie zrozumieć, jak mogłyśmy wpaść na tak idiotyczny pomysł. Te wszystkie ozdóbki i duperełki... tego by normalnie żadna z nas nie kupiła. Nawet nie wiedziałam, czy mi się to podoba. W pierwszej chwili miałam ochotę odesłać kołyskę do sklepu, ale nie chciałam robić przykrości Jane. Wobec tego została, a potem przychodzili ludzie i ją chwalili, więc mnie się też zaczęła podobać. Ale kiedy umarł w niej Stevie, znienawidziłam ją i przed przeprowadzką do domku na plaży kazałam zlikwidować. Nigdy nawet nie zapytałam, co się z nią stało.

- Gdyby ktoś się tutaj wczoraj włamał, z pewnością wzięłby te srebrne szkatułki - mówi Kirsty, wskazując na toaletkę. - Czy były w tym pokoju jeszcze jakieś inne wartościowe przedmioty?

Wzruszam ramionami.

- Nie sędzę.

Otwiera drzwi i kontynuujemy zwiedzanie przyprószonego kurzem domu. Chce wiedzieć, który pokój był mój, a który Jane. Oba są teraz pełne starych pudeł. Jest także pokoik, w którym sypiała babcia, kiedy nas odwiedzała, albo tata, kiedy mama była chora i potrzebowała dla siebie całej sypialni.

- A czy był ten pokój? - pyta Kirsty, kiedy otwieramy drzwi do niewielkiego pokoiku na końcu korytarza, pomalowanego na jasny, jaśniutki błękit, jak bardzo dalekie niebo. Pachnie tu stęchlizną.

- Tata używał tego pokoju do pracy, zanim się przeniósł na dół. W pudłach są najprawdopodobniej kamienie.

- A wcześniej? Czy to mógł być pokoik twojego brata? - pyta i po raz drugi tego dnia. Jej słowa wywołują we mnie dreszcz i niemożność dobycia słowa. Bo miałaś brata, prawda? - dodaje.

Kiwam głową.

- Ale umarł jako niemowlę.

- Czy to był jego pokój? - Nie wiem.

- Nie pamiętasz go?

- Nie pamiętam niczego na jego temat.

- To dziwne - mówi, odwracając się i wyprowadzając mnie z pokoju. - Byłaś już przecież na tyle duża, że powinnaś pamiętać tak dramatyczne wydarzenie.

Nie pytam jej, skąd o tym wie. Nie mówię nic. O śmierci mojego maleńkiego brata mówi się bardzo rzadko, jeśli w ogóle. Po śmierci Stewiego były jakieś wzmianki o stracie, jaką poniósł kiedyś tata, ale ojciec wyraźnie dał wszystkim odczuć, że nie chce o tym rozmawiać. Mam nadzieję, że moje milczenie uświadomi to wszystko policjantce.

Schodząc na dół, mówi:

- Widać, że od dłuższego czasu kurz leży tu nienaruszony. Jeżeli w ogóle pojawił się w tym domu jakiś intruz, to na dole w pokoju komputerowym. Ale skoro niczego nie brakuje, miejmy nadzieję, że to ty zostawiłaś wczoraj zapalone światła i otwarte drzwi.

Przygnębiona kiwam głową. Miejmy nadzieję. Kirsty patrzy na mnie. Ona też wydaje się przygnębiona.

- Czy masz przynajmniej jakieś pojęcie o tym, ile kluczy nosił przy sobie twój ojciec? Zakładam, że kluczyki samochodowe i klucz od domu były na jednym kółku?

Przypominają mi się wielkie dłonie Rougemonta, które nie mogą trafić kluczykiem samochodowym w dziurkę. Klucz od samochodu, klucz od domu. Jak ubogim wydały mi się wtedy dorobkiem!

- Och, tata zawsze dzwonił kluczami. Kluczyki samochodowe, klucz od domu, klucz od stodoły, od biurka, od starego traktora, klucz od mieszkania Jane, może klucz od domu Scotta czy od domu Seymoura... - Przełykam. - A teraz... ta osoba, która jechała z tatą jego samochodem w poniedziałek rano... może się dostać we wszystkie te miejsca.

Milczymy, nie patrząc na siebie. Wreszcie Kirsty pyta spokojnie:

- Czy nie jesteś teraz zadowolona, że nie zostałam tu na noc?

- Rzeczywiście, trzeba szybko zmienić zamki - mówię.

Kiwa głową i kieruje się w stronę ganku. Przez przesuwane drzwi, za drzewami, które otaczają ganek, prześwituje mały wycinek pogodnego nieba.

- Czy obejrzałaś już samochód ojca? - pyta Kirsty, kiedy zatrzasnęły się za nami drzwi.

- Siedziałam w nim przez chwilę rano. I... i czułam go tam nawet...

Kirsty unosi brwi.

- Czułaś... kogo?

- No, tatę. Nie chodzi mi o jakiś brzydki zapach. Tylko o taki słodkawy, jakby zapach oleju i mydła... Kiedy ktoś umrze, bardzo trudno uwierzyć, że go nie ma, tak całkowicie nie ma. Człowiekowi się wydaje, że ta osoba w dalszym ciągu jest, tyle że nieuchwytna. Odwracasz się szybko, w nadziei, że kątem oka ją dojrzysz, a czasem nawet czujesz jej zapach. Otworzyłam oldsmobila taty, a tam zalegał jeszcze jego specyficzny zapach... Kiedy wsiadłam dziś rano do samochodu, miałam przez chwilę wrażenie, że ojciec siedzi koło mnie.

Kobieta mnie obserwuje. Czekam na jakąś szybką bagatelizującą uwagę, ale ona mówi:

- Zastanawiam się nieraz, jak długo utrzymuje się w powietrzu nasz osobisty zapach... Chcę przez to powiedzieć, że może powinna istnieć jakaś naukowa metoda analizy zapachowej, która pozwoliłaby na przykład ustalić, kiedy twój ojciec ostatni raz siedział w samochodzie.

- Och, na pewno w przeciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin - mówię bez namysłu, nie zastanawiając się nawet, czy zapach może trwać dzień, tydzień czy miesiąc.

W jej oczach widzę żywe zainteresowanie.

- A na jakiej podstawie jesteś taka pewna?

- Nie wiem. Kiedy próbujemy to ująć w jakieś naukowe ramy, wszystko się rozplywa.

- Zaczekaj.

Kirsty wsiada do oldsmobila, na miejsce dla pasażera, i gestem daje mi znać, żebym usiadła na miejscu kierowcy. Zamykamy drzwi. Najpierw składam dłonie na kolanach jak przykładna uczennica pierwszej klasy, a potem ujmuję w ręce kierownicę, jakbym prowadziła samochód. Siedzimy tak jakiś czas, policjantka i ja, jadąc donikąd, nic nie mówiąc, oddychając cicho. Zamykam oczy i już wkrótce chwytam zapach. Jest tak słaby, że dociera do mnie tylko od czasu do czasu.

- No i? - pyta w końcu kobieta. - Co czujesz?

- Zapach jest bardzo słaby, ale czuję tatę.

Patrę na jej profil. Jest ostry, orli. Kirsty intensywnie wpatruje się w drogę przed nami, choć nie ma żadnej drogi.

- A ja czuję zapach proszku do zdejmowania odcisków palców. Taki trochę metaliczny.

Znów oddycham bardzo cicho.

- A ja go zupełnie nie czuję.

- Czyli twoje powonienie mówi ci, że denat... - przerywa i poprawia się: - że profesor Schaffer jechał tym samochodem w poniedziałek rano...?

Kiwam głową.

- Samochód został znaleziony w miejscowości Lowis. Znasz ją?

- Nie mogę powiedzieć, że znam. Widywałam ją z autostrady.

- Często?

- Lowis leży po drodze do doliny San Strana, gdzie jadaliśmy ze Scottem, kiedy byłam w ciąży. Chodziły za mną wtedy jajka po benedyktyńsku, które podawali w białej restauracji z drewna w samym sercu doliny. Jeździliśmy do niej na niedzielne brunchy i w czasie jedzenia obserwowaliśmy meandry rzeki, która wyrzeźbiła tam sobie koryto. Dzięki temu San Strana jest bardzo urodzajną doliną, której wąskie brzegi usiane są starymi domami, zabudowaniami gospodarskimi, koloniami artystów i farmami odnowy biologicznej.

- Ale nigdy się tam nie zatrzymywaliście? Potrząsam głową.

- To jest ostatnio niemal jedyne miejsce w tych okolicach, gdzie zezwolono na jakąkolwiek budowę. Oldsmobil stał w dzielnicy mieszkalnej. Okazałe domy, przyjemne, spokojne. Dużo dzieci. Większość z nich nie widziała w życiu policyjnego wozu patrolowego.

Wyobrażam sobie faceta od daktyloskopii, wykonującego swoje czynności w oldsmobilu, a dokoła małe bużki przyklepione do szyb.

- Czy twój ojciec kiedykolwiek wspominał o Lowis? Może jadał tam albo odwiedzał kogoś z przyjaciół...?

- Nie... Ale możemy zajrzeć do jego książki adresowej... - proponuję.

- Już ją sobie skopiowałam i nie znalazłam w niej nic, co by wskazywało, że miał jakieś kontakty z Lowis. I nikt z mieszkańców nie widział wcześniej jego samochodu.

Mimo że się wyróżniał na tle tych wszystkich nowoczesnych aut.

Uśmiechamy się obie, nie patrząc na siebie nawzajem.

- Tamtejsi ludzie różnią się w swoich opiniach, ale większość uważa, że samochód stał tam od poniedziałkowego popołudnia czy od rana. A kilka osób utrzymywało nawet, że przez cały weekend.

- Czy ktoś widział, jak ojciec wysiadał z samochodu?

- Nie, Lucy. Nikt nic nie widział - mówi Kirsty zrezygnowanym tonem. Jest detektywem w wydziale zabójstw. Wie, że nikt nigdy nie widzi nawet jednej cholernej rzeczy.

- A czy były jakieś odciski palców?

- Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby dokładnie wytrzeć cały samochód. Udało nam się zabezpieczyć parę starych odcisków, kilka jakichś pojedynczych włókien, ale to wszystko w większości należało do twojego ojca. Część do Jane, ale nie ma w tym nic dziwnego, skoro wiozła ojca w sobotę na grób twego syna.

- Czy możesz mi podać adres, pod którym znaleziono samochód?

- Dobrze, jeśli uważasz, że dzięki temu przypomnisz sobie coś ważnego. Sprawdzę w notesie i podam ci dokładny adres.

Kirsty wysiada i schyla się, żeby dokładnie obejrzeć duże wgłębienie w prawym przednim błotniku oldsmobila. Przykucnięta, kilkakrotnie przesuwając palcami po miejscach, gdzie poodpryskiwał lakier, delikatnie, niczym kobieta głaszcząca kochanka.

- Czy ojciec kiedykolwiek o tym wspominał?

- Nie.

- To wygląda całkiem świeżo. Ale kryminolodzy nie mieli w tej sprawie nic ciekawego do powiedzenia. - Podnosi się. Słońce piecze dziś niemiłosiernie. Ciężar upału przygniata mnie do ziemi. Dokoła ganku bezwładnie zwisają liście. Odchodzę w cień, ale niewiele to pomaga.

- Niestety, mamy za mało informacji, Lucy - mówi Kirsty. - Tyle jest w tej sprawie znaków zapytania... W ciągu kilku najbliższych dni będę rozmawiała ze wszystkimi osobami, które znały bliżej twojego ojca. Mam nadzieję, że wreszcie zaczną sobie przypominać coś, co pozapominały. Przede wszystkim ty i Jane.

Nie wiem dlaczego, ale rumienię się na te słowa. Żeby to ukryć, patrzę w słońce,

które przez szczelinę między drzewami i tu mnie dopadło.

- No bo na przykład - podejmuje Kirsty - mój kolega Michael Rougemont ma rewelacyjną pamięć. Potrafi sobie przypomnieć drobiazgi dotyczące spraw sprzed ponad trzydziestu lat. Dlatego jest szalenie zawiedziony, kiedy się okazuje, że ludzie niczego nie pamiętają.

Wiem, że jestem czerwona. Czuję się tak, jakby mi twarz puchła na słońcu.

- Na przykład obie z Jane utrzymujecie, że nic nie pamiętacie w związku ze śmiercią waszego brata.

Przełykam.

- Byłam bardzo mała...

- Jasne, że byłaś mała, ale przecież śmierć kogoś z rodzeństwa to wstrząs dla całej rodziny. Mam prawo oczekiwać, że jakiś jeden czy drugi szczegół utkwiał wam w pamięci... A po Jane spodziewałabym się nawet czegoś więcej.

- Larry powiedziałby, że pogrzebałyśmy głęboko to przeżycie.

- Jasne, że tak by powiedział. I to by miało wyjaśnić, dlaczego nic nie pamiętacie, chociażby jednej drobnej rzeczy? Dlaczego nawet nie pamiętacie swojego brata, kiedy jeszcze żył?

Mówię powoli, drżącym głosem:

- Pamiętam tylko, że go kochałam. I to wszystko.

- Czy nikt w rodzinie nigdy na ten temat nie rozmawiał? - Jej głos brzmi teraz łagodniej.

- Nie.

- A kiedy umarł twój syn, to i wtedy wasz ojciec nic o tamtej sprawie nie mówił?

- Nie wprost. Mówiło się o wielkiej stracie, a Scott i ja wiedzieliśmy zawsze, że... że mały miał jakąś szczególną intuicję. Ale tata nigdy o tym nie wspominał.

- A ty go nigdy o to nie pytałaś?

- Och nie, nie mogłabym...

- A Jane też nie pytałaś?

- Po prostu nigdy na ten temat nie rozmawiałyśmy. Kirsty wzdycha.

- A czy może chociaż wiesz, jak to dziecko umarło?

- O, tak - odpowiadam tym razem skwapliwie. - To był jakiś wypadek.

Czeka, żebym powiedziała coś więcej, po czym znów wzdycha.

- Czy orientujesz się przynajmniej, gdzie ten wypadek miał miejsce?

Potrząsam głową.

- W Big Brim. Twój brat utonął w Big Brim. Naprawdę o tym nie wiedziałaś?

Patrzę na nią w milczeniu.

- Och, Lucy - szepcze Kirsty, a w jej głosie jest i ciepło, i bezradność.

15

Wreszcie przyjeżdżają Larry i Jane. Larry pierwszy wysiada z samochodu. Ma na sobie koszulę w kolorze płytkiej wody, bardzo obcisłą, podkreślającą wydatny brzusek. Ponad nim chude żebra i ramiona starego człowieka. Kiedy tata się kąpał, nie lubiłam patrzeć na zapadnięte miejsca w jego torsie, na cienkie ramiona czy wałek tłuszczu, zwisający luźno na brzuchu. Teraz, kiedy patrzę na wysiadającego z samochodu Larry'ego, jestem na niego wściekła, że mi przypomina tatę i proces starzenia. Larry prawie mógłby być moim ojcem, ale żeniąc się z Jane, opowiedział się niejako za naszym pokoleniem, a teraz jego ciało, brzuchate, nadszarpnięte przez wiek, jak gdyby go zdradziło.

- Przepraszam za spóźnienie - mówi. - Ale byliśmy u waszej mamy. - Czuję, że oblewa mnie rumieniec, od szyi aż po policzki, jak szybko przesuwany się cień. Larry przygląda mi się z rozbawieniem.

- W jakiej jest formie? - pyta Scott.

Zamiast odpowiedzi Larry i Jane krzywią się, jakby patrzyli w słońce, chociaż stoją w kuchni i wyjmują paczki z wielkiej brązowej torby delikatesowej. Z nas czworga tylko Larry i Jane pamiętali o lunchu. A może po prostu Scott i ja przyjęliśmy za oczywiste, że to oni zorganizują posiłek.

- Była apatyczna - mówi w końcu Jane.

- Ale czy dociera do niej, co się stało z tatą? Patrzą po sobie i tym razem odpowiada Larry.

- Chyba rozumie, że stało się coś złego. Chociaż może nie wiedzieć co.

- Sporo się trzepotała - dodaje Jane. - Pamiętasz, jak ona się trzepocze, kiedy jest zdenerwowana? Macha rękami i faluje palcami w jakimś takim komicznym geście.

- Zachowuje się tak, kiedy jest bezradna - wyjaśniam.

- I zmartwiona - dodaje Jane.

- Najbardziej trzepotała się wtedy, kiedy o mało nie utonąłam w basenie. To dlatego, że chciała coś zrobić, a nie mogła albo nie wiedziała jak i po prostu musiała stać i patrzeć, jak ty mnie ratujesz.

Byłyśmy na miejscowym basenie, gdzie uczyłam się nurkować z rurką, i zamiast powietrza wciągnęłam wodę. Oczy, nos i usta miałam pełne wody, woda wcisnęła się również w ciepłe, wilgotne kanaliki, które je łączą. Tam, gdzie normalnie jest niebo, był bezmiar... błękitnej wody. Kiedy spojrzałam w górę, po raz pierwszy zobaczyłam jej nieskończoność. Przekonałam się też, że błękit to kolor głębi i że głębia nieba ciągnie się bez końca. Przestałam walczyć. Przestałam pływać. Głowa mi opadła i poddałam się pięknu wodnego bezkresu. I wtedy nagle jakaś potężna siła złapała mnie pod brodę, a ja, całkowicie bezwładna, unosiłam się, ciągniona ku brzegowi, czując mocne, rytmiczne zamachy ramion mojej wybawicielki. Kiedy otworzyłam oczy, leżałam na betonie okalającym basen. Dokoła mnie kłębił się tłum dzieciaków, a nade mną pochylała się Jane, uciskając mi klatkę piersiową i tłukąc bez opamiętania, dopóki nie pozbyłam się całej wody i nie odzyskałam władzy nad swoim ciałem. Pamiętam poważną, skoncentrowaną twarz siostry, za nią matkę w niebieskiej zwiewnej sukience, falującą palcami, a za nimi niebo.

Larry przestaje wyjmować z torby jedzenie i obejmuje ramieniem Jane. Zna opowieść o tym, jak moja siostra mnie wtedy uratowała, lubi jej słuchać i widać, że nawet teraz wzmianka o tym sprawiła mu przyjemność.

- Dziś też ratuje ludziom życie - mówi. Brzmi to dumnie, a jednocześnie trochę głupio.

Patrzę na nich, jak stoją, jedno obok drugiego, i do głowy przychodzi mi ni z tego, ni z owego przelotna myśl: ciekawe, jakimi byliby rodzicami? Widzę, jak Scott spogląda na nich, na ich złączone ramiona, i zastanawia się, dlaczego oni pozostali razem, a my nie. Oni są parą, która nie mogła mieć dzieci. My - parą, która cieszyła się dzieckiem zaledwie sześć miesięcy.

Później dzień jest już do końca bardzo pracowity. Najpierw zajmujemy się testamentem. Tata wszystko podzielił równo pomiędzy Jane i mnie. I nic w tym dziwnego. Tylko to wyznaczenie Scotta na wykonawcę ostatniej woli jest jakby drobnym zgrzytem,

który powoduje, że Scott najpierw okazuje niedowierzanie, potem oszołomienie, a na końcu prosi mnie o pomoc.

- Od dawna nie zajmuję się finansami osób prywatnych... - protestuję, ale Scott skowycze jak pies, któremu ktoś nadepnął na łapę.

- Musisz to dla mnie zrobić, Luce. Po prostu musisz.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - pyta Larry, mierząc we mnie swoją brodą.

- Muszę wracać zaraz po pogrzebie. - Czuję w powietrzu dezaprobatę, niepokój.

Ktoś podniósł rękę, ktoś inny poruszył ramieniem. Dodaję więc: - W każdym razie nie ma mowy, żebym mogła zostać dłużej niż do końca przyszłego tygodnia. Prowadzę bardzo poważną transakcję, która może beze mnie upaść.

Przez chwilę na nich nie patrzę, a potem, kiedy spostrzegam, że i oni na mnie nie patrzą, zerkam ukradkiem na ich odwrócone twarze. Wreszcie zabiera głos Larry; mówi poważnie:

- Lucy, zawsze w związku ze śmiercią człowieka jest bardzo dużo pracy. Trzeba podejmować wiele decyzji, porządkować rzeczy i sprawy zmarłego... nie możesz tak po prostu uciec sobie do Nowego Jorku i zostawić wszystkiego Jane na głowie...

Mam nadzieję, że Jane zaprzeczy, ale ona milczy.

- Czy przynajmniej znajdziesz czas, żeby pomóc mi przed pogrzebem w przygotowaniu niezbędnych dokumentów? - pyta bezradnie Scott.

- Pewnie tak, jeśli się bardzo postaram.

- A kiedy jest pogrzeb, na miłość boską? - pyta Jane. - Może we wtorek? I czy zawiadomiliśmy wszystkich, kogo należało? Spróbujmy zrobić z tym wreszcie porządek. - Sięga po notes i długopis. Patrzę na nią z czułością. Jane chowa się w bezstronny sprawny tryb działania klinicysty, gdzie czuje się najbezpieczniej. Nauczyła się tego w dzieciństwie, kiedy matka uniemożliwiała nam normalne życie, i teraz ten profesjonalizm przydaje jej się na co dzień. Kontakty z osieroconą rodziną czy z tymi, którym to grozi, są rutynową częścią jej pracy. To, co niezwykle, jest dla Jane czymś zupełnie normalnym. Rutynowo zawiadamia na przykład swoich pacjentów, że muszą umrzeć. Wiem, że nigdy z tym nie zwleka, nie stoi, przeglądając notatki, nie przestępuje z nogi na nogę, nie unika przykrej prawdy i nie zapomina zwrócić się do pacjenta po nazwisku. Zawiadamia o rzeczach przykrych z właściwą sobie nieugiętą bezpośredniością. Wchodzi do pokoju,

pyta, jak się pacjent czuje, i mówi: „Bardzo mi przykro, panie Smith, ale podczas operacji okazało się, że zmiany onkologiczne są u pana znacznie rozleglejsze, niż się spodziewaliśmy. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, ale cóż, przykro mi bardzo, naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę powiedzieć, że w tej walce nie mamy najmniejszych szans na wygraną. Pan się zapewne ze mną zgodzi, że teraz nie pozostaje nam nic innego, jak skupić się na tym, by w maksymalnym stopniu złagodzić pańskie cierpienia i przynieść pociechę”.

Naturalnie różni ludzie różnie reagują na taką wiadomość. Jedni są wściekli na lekarza, na chorobę, na siebie czy nawet na Boga ducha winną bliską osobę, która siedzi przy łóżku i sama przeżywa głęboki szok wywołany tą okrutną wiadomością. Inni nie chcą się przyznać do tego, że przegrali bitwę, i domagają się dalszej terapii. Zachowują się wojowniczo wobec lekarza, bo wiedzą, że nie mogą sobie pozwolić na to samo wobec choroby. Niektórzy trzęsą się i płaczą jak małe, przerażone dzieci. Są też tacy, którzy demonstrują słodczy charakter albo cichą rezygnację, która nieraz złości rodzinę. Nieliczni odczuwają ulgę. Wobec wszelkich reakcji Jane jest stanowcza i energiczna i dlatego kiedy wychodzi z pokoju, pacjent jest na ogół pogodzony z sytuacją, a nawet wdzięczny.

- W porządku - mówi Larry, przyjmując jej rzeczowy ton. - Proponuję, żebyśmy na początek zajrzeli do notesu Eryka i odwołali wszelkie ewentualne spotkania. Potem możemy się zastanowić, kogo jeszcze należałoby zawiadomić.

Przynosimy terminarz taty. Patrzymy po sobie, bo nikt nie ma ochoty dzwonić pierwszy. Wygląda na to, że zaraz zgłosi się Jane, gdy tymczasem zaskakuje nas swoją propozycją Scott.

- Podajcie mi telefony, będę dzwonił.

Słyszemy jego dochodzący z gabinetu głos, kiedy zawiadamia ludzi o śmierci taty.

Niektórzy robią wrażenie, jakby już wiedzieli, ale pytają - o policję, o tatę, o okoliczności. Scott stara się sprostać zadaniu, wiedząc, że na większość pytań nie ma odpowiedzi.

Larry parzy kawę tak, jak to on lubi: mocną, więc jej zapach rozchodzi się po całym domu. Wyciąga jakieś duże, okrągłe ciastka.

- To moja nowa pasja - wyjaśnia wstydliwie. - Odkryłem je w tym sklepie po drodze

do pracy. Jestem uzależniony.

- Będziesz musiał sobie znaleźć jakąś inną drogę do pracy - mówi Jane. Przypomina mi się Jim z jego cynamonowymi drożdżówkami i uśmiecham się. Kiedy odgryzam kawałek twardego ciastka, na języku i w ustach wybuchają maleńkie drobiny smaku.

- To jest kombinacja cukru, soli i orzechów - wyjaśnia Larry, przyglądając mi się badawczo. - Człowiek nie może się im oprzeć. - Przeprasząco patrzy na swój wyraźnie już widoczny brzuszek.

Pokazuję na jeden z zapisków w terminarzu taty.

- W niedzielę wieczorem tata widział się z panem Zacarro. Czy to nie zastanawiające, że jedną z ostatnich osób, które go widziały, jest pan Zacarro?

- Och, tata się zaprzyjaźnił z panami Zacarro i Hollerem.

Jane kartkuje książkę adresową, wypisując z niej nazwiska i nawet nie podnosząc głowy.

- Tata? Z panem Zacarro? I z panem Hollerem? Przecież oni byli sąsiadami, a nie przyjaciółmi. Od lat nie widziałam żadnego z nich i nie pamiętam, by tata ich kiedykolwiek wspominał.

- Muszę powiedzieć, że mnie to nie zachwycało, ale co można było zrobić? - mówi Jane w roztargnieniu, nie przerywając pisania.

- Nie zachwycało cię?

- To nie było towarzystwo odpowiednie dla taty. Nieraz do późna przesiadywał u Zacarrów, gadając i popijając piwko.

Mam ochotę ją jeszcze wypytywać, ale - całkiem nie w porę - wchodzi Scott, z wypiekami na twarzy i z zaczerwienionymi oczami.

- Joni Rimbaldi dosłownie przeżyła szok - oznajmia. Joni była przez wiele lat sekretarką taty na wydziale geologii. - Zostałem ją w domu w Tigertail Bay, kiedy robiła sobie makijaż przed wyjściem na spotkanie z Erykiem, z którym akurat dzisiaj była umówiona na lunch. Ona się szykuje do miasta, a ja tu dzwonię i mówię, że lunch jest nieaktualny, bo Eryk nie żyje, i do tego jeszcze został zamordowany. Boże, co za wiadomość!

- Może za godzinę czy dwie powinniśmy do niej zadzwonić i sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku - sugeruje Jane, a my, reszta, kiwamy głowami. Tak z

pewnością należy postąpić.

Przy lunchu Larry mówi:

- Zgodzisz się chyba, Lucy, że dom należy opróżnić i sprzedać?

Patrzę na niego w milczeniu.

- Innego wyboru nie ma: albo wynająć, albo sprzedać - wyjaśnia. - Zakładam, że nikt z nas nie będzie tu mieszkał.

- Trzeba go sprzedać - mówi spieszenie Jane.

- W każdym wypadku należy go najpierw opróżnić - podkreśla Larry. Mówi emocjonalnie, jakby się spodziewał sprzeciwu. Pewnie Jane go uprzedziła, że może wyjść ze mnie Rosjanka.

- Wiem o tym, Larry - mówię - ale to będzie bardzo bolesne.

- Nie ma innego wyjścia.

- A co my z tym wszystkim zrobimy? Jane i Larry patrzą po sobie.

- Każde z nas weźmie, co uzna, że mu się przyda, to, co się nadaje do sprzedania, trzeba sprzedać, dużo rzeczy się rozda, a resztę, zaciskając zęby, wyrzucimy - mówi Larry.

- I może wyda ci się to bezduszne, Lucy, ale należy to zrobić w miarę szybko.

- Nie...

- To zajmie bardzo dużo czasu, a my musimy cię wykorzystać, póki tu jesteś.

- To kiedy?

- Jutro, dziś, zaraz.

- Nie jestem do tego przekonana, Larry. To... swego rodzaju zdrada.

- Dlaczego?

- Tata gromadził te wszystkie rzeczy przez całe życie... nie możemy, ot tak, wyrzucić ich w przeciągu tygodnia... - Mój głos wydaje się słaby, jakby dziecinny.

Scott wychyla się do przodu. Mówi ciepło:

- To potrwa miesiące, Luce. Dlatego musimy zabrać się do tego jak najszybciej.

- Potrwa miesiące - mówię - bo dla każdej rzeczy znajdzie się właściwa osoba i właściwe miejsce... Jakiś entuzjasta starych traktorów weźmie stary traktor. Jakiś geolog zainteresuje się kamieniami i narzędziami. Ogrodnik...

- Gdybyśmy chcieli w ten sposób pozbyć się tych wszystkich rzeczy, zajęłoby nam to lata - mówi Jane. - A większość to naprawdę śmiecie.

Larry kiwa głową. W dalszym ciągu robi wrażenie byka, który szuka czerwonej płachty.

- Dom jest pełen, po dach, starych gratów - upiera się. - Jeżeli zaczniemy grymasić, w końcu nie oddamy nic. - Larry i Jane mają czyste mieszkanie, niezagracone, co nie sprzyja gromadzeniu się kurzu.

Jane nie lubi dostawać w prezencie pięknej ceramiki ani bibelotów. Jej białe mieszkanie jest tak zaprojektowane, że nie ma na nie miejsca. Patrzyłam na nią, jak rzeczowo, z profesjonalną powagą mówi o pozbywaniu się naszej przeszłości. Jest ministerstwo odpadów i uzdatniania surowców wtórnych. Schronisko dla bezdomnych, położone w odległości dwóch przecznic od szpitala, zawsze potrzebuje mebli. Weterani wojny wietnamskiej czasami urządzają zbiórki. Na wydziale geologicznym oceniają kamienie.

Później, wyjeżdżając z domu taty i starannie omijając dziury w podjeździe, ciągle jeszcze słyszę jej słowa - grzechoczą mi w głowie jak żwirek w bucie.

Kiedy powiedziałam Larry'emu, Scottowi i Jane, dokąd się wybieram, Scott się skrzywił, Jane pokiwała głową, a Larry tylko pogłaskał się po brodzie.

- Rozumiem twoją ciekawość - powiedział.

- Policja pytała o samochód dosłownie wszystkich w okolicy - podkreśla Jane.

- I odeszła z niczym - dodaje Scott.

- No cóż, może Lucy będzie miała więcej szczęścia - podsumowuje Larry. - Niech jedzie, niech ma poczucie, że coś robi.

Jestem zdumiona jego poparciem. Przez cały dzień nie dał się lubić.

Do Lowis można się dostać na dwa sposoby. Albo jechać drogą szybkiego ruchu na zachód, w kierunku miasta, a potem skrócić na północ, w nadbrzeżną autostradę, albo tłuc się samym dnem doliny, wzdłuż identycznych sadów, z uczuciem, że jedzie się donikąd, i tak aż do skrzyżowania. To właśnie tam skręcił wczoraj wóz holowniczy. Ta droga prowadzi docelowo do Sacramento, ale wcześniej mija najbardziej wysunięty na wschód skraj San Strana. Mogłabym więc jechać przez samą malowniczą dolinę i wtedy, dokładnie po jej drugiej stronie, mam Lowis. Zatrzymuję się przy końcu drogi gruntowej, czując, że dolina ciągnie mnie jak magnes. Po czym skręcam w kierunku miasta.

Jest późne popołudnie, niedobra pora, żeby jechać na zachód. Mam na nosie okulary

przeciwsłoneczne, odginam zasłonki samochodowe, a mimo to słońce świeci mi prosto w oczy, które, chcąc nie chcąc, mrużę.

Nietrudno znaleźć Lowis: jest pierwszą osadą w dolinie i jeśli chce się dostać w głąb San Strana, trzeba po prostu przez nie przejechać. Miasteczko nie jest tak malownicze, jak na przykład Cooper i inne starsze miejscowości, ale zachowały się tam jeszcze stare drzewa i stare domostwa, choć całkowicie przytłoczone przez nowoczesną kosztowną zabudowę. Kręcę się chwilę po okolicy, aż wreszcie znajduję adres podany mi przez policjantkę: długą półkolistą uliczkę, gdzie wysoka roślinność zaczyna już zakrywać nowe domy. Za płotami słyszę piski dzieciaków, typowe dla zabaw z wodą. Zraszacze albo baseny.

Kirsty powiedziała mi, że oldsmobil taty stał na zakręcie, przy kępie drzew, gdzie mieszkańcy dwóch, jeśli nie trzech domów mogliby przypuszczać, że to goście przyjechali do sąsiadów. Zatrzymuję samochód w miejscu, które mi opisała. Tu czuję się bezpieczna. Nie widać mnie z żadnego z domów. Mogę wysiąść z samochodu i iść ulicą, spokojna, że nikt nie zauważy, ani samochodu, ani mnie.

Dwa razy przejeżdżam ulicą tam i z powrotem. Wreszcie zatrzymuję się dokładnie w miejscu, w którym stał oldsmobil taty. Idąc, słyszę własne kroki na szerokim chodniku. Klik-klak, klik-klak. Natychmiast robię się czujna. Nasłuchuję i zaraz ich charakterystyczna nierytmiczność znika, jak zawsze, kiedy ją sobie uświadomię.

Na końcu ulicy są drzewa. A pod nimi trójka dzieciaków na deskorolkach obserwuje mnie pilnie. Podchodzę prosto do nich i kiedy jestem blisko, widzę jeszcze troje, zwisających z gałęzi drzewa albo opartych o pień. Witam się z nimi. I odczuwam ulgę, kiedy po chwili odpowiadają na moje pozdrowienie.

- Widzicie ten samochód, zaparkowany o tam? - pytam i pokazuję na samochód. W milczeniu kiwają głowami. Są to sami chłopcy. Pulchni, jak większość chłopców w okresie wczesnego dojrzewania. - W poniedziałek dokładnie w tym samym miejscu stał przez cały dzień, a może i dłużej inny samochód. Naprawdę stary oldsmobil, z wgnieceniem w przednim błotniku. Czy może któryś z was go widział? - Słyszę własne słowa i ich dziwny rytm. Wydaje mi się, że tak mówiłam, kiedy byłam w ich wieku, a może po prostu słyszałam, jak mówią inne dzieci, ponieważ do ukończenia jedenastu lat żyłam w całkowitej izolacji.

- Aha, widziałem - mówi jeden z chłopców, a drugi to potwierdza. Kolejny oświadcza, że dwa razy przechodził koło samochodu. Kolega przekrzykuje go, przechwalając się, że nie tylko widział samochód, ale mało na niego nie wpadł, jadąc na desce. Dwaj chłopcy zaczynają wyraźnie ze sobą rywalizować co do tego, który wszedł w bliższy kontakt z oldsmobilem. Uśmiecham się.

- Pani Steadman spod numeru 3315 wezwała nawet policję - podsuwa usłudze jeden z chłopców.

- Czy któryś z was ma pojęcie o tym, jak ten samochód się tu znalazł? - pytam, ale odpowiada mi milczenie.

- Nie.

Trwa cisza, a potem któryś mówi:

- W tym samochodzie ktoś został zamordowany.

- Ale skąd on się tu wziął? - nalegam. - Chodzi mi o to, czy ktoś z niego wysiadł i odszedł? Zaparkował go i wszedł do innego samochodu, który tu gdzieś czekał? A może inaczej: może był wóz holowniczy? Może samochód został tu przyholowany i porzucony?

Chłopcy patrzą na mnie. Jeden z nich stawia nogę na desce i jeździ nią w przód i w tył, jakby się gdzieś wybierał.

- Ja widziałem wóz holowniczy - mówi. Ale nie pamięta, którego dnia ani czy był to ranek, czy wieczór.

- Czy pani jest z policji? - pyta chłopak siedzący na desce. - Pani nie wygląda na policjantkę.

- I nie jestem - przyznaję. - Interesuje mnie ta sprawa, ponieważ ten samochód należał do mojego ojca.

- A czy pani tata został zamordowany? - pyta cienkim, piskliwym, jak gdyby niepewnym głosem.

- To znaczy... - Waham się. Jest to nowy teren również i dla mnie. - Tak.

Chłopcy są żądni szczegółów. Mówię im, że tata zginął zapewne w Big Brim, ale nikt nie wie, jak ani dlaczego miałby go ktoś zabijać, nikt też nie rozumie, w jaki sposób jego samochód znalazł się tutaj. Częstują mnie kilkoma scenariuszami wydarzeń rodem z seriali sensacyjnych. Tata nie chciał zapłacić pieniędzy szantażyście. Tata popełnił samobójstwo i upozorował je na morderstwo. Miał syna, który zaginął dawno temu, a

teraz się pojawił i zażądał od niego pieniędzy. Tata był świadkiem czegoś bardzo złego, jak na przykład gwałt, i wdał się w bójkę, chcąc ratować ofiarę. Tata był szefem mafii. Patrzę na gładkie buźki dzieciaków i na ich bystre oczy. Wszelkie poważne trudności, z jakimi się spotkali, rozgrywały się na ekranie telewizora, z dala od ich spokojnej egzystencji w Lowis. Może, jeśli zostaną tu, w San Strana, na zawsze, zdołają uniknąć ciosów, jakie niesie życie, i zachowają gładkie twarze.

- Mówicie o moim ojcu - uświadamiam im i chłopcy milkną. - To był dobry człowiek. Profesor uniwersytetu. Żadne scenariusze z szantażem, zaginionym synem czy mafią nie wchodzą w grę.

- Ale nie widać, żebyś się tym specjalnie przejmowała - mówi siedzący na desce ostrzyżony na jeża malec. Patrzę na niego zdumiona. Chłopak próbuje nie spuszczać wzroku, ale jak gdyby się skurczył w swoich szerokich krótkich spodniach i obszernej koszulce.

- Jak to się nie przejmujesz, Tony? Tylko takie małe gnojki jak ty potrafia się mazać, kiedy jest im smutno - odzywa się znacznie grubszy głos i Tony czerwienieje.

- Moja mama nie płakała, kiedy umarł jej tata, ale i tak musiała zażywać tabletki antydepresyjne. - To głos spomiędzy gałęzi drzewa.

- A ty płakałaś? - nalega Tony. Jest teraz mocno czerwony na twarzy i patrzy na mnie spode łba, jakby był zły. - Płakałaś, kiedy ci powiedzieli?

- Najpierw to był dla mnie zbyt wielki szok. A potem płakałam wiele razy.

- Wcale tego po tobie nie widać - upiera się Tony. - Nie lubiłaś swojego taty? - Ma purpurowe uszy, a pod ostrzyżonymi na jeża włosami czerwoną skórę na głowie.

Kiwa się w przód i w tył, nie ruszając stopami.

- Kochałam go - mówię. - Kochałam go tak bardzo, że nie wiem teraz, czy kiedykolwiek będę taka sama jak dawniej, zanim się to stało. - Czuję, jak twarz mi się kurczy, i wiem, że za chwilę się rozplacę. Może wreszcie Tony będzie ze mnie zadowolony. Odwracam się i odchodzę ulicą. Za mną jest cisza.

- Dzięki za pomoc - mówię przez ramię, kiedy wreszcie mogę coś z siebie wydusić, chociaż gardło mam dalej ściśnięte.

- Chciałbym, żeby złapali tego faceta, co zabił twego tatę! - słyszę za sobą w końcu cichy głos.

Idę do sąsiadów zapytać pana Zacarro o niedzielny wieczór, który spędził z tatą, kiedy nagle opadają mnie wspomnienia tak silne, że muszę się zatrzymać.

Potknęłam się na podjeździe i dwukrotnie stłukłam sobie boleśnie palec u nogi, a raz złapałam się za niskie gałęzie eukaliptusa, żeby nie upaść. Idę drogą gruntową i widzę, że wyboje są dokładnie w tych samych miejscach co wtedy, kiedy byłam dzieckiem, chociaż naturalnie zieleń się rozrosła. Działka Zacarrów jest narożna i kiedy się tu sprowadzili, zanim jeszcze skryły ją drzewa i krzewy, dzieciaki z sąsiedztwa skracali sobie drogę, ścinając róg i często depcząc rośliny. Pani Zacarro była ogrodniczką, ale jakoś jej to nie przeszkadzało. Za to pan Zacarro, znany ze swego temperamentu, złapał mnie kiedyś, skrzyczał i w końcu puścił na mnie zraszacze. Kiedy przyszłam do domu mokra, brudna i zapłakana, Jane była bardzo zła. „Zaraz do niego zadzwonię i powiem mu, że jesteś chora i że tak nie wolno!”. Błagałam ją, żeby tego nie robiła. Nawet teraz, skręcając w stromy podjazd Zacarrów, wspominam, jak bardzo mi wtedy na tym zależało.

Przez lata gwałtowne ulewy w znacznym stopniu rozmyły nawierzchnię podjazdu. A przecież pamiętam, jak asfalt był tak świeży, że aż się lepiał i czuć go było nawet u nas w domu. Teraz dociera do mnie tylko zapach upału, bezlitośnie katującego każdą nawierzchnię i znęcającego się nad liśćmi, które bezwładnie zwisają z drzew.

Potykam się na wyboju i o coś ocieram. Jest to niepozorna roślina walcząca o lepsze z innymi, znacznie potężniejszymi chwastami. Jej różowe zakurzone kwiatki chylą główki. Liście rośliny są lepkie. W promieniu dwóch kroków czuję tę lepkość na nogach; robię jeszcze dwa kroki i w powietrzu aż dusi od zapachu. Moje serce na chwilę przestaje bić i staje się ciężkie jak kamień spadający ku ziemi. Piersi mi falują, z trudem łapię powietrze, oczy mam pełne łez. Otwiera się jakieś głęboko ukryte, zamknięte miejsce w mojej pamięci i słyszę łkanie.

Był ranek, wczesny, ale nie na tyle, żebym, idąc tym podjazdem, by zapytać o Lindy, nie czuła na ramionach i łydkach słońca. Kładłam się spać niespokojna i wstałam niespokojna. Wstydziłam się, ale musiałam pójść, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. Brnęłam wolno brzegiem podjazdu, wiedząc, że jeśli otrę się nogą o różowe kwiatki, które pani Zacarro posadziła wzdłuż asfaltu, wyzwolę z nich lepki duszący

aromat. Kwiaty rosły od dołu do samej góry, a ja jedną nogę dosłownie wlokłam tak blisko nich, że kiedy zobaczyłam dom, kręciło mi się w głowie i miałam mdłości zarówno od słońca, jak i od nieznośnego zaduchu. Moja noga - pokryta kleistą mazią - przypominała lep na muchy. Jakiś owad, może pszczoła, bzyczał tuż przy moich włosach, ale już wtedy miałam takie uczucie, jakby moja głowa była oddzielona od reszty ciała, i nawet nie próbowałam opędzać się od natręta.

Odurzona aromatem, nie zdziwiłam się nawet, kiedy podniósłszy wzrok, zobaczyłam wyłaniającą się z domu Zacarrów moją matkę, której palce trzepotały jak uwięzione ptaki. A przecież wiedziałam, że jest to widok niezwykle. W tym czasie matka rzadko wychodziła z domu i raczej nigdy sama. Kiedy się do mnie zbliżyła, zobaczyłam, że ma twarz wykrzywioną w jakimś skurczu i że idzie krokiem dziwnie energicznym, co znałam jako niebezpieczny objaw. Kiedy mnie zobaczyła, najpierw spojrzała mi w oczy, a zaraz potem odwróciła głowę.

- Nie powinnaś tam wchodzić - powiedziała.

Nie musiałam pytać dlaczego. Wiedziałam, że znaleźli Lindy.

Matka nie zatrzymała się nawet, tylko przeszła obok mnie, jakimś dziwnym szarpanym, niespokojnym krokiem, jak postać ze starej kroniki filmowej.

Na pogrzeb przyszła cała klasa. Lindy uchodziła za najładniejszą z nas - dla wielu był to powód, by jej nie lubić za życia, za to szczególnie opłakiwać po śmierci. Z wyjątkiem mnie. Bo ja w ogóle nie mogłam płakać. Próbowałam, ale łzy nie chciały płynąć.

Wlokę się powoli zniszczonym asfaltem w stronę domu, łapczywie wdychając zanikający aromat rośliny, jakby krył w sobie zakodowaną informację o przeszłości. Nieco dalej niż w połowie drogi, za miejscem, w którym matka kazała mi zawrócić, przychodzi mi do głowy, że mam oto okazję skończyć moją wyprawę do domu Zacarrów, rozpoczętą wiele lat temu. W ciągu ostatnich paru dni myślałam o Lindy więcej niż przez te wszystkie lata, ale zawsze omijałam jej śmierć, jakbym naciskała jakiś opóźniający guziczek. Lindy umarła, kiedy miałyśmy po osiem lat, i kolejnych kilka lat upłynęło mi pod znakiem jej śmierci. W końcu postanowiłam w ogóle przestać o niej myśleć. I tak dalece mi się to udało, że kiedy przyjechaliśmy tu z Saszą i mój kuzyn zapytał, czy Zacarrowie byli dobrymi sąsiadami, to jedyne, co w związku z nimi przyszło mi do głowy, to fakt, że pan

Zacarro kuleje.

Na górze widzę zaparkowany naprzeciwko garażu samochód. Stoi bagażnikiem do mnie i natychmiast rzucają mi się w oczy trzy metalowe kłódki, na które jest zamknięty. Ogromne kłódki budzące skojarzenia z więzieniem. Widok kłódek powoduje, że włosy na karku lekko mi się jeżą.

Naciskam dzwonek, ciekawa, jaki stosunek może mieć pan Zacarro do dawnych przyjaciółek jego córki. Zastanawiam się, czy ich nienawidzi za to tylko, że żyją, i czy wrzeszczy na nie i puszcza zraszacze.

Ponieważ nikt nie odpowiada na mój dzwonek, zaczynam błądzić dokoła domu, tak samo jak wtedy, kiedy przychodziłam tutaj bawić się z Lindy. Poruszam się wolno, jakby gorące powietrze stawiało opór. Przy bocznej bramie widzę basen. Na jego powierzchni unosi się twarzą do góry duże brązowe ciało, z rozkrzyżowanymi nogami i ramionami. Poza tym nie widać na wodzie ani jednej zmarszczki czy choćby najmniejszego ruchu. I wszędzie dokoła pełno przedmiotów do pływania, niektóre w odblaskowych kolorach - pomarańczowym i żółtym. Przy brzegu basenu unosi się na wodzie przymocowany pływający fotel.

Ostrożnie wchodzę przez bramę, ale kiedy rozlega się za mną jej cichy trzask, brązowe ciało składa się natychmiast i unosi rękę, łamiąc gładką powierzchnię wody. Zabawki podskakują, jakby w ten sposób uczestniczyły w geście pozdrowienia, objijając się o pana Zacarro i o siebie nawzajem. Pan Zacarro ryczy:

- Czy to Jane, czy Lucy?

- Lucy.

- Dobrze! - krzyczy w krępujący sposób. Podchodzę bliżej, ale pan Zacarro nie przestaje ryczeć.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Ogromnie się cieszę, Lucy. Chcę ci powiedzieć, jak niesamowicie jest mi przykro z powodu twojego taty, poza tym mam nadzieję, że się wreszcie od ciebie dowiem, co się tak naprawdę stało. Chciałem tam do was podjechać, ale ustawili jakąś idiotyczną barierkę i zostałem zatrzymany przez faceta, któremu się wydawało, że jest bardzo ważny tylko dlatego, że mu dali mundur i notatnik. Napijesz się piwa?

- Nie... dziękuję.

Nie poznaję pana Zacarro. Zapamiętałam go jako okazałego mężczyznę i kiedy wylania się z wody i wprawnym ruchem siada na pływającym fotelu, koło schodków, widzę, że owszem, nadal jest duży, ale prawie całkowicie łysy.

- Na ganku stoi lodówka, a w niej znajdziesz pełno schłodzonego piwa. Możesz przynieść i dla mnie?

Ganek. Kiedy Lindy i ja nie siedziałyśmy akurat u nas na bujawce, to bawiłyśmy się naszymi konikami właśnie na tym ganku. Ulubieńcem Lindy był kasztanek o słodkim pyszczku. Większość koników była plastikowa, niektóre porcelitowe, i te szybko się tłukły, ale kasztanek Lindy miał miękką sierść i nogi, które dawały się zginać. Trigger. Jego imię rozbrzmiewa w mojej pamięci tętentem kopyt, galopujących ku bramie. Konik miał na imię Trigger i Lindy zawsze mówiła, że kiedy dorośnie, dostanie prawdziwego konia, bardzo podobnego do tego kasztanka.

Rozglądam się po ganku. Po śmierci Lindy zostało tu kilka moich koników, ale nigdy się po nie nie zgłosiłam, i teraz łapię się na tym, że wypatruję tekturowych stajni, które sobie budowałyśmy, wiecznie obecnego Triggera i zabawek, które zostawiłam. Nie widząc ich, odczuwam absurdałne rozczarowanie.

Wyjmuję z lodówki dwa piwa i jedno z nich wręczam panu Zacarro. Gestem zaprasza mnie, żebym usiadła koło basenu na ogrodowym fotelu.

- Co powiesz, Lucy Schaffer! - ryczy. - Musiałem cię kiedyś widzieć jako osobę dorosłą, ale najlepiej cię pamiętam z czasów dzieciństwa, kiedy bawiłaś się z dziećmiakami.

- Jego głos nie jest modulowany. Przelykam. Nie chcę być tą pierwszą, która wspomni Lindy.

- Jak się mają Davis i Carter? - Wrzeszczę. Zdążyłam się już zorientować, że pan Zacarro jest głuchy i że trzeba mówić do niego głośno.

- Nie musisz krzyczeć. Nie jestem głuchy. Davis założył Hooleran Software i ma w tej chwili roczny obrót w wysokości sam już nie wiem jakich kroców dolarów, a Carter świetnie sobie radzi w handlu nieruchomościami, czwórka dzieci i to jeszcze nie koniec. Są bardzo zajęci, więc rzadko się widzimy. Ale dzwonią. - Gestem wskazuje stojący w pobliżu telefon. Po raz pierwszy rozglądam się dokoła i widzę, że teren za domem jest umeblowany. Są zwykle leżanki basenowe i krzesła, ale jest też toaletka, komoda, telewizor, dwa lustra i kilka fotografii, wiszących na metalowym płocie, wtulonym w

zbocze wzgórze. Przy brzegu basenu leżą kamienie ułożone w porządną piramidkę. Niektóre są okrągłe z ciekawymi żyłkami, inne mają postać krystaliczną.

Pan Zaccaro mnie obserwuje.

- Te kamienie dostałem od twojego ojca. Często mi przynosił różne okazy, a ja je tu układałem.

Kiedy gestykuluje, na jego grubym brzuchu powstają fałdki jakby z brązowego ciasta.

- A to, co to jest? - Pokazuję na leżący osobno większy płaski kamień, na którym są wykute słowa.

Pan Zaccaro uśmiecha się krzywo.

- To jest nagrobek - wyjaśnia.

Nagrobek znajduje się od płytkiej strony basenu. Wstaję, żeby mu się lepiej przyjrzeć, i czytam: „Pamiętaj o śmierci. Joe Zaccaro zawsze pamiętał”.

- Tam, pod spodem, jest miejsce na moje daty - wyjaśnia usłużnie pan Zaccaro. - Podoba ci się?

- Owszem - mówię i wracam do dużego brązowego ciała, unoszącego się na wodzie w fotelu.

- Czy pan się widział z tatą w niedzielę wieczorem, panie Zaccaro? - pytam.

- Joe. Tak, był tu u mnie. Adam Holler też.

- Pan był jednym z ostatnich, którzy go widzieli żywego.

- Wiem o tym, Lucy. I to wcale nie jest dla mnie miła świadomość.

- A w jakiej był formie, panie Zaccaro?

- W świetnej. Mów mi Joe.

- Nie wiesz, czy ojciec widział się jeszcze z kimś w niedzielę? Wzrusza ramionami.

- Nic mi nie mówił.

- A o której poszedł do domu?

- Nie wiem. Był tu godzinę albo dwie. Widzę na jego piersi gęsią skórę.

- Nie jest ci zimno? - pytam. - Może przyniosę ręcznik? - Uśmiecha się, a ja odnoszę wrażenie, że mój opiekuńczy ton sprawia mu przyjemność. Przez jego twarz przemyka wyraz smutku, jak jesienny liść szybujący w podmuchach wiatru, i już wiem, że w tej chwili żałuje, że to nie jego córka pyta go, czy nie jest mu przypadkiem zimno i czy

nie potrzebuje ręcznika. Widzę, że nie ma dnia, żeby nie myślał o Lindy.

- Ja już nie odczuwam zimna, Lucy! - wrzeszczy. - Początkowo w zimie było ciężko, ale teraz już jest w porządku.

- A ty pływasz przez cały rok?

- Szczerze mówiąc, ostatnio nie tyle pływam, co dryfuję.

Popija piwo, a resztę wstawia w otwór w poręczy fotela w kształcie puszki. Za każdym razem, kiedy mówi, jego fotel podskakuje na wodzie, szarpiąc linką tak, jakby Zacarro miał zaraz odpłynąć.

Znów się rozglądam dokoła.

- A ty... - Waham się. - Czy ty tutaj mieszkasz? W basenie?

- Och, czasem wchodzę do domu. Ale, widzisz, to jest bardzo bolesne. Na lądzie kuśtykam jak stary, wielki, niezdarny łoś. Mam jedną nogę krótszą, więc zawsze wyglądałem jak łoś. Nie pamiętasz? Wydawało mi się, że co jak co, ale to widzą wszyscy.

Pan Zacarro kulawy. Pan Zacarro puszcza na dzieci zraszacze, bo woda w rurce jest znacznie szybsza niż on. Pan Zacarro goni Davisa i Cartera i pokrzykuje na nich ze złością, a chłopcy zaśmiewają się z ojca, który, jak wiedzą, nigdy w życiu ich nie dogoni. Mam znów mieszane uczucia: dojmująca przykrość wobec jego upokorzenia i lęk przed złością pana Zacarro. Przez chwilę nie mogę na niego patrzeć.

- Kiedy zbudowaliście basen? - pytam.

- Mniej więcej wtedy, kiedy chłopcy byli nastolatkami. I tak się przyzwyczaiłem, że co wieczór po powrocie do domu musiałem popływać, zima czy lato. Zawsze wiedziałem, że jestem stworzeniem wodnym. W wodzie mogę się poruszać, jak chcę, i wyglądam nawet symetrycznie. Spędzałem tu coraz więcej czasu, a teraz prawie nie wychodzę z basenu.

- Ale przyjdiesz na pogrzeb taty?

- Jasne. Czasami się ubieram, idę do sklepu, napełniam lodówkę. Odkąd odeszła Gracie, jadam właściwie prosto z lodówki. Nie lubię opuszczać wody na dłużej niż na godzinę, dwie... Lucy... - Wiosłuje rękami dokoła fotela, tak że ustawia się naprzeciwko mnie. - Czy już ci mówiłem, że jest mi bardzo przykro z powodu twojego taty? To był wspaniały facet. Tak inteligentny, że głowa mała. Ciekawe. Bardzo was obie kochał, dziewczynki. Ale powiedz mi, co tam u was robiła policja? Adam Holler dowiedział się od

Bernarda Dimoto, że wasz ojciec utopił się w Big Brim. Naprawdę się utopił? Możesz mi powiedzieć, co się tak naprawdę stało?

Mam ochotę wykręcić się od odpowiedzi, ale nie bardzo wiem, jak to zrobić.

- Śmierć taty... - Waham się i wreszcie powtarzam za Jimem: - Śmierć taty nastąpiła w niewyjaśnionych okolicznościach. Policja twierdzi, że to było zabójstwo.

Zapada cisza i po chwili pan Zacarro wydaje długie, ciche gwizdnięcie.

- Zabójstwo!?! Na miłość boską! Zabójstwo! Och, Lucy, Lucy, co za bzdury.

Zabójstwo to bzdura.

Zalega długie milczenie. Obserwuję go. Nic nie mówi, ale jego wargi co chwila układają się w słowo „zabójstwo”.

- Czy wyobrażasz sobie... czy jest ktoś taki, kto miałby powód zabić tatę?

- Zabić Eryka!?! - ryczy Zacarro. - Nikt by nie miał powodu zabijać Eryka! A co mówią te bubki od kryminologii?

Wzruszam ramionami.

- Że się nie utopił. Że najpierw umarł, a potem jego ciało zostało wrzucone do wody.

- Co za bzdury. Straszne to wszystko razem. Jego usta bezgłośnie formują słowa.

- Ubranie taty znaleziono w Big Brim na plaży. Ale nikt nie wie, jak się tam dostał, bo samochód znaleziono w San Strana.

Zacarro patrzy na mnie wielkimi, wodnistymi oczami, a zmarszczki na jego twarzy przypominają zmarszczki na wodzie.

- W dolinie San Strana?

- A dokładnie w Lowis.

- Lowis? Lowis! - ryczy.

- Czy on tam kogoś znał? Czy miał jakieś powody, żeby jechać do San Strana?

- Nie, nie, nie, nigdy nie wspominał o Lowis.

Potrząsa głową. Jego wargi poruszają się w niemej rozmowie z kimś niewidocznym.

- Czy mówił w niedzielę, że w poniedziałek wybiera się popływać? Czy opowiadał o jakimś nowym programie fitness, który jakoby rozpoczął ze swoim przyjacielem Seymourem?

- Nie, nie, nic nie mówił o pływaniu. Gadaliśmy o wielu rzeczach, jak to starzy

faceci, o dupie Maryni, no, wiesz, Lucy, takie tam różne bzdury, ale w niedzielę nie było mowy o żadnym fitness czy Seymourze, o pływaniu, o Lowis czy... - Zacarro zawiesza głos i wpatruje się w szklistą powierzchnię wody, usiłując sobie przypomnieć niedzielny wieczór i wszystko, co powiedział wtedy tata.

- A czy mówił o tym, że się z kimś spotykał?

- Nie, nie...

- Czy zdradził się może ze swoimi planami na poniedziałek?

- Nie.

- Czy wspominał, że się czymś szczególnym martwi? Czy robił wrażenie człowieka bardzo zatroskanego?

- Eryk? Nie. Nie miał chyba żadnych zmartwień.

Obserwuję pana Zacarro, który przypomina dużą wyspę, pływającą po migotliwej powierzchni basenu. Kąciki ust ma opuszczone, powieki przymknięte. Jest mi bardzo przykro, że go dzisiaj wprawiłam w taki smutny nastrój. Miał dosyć własnych nieszczęść.

Mówię łagodnie:

- Joe, samochód taty jest z przodu poważnie wgnieciony...

- Wgnieciony?

- Pomyślałam, że może to wgniecenie tam już było...

- Nigdy o tym nie wspominał.

- A miał jakieś problemy z samochodem?

- Owszem, miał. Jeden wielki problem, któremu na imię oldsmobil. Przecież mógł sobie pozwolić na nowy samochód. Ale czy go kupił? Nie. Wolał cały wolny czas spędzać, reperując swojego grata.

- A czy on się ostatnio psuł?

- Eryk mi nigdy o tym nie mówił, bo wiedział, co ja mu na to odpowiem: pozbądź się wreszcie tej kupy złomu.

- Czy samochód taty był ostatnio holowany?

Joe potrząsa głową. Nie patrzy na mnie. Mamrocze pod nosem:

- Zabójstwo... Podnoszę się do wyjścia.

- Przypuszczam, że niedługo będzie chciała z tobą rozmawiać policja. Z panem Hollerem też.

Jego duża ciastowata twarz zwraca się w moją stronę. Na koniec Joe woła jeszcze za mną:

- Gdybyś chciała się wykapać, to możesz przyjść w każdej chwili. Słyszysz mnie? W każdej chwili, czy będę w domu, czy mnie nie będzie, możesz sobie tutaj popływać, zamiast chodzić po jakichś cholernych niebezpiecznych plażach.

Staram się nie patrzeć na zamknięty na kłódki bagażnik samochodu pana Zacarro, ale teraz, kiedy go już widziałam, trudno mi przejść obok, nie wspominając Lindy, głaszczącej zabawkowego konika, takiego jak prawdziwy, którego miała dostać, gdy będzie duża. Idąc podziurawionym asfaltem i ślizgając się miejscami na jego luźnych okruchach, widzę, jak spod moich nóg umykają na boki różne małe stworzonka, chowając się po krzakach. Stwierdzam też, że wonne różowe kwiatki pani Zacarro musiały w przeważającej większości wyginać po jej wyjeździe, ustępując miejsca chwastom. Patrząc na to wszystko, wyobrażam sobie, że był tu kiedyś prawdziwy żywy koń, i widzę Lindy, jak na nim galopuje i jak w rytmie tego galopu podskakują jej blond włosy, a ona siedzi, wyprostowana, i tylko od czasu do czasu nachyla się, żeby pogłaskać końską grzywę. Boki kasztana lśnią w słońcu i widać pod błyszczącą sierścią jego napięte, poruszające się jak cień mięśnie. Starannie omijam jedyną pozostałą lepką roślinę. Nie mam ochoty na nową porcję odurzającego aromatu. Lindy na koniu. Czy to wspomnienie jakiegoś rzeczywistego przeżycia? Czy może tylko wspomnienie snu na jawie, i to nie mojego, tylko Lindy Zacarro?

17

Larry i Jane podejrzewają, że w nocy znów ktoś był w domu taty. Zastają ich w sypialni, jak zbierają wszystko, co może przedstawiać jakąś wartość.

- Jestem wściekła, że ślusarz nie przyszedł wczoraj tak, jak obiecywał - zwraca się do mnie Jane, oglądając małe srebrne puzderko.

- Nawet jeśli zmienimy zamki, to i tak musimy pozabierać te rzeczy - mówi Larry.

Zamykam drzwi od garderoby, bo nie lubię, jak zieje na mnie taka otwarta czeluść. Niektóre szuflady toaletki też są pootwierane, a pośrodku wielkiego niebieskiego łoża widzę kupkę srebrnych przedmiotów i małych mieniących się kamyków.

Na komodzie zdjęcia, które lubię: ślubna fotografia rodziców i nasza czwórka na

plaży. Kładę je ostrożnie na łóżku razem z innymi drobiazgami.

- Te ramki to nie jest prawdziwe srebro - informuje mnie Larry.

Uśmiecham się.

- To zdjęcia przedstawiają wartość - mówię. Pokazuję mu fotkę z plaży. - Lubię sobie popatrzeć na tatę, kiedy się tak śmiał.

Jane przerywa robotę, żeby się przyjrzeć zdjęciu.

- Tyle że rzadko mu się to zdarzało - mówi

Larry gładzi brodę.

- Mogłabyś iść do pokoju komputerowego ojca i sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak wczoraj zostawiłaś? - zwraca się do mnie.

Wczoraj po południu spędziłam tam kilka godzin, przygotowując dokumenty dla Scotta.

- Uważasz, że ktoś tam był w nocy?

- Tak sądzimy, ponieważ Jane zamknęła drzwi na dwa razy, a dziś rano zastaliśmy je zamknięte tylko na raz. Ale żadnych innych dowodów nie mamy.

Z ulgą spostrzegam, że dokumenty, które poukładałam w porządne kupki na biurku i na podłodze w pokoiku komputerowym, wyglądają tak, jak je zostawiłam. Kiedy jednak zaczęłam się im bliżej przyglądać, zauważyłam drobne zmiany. W szufladach dwie teczki zostały wyjęte i włożone odwrotnie. Jane miała rację. Ktoś tu musiał być.

Jane i Larry wyczytują to z mojej twarzy, kiedy wracam do sypialni. Patrzą najpierw po sobie, a potem na mnie.

- Ktoś, kto tu był, usiłował odłożyć dokumenty na miejsce, ale nie w każdym wypadku mu się to udało.

- Ktokolwiek tu był, nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli - mówi Larry, siadając na łóżku.

- Ale wczoraj zostawił zapalone światła i niezamknięte drzwi - mówi Jane.

- Może ktoś mu przeszkodził - sugeruję.

- Ale kto?

- Na przykład faceci, którzy przyprowadzili samochód?

- Może. - Jane zgadza się ze mną. Bierze do ręki ozdobną srebrną ramkę z fotografią i kładzie na łóżku. Zastanawiam się, do kogo mogą należeć te spłowiałe twarze.

- A co tam takiego jest w tym komputerowym pokoju taty, co mogłoby się komuś przydać? - pyta mnie Jane. - Ktoś wyraźnie czegoś szuka. Mógł wziąć coś z tych sreber, a jednak tego nie zrobił. Prawdopodobnie chodzi o jakiś dokument. Czy jesteś pewna, że niczego tam nie brakuje?

- Nie, nie jestem pewna. Ale większość papierów przejrzałam wczoraj i nie widzę, by poza tymi, które wzięłam ze sobą do ciotki Ziny, czegoś brakowało.

Pracuję dalej w pokoju komputerowym taty. A tymczasem przyjeżdżają dwaj faceci w czerwonych koszulach z napisem: „Z nami jesteś bezpieczny, koleś”. Słyszę szmer ich rozmów i zgrzyt narzędzi, kiedy wymieniają zamki. Potem obchodzą z Jane dom, mówiąc jej, jak bardzo jest narażony na wizyty nieproszonych gości.

- Nie możemy zrobić wszystkiego, co nam doradzają - mówi Jane po ich wyjściu, opadając na krzesło w pokoiku komputerowym. Patrzę na nią z podłogi, na której akurat pracuję, otoczona dokumentami.

- Mianowicie?

- Alarmy i telewizja wewnętrzna, a przynajmniej zamki na okna i przerzedzenie krzewów, żeby trochę odsłonić dom. W tej sytuacji trzeba go jak najprędzej opróżnić, sprzedać i niech się o bezpieczeństwo martwią nowi właściciele.

Jane wstaje i wychodzi, starannie omijając papiery.

- Widzę, że się posuwasz do przodu.

- Te już są załatwione. - Wskazuję na duże zielone segregatory, nad którymi właśnie przeszła. - A to znaczy, że zawiadomiłam o śmierci taty wszystkich, których należało, i zakończyłam papierkową robotę. A te powinnam skończyć jutro. Akta na biurku i w szufladach zajmą trochę więcej czasu.

- Czy wszystko jest jasne? - pyta Jane.

Lubię pracę z dokumentami taty, lubię czytać jego notatki, robione drobnym inteligentnym pismem, analizować liczby, sprawdzać inwestycje. Czuję się, jakbym mu oddawała hołd.

- Tata miał dobry system. Jak dotąd znalazłam tylko jeden drobny znak zapytania, ale myślę, że z pomocą kilku telefonów i to wyjaśnię.

- A o co chodzi?

- O sprawy związane z szybem naftowym. Może kiedy pracowałam nad tym

wczoraj wieczorem u ciotki Ziny, byłam zbyt zmęczona. Dzisiaj przejrę to wszystko jeszcze raz.

- Szyb naftowy? - dziwi się Jane.

Kiwam głową. Ojciec w czasie wakacji prowadził niekiedy prace poszukiwawcze w tej dziedzinie. Dawno, zanim się ożenił, i potem też, wiele lat później, kiedy ja byłam jeszcze w domu, a Jane już na studiach. Zabierał mnie nawet ze sobą, ale nafta, odwrotnie niż skały, występuje na płaskich, nudnych terenach, więc po całych dniach siedziałam w motelu nad basenem i czytałam, czekając na tatę.

- Przecież on od lat się takimi sprawami nie zajmował.

- Ale kiedy się zajmował, był na tyle sprytny, żeby część należnych sobie pieniędzy brać w udziałach. A to znaczy, że jak długo złoża, które odkrył, były czynne, miał prawo do określonego udziału w zyskach. Możesz mi wierzyć albo nie, ale niektóre z tych szybów są czynne do dziś.

- To ojciec do ostatniej chwili miał dochody z tych towarzystw naftowych? Jak duże?

- Nie sprawdzałam jeszcze najświeższych dokumentów, ale z pewnością kilka lat temu były to pieniądze wystarczające na skromne utrzymanie.

Jane gwizdże.

- I nigdy nawet słowem o tym nie wspomniał!

- Może stawiam zbyt wiele kropek nad „i”, ale lubię, gdy wszystko gra na wiele możliwych sposobów... - Jane uśmiecha się z czułością. Zawsze się ze mnie śmiała, że matematykę odrabiałam dwa razy, żeby uzyskać dwie dobre odpowiedzi. - Dlatego próbowałam dojść do jego dochodów z nafty na podstawie wydruków bankowych i innych dokumentów, ale nie mogę ich znaleźć.

Jane patrzy na mnie zdziwiona.

- Nie możesz znaleźć tych pieniędzy?

- Jak dotychczas nie.

- A co on mógł z nimi zrobić?

- Są ślady najwcześniejszych płatności jeszcze sprzed naszych urodzin. A potem, po jakichś dziesięciu latach, wszystko się urywa.

- Czy to były regularne wpływy?

- Roczne.

- I co roku te pieniądze jak gdyby... znikają?

- Jeszcze do tego nie doszłam. Jane patrzy na mnie w zamyśleniu.

- Jestem przekonana, że mógłby ci w tym pomóc Seymour. Seymour jest najbliższym przyjacielem taty, emerytowanym geologiem naftowym.

- Zadzwoń do niego. - Podchwytyję skwapliwie pomysł Jane. - Pewnie na poczekaniu wyjaśni mi sprawę.

- Nie zapomnij mu powiedzieć, że pogrzeb jest we wtorek - mówi Jane przez ramię.

Otwieram szufladę w biurku taty, szukając jego książki adresowej, żeby zadzwonić do Seymoura, ale książki nie ma, jest tylko sporo rupieci, jakie zawsze można znaleźć w szufladach biurka. Szczypce do usuwania zszywek, stare karty pokładowe, pozostałe po lotach, kiepskie zdjęcia bliskich. Jedno z nich przedstawia mnie ze Steviem. Trzymam go luźno i mam dość niewyraźny uśmiech. Buzia małego jest jak zwykle skurczona w małą czerwoną piąstkę, a usta szeroko otwarte do krzyku. Za nami widać kawałek Scotta, przygarbionego, z rękami bezradnie wetkniętymi w kieszenie dżinsów.

Odkładam zdjęcie i biorę poźółkłe wycinki z gazet. Od razu poznaję winiętę „Valley Gazette”. To niewiarygodne: „Śnieg w Hollow Grove!”, „Jak miasto zanieczyszcza środowisko naszej doliny”, „Na ślubnym kobiercu”.

Zaciekawiona, rozkładam „Na ślubnym kobiercu”. Wycinek jest tak dokładnie poskładany, że przy rozkładaniu rozdziera mi się w jednym miejscu. Prostuję go na biurku brzegiem dłoni. Gazeta donosi o ślubie Roberta Josepha i Karen Sylvester.

Chociaż od wielu lat nie kocham się w Robertcie Josephie, artykuł wydaje się puchnąć i bulgotać. Wpatruję się w szare zdjęcie. Uśmiechnięty pan młody jest krócej ostrzyżony i twarz ma szczuplejszą, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że to on.

Szukam daty, ale jej nie znajduję, więc czytam reportaż. Pan młody jest lekarzem, panna młoda pracownicą banku. Matka pana młodego urządziła przyjęcie w ich pięknym domu w dolinie. Panna młoda była ubrana w historyczne koronki robione przez jedną z jej antenatek, której mąż walczył w tym czasie z Konfederatami. Druhny były ubrane na żółto. Jest też lista gości.

Wychodzę na pomost i patrzę na spokojną, uporządkowaną dolinę. Podoba mi się symetria panująca pomiędzy drzewami owocowymi a ich cieniem. Z przyjemnością

zatrzymuję wzrok na równych czworokątach sadów, na kątach prostych skrzyżowania.

Druhny były ubrane na żółto. Panna młoda jest pracownicą banku, jak ja. Jego matka wydała przyjęcie: może ojciec nie żyje, tak jak i mój. A Robert, który chciał być reżyserem filmowym, został lekarzem. Pewnie go zmienił wypadek samochodowy. Może długotrwały pobyt w szpitalu i groźba utraty nogi wpłynęły na zmianę planów. Może już nie interesuje się filmem. Dla mnie Robert przestał istnieć w wieku osiemnastu lat, ale przecież dalej rozwijał się i zmieniał, ożenił się i może dorobił dzieci, a ja byłam w jego życiu tylko drobnym epizodem.

Spoglądając na południe, mogę sobie wmówić, że widzę farmę Josephów, chociaż wiem, że widać ją tylko z dalszego punktu na zakręcie drogi gruntowej - jako plamkę zieleni tak żywej i zaskakującej jak drobina szpinaku między zębami. W dolinie można się z gorąca usmażyć, ale dokładnie obok farmy Josephów przebiega rów melioracyjny, dzięki czemu ich obejście przypomina oazę, zieloną, chłodną i cienistą.

Tego lata, które spędziliśmy razem z Robertem, leżeliśmy spleceni ze sobą w hamaku, zakochani, kołysząc się pod dwoma potężnymi, grubymi drzewami i rozmawiając o wszystkim i o niczym. Szczęnięca miłość. Łatwo ją wyśmiać, kiedy przeminie, ale wtedy wydawała nam się najprawdziwsza na świecie. I te rozmowy. Matka Roberta mówiła, że lubi słuchać szmeru naszych rozmów dobiegających z hamaka. Była miła i miała miłych przyjaciół. Kiedyś żałowałam, że nie jest moją matką, a potem miałam z tego powodu wielkie wyrzuty sumienia. Któregoś dnia wspomniałam matkę i wtedy - ku mojemu zdziwieniu - pani Joseph powiedziała: „A tak, pamiętam ją z Cornington”. Cornington była to szkoła podstawowa, do której - aż do czasu reorganizacji okręgu - chodziliśmy oboje z Robertem. „Mieliśmy tam stołówkę i twoja mama pomagała, przynosząc jedzenie” - dodała matka Roberta. Ale ze sposobu, w jaki to powiedziała, mimo że jej ton był spokojny, wywnioskowałam, że matka musiała zrobić coś koszmarnego: albo przyniosła nie takie frankfurterki jak trzeba, albo wcale nie przyniosła, albo przyniosła frankfurterki pokryte zielonym nalotem i kiedy się zorientowała, że popełniła błąd, zaczęła płakać, robiąc z siebie widowisko w obecności matki Roberta, dyrektora szkoły i wszystkich nauczycieli. Czekałam, aż pani Joseph powie coś więcej o mamie i stołówce Cornington Country, i byłam bardzo szczęśliwa, kiedy się tego nie doczekałam.

W pokoiku komputerowym znajduję w końcu numer telefonu Seymoura i Seymour odpowiada natychmiast, jakby właśnie pracował przy biurku.

- Jak się masz, Lucy, cieszę się, że cię słyszę - mówi, ale nagle jego głos się załamuje. - Boże, jakże mi brak Eryka. Już teraz mi go brak, chociaż umarł zaledwie parę dni temu. A co to będzie za miesiąc czy za rok? Ciągłe wycinam mu z gazet różne artykuły. Dziś rano na przykład wyciąłem ze „Skalnego Młotka” coś, o czym wiedziałem, że go doprowadzi do szału. Że dostanie apopleksji. Chichotałem do siebie na myśl o tym, jak się Eryk będzie wściekał, i wyobraź sobie, że włożyłem ten wycinek do koperty i nawet zaadresowałem! Czy uwierzysz? Na szczęście zorientowałem się, zanim przylepiłem znaczek.

Uśmiecham się. W Seymourze zachowało się coś z taty. To tak, jakby znaleźć zdjęcie domku na plaży zaraz po tym, jak go zmyła fala. Łączył go z tatą stosunek antagonistyczny, głównie dlatego, że Seymour został chrześcijaninem i tata lubił się z nim spierać. Pod koniec długiego dnia dysput Seymour zwykł mawiać:

- Wiesz, co ci powiem, Eryku: żeby się z kimś tyle czasu kłócić, trzeba się z nim w zasadniczych sprawach zgadzać.

- Ale ja się z tobą nie zgadzam! - protestował tata. - Z ani jednym twoim słowem! Widać było jednak, że obaj świetnie się bawią.

Rozmawiamy przez chwilę o wtorkowym pogrzebie. Seymour zgadza się ze mną, kiedy mówię, że zdecydowaliśmy się na uroczystość świecką. A potem przechodzę do sprawy naftowych udziałów taty.

- To mówisz, że Simms-Roeder wydobywa w dalszym ciągu? Jestem zazdrosny. Pogratulować Erykowi takiego znaleziska.

- Ale wiesz co, Seymourze, nie widzę w papierach taty śladu tych pieniędzy. Ani przychodu, ani rozchodu. Jest tylko oświadczenie firmy, że pieniądze zostały wypłacone. Czy tata mówił ci kiedykolwiek, co z nimi robił?

- Nie, ale tego dowiesz się z jego wyciągów bankowych.

- W wyciągach bankowych też tego nie ma. Ani śladu. Zadzwoiłam do firmy, ale nie uzyskałam od nich żadnej pomocy... Masz tam może jakieś znajomości?

- Mój Boże, większość ludzi, których znałem, poszła na emeryturę. Ale dobrze, spróbuję... Tylko że to potrwa dzień albo dwa. Wpadniesz, jak będę coś wiedział?

Katherine też cię z pewnością chętnie zobaczy.

Umawiamy się, że przyjdę jutro wieczorem.

Kiedy za kilka godzin, późnym popołudniem, spoglądam w górę i w okienku nad głową widzę, że prostokąt nieba robi się granatowy jak atrament, zastanawiam się, dlaczego tata wyciął z gazety informację o ślubie Roberta Josepha. Czy zamierzał mi ją dać, tylko zapomniał, czy się rozmyślił?

Przyjeżdża dwójka detektywów, Kirsty i Rougemont. Rougemont wita się ze mną jak z dobrą znajomą, uśmiechając się stanowczo za szeroko. Moja siostra jest przyjacielska. Parzą z Larrym kawę i Jane mówi o swoich podejrzeniach - że ktoś tu wczoraj był.

- Bardzo mi się to nie podoba. Cieszę się, że dzisiaj przyszedł ślusarz - mówi. - Czasami mam wrażenie, że jesteśmy śledzeni.

Patrzę na nią zdumiona. Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej skłonnego do manii prześladowczej niż Jane.

- Widziałem faceta pod naszym domem - dodaje Larry. - Nic nie robił. Po prostu się tam kręcił.

- Aha. - Rougemont jest sceptyczny, ale zręcznie to ukrywa. - A ile razy go widzieliście?

- No... ze dwa - przyznaje Larry. Jane uśmiecha się, rozdając kawę.

- Jesteśmy coraz bardziej zdenerwowani i dlatego wyobrażamy sobie Bóg wie co.

- Był tu ktoś, kto ma zapasowy komplet kluczy - mówi Kirsty. - Tego sobie nie wyobraziliście.

- Ukryjcie tu na noc policjanta - proponuje Larry - na wypadek gdyby ten ktoś znów chciał wejść. - Mówi tak arbitralnym tonem, jakby to on prowadził śledztwo, i chociaż detektywi nie okazują niechęci, krzywię się lekko za nich.

- Myślę, że do tej pory ma już to, czego chciał - mówi Rougemont - wątpię, czy jeszcze się pokaże.

- To bardzo prawdopodobne. - Larry się upiera.

- W porządku - Kirsty jest nastawiona ugodowo. - Przyślemy tu dwóch policjantów na noc i zobaczymy, co się będzie działo.

Rougemont wypija kawę kilkoma haustami, wprawiając w ruch jabłko Adama. Po czym oświadcza, że chciałby się pokręcić po domu.

- Czego pan szuka? - pytam.

- Jestem starym psem, który lubi węszyć po domach - mówi i znika.

Kiedy byłam naprawdę małą, matka miała brązowego pieska, który też lubił węszyć po domu. Chował się, potem nagle wyskakiwał ze szczekaniem, a ja prawie umierałam ze strachu.

Kirsty pyta, czy jest z nami Scott.

- Scott dzisiaj uczy - odpowiadam. - A poza tym on nie musi bywać tutaj tak często, bo to ja mu przygotowuję wszystkie dokumenty potrzebne do wykonania testamentu.

- Jak sądzisz, dlaczego ojciec nie ciebie wyznaczył na egzekutora testamentu? - pyta, a ja aż się wzdrygam od jej ostrego tonu.

- To oczywiście - odpowiada spokojnie Jane.

Patrzę na nią zdziwiona. Zbiera opróżnione filiżanki po kawie, zawieszając je na swoich długich palcach, i chociaż myśli o czym innym, a zajęcie jest przyziemne, porusza się z wielką gracją.

- Wyjechałaś z Kalifornii, prawda? I tata uszanował twoją decyzję. Nie chciał obarczać cię obowiązkami, które by cię tu trzymały, chociaż wiedział, że byłabyś najlepsza. To był wspaniałomyślny gest, świadczący o wielkiej miłości.

Natychmiast uświadamiam sobie, że Jane ma rację. Zauważyła mój ból i jak zwykle go uśmierzyła. Widzę, że Larry też patrzy na nią z podziwem.

Jane ustawia filiżanki na stole i pyta Kirsty:

- Czy są jakieś wiadomości z medycyny sądowej?

- Jesteśmy już teraz pewni, że śmierć nastąpiła około ósmej rano. Na krótko przed zanurzeniem ciała w wodzie. To wszystko.

Rozważamy znaczenie tej informacji.

- To znaczy - konkluduje ostrożnie Larry - że nie umarł nigdzie w pobliżu miejsca znalezienia jego samochodu.

- Najprawdopodobniej nie. - Kirsty mówi znużonym tonem osoby, która uzyskała tę wiadomość już wcześniej i zdążyła wziąć pod uwagę wszelkie możliwe ewentualności. - Lowis jest odległe od Big Brim co najmniej o trzydzieści czy czterdzieści minut drogi.

- Czy ludzie z medycyny sądowej wiedzą już cośkolwiek więcej o tym, w jaki sposób zginął ojciec? - pyta Jane.

- Konsultują sprawę z Charlesem Dunlopem. To wybitny profesor kryminologii.

Kirsty wkłada rękę do swojej wypchanej walizeczki i wyciąga notatnik. Przerzuca gęsto zapisane kartki i zatrzymuje się na zapisanej tylko do połowy.

- Chciałabym wam zadać dość nietypowe pytanie...

Czekam w napięciu na nietypowe pytanie. Zerkam na Jane i Larry'ego i widzę, że oni też są spięci.

- Chodzi mi o wóz holowniczy - mówi. Gapię się na nią w osłupieniu.

- Rozumiem, że to się może wydawać nieprawdopodobne. Ale czy wasz ojciec mógł prowadzić taki wóz w noc poprzedzającą jego śmierć?

Jane i ja patrzymy po sobie i robimy zdziwione miny.

- Nie - mówimy.

Kirsty poprawia włosy, które kiedyś były długie.

- Poszukiwaliśmy jakichkolwiek informacji na temat tego, co mógł robić wasz ojciec w niedzielę wieczorem i w poniedziałek rano, i skontaktował się z nami policjant z patrolu drogowego. Utrzymuje, że rozmawiał z kierowcą wozu holowniczego w niedzielę późnym wieczorem na autostradzie prowadzącej do miasta kilkanaście kilometrów w głąb łądu od Big Brim. Powiedział, że ma dobrą pamięć, przypomniał sobie nawet nazwisko waszego ojca i bardzo dokładnie go opisał.

- I on uważa, że to nasz ojciec prowadził ten wóz? - pyta z niedowierzaniem Jane.

- Jest pewien. Czy wy coś z tego rozumiecie? Patrzy na mnie.

Potrząsam głową.

- Zupełnie sobie tego nie wyobrażam.

Larry celuje w kobietę brodą w sposób świadczący o tym, że zaraz coś powie.

- A czy ten wóz coś holował?

- Nie.

- To dlaczego patrol go zatrzymał?

- On się sam zatrzymał przy jakimś stojącym na poboczu wraku. I wtedy Howie zapytał, co się stało. Poprosił kierowcę o prawo jazdy i twierdzi, że było ono wystawione na nazwisko waszego ojca, a sam kierowca odpowiadał jego rysopisowi. Niestety,

policjant nie zapisał tych danych. Nie zapisał nawet numeru wozu holowniczego.

- A czy ten wóz zabrał tamten wrak?

- Podobno próbował, ale było coś nie w porządku z windą i kierowca powiedział, że na kogoś czeka. Howie mówił bardzo przekonująco. Twierdzi, że się nigdy nie myli.

- Wszyscy się mylimy - mówię i Kirsty uśmiecha się do mnie w sposób, który przypomina mi o moich pomyłkach.

- Prawdziwy błąd Howiego polega na tym, że nic nie zapisał. Gdyby chociaż wziął numery albo jakieś inne szczegóły dotyczące kierowcy czy samego wozu... Uważa, że to był stary grat, poza tym nic szczególnego nie zauważył.

- Czy kierowca był sam?

- Nie. Towarzyszył mu przynajmniej jeszcze jeden mężczyzna, może dwóch. Howie przyznaje, że nie jest tego pewien. Oczywiście mogłoby nam to pomóc wyjaśnić zagadkę, w jaki sposób wasz ojciec dostał się do Big Brim albo jak jego samochód znalazł się w Lowis. Dlatego nie powinno was dziwić, że tak drażę tę sprawę.

Larry uśmiecha się do Kirsty.

- Naukowcom też się takie rzeczy zdarzają. Kiedy dane nie pasują do hipotezy, zaczynają wątpić w dane.

Wchodzi Rougemont. Miał się kręcić po domu, ale pachnie eukaliptusem. Siada przy stole, składa długie nogi i bierze do ręki filiżankę kawy.

- Może jest zimna? Zaparzę świeżą - proponuje troskliwie Jane. Prawdopodobnie wiele osób wyczuwa smutek Rougemonta i jedni reagują na to agresją, a inni życzliwością.

Rougemont się uśmiecha.

- Nie, nie, dziękuję, zwykle kiedy przypominam sobie o tym, że mam wypić kawę, na ogół już jest zimna. - Kirsty informuje go, że Jane, Larry i ja nie widzimy żadnego powodu, dla którego ojciec miałby w niedzielę prowadzić wóz holowniczy.

- To nie był ten typ człowieka - mówi Larry.

- Och - odpowiada Rougemont, przechylając na bok dużą głowę - ja bym tak nie powiedział, według mnie to właśnie był ten typ człowieka.

Wszyscy patrzymy na Rougemonta, popijającego zimną kawę.

- Co pan ma na myśli? - pyta Jane.

- Mówiłem wam już chyba, że wiele lat temu znałem trochę waszego ojca. I wiem, że wtedy z całą pewnością miał wóz holowniczy.

- Tata? Wóz holowniczy? - powtarza jak echo Jane. - Nic podobnego!

- Nie - dodaję. - To nie tata.

- Owszem, tata.

- A czy nie mógł się pan pomylić? - pyta Jane.

- Nie. On nawet uaktualniał swoje prawo jazdy. Chociaż to wcale nie znaczy, że musiał ostatnio prowadzić wóz holowniczy.

- A kiedy, według pana, ojciec miał ten wóz? - pytam. Rougemont mruży oczy i wciąga wargi.

- Hmm... byłaś wtedy małą dziewczynką, Lucy. Możesz tego nie pamiętać, ale Jane powinna.

- Ciekawe, po co geologowi wóz holowniczy? - pyta sceptycznie Larry. Ale ja znam odpowiedź. Platforma holownicza jest już w mojej głowie i to wcale nie dlatego, że tam w tej chwili wjechała. Bo ona była zawsze, wystarczyło, żebym tylko rozsunęła w oknie zasłony, a wóz stał, lśniący w słońcu.

- Ojciec go naprawiał - mówię. - Jak traktor, prasę drukarską, oldsmobila... Często leżał pod nim z kluczami i coś tam dłubał. Ten wóz był ogromny i chyba obficie chromowany, bo lśnił srebrzyście. A z przodu miał coś w rodzaju twarzy. Z reflektorami zamiast oczu i zderzakiem jak gigantyczne usta.

- To jednak pamiętasz! - wykrzyknął Rougemont z podziwem. - Miałaś wtedy ledwie cztery latka, Lucy, a jednak pamiętasz! Naturalnie nie wiem, kiedy ojciec się go pozbył. Mogłaś mieć pięć, sześć czy siedem lat. I jeśli wziąć pod uwagę, że w tej rodzinie chwilami nikt nic nie pamięta, to okazałaś wielki postęp, Lucy!

Kirsty potwierdza to entuzjastycznie i oboje detektywi patrzą na mnie z wielkim uznaniem, jakbym właśnie wygrała teleturniej. Spoglądam na Jane. Jej blada zwykle twarz płonie.

- Chcę powiedzieć... - zaczyna. A trzeba znać Jane bardzo, ale to bardzo dobrze, by wiedzieć, że kiedy mówi takim lodowato spokojnym tonem, to znaczy, że musi być naprawdę zła. Wie o tym Larry i wiem ja i oboje prostujemy się podświadomie. - Często ludzie czegoś nie pamiętają, bo ich wspomnienia są tak nieprzyjemne czy nawet bolesne,

że wolą tego nie pamiętać. Chyba pan o tym wie. Musiał się pan zorientować, że w naszym dzieciństwie były sprawy, o których już dawno postanowiłyśmy zapomnieć.

Jane ma na myśli matkę. Wiecznie obecną, nawet jeśli się jej nie widziało trzy lata. I unosząc się teraz nad naszą rozmową jak wielki biały ptak.

Ale Rougemont ignoruje czy po prostu nie zauważa złości Jane.

- Jasne, jasne - zgadza się, kiwając głową na swój dziwny elastyczny sposób. W dalszym ciągu uśmiecha się jak prezenter programu, jak facet, który uważa, że zawodnicy czerpią wielką przyjemność z tego, iż są upokarzani. - Dobrze, ale co, na miłość boską, może być takiego bolesnego we wspomnieniu o platformie holowniczej?

Jego głos nabiera wyższych tonów, jakby słowa detektywa miały być ukoronowane śmiechem z puszek. Ale zamiast takiego finału zapada cisza, którą po chwili przerywa cienki, smutny głosik bliskiej łez małej dziewczynki.

- Bo właśnie w ten sposób ją odholowali.

Wszyscy obracają się, żeby zobaczyć tę dziewczynkę. Patrzą na mnie.

- Kiedy mama nie chciała wysiąść z samochodu... - mówię do Jane, ale ona ma oczy spuszczone, patrzy na blat stołu, jakby tam było napisane coś, czego nie decyduje się przeczytać. - Musisz przecież pamiętać, jak matka nie chciała wysiąść z samochodu?

Jane milczy. Kiedy tak siedzi ze spuszczoną głową, mam wrażenie, że zamknęła oczy, żeby się całkowicie ode mnie odciąć. To, co mówię, uważa za zdradę, ale ja już nie mogę przestać.

- Kiedy wróciliśmy z Arizony i matka miała załamanie nerwowe, ale jeszcze nie wiedzieliśmy, o co chodzi, bo zdarzyło się to po raz pierwszy, i kiedy myśleliśmy, że to jakiś drobny przejściowy problem i wkrótce wszystko wróci do normy... no więc właśnie wtedy matka nie chciała wysiąść z samochodu. Siedziała tam cały dzień i całą noc i jeszcze przez większą część następnego dnia, aż było czuć mocz z odległości trzech metrów. Kiedy po nią przyjechali, dwóch mężczyzn i kobieta, matka w dalszym ciągu nie chciała wysiąść z samochodu. Nie mogli sobie z nią poradzić. Nie potrafili nawet jej uspokoić. Próbowali ją tak po prostu wywieźć, stanowiła jednak zbyt wielkie zagrożenie. Prawie ich pokonała. Ale był przecież wóz holowniczy. Stał zaparkowany przed stodołą, jak inne stare graty ojca. I nim ją odholowali. To znaczy samochód. Z matką w środku. Czy nie tak było, Jane? Ja tego nie widziałam, ale się domyśliłam, kiedy zobaczyłam, że

nie ma ich ciężarówki, nie ma naszego samochodu i nie ma wozu holowniczego, który usłyszałam z mojego ukrycia. Odgłos silnika kojarzył mi się z jakimś wielkim ohydny potworem, a skrzynia biegów przy każdym manewrze zgrzytała, jakby to były jego zęby. Wóz holowniczy zabrał matkę. I wiecie co? I myślę, że ona to uznała za niewybaczalne. Bo kiedy ją odwiedziłyśmy, zachowywała się koszmarnie, jakby była na nas wściekła, że kazaliśmy ją odholować, zamiast pozwolić jej siedzieć w samochodzie tak, jak sobie tego życzyła.

Ciszę, jaka zapada, odczuwam boleśnie jak ukłucie igieł. Dwoje detektywów przygląda mi się badawczo. Larry robi wrażenie zaskoczonego; z pozy chłodnego obserwatora, jaką przyjął, niewiele zostało. Jane jest czerwona, mam wrażenie, że jej twarz trochę zmieniła kształt, jakby niektóre mięśnie się w niej poprzesuwały. Wreszcie zaczyna mówić, ale bardzo cicho, niemal szeptem.

- Nie mogliśmy pozwolić jej siedzieć nie wiadomo jak długo w samochodzie, żeby się tam załatwiała jak pies.

- Trzeba było poczekać. Aż będzie gotowa do wyjścia.

- Moglibyśmy tak czekać bez końca.

Ja też mówię cicho. W takiej ciszy, w której każde słowo jest krzykiem, nie ma potrzeby mówić głośniej.

- Myślę, że ona by wyszła, kiedy byłaby gotowa.

Jane patrzy na mnie z lekko odrzuconą do tyłu głową, jakbym była bardzo jasnym światłem, które może ją oślepić.

- Ale ona nic nie jadła. A ty przez cały czas płakałaś. I to głównie dlatego tata się w końcu złamał. Nie była to dla niego łatwa decyzja, ale zrobił to tak samo dla ciebie, jak i dla mamy. Czy chcesz powiedzieć, że postąpił niewłaściwie?

Potrząsam głową gwałtownie, jak pies, który właśnie wyszedł z wody, ponieważ wiem, że tata, obok innych zalet, miał i tę, że zawsze się starał postępować właściwie.

- Nie. Chcę powiedzieć, że to było potworne. - Zwracam się tym razem do Rougemonta. - Prawdopodobnie dlatego żadna z nas nie chciała pamiętać o platformie holowniczej. Ale teraz sobie o niej przypomniałyśmy. Przywołałyśmy ją z dalekiej przeszłości, tak jak pan nas o to prosił. Może teraz nam pan wyjaśni, jaki to wszystko ma związek z niedzielą wieczór czy z tym, co mówił Howie.

Rougemont w zamyśleniu ssie dolną wargę, jakby to był papieros.

- Och - mówi w końcu. - Może żaden. To znaczy zgadzam się z Larrym, że Howie musiał się pomylić.

18

W komisariacie policji drogowej w Bellamy jestem o ósmej czterdzieści. Kiedy tam wczoraj wieczorem zadzwoniłam od ciotki Ziny, powiedziano mi, że Howie zaczyna swoją zmianę o dziewiątej.

- A kto pyta? - dodał podejrzliwy głos.

- To sprawa... raczej osobista.

- Aha. - Zabrzmiało to porozumiewawczo. Wyraźnie dawano mi do zrozumienia, że życie osobiste Howiego jest bogate. - Proszę tu przyjechać mniej więcej za piętnaście dziewiąta, to ktoś panią z nim skontaktuje.

Na portierni zastaję umundurowanego funkcjonariusza i proszę go, żeby zatrzymał Howiego, zanim ten zdąży opuścić komisariat. Jego zaprawiony żartobliwą rezygnacją ton mówi mi, że nie jestem pierwszą kobietą, która go prosi o taką przysługę. Po upływie kilku minut pojawia się policjant w nienagannym mundurze. Idzie niepewnie, ale widać, że ta niepewność to tylko poza świadomego swej atrakcyjności mężczyzny. Spogląda na mnie nieufnie, oceniając wzrokiem moją dłoń, zanim zdecyduje się nią potrząsnąć, jakby się bał, że go zaskarżę o alimenty.

- Nazywam się Lucy Schaffer. Mój ojciec niedawno umarł, a pan jest, zdaje się, jedną z ostatnich osób, które go widziały żywego...

Howie wpatruje się we mnie w milczeniu.

- W niedzielę wieczorem sprawdzał pan wóz holowniczy, który on prowadził. A w poniedziałek rano ojciec zginął niedaleko miejsca, w którym pan go wtedy widział. Padł ofiarą zabójstwa i nie jest wykluczone, że sprawcą była jedna z osób, które mu wtedy towarzyszyły.

Howie patrzy gdzieś ponad moją głowę, przypominając sobie niedzielny wieczór, tatę i wóz holowniczy.

- Jezu, właściwie to nie widziałem, kto tam był z nim w kabinie. Już mnie o to pytała detektyw MacFarlane. Bardzo wątpiła, czy to był pani ojciec, ale ja go poznałem na

zdjęciu. No i przypomniałem sobie nazwisko. Schaffer.

- A do jakiego stopnia jest pan pewny?

Policjant Howie odznacza się typową dla młodego wieku pewnością siebie.

- Całkowicie. Jak i tego, że byli z nim jacyś faceci. Może jeden. Niewykluczone, że dwóch. Na pewno nie więcej. Czterech by się w takiej kabinie nie zmieściło, to nie był wielki wóz i naprawdę stary.

- Czy zapamiętał pan jakieś szczegóły związane z tymi ludźmi? Jakikolwiek?

- Nie miałem okazji się im dobrze przyjrzeć, a oni się nie odzywali.

- Czy mój ojciec wysiadał?

- Nie. Odkręcił tylko okno i wyjaśnił, że ma problemy z windą. Przyjechał po wrak, który stał przy drodze, ale nie mógł go zabrać właśnie z powodu tego uszkodzenia.

Powiedział, że już ktoś do tej windy jedzie.

- Czy... czy mój ojciec robił wrażenie człowieka czymś zmartwionego?

Niespokojnego? Czy może zatroskanego?

Howie się uśmiecha. Jego uśmiech jest biały i symetryczny.

- Niech mi pani wierzy, że każdy, kogo zatrzyma kalifornijski patrol drogowy, jest niespokojny i zatroskany.

- Chodzi mi o to, czy robił wrażenie człowieka... zdesperowanego? Czy może zachowywał się jakoś... dziwnie, w sposób nasuwający podejrzenie, że jest trzymany w tym wozie wbrew swojej woli?

Mężczyzna się zastanawia.

- Nie. To znaczy owszem, był zdenerwowany, ale nie do tego stopnia. Nie miałem powodu wlepić mu mandatu, mimo to zachowywał się tak, jakby się tego mandatu bał.

- A tamten wypadek... co to był za wypadek?

- Wypadek?

- No, chodzi mi o ten wrak, który mieli holować.

- Rozumiem. Ale niewiele mogę na ten temat powiedzieć. Bo kiedy zacząłem służbę, wrak już tam stał, w jednym z newralgicznych miejsc. Doszedłem do wniosku, że wcześniej musiało tam dojść do wypadku. Samochód był kompletnie wypalony. Nie do zidentyfikowania. Ale wie pani co? Wczoraj odkryłem, że żadnego wypadku nie było.

Wpatruję się w niego, nic nie rozumiejąc. Brwi ma uniesione, a rysy jakby ze

zdumienia wyskakiwały mu z twarzy.

- Nie było. W niedzielę w tej części nadbrzeżnej autostrady nie zgłoszono żadnego wypadku.

Gorączkowo myślę, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- To jak się panu wydaje... - mówię wolno - skąd się ten wrak mógł tam znaleźć?

- Może skądś go holowali, ale popsuła im się winda, więc się zatrzymali i go odczepili.

- I co, naprawili tę windę?

- Nie. Wrak został przy autostradzie, powodując w poniedziałek rano wielkie utrudnienie w ruchu. Bardzo żałowałem, że nie zapisałem numeru rejestracyjnego wozu pani ojca.

- Blokował autostradę?

- Nie musi blokować autostrady, żeby powodować utrudnienia. Po prostu ciekawscy zwalniają i to opóźnia ruch nawet na odległość wielu kilometrów.

Wymownie spogląda na zegarek.

- Jeszcze tylko parę pytań - uspokajam go. - Czy mógłby mi pan opisać ten wóz holowniczy?

Howie marszczy czoło.

- Hmm... tam jest bardzo kiepskie oświetlenie, ale jedno mogę powiedzieć - samochód musiał być bardzo stary, prawie antyk. Pani ojciec miał go chyba od bardzo dawna.

Jest to w połowie pytanie, które ignoruję.

- Czy miał czarne tablice rejestracyjne? Znów biały błysk uśmiechu.

- Z pewnością był na to wystarczająco stary. Ale nie widziałem. Nie przyglądałem się specjalnie, nie miałem powodów.

- A może zapamiętał pan coś jeszcze? Jakaś wypowiedź? Coś, co dotyczyło siedzących w kabinie ludzi? Albo co wydało się dosyć dziwne?

- Nie. Dla mnie to była rutynowa kontrola. - Mężczyzna, który przez cały czas na mnie nie patrzył, nagle spojrział mi w oczy. - Rozumiem, że pani ojciec padł ofiarą zabójstwa, ale po co zadaje mi pani te wszystkie pytania?

- Kiedy zabiją nam ojca, to zadajemy pytania.

- Czy detektyw MacFarlane wie, że pani tu jest?

- Nikt nie wie, że tu jestem.

Przez chwilę Howie robi wrażenie przygnębionego i - może to śmieszne - ale chce mi się płakać, bo ten nieznajomy mężczyzna, choćby nawet i na krótko, to jednak dzieli ze mną mój ból.

- Bardzo mi przykro - mówi. - Tej nocy na autostradzie nie wydarzyło się nic szczególnego. A pani ojciec nie robił wrażenia człowieka w ciężkich tarapatach. Ale jeśli było inaczej... to przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro.

Z Bellamy jadę nad morzem. Droga powtarza wszystkie zakręty i meandry wybrzeża i samochody przyspieszają dopiero na prostym odcinku autostrady przy Big Brim. Musi to być najmniej uczęszczana plaża w tej okolicy. Parking, na którym Rougemont postawił samochód tuż obok mojego, jest prawie pusty. Tylko dwa samochody i platforma holownicza.

Platforma holownicza. W Big Brim. Antyczna z wyglądu, pełna chromów, ze srebrzystym ramieniem wycelowanym w niebo niczym płetwa rekina. Przyhamowuję i zawracam. Kierowca jadącego za mną samochodu trąbi, a jego pasażerowie patrzą na mnie wymownie i to samo robią ci z następnego samochodu i z jeszcze następnego.

Zatrzymuję się koło platformy holowniczej i kołysana podmuchami kolejnych mijających mnie pojazdów dwukrotnie obchodzę ją dokoła. Tym razem nie ma w niej nic monstrualnego - przeciwnie, wydaje mi się mała i zdezelowana. Chromowanie wesoło lśni w słońcu. Mechanizm żurawia i windy piętrzy się z tyłu, masywny, jak z innej epoki. Tablice rejestracyjne są czarne z żółtymi numerami. Marka wozu trudna do odczytania, ponieważ wiele liter odpadło. Diver, a może Divine. Brak też nazwy firmy holowniczej, chociaż na drzwiach od strony kierowcy są ślady jakiegoś napisu. Wóz jest tak stary, że swoją obecność na drogach zawdzięcza chyba tylko szczęściu i nieustannej dłubaniu w jego bebechach. Nagle z niebywałą siłą przypomina mi się tata i jego oldsmobil.

W samochodzie znajduję mapę i na jej odwrocie zapisuję zatarte nazwy, jak również numer rejestracyjny wozu, a także symbole na kołach i kolory. Badam opony, jadąc palcem wzdłuż zygzakowatego protektora. Wóz jest niegroźny bez kierowcy. Kierowca jest bezsilny bez wozu. Patrzę przez drogę w kierunku wydm. Serce bije mi szybko jak myśliwemu, który jest bliski zwierzyny.

Podczas przerwy w ruchu przebiegam przez asfalt. Zdejmuję buty i stopy prawie po kostki zapadają się w piasku, który hamuje każdy mój krok. Namawia mnie, żebym zawróciła. Ignoruję jego ostrzeżenia i uparcie brnę przed siebie, całym ciałem pochylona do przodu, wlokąc nogi w kierunku morza znacznie wolniej, niżbym chciała. I przez cały czas go wypatruję, wypatruję kierowcy wozu holowniczego, aż wreszcie, na wysokości trzeciej wydmy, doznaję dziwnego uczucia, że ten człowiek był w moim życiu od zawsze, budząc we mnie przerażenie, zabierając mi tych, których kochałam najbardziej, i unikając mnie, ilekroć próbowałam stawić mu czoło.

Ogarniam wzrokiem plażę. Widzę gruszkowatego mężczyznę z pieskiem, który i tym razem tu jest. Dwie kobiety uprawiające jogging. Matka z gromadą kłębiących się dokoła niej dzieciaków. Kilka psów kąpiących się w morzu pod okiem właścicieli. I wreszcie - on. Sam na wydmach w odległości jakichś czterystu metrów. Wysoki, ciemny mężczyzna, najprawdopodobniej młody. Idzie w kierunku drogi i - prawie na pewno - wozu holowniczego, ale źle ocenił długość plaży i przekracza wydmy o czterysta metrów za daleko na północ. Widzę go ze szczytu trzeciej wydmy, podczas gdy on zbliża się do wierzchołka pierwszej. Obserwuję go. Nie wydaje się upokorzony wysiłkiem, jakiego wymaga pokonywanie piaszczystej plaży. Maszeruje pod górę zdecydowanym krokiem.

Na samym szczycie wydmy zatrzymuje się i odwraca pod wpływem nagłego impulsu. Robi pełny obrót i staje naprzeciwko mnie. Patrzymy na siebie poprzez miliardy ziarenek pofalowanej piaszczystej przestrzeni. Wiem, że ten człowiek wie, iż na niego poluję. Patrzymy na siebie z odległości zbyt wielkiej, by widzieć swoje twarze. A potem mężczyzna odwraca się i ma jeszcze tylko zejść ze wzniesienia i poboczem drogi przebyć jakieś czterysta metrów.

Zbiegam z wydmy, na którą właśnie weszłam, i zaczynam wdrapywać się na następną. Całym ciałem staram się pokonać opór piasku - palcami stóp, szyją, głową. Piasek wsysa nogi, stopy ważą pudy, ramionami piłuję powietrze. Kiedy wreszcie osiągam szczyt wydmy, tej najbliższej drogi, serce w dalszym ciągu wali mi jak serce myśliwego, każda komórka ciała jest nadal skoncentrowana na zwierzyńcu. Patrzę na parking. Spóźniłam się. Ciemna postać musiała przebiec tylko niewielki odcinek drogi, żeby dotrzeć do wozu, zanim zdążyłam zejść z drugiej wydmy. Wyobrażam sobie monstrualny warkot starego silnika, zgrzyt skrzyni biegów i ryk maszyny, kiedy kierowca dodawał

gazu, włączając się do ruchu.

19

Siadam na rozpalonym piasku. Patrzę tam, gdzie stała platforma holownicza. To była odpowiedź, wyjaśnienie; teraz w tym miejscu ziele pustka.

Wracam, tym razem wolno, na tyle wolno, że czuję, jak piasek parzy mnie w stopy. Zbiegam z ostatniej wydmy i kiedy czuję pod stopami wilgotny stabilniejszy grunt, odkładam buty i podchodzę do morza. Jest ono tutaj spokojniejsze - przypomina błękitną lagunę. Podchodzę bliżej wody i zatrzymuję się dopiero, kiedy czuję na palcach jej lodowaty dotyk.

- Hej! - słyszę za sobą. - Hej, ty, tak, ty! - Odwracam się. W moją stronę zmierza, ni to idąc, ni to biegnąc, jakaś bezkształtna postać z małym pieskiem przy nodze. Mężczyzna trzyma pod pachą wyrzucony przez morze dość dziwny kawał drewna. Kiedy się do mnie zbliża, widzę, że policzki mu podskakują, brzuch się trzęsie przy każdym kroku, a woda w butelce, przymocowanej w pasie, chlupocze w górę i w dół. Kiedy mnie wreszcie dopada, jest tak zdyszany, że nie może mówić.

- Chwileczkę - rzezi. - Chwileczkę, dobrze?

Wyciąga butelkę, odchyła głowę do tyłu i wlewa sobie płyn do otwartych ust.

- Chcę, żeby pani wiedziała, że to jest woda. Nie piwo, nie wódka ani nic w tym rodzaju - sapie. Przewraca oczami, udając świętoszka, ale jego usta układają się w wyraz strapienia. Zastanawiam się, co go tak zdenerwowało. Może zdenerwowanie to jego normalny stan.

- Ale to nie wszystko. Chcę, żeby pani coś jeszcze wiedziała. Że zwykle kiedy faceci coś wrzeszczą za panią na plaży, to znaczy, że są porąbani, i należy przed nimi uciekać. Zwykle tak bywa. Ale nie ze mną.

Stoję podparta pod boki.

- Dobrze. Więc o co chodzi?

- Muszę pani coś powiedzieć. Ostrzec panią. Po pierwsze: fala przychodzi tu bardzo szybko. Jeśli jest. Bo akurat w tej chwili się cofa. Po drugie: to miejsce wydaje się dobre do pływania. Łagodnie opadające dno. Spokojna woda. Ale właśnie powodem, dla którego nie ma wielkiej fali, są te prądy. Zjawisko unikalne. Zupełnie wyjątkowe. Spowodowane

piaskowymi językami wchodzącymi po obu stronach plaży w morze. Przyjeżdżają tu studiować te prądy oceanografowie, chociaż wystarczy po prostu spytać pierwszego lepszego rybaka. Tak czy owak, ta plaża jest niedobra, powtarzam: niedobra, niebezpieczna, groźna dla tych, co chcą sobie popływać. Pomyślałem, że powinna pani o tym wiedzieć.

Mówiąc to, cały czas kiwał palcem w obie strony.

- Dziękuję, ale ja akurat o tym wiem. Słyszałam nawet, że kiedyś, dawno temu, utopiło się tu jakieś dziecko.

- Oooo, to bardzo przykre. To nie jest miejsce odpowiednie do pływania dla dzieci. Wygląda wspaniale, ale wspaniale nie jest, przeciwnie, jest okropne.

- Ale to było jeszcze niemowlę.

Patrzy na mnie niepewnie, po czym znów przytyka do ust butelkę z wodą.

- No to jak mogło się utopić? Mama zabrała je do wody?

- Nie wiem.

- To dlatego pani tu dzisiaj przyszła?

Rysuję palcami stóp na piasku różne wzory. Linie ciągną się wśród mikroskopijnych ziarenek, tworząc labirynt, a może coś w rodzaju starożytnych hieroglifów.

- Dobra, już dobra, nie musi pani odpowiadać. Mamy do wyboru kilka różnych możliwości. Po pierwsze: możemy usiąść i miło porozmawiać, a pani mi powie, co się takiego stało. Po drugie: robię w tył zwrot i idę do domu, a pani realizuje swoje plany - bez świadków - ale nie ukrywam, że nie jestem zwolennikiem możliwości numer dwa. No i numer trzy: opuszcza pani plażę, idzie na parking i w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Jeśli pani wybiera opcję trzecią, to bardzo proszę, ja się na pewno nie obrażę.

Morska bryza rozwiewa mi włosy. Mężczyzna ma gęstą, ciemną czuprynę, która w jej porywach staje mu dęba jak na kreskówkach.

- Czy chce pani, żebyśmy się jeszcze raz zastanowili nad tymi możliwościami?

- Nie. Pan się pomylił.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Widzi pani jeszcze jakieś inne możliwości?

- Pan myślał, że zamierzam popełnić samobójstwo, prawda? Mężczyzna wpatruje

się w piasek, speszony.

- Bo... bo pani tak jakoś postawiła te pantofle i ruszyła prosto do morza. Oni tak zawsze robią. - Oczy mężczyzny patrzą na mnie, ale głowa jest nadal spuszczone. Wydaje się zawstydzony. - A... nie miała pani takiego zamiaru?

- Nie.

- Nie?

- Ciało mojego ojca znaleziono tydzień temu w wodzie niedaleko brzegu. Tu, na plaży, zostawił ubranie.

Zagryza zęby i odrzuca głowę do tyłu, jakby go coś dźgnęło.

- O Boże... Boże, to ten facet. Ten facet, co to mówią, że padł ofiarą zabójstwa...

Był pani ojcem?

- Widział go pan?

Grube, rozlane rysy mężczyzny układają się w wyraz smutku.

- Nie. Nie widziałem nikogo. Stąd wiem, że go tu nie było.

- Umarł w poniedziałek rano. Policja jest zdania, że około ósmej.

- Mhm. Ale nie tutaj. Wpatruję się w nieznajomego.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Zwykle o siódmej zaczynam patrolować plażę - wyjaśnia. - Tamtego dnia rano nikogo na plaży nie było. Już to mówiłem policji.

- Ale tutaj znaleziono jego ubranie.

- O ósmej nie było żadnego ubrania. Chcę powiedzieć, że nie szedłem akurat plażą, ale bym widział, gdyby ktoś był. Mieszkam tam, w drugim końcu, i jestem jedyną osobą, która może się tu dostać, nie przechodząc przez trzy wydmy.

- A kto znalazł ubranie?

- Ja i Cynamon. - Pies, który padł na najbliższy kawałek suchego piasku, zrywa się, słysząc swoje imię, po czym wraca na miejsce. - O ósmej trzydzieści poszedłem do domu na kawę, a wróciłem, tak jak dzisiaj, o dziewiątej trzydzieści, i to właśnie wtedy zauważyłem ubranie. Wezwałem policję. Oni nie znoszą się gramolić w tych swoich mundurach przez wydmy.

Odchodzi na odległość kilku kroków i siada koło psa, z nogami wyciągniętymi w kierunku morza. Cynamon kładzie łeb na kolanie swego pana. Siadam i ja i znów

zaczynam odruchowo rysować różne skomplikowane wzorki na piasku. Labirynty.

Azteckie. Inkaskie.

- To znaczy, że ktoś podrzucił tu ubranie mojego ojca już po jego śmierci - mówię w końcu. Jest to bardziej konstatacja niż pytanie, ale mężczyzna potwierdza je skinieniem głowy.

- Zgadza się. Albo medycyna sądowa źle oceniła czas śmierci. A to jest całkiem możliwe. Jeśli pani ojciec zmarł na tej plaży, kiedy ja akurat poszedłem na kawę, to... przepraszam, bardzo przepraszam. - Spoglądam na mężczyznę i widzę, że jego usta wyginają się w różne strony, jakby wypowiadały nieme słowa w jakimś własnym smutnym języku.

- Kto był na plaży, kiedy pan wrócił o dziewiątej trzydzieści? - pytam.

Pokazuje w kierunku rzadko rozsianych po plaży spacerowiczów, głównie z psami.

- Tacy sami ludzie jak dzisiaj. Nie było nikogo podejrzanego czy wyróżniającego się czymkolwiek na tle innych. Nikogo, kogo mógłbym jakoś opisać.

- Dzisiaj rano był tutaj mężczyzna. Wysoki, ciemny, sam, bez psa. Poszedł stąd jakieś dziesięć minut przedtem, zanim mnie pan zauważył...

- Owszem, był.

- Czy pan z nim może rozmawiał?

- Nie.

- A co on tu robił?

- To samo co pani. Najpierw rozglądał się po plaży, a potem zdecydowanym krokiem podszedł do morza, jakby zamierzał wejść do wody. Ale zobaczył, że się zbliżam, i od razu zawrócił.

- Czy coś w nim pana uderzyło?

- Wysoki, ciemny, tak jak pani mówiła.

- W jakim mógł być wieku? Mężczyzna kładzie się na piasku.

- Nie umiem ocenić. Mniej więcej w pani.

- A co miał na sobie?

- Dżinsy.

- Czy zauważył pan jeszcze coś? Cokolwiek? Wzdycha ciężko.

- Zacząłem iść w jego stronę na wypadek, gdyby... ale on się natychmiast wycofał.

Prawdopodobnie jednak nie miał nic takiego na myśli. Patroluję tę plażę już od wielu lat i nauczyłem się nieźle oceniać te sprawy.

- A co się stało z panem? - pytam.

- Jak to co się ze mną stało?

- No, jak doszło do tego, że pan patroluje tę plażę? Wzdycha.

- Ma pani rację. Rzeczywiście coś się ze mną stało. Byłem kierowcą ciężarówki.

Jakby to cokolwiek wyjaśniało. Leży na piasku, w luźnych dresowych spodniach, a ja patrzę na niego i widzę, jak powoli, przez lata jeżdżenia na długich wielokilometrowych trasach jego duże, miękkie ciało dopasowało się kształtem do fotela kierowcy.

- A potem przestałem pracować jako kierowca i założyłem wypożyczalnię ciężarówek. Duże ryzyko, wielkie nerwy. Ale powiodło mi się już, kiedy miałem czterdzieści jeden lat. To znaczy powiodło mi się w tym sensie, że interes byli już w stanie poprowadzić za mnie inni, a ja się mogłem zająć tym.

Siada. Plecy ma okrągłe, głowa mu zwisa.

- Kiedyś przejechałem faceta. Krowy, owce, jeśli się jeździ tam, gdzie dużo pastwisk, u podnóża Gór Skalistych, to normalne, do tego się można przyzwyczaić. Ale człowiek...

Gwałtownie drapie się po głowie, robi to gorączkowo, jak dziecko, które ucząc się pisać, chce wymazać jakiś błąd.

- Proszę mi wierzyć, myślałem, że nigdy się z tego nie podźwignę. Noc w noc widziałem to, co wtedy zobaczyłem w przedniej szybie.

- Przepraszam.

- Big Brim to miejsce bardzo popularne wśród tych, którzy chcą ze sobą skończyć, a ja próbuję ich od tego odwieść. To znaczy pewnie część z nich sobie idzie i robi to gdzieś indziej, ale mam wrażenie, że przynajmniej kilku udało mi się uratować i w ten sposób choćby w niewielkim stopniu zadośćuczynić za tamto. Żałuję, że nie mogłem uratować pani ojca, ale jestem przekonany, że on nie zginął w Big Brim.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Pani ojciec zginął w Foczych Skałach. Albo może w Bellamy, ale tam wzdłuż nadbrzeżnych skał są restauracje i ktoś by zauważył. W każdym razie ja stawiam na Focze Skały.

- Dlaczego?

- Uprawnione domniemanie. Oparte na tym, co wiem o prądach. I co mówią rybacy. Pani ojciec został znaleziony niedaleko Retribution, a tam są prądy idące stąd, ale i takie, które idą prosto z Bellamy i z Foczych Skal, i w tej sytuacji byłoby łatwo... no cóż, droga biegnie bardzo blisko wody. Szczególnie koło skalnej ściany w Foczych Skałach.

Ciało taty leci ze szczytu skały w błękitną głębię. Plusk, który mógłby być głośny w basenie, ale nie w oceanie, gdzie niczym by się nie różnił od rozbicia się małej fali o małą skałę.

- Jak się pani czuje? W porządku? - pyta mężczyzna. Kiwam głową.

- Ale to tylko teoria. Może wymyśliłem ją, bo jest mi tak bardzo przykro, kiedy sobie uświadomię, że mogłem go przegapić. A zdarza mi się to naprawdę rzadko.

Uśmiecham się, żeby go podnieść na duchu. Wiem, że nie jest to dobry uśmiech, tylko rozciągnęłam wargi w prostą linię, no może z jedną czy dwiema zmarszczkami w kącikach ust, ale na więcej mnie w tej chwili nie stać. Mały piesek o szorstkiej sierści przyczołgał się do mnie, patrząc mi w oczy i trącając pyszczkiem. Głaszczę go po uszach, a on przewraca się do góry brzuchem, prosząc, żeby go podrapać.

- Spokój, Cynamon. Cynamon jest strasznym pieszczochem - mówi mężczyzna z czułością.

- Pamięta pan może, gdzie było to ubranie? Wzdycha i rozgląda się po plaży.

- Wydaje mi się, że gdzieś tutaj, tylko trochę bardziej w stronę wydm. To by było dziwne, to znaczy gdybyśmy mieli do czynienia z samobójstwem. Ludzie zwykle zostawiają ubranie bliżej wody.

Wstaję i otrzepuję się z piasku, który natychmiast porywa wiatr.

- Dziękuję - mówię. - Bardzo mi pan pomógł. Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- Już teraz będzie dobrze?

- Naprawdę nie przyszedłam tu po to, żeby popełnić samobójstwo.

- Och, jasne - zgadza się ze mną, ale jestem przekonana, że mi nie wierzy.

W Foczych Skałach morze jest dziś niespokojne jak głodne zwierzę. Czarne skały, sterczące z głębin oceanu, wyglądają bardziej złowrogo niż we wtorek, a kiedy fale uderzają o brzeg, fontanny białej piany strzelają wysoko w niebo.

Da się tu zaparkować samochód tak, by od strony pasażera stał niemal równo z krawędzią skały, i wtedy, bez zbyteńnego wysiłku, można wrzucić do wody jakiś bezwładny ciężar, na przykład wór kamieni czy ludzkie ciało. Oczywiście ten balast dozna po drodze mechanicznych uszkodzeń, ale ani plusk, ani pióropusze piany nie zwrócą niczyjej uwagi, a sam przedmiot, czyli worek kamieni albo ludzkie ciało, szybko zniknie w bezmiarze głębiny.

Słyszę huk ogromnej fali i po chwili czuję na twarzy mokrą płachtę oceanu.

A może tata po prostu wysiadł z samochodu, tata i jego morderca, ktoś znajomy, przy kim ojciec czuł się swobodnie, z kim zapewne rozmawiał. I kiedy się odwrócił, zabójca zaatakował. Jeśli się kogoś w tym miejscu zepchnie ze skały, nie można być pewnym, że ofiara zginie. Wprawdzie morze wygląda tu groźnie, ale dobry pływak miałby szansę dopłynąć do najbliższej skały. Ale zgodnie z wynikiem sekcji zwłok tata był już martwy, kiedy jego ciało zostało wrzucone do wody i lecąc, obijało się o występy skalne. Czy morderca obserwował spadanie ciała, czy czekał na plusk? A może natychmiast wsiadł do samochodu i pośpiesznie odjechał do Big Brim? Gdzie z pewnością było o tej porze niewiele osób... Rzucił ubranie w pobliżu wydm, dalej od wody, niżby to zrobił ktoś, kto przyszedł popływać, bo bał się ryzykować, że zostanie zauważony. A potem - czy wrócił do samochodu i zdyszany, spocony odjechał?

- Wiem, o czym myślisz, i zgadzam się z tobą - słyszę za sobą głos.

Odwracam się raptownie i widzę długie ramię wyciągnięte, żeby mnie przytrzymać. Michael Rougemont łapie mnie kościstymi palcami.

- Nie podchodź za blisko krawędzi! - Ma oczy tak szeroko otwarte, że chociaż mówi poważnie, wygląda naprawdę komicznie.

- Czy pan mnie śledzi? - pytam, cofając się.

Rozluźnia chwyt, a ręce opadają mu bezradnie. Widzę jego samochód, zaparkowany po drugiej stronie skały.

- Jestem tu najprawdopodobniej z tych samych powodów co ty. Uważasz, że twój ojciec zginął w Foczych Skałach, i ja się z tym zgadzam. Może wcale nie był na plaży w Big Brim. Niepotrzebnie traciliśmy we wtorek czas, napawając się atmosferą zachodu słońca.

- Te skaleczenia i siniaki na jego twarzy...

Rougemont patrzy na czarne kikuty skał, sterczące z wody jak zepsute zęby.

- Prawdopodobnie nie mają nic wspólnego z jego śmiercią, tylko z Oceanem Spokojnym.

A Ocean Spokojny ryczy i pluje na nas. Przy kolejnym oddechu zaciągam się solą.

- Panie Rougemont, wczoraj powiedział pan, że znał pan tatę dawno temu, w czasach, kiedy ojciec miał platformę holowniczą. W jaki sposób pan go poznał?

Milczy przez chwilę, po czym zaczyna mówić, bardzo ostrożnie.

- Poznałem go przy okazji śmierci twojego brata. Patrzę w starą, zniszczoną twarz detektywa.

- Przy okazji śmierci mojego brata?

- Prowadziłem tamto dochodzenie. Pod nami ocean gra na swojej perkusji.

- A dlaczego w ogóle było śledztwo?

- Zawsze jest śledztwo, kiedy umiera dziecko. Na przykład po śmierci twojego dziecka dochodzenie prowadziła Kirsty.

- Co za przedziwny zbieg okoliczności, że właśnie wam dwojgu powierzono sprawę taty. - Rougemont nie odpowiada, z czego wnoszę, że jednak nie jest to zbieg okoliczności.

- Oczywiście nie pamiętasz śmierci swojego brata...?

- Nie.

- Chociaż wczoraj odniosłem wrażenie, że powoli wraca ci pamięć...

- Nie pamiętam kompletnie nic, jeśli chodzi o mojego brata - zapewniam go. - Poza tym, że istniał i że go kochałam.

- Zastanawiam się, czy może pamiętasz coś znacznie późniejszego... Wsiądźmy do samochodu, co?

Czuję ulgę, że mogę się wreszcie odciąć od wiatru, od rozpryskującej się wody, od grzmotu walących o skałę fal. Siedzę za kierownicą. Rougemont dostosowuje siedzenie

pasażera do swoich długich nóg. Kładzie dłonie na kolanach. A następnie pyta mnie, kiedy po raz ostatni widziałam ojca.

- Och, już pana koleżanka mnie o to pytała - mówię, ale on ani nie przeprasza, ani nie wycofuje pytania.

- Powiedziałam jej, że odwiedził mnie raz w Nowym Jorku, mniej więcej dwa i pół roku temu. Ale często ze sobą rozmawialiśmy.

- Kiedy widziałas go po raz ostatni w Kalifornii, Lucy?

- Tuż przed moim wyjazdem. Prawie trzy lata temu. Wybrałam się wtedy do taty, żeby mu powiedzieć o wyjeździe.

Nie zadzwoniłam wcześniej, po prostu wpadłam bez uprzedzenia i kiedy telepałam się wyboistym podjazdem, serce waliło mi jak młotem. Czasami się zastanawiałam, co robi tata, jak mnie nie ma. Kiedy zastałam go w wyświechtanym kombinezonie, z twarzą czerwoną od słońca i wysiłku, rozciągniętego pod starym traktorem i szczęśliwego, poczułam ulgę na całym ciele, niczym dotknięcie ciepłej dłoni. Tata wysunął się spod traktora, wstał bardzo powoli i powitał mnie z wyraźną radością. Był w nim jakiś pełen dystansu spokój człowieka jeszcze przed chwilą głęboko skoncentrowanego.

Wzięliśmy sobie kawę na pomost i siedzieliśmy w milczeniu, wpatrzeni w roztaczający się pod nami widok, jakby to było coś, co się mogło poruszać, chociaż dolina leżała spokojna jak gad. Nawet widoczne z góry ciężarówki, przecinające ją po prostej, pełzały w ślimaczym tempie. Nagły podmuch wiatru wziął do galopu liście nad naszymi głowami. Wszystkie te drzewa sadził tata i nawet przez jakiś czas martwił się, że rosną za blisko fundamentów domu. W pewnej chwili spojrział w górę, miałam wrażenie, że zdziwiony ich obecnością, jakby nie widywał ich niemal dzień w dzień od ponad trzydziestu lat.

- Kiedy wsadzasz do ziemi małą sadzonkę - powiedział - nie możesz sobie wyobrazić, że kiedyś wyrośnie z niej takie wielkie drzewo. To tak jak z dziećmi. Wszystko świadczy o tym, że dzieci rosną: jest to fakt biologiczny i ewolucyjny. Mówią nam o tym skamieliny, mówi historia i nasze własne oczy. Ale kiedy twoje dzieci są małe, nie możesz uwierzyć, że kiedyś będą dorosłe. Sprowadzasz na świat nie dziecko, tylko dorosłą osobę. To wielka odpowiedzialność.

- Myślisz teraz o swoim ojcu. - Głos Rougemonta wrywa mnie z zadumy. - Co

wspominasz?

Mówię mu o sadzeniu drzew za blisko domu i poczuciu, że własne dzieci nigdy nie dorastają.

- Czy to ci właśnie powiedział, kiedy go zawiadomiłaś, że wyjeżdżasz z Kalifornii?

- Nie... o wyjeździe powiedziałaś mu trochę później. Nie kwestionował mojej decyzji. Nie prosiłam go o pozwolenie, ale on i tak mi je dał.

Rougemont pyta spokojnie:

- Czy było to trudne pożegnanie?

- Tak, bardzo trudne. - Nie mówię mu o tym, jak tata płakał.

- Mimo to - ciągnie - pożegnałaś się z ojcem. I z wyjątkiem tego krótkiego spotkania w Nowym Jorku nie chciałaś ponownie przeżywać tego bólu, tak? To pewnie dlatego, kiedy przyjechałaś w weekend do Kalifornii, wołałaś nie mówić nikomu, że jesteś?

Jego słowa parzą mnie w uszy. Słyszę, jak mówi:

- W ostatni weekend byłaś tu, w San Francisco, tak, Lucy? Wyleciałaś w niedzielę wieczorem? Na krótko przed śmiercią ojca?

Jest mi gorąco. Opuszczam okno. Do samochodu natychmiast wdziera się huk morza. Michael Rougemont mówi, tym razem łagodniejszym tonem:

- Nie martw się. Nie powiem im o tym - ani twojej siostrze, ani mężowi, nic im nie powiem.

Nie odzywam się słowem.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś o tym mnie? Dlaczego nie powiedziałaś Kirsty? Dlaczego nas okłamałaś?

Milczę w dalszym ciągu.

- Co tu robiłaś w ten weekend, Lucy?

Przez uchylone okno wpada promień słońca i kładzie mi się na kolanach. Patrzę, jak wskazówki zegara wolno pełzną od cyfry do cyfry.

- Lucy, jeżeli byłaś tu rzeczywiście w ostatni weekend, to ustalenie, co robiłaś, gdzie chodziłaś i z kim się widziałaś, nie zajmie mi wiele czasu. Ale możesz jeszcze uratować sytuację i powiedzieć mi sama, bo ja to muszę wiedzieć.

Jednak kiedy potrząsam głową i milczenie przedłuża się ponad wszelką miarę,

Michael Rougemont otwiera drzwi samochodu.

- W porządku - mówi grzecznie. - Jeśli nie chcesz mi pomóc, to zabieram się do roboty.

21

Zaraz po przyjsciu do pokoiku komputerowego taty dzwonię do Nowego Jorku, do Mitteksu. Nie tylko zastaję w biurze Jaya Kenta, ale najwyraźniej jego sekretarka została poinstruowana, że ma mnie natychmiast z nim łączyć.

- Lucy! Cieszę się, że cię wreszcie słyszę! - mówi, a mnie zaskakuje moja reakcja. Serce mi wali jak szalone. - Próbowałem do ciebie dzwonić, ale odebrała telefon jakaś kobieta, której w ogóle nie mogłem zrozumieć...

- To była moja ciotka Zina.

- Czy ona mówi po angielsku?

Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę z akcentu ciotki. Nigdy też nie zauważyłam, żeby matka miała obcy akcent, i kiedy dzieciaki w szkole zwracały mi uwagę, że moja mama dziwnie mówi, byłam bardzo zdziwiona.

- A ona nie rozumiała ciebie. Powiedziała, że mówisz jak karabin maszynowy. Kentowi się to podoba i puszcza swoją karabinową serię śmiechu.

- Co u ciebie, Lucy?

- W porządku. Zacząłeś już może opracowywać te propozycje dla Gregory'ego Hifelda?

Kent wydaje jęk.

- Miałaś przez tydzień czy dwa nie pracować...?

- A co myślisz o Gregorym Hifeldzie?

- Nie spodobałem mu się, Lucy. Ale ja go naprawdę podziwiałem. Niestety, idzie na emeryturę, a ty nam wciskasz George'a.

- Może jako pilot-Kent wybucha jeszcze szybszą serią karabinowego śmiechu.

- Jesteś bystra, Lucy. To jedna z pierwszych rzeczy, które u ciebie zauważyłem, i dlatego cię potrzebowałem, potrzebowałem twojej bystrości. Ale tej transakcji chyba nawet ty nie ruszysz.

Słyszę swój głos, słyszę echo, jakbym mówiła w wielkim pustym pomieszczeniu.

- Myśląc Zabawki to dobra firma, Kent. Jest ci potrzebna, a cenę uważam za przystępną.

- Stary nie sprzeda. Nie podobało mu się nasze podejście do pracowników. Chce być świętym Mikołajem dla swoich elfów. Nie dopuści do tego, żeby ten podły Mittex w jego zabawkowym rajku wymachiwał jakimiś bilansami. Ale ja nie chcę z tobą rozmawiać o tym wszystkim, Lucy. Chcę rozmawiać o tobie. Czy wyjaśniłaś, co się stało z ojcem?

- Tak... to znaczy... - Zastanawiam się, czy mu o tym powiedzieć, ale Kent czeka, więc w końcu mówię: - To było morderstwo.

Zapada milczenie.

- Morderstwo? - Po raz pierwszy w głosie Kenta nie ma tej pewności siebie co zawsze.

- Tak przynajmniej utrzymuje policja.

I znów milczenie. Jeśli w ogóle kiedykolwiek Kent się nad tym zastanawiał, to z pewnością przyjął, że pochodzę z nobliwego białego środowiska, z przyzwoitej religijnej rodziny, takiej samej jak on. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłabym mieć ciotki, które mówią jakąś niezrozumiałą angielszczyzną, czy ojca, który może zostać zabity.

- A ja myślałem, że twój ojciec był prof...

- Bo był.

- Ale czy masz chociaż blade pojęcie... czy może policja...?

- Nie, Kent, ale dziś rano coś się stało.

- Tobie?

- Tobie i mnie.

I znów cisza. Kent wie, co będzie potem, ale czeka, żebym ja to powiedziała, w nadziei, że się myli.

- Detektyw powiedział mi, że wie o weekendzie.

- Co takiego?

- Chodzi o ostatni weekend. Ktoś wie. Kent jest ostrożny.

- Ile wie?

- Jak na razie tyle, że tu byłam. Głos Kenta nabiera wyższych tonów.

- Jeśli więcej nie wie, to się dowie. Ci faceci wszystko wywęszą.

- Twierdzi, że jeszcze dziś będzie wiedział, gdzie byłam, z kim się widziałam i co

robiłam...

- Na miłość boską, Lucy! - Słyszę jego złość, jego strach. - Na miłość boską! - Kent prawie krzyczy. Myśli o swojej matce i o Kościele, któremu jest tak bardzo oddana tam, gdzie mieszka, w Wirginii, myśli o tym, jak miał się z racji swego pochodzenia zachowywać, a jak się zachowywał, i teraz wydaje mu się, że jego związki z dziwną, posępną Lucy Schaffer wpędziły go w tarapaty, które jego matka bez trudu by przewidziała.

- Co mu powiedziałaś? - Pytanie przypomina warknięcie.

- Nic. Kiedy mnie przesłuchiwali, powiedziałam, że przez cały weekend byłam w domu.

Kent znów podnosi głos.

- Okłamałaś policję?! Złożyłaś fałszywe wyjaśnienie! Do cholery, Lucy.

- Zrobiłam to dlatego, żeby cię w to nie mieszać.

Ale teraz już Kent krzyczy głośno i nie słyszy, co do niego mówię.

- Oni się do ciebie dobiorą, a to znaczy, że bardzo szybko trafią i do mnie. Cholera, jasna cholera, to grozi katastrofą.

- Ale co mogę zrobić? Jak już skłamałam, to przecież nie zmienię teraz swojej wersji.

- Nic. - Kent ciężko dyszy. - Nic nie możesz zrobić. Po prostu pilnuj się i najlepiej nic nie mów, jeśli tylko możesz. Muszę już iść.

Odkłada słuchawkę. A właściwie rzuca nią tak mocno, że słyszę, jak słuchawka pada na biurko, a następnie jak ją Kent podnosi i energicznie odkłada na miejsce, Słyszę elektroniczny jęk na linii.

Gdy kładę słuchawkę, dom wydaje mi się lepki i cichy. Dziś nie ma tu nikogo poza mną. Scott zaofiarował się z pomocą, ale mu powiedziałam, żeby został na kampusie, bo z dokumentami już się uporałam. Larry i Jane też poszli do pracy. Usunęli już wszystkie kamienie i rzeczy, które uznali za wartościowe, i prawie zakończyli przygotowania do pogrzebu.

„Teraz, kiedy wymieniliśmy zamki, będziesz tu w dzień bezpieczna - powiedział Larry. - Tylko pamiętaj, żebyś zamykała drzwi”.

Klucz, który dostałam od ślusarza, różni się od klucza taty, jest błyszczący i

grubszy. Posłuchałam rady Larry'ego, ale kiedy tylko weszłam do domu, przekonałam się, że jest w nim za gorąco i nie może pozostać zamknięty. Ściany za dnia wchłonęły znacznie więcej ciepła, niż były w stanie oddać w nocy.

Otwieram rozsuwane drzwi na pomost i do środka wdziera się gorący oddech bryzy. Na zewnątrz słońce jest krzepkie i żwawe jak student pierwszego roku, a listki drżą w powitalnym geście. Z przyzwyczajenia szukam oczyma znanych kamieni milowych w dolinie.

Kiedy byłyśmy małe, wskakiwałyśmy przez barierkę na pomost w tamtym końcu, gdzie deski podłogi i opadający grunt prawie się stykają. Przypomina mi się moment wprawiania ciała w ruch, a potem łomot drewna pod stopami przy idealnym lądowaniu. Teraz, kiedy nie ma nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć, przełazę na zewnątrz, sięgam do barierki i odrywam nogi od ziemi. Zawisam na rękach, co kiedyś było całkowicie bezbolesne, a teraz odczuwam jako wyrywanie ramion ze stawów. Biorę zamach, potem drugi i z wielką wprawą przerzucam ciało na pomost. Chwila lotu po łukowatym torze i ląduję pewnie na obu nogach. Satysfakcja. Cały manewr trwał zaledwie parę sekund, a moje ciało zapamiętało go bezbłędnie. Zastanawiam się, jak to możliwe, żeby tak idealna pamięć czegokolwiek przetrwała w człowieku poza jego świadomością.

Wracam do pokoiku komputerowego taty i dzwonię do Jima Finnigana.

- Lucy? O Boże, Lucy, właśnie o tobie myślałem. Co słychać? Jak się miewasz?

Jim jest szybki i głośny jak Nowy Jork.

- Cieszę się, że cię słyszę, Jim.

- Życie jest ciężkie, prawda? Kiedy pogrzeb?

- Nie wcześniej niż we wtorek.

Jim ma najprawdopodobniej wyciągniętą najniższą szufladę biurka i trzyma na niej nogi. A może trzyma je na pojemniku na śmieci czy nawet w nim. Słuchawka, wetknięta między ucho a ramię, tkwi tam przyciśnięta fałdami tłustego policzka.

- Nie musisz się spieszyć z powrotem.

- Hm, Jim, powiedziałaś akurat nie to, co trzeba. Powinieneś był powiedzieć, że sobie beze mnie nie dajesz rady.

- Ale sobie daję. Więc się nie spiesz.

- Planowałam powrót na koniec przyszłego tygodnia.

- Bardzo dobrze. Ale jeżeli to jest za krótko, możesz zostać dłużej.
- A co z transakcją Hifeld - Mittex?
- Niedobrze. Ale się nie przejmuj. Siedź tam, jak długo potrzebujesz. Ja tu załatwiam wszystko na bieżąco. - Mimo tych słów czuję, że jego głos płynie po dnie rzeki, podskakując na nierównościach.

Jim mówi:

- Lucy, wczoraj skontaktowała się ze mną policja. W twojej sprawie. - Słyszę jakby głucho łomoty i skrobanie; dno rzeki jest kamieniste.
- Czego chcieli od ciebie?
- Oooh... - Jim tak głośno wydycha powietrze, że brzmi to prawie jak westchnienie.
- Jakiś facet przylatuje tu do mnie na rozmowę.
- Facet? Jak się nazywa?
- Zaraz... - szelest papieru. - Rougemont? Coś ci to mówi?
- Przylatuje do Nowego Jorku?
- W weekend. W poniedziałek będzie w biurze. Mam mu przedstawić harmonogram godzin, które spędziłaś w pracy w ciągu dziesięciu dni poprzedzających śmierć twojego ojca. O, takie rzeczy.

- Aha.

Jim się waha. Jego głos trochę chrypi.

- Lucy... czy twój ojciec rzeczywiście został zamordowany?
- Tak w każdym razie uważa policja.
- To straszne. Czy masz chociaż blade pojęcie, kto mógł...?
- Nie ma kogoś takiego, Jim. Ojciec był dobrym człowiekiem, który nikomu nie dał powodu do tego, żeby go skrzywdzić.
- A czy ludziom koniecznie potrzebny jest powód?
- Tak, chyba że są szaleńcami. Czy Rougemont w tej rozmowie telefonicznej pytał cię jeszcze o coś?
- Chciał wiedzieć, jak spędziłaś weekend. Mówiłaś, że byłaś u przyjaciół, i tak mu powiedziałem. Mam nadzieję, że to jest w porządku?

Nie podoba mi się niepokój Jima, jego insynuacja czy półinsynuacja, że mogłam coś ukryć przed policją.

- Jasne. Ja też im to powiedziałam.
- On chce rozmawiać też z Fatimą.
- Aha.
- I prosił o taśmy z twoich rozmów telefonicznych z okresu ostatnich dwóch tygodni.

Milczę. Po pierwsze dlatego, że ta informacja mnie poruszyła, a po drugie dlatego, że myślę. Zastanawiam się, co mogłam mówić do Kenta i Kent do mnie przez służbowy telefon.

- Lucy?

Jeśli chodzi o banki, to nagrywanie rozmów telefonicznych jest rzeczą normalną i ogólnie przyjętą. Przyjmuję, że nikt ich nigdy nie odsłuchuje, chyba że są wątpliwości co do przedłużenia kontraktu albo podejrzenie o szpiegostwo. Zastanawiam się, kto przechowuje taśmy i kto decyduje o tym, czy należy je przesłuchać, czy nie.

- Jesteś, Lucy?

- I co mu powiedziałaś, Jim?

- Powiedziałem, że mu nie udostępnię taśm, bo są na nich poufne wiadomości dotyczące banku. Ale nalegał, więc w końcu musiałem z tym pójść wyżej.

- Jak wysoko?

- Obawiam się, że sprawa trafiła aż do Sempera.

- Do Sempera! Cholera jasna, Jim! To może oznaczać gwałtowny koniec mojej kariery!

- Tak... to jak... - Jim przelyka gwałtownie. - To tak, jakbyś była podejrzaną. - I dodaje spieszenie: - Nie mam wątpliwości, że nie jesteś. Ale zawsze tak to wygląda, ilekroć policja zaczyna zadawać pytania i sprawdzać każdy twój krok. To na pewno nie pomaga w karierze.

- Czy Semper udostępni im taśmy?

- Nie powinien tego robić bez porozumienia z tobą. Ale jeśli masz prawnika, który...

- Jim, ja nie potrzebuję prawnika. Nie zrobiłam nic złego

- No dobrze, już dobrze. Nie mów więcej, bo rozmowa jest nagrywana.

- Na taśmach nie ma niczego, czego by policja nie mogła usłyszeć - upieram się. -

To jest... to jest naruszenie... pogwałcenie praw i... tyle.

- Tak, Lucy, to okropne. - Jim znów przetyka. - Ale przynajmniej nie musisz się martwić o Hifelda. Zostaw Gregory'ego mnie. Zapomnij o nas i spędzaj ten smutny czas w rodzinnym gronie.

Mam ochotę krzyknąć: moja praca to moja rodzina. Ale tego nie robię. Wiem, że można to powiedzieć o większości z nas, pracowników banków, łącznie z Jimem, ale wolimy głośno się do tego nie przyznawać, zwłaszcza na taśmie.

Ponownie próbuję dzwonić do Jaya Kenta, ale tym razem jego sekretarka została poinstruowana, że ma mnie nie łączyć. Upokorzona, zagłębiam się w mikrofilmie życia taty, w jego dokumentach, listach, w sprawozdaniach bankowych, wynikach badań lekarskich. Od czasu do czasu słyszę trzepot zasłon w salonie, ale poza tym nic nie maści panującej w domu ciszy.

Otwieram szufladę biurka i z poczuciem winy, jakby chodziło o tabliczkę czekolady, wyjmuję wycinki z gazet. Reportaż ze ślubu leży na wierzchu. Pan młody jest lekarzem. Druhny były ubrane na żółto.

Po wypadku samochodowym szybko wróciłam ze szpitala do domu. Długie letnie miesiące spędziłam, wyczekując telefonu Roberta. Jeśli nawet nie mógł zadzwonić, to mógł przynajmniej napisać. Ale tego nie zrobił. Miałam nadzieję, że może jego matka się do mnie odezwie. Ale też nie. Mogłam to sobie wytłumaczyć tylko w jeden sposób: że Robert i jego rodzina obarczają mnie winą za wypadek. Ostatecznie jedną rękę miał wyciągniętą w moją stronę, zamiast ją trzymać na kierownicy. Czy ja go zachęcałam albo co gorsze wymagałam takiego niemal tragicznego w skutkach okazywania względów? Jego milczenie świadczyło o tym, że tak, a ja - w głębi duszy - też zawsze uważałam, że wypadek wydarzył się częściowo, a może nawet całkowicie z mojej winy. Pod koniec tego długiego lata, lata Roberta, nasze drogi się rozeszły i każde z nas wybrało inną uczelnię. Kiedy ktoś mi później powiedział, że jednak Robert nie stracił nogi, ale bardzo poważnie okulał i że już nigdy nie będzie mógł uprawiać sportu, zareagowałam na to bardziej wyrzutami sumienia niż współczuciem.

Pograżona w tych myślach, zdaję sobie nagle sprawę, że nie jestem sama.

Wiem, że ktoś tu musi być, nie dlatego, że słyszę hałas, ale że czuję ruch. W okolicy drzwi do pokoiku komputerowego nie widzę go, tylko czuję. Małe włoski na karku stają mi dęba, zrywam się na nogi. W wejściu nikogo nie ma i drzwi są nieruchome, ale

dostrzegam przemieszczenie się drobinek powietrza. Ktoś tam stał albo przynajmniej tamtędy przeszedł kilka sekund temu.

Szybko rzucam się do pomostu. Zakończenia nerwów boleśnie kłują, w ustach mam sucho, wychylam się przez barierkę. Słońce oślepia. Liście niemrawo poruszają się w lekkich podmuchach wiatru. Poza tym zbocze jest nieruchome. U jego stóp dolina piecze się jak twardy brunatny bochen chleba. Czekam, wstrzymując przyspieszony oddech. Następnie idę do domu i sprawdzam wszystkie pokoje na dole, a na koniec, mimo że drzwi były zamknięte, wychodzę na ganek. Stodoła, samochód, podjazd. Nic się nie rusza. Nic się nie zmienia.

Wracam na pomost i tym razem hen, daleko, z boku, już prawie na drodze gruntowej, widzę, wśród nakrapianego słońcem cienia drzew, jakiś ruch. Prawdopodobnie jest to mężczyzna, prawdopodobnie biegnący. Musiał siedzieć przykucnięty pod pomostem, dokładnie pode mną, dopóki nie weszłam z powrotem do domu. I wtedy uciekł. Cień porusza się na krawędzi mojego pola widzenia i w ciągu jednej chwili znika. Czekam ze wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie był jeszcze przed chwilą, ale tam jest już tylko spokój pustego krajobrazu.

Zeskakuję z pomostu i ruszam śladem intruza. Widzę odcisnięte w ziemi duże ślady butów, które mógł zostawić on, ale równie dobrze Larry czy któryś z policjantów. Obchodzę dom, następnie kieruję się ku drodze. Jest tu przerwa w krzewach, którą ten ktoś musiał się wymknąć.

Wracam do domu, ale zatrzymuję się jeszcze przy dolnym ogrodzie. Rozglądam się, nasłuchując. W dalszym ciągu mam w uszach łomot własnego serca. Ogród jest osłonięty pochylającymi się nad nim drzewami i na pół spowity bluszczem. Od jakiegoś czasu nikt tu niczego nie ruszał. I nagle... wstrzymuję oddech. Spomiędzy krzewów prześwituje coś obcego. Kolor nie ten, kąty niewłaściwe. Coś, czego nie powinno tu być.

Odgarniam gałęzie krzewów i ostrożnie szukam nogą kamiennych stopni. Schodząc, podnoszę rękę i czuję, jak między palcami przesuwiają się kosmate liście. Widzę oparty o murek kamień nagrobny. Zdumiona, czuję się, jakby kamień na mnie wyskakiwał, a słowa strzelały z niego eksplozją rozsypanych liter. W pierwszej chwili sędzę, że to napuszony nagrobek psa mamy, który został gdzieś tutaj pochowany. Ale po chwili uświadamiam sobie, co czytam: „Pamiętaj o mnie. Pamiętaj o śmierci. Eryk Schaffer”. Czytam tekst w

kółko, aż w końcu zaczyna rozbrzmiewać echem w mojej głowie. Pamiętaj o mnie. Pamiętaj o śmierci.

Kamień nagrobny jest szary, a jego powierzchnia szorstka, nie tak gładka jak powierzchnia kamienia, który widziałam u Joego Zacarro, i chociaż słowa są podobne, to jednak ich styl jest mniej ozdobny. Na dole widać puste miejsce na daty. Nagrobek, osadzony pod zawadiackim kątem na nierównych kamieniach okalających ogród, robi absurdałne wrażenie.

Ostrożnie wracam do stopni. Tata zbudował dolny ogród z tych samych okrągłych, gładkich kamieni co podjazd. Leży w nim pies Nikiel, uwielbiany przez matkę brązowy kundel, którego Jane znalazła martwego po tym, jak najprawdopodobniej zjadł truciznę na kojoty. Gdyby się dało zapomnieć o nieszczęśliwym losie Nikla, to dolny ogród byłby wyśmienitym miejscem do odrabiania lekcji, którym jednakże nigdy się nie stał, ze względu na słońce, agresywne w tym miejscu jak osaczony niedźwiedź. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek korzystała z kamiennych siedzeń ogrodu.

Biorę z samochodu stary kostium kąpielowy, który mi zwrócił Scott, i zamykam dom, zasuważąc drzwi na pomost, kiedy nagle czuję, że coś mnie ciągnie z powrotem na zewnątrz, by spojrzeć jeszcze na dolinę. Farma, do której zawędrowaliśmy z Lindy. Kolejny na drodze, którą wiozł nas do domu gospodarz, wzbijając chmury kurzu. Miejsce dachowania samochodu Roberta Josepha. Długa, szara, prosta droga, prowadząca do skrzyżowania, po której pełnie teraz bezgłośnie maleńka zabawkowa platforma holownicza. Kieruje się ku sercu doliny, po czym w błysku słońca widzę, jak skręca na północ. Obserwuję ją, dopóki nie zniknie mi z oczu, i ruszam do Joego Zacarro.

Nie zastaję Joego w domu. Nikt nie odpowiada na mój dzwonek ani na wołania, nie ma też samochodu z bagażnikiem zamkniętym na kłódki. Pusty jest basen, jeśli nie liczyć dmuchanego fotela, zacumowanego przy schodkach. Idę prosto do nagrobka. Pamiętaj o śmierci. Joe Zacarro pamiętał. Inne litery, ale prawdopodobnie wykonane przez tego samego rzemieślnika.

Przebieram się w kostium kąpielowy - przede mną roztacza się płaski, jasny prostokąt wody. Zanurzam się do pasa i czuję jej chłodne objęcia, gdy tymczasem słońce dalej katuje moją twarz i ramiona. Wchodzę głębiej i chłód posuwa się coraz wyżej. Aż wreszcie, kiedy metalową obręczą zamyka się wokół mego serca, niemal tracę oddech. Odbijam się nogami od dna i rzucam do przodu, zmieniając w tym momencie żywioł. Od tej chwili moje ruchy stają się ruchami wodnymi, myślę po rybiemu i przestaję odczuwać zimno.

Pływam szybko, przecinając spokojną powierzchnię basenu, zawracając i znów ją przecinając jak nożyce pracowitej krawcowej. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, woda zalewa mi twarz z obu stron, tuli mnie i pieści jak spokojny rodzic, w którego ramionach wije się i wierzgam. Nieco oteębiała, ukołysana monotonnym rytmem własnych powtarzających się ruchów, pływam dalej, nie wiem nawet, jak długo, aż nagle zatrzymuję się w połowie basenu.

Wychodzę na brzeg. Zmyłam z siebie godziny, a może i dni.

Owijam się ręcznikiem i patrzę, jak ściekająca ze mnie woda tworzy na płytkach okalających basen dziwne ciemne wzory.

- Widać, że ta kąpiel była ci potrzebna - słyszę głos. Pod parasolem, w kąpielówkach, siedzi pan Zacarro. Popycha do mnie porcję mrożonej kawy. - Trwało chwilę, zanim to przygotowałem, nie przypuszczałem, że kiedy skończę, będziesz jeszcze pływała.

Popijam kawę, napawając się jej słodyczą. Joe kładzie krótszą nogę na krześle. Mówię mu o intruzie i o jego wizytach w domu taty, a on słucha i myśli.

- I zaraz potem przyszłaś tutaj do mnie, tak? Dobrze zrobiłaś, bo u Joego jesteś bezpieczna, pamiętaj o tym.

- Ale ten ktoś może się tu kręcić. W każdym razie przez dziurę w żywopłocie wy dostał się na drogę gruntową.

Joe marszczy czoło.

- Uciekł - poprawia mnie. - Gdyby chciał ci zrobić coś złego, mógł to zrobić, kiedy byłaś sama w domu.

Przytakuję skinieniem głowy. Jestem przekonana, że intruz odjechał platformą holowniczą.

- Dobrze - mówi poważnie Joe. - Podsumujmy to wszystko. Ten człowiek posłużył się kluczem. Dwukrotnie. Dopóki nie wymieniliście zamków.

- Policja ukryła na noc dwóch ludzi na terenie otaczającym dom na wypadek, gdyby się taka próba powtórzyła, ale się nie powtórzyła. Rano zadzwoniła do mnie z tą wiadomością Jane. Była rozczarowana.

- To znaczy, że albo ten człowiek wiedział, że zmieniliście zamki, albo się tego domyślił, albo już wcześniej znalazł to, czego szukał. Tyle że dzisiaj wszedł przez pomost, natknął się na ciebie i uciekł.

- Musiał uciec, kiedy mnie zobaczył.

- Z tego wynika, że nie zamierza się przedstawiać.

- Sądzę, że on czegoś chce.

- Ale czego?

- Czegoś z pokoju komputerowego.

- A co tam jest?

- Papiery taty.

Joe wstaje i w zamyśleniu wchodzi do basenu. Słychać grzmot i woda rozpryskuje się na wszystkie strony, pozostawiając ciemne plamy na płytkach i ochlapując mi nogi. Wyciągam je do słońca, żeby wyschły.

Joe przepływa kawałek pod wodą, z naturalną swobodą i gracją, a następnie, w równie naturalny sposób, odwraca się na plecy.

- Jeśli chcę nad czymś pomyśleć, muszę wejść do wody - mówi. Odchyła do tyłu głowę, nad wodą pojawiają się palce jego stóp. Joe dryfuje. Zamyka oczy.

- Mam pewną teorię... - zaczynam niepewnie. - Wydaje mi się, że ten człowiek jeździ wozem holowniczym.

Joe otwiera oczy.

- Ten facet, co przychodzi do waszego domu? Widziałas go, jak prowadził wóz holowniczy?

- Nie, nawet nie wiem, gdzie go zostawia. Ale ze dwa razy, kiedy czułam, że musi być gdzieś w pobliżu, i mniej więcej po piętnastu minutach wyjrzałam w dolinę, za każdym razem widziałam wóz holowniczy.

- Który co robił?

- Jechał na wschód. A potem, na skrzyżowaniu, skręcał na północ.

Joe ponownie zamyka oczy.

- Jeżeli widziałas go tylko dwa razy - mówi - to najprawdopodobniej jest to zbieg okoliczności.

- Czy tata znał kogoś, kto miał wóz holowniczy?

Woda jest teraz prawie spokojna. Fale, które wzbudził Joe, mają siłę wystarczającą tylko do tego, żeby obrócić jego ciało o kilka stopni.

- Muszę się nad tym zastanowić - mówi w końcu. - Jeśli ktoś jeździ taką cholerną kupą złomu jak Eryk, to na pewno ma numer telefonu, pod który może zadzwonić, kiedy mu się to świństwo rozsypie na autostradzie...

- Sprawdzałam w jego książce z telefonami, ale nic takiego nie znalazłam...

- Hmm... - mówi Joe. - Niech pomyślę.

Tak długo nie rusza się ani nie odzywa, iż zaczynam podejrzewać, że z tego myślenia zasnął. Nie znam nikogo, kto by mógł zasnąć w wodzie bez pomocy jakiegoś pływającego urządzenia, ale może Joe to potrafi. Dochodzę do wniosku, że czas już na mnie, nawet jeśli mu nie zadałam najważniejszego pytania, z którym tu przyszedłam. Zbieram szklanki po mrożonej kawie, cicho, bez pobrzękiwania, tak jak robiłyśmy to z Jane, kiedy matka była bardzo chora. I wtedy nagle Joe otwiera jedno oko.

- Hej, Lucy, nie idź jeszcze - mówi.

- Byłam pewna, że śpisz.

- Nie, myślałam.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałam cię spytać.

- Aha?

- Znalazłam nagrobek taty.

Joe otwiera oczy i siada, burząc spokojną powierzchnię wody i wywołując drobne falki w całym basenie.

- Znalazłaś? W tym dole?

- W dolnym ogrodzie.

- Trochę za szurna nazwa jak na takie śmietnisko. - Joe dźwiga się i wdrapuje na fotel, spływając strumieniami wody.

- To ty wiedziałaś, że ten kamień tam jest? - pytam.

Nogi Joego dyndają pod wodą. Wydają się bledsze od reszty brązowego ciała.

Odrzuca do tyłu głowę i zamyka oczy.

- Jasne. A czy nie wspomniał o tym w testamencie? Należało zawiadomić rodzinę, to wam oszczędza kłopotu i kosztów.

- Nie sądzę, by gdziekolwiek o tym wspominał.

- Na pewno zauważyłaś, że ten nagrobek jest podobny do mojego. I do nagrobka Adama Hollera. To dlatego, że wszystkie trzy pochodzą z tego samego źródła, mój, Eryka i Adama.

- Czy to była jakaś specjalna oferta? Na przykład trzy za cenę dwóch czy coś w tym rodzaju?

W peszący sposób Joe Zacarro odrzuca głowę do tyłu, zarykując się ze śmiechu, tak że fotel podskakuje na wodzie.

- To nie był żart - mówię, kiedy się wreszcie uspokoił.

- Nie zdecydowały o tym względy ekonomiczne, Lucy. Wszyscy trzej chcieliśmy mieć takie nagrobki, więc postanowiliśmy sami dopilnować, żeby napisy były zgodne z życzeniem każdego z nas.

- Pamiętaj o śmierci? Czy to nie dziwne?

- Niespecjalnie. Ludzie to powtarzają od wieków. Ignorowanie śmierci i przekonanie, że akurat nas ona nie dotyczy, to wymysł nowoczesnych społeczeństw uprzemysłowionych. Ale jeśli pamiętasz, że pewnego dnia umrzesz, to i żyjesz zupełnie inaczej. Niekoniecznie lepiej, ale na ogół lepiej. A że inaczej, to pewne. I my w to wierzymy, ja, Eryk i Adam. Patrzę na niego niepewnie.

- Bądź dobrą dziewczynką, podaj mi piwo i weź sobie, jeśli masz ochotę.

Idę na ganek i przynoszę Joemu piwo. Czuję w ręku lodowate zimno puszeki.

- Nie przypominam sobie, żeby tata kiedykolwiek mówił o swojej śmierci.
- To nie znaczy, że nie był jej świadom. Przelykam.
- Czy ojciec bał się śmierci? - pytam.

Pan Zacarro wzdycha i widzę, jak to westchnienie przechodzi przez całe jego ciało.

- Na pewno się bał, jak każdy z nas. Nie wiemy, w jaki sposób przyjdzie śmierć, czy będzie bolesna, przerażająca. Na pewno wiemy jedynie, że przyjdzie.

W jego głosie pojawia się jakaś nowa nuta. Zerkam na niego niespokojnie.

- W porządku, Joe?

- Dziś rano byłem przesłuchiwany - mówi. - Miła dziewczyna z policji, długie ciemne włosy. Chciała wiedzieć, czy Eryk miał jakiegoś wroga albo czy miał powody się kogoś bać. Jednym słowem, czy wiem, kto go zabił.

- I co powiedziałeś?

Twarz Joego jest duża i smutna.

- Na samą myśl o takim idiotycznym pomysle chciało mi się śmiać.

- I o co jeszcze cię pytała?

- O co... - Zawiesza głos. Powierzchnia wody jest w dalszym ciągu rozkołysana od fal, które wzbudziłam. Joe wpatruje się w tańczące na wodzie wzory słońca i cienia, ale jego twarz pozostaje nieporuszona. Nagle szczeka mu opada, usta wywijają się w podkówkę i Joe Zacarro zaczyna trzeć oko, jakby mu akurat w tym momencie wpadła rzęsa. - To było najwredniejsze... - mówi.

Czekam i wreszcie Joe odwraca się do mnie, a ja widzę, że oczy ma czerwone i że to wcale nie była rzęsa. Przelyka nerwowo. Głosem pogniecionym i zużyтым jak stary gałgan mówi:

- Pytała o Lindy.

- O Lindy! - powtarzam jak echo. Przez chwilę jestem wściekła na policjantkę. Na to, jak bawi się wyimaginowanymi włosami, rozdając lodowate uśmiechy, jak przebija przeszłość człowieka piórem niby sztyletem, jak uderza w czułe miejsca swoim notatnikiem.

Dużym brązowym ciałem Joego wstrząsa szloch. Widzę napięte mięśnie i trzęsące się ciało, kiedy ból trzepocze się w nim jak ryba na żyłce.

Wkrótce cała jego twarz, piersi i brzuch są mokre od łez. Nachyla się, nabiera w

dłonie wody i splukuje policzki, oblewając całe ciało.

Sięgam do jego ramienia, a Joe natychmiast przykrywa moją dłoń swoją w zaborczo opiekuńczym geście.

- Zapytała mnie, w jaki sposób umarła Lindy. Powiedziałem, że przecież muszą gdzieś mieć teczkę podpisaną „Lindy Wardine Zacarro”. Policja była u nas tamtego dnia i zadawała wiele pytań. Powiedziałem tej ciemnowłosej dziewczynie, że może mają jeszcze tamte dokumenty i że jeśli ją to interesuje, to niech sobie w nie zajrzy. Ale ona i tak o wszystko pytała. O wszystko, cokolwiek pamiętam w związku z tym dniem, w którym umarła Lindy. Jakbym mógł zapomnieć choćby jedną cholerną sekundę.

Joe Zacarro spogląda na mnie, jego oczy są nadal czerwone.

- To mnie wykończyło na kilka godzin. - Jego pierś wznosi się spazmatycznie, z trudem łapie oddech. Mocniej przyciska do siebie moją rękę. - Pamiętasz? Pamiętasz, kiedy umarła moja Lindy?

Były letnie wakacje i wszystkie dzieci z sąsiedztwa bawiły się w chowanego. Wybuchła jakaś awantura. Nie pamiętam, dlaczego ani o co, prawdopodobnie chodziło o coś banalnego, zwykła dziecinna kłótnia, ale nasza przyjaźń na tym ucierpiała. Mimo to podczas kolejnych wakacji bawiliśmy się w gromadzie z innymi dziećmi. Lindy się schowała, nikt nie mógł jej znaleźć. Szukaliśmy jej i wołaliśmy, aż w końcu zrobiło się późno i wszyscy rozeszli się do domów. Początkowo pani Zacarro nie robiła wrażenia zaniepokojonej. Trwała fala upałów i matki głównie siedziały i się wachlowały. Ale kiedy Davis i Carter zgłodnieli, a Lindy dalej nie było, pani Zacarro wiedziała, że coś się musiało stać. Wsiadła do samochodu i objechała całą okolicę, zatrzymując się i wołając Lindy. Przyszła też i do nas. Zapytała o matkę, ale mama była chora i odpoczywała. Tata akurat gdzieś wyszedł. Zauważyliśmy, że pani Zacarro była zła na Lindy, ale potem złość na jej twarzy ustąpiła trosce. Nie wiedziała, że przez cały czas Lindy znajdowała się w bagażniku samochodu i że zdarła sobie paznokcie, usiłując się wydostać. Policja powiedziała, że temperatura w bagażniku była tak wysoka, że śmierć musiała nastąpić w przeciągu pół godziny. Ilekroć myślałam o tym, że Lindy leży martwa, bez paznokci, w bagażniku samochodu, który jej matka zaparkowała tuż przed naszą stodołą, czułam mdlącą słabość w całym ciele i sól w ustach.

- Nie rozumiem - mówi Joe - po co ta kobieta po tylu latach zadawała mi te

wszystkie pytania na temat mojej małej? - Znów oblewa się wodą.

Przez chwilę milczę, po czym mówię:

- Od kiedy tu przyjechałam, dużo myślę o Lindy. Twarz Joego rozjaśnia szeroki uśmiech.

- Tak, wy dwie byłyście prawdziwymi przyjaciółkami. Pamiętasz, jak bawiłyście się tymi swoimi małymi konikami, jak sobie zaplatałyście włosy i w ogóle?

- Joe, czy Lindy kiedykolwiek miała prawdziwego konia?

- Slim! To był piękny kasztan, kupiłem go od kowboja w górach i trzymaliśmy go u Tannermana w dolinie. Lindy uważała, że jest wspaniały. Kiedy umarła... nie mogłem patrzeć na Slima. Nie mogłem o nim nawet myśleć. Zostawiłem go po prostu u Tannermana. Przypuszczam, że się nim tam dobrze zajęli, nie wiem, nie pytałem. Mam nadzieję, że go nie zaniedbali. W końcu ktoś zadzwonił, że chce kupić Slima, zgodziłem się, nie chciałem go oglądać. Trochę mi teraz przykro z tego powodu. Przecież to nie była wina Slima. Musiał się zastanawiać, co się, do diabła, stało.

- Pamiętam, że widziałam Lindy jadącą na tym kasztanie - mówię. Czuję ulgę, że jednak są to rzeczywiste wspomnienia, a nie wspomnienia moich snów na jawie.

- Poczekaj - poleca mi Joe Zacarro. Wstaje i wolno kuśtyka do domu, a kiedy się z niego wytacza, tuli coś do piersi. Z bliska widzę, że niesie fotografie w ramkach. Lindy, ładniutka, z krótko obciętymi włosami blond, na kasztanku. Młodsza Lindy, z pełniejszą buzią i dłuższymi włosami, pozuje nieśmiało w harcerskim mundurku. Lindy śmiejąca się do kamery w sposób, który sprawia, że lekko się cofam. Pamiętam ten śmiech. Nie zawsze był miły.

- Słodka, co? - mówi Joe. - Powiedz, czy nie wyrosłaby na uroczą młodą kobietę? Tak samo piękną jak ty, Lucy?

Lindy była moją przyjaciółką, ale po naszej kłótni stała się specjalistką od podwórkowej polityki. Występowała zawsze w otoczeniu dziewcząt z naszej klasy, podczas gdy ja zapamiętałam siebie samotną, na obrzeżach takich grup, ale nigdy w ich środku. Czasem miewałam przyjaciółki, ale na krótko. Przerażeniem napawała mnie myśl o tym, że przyjdzie taki dzień, kiedy one albo ich matki zaproszą mnie do domu. I to będzie początek końca naszej przyjaźni, ponieważ ja się im nigdy nie będę mogła zrewanżować.

Joe wyrusza w swoją mozolną podróż powrotną z fotografiami, pozostawiając mnie samą, zamyśloną, w cieniu wielkiego parasola.

23

Idąc w dół podjazdem Joego, rozglądam się za lepką rośliną o różowych kwiatkach. Mam zamiar świadomie się o nią otrzeć i odważnie dać się przenieść wraz z Lindy w lata dzieciństwa. Ale dziś nie widzę tej rośliny i nic, co dotyka moich nóg, nie ma tej jadowitości.

Znalazłszy się pod domem taty, idę prosto do dolnego ogrodu i wpatruję się w kamienną płytę. Pamiętaj o mnie. Czyżby tata nie wiedział, że w sercach swoich bliskich zajmuje miejsce tak solidne jak ten szary kamień, który sobie wybrał za nagrobek? Czyżby nie wiedział, że zawsze będziemy o nim pamiętali? Przesuwam dłońmi po powierzchni kamienia, a ponieważ zachował w sobie ciepło dnia, jest mi bardzo miło. Opuszkami palców odczytuję słowa. Pamiętaj o śmierci. Pamiętaj o Eryku Schafferze.

Teraz odciski moich palców są na całej płycie. Dokądkolwiek się pójdzie, wszędzie zostawia się odciski palców. Bezzapachowe, milczące ślady obecności. Tak, że nawet kiedy się odchodzi, pozostawia się jakąś maleńką cząstkę siebie.

Kiedy umarła Lindy, po niej też została drobna cząstka. Była nią moja tajemnica, którą nie podzieliłam się z nikim, nawet z Jane: zawsze udawałam, że Lindy nadal żyje i nadal jest moją przyjaciółką. Mówiłam jej różne rzeczy. Siadywałam z nią na ganku na bujawce i rozmawiałyśmy o szkole, o nauczycielach i o innych dzieciakach. Lindy nigdy nie powiedziała mi złego słowa. Pewnego dnia pomyślałam nawet, że wolę tę Lindy od tamtej żywej, niestałej w przyjaźni i nieprzewidywalnej. Wiedziałam, że są to złe myśli, i od tej pory starałam się przeganiać tę wymagowaną Lindy z bujawki.

Słyszę samochód i odwracam się do nagrobka. Powietrze w tej chwili ma spokojną dojrzałość późnego popołudnia. Upał przeszedł jak choremu gorączka.

- Cześć, Lucy. - Słyszę znajomy głos, więc się nie wzdygam. Ale i nie odwracam. Jestem tylko trochę zaniepokojona, głównie chyba dlatego, że podświadomie na niego czekałam. Powiedział, że dołożyłam mu dzień pracy. I oto na koniec tego dnia - jest.

- Cześć, panie Rougemont. Mówi przyjacielskim tonem:

- Naprawdę wolałbym, żebyś mi mówiła Michael. Wzruszam ramionami. Słyszę,

jak się gramoli do dolnego ogrodu, jego duże stopy ślizgają się na nierównych stopniach, a ziemia i małe kamyki nieznacznie się osuwają.

Przypominam sobie, że pojawił się u nas wieczorem w dniu śmierci taty jako cień rozmawiający z Kirsty gdzieś koło wejścia do kuchni. Nawet jako człowiek z krwi i kości jest tylko cieniem człowieka, nieprawdopodobnie chudym i nieprawdopodobnie wysokim. Stoi z długą głową zwróconą do nagrobka taty.

- Wygląda całkiem świeżo - mówi. - Od jak dawna o nim wiesz?

- Sąsiad i przyjaciel ojca, Joe Zacarro, powiedział mi o nim wczoraj. On też ma taki.

I jeszcze jeden sąsiad.

- To interesujące. Wzruszam ramionami.

- Nawet na swój dziwny sposób miłe. Lubię starych ludzi z fantazją.

Rougemont uśmiecha się po swojemu, trochę upiornie.

- A w ogóle co to jest za miejsce? - pyta. Siada na jednym z popękanych kamieni, które ojciec wmurował w ścianę jako siedzenia. Wyciąga jedną nogę i rozgląda się ciekawie dokoła po dużych bryłach skalnych, gniotąc w palcach małą roślinkę, która nagle wydziela zapach mocny jak lato.

- Dolny ogród. Ojciec zbudował go z kamieni, które mu zostały z podjazdu. To miało być takie małe prywatne miejsce, w którym można posiedzieć. Gdzieś tutaj jest pochowany pies matki.

- Ten pies ze zdjęcia na komodzie?

Nie odzywam się. Fotografia matki i ciotki Zoi z małym brązowym pieskiem stała na komodzie od czasów mojego dzieciństwa, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógł to być sławetny Nikiel.

- Prawdopodobnie - przyznaję. - Nazywał się Nikiel, od tej monety, ponieważ tata kupił go za pięć centów od faceta, który nie chciał pieska.

- Bardzo go lubiłaś?

- Byłam bardzo mała... - Zamykam oczy i przez chwilę czuję, jak coś brązowego i ujadającego ociera się o mnie sztywną, szorstką sierścią. Obejmuję ramionami ciepłe, miękkie stworzenie, które mogło być albo moją zabawką, Hodgesem, albo psem Niklem.

- Jane mówiła, że ten pies skakał na mnie i się go bałam, ale tego jakoś nie pamiętam. Nie jestem pewna, czy w ogóle pamiętam Nikla. Może po prostu znam go

głównie z opowieści Jane.

- Tak - zgadza się ze mną detektyw - tak, bardzo łatwo pomylić to, co się wydarzyło naprawdę, z tym, co nam ktoś opowiedział czy co się nam przyśniło. To dobrze, bardzo dobrze, że zdajesz sobie sprawę z tego, jak zawodna jest pamięć. Ale wydaje mi się, że śmierć Nikła jest akurat czymś takim, co powinnaś pamiętać. To znaczy swoje zdenerwowanie. Rozpacz matki. I fakt zakopania psa przez kogoś z rodziny, pewnie przez ojca.

Usiłuję sobie przypomnieć zejście śmiertelne Nikła, płacz matki, tatę z ponurą miną i łopatą w rękę, papierowoblada Jane, ale sama śmierć psa wydaje mi się równie nieuchwytna jak jego życie.

- Czy siadywałaś tu kiedykolwiek jako dziecko? - pyta Rougemont.

- Od czasu do czasu. Ale jeśli naprawdę chciałam uciec, to szłam na ganek od frontu. - Dokładnie w chwili kiedy to powiedziałam, mam ochotę złapać te słowa i mu je odebrać. Ciało Rougemonta drga lekko, jakby za chwilę miał się na mnie rzucić.

- A od czego uciekałaś, Lucy?

Od atmosfery. Kiedy wracałam ze szkoły i otwierałam drzwi, czułam to. Czułam mękę matki, nieobecność taty i samotność - domu i moją.

- Czy może powinienem był zapytać, od kogo uciekałaś? - dodaje.

Jedną nogę miał zgiętą i teraz wyciąga ją tak jak tamtą.

- Zastanawiasz się pewnie, czego się dzisiaj dowiedziałem o twoim weekendzie - mówi w końcu.

Milczę. Wpatruję się w nagrobek taty i czekam. Rougemont przerywa milczenie po dłuższej przerwie.

- Naprawdę, Lucy, ułatwiłabyś mi życie, gdybyś zaczęła mówić.

Kiedy nadal się nie odzywam, próbuje od nowa:

- Nie chcę powiedzieć, że chodzi mi tylko o sprawę weekendu, chociaż uważam, że powinniśmy ją wyjaśnić. Nie, chętnie posłucham o tym wszystkim, czego nie mówisz innym, z tej prostej przyczyny, że ich to nie interesuje. Wielu ludzi nie interesuje się nikim poza sobą. Na przykład taki Jay Kent.

Nie pozwalam sobie na żadną reakcję: nie sztywnieję, nie drgam, nie ruszam nawet najmniejszą częścią ciała.

- Pan Jay Kent to kawał biznesmena. Jeśli dobrze rozumiem, w lecie stanie na czele największej w kraju wytwórni zabawek. Ale niezależnie od tego, jak blisko jest z kimś związany, nie interesuje się jego przeszłością. Nie pyta o dzieciństwo, niepytany nie mówi też o swoim. Ale ja jestem inny niż Jay Kent, Lucy. Mnie ludzie interesują, lubię o nich wiedzieć jak najwięcej, a szczególnie o tobie.

Obserwuję go, patrzę na jego wargi i widzę, jak się rozciągają na dużych zębach, kiedy mówi. Milczę w dalszym ciągu, ale ciepło, które czuję w środku i nad którym zupełnie nie panuję, rozlewa się po moim ciele i wkrótce sięgnie twarzy, a wtedy Rougemont je zobaczy.

- Rozmawiałem z nim dzisiaj. - Zadziera głowę i patrzy w zieleń liści. - Tak. Nie tak dawno rozmawiałem z panem Jayem Kentem.

Wieczór w Nowym Jorku. Czy Rougemont skontaktował się z nim w biurze, czy w domu, gdzie Kent udawał, że jest z żoną i swoim nadrucliwym dzieckiem? Z trudem łapię oddech.

- Nie robił wrażenia zaskoczonego moim telefonem, chociaż nie powiedziałbym, że był nim zachwycony.

Patrzę, jak jego usta formują słowa, patrzę na oczy, zapadnięte od wieloletniego niedosypiania, od późnych wieczorów i wczesnych ranków, od troski i bólu. Wygląda tak, jakby mu się koło oczu zebrało samo życie. Dotykam własnej twarzy. Jest miękka, ale mnie piecze.

- Chociaż muszę przyznać, że chciał być pomocny. Powiem więcej, garnął się do pomocy. Wszedł nawet do jakiegoś osobnego pokoju, żeby się skupić na moich pytaniach, i odpowiadał na nie bez najmniejszych zahamowań. Od lat zadaję ludziom pytania i zauważyłem, że bardzo często się wahają. Z różnych powodów. Czasem kłamią i muszą to sobie jakoś ułożyć, ale z mojego doświadczenia wynika, że znacznie częściej zwyczajnie nie są pewni, czy powiedzieć prawdę. Dlatego przywołują tę prawdę w myślach i zastanawiają się, jakie skutki będzie miało dla nich czy dla innych jej wyjawienie. Jay Kent nie miał takich skrupułów, Lucy. Zupełnie nie przejmował się konsekwencjami swoich słów. Wiedział, że jeśli odpowie na moje pytania, to się mnie w miarę szybko pozbędzie ze swojego życia. Dlatego się nie wahał. Ani razu.

Rougemont wpatruje się we mnie badawczo, tak badawczo, że się odwracam.

- Ty nie jesteś w nim zakochana, Lucy, prawda? Upewnij mnie, że nie jesteś.

Nie mówię nic, ale stwierdzam, że robię coś takiego, co od biedy można uznać za bardzo delikatne wzruszenie ramion.

Rougemont bierze to za wyraz mojej obojętności wobec Jaya Kenta. Poprawia się na kamiennym siedzeniu i kiwa głową.

- To dobrze. Cieszę się. Myślę, że zdołałaś się już zorientować, jak niewiele mu na tobie zależy. To w mojej opinii człowiek zaborczy. Poznałaś go, ponieważ dysponujesz firmą, która poszukuje nabywcy. Myśląc Zabawki, chyba tak się ta firma nazywa. Myśląc Zabawki są na sprzedaż, Lucy, ale nie ty. Ty nie jesteś typem kobiety, którą tego rodzaju facet jak Jay Kent mógłby kupić.

Patrzę prosto w jego szare oczy i mówię:

- Panie Rougemont, jak na osobę powołaną do zadawania pytań, udziela pan zaskakująco wielu odpowiedzi.

Wybucha śmiechem przypominającym ryk osła.

- W porządku, już kończę z gadaniem i zaczynam zadawać pytania. Na początek zapytam cię o ostatnią niedzielę. Pan Jay Kent chodził po sklepach z jakimś „niewolnikiem” ze swojego imperium. A ty co robiłaś?

Kiedy milczę, wsadza rękę do torby. Jest to duża torba, która wisiała mu na ramieniu, zanim usiadł. Bezkształtny czarny wór z tych, w których ludzie noszą czasem komputery, stosy dokumentów, płataninę przewodów. Kiedy wyjmuję rękę, trzyma w niej pantofel. Macha nim do mnie.

- Chwileczkę, chwileczkę - mówi. - To jeszcze nie koniec. - Ponownie wsadza rękę. Wyciąga drugi but, od pary, tyle że bez obcasa.

- Moje pytanie brzmi: czy poznajesz te eksponaty?

W dalszym ciągu stoję przy nagrobku. Szukam ręką jego chłodnej szarości. Patrzę na buty. Są to damskie pantofle z miękkiej, czarnej skóry. Kosztowne, na średnim obcasie, zniszczone przez kontakt z nieodpowiednim podłożem. Czerwonobrazowa ziemia wniknęła w skórę z zewnątrz i od środka.

- Hmm... - mruczy Rougemont, badając je jak lekarz. - Hmm, można powiedzieć, że są brudne. Myślisz, że będą na ciebie pasować?

Wzruszam ramionami.

- Mogłabyś jeden przymierzyć? Po prostu, żeby sprawdzić, czy pasuje? - Kiedy się nie odzywam, odpowiada za mnie: - Jasne, że byś mogła.

Podnosi się i tak jak stoi, nagle - ku mojemu zdziwieniu - kuca koło mnie. Nagrobek, którego dotykam palcami, pozwala mi utrzymać równowagę, kiedy detektyw unosi mi prawą nogę. Miejsce, w którym ją trzyma, w kostce, wydaje mi się gorące. Bardzo delikatnie ściąga mi pantofel i zakłada tamten.

- Proszę! - mówi. - Pasuje jak ulał! Nie uważasz, Lucy? Poddaję się jego pantomimie, nie biorąc w niej udziału.

- O, a ten pantofel, który ci zdjąłem z nogi... - podnosi go do poziomu oczu, obraca w prawo i w lewo - ma obcas trochę bardziej ścięty z prawej strony niż z lewej, a to dlatego, że kiedy chodzimy, nasza waga rozkłada się nierówno. Czasem bardziej obciążamy jedną stronę nogi, a często całą nogę.

Klik-klak, klik-klak.

- Na przykład ten pantofel, który ci właśnie przymierzałem... - Jednym zręcznym ruchem zdejmuje go z nogi i zastępuje moim. - Tak, ten jest zniszczony dokładnie w tym samym miejscu, może nawet trochę bardziej. Z czego wynika, że właścicielka tego pantofla również obciąża zewnętrzną stronę stopy. Co za zbieg okoliczności! Chyba że... - Patrzy mi w twarz i komicznie przewraca oczami. Znowu udaje prezentera teleturnieju. - Chyba że... te pantofle należą do ciebie...?

Rougemont podnosi się, przytłaczając mnie swoją wielką postacią. Mocno trzymam się nagrobka.

- Wstyd, Lucy - wzdycha, podnosząc do góry pantofel bez obcasa. - Wielki wstyd.

Bierze brudne pantofle i siada. Powietrze jest teraz nieco ostrzejsze, czuć w nim chłód wczesnego wieczoru, a głos Rougemonta, który przecina ciszę, ma w sobie jakąś nową energię.

- Jesteś ślimak, Lucy. Niedoświadczony w zacieraniu śladów. Przecież bez trudu mogłaś się zorientować, że podejrzewam, iż się ze mną bawisz. Późnym rankiem w niedzielę wynajęłaś samochód i przyjechałaś tu z miasta, żeby się zobaczyć z ojcem. Nie jestem pewien, gdzie zostawiłaś samochód. W każdym razie w takim miejscu, żeby był niewidoczny, i wobec tego musiałaś tu dojść na piechotę po niezbyt równym terenie. Na pewno nie chciałaś, żeby cię ktokolwiek zobaczył. Nie wiem, co robiłaś, ale twoje buty

zostały poddane ciężkiej próbie. Iść po takim podłożu... Może nawet biec. Kiedy wróciłaś do miasta, okazało się, że musisz sobie kupić nowe buty. Dokonałaś tego sprawunku w domu towarowym, odległym od hotelu o parę przecznic. Mówiłem ci, że to bardzo łatwe do sprawdzenia. Poza tym była niedziela, mało klientów i sprzedawczyni cię zapamiętała. Włożyłaś stare buty do pudełka, które ci dała, i wyrzuciłaś je w hotelu. No bo dla ciebie one były stare. Ale pokojówce wydały się parą pięknych pantofli firmy, na jaką by sobie nigdy nie mogła pozwolić. Kiedy trochę podkurczyła palce, były na nią prawie dobre. Wzięła je więc do domu, żeby wyczyścić, trochę rozciągnąć, dać im nowy obcas. Na szczęście jeszcze nie zdążyła tego wszystkiego zrobić.

Rougemont przygląda mi się bacznie. Słyszę jego monotony głos, teraz trochę cichszy, ponieważ wie, że go pilnie słucham.

- Mógłbym je od razu oddać do badania kryminologicznego i poprosić, żeby sprawdzili, czy ta ziemia w środku pochodzi z tego miejsca. Mogłem to zrobić. Ale nie będę musiał, Lucy, jeśli mi powiesz, co się tutaj wydarzyło w niedzielę. Zwłaszcza o jakiej porze tu byłaś. Myślę, że wczesnym popołudniem. Nie mylę się?

Kiedy nie odpowiadam, wzdycha teatralnie.

- Jestem człowiekiem wielkodusznym. - Zerkam na jego dużą twarz. W tej chwili akurat nie widzę na niej wielkoduszości, ale też nie robi wrażenia niemiłej. - Jestem wielkodusznym facetem, Lucy, i dam ci parę dni, ponieważ jutro wyjeżdżam na krótko. A kiedy wrócę, zapytam cię, co robiłaś w domu swojego ojca tuż przed jego śmiercią.

Podnosi się i starannie wkłada pantofle do torby.

- Zobaczą się z tobą po powrocie - mówi łagodnie.

Kiedy wydaje mi się, że już poszedł, odwracam się i widzę, że stoi jeszcze na szczycie kamiennych stopni.

- Do widzenia! - woła. Ma w dalszym ciągu nadzieję, że powiem mu to, co chce wiedzieć, ale ja milczę. Nie ruszam się, dopóki nie słyszę silnika jego samochodu na podjeździe. Po czym siadam na popękany kamieniu, nagrzanym przez Rougemonta, i słysząc nad głową szum liści, zaczynam sobie przypominać śmierć Nikla. Smutek matki, przejawiający się ciekim, nienaturalnym zawrotem głowy. Tata ze sztywnym zawinięciem w kocu. I wreszcie ja: biegnę, mijam starą platformę holowniczą i krzaki, a potem gnam między drzewami, po gęstej trawie, która mnie niesie w najdalszy kąt ogrodu, pod

zwisające gałęzie krzewu, do „nory”, gdzie leży kawałek starego dywanika i kilka miękkich zabawek, ale gdzie przede wszystkim czeka na mnie przyjaciółka, Lindy.

24

Skończyłam mówić Seymourowi i Katherine wszystko, co wiem o śmierci taty, a oni dłuższy czas się nad tym zastanawiają.

- Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby upozorować samobójstwo Eryka - mówi w końcu Seymour.

- Jakby to w ogóle było możliwe! - parska Katherine.

- Mam na myśli ubranie na brzegu i W ogóle.

- To musi być ktoś, kto nie ogląda w telewizji programów kryminalnych - mówi Katherine. - Wystarczy obejrzeć ze dwa, by wiedzieć, że dla policji ustalenie, czy człowiek się utopił, czy został martwy wrzucony do wody, nie jest żadnym problemem.

Seymour ma bardzo poważną minę.

- W ten sposób możemy wyeliminować prawie wszystkich mieszkańców Ameryki. - Mimo okoliczności i naszego smutnego nastroju uśmiechamy się do siebie.

Rozglądam się po pokoju. Ściany są wyłożone książkami, wszędzie piętrzą się czasopisma. Kilka półek ugina się od figurek z Afryki i Ameryki Południowej. Jest także maska, która może pochodzić z którejś z wysp Pacyfiku. Wszędzie widać buzie uśmiechniętych wnucząt i ich prymitywne bazgroły. Seymour i Katherine żyli pełnią życia, czego dowody widać wszędzie, przypinane do ścian i kipiące z półek. Myślę o domu taty, gdzie tak wiele zostało ukryte: w stodole, w pudłach, w schowkach i sypialniach, których nikt nie używa.

Seymour nalewa do filiżanek brązowego płynu z czajnika do herbaty.

- To jest Cytrynowa Róża Pouchong, mieszanka klubowa na marzec - wyjaśnia. - Należymy do klubu w Anglii. Co miesiąc przysyłają nam inną herbatę.

- Tej policjantce bardzo smakowała - dodaje Katherine.

- Przystojna dziewczyna - mówi Seymour. Jest małym, łysym, chudym człowieczkiem, który w czasach, kiedy miał burzę włosów na głowie, grywał w bejsbol. Kiedyś nawet grał przeciwko Joemu diMaggio. Jest to opowieść, którą raczy wszystkich od tamtej pory. Tata mówił, że słyszał ją przynajmniej z pięćdziesiąt razy i że za każdym

razem brzmiała troszkę inaczej, a Seymour niezmiennie mówił: „Nie chciałbym cię nudzić, Eryk”.

Herbata jest za gorąca, żeby ją pić. Wdycham więc kwiatowy aromat.

- Zjedz ciasteczko - częstuj mnie Katherine, podsuwając talerz. - Cały czas mam ochotę coś ci dawać, Lucy, wyglądasz na osobę, która kogoś takiego potrzebuje.

Od śmierci taty nawet ludzie całkowicie obcy dostrzegali, na jakimś zwierzęcym poziomie, mój ból. Pracownica lotniska powiedziała na przykład: „Znajdę pani jakieś dobre miejsce na ten dzisiejszy lot”, i zaczęła stukać w klawiaturę komputera, aż mi znalazła coś naprawdę dobrego. Na stacji benzynowej facet, który wykonywał rutynowe czynności z moją kartą kredytową, patrzył jednocześnie chyłkiem na moją twarz. „Mamy dzisiaj nową promocję eleganckiej porcelany, chcielibyśmy ofiarować pani nagrodę specjalną”. W rosyjskiej księgarni, którą mijam po drodze z parkingu do ciotki Ziny i do której wstąpiłam, żeby jej kupić ozdobne wydanie Puszkina, bo miała już stare i podarte, sprzedawczyni nagle wyjęła spod lady prezent w postaci paczki zawierającej fartuszek i komplet drewnianych rzeźbionych łyżek. „Proszę to wziąć, mamy specjalny podarunek dla znawców Puszkina”.

Biorę ciasteczko i pytam Seymoura:

- Czy mówiłeś tej policjantce o niejasnościach dotyczących płatności naftowych?

- Nie, Lucy, nie mówiłem. Ale oboje z Katherine uważamy, że ktoś powinien to zrobić

- Dlaczego?

- Najpierw ci powiem, czego się zdołałem dowiedzieć, choć nie jest to wiele.

Simms-Roeder w dalszym ciągu prowadzi wydobywanie. Eryk zawarł z nimi bardzo sprytną umowę, nie do podważenia, na jej mocy są zobowiązani mu płacić, ale wierz mi, gdyby tylko mogli się z tego wypłatać, natychmiast by to zrobili. Masz rację, pieniądze nie szły wprost do twojego ojca. Wpływają na jakieś inne konto.

- A gdzie jest to konto? Wiesz może na ten temat coś więcej?

- Znam tylko nazwisko.

- To znaczy?

Seymour wstaje i podchodzi do komody. Spod jakiejś ceramicznej figurki, najwyraźniej zrobionej przez dziecko, wyjmuje kartkę i czyta: Fundusz Powierniczy

Marcello.

Wybąłuszam na niego oczy.

- Jaki fundusz powierniczy?

- Marcello. - Literuje nazwę, a następnie siada, wręczając mi kartkę.

- A co to takiego? Wzrusza ramionami.

- Myślałem, że ty będziesz wiedziała, bo ja nie mam zielonego pojęcia.

- Przypuszczamy, że to jakaś organizacja charytatywna - mówi Katherine. - Czy

Eryk często dokonywał darowizn na cele charytatywne?

Potrząsam głową.

- Potrafił być bardzo hojny, lubił pomagać ludziom, ale jeśli chodzi o zorganizowane formy pomocy, to nic o tym nie wiem. Szczególnie gdyby to miały być organizacje charytatywne.

- A czy Eryk korzystał z usług jakiegoś księgowego? - pyta Katherine.

- Jasne, że korzystał, rozmawiałam z nim. Nic nie wie o udziałach w szybie naftowym. Mimo to zapytam go o Fundusz Powierniczy Marcello.

- A czy Eryk znał kogoś o nazwisku Marcello?

- Zajrzę do jego książki adresowej. Poszukam... wszędzie poszukam. A teraz sprawdzimy w książce telefonicznej... - Przerywam. Zastanawiam się.

- Czy w ogóle kiedykolwiek słyszałaś to nazwisko, Lucy? - pyta Katherine. - Czy brzmi ono dla ciebie znajomo?

Wzruszam ramionami.

- Wszystko zaczyna brzmieć znajomo, jeśli się dostatecznie długo o tym myśli.

Szukając książki telefonicznej, Seymour przekłada na stole książki i papiery.

- Ostatnio? - Katherine jest zdziwiona. - Nie dawno, nie w dalekiej przeszłości?

- Tak, ostatnio. - Popijam kwiatową herbatę. I jednocześnie szukam w pamięci imienia czy nazwiska Marcello. - Zresztą, może się mylę - wzdycham na koniec. - Och, rzeczywiście, wszystko brzmi znajomo, jeśli się dostatecznie długo o tym myśli.

W książce telefonicznej znajduję ośmiu Marcellów, rozsianych z rzadka w rejonie zatoki.

- Obdzwońię ich wszystkich po kolei - mówię. Katherine i Seymour wymieniają spojrzenia.

- Prawdopodobnie sprawa jest jasna i znajdziesz oczywiste wytłumaczenie, które powinno nam być przyjąć do głowy... - mówi Katherine, ale jej nieznacznie podniesiony głos sugeruje, że oni już mają wytłumaczenie, choć wcale nie tak bardzo oczywiste.

- Albo - dodaje ostrożnie Seymour - jest jeszcze jedna możliwość...

- Nie spodoba ci się ona - ostrzega mnie Katherine. - Może powinnaś porozmawiać na ten temat z detektywem.

Czekam. Herbata jest tak gorąca, że porcelanowa filiżanka, która ją dzieli od mojej ręki, wydaje mi się absurdalnie krucha, jakbym ją w każdej chwili mogła zgnieść w palcach, uwalniając wrzący płyn.

- Czy nie pomyślałaś na przykład o szantażu? - pyta Seymour. Przypominają mi się chłopcy na deskorolkach z Lowis i entuzjazm, z jakim rozprawiali o szantażu.

- Mam wrażenie - mówię energicznie - że oglądaliście w telewizji zbyt wiele programów kryminalnych.

- Niewykluczone - przyznaje Seymour, kiwając łysą głową. - Ale kiedy była tu policja i zadawali nam pytania, dowiedzieliśmy się czegoś ważnego. Mianowicie, jak mało znaliśmy Eryka. Okazało się na przykład, że nie wiemy nic o jego dalekiej przeszłości, o rodzinie, z jakiej pochodził, a nawet z kim się przyjaźnił poza nami, no i naturalnie nigdy nie poznaliśmy twojej matki. Dlatego ta kobieta z policji natychmiast mnie zapytała, jak wobec tego mogliśmy być z Erykiem tak blisko.

- Szantażować można tylko ludzi, którzy mają coś strasznego do ukrycia - podkreślam.

- A może Eryk miał? - mówi spokojnie Katherine. Przypomina mi się biała cienka blizna wokół nadgarstka taty.

- Chodziło mi o to - dodaje Katherine - że w jego dalekiej przeszłości mogło się wydarzyć coś takiego, czego się wstydził.

- Proszę cię, Lucy - mówi Seymour, a skóra na jego okrągłej czaszce napina się, czemu towarzyszy nieznaczny grymas bólu - nie denerwuj się ani nie obrażaj. Każdy z nas robił w młodości rzeczy, z których dziś nie byłby dumny. I to właśnie wysokie standardy moralne twojego ojca mogły z niego uczynić doskonały cel szantażu. Jeśli w jego przeszłości w ogóle coś takiego się zdarzyło.

- Nic takiego nie mogło się zdarzyć - mówię. Herbata wydaje mi się teraz chłodna.

Piję kwietny aromat, ale smak to tylko cierpkość cytryny.

Katherine robi wrażenie zaniepokojonej.

- Wiem, Lucy, że to, co powiem, będzie nieprzyjemne, ale istnieje niewielka szansa, że to by mogło wyjaśnić, dlaczego ktoś zabił twojego ojca.

- Policja musi dotrzeć do sedna tej sprawy - dodaje Seymour. - Powinnaś im powiedzieć o Funduszu Powierniczym Marcello.

- Jeżeli tata miał jakąś tajemnicę, to nie zamierzam jej zdradzać - odpowiadam, nawet na nich nie patrząc. - I nie pozwolę, żeby ktokolwiek, a już szczególnie policja, to rozgrzebywać.

Wymieniają przerażone spojrzenia, po czym Katherine bierze mnie za rękę i mocno ściska. Patrząc na ich pocziwe twarze i przez chwilę żałuję, że nie są moją rodziną. Udane małżeństwo, z dziećmi i wnukami, mające za sobą ciekawe życie, a teraz, na emeryturze, tyle pracy społecznej, podróży i przyjaciół, ile tylko im się zamarzy. I to jest normalne. Nie po raz pierwszy zazdroścę ludziom normalnej rodziny.

Kiedy wstaję do wyjścia i mówię, że idę do domu obdzwonić wszystkich Marcellów znalezionych w książce telefonicznej, w pierwszej chwili próbują mnie od tego odwieść, w końcu Seymour oferuje mi pomoc.

- Proszę cię, siadaj i zjedz coś, na miłość boską, będę dzwonił z tobą na zmianę.

Kiedy telefonujemy, Katherine przygląda nam się ciekawie. Wszyscy Marcellowie, których zastajemy w domu, oświadczają, że nigdy nie słyszeli o żadnym funduszu powierniczym założonym na to nazwisko ani o żadnym Eryku Schafferze. Jeden jest najpierw podejrzliwy, potem zły, a na koniec grozi nam policją.

- No więc - pyta Seymour - co zamierzasz z tym dalej zrobić?

- W pierwszej kolejności zadzwonię do wszystkich Marcellów, których teraz nie było. A jutro przeszukam pokój komputerowy taty i skontaktuję się z bankiem i z księgowym ojca. Muszę to jakoś wyjaśnić.

Katherine obserwuje nas w milczeniu.

- Lucy, widziałaś się ze Scottem, teraz po przyjeździe? - pyta.

- O tak. Pozostaliśmy przyjaciółmi.

- Bardzo lubię Scotta - oznajmia Seymour. - A Eryk był z nim naprawdę blisko. Po twoim wyjeździe Scott ogromnie potrzebował wsparcia.

- Scott zawsze ogromnie potrzebował wsparcia - podkreślam. - Między innymi właśnie dlatego odeszłam, że po śmierci Steviego nie potrafiłam mu tego wsparcia zapewnić.

- Utrata dziecka to najgorsze, co się może człowiekowi przydarzyć - mówi Katherine. - Niewiele małżeństw potrafi wytrzymać taką próbę.

- Już samo posiadanie dziecka było wystarczającą próbą dla naszego małżeństwa. Protestują.

- Byliście kompletnie przez Steviego zawojowani! Oboje. I tacy dumni.

- Kochałam go bardziej niż kogokolwiek na świecie, najbardziej, ale to wcale nie znaczy, że byłam dobrą matką.

Po wyjściu od Katherine i Seymoura jadę na cmentarz, na grób Steviego. Jestem zdziwiona, jaki tu panuje ruch pod koniec dnia. Ludzie z kwiatami, małe grupki, samotne kobiety, starsza para idąca za rękę.

Zbliżam się do grobu Steviego i w zapadającym zmroku widzę jakąś nieruchomą postać.

- Scott?

Odwraca się. Na mój widok jego twarz się rozjaśnia.

- Luce!

- Chciałam tu przyjść z tobą, ale jakoś nie mieliśmy okazji się umówić, więc...

- Pomyślałem, że kwiatki, które przynieśliśmy w sobotę, są już pewnie suche - tłumaczy się - więc przejeżdżając tędy, wstąpiłem, żeby zrobić trochę porządku na grobie...

- Jak często tu przychodzisz?

- Raz na tydzień, czasem częściej.

Stoimy w milczeniu. Rozglądam się i widzę, że na większości małych nagrobków są wyryte rysunki rodem z pokoju dzieciennego, co robi jeszcze smutniejsze wrażenie. A więc jest miś, piesek, człowiek na Księżycu. Cały teren wygląda jak jeden wielki plac zabaw, chwilowo opuszczony przez dzieci. Nie ma tu cienia. W lecie słońce pali mały prostokącik ziemi należący do Steviego, w zimie pada na niego deszcz. Widzę, że po śmierci mój syn jest tak samo źle chroniony jak za życia.

Scott czeka na mój komentarz. Wreszcie próbuje mnie sprowokować, żebym coś

powiedziała.

- Luce? Podoba ci się?

Nagrobek Stewiego nie jest taki ozdobny jak nowsze groby. Zawiera tylko imię, nazwisko i daty.

- Tak - mówię. - Cieszę się, że utrzymałeś go w takim skromnym stylu, że nie kazałeś wyryć na nim żadnego misia.

- Czy już się uporałaś ze śmiercią Stewiego? - pyta Scott. - Bo ja tak. To nie znaczy, że go zapomniałem czy że już nie boli, ale przez dłuższy czas odczuwałem to fizycznie, jakbym nosił na plecach jakiś wielki ciężar. A teraz ten ciężar ktoś ze mnie zdjął.

Ściskam go za ramię.

- Nie jestem pewna, czy od śmierci Stewiego kiedykolwiek się śmiałam.

- Chciałaś powiedzieć: od urodzenia Stewiego. Odwracam się do Scotta i widzę, jak wyzywająco prostuje ramiona.

- To jest etap w procesie żałoby. Etap, w którym cię stać na całkowitą uczciwość wobec zmarłego. I ja go osiągnąłem. Przyznaję, że bardzo kochałem Stewiego, ale nie umiałem się nim cieszyć. Kompletnie. Na początku to był szok dla nas obojga. Nikt nas nie przygotował na ofiary i straty, jakie wynikają z posiadania dziecka. To wtedy cię straciłem. Kiedy on się urodził.

Jadąc do domu, przyznaję sama przed sobą, że sześć miesięcy życia Stewiego to było sześć miesięcy szaleństwa. Nic nie działało się wtedy, kiedy powinno, mogłam zrobić cokolwiek tylko wtedy, kiedy byłam z dala od niego, w pracy. Zapominałam o wszystkim. Wszystko gubiłam. Niszczyłam rzeczy w praniu. Przypalałam tosty. Spóźniałam się. Myliłam dni spotkań.

I przez cały ten czas Stevie wyrażał swoje niezadowolenie. Kołysałam go, ale to nic nie zmieniało. Krzyczałam, ale to nie pomagało. Śpiewałam - bez skutku. W końcu po prostu stałam, a Stevie napełniał mnie swoim krzykiem jak pusty kielich. A po jego śmierci spałam bez przerwy dwadzieścia cztery godziny.

Kiedy wreszcie przejeżdżam przez most i wracam do miasta, do mojej rosyjskiej rodziny, jest już późno. Światła, zapachy, nieustanny ruch - wszystko to razem sprawia mi przyjemność. Jest tak późno, że zamiast zostawić samochód kilka przecznic dalej, gdzie zwykle parkowała matka, kiedy przyjeżdżałyśmy odwiedzić babcię, decyduję się postawić

go pod domem, ryzykując nieprzyjemności ze strony niesympatycznego człowieka i złego sąsiada, Dmitrija Siergiejewicza. W tamtych czasach płaciłyśmy za parkowanie zezowatemu mężczyźnie, który wymieniał z mamą rutynowe grzeczności, i był to pierwszy Rosjanin tego dnia. Za każdym razem go szukam, ale oczywiście człowieka i jego budkę już dawno zastąpił automat.

Jadę wolno od skrzyżowania do skrzyżowania, z opuszczonym oknem, przypominając sobie, jak chodziłam tymi ulicami z mamą za rękę, mijając rosyjskie sklepy i restauracje z szyldami wypisanymi cyrylicą. Dobrze jest się ukryć wśród tych wspomnień, w miejscu łagodnym i przyjaznym, w którym matka jest prawie zdrowa.

Trzymałam ją za rękę i szłyśmy tymi ulicami, a ja jej ufałam. Naturalnie, nigdy nie wchodziłyśmy do ciemnych bram ani nie rozmawiałyśmy z grupkami mówiących po rosyjsku mężczyzn, którzy wystawali na rogach ulic. Od czasu do czasu jakiś przechodzień zagadał do matki, ale ona z reguły nie odpowiadała.

- Czy znasz tego człowieka? - zapytałam kiedyś.

Matka mocniej złapała mnie za rękę i przyspieszyła kroku.

- Nie, on jest po prostu niegrzeczny.

- Ale rozumiesz, co mówi?

- Oczywiście! Aż za dobrze.

- To dlaczego mu nie odpowiedziałaś po rosyjsku?

- Bo to nie jest Rosja! Tylko Ameryka. Tu się nie mówi po rosyjsku. - Jej głos zaczął nabierać histerycznych tonów, co było dla mnie sygnałem, że czas przestać zadawać pytania.

- A ten facet, ten parkingowy?

- On jest za prymitywny na to, żeby się nauczyć angielskiego.

- A babcia?

- Babcia jest za stara.

Bezczelowe były argumenty, że ciotka Zina i Sasza, i wszystkie ciotki i kuzynowie stale mówili między sobą po rosyjsku i że Sasza, chociaż się tu urodził i chodził do amerykańskiej szkoły, nigdy nie będzie całkowitym Amerykaninem, takim jak Jane czy ja.

Podczas naszych comiesięcznych odwiedzin u babci patrzyłam, jak najpierw zmienia się język mamy, a potem jak kształt jej ust dostosowuje się do języka i stopniowo

cała jej twarz i ciało przepoczwarczają się w kogoś młodego o miłym, łagodnym usposobieniu. W kobietę, która wyszła za tatę i potrafiła wymienić wszystkie warstwy geologiczne w torcie weselnym, stanowiącym prezent od wydziału geologii.

Babcia czasem mówiła coś do mnie, posługując się nielicznymi mocno zniekształconymi angielskimi słowami, jakie znała, ale przede wszystkim uśmiechała się, przytulała mnie i głaskała, gruchając czule, jakbym była jej ukochanym oswojonym ptaszkiem. Ciotki lepiej znały angielski. Katia i Ola, które urodziły się już po przyjeździe rodziny do Stanów, mówiły prawie jak Amerykanki, a ich język obfitował w kolokwializmy i niekonsekwencje, których brakowało poprawnej angielszczyźnie mamy. Zwykle przerywały swoje rosyjskie rozmowy, by zadać mi parę pytań, i nieustannie podtykały jedzenie. Pławiłam się w ciepłe ich miłości i uwielbienia i zajadałam domowe ciasteczka. Jadłam, przysłuchując się ich melodyjnemu językowi, z którego nic nie rozumiałam, i czując z nimi bardzo bliską więź. Wychodziłam syta - może miłości, a może słodczy.

- One mnie przytłaczają, nienawidzę tam chodzić - mówiła Jane.

Mama solidaryzowała się z tą postawą i rzadko zmuszała Jane do odwiedzin u babci. Szczęśliwie nie traktowano tego jako przejawu lekceważenia z jej strony; przeciwnie, babcia i ciotki nieustannie pytały o Jane, przypominając jedna drugiej w łamanej angielszczyźnie - na mój użytek - o jej urodzie i inteligencji.

I oto znów jestem, już nie jako dziecko, tylko dorosła kobieta, samochodem, a nie na piechotę, sama, bez matki, i znów mijam sklepy, szyldy i bary rosyjskiej dzielnicy w drodze do babci, choć babcia już dawno nie żyje, a matka siedzi uwięziona w klinice psychiatrycznej Redbush dla własnego - i być może innych - bezpieczeństwa.

Ulice niewiele się zmieniły. A sklepy, choć może kolorowsze teraz, lepiej oświetlone mrugającymi światłami i stanowiące odległe odbicie nowej Rosji, w dalszym ciągu są nieamerykańskie. Na rogach ulic nie stoją już grupki mężczyzn, ale kiedy zatrzymuję się na światłach, słyszę, jak jakaś para mówi po rosyjsku, a wznosząca się i opadająca melodia ich głosów brzmi mi w uszach jak stara, smutna pieśń. Wsiadam z samochodu i już samo powietrze na ciemnych ulicach, chłodne po gorącym dniu, a także zapowiedź coraz gęstszej mgły, wydają się brzemienne melancholią.

Wiem teraz, tak jak wiedziałam wtedy, że zaraz znajdę się w miejscu, gdzie jestem

kochana bezwarunkowo i bezkrytycznie. Słyszę swoje kroki na asfalcie; ich rytm jest równy. Nocne światła i słone powietrze są przyjemne i wywołują we mnie poczucie winy, że kiedykolwiek chciałam zamienić moją rodzinę na Seymoura i Katherine.

Ciotka Zina poszła już ze swoim Puszkinem się położyć, ale w kuchni pali się światło.

- Lucia! - Na oparciu krzesła wisi skórzana marynarka, a Sasza, intensywnie pachnący dymem, potem i alkoholem, atakuje słój z ciasteczkami. - Właśnie wróciłem do domu i pomyślałem, że pewnie już śpisz. Ale jeśli chcesz, to mama zostawiła tu dla ciebie obiad.

- Jadłam u przyjaciół taty.

- A co dzisiaj robiłaś?

Padam na krzesło koło Saszy. Nagle czuję, że nogi uginają się przede mną ze zmęczenia.

- Milion różnych rzeczy. Ale przede wszystkim zajmowałam się papierami taty.

- Ach, dobra córka. Analizuje dane. Sprawdza dwukrotnie, a potem na krzyż.

Podkreśla liczby i zamyka rachunki.

- Znalazłam też jego nagrobek.

- Nagrobek?! A gdzie, na miłość boską?

- W ogrodzie. Jest na nim wyryte „Pamiętaj o śmierci”. Jego kumple mają podobne nagrobki. Uważają, że jeśli człowiek cały czas pamięta o śmierci, to żyje inaczej.

- Ilu jest tych kumpli?

- Było ich trzech.

- Klub „Pamiętaj o śmierci”. To mi się podoba. Może po twoim ojcu został wakat i przyjmą mnie na jego miejsce?

Sasza podaje mi słój z ciasteczkami.

- A dlaczego wróciłeś tak późno? - pytam. - Miałeś zebranie?

Sasza uśmiecha się tajemniczo.

- Najbardziej stymulujące i fascynujące zebranie, jakie można sobie wyobrazić, w które Natasza wniosła znaczący wkład. Zaczekaj.

Znika i po chwili pojawia się z butelką whisky i dwiema szklaneczkami.

- O, nie, Sasz, za późno na popijanie, a poza tym jestem wykończona.

- Wtedy są najlepsze rozmowy. - Butelka wydaje lekkie cmoknięcie, kiedy Sasza wyjmuję z niej korek. - A zresztą, czy dodawanie liczb może być dla pracownika banku tak wyczerpujące?

- Dodawanie liczb nie. Myślenie tak.

Sasza napełnia jedną ze szklanek kostkami lodu i kiedy leje na nie whisky, słyszymy ich dźwięczne protesty. Następnie popycha szklankę do mnie i unosi swoją.

- Zdrowie Lucii, Kochającej siostry i ulubionej kuzynki. Stuka swoją szklanką o moją, wydobywając ze szkła dźwięk niemal religijnej czystości.

- O czym tak usilnie myślisz?

- Myślę, że wiem, kto zabił tatę.

Sasza zaciera ręce i siada przy stole, naprzeciwko mnie. Popijam whisky i czuję, jak jej ciepło rozchodzi się po całym moim ciele, aż do czubków palców.

- Czy podzieliłaś się już z kimś tą informacją? Na przykład z tą czarującą panią detektyw, która była u was w poniedziałek wieczór?

- Nie mogę jej tego powiedzieć. Nie mogę powiedzieć nikomu.

- Z wyjątkiem twojego ukochanego kuzyna. To mi bardzo pochlebia.

- Sasza, ja okłamałam was wszystkich - policję, Jane, Scotta, nawet ciebie.

Sasza unosi brwi.

- Jeśli chodzi o zachowanie tajemnicy, to możesz na mnie polegać.

- Wszystkim powiedziałam, że od trzech lat nie byłam w Kalifornii. Ale ja byłam. Byłam w ostatni weekend. Tu, w San Francisco.

Ale ten weekend nie okazał się dla mnie przyjemny. Pod żadnym względem. Od chwili kiedy samolot wylądował, a ściślej, od chwili startu, byłam czujna i niespokojna z obawy, że może mnie zobaczyć ktoś z rodziny albo któraś z dawnych szkolnych koleżanek. A Kent tak był napięty, że podczas lotu nawet przy mnie nie siedział. Później, w hotelu, zmierzył spojrzeniem moje nagie ciało od stóp do głów i bez odrobiny ciepła czy choćby najmniejszych objawów zachwyty wciągnął mnie do łóżka. Dał się poznać jako utalentowany i natarczywy kochanek, a seks z nim był obsesyjny i przez oboje nas uprawiany z energią i determinacją, które wykluczały miłość, a nawet pożądanie. Potem leżeliśmy spokojnie, stykając się ciałami, ale bez jakiegokolwiek kontaktu. Spadła na mnie

samotność, głęboka jak noc. Spojrzałam na Kenta, zastanawiając się, czy czuje to samo co ja, ale wiedziałam, że jeśli nawet tak, to dałby to poznać po sobie, jedynie brnąc dalej w seksualną przygodę.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrał on, a ja wyskoczyłam z łóżka, pobiegłam do łazienki i natychmiast puściłam prysznic z obawy, że może to być jego żona. Pani Kent, z dzieckiem szeleszczącym i gaworzącym w tle. Po skończonej rozmowie wszedł, zakręcił prysznic i powiedział: „Już możesz wrócić”. Owinął mnie w duży, miękki ręcznik hotelowy, a ja to niesłusznie wzięłam za czuły gest. Ale dopiero teraz, siedząc w mieszkaniu ciotki Ziny, pełnym kuchennych zapachów i kurzu, rozumiem, że to tu jestem naprawdę kochana. Że jestem kochana przez ciotki Zinę i Zoję, i przez Saszę, a także przez Jane, Larry'ego i Scotta, owinięta w ich miłość jak chrabąszcz w liść. I wiem już teraz, że nie należy mylić hotelowej bielizny z czułością. Sasza unosi brwi.

- Ale dlaczego zrobiłaś to z tym facetem? - pyta.

- Nie wiem, Sasz.

W pewnej chwili, kiedy Kent zasnął, a mnie szczególnie dotkliwie dopadła samotność, poszłam do łazienki, wzięłam jego brzytwę i dziabnęłam się w udo. Patrzyłam, jak ostrze zostawia cienką czerwoną kreskę, niby odrzutowiec ciągnący za sobą po niebie białą smugę. W chwilę później przyszedł ból. Tak silny, że wchłonał moją samotność jak gąbka.

- Zależy ci na nim?

- Nie. Gdyby mi zależało, nie mogłabym tu z nim przyjechać w trzecią rocznicę śmierci mojego dziecka. A poza tym, jest to związek nieprofesjonalny. To się nie powinno było wydarzyć. Negocjujemy transakcję, a moimi klientami są Hifeldowie i to ich interesy, a nie moje potrzeby seksualne powinny być na pierwszym miejscu. I na tym polegał mój błąd. Błąd Kenta polegał na tym, że Mittex lansuje czysty obraz rodziny i oczekuje, że przynajmniej kadra kierownicza będzie się stosowała do tych zaleceń. A już zwłaszcza przyszedł dyrektor naczelny firmy. Kent obsesyjnie boi się, by ktoś się o tym nie dowiedział, przede wszystkim jego żona, a potem koledzy. Bo wtedy koniec z małżeństwem, koniec z pracą. Dlatego powiedziałam policji, że weekend spędziłam w domu.

Whisky rozgrzewa już teraz całe moje ciało. Usta, głowę, palce nóg i rąk. Zabezpiecza przed spadającą na noc temperaturą.

- Ale to nie był jedyny powód.

W niedzielę po południu Kent wybrał się na objazd sklepów w towarzystwie regionalnego menedżera. Kiedy tylko straciłam go z oczu, wynajęłam samochód i pojechałam na cmentarz. Szłam bardzo ostrożnie, przyglądając się twarzom tych, którzy nawiedzają to miejsce, i wypatrując wśród nich znajomych. Nie widziałam ani drzew, ani pomników. Wreszcie doszłam do skromnej mogiłki Steviego. Za życia wszystko, co go otaczało, było skomplikowane: ozdobna kołyska, stół do przewijania, wózek ergonomiczny, pompka do piersi, podgrzewacz do butelek. Stałam, szlochając nad prostotą i gładką doskonałością jego nagrobka. Dokoła kamienia leżały małe bukieciki poukładane z wielką miłością. Szlochałam, kładąc u podstawy kamienia pojedynczą różową różę, niemal pąk, zaledwie zapowiedź kwiatu. Szlochałam, wracając na parking. Szlochałam, jadąc do taty.

Nie mogłam uprzedzić go telefonicznie o swojej wizycie. Żałuję teraz, że nie zadzwoniłam i nie odwiedziłam go w normalnym trybie, ale tego dnia nic nie było normalne. Tata spytałby o Kenta, chciałby go poznać, błagałby, żebym została. Zadzwoniłby pewnie do Jane, Larry'ego i Scotta, żeby ich zaprosić. Po trzech latach nieobecności mój przyjazd byłby wydarzeniem.

- Twoja powściągliwość w sprawie spotkania z wujem Erykiem jest zrozumiała, Lucia. Nie wiem, dlaczego się z niej nieustannie tłumaczysz.

- Ale, Sasz, ja go musiałam zobaczyć. Za każdym razem kiedy rozmawiałam z Jane czy z ojcem, miałam uczucie, że coś przede mną ukrywają. A może po prostu nie pozwalałam im tego powiedzieć, nie chciałam ich słuchać. Od czasu do czasu wspominali o biodrze taty. Albo Jane od niechcienia mówiła, że ojciec zaczyna zapominać. Zresztą sama zauważyłam, że ma ostatnio jakiś chrypiący głos, drżące pismo. Ale potem przestałam o tym myśleć, było to zbyt bolesne, bo tata miał być opoką, a nie starym człowiekiem. Dlatego kiedy jechałam do niego wtedy w niedzielę, chciałam go tylko zobaczyć. Chciałam się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Zamierzałaś go zobaczyć tak, żeby on nie widział ciebie?

- Czy uważasz, że to nienormalne?

- Nie.

- Samochód zostawiłam daleko w dolinie, na wypadek gdyby w pobliżu domu

kręcili się jacyś sąsiedzi, i ruszyłam starym szlakiem, którego używaliśmy jeszcze jako dzieci, między posesjami, a potem na skróty przez sad Hollerów. Było dość mokro, błoto i gęste zarośla, ale kiedy zdecydowałam się zawrócić, byłam już tak blisko celu, że postanowiłam brnąć dalej. Przemknęłam od razu na tyły domu i przedostałam się na pomost między żelaznymi prętami barierek, tak samo jak to robiłam w dzieciństwie.

- Lucia, Lucia, jesteś taka sprytna, że nie mogę wyjść z podziwu. To, co w poniedziałek wieczór wydawało się kaprysem osieroconej córki - całe to spoglądanie z pomostu w dolinę - było przemyślanym aktem zmierzającym do wyprowadzenia w pole policyjnego eksperta od daktyloskopii.

Rumienie się.

- Zaimponowałaś Saszy. Podczas gdy twój kuzyn odmawiał poddania się procedurze pobierania odcisków palców, ty zadałaś sobie trud, by dosłownie pokryć swoimi odciskami cały dom. Nie rozumiem tylko, dlaczego, odwiedzając ojca, musiałaś się wdrapywać czy wskakiwać na pomost?

- Bo przypuszczałam, że wczesnym popołudniem w niedzielę tata będzie siedział w salonie i czytał albo słuchał muzyki, albo coś w tym rodzaju.

- I rzeczywiście tak było?

- Niezupełnie. Siedział w saloniku. Ale nie sam. Był z nim ktoś i się kłócili. To znaczy tata się nie kłócił, tylko tamten facet. Mówił podniesionym głosem i stał nad tatą w takiej jakiejś groźnej pozycji.

- A kto to był?

- Nie wiem. Wysoki facet, trochę młodszy ode mnie, ale niewiele. Miał dżinsy, ciemne włosy i ciemną twarz, tak jakby się przez jakiś czas nie golił. - Sasza uśmiecha się i przejeżdża ręką po swoim nieogolonym zarostwie. - Nie miałam okazji mu się przyjrzeć, bo natychmiast mnie zobaczył. Rzucił się w moją stronę i bez chwili wahania zaczął mnie gonić. Zeskoczyłam z pomostu i obiegłam dokoła stodołę. Słyszałam, że mnie szuka. Krzyczał. Boże, Sasza, to było przerażające. Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. Zgubiłam obcas. Ten facet pobiegł z drugiej strony, mogłam więc wymknąć się wzdłuż krzaków, koło podjazdu, i uciec przez sad Hollerów, gdy on dalej biegał wokół dolnego ogrodu, wrzeszcząc, jakby chciał mnie zabić. Dopiero kiedy dotarłam do samochodu, uświadomiłam sobie, że przecież nie jestem kryminalistką i nie muszę się zachowywać

tak, jakbym nią była. Ostatecznie przyszedłam do domu mojego ojca. Ale czułam się jak zaszczute zwierzę.

- A twój tata?

Tata - poruszająca się postać, która mi ledwie mignęła przez wielkie zasuwane drzwi, kiedy stałam na pomoście. Ostatni prawdziwy tata przed zimną pozszywaną kukłą, którą zobaczyłam w kostnicy.

- Mało go widziałam; wyglądał, jakby był w szoku.

- Może przez to twoje wtargnięcie?

- Albo przez zachowanie tego faceta, który stał nad nim i wrzeszczał. Och, Sasz, gdybym wcześniej zadzwoniła i przyszła normalnie, tobym jeszcze zobaczyła ojca przed śmiercią. A może nawet uratowała mu życie.

Sasza nakrywa moją rękę swoją dłonią.

- Jeśli twoje podejrzenie, że ten mężczyzna zagrażał życiu wuja Eryka, jest słuszne, to czy nie można go jakoś zidentyfikować?

- Kiedy biegłam przez ogród taty, kątem oka zobaczyłam pojazd, zaparkowany przed naszą stodołą. Nie miałam okazji spojrzeć po raz drugi, ale jestem prawie pewna, że była to platforma holownicza, stara, chromowana. Musiała należeć do niego. Niewiele mi to mówiło, dopóki ta kobieta detektyw nie powiedziała o platformie holowniczej...

Opowiadam mu o Howiem, a Sasza głaszcze się po brodzie jak Larry. Potem mówię, jak się natknęłam na tę platformę w Big Brim i jak jej kierowca, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna uciekł, gdy zorientował się, że ktoś mu depta po piętach.

- Teraz przynajmniej ten człowiek ucieka przed tobą, a nie odwrotnie.

- Myślę, że dziś uciekał dwa razy. Drugi raz z domu taty. Wślizgnął się tam, ale zobaczył mnie i zwiął. Wkrótce potem widziałam jadący doliną wóz holowniczy.

- Zastanawiam się, dlaczego on ucieka. Ale już dłużej nie będzie uciekał. Bo przecież w Big Brim zanotowałaś numer wozu i kilka liter firmy holowniczej, tak? Daj to, Lucia, i z pomocą książki telefonicznej spróbujemy dopasować te litery do jakiejś firmy. To będzie coś w rodzaju krzyżówki, a zapewniam cię, bez fałszywej skromności, że w krzyżówkach jestem mistrzem.

Wstaję i ze zdumieniem czuję, że nogi się pode mną uginają.

- Mam to w samochodzie.

- Taki kawał!

- Nie. Byłam taka zmęczona, że dziś zaparkowałam pod domem. Zamierzam wyjechać rano, zanim Dmitrij Siergiejewicz się obudzi.

- On nigdy nie śpi. Czuwa nad swoim małym królestwem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale ja pójdę z tobą i załatwimy sprawę tak szybko, że zdążymy wrócić, zanim Dmitrij znajdzie kapcie.

Wychodzimy z mieszkania i przywołujemy rozklekotaną windę. Pierwszy haust chłodnego nocnego powietrza jest tak szokujący, że się z lekka potykam i Sasza mnie podtrzymuje.

- Zapisałam to na odwrocie mapy, którą dostałam od firmy wypożyczającej samochody. Leży na miejscu pasażera - mówię, przekładając papiery i teczki, które tam zostawiłam. Ale mapy pod nimi nie ma. Sasza czeka, przestępując, z zimna z nogi na nogę, tak jak wtedy w poniedziałek przed domem taty. Szukam dalej wśród papierów, mapa musiała się gdzieś między nie zaplątać. Ale mapy nie ma. Nie ma jej ani na siedzeniu, ani pod nim, ani za nim, ani nawet w schowku na rękawiczki.

- Pomyśl, Lucia, przypomnij sobie. Może zostawiłaś ją w domu taty?

- Nie, nie wyjmowałam jej z samochodu...

Siedzę bokiem na miejscu kierowcy, nogi zwisają mi na zewnątrz. Pamiętam, że zaparkowałam samochód obok platformy holowniczej, pamiętam, że obeszłam ją dokoła, zapisałam numer, przyjrzałam się zatartym literom na drzwiach i je również zapisałam na odwrocie mapy, którą następnie rzuciłam na siedzenie pasażera. A potem przebiegłam przez asfalt i były wydmy, od strony drogi zaśmiecone jakimiś starymi odpadkami, i piasek przesypujący się między palcami nóg, i bieg pod górę z szybkością powolnego marszu.

Zamykam oczy. Pomiedzy rzuceniem mapy na siedzenie a przebiegnięciem drogi jest chwila ciszy, którą próbuję wypełnić kliknięciem zamykanego samochodu. Masuję pamięć, uderzam w nią, walę, kopię. Ale nie otrzymuję w zamian kliknięcia.

Przypominam sobie, jak wracam do samochodu - rozchełstana, zgrzana, zdyszana - i jak patrzę na drogę, w jedną i w drugą stronę, jakbym tam mogła znaleźć wskazówkę, w którym kierunku skręcił wóz holowniczy. Szukam też w pamięci - i nie znajduję - kliknięcia towarzyszącego otwieraniu samochodu.

- Może mapę wyjęto z twojego samochodu przed domem ojca. Kierowca platformy był tam dzisiaj.

- Możliwe.

- A może masz ją po prostu na górze w swojej torbie. - Sasza prowadzi mnie z powrotem do domu. - U nas większość zaginionych rzeczy odnajdowała się w końcu w torbie mojej żony, raz nawet był to kot.

W kuchni, przy ponownie napełnionych szklankach, przeszukujemy torbę.

- No co, nie ma kota? - pyta Sasza.

- Nie ma kota. To ten facet. Kierowca platformy. To on ukradł mapę. Zobaczył ją w samochodzie na siedzeniu i ukradł.

- Ale...

- To wcale nie było trudne. Bo wydaje mi się, że zapomniałam zamknąć samochód.

- A zaparkowałaś go koło platformy?

- Tak.

- Po stronie kierowcy?

- Tak.

- To znaczy, że facet, przechodząc koło twojego niezamkniętego samochodu, zobaczył na samym wierzchu dane dotyczące swojego wozu. Nic dziwnego, że postanowił je zabrać. Najwyraźniej nie jest głupi. Gdybyś miała ten numer, tobym cię namawiał, żebyś go natychmiast podała policji, ale skoro nie masz...

- Przecież nie mogłabym im podać tego numeru, nie mówiąc o ostatnim weekendzie. Tyle że jeden z nich już się do tego dogrzebał...

Mówię Saszy o Rougemencie. O tym, jak mi pokazał moje własne pantofle.

- Okłamałaś policję nie dlatego, żeby chronić Kenta, nie chciałaś, by twoja rodzina się dowiedziała, że byłaś w San Francisco i się z nimi nie zobaczyłaś. Twoje zatajenie prawdy wygląda podejrzanie, ale poza tym, że dałaś się uwieść zinnemu draniowi, nie zrobiłaś nic złego.

Patrzę na niego i mam wrażenie, że Sasza tańczy. Wiem, że się nie rusza, ale mój wzrok to traci, to znów odzyskuje ostrość.

- Powiedz mi, Sasza, czy kiedy ktoś umrze, należy zachowywać jego tajemnice?

- Trzeba chronić prywatność człowieka. Ale takie przypadki zdarzają się bardzo

rzadko. Czy twój ojciec miał jakieś tajemnice?

- Przypuszczam, że ten kierowca platformy holowniczej był jego tajemnicą. Tata go znał, ale mi o nim nie mówił. Ani Jane.

- Sądzisz, że on odgrywał jakąś ważną rolę w życiu wujka Eryka?

- Nie wiem. Ale jeśli skieruję policję na ten trop, to tajemnice taty wyjdą na jaw. Sasza popija whisky, z wyraźną przyjemnością płucząc nią zęby, zanim przełyka trunek.

- Widzę, że wolisz wyjaśnić sprawę sama. Próbuj, Lucy, jeśli musisz. Ale radzę ci, bądź bardzo ostrożna.

25

Jane dzwoni do mnie w sobotę rano, żeby powiedzieć, że policja chce się z nami zobaczyć w domu taty. W ustach mam sucho, a w rozpalonej głowie jakby mi grzechotały wybielone na słońcu kości.

- Kirsty chce się widzieć z nami wszystkimi. Ze Scottem też.

- Ale przecież chyba i tak się tam wybieraliśmy?

- Prosimi, żebyśmy przyjechali na dziesiątą. Wzdycham.

- Czy oni nie odpoczywają nawet w weekend?

- Bóg jeden wie, kiedy Kirsty odpoczywa. Ona ma małe dzieci.

- A co z Rougemontem? Jane waha się przez chwilę.

- O Rougemontcie nie wiem nic. Odnoszę wrażenie, że mieszka sam. Wygląda na to, że akurat wyjechał i dzisiaj go nie będzie.

Kiedy zjawiam się przy samochodzie, wybucha awantura z Dmitrijem Siergiejewiczem. Kłócimy się w dwóch językach, chociaż każde z nas rozumie tylko jeden. Odjeżdżam, mając w uszach jego wściekły jazgot. Przed mostem zatrzymuję się na jeszcze jedną kawę.

Na miejscu zastaję już samochody Scotta i Larry'ego, zaparkowane jeden przy drugim. Samochód Scotta nie odznacza się niczym szczególnym - Scott nie lubi ani samochodów, ani prowadzenia. Wóz Larry'ego jest długi, niski i opływowy. Mój szwagier nie tylko uwielbia samochody; już samo ich kupowanie, opowiadanie o detalach i akcesoriach, porównywanie modeli i targowanie się ze sprzedawcami o cenę sprawia mu

wielką przyjemność. Tata lubił przekomarzać się z Larrym na temat jego luksusowych samochodów. Kiedyś zatrzymali się pod światłami jeden obok drugiego i tata twierdził, że kiedy się zapaliło zielone, jego oldsmobil rzucił Larry'ego jak szmatę.

Scott cieszy się na mój widok. Zdążył już przejrzeć listy, które mu zostawiłam do podpisania na biurku taty.

Jane obejmuje mnie ramieniem i lekko całuje w policzek.

- Przepraszam, że nie mogłam przyjechać tu wczoraj. Mam nadzieję, że wszystko było w porządku.

Gdybym jej powiedziała, że znów pojawił się tutaj intruz i że odjechał platformą holowniczą, zaczęłyby zaraz, z twarzą ściągniętą bólem, zadawać pytania, gdzieś telefonować i sprawa wymknęłaby mi się z rąk.

- Wszystko było w porządku - mówię.

- Coś gotujesz? - pytam Larry'ego, zaciągając się ciepłym, korzennym powietrzem. Wiem, że jeżeli ktokolwiek krząta się po kuchni, to na pewno mój szwagier.

- Paella - odpowiada skromnie Larry. - Czas przygotowania to według przepisu dwadzieścia cztery godziny, a ja mam do dyspozycji tylko trzy, więc nie spodziewaj się zbyt wiele.

Ale paella na pewno będzie dobra. Larry i Jane najczęściej jadają z przyjaciółmi na mieście, jeżeli jednak są w domu, z reguły gotuje Larry. Twierdzi, że w ten sposób może się najlepiej wyluzować. Jeżeli Jane wraca późno ze szpitala, niezmiennie czeka na nią dobry posiłek. Je go sama, a Larry w tym czasie pracuje albo ogląda telewizję. Potem moja siostra czyta gazetę. Mniej więcej po godzinie przychodzi Larry i rozmawiają. Trudno sobie wyobrazić, jakby wyglądało ich życie, gdyby Jane mogła mieć dzieci, jakby sobie radziła bez tej godziny i czy byłoby im trudno wyrzec się kosztownych wakacji, ożywionego życia towarzyskiego i szerokiego kręgu przyjaciół. Zapewne oni sami sobie tego nie wyobrażają, bo kiedy okazało się, że nie będą mieli dzieci, ani nie szukali pomocy, ani nie brali pod uwagę adopcji. A kiedy zobaczyłam Jane ze Steviem, zrozumiałam, że może moja siostra w ogóle nie jest przeznaczona na matkę. Kochała go bardzo, ale ich relacje determinował jej profesjonalizm.

- Co to jest? - pyta Scott, biorąc z biurka poźółkły wycinek z gazety.

Próbuję mu go wyciągnąć z ręki.

- Nic takiego. Znalazłam to w szufladzie taty...

Ale Scott zdążył już rozłożyć wycinek i właśnie zaczął go czytać: Kronika towarzyska. „Na ślubnym kobiercu”. Ślub pana R.D. Josepha i panny K.K. Sylvester.

Jane rzuca mi szybkie, badawcze spojrzenie.

- Wiedziałaś? - pyta. Wzruszam ramionami.

- Nie, ale co mnie to obchodzi? Nie miałam z nim kontaktu od lat.

Tymczasem Scott poznaje nazwisko pana młodego jako to, które budzi jego niechęć. Widzę, że zaciska szczęki i cały sztywnieje.

Jane wskazuje gestem „Kronikę towarzyską”.

- Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli ci nie powiemy - mówi Jane i kiedy się zastanawiam, czy moja odpowiedź powinna być agresywna, czy defensywna, Larry pyta:

- A kto to jest?

- Robert Joseph, szkolna miłość Lucy - wyjaśnia Jane.

- Ktoś, za kogo Lucy zawsze chciała wyjść za mąż - dodaje Scott z goryczą. Kiedyś popełniłam błąd, mówiąc mu, jak wiele Robert dla mnie znaczył. Było to wkrótce po tym, gdy się poznaliśmy, i czując, że się zanosi między nami na coś poważniejszego, uznaliśmy, że musimy sobie nawzajem powiedzieć o swoich ważniejszych związkach.

- Chciałbym zająć w twoim sercu tyle miejsca, ile zajmuje Robert - powiedział wtedy Scott - ale wiem, że nigdy tak nie będzie.

- To śmieszne! - odpowiedziałam.

Tej samej obserwacji dokonywał jeszcze kilka razy, nawet po naszym ślubie, i chociaż zawsze temu zaprzeczałam, to gdzieś tam w głębi duszy przyznawałam mu rację, o czym Scott dobrze wiedział.

Teraz odwrócił się ode mnie i właśnie wychodzi z pokoiku komputerowego, mówiąc coś o kawie. Mam ochotę zapytać Jane, jak dawny jest wycinek i czy kiedykolwiek spotkała Roberta w szpitalu albo słyszała o śmierci jego ojca, ale nie mogę się zdradzić ze swoim zainteresowaniem.

Larry cały czas nas obserwuje, gładząc brodę i najwyraźniej dobrze się bawiąc. Kiedy zamierza to skomentować, od drzwi rozlega się głos. To Kirsty.

Prowadzimy ją do kuchni, gdzie zatrzymuje się na chwilę.

- No, no, jakie przyjemne zapachy - mówi. Larry się tłumaczy:

- Gotowe będzie dopiero w porze lunchu, ale jeśli do tej pory jeszcze nie wyjdiesz, to serdecznie zapraszam.

- Chętnie bym skorzystała - mówi i widać, że wcale nie żartuje. Myśli o śniętej kanapce, którą wzięła w charakterze lunchu. Prawdopodobnie wróciła wczoraj późno do domu, a że zapewne nie ma gotującego męża, takiego jak Larry, więc przypuszczalnie i wtedy skończyło się na obeschniętej kanapce.

Kirsty ma nam właśnie wyjaśnić, po co przysłała, kiedy odzywa się Larry:

- Jest coś, co mnie w dalszym ciągu niepokoi...

- Kirsty patrzy na niego spokojnie, nie zdradzając szczególnego zainteresowania, jakby była gotowa wysłuchać jego obaw, ale bez angażowania się. Jane jęczy:

- Niepotrzebnie zabierasz jej czas, Larry.

- Owszem, potrzebnie - upiera się mój szwagier. - Uważam, że to jest ważne.

Chodzi mi o tego faceta, o którym ci mówiłem, a który znów się pojawił wczoraj wieczorem. I mam wrażenie, że się kręci koło naszego domu. Niewykluczone, że śledzi Jane.

- On się może tam kręcić z powodu Ricky'ego, tego z dołu - mówi Jane. - Zawsze się tam kręcą jacyś faceci, którzy przychodzą do Ricky'ego.

Ricky jest absurdalnie przystojny i ma skomplikowane życie osobiste.

- A na jakiej podstawie podejrzewasz, że ten człowiek śledzi Jane? - pyta Kirsty.

- Wczoraj wieczorem Jane pojechała do Walrus House sprawdzić, czy wszystko jest w porządku w związku z wtorkiem. - Po pogrzebie ojca zaplanowaliśmy w jego domu lunch o charakterze bufetowym, a Walrus House to firma cateringowa, której to zleciliśmy. Jedzenie jest dobre, ale Jane się obawia, że dla niektórych gości może być zbyt ekstrawaganckie. - Kiedy Jane wyszła z domu, facet zniknął, gdy wróciła, znów się pojawił.

- I jak długo był? Przez całą noc? Larry strzyże oczami w prawo i w lewo.

- Nie wiem dokładnie, o której zniknął, ale rano go nie było. Kirsty wyciąga notatnik i prosi, żeby Larry opisał jej dokładnie faceta. Wysoki, ciemnowłosy, nieogolony.

- A w jakim może być wieku? - pytam.

Larry'emu najwyraźniej trudno jest ocenić wiek kogokolwiek poniżej pięćdziesiątki.

- Trzydzieści? - próbuje zgadnąć. - Dwadzieścia pięć?

- W porządku - mówi Kirsty. - Zajmiemy się tym. - Nic w jej tonie nie wskazuje na to, że podziela obawy Larry'ego.

- Ale nie trać na to zbyt wiele cennego policyjnego czasu, Kirsty - mówi Jane. - Jestem przekonana, że Larry się myli, a Ricky nigdy by nam nie darował, gdybyśmy mu wypłoszyli wielbiciela.

- Ma ich i tak dostatecznie dużo - mówi Larry.

Kirsty sięga do torby i wyjmuje mały plastikowy woreczek, cały w naklejkach, które czytam do góry nogami: numer sprawy, oficer prowadzący, data...

- Znalazłaś klucze taty! - wykrzykuje Jane.

Kobieta kiwa głową. Wyciąga je z woreczka i kładzie na stole.

- Sprawdźcie, czy niczego nie brakuje.

Jane bierze do ręki pęk kluczy. Poznaje kółko, które kupiłam tacie, kiedy był u mnie w Nowym Jorku. Towarzyszy mu przywieszka w kształcie maleńkiego Empire State Building. Możesz go na dole przycisnąć i wtedy na górze zapala się maleńkie światełko. Jest to latarka i jednocześnie kółko na klucze. Robi mi się bezsensownie miło, kiedy widzę, że tata codziennie używał tego drobiazgu. Mam ochotę go dotknąć, ale Jane rozłożyła już klucze równo na stole, jakbyśmy grali w pokera i chciała nam pokazać, że ma... dużego pokera.

- Nie wszystkie poznaję - mówi Jane - ale tak: ten jest od drzwi, potem samochód, stodoła, nasze mieszkanie, może klucz od walizki. Czy ojciec miał klucz od twojego domu, Scott?

- Tak, zostawiłem u niego klucz przed Bożym Narodzeniem, kiedy jechałem do Francji. O, to ten... - Scott pokazuje klucz od domu na plaży. Nie wiedziałam, że był we Francji. Domyślałam się, że z Brigitte.

- Tego nie jestem pewna... - podejmuje Jane. - Ani tego, ale ten musi być od traktora. Jeśli się orientuję, to chyba nie brakuje niczego.

- Gdzie je znalazłaś? - Scott zwraca się do Kirsty.

- U chłopaków, którzy w poniedziałek rano zwinęli oldsmobila z parkingu w Big Brim.

- Chłopcy ukradli samochód Eryka?

- To dobre dzieciaki, z Lowis, które nigdy dotychczas nie ukradły samochodu. Jeden

z nich ma młodszego brata, który ich sypnął.

Przypominam sobie chłopaka, który siedział okrakiem na deskorolce i jeździł w miejscu tam i z powrotem, patrząc na mnie spode łba.

- Odzyskanie kluczy nie było zbyt trudne. Tyle że nie oddali nam listu. Bo go nie zachowali.

Patrzemy na nią wyczekująco.

- Listu? - pyta w końcu Jane. - Jakiego znów listu?

- Mogę wam pokazać. Mam kopię.

Kirsty sięga do notatnika, wyjmując z niego kartkę z kilkoma linijkami wydrukowanego tekstu i czyta:

- „Do moich córek...”. - Słyszę jej głos, jakbym była w narkozie i nie czuła bólu. - „Do moich córek. Chciałbym, żebyście mnie zapamiętały jako silnego mężczyznę, a nie słabego, powłóczącego nogami, bezradnego starca. Dlatego postanowiłem was teraz opuścić i mam nadzieję, że potraktujecie to jako akt odwagi z mojej strony i dowód wielkiej miłości. Jane, Lucy, bardzo was obie kocham. Jeśli się dobrze wywiązałem z moich obowiązków, to powinnyście sobie beze mnie poradzić. Lucy, gdybyś się kiedykolwiek czuła samotna, to wiem, że masz Jane, która cię zawsze wesprze. Z wyrazami miłości. Tata”.

Rozglądam się po bladych, przejętych twarzach. Przypuszczam, że i ja jestem blada. Jane wybija bezgłośnie palcami na stole jakiś rytm. Larry mocno ściska w ręce brodę. Scott zastygł w bezruchu.

- Powinniśmy chyba wcześniej wiedzieć o tym liście - mówi w końcu Larry.

- Egzemplarz, który był w skradzionym samochodzie, zaginął i dopiero teraz odzyskaliśmy tekst z komputera profesora. - Kirsty patrzy na Jane. - Dzięki za wszystkie hasła. Żadne z nich nie pasowało, ale jakoś sobie poradziliśmy. To był właśnie ten list. - Spogląda po naszych twarzach. - I co wy na to? - pyta. - Czy to podobne do profesora, jakiego znaliście?

- Myślę... że tak - mówi Jane.

Larry poważnie kiwa głową. Scott milczy. Biorę od niej list i przyglądam mu się uważnie.

- Nie - mówię.

Kirsty zwraca się do mnie:

- Uważasz, że wasz ojciec tego nie napisał?
- Ten list został wydrukowany tutaj, w pokoiku komputerowym.

Kirsty kiwa głową.

- Skąd wiesz?
- Stąd, że litery z ogonami są na brzegu strony trochę zamazane. Tak się zachowuje drukarka taty, wiem to, ponieważ jej używałam, ale ojciec tego listu nie napisał.

- Skąd ta pewność? - Kirsty przygląda mi się pilnie.

- Bo... - Bo ojciec napisałby do nas osobne listy. Dostałabym list, z moim imieniem, tylko dla mnie, podpisany: Tata. - Bo... bo to nie on go napisał - powtarzam uparcie. - On by tego tak nie załatwił.

Kirsty zwraca się do Scotta.

- A ty co na to? - pyta. Uśmiecha się zachęcająco, ale twarz Scotta pozostaje kamienna.

- Lucy dawno nie widziała się z ojcem - mówi w końcu. - Może Eryk, którego żegnała trzy lata temu, nie napisałby takiego listu, ale Eryk, którym się przez ten czas stał... postarzały, przygnębiony, przybity... No cóż, to naprawdę mało prawdopodobne, ale... ale chwilami odnosiłem wrażenie, że coś ukrywa. Nie zawsze wiedziałem, co Eryk naprawdę myśli. Może kiedy milczał, myślał właśnie o tym.

Potrząsam głową, ale Scott na mnie nie patrzy. Kirsty zwraca się do Larry'ego.

- Ty masz profesjonalne przygotowanie, Larry. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciał to skomentować.

Larry zwilża wargi językiem.

- Ten list odznacza się pewną równowagą, której oczekiwałem po Eryku. I świadczy o głębokiej znajomości obu córek. Słusznie ocenia, że Lucy będzie potrzebowała więcej wsparcia i że je znajdzie u Jane. Przewiduje możliwe reakcje obu - złość, ból - i próbuje znaleźć na nie radę. Nie zajmuje się wątpliwościami, trudnościami czy lękami, których musiał doświadczać w obliczu śmierci - cały list jest poświęcony wyłącznie złagodzeniu bólu córek. Powiedziałbym, że nie ma w nim ani odrobiny egoizmu, że jest logicznym dokumentem autorstwa nieegoistycznego, logicznie myślącego człowieka, i w tym widzę jego autentyczność.

- Dziękuję. Jane?

Jane gapi się w list zaczerwienionymi oczami. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczyna płakać. Przyglądam się jej, zafascynowana i wstrząśnięta. Rzadko widywałam ją płaczącą i nigdy w taki sposób. Zwykle rysy ma spokojne, nawet kiedy mówi, ale teraz jej twarz jest w ruchu. Szczeka chodzi w bezgłośnym rytmie, oczy są czerwone, policzki opuchnięte. Kiedy odrzuca głowę do tyłu, łzy wlewają jej się do uszu, we włosy. Szlochy targają ciałem Jane jak wstrząsy elektryczne. Mam ochotę ją przytulić, ale Larry zdążył mnie uprzedzić i już trzyma ją w ramionach.

Kirsty patrzy na nich beznamiętnie.

- Czy dlatego płaczesz - pyta, kiedy szlochy Jane zaczynają ustawać - że wierzysz w samobójstwo ojca?

Jane, której głos stał się jakiś dziwny i drżący, mówi:

- A czy to nie jest dostateczny dowód?

- Oczywiście, że nie. - Kirsty patrzy ostro na wszystkich po kolei. - Naturalnie, że nie jest. Ja na przykład nie wierzę, że profesor Schaffer osobiście napisał ten list czy choćby wiedział o jego istnieniu. Był to ostatni dokument w komputerze, datowany na niedzielę po południu, na godzinę szesnastą osiem. Po zbadaniu klawiatury nasz wydział daktyloskopii orzekł, że osoba, która używała jej jako ostatnia, a są wszelkie podstawy sądzić, że było to w niedzielę po południu o szesnastej osiem, miała na rękach zwykłe gumowe rękawiczki. Nie wydaje nam się sensowne, żeby wasz ojciec pisał pożegnalny list samobójcy w gumowych rękawiczkach. Dlatego najprawdopodobniej - choć wcale nie na pewno - osoba, która zabiła profesora Schaffera, była tutaj, w tym domu, w niedzielę o szesnastej osiem.

Zapada milczenie. Czuję, jak jeżą mi się włosy na karku, jakby tuż za mną ktoś stał. Kirsty rozgląda się dokoła, oceniając nasze reakcje. Ale reakcji nie ma. Nikt się nie rusza.

- Czy Eryk wiedział, że w niedzielę ktoś tu był? - pyta Scott głuchym głosem, jakby to nie był prawdziwy głos, tylko echo.

Kirsty wzrusza ramionami.

- Nie wiemy, co profesor Schaffer robił w niedzielę po południu.

- Czy nikt nic nie widział w niedzielę? - nalega Scott. - Jakiś sąsiad, przyjaciel...?

Kirsty patrzy na obecnych, ale przede wszystkim na mnie.

- Nawet jeśli ktoś coś widział, to i tak nie chce nic powiedzieć.

Mimo woli patrzę na zegarek, żeby ocenić, o jakiej porze ukryłam się w niedzielę na pomoście. Kent wyszedł z hotelu o jedenastej, a ja najpierw pojechałam na cmentarz, potem w dolinę, gdzie zostawiłam samochód. Podeszłam pod górę na piechotę i mogłam być na miejscu o trzynastej trzydzieści. Niecałe trzy godziny przed mordercą taty. Który o czwartej siedział tutaj, w pokoiku komputerowym, i pisał fałszywy list pożegnalny samobójcy, dając dowód głębokiej znajomości życia i rodziny swojej ofiary. Wbijam sobie paznokcie w dłonie. Mam kompletnie białe kłykcie.

- Tak, Lucy? - Kirsty patrzy prosto na mnie. Wzdrygam się. - Czy miałaś zamiar coś powiedzieć?

Potrząsam głową.

- Kilka razy pytałaś mnie, jak umarł profesor Schaffer. No cóż, istnieją pewne, choć nie ostateczne dowody na to, że zginął od porażenia prądem elektrycznym.

- Och! - Ten głos należał do kobiety - na pół westchnienie, na pół wykrzyknik. Czy to byłam ja, czy Jane? Patrzę na moją siostrę, a ona wpatruje się w Kirsty. Mam takie uczucie, jakby Kirsty siedziała w mojej głowie i bez przerwy powtarzała: zginął od porażenia prądem elektrycznym. Istnieją pewne, choć nie ostateczne dowody na to, że został zabity prądem elektrycznym.

- Zginął od porażenia prądem elektrycznym - powtarza jak echo Larry i te słowa wydają się rozbrzmiewać w całym pokoju. Jim Bob Holler, który mieszkał w najbliższym sąsiedztwie, zginął od porażenia prądem elektrycznym. Miał zaledwie czternaście lat. Jego ojciec nie zabezpieczył odpowiednio lamp oświetlających basen i Jim zginął, kiedy skoczył do wody.

- To był wypadek! - wrywa mi się. Wszyscy patrzą na mnie w osłupieniu. - Kiedy Jim Bob Holler zginął od porażenia prądem w basenie, to był wypadek - wyjaśniam.

Kirsty spogląda na mnie z zainteresowaniem.

- Trudno sobie wyobrazić, żeby śmierć profesora Schaffera mogła być przypadkowa.

- Jak dalece jesteś tego pewna? - pyta Jane.

- Zarówno profesor Dunlop, jak i doktor Angela Ball z Zakładu Medycyny Sądowej ręczą za to swoją reputacją.

Doktor Ball. Dobre perfumy i biżuteria, która dzwoni delikatnie, jak chór śpiewający mormorando, kiedy pani doktor porusza się wśród zmarłych.

- Badanie tkanki pobranej z niewielkiego pęcherza na szyi waszego ojca wskazuje na miejsce porażenia. Profesor Schaffer natychmiast dostał ataku serca.

Kirsty sięga do torby i wyjmuje małe czarne pudełko. Kładzie je na dłoni i wyciąga do nas.

- Prawdopodobnie widzieliście coś takiego. Paralizatory są w szerokim użyciu do celów samoobrony. Można je kupić bez trudu. Wystarczy tylko dotknąć kogoś takim urządzeniem, żeby posłać w jego system nerwowy prąd o napięciu stu tysięcy woltów. Ofiara widzi, słyszy, a nawet czuje, ale w ciągu piętnastu do trzydziestu minut traci zdolność wykonywania jakichkolwiek kontrolowanych ruchów.

Larry zaczyna mówić, ale w jego głosie nie ma już tak typowej dla niego pewności.

- To znaczy, że Eryka dotknięto czymś takim, a potem wrzucono do wody. Kiedy już był niezdolny do tego, żeby się ratować.

Tata spadający z Foczych Skal - czuje rozpryskującą się wodę, słyszy ryk zbliżającego się oceanu, woda zamyka się nad nim, a on nie może nawet walczyć, płynąć.

- Nie - mówi Scott. - Takie były zamiary mordercy. Eryk miał się utopić, jego śmierć miała wyglądać na samobójstwo. Ale porażenie prądem spowodowało atak serca. Zanim Eryk zetknął się z wodą. Stąd wiadomo, że to było zabójstwo.

Kirsty przygląda się każdemu z nas po kolei.

- Czy są jakieś pytania? - Uśmiecha się. Nie jest to szeroki uśmiech; raczej wyraża oczekiwanie.

Nie wiem, jak to się stało, że mam nagle twarz ukrytą w dłoniach. Muszę je cofnąć, żeby zapytać:

- Czy to jest bolesne?

Zanim Kirsty zdążyła odpowiedzieć, odzywa się Jane.

- Och, Lucy, śmierć przez porażenie prądem nie jest specjalnie bolesna. A poza tym, pamiętaj, śmierć, każda śmierć, jest prawie na pewno przyjemnym doświadczeniem.

Wyobraź sobie stopniowe popadanie w stan całkowitego relaksu...

- Sto tysięcy woltów prawdopodobnie ogłusza, zanim człowiek zacznie czuć ból - mówi Larry.

- Czy są jeszcze jakieś pytania? - powtarza Kirsty. Potrząsamy głowami. Nie mamy więcej pytań. Wstaję.

- Muszę wyjść na świeże powietrze - oznajmiam.

Idę na pomost, ale powietrze nie jest tu świeże. Wydaje mi się stęchłe i nieruchome, jakby je wypuściła z oddechem dolina. Mój wzrok podąża drogami i koleinami, błądzi wśród sadów w poszukiwaniu znanych punktów orientacyjnych, ale ich widok nie przynosi ukojenia.

26

Po wyjściu detektyw MacFarlane na dom spada cisza jak koc. Pracujemy, posilamy się i rozmawiamy, ale ta cisza tak na dobre nigdy nie znika. Stajemy się nerwowi. Często wyglądamy przez okna, na każdy najmniejszy odgłos reagujemy gwałtownie i zadajemy sobie pytanie, czy to aby na pewno trzaski starego domu.

- Czy ktoś wie coś na temat Funduszu Powierniczego Marcello? - pytam podczas lunchu. Wszyscy potrząsają głowami. - Czy tata znał kogoś o nazwisku Marcello?

Jane zastanawia się przez chwilę, po czym znów potrząsa głową.

- Nic mi to nie mówi.

- Zajrzyj do książki adresowej Eryka - podsuwa Larry, Nawet on jest wyraźnie przygaszony.

- Zaglądałam. Dzwoniłam do banku, do księgowego, sprawdzałam w książce telefonicznej, na liście funduszy charytatywnych i w dokumentach taty...

- Przykro mi, ale nic ci nie mogę pomóc - mówi Jane.

Larry podaje paellę i namawia na dokładkę. Ponownie go komplementujemy jako kucharza. Upuszczam widelec. Wszyscy podskakują. Scott zadaje kilka pytań o kamienie, a ja na niego warczę, choć naturalnie zaraz potem robi mi się przykro, kiedy wyjaśnia, że chcą z Larrym zebrać kolekcję taty w jednym miejscu dla wygody geologów z uniwersytetu, którzy na zaproszenie Jane mają przyjść, by ją ocenić.

Przez całe popołudnie pracujemy w różnych pokojach. Frontowe drzwi są zamknięte na dwa razy. Larry robi porządki w pudłach na górze. Te, które zawierają kamienie, wyciąga na korytarz, Scott przenosi je do stodoły. Jane nie pozwala Larry'emu dźwigać ze względu na jego kręgosłup. Sama zaczęła porządki w sypialniach na górze,

blisko niego.

Kiedy mam już dosyć ślęczenia nad papierami w pokoiku komputerowym, przygotowuję dla wszystkich zimne drinki.

Zastaję Larry'ego, znaczącego pudła z kamieniami czerwonym pisakiem.

- Dzięki, postaw tutaj - mówi. Zatrzymuję się w drzwiach.
- Dlaczego ktoś miałby śledzić Jane? - pytam. Podnosi głowę i patrzy na mnie.
- To tak, jakbyś pytała o racjonalne przyczyny zaburzonych zachowań - odpowiada.
- Może to jakiś pacjent szpitala dla psychicznie chorych.
- Może. Wiem jedno, Lucy: już dłużej nie wolno nam ryzykować. Czuję, że rodzina

Schafferów jest w jakiś sposób zagrożona. Eryk nie żyje, ktoś się kręcił po jego domu. W tej sytuacji musimy być czujni i dlatego poprosiłem Kirsty, żeby się zajęli tym facetem.

Jane zamknęła się w swojej starej sypialni. Przystaję pod drzwiami, obserwując lód pływający w jej szklance. Kiedy byliśmy małe, wolno mi było wchodzić do jej pokoju, dopiero gdy zapukałam albo jeśli Jane mi pozwoliła. Często sterczałam pod drzwiami w nadziei, że mnie zaprosi. W jej pokoju było pełno różnych ładnych rzeczy, jak kolekcja muszelek, patchworkowa narzuta na łóżko czy półki pełne książek bez obrazków.

Pukam. Nie otwieram drzwi, dopóki nie usłyszę głosu Jane. Stoi między stosami wyładowanych kartonowych pudeł, jakby zabłądziła w lesie.

- Zamknęłam drzwi ze względu na kurz - tłumaczy się.

Wślizguję się nieśmiało. W dalszym ciągu jest ta sama narzuta, chociaż nieco jaśniejsza, niż ją zapamiętałam; w przerwie między kolumnami pudeł widzę kolekcję muszelek.

- Co znalazłaś? - pytam, podając jej drinka.
- Nic, poza rupieciami.
- Jakimi rupieciami?

- No wiesz. Doroczne księgi ze szkoły średniej, dzienniki, których ostatnie zapisy kończą się na szóstym stycznia, lalki z poodrywanymi rękami, ubrania, tak ukochane, że się ich nie wyrzuca, nawet jeśli są bardzo zniszczone, ubrania, których się nigdy nie nosiło, zdjęcia osób, których już nawet nie pamiętasz, aparat fotograficzny, który zamierałam dać do naprawy, ale nigdy nie dałam, smycz, zapewne Nikla... jak to rupiecie.

- Naprawdę zamierzasz wyrzucić swoje roczne księgi ze szkoły średniej? - pytam.

Jane krzywi się.

- Zamierzam.

- A co chcesz zostawić?

- Nic.

- Nie uważasz, że przydałoby się parę pamiątek? Dosłownie kilka? Już nigdy więcej nie będzie tutaj rodziny Schafferów. Nie zostanie po nas nic.

Jane odstawia drinka i zaczyna grzebać w zawartości stojącego przed nią pudła.

Macha książeczką do wycinania, z której nigdy nic nie zostało wycięte, typu „ubierz sama swoją lalkę”.

- Nie potrzebuję żadnych pamiątek. Aż za dużo mam ich w głowie.

- Wiem, o czym myślisz. Sprawy z przeszłości, ludzie, wydarzenia... - to wszystko skacze na mnie jak oszalały pies. Jak Nikiel.

Jane chichocze, jakoś tak na pół gwizdka. Często opowiadała mi, jak Nikiel na mnie skakał.

- On cię przewracał, ale jemu się wydawało, że to zabawa.

- Mam wrażenie, że pamiętam, jak Nikiel zdechł.

- Pamiętasz? Ile miałaś wtedy lat?

- Jak to się stało?

- Któregoś dnia wieczorem znalazłam go martwego na stopniach ganku i tata powiedział, że Nikiel został otruty. Sąsiedzi zza górki, Carmichaelowie, mieli na pieńku z kojotami i wykładali truciznę, więc przyjęliśmy...

Mówię szybko:

- Ja to pamiętam, Jane. Pamiętam, jak mama płakała. A tata trzymał Nikla zawiniętego w koc. Szedł z nim do dolnego ogrodu. I pamiętam, że biegłam koło platformy holowniczej do takiej nory, którą sobie zrobiliśmy z Lindy Zacarro. I Lindy też tam była.

Jane uśmiecha się z pobłażaniem.

- Wymyśliłaś to sobie.

- Nie, ja jeszcze dziś widzę to bardzo wyraźnie!

- Lucy, myśmy ci nie pozwolili oglądać ciała Nikla, nawet zawiniętego w koc. Tata

pochował go, kiedy już było ciemno i ty spałaś.

- Ale ja pamiętam! Tata szedł z tym kocem po stopniach...

- Jasne, że pamiętasz. Pamiętasz tak, jak to sobie wyobraziłaś. Przypominają mi się słowa Rougemonta: łatwo pomylić to, co się naprawdę wydarzyło, z tym, co nam ktoś powiedział czy sobie wyobraziliśmy. To dobrze, to bardzo dobrze przekonać się, jak zawodna jest pamięć.

Patrzę, jakoś tak obok Jane, przez okno. Kiedyś widać stąd było podjazd bardzo daleko, ale przez lata drzewa tak się rozrosły, że ich cienkie palce niemal stukają w szyby.

- Pewnie masz rację - mówię.

Śmierć Nikła to nie było wspomnienie, tylko gobelin, który utkałam ze świeżych wydarzeń. Zakopanie psa i płacząca matka wykwitły z ziarna zasianego przez Rougemonta. Było to jakby potwierdzenie zapomnianej uprzednio informacji, że tata miał kiedyś platformę holowniczą. Niewielki tren poświęcony mojej niegdysiejszej przyjaźni z Lindy Zacarro. O barwie i fakturze wspomnienia, ale nieczystego. A w gruncie rzeczy nic więcej jak wytwór fantazji.

Scott jest teraz w stodole. Kiedy schodzę po stopniach ganku i wyłaniam się z cienia drzew, wpadam w zasadzkę zastawioną przez słońce. Brnę przez blask i spiekotę wolno, niczym przez wodę.

Stodoła jest duża i czerwona jak stodoły w książkach z bajkami. Kiedy byłam dzieckiem, bardzo mi się to podobało, chociaż po otwarciu drzwi ziała na mnie wielka ciemna czeluść, pochłaniająca wszelkie dźwięki i nieprzenikalna dla światła, a to mnie przerażało.

Scott zaryglował drzwi od środka, więc walę w nie nogą.

- Kto tam? - wrzeszczy. Robi wrażenie zdenerwowanego. Kiedy otwiera, spoglądam w bezdenną czerń wielkiego wnętrza.

- Zamknij za sobą drzwi.

Słyszę, jak jego słowa cofają się razem z nim w głąb stodoły.

- Gdzie jesteś, Scott?

- Tutaj!

- Nic nie widzę. Dlaczego nie zapalisz światła?

- Zapaliłem! Tyle tylko, że na zewnątrz słońce jest tak ostre, że musisz poczekać, aż

wzrok się przyzwyczai.

Jako pierwszy wyłania się z mroku traktor. Tata spędził pod nim wiele godzin, w zapachu oleju, w szczękę kluczy, dopóki nie dobył z silnika głośnego ryku, jakby cała stodoła miała z nim odjechać.

- O rany - mówię, potrząsając głową i patrząc, jak stopniowo wyłaniają się pozostałe przedmioty. Gospodarskie rupiecie, jak worki, maszyny, kłody i szczapy drewna, a także narzędzia i gwoździe taty. Stare ramy łóżek, maszyny albo ich części, deski, zrzynki drewna, koła. Pudła, niektóre oznaczone nazwami minerałów. Pośród tego wszystkiego stoi Scott. Kiedy podaję mu drinka, widzę, że cały jest pokryty kurzem i potem. Pije łąpczywie.

- Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach jeszcze jesteś zły na Roberta Josepha - mówię.

Scott, nie przestając pić, krzywi się nad krawędzią szklanki.

- Chodzi mi o to, że jedziesz sobie do Francji z Brigitte, a potrafisz się złościć o chłopaka, którego nie widziałam od osiemnastego roku życia. Na miłość boską.

Odstawia pustą szklankę i z trudem łapie oddech.

- W dziwny sposób się skończyło z tym Robertem - mówi. - Dość niezdecydowanie. Nigdy nie potrafiłaś na dobre zatrzaskać tych drzwi, nigdy nie przestałaś czuć do niego tego, co czułaś.

- Od lat w ogóle nie myślałam o Robertcie.

Scott wzrusza ramionami i pochyla się nad pudłem.

- To dlaczego wyłowiałaś akurat ten reportaż z jego ślubu?

Biorę pustą szklankę i mamroczę coś o porządkach w biurku taty, o znajdowaniu różnych rzeczy. Mój głos gubi się w przepastnym, mrocznym wnętrzu stodoły.

- Ilekroć się kochaliśmy - mówi - miałem uczucie, że jesteś nieobecna. Że nie cała jesteś ze mną.

Czuję urazę i zdziwienie. Patrzę na Scotta i teraz widzę go bardzo wyraźnie. Jego twarz lśni od potu.

- Myślałam, że było ci przyjemnie! Że było dobrze! - protestuję. - To znaczy... - dodaję uczciwie - przed urodzeniem Steviego. - Potem już prawie nie było seksu.

Głos Scotta nieznacznie łagodnieje.

- Luce, mieliśmy dobry seks, ale nie najlepszy. Ponieważ jakaś częśćka ciebie zawsze była nieobecna.

Przypomina mi się, jak leżę z Kentem w hotelu, w śródmieściu, płacząc cicho w ciemności, podczas gdy on śpi. Myślę o kresce, gładkiej jak czerwony atrament, którą rysowało na moim udzie ostrze jego brzytwy. W czasie seksu z Kentem żadne z nas nie było obecne.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Wiesz. Zawsze czegoś brakowało. I to coś miał właśnie Robert Joseph. Dałaś mu to wiele lat temu i nigdy nie odebrałaś. Dlatego w dalszym ciągu jestem o niego wściekły.

Później, znacznie później, kiedy prostokąt nieba nad komputerowym pokoikiem taty zabarwił się na różowo, a potem przeszedł w blady błękit i wreszcie w czerń, przeciągam się i ziewam. Dom jest pogrążony w ciszy, ponieważ wszyscy są w stodole i porządkują setki pudeł z próbkami skał. Musieli nawet wyprowadzić traktor, żeby mieć więcej miejsca. Zaskoczył od pierwszego razu, rycząc ochoczo, kiedy Larry go wyprowadzał i parkował przed stodołą, a gdy wyłączył silnik, traktor zawył rozczarowany, jak pies, który się szykował na dłuższy spacer.

Robię porządki na biurku. W rogu, w przypadkowym miejscu, leży „Kronika towarzyska”, tak jak ją rano zostawiliśmy. Mam nadzieję, że wszyscy zauważyli, że nie tknęłam jej przez cały dzień. Ponieważ jestem sama w domu, postanawiam raz jeszcze rzucić na nią okiem. Antyczne koronki panny młodej. Ręka Roberta, widoczna na jej ramieniu. I wtedy nagle, gdzieś z dołu strony, dosłownie wyskakuje na mnie MARCELLO. Mam oto przed sobą nazwisko, którego tak poszukiwałam. Kiedy dostałam je od Seymoura, zadźwięczało mi znajomą nutą. Znajduję je pośród gości weselnych Roberta. B. Marcello.

Ktoś przechodzi koło drzwi pokoiku komputerowego. Mam nadzieję, że nie widział, jak się wczytuję w „Kronikę towarzyską”. Odkładam spieszenie wycinek i zaczynam kartkować książkę telefoniczną, ale żaden z Marcellów nie ma przed nazwiskiem B. Przychodzi mi do głowy pewna myśl, od której serce zaczyna szybciej bić. Mogłabym pojechać w dolinę, do Josephów, i zapytać panią Joseph o B. Marcello i o Fundusz Powierniczy Marcello.

Wychodzę na pomost. Mija mnie po drodze do domu jakiś wielki owad. Poznają to

tylko po ruchu powietrza i furkotaniu skrzydełek. Patrę przez długi, ciemny ocean doliny. Kilka par świateł samochodów. Kilka domów na farmach.

Jakiś szelest blisko mnie sprawia, że podskakuję nerwowo. Dopiero wtedy spostrzegam, że na pomoście, na drewnianym krześle, siedzi Jane, z nogami opartymi o poręcz.

- Ciepły wieczór - mówi. - Byłby ciepły nawet jak na lato, a w marcu to po prostu szaleństwo.

Siadam koło niej i obie wpatrujemy się w ciemność.

- Chciałabym, żebyś po pogrzebie została trochę dłużej i pomogła z tym wszystkim - mówi moja siostra.

- Mogę zostać do końca przyszłego tygodnia, ale nie dłużej, Jane. Chodzi mi o tę transakcję, jeszcze trochę i przepadnie...

- Jasne, Luce - mówi szybko, cicho. - Oczywiście. To wyjątkowo egoistyczne z mojej strony prosić cię o coś takiego. Po prostu jestem bardzo zmęczona, a kiedy jestem zmęczona, to ogrom tego, co mam zrobić, zaczyna mnie przytłaczać.

W jej głosie słyszę bezradność, smutek.

- To ja jestem egoistką, nie ty - mówię. - Postaram się przyjechać jak najszybciej.

- A co z tą transakcją? Wzruszam ramionami.

- Ta już i tak zapewne przepadnie. Ale będą inne.

Widzę błyskające światła samolotu. Nie słyszę mrużenia silników.

- Czy pamiętasz, jak kiedyś z Lindy Zacarro wypuściłyśmy się na wycieczkę w dolinę i trafiłyśmy do sadów Sturmera? - pytam.

- Boże, jak ja się wtedy denerwowałam, tak długo was nie było.

- Myśmy się z Lindy naprawdę bardzo przyjaźniły. Z wyjątkiem samego końca. Pokłóciłyśmy się i Lindy umarła, zanim zdążyłyśmy się pogodzić. Dlatego na zawsze zostało mi poczucie winy.

- A o co się pokłóciłyście?

- Nie pamiętam.

- Pewnie miało to coś wspólnego z mamą - mówi Jane. - Bo Lindy zawsze chciała się u nas bawić.

Kiwam głową.

- Matka właściwie uniemożliwiała jakąkolwiek przyjaźń, ponieważ nigdy nie było wiadomo, z czym akurat wyskoczy. Nawet kiedy miała przerwy w chorobie, to i tak była nieprzewidywalna.

Były takie okresy w czasie wakacji - tydzień czy dwa - zanim przestałyśmy brać w czymkolwiek udział i stałyśmy się całkowicie samotne, kiedy włączyłyśmy się po wzgórzu z innymi dziećmi, zakładając obozy i wypowiadając sobie nawzajem wojnę. Lindy, Dawid i Carter Zaccaro. Carmichaelowie. Phyllis Schneck. Jim Bob Holler i czasami jego starszy brat, Spelmanowie, Miranda i Michael. Ale my zawsze musiałyśmy się wycofywać z każdej grupy, ilekroć dzieciaki zaczynały dawać do zrozumienia, że chcą przyjść do nas do domu. Mimo to kiedyś przyszły. Całą bandą. Dwanaścioro albo trzynaścioro dzieciaków. Mama postawiła słoje Kool-Aid i jakieś babeczki, ale Kool-Aid był nierozcieńczony, a babeczki niedopieczone. Dzieciaki siedziały w kompletnym milczeniu. A potem, kiedy matka wyszła z pokoju, wybuchnęły śmiechem. Nie wiedziałam, czy się śmiać razem z nimi, czy zachować pełne skrepowania, ale lojalne milczenie.

- A podczas ataków choroby - dodaje Jane - dokładnie wiedziałyśmy, czego się można po niej spodziewać. To był okres, kiedy jeszcze miejscowe dzieciaki do nas wpadały, chociaż matka czuła się naprawdę źle, a myśmy chodziły dosłownie na palcach...

- Pamiętam doskonale to chodzenie na palcach. - Nie budź matki, nie denerwuj mamy, nie zakłócaj kruchej równowagi tego delikatnego, skomplikowanego mechanizmu, jakim jest jej umysł, ponieważ najmniejszy stres może się okazać najbardziej przerażający w skutkach.

- Stawałyśmy na głowie, żeby była cisza i spokój, a potem nagle pojawiała się na ganku banda dzieciaków, wrzeszcząc i wołając nas. No i oczywiście dzwonili do drzwi. I to tak głośno, że dom trząsł się w posadach.

- Jakby miało być trzęsienie ziemi. Bo to w gruncie rzeczy było coś w rodzaju trzęsienia ziemi. Jak myśmy sobie z tym radziły?

- Pod jakimś atrakcyjnym pretekstem odciągałyśmy dzieciaki od domu. Matka wyła i wrzeszczała, a my wymykałyśmy się, jakby to było coś całkowicie normalnego. Ale oczywiście wszyscy o tym wiedzieli. Nie przypominam sobie, by jeszcze kiedykolwiek po tym dzieciaki się u nas pojawiły.

Twarz mnie pali. Zachowuj się normalnie. To stan najbardziej pożądany, w przeciwieństwie do zachowań rosyjskich.

- A gdzie był wtedy tata?

- Pewnie w pracy. A zresztą nie wiem.

Znów milkniemy. Czekam, aż nocny chłód ostudzi policzki. Milczenie przerywa Jane.

- Lucy... - mówi cicho. - Widziałam przed chwilą, jak w pokoju komputerowym znów czytałaś ten reportaż ze ślubu Roberta Josepha...

- Na miłość boską, Jane, przeglądałam listę gości! - bronię się. - Tak się składa, że była wśród nich osoba o nazwisku Marcello, a ja właśnie szukałam...

- Lucy, przestań zachowywać się po rosyjsku. Przyznaj po prostu, że czytałaś to w kółko...

Poręcz skrzypi trochę, a zresztą może to świerszcze. Wieczór jest tak spokojny, że czuję słodki oddech Jane, kwiatowy aromat jej perfum.

Wzdycham.

- Może. Ten związek miał dla mnie szczególne znaczenie jako pierwszy, którego matka nie zdołała zniszczyć. Była już wtedy unieszkodliwiona w klinice i wszystko wskazywało na to, że zostanie tam na zawsze. Poza tym... - Waham się przez chwilę. - Poza tym pierwsza miłość jest naprawdę bardzo ważna. W gruncie rzeczy bardzo ważna była też dla mnie rodzina Roberta.

Oaza Josephów w dolinie. Pani Joseph, bardzo zaangażowana w sprawy synów, ale nieingerująca. Potrafiła śmiać się z ich żartów. Patrząc, jak grają w siatkówkę, i cieszyć się ich drobnymi sukcesami. Pan Joseph był starszy i już nie tak sprawny, ale sympatyczny, jowialny - przekomarzał się z synami, podziwiał ich sympatie. Podobało mi się też, jak rozmawiał z żoną. Najpierw jedno mówiło, a drugie słuchało z szacunkiem; potem zamieniali się rolami. Zawsze myślałam: tak właśnie powinna wyglądać rozmowa między małżonkami. Bez krzyków. Bez obojętności. Bez prób dominacji jednego nad drugim. Nie żalowali czasu na rozmowy, chociaż ich dom był zawsze pełen ludzi. Mieszkał z nimi dodatkowo brat pani Joseph, Ralph, który pomagał w ogródku. Nikt się nigdy nie dziwił ani nie komentował jego zachowań. Były przyjaciółki pani Joseph. Kłębiło się mnóstwo dzieci, kuzynów i ich przyjaciół. Czasem - mimo wielkiego ogrodu - nie dało się upolować

chwili samotności, ale ja to i tak bardzo lubiłam. Sama pochodziłam z domu, gdzie samotność była stanem normalnym i gdzie trzaśnięcie drzwi przesuwanych oznajmiało albo jej początek, albo koniec.

Ale czy po tym, jak mnie wtedy, przed laty, Josephowie tak wyraźnie odrzucili, mogę, ot tak sobie, po prostu tam iść, stanąć w drzwiach i spytać o B. Marcello, częstując się kolejną częstką ich intrygującego życia? Na samą myśl o tym czuję przyspieszone bicie serca.

Jane mówi:

- On wcale nie był taki wspaniały, jak ci się wydawało; ostatecznie o mało cię w tym wypadku nie zabił.

- Właściwie nic mi się nie stało.

- Ale mogło. Jemu się stało. A samochód przypominał kupę złomu, której widok był przerażający.

Jane pojawiła się zaraz po pani Joseph i jej przyjaciółce, na kilka minut przed karetką pogotowia. Oczy jej lśniły, jakby za chwilę miała zacząć płakać; oglądała mnie całą z chłodnym profesjonalizmem lekarza, mimo że do dyplomu miała jeszcze bardzo daleko.

- Nie dałaś tego po sobie poznać.

- Musiałam zachować spokój, żeby cię nie przerazić.

Spoglądam na moją siostrę i widzę jej lśniące w ciemnościach oczy.

- Ile ja ci zawdzięczam, Jane... Wiem, że obie chciałybyśmy zapomnieć całą naszą przeszłość, ale za to, co było w niej dobrego, mogę podziękować wyłącznie tobie. Nie tylko za to, że się mną opiekowałaś, kiedy byłam chora, czy że mnie uratowałaś, kiedy się topiłam w basenie. Chodzi mi o inne rzeczy. O to, że mi pomagałaś wybrać właściwe ubranie. Że mnie uczyłaś mówić właściwe rzeczy. Dostawać lepsze stopnie. Uczciwie postępować. Myślę, że mama mnie w ogóle nie wychowywała. To wszystko ty, Jane. I jestem ci bardzo... - Nagle, bez powodu, w sposób bardzo dla mnie krępujący, załamuje mi się głos. - Jestem ci bardzo wdzięczna. A szczególnie... - Głos ponownie odmawia mi posłuszeństwa. - Za to, co dla mnie robiłaś po śmierci Steviego. Jak mnie wspierałaś...

No, wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Bez żadnych przygotowań, niczego z góry nie planując. Od lat wiedziałam, że winna jestem Jane wyrazy wdzięczności i najwyższego

uznania, wiedziałam, że moja siostra od dawna ma prawo tego po mnie oczekiwać. Ale z powodów niejasnych dla mnie samej zwlekałam z tym aż do chwili obecnej.

Jane odpowiada nie od razu, ale mimo ciemności, która nas dzieli, widzę płynące po jej twarzy łzy.

- Och, Lucy, dziękuję ci za to... Czasami wydawało mi się, że... że nic z tego nie pamiętasz...

- Owszem, pamiętam, i to bardzo dobrze. - Czuję, jak łzy zostawiają na moich policzkach cienkie, gorące linie. - Wiem, jak wiele ci zawdzięczam. A przecież nigdy ci za to nie podziękowałam. Po prostu odeszłam. Bez słowa.

Ta rozmowa nie jest dla nas typowa. Ani ten płacz. Nie patrzymy na siebie, tylko rzucamy słowa cicho, z naciskiem, przez barierkę, gdzieś przed siebie, w dolinę, a kiedy milkniemy, spoglądamy w niezmierną ciemność, od czasu do czasu pociągając nosami.

Kiedy pojawiają się pachnący stodołą Scott i Larry, robimy wszystko, żeby nasze głosy brzmiały w miarę normalnie i żeby sprowadzić rozmowę na tory, po których będziemy mogli się poruszać. Oni jednak wyczuwają, że coś ważnego wydarzyło się między nami, i przyglądają nam się badawczo. Obserwuję, jak para reflektorów samochodowych, rzucając przed siebie proste jak droga snopy światła, pełźnie leniwie w ciemnościach. Nagle wydaje mi się ogromnie ważne, żebyśmy dalej już wspólnie z Jane dźwigały ciężar naszych wspomnień. Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może jednak wrócić do Kalifornii.

27

W niedzielę rano jadę z Saszą i ciotkami Ziną i Zoją do kliniki Redbush. Z ulgą myślę o tym, że nie będę z mamą sama, ale ciotka Zina odbiera mi złudzenia:

- Dla Tani nie jest dobrze, kiedy przebywa u niej więcej niż jedna osoba naraz, więc my na ciebie poczekamy.

- A co będziecie robili? - pytam.

Wybuchają śmiechem.

- Jak to co? Będziemy rozmawiali.

Redbush jest położone w odległości trzydziestu minut jazdy na północ od San Francisco. W samochodzie ciotki, które nalegały, żebym usiadła z przodu, pytają mnie, jak

postępują nasze prace w domu taty.

- Końca nie widać - jęczę.

Ze zrozumieniem kiwają głowami. Ciotka Zina nachyla się do mnie.

- Zawsze, po każdej śmierci, jest wiele porządkowania - mówi. - Ta praca zabiera dużo czasu, ale dla osoby oplakującej zmarłego może się okazać bardzo pożyteczna.

Myślę o domu, pękającym w szwach od pudeł, papierów, szuflad, schowków.

- Mam takie uczucie, jakbyśmy się dopuszczali niewybaczalnego zamachu na prywatność taty.

- Kiedy ktoś umrze, bardzo trudno zachować jego prywatność czy tajemnice - mówi Sasza. - Po śmierci taty obnażenie jego życia wobec całej rodziny było dla mnie nie do zniesienia. Ale dzięki temu wszystkiemu mogłem go lepiej poznać.

- Dzięki czemu wszystkiemu?

Sasza spogląda pytająco na matkę, która ruchem palca czy drgnieniem powieki wyraża przyzwolenie.

- Kiedy mama i jej siostry zaczęły wszystko porządkować... - Jeszcze jeden szybki rzut oka na ciotkę Zinę. - ...choć w dalszym ciągu wydaje mi się, że to ja powinienem był to robić, odkryły niesamowite ilości magazynów, których charakter zaskoczył nas wszystkich. Nigdy nie podejrzewaliśmy, że coś takiego mogłoby tatę interesować. A do tego jeszcze były długie hazardowe, szczególnie dziwne u człowieka, który nie lubił ryzyka i był sknerą, jeśli chodziło o pieniądze rodzinne.

- Wuj Paweł! Długie hazardowe!

- Jesteś zaskoczona? - krzyczy ciotka Zina. - Wszyscy byli zaskoczeni, a ja szczególnie. Dziękuję tylko Bogu, że mama umarła rok przed nim i niczego się nie dowiedziała.

Sasza prostuje się i robi pełną niesmaku minę wielbłąda, czym tak bardzo przypomina babkę, że oboje zaczynamy chichotać. Ale on jakoś dziwnie cienko przy tym kwiczy i rozśmiesza mnie jeszcze bardziej. Jednakże ciotki Zina i Zoja nie są rozbawione.

- Jak wam nie wstyd wyśmiewać się z waszej kochanej babci. To była dobra kobieta, która wiele wycierpiała. - Ciotka Zina patrzy na mnie znacząco. - Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć.

- Oczywiście - mówię spokojnie. - Wiem. Umarło jej dziecko. W pociągu.

- Jej cierpienie było ogromne - potwierdza ciotka Zina. - Ile razy mój Paweł złościł się na mamę, zawsze mu przypominałam o tym, co przeszła.

Sasza, patrząc na mnie, znacząco unosi brwi.

- Widzisz, Lucia? W ciągu tych kilku minut dowiedziałaś się o moim ojcu więcej po jego śmierci, niż gdyby tu siedział między nami i pykał swoją fajeczkę. Tak samo może być z twoim ojcem. Teraz masz szansę poznać go z innej strony. Bo wszyscy mamy tajemnice, ty na pewno też.

Redbush jest otoczone wysokimi murami i wyposażone w kamery. Obiekt bardziej przypomina obszerną rezydencję gwiazdy filmowej niż klinikę dla psychicznie chorych i uzależnionych od alkoholu i narkotyków. Uczestnicy tego ostatniego programu są oddzieleni od pacjentów takich jak moja matka i personel kliniki nazywa ich klientami. Można ich zobaczyć, jak spacerują samotnie po wielkim terenie.

Pacjenci, przebywający w tym skrzydle budynku co moja matka, nie spacerują samotnie. Zawsze towarzyszy im inny pacjent czy członek rodziny, ale najczęściej ktoś z personelu. Lekarze nie noszą tu białych kitli, tak że czasem trudno ich odróżnić od pacjentów. Kiedyś, kiedy odwiedzałam matkę w towarzystwie Scotta, Jane i Larry'ego, mój szwagier podszedł do rozmamłanego starego mężczyzny, który zwykle się tu kręcił, i złapał go za rękę. Myślałam, że to jakiś weteran wśród pacjentów, tymczasem okazało się, że jest to psychiatra, który kiedyś pracował z Larrym.

Sasza podjeżdża do bramy. Umundurowany strażnik, który przypomina policjanta, prosi wszystkich o dowody tożsamości. Za sobą słyszę trzask otwieranych i zamykanych torebek.

- Czy państwo wszyscy w odwiedzinie do pacjentki? - pyta mężczyzna.

- Nie, tylko córka. - Sasza pokazuje na mnie.

- Proszę wysiąść z samochodu i przejść tędy. - Strażnik podejrzliwie mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Przygląda się mojemu prawu jazdy, przysuwając je do światła, jakby to był fałszywy banknot dwudziestodolarowy.

Wreszcie oddaje mi prawo jazdy.

- Przepraszam, ale musimy wszystkich sprawdzać. Mamy na oddziale rehabilitacyjnym ważną osobistość i cały czas różne kobiety usiłują się tu przedostać.

Wjeżdżamy na teren kliniki. Zraszacze kładą na trawie idealny wzór mglistych

trójkątów. Kiedy pada na nie słońce, rzucają małe tęcze.

- Ach, nawet zraszacze są tutaj piękne - wzdycha ciotka Zina, wpatrując się w każdą mijaną twarz. Żadna z nich nie kojarzy się z ważną osobistością.

- Jaki tu spokój - zauważają zgodnie ciotki. - Spójrz na drzewa. I na kwiaty.

Wchodzę do niskiego czerwonego budynku z takim samym uczuciem rozpaczony i bezradności jak wtedy, kiedy byłam nastolatką. W tamtych czasach wszystko się mogło wydarzyć. Matka mogła być czarująca i witać mnie jak honorowego gościa, z przesadną fascynacją oglądając przyniesione przeze mnie zdjęcia i zadając grzeczne pytania. Ale równie dobrze mogła się dąsać, odmawiając wszelkiej rozmowy. Albo nagle z szaleńczą gorliwością zaczynała przestrzegać jakichś dziwnych niejasnych reguł, to znowu była na mnie zła czy tajemnicza w swojej nienawiści do kogoś z personelu lub może pacjentów. Stopniowo, z upływem lat, łagodniała i robiła się coraz bardziej milcząca. A wizyty - zamiast męczarni - stawały się powoli jeszcze jednym obowiązkiem.

Sasza, jakby wyczuwał mój nastrój, otacza mnie pulchnym ramieniem.

- Nie martw się, nie musisz zostawać tam długo - pociesza mnie.

Każą nam czekać w oranżerii. Ciotki szeptem spekulują, co to może być za ważna osobistość. Wiem, o czym mówią, bo choć rozmawiają po rosyjsku, wpadają mi w ucho znajome nazwiska.

Obchodzę dokoła oranżerię, biorę do ręki magazyny, odkładam je. Wypatruję ważnej osobistości. Jestem zdenerwowana. Robię w myślach listę tematów, na które mogłabym rozmawiać z matką.

Pojawia się mężczyzna w luźnym uniformie. Spogląda na nas i skinieniem głowy daje znak, że poznaje ciotki.

- Nie możemy wpuścić tylu osób - mówi. - Państwo to wiecie.

Cała trójka naraz wyjaśnia, że dziś tylko ja przyszłam odwiedzić matkę. Mężczyzna jest zdezorientowany, więc występuję do przodu.

- Panna Schaffer? Dzień dobry. Jestem Jonathan, pielęgniarz Tani. - Jego poufałe posługiwanie się imieniem matki, i to w formie zdrobnień, zaskakuje mnie do tego stopnia, że spóźniam się z wyciągnięciem ręki na powitanie. Kiedy ją wreszcie wyciągam, ściska moją dłoń z siłą, która z pewnością jest pomocna przy trudnych pacjentach.

- Proszę ze mną do pokoju matki.

Idę za nim posłusznie, ale pielęgniarz jest przyjacielski i zwalnia, żebyśmy mogli rozmawiać.

- Na jak długo pani przyjechała? - pyta. Mijamy wiszące wzdłuż korytarza kolorowe dziecinne rysunki. Kroki pielęgniarza są prawie bezgłośnie. - Matka twierdzi, że pani ma w Nowym Jorku bardzo dobrą pracę.

- Matka tak powiedziała?

- Jasne. Jest z pani dumna. Dużo o pani mówi.

- Matka? Mówi o mnie?

- Skąd to zdziwienie, panno Schaffer?

- Myślałam, że matka prawie się nie odzywa. Pielęgniarz uśmiecha się, sięgając do drzwi.

- Są dni, kiedy jest bardzo rozmowna.

- Czy policja już ją przesłuchiwała?

- Byli raz.

- Czy jeszcze przyjdą?

- Powiedzieli, że w przyszłym tygodniu, z tłumaczem, ponieważ Tania uraczyła ich niezłą porcją rosyjskiego, ale nie wiem, czy zadadzą sobie trud. Pewnie do nich dotarło, że nie będą z niej mieli wielkiego pożytku.

- Kiedy ostatnio odwiedzał ją ojciec?

- W sobotę.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami, które pielęgniarz najwyraźniej zamierza otworzyć, ale ja mu stoję na drodze.

- Długo był? Widział ich pan razem?

- Nie wiem, jak długo był tu pani ojciec, może z pół godziny. Widziałem go na początku wizyty, kiedy go przyprowadziłem, tak jak panią, i potem na końcu.

- Czy... czy wydawał się... normalny?

Twarz pielęgniarza rozstępuje się, ukazując duże zęby.

- Normalny, panno Schaffer, to słowo, którego staramy się tutaj unikać. - Jego ton jest prowokujący. - Ale... - mówi - Tania była po tamtej wizycie jakby podenerwowana. Nie jakby. Bardzo. Była bardzo zdenerwowana. Nie mogłem tego zrozumieć, bo zwykle, kiedy pani ojciec wychodził, zachowywała się zupełnie spokojnie.

- A mówiła, jaki był powód jej zdenerwowania?

- Nie, nie mówiła. Dużo płakała. Skoro już mnie pani pyta, to powiem, że od czasu tamtej wizyty ogarnęła ją jakaś melancholia. To znaczy była już zdenerwowana, zanim pani siostra przyszła jej powiedzieć o śmierci ojca.

- Jakby przeczuwała, co się stanie.

- Doszedłem do wniosku - mówi pielęgniarz - że umysł ludzki pracuje na wielu poziomach, a my ich wszystkich nie rozumiemy. Kiedy ludzie nie funkcjonują w normalny sposób, uważamy, że są upośledzeni. A przecież oni na innych poziomach mogą działać fantastycznie.

Sięga przeze mnie, żeby otworzyć drzwi. Przelykam nerwowo na widok wnętrza pokoju matki. Wydaje mi się mniejszy, niż go zapamiętałam, ale jeszcze bardziej przypomina luksusowy hotel. Zasłony są ciężkie, klamki ozdobne. Początkowo nie widzę matki, ale pielęgniarz prowadzi mnie do małego tobołeczka, owiniętego w zwiewny błękitny szal, siedzącego na szezlongu. Stara kobieta, którą początkowo myślę z babką.

- Przyszła córka! - mówi jowialnie pielęgniarz.

- Cześć, mamó! - Chcę, żeby moje słowa brzmiały swobodnie, ale nic z tego nie wychodzi.

Słysząc w nich napięcie. Schylam się, żeby ucałować jej twarz, pokrytą cieniutką pergaminową skórą, a potem siadam w odległości paru metrów. Pochylenie ramion, jej kruchość i sterczące kości - wszystko to razem przypomina mi, zabawnie, balon, który długo leżał po jakimś festynie i z którego powoli uchodziło powietrze.

Patrzy przez okno, w najmniejszym nawet stopniu nie zdradzając, że mnie widzi.

- Jak się miewasz? - pytam. Ale ku mojej uldze matka nie odpowiada. Będzie tak, jak powiedziała Jane. Pogadam trochę, posiedzę z nią w milczeniu, a później, po spełnieniu obowiązku, znów będę wolna.

Pielęgniarz w przylegającej do pokoju łazience nalewa do wazonu wodę, żeby w nią wstawić mały bukietek kwiatków, który przyniosłam.

- Jakie piękne! - komentuje zycyliwie, wchodząc z wazonem. - Anemony. Tatiana lubi niebieski kolor. Prawda, Taniu?

Matka nie odpowiada, ale pielęgniarz mówi dalej, jakby tego nie dostrzegał.

- Lubisz, wiem, że lubisz. Ostatnim razem Eryk też przyniósł niebieskie kwiatki,

prawda?

Brak odpowiedzi. Pielęgniarka nie przerywa jednostronnej rozmowy.

- Tak. Wyrzuciłem je dopiero dzisiaj rano. Powiedz, Taniu, czy podać ci okulary? Żebyś mogła zobaczyć swoją córkę i piękne kwiatki?

Ale matka nie okazuje najmniejszego zainteresowania ani córką, ani kwiatami, ani okularami.

- Ona ostatnio kiepsko widzi. - Pielęgniarka wzrusza ramionami, wyciągając w stronę matki okulary. - Chcesz, Taniu?

Matka ignoruje go całkowicie, więc mężczyzna kładzie okulary na stole.

- Może się pani przysunąć bliżej - mówi. - Jej to nie będzie przeszkadzało. Ona pani z tak daleka dobrze nie widzi.

Przyjmuję do wiadomości jego słowa, ale się nie ruszam. Widząc, że podchodzi do drzwi, wpadam w panikę.

- Za jakieś dwadzieścia minut będę z powrotem, ale gdyby pani chciała wyjść wcześniej albo gdyby mnie pani z jakichś względów potrzebowała, to wystarczy nacisnąć ten guzik.

Guzik jest czerwony i dyskretnie ukryty w fałdach zasłony. Słyszę trzask zamykanych drzwi.

Siedzimy w milczeniu. Przyglądam się białej skórze matki. Mimo wrażenia zaawansowanej starości nie ma zmarszczek. Oczy pozostały duże, ale ich błękit zbladł, jakby ulegały stopniowemu rozcieńczeniu, w miarę jak mózg tracił swoją sprawność.

Zaczynam mówić, początkowo niezdarne, z wahaniem, głosem jak gdyby zardzewiałym. Mówię o pogrzebie i o ludziach, których się spodziewamy, o tym, że Sasza z ciotką Ziną mają po nią przyjechać. Próbuję mówić tak, jakby była normalną dorosłą osobą, ale chwilami wyczuwam w swoim głosie fałszywe nuty: wymuszoną wesołość czy protekcjonalny ton. Od czasu do czasu matka wykonuje rękami drobne ruchy, jakby się drapała, to znów mruga; poza tym siedzi spokojnie. Nie wiem, czy mnie słucha, czy cokolwiek rozumie, ale czuję, jak stopniowo jej milczenie uwalnia mnie od skrępowania. Zaczynam mówić o tacie, o tym, jak bardzo mi go brak, aż wreszcie niemal całkowicie zapomina o siedzącej spokojnie naprzeciwko mnie pogrążonej w milczeniu kobiecie.

- Ten ból jest zupełnie inny niż ból po stracie Steviego - mówię. - To dla mnie

kolejny wielki cios, ale ból po nim jest inny.

Nagle matka odwraca się twarzą do mnie. Jest teraz niczym więcej, jak tylko duchem, ale po raz pierwszy od przyjścia widzę w niej ducha pięknej kobiety. Milknę. Matka obserwuje mnie, też w milczeniu, a ja chłonę jej szaleństwo i jej nieszczęście.

Przez ponad minutę wpatrujemy się w siebie. Jak zwykle jest mi bardzo trudno utrzymać jej spojrzenie. W dzieciństwie przeżywałam z tego powodu koszmar; zasłaniałam twarz dłońmi albo stałam na jednej nodze i patrzyłam w ziemię, żeby uniknąć jej wzroku. Teraz, kiedy widzę, że otwiera usta, by coś powiedzieć, serce zaczyna mi mocniej bić. Stopniowo, jak na zwolnionym filmie, jej twarz się wykrzywia. Kulę się w oczekiwaniu przewidywanego scenariusza. Pierwszy raz zobaczyłam jej twarz wykrzywioną w ten sposób na pustyni w Arizonie, na cichym, rozprażonym asfalcie, kiedy, kulejąc, wynurzyłam się z kanionu.

W pokoju robi się gorąco i drobne kropelki potu odbijają się jak gdyby rykoszetem od mojej skóry, ale jestem niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Obserwuję jej twarz, jak się wykrzywia, aż wreszcie dostrzegam ukryte za nią okrutne monstrum i mimo woli zapieram się w krześle plecami, gotowa na atak bestii. Mówi szeptem, jakby strzykała jadem:

- Dlaczego to zrobiłaś?

Mimo strachu słyszę, że mówi z wyraźnym nieamerykańskim akcentem, jak ciotka Zina. Jako dziecko tego nie dostrzegałam, a we wspomnieniach po prostu eliminowałam.

Czeka na odpowiedź, ale ja nie mam żadnej odpowiedzi. Serce wali mi jak młotem, a teraz już całe ciało lśni od potu. Ściskam aż do bólu spiralne elementy poręczy fotela. Matka nie jest już krucha, stara i bezradna, jest jadowitym wężem, a ja małą, przerażoną dziewczynką. Nachyla się do mnie i syczy:

- Dlaczego? Dlaczego tak bardzo go nienawidziłaś?

Mimo woli zrywam się, szarpiąc fałdy zasłony w poszukiwaniu czerwonego guzika. Kiedy go wreszcie znajduję i naciskam, błyska światelko, ale dalej panuje deprymująca cisza. Mam nadzieję, że dzwonek działa. Naciskam go jeszcze raz.

Nie mam odwagi spojrzeć na matkę, a kiedy to wreszcie robię, mrużę oczy, jakbym patrzyła w ostre słońce. Matka mówi coś jeszcze, niezrozumiale, po rosyjsku. Po czym z powrotem odwraca się do okna, a jej twarz przybiera normalny wyraz. Kiedy pojawia się

pielęgniarski, znów jest nieobecna.

- Wszystko w porządku? - pyta mężczyzna, wpatrując się najpierw we mnie, a potem w matkę. Zna ją dostatecznie dobrze, by dostrzec ślady złości.

- Och, Taniu, byłaś niegrzeczna? - mówi usprawiedliwiająco. - Wszystko w porządku, panno Schaffer? Ona naprawdę bardzo na panią czekała, nie wiem, dlaczego zachowuje się agresywnie.

Podchodzi do mnie i delikatnie bierze mnie za gołe ramię.

- Zrobiła pani jakąś krzywdę?

Potrząsam głową, ale mężczyzna ogląda mnie w poszukiwaniu jakichś obrażeń.

- Na pewno pani nie podrapała? Ponownie potrząsam głową. Nie mogę mówić.

- W porządku, Taniu. Twoja córka już musi iść.

Matka ignoruje go, a ja się z nią nie żegnam. Kiedy idziemy w milczeniu korytarzem, mówi:

- Poważniejszej krzywdy nie zrobi, ale czasem próbuje drapać. Muszę jej naprawdę krótko obcinać paznokcie.

Słyszemy ciotki, jak chichoczą, gadając po rosyjsku podniesionymi głosami; cichną, kiedy się zbliżamy. Sasza przygląda mi się badawczo. Nie patrzę na niego.

- Wygląda na to, że udała się paniom wycieczka. - Pielęgniarski uśmiecha się do ciotek.

- Pewnie pan myśli, że się rzadko widują - mówi Sasza. - Może mi pan wierzyć albo nie, ale mieszkają zaledwie parę przecznic jedna od drugiej.

- Ale taka wspólna wyprawa to wielka przyjemność - tłumaczą się ciotki głośno.

- Skoro wiedziałyście, że was ta wyprawa czeka, to dlaczego przegadałyście ostatnio tyle godzin przez telefon?

Długa, chuda postać ciotki Zoi trzepocze się nad Saszą. Ciotka mówi władczym tonem:

- Młody człowieku, czy brałbyś udział w olimpiadzie bez uprzedniego treningu? - Nagle obie jak gdyby składają się w ataku serdecznego śmiechu. Sasza przewraca oczami do mnie i do pielęgniarskiego.

Mężczyźni stają z boku, żeby omówić udział matki w pogrzebie. Próbują ustalić, czy pielęgniarski ma jej towarzyszyć, czy nie, ale Zina i Zoja nie dają się wykluczyć z

rozmowy, nieustannie im przerywają swoimi uwagami i komentarzami i zamieniają cichą wymianę zdań w hałaśliwe przedstawienie. Jak to możliwe, że starsze siostry matki mają w sobie tyle życia, a jej dom, poza smutnym, złośliwym duchem, który od czasu do czasu nawiedza jego pokoje, jest pusty? Na koniec zgadzają się wszyscy, że Sasza poradzi sobie z pomocą ciotek. Matka weźmie udział tylko w pogrzebie i zaraz wróci do Redbush, nie pójdzie do restauracji.

- Dajcie spokój - mówi pielęgniarz i wycofuje się, udając wyczerpanie i unosząc ręce w obronnym geście. - Całe szczęście, że mam pod opieką tylko jedną z sióstr.

Zachwycone ciotki zarykują się ze śmiechu.

Pielęgniarz ma już iść, ale zatrzymuje się jeszcze na chwilę.

- Czy na pewno wszystko w porządku? - pyta mnie cicho.

- Tak, chyba tak...

Patrzy na mnie dziwnie, ale odchodzi.

Kiedy opuszczamy klinikę, ciotki skupiają się koło mnie i są tak aktywne i głośne, że czuję się, jakby mnie otoczył spory tłumek.

- Jak znalazłaś naszą Tanię? Bardzo się zmieniła?

- No cóż... wydała mi się jakby troszkę mniejsza i starsza. - Mój głos brzmi głucho.

- Mimo różnicy w kolorycie jesteś do niej trochę podobna - mówi ciotka Zoja.

- To prawda, to prawda - potwierdza ciotka Zina.

- Nie chcę być podobna do matki - mówię i w tym samym momencie, kiedy przechodzimy przez parking, słyszę znów nierówne klik-klak moich kroków, groźbę tego zakłócenia równowagi, nad którym nie mogę zapanować.

- I Jane też - dodaje jedna z ciotek.

- Bezwzględnie - zgadza się z nią druga. - Jane też ma wielką urodę, co zdarza się rzadko dwóm siostrą w jednej rodzinie.

Kiedy jednak zbliżamy się do samochodu, ciotki stopniowo milkną, a ja staję się celem znaczących spojrzeń całej trójki.

- Lucia... - zaczyna Sasza. - Obawiam się, że twoje spotkanie z ciotką Tanią nie wypadło dobrze.

Odwracam głowę i patrzę na zielen trawników. Próbuję położyć tamę łzom gdzieś u ich źródła, znacznie niżej, niż są oczy, prawie tak nisko, że aż gdzieś w brzuchu.

- Och, moja biedna Lucia - jęczy cicho ciotka Zoja.
 - Moje biedne dziecko - szepcze ciotka Zina. - Jak bardzo musisz cierpieć.
- Po tych przejawach współczucia tamy puszczają.

28

Znajdujemy sobie miejsce w pobliżu parkingu i siadamy w rzędzie całą czwórką, patrząc przed siebie, jakbyśmy byli w kinie. Szlocham ściśnięta między ciotkami.

- Krzyczała? - pytają.
- Drapała?
- Ona mnie chyba naprawdę nienawidzi - mówię w końcu.
- Nie, nie, ona cię ubóstwia.

- Zawsze cię ubóstwiała - zapewnia ciotka Zoja. - Chciałam ci przypomnieć, że kiedy byłaś dzieckiem, prawie się z tobą nie rozstawała, nawet kiedy już chodziłaś do szkoły. A ty byłaś najbardziej oddaną z córek.

- Dlatego też - dodaje ciotka Zina - ta zmiana, jaka w niej zaszła, była taka trudna dla wszystkich zainteresowanych. Łącznie z samą Tanią, która wiele przecierpiała.

- Pamiętaj. - To znowu ciotka Zoja. - Choroba twojej matki jest wynikiem okoliczności, a nie czymś, co można przekazać na przykład córce, rozumiesz.

- Matka choruje na schizofrenię - podkreślam - a ta choroba ma silne uwarunkowania genetyczne.

- Lekarze mogą sobie gadać, co chcą, a moim zdaniem choroba Tani jest spowodowana okolicznościami - upiera się ciotka Zina.

Nagle staje się dla mnie oczywiste, że zaistniały jakieś okoliczności. Przez całe życie słuchałam najróżniejszych aluzji do tego, co wydarzyło się jeszcze w Rosji, do jakichś okoliczności, których szczegółów nikt nie chciał zdradzić, a po mnie oczekiwano jedynie, żebym się domyśliła ich emocjonalnej wagi.

- O jakie okoliczności chodzi? - pytam.

Siedzący na końcu ławki Sasza zmienia pozycję nóg. Już widział ten film i wie, że jest długi.

- W Moskwie byliśmy szczęśliwą rodziną - zaczyna ciotka Zoja. - Tata miał dobrą pozycję, duże mieszkanie i dużą rodzinę. Jednym słowem, same przywileje. Ale nawet

jako dzieci nie mogliśmy nie widzieć tego, co się wokół nas działo. A Tania miała nieszczęście zobaczyć to na własne oczy. I wystarczyło. Potem już nigdy nie była sobą.

- Co takiego zobaczyła?

Ciotki wymieniają spojrzenia. Zoja milczy, a kiedy Zina zaczyna mówić, odwraca głowę.

- Jej najlepszą przyjaciółką na daczcy była Rita, dziewczynka mniej więcej w tym samym wieku i z podobnego domu jak nasz. Nasi ojcowie się przyjaźnili. Pewnego dnia dziewczynki bawiły się w sadzie czy w lesie, już nie pamiętam, w każdym razie wiem, że weszły na drzewo i zaraz potem usłyszały nadchodzących mężczyzn, których obserwowały z ukrycia. To, co zobaczyły, nie było niczym niezwykłym, ale zrobiłyby lepiej, gdyby zamknęły oczy.

Ciotka Zoja nachyla się i Zwiesza głowę, a ja za jej plecami patrzę na Saszę. Sasza odwzajemnia spojrzenie, ale jest ono pozbawione wyrazu.

- Ale co zobaczyły, ciociu Zino?

- Zobaczyły, jak ojciec Rity został zakałowany na śmierć.

Z trudem łapię powietrze; szokuje mnie nie tyle sama informacja, co beznamiętny sposób jej podania.

- Ale... dlaczego?

- A skąd ja mogę wiedzieć? Nie mam pojęcia, co NKWD chciało od ojca Rity. To są te same prawa, które rządzą stadem wilków. Tak wyglądało życie pod rządami Stalina. Dziś jesteś na szczycie, a jutro ktoś sobie upatrzy twoje mieszkanie, więc pod pierwszym lepszym sfabrykowanym pretekstem denuncjuje cię do NKWD, a to oznacza wyrok śmierci. Takie sytuacje zdarzały się bardzo często i nie były niczym nadzwyczajnym. Tania miała nieszczęście widzieć na własne oczy wykonanie takiego wyroku.

- A kim byli ci mężczyźni? Ciotka Zina spogląda na siostrę.

- Nie wiem, bandziorami.

- Niestety - dodaje ciotka Zoja - dowodził nimi nasz tata.

- To dziadek zabił ojca Rity?

- Oczywiście w sensie dosłownym nie splamił sobie rąk jego krwią.

- Dziadek zabił swojego przyjaciela!

Na widok mojego oburzenia Sasza unosi brwi.

- Nie byłaś tam, nie żyłaś w tamtych czasach, więc nie masz prawa go osądzać - mówi.

Matka powiedziała: „Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego go zabiłeś?”. Może te słowa to były reminiscencje z dzieciństwa?

- Nawet jeśli - dodaje ciotka Zoja - ojciec Rity sam dokonał wielu takich egzekucji... W każdym razie dla naszego ojca to była ostatnia kropla, która przepełniła kielich goryczy, i po tym najprawdopodobniej podjął decyzję o wyjeździe.

- Zapłacili za to zresztą straszną cenę - mówi ciotka Zina. - Podczas ucieczki stracili małego synka.

Kiwam głową.

- Śmierć dziecka w pociągu. Matka opowiadała nam tę historię z detalami, ale prawie wszystko zdążyłam już zapomnieć.

Sasza przewraca oczami.

- Boże, Lucy, gdybyś z nami żyła, nigdy nie dalibyśmy ci zapomnieć.

Ciotka Zina ignoruje go.

- To było straszne. Mały umarł u mamy na rękach. Strażnik kolejowy wziął go od niej, a ją do końca życia prześladowała myśl, że ciało jej dziecka zostało po prostu wyrzucone z pociągu.

- I prawdopodobnie się nie myliła - wtrąca ciotka Zoja.

Ponownie patrzę na Saszę, który, bez mrugnięcia, spogląda mi w oczy.

- Czy jechaliście pociągiem z samej Moskwy? - pytam.

- Tak. - Ciotka Zina kiwa głową. - To była bez wątpienia bardzo śmiała ucieczka.

Tata został wysłany na Łotwę jako szef delegacji i miał wsiąść do pociągu jadącego do Rygi, ale jakoś wsiedliśmy do innego pociągu.

- I dokąd przyjechaliście?

- To było... skomplikowane. Skomplikowana i niebezpieczna podróż. - Ciotki patrzają na siebie nawzajem.

- Ale skąd wypłynęliście?

Następuje krótka wymiana zdań po rosyjsku.

- Być może z Rotterdamu - mówi w końcu ciotka Zoja. - Ale nie jesteśmy pewne.

Wstaje powoli, sztywno.

- Dość tego! - Sasza zrywa się z ławki. - Lucia dość się dzisiaj nacierpiała nawet i bez tej podróży w przeszłość rodziny Andrejewów.

Ciotka Zoja jest wyraźnie dotknięta.

- Mówimy ci o tym wszystkim, drogie dziecko, nie po to, żeby cię unieszczęśliwić czy przerazić, tylko po to, żebyś lepiej zrozumiała cierpienie swojej matki. I przyczyny jej choroby. I spróbowała jej przebaczyć.

- Pamiętaj - dodaje ciotka Zina - że Tania też straciła syna, a tej rozpacz nikt nie zrozumie lepiej niż ty.

Pochylam się lekko, żeby lepiej widzieć ich twarze.

- Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że wszystkie trzy straciłyśmy maleńkich synków: babka, matka i ja?

Patrzą na mnie, jakby czekały, aż powiem coś więcej. Kiedy się nie odzywam, zabiera głos ciotka Zina:

- Oczywiście - mówi łagodnie. - Oczywiście, Lucia. Nie wiedziałaś o tym wcześniej?

Z kliniki Redbush jedziemy na północ. W domu ciotki Oli, odległym o jakieś dwadzieścia minut drogi, czeka nas barbecue. Mają tam być również ciotka Katia z mężem i różni kuzyni.

- Czy masz ochotę na takie spotkanie, Lucia, czy nie jesteś w nastroju i wolisz po prostu wracać do domu?

Naturalnie, wolałabym wracać do domu, ale wiem, że taka odpowiedź by ich rozczarowała, więc nalegam, żebyśmy jechali do ciotki Oli. Jedziemy w milczeniu. Mimo woli przyglądam się wszystkim mijanym po drodze ciężarówkom, a raz, na widok platformy holowniczej, którą widzę po przeciwnej stronie autostrady, dosłownie podskakuję na siedzeniu. Sasza patrzy na mnie zaniepokojony. Ale jest to jakaś inna platforma, a ja zdaję sobie sprawę, że cisza w naszym samochodzie nie jest kompletna, że z tyłu dochodzi nas szept, jak nieustanny szum fal, i że ten szept to cicha, prowadzona po rosyjsku rozmowa moich ciotek.

Po upływie jakichś dziesięciu minut zaczynamy jechać coraz wolniej, aż wreszcie w ogóle przestajemy się posuwać.

- Co to, roboty drogowe? - pyta ciotka Zina.

- Może wypadek? - wtóruje jej ciotka Zoja. Poruszamy się w ślimaczym tempie, a głowy ciotek, spekulujących cały czas co do przyczyn korka, obracają się to w tę, to w tamtą stronę.

W końcu widzimy przed sobą migające światła. Mija nas na syrenie policyjny radiowóz.

- To straszne, okropne! - wykrzykują ciotki.

Kiedy docieramy do przyczyny korka, okazuje się, że doszło do zderzenia samochodu osobowego z ciężarówką. Oba pojazdy zjechały z drogi w ostatnim wysiłku uniknięcia kolizji. Ciotki Zina i Zoja podejmują przerwana rozmowę w języku rosyjskim, języku tragedii.

- Nie było żadnego powodu, żeby powstał taki korek - mówi Sasza, kiedy wreszcie przyspieszamy, zostawiając za sobą miejsce wypadku. - Przecież rozbite samochody, policja i karetki pogotowia - wszystko to jest na poboczu, poza asfaltem, autostrada nie została zablokowana.

- Tak, ale każdy zwalnia, żeby popatrzeć - zauważa ciotka Zoja. - Człowiek nie chce, ale takie koszmarnie widoki same przyciągają wzrok.

- Patrzymy i myślimy zawsze, że ten rozbity samochód mógłby być nasz - wyjaśnia ciotka Zina. - To nam przypomina o naszej kruchości.

- I śmiertelności - zgadza się z nią ciotka Zoja.

- Od razu - dodaje ciotka Zina - ruch robi się płynniejszy, a kierowcy jadą wolniej i są bardziej skoncentrowani. Przynajmniej na chwilę każdy z nich uświadomił sobie własną śmiertelność i konsekwencje takiej katastrofy dla swoich bliskich.

Joe Zaccaro powiedział: Ignorowanie śmierci i przekonanie, że akurat nas ona nie dotyczy, to cecha nowoczesnych społeczeństw zindustrializowanych. Ale kiedy człowiek pamięta, że pewnego dnia umrze, to żyje zupełnie inaczej. Niekoniecznie łatwiej, ale często lepiej. A na pewno inaczej.

Zwracam się do Saszy, ale nim coś mówię, ciotka Zina wrzeszczy:

- Tu skręcaj, Saszeńka, tutaj!

Rodzina wita mnie ciepło kondolencjami. Po przyjeździe do Ameryki Andrejewowie chcieli mieć syna, jakby w ten prosty sposób można było zastąpić chłopca, który zmarł w pociągu, innym chłopcem. Tymczasem, zamiast syna, urodziła im się Katia,

a potem jeszcze Ola. Katia wyszła za mąż za Rosjanina z drugiego pokolenia emigrantów, spoza ścisłej społeczności rosyjskiej w mieście. Ola, jak mama, wyszła za Amerykanina. Obie ubierają się i mówią po amerykańsku. Można je śmiało wziąć za córki ich starszych siostr. Dopiero kiedy przechodzą na rosyjski, widać zmianę: mięśnie twarzy, krok, a nawet włosy stanowią już wyraźne świadectwo innego języka i innej kultury. Myślę o matce i jej miejscu w tej rodzinie. Środkowa siostra, rozdarta między dwoma światami: odrzuciła stary, a nigdy nie została w pełni przyjęta przez nowy.

Na wiadomość o tym, że na lunch są hot-dogi, ciotki Zina i Zoja wymieniają pełne niesmaku spojrzenia, mimo to jedzą, początkowo z rezerwą, a potem łapczywie.

- Czy dobrze je zrobiłam? - Młoda kuzyneczka, zaledwie nastolatka, którą znam tylko z imienia, domaga się pochwały.

- Sama je zrobiłaś? - pyta ciotka Zina.

- Tak, na barbecue.

- Niemożliwe! - wykrzykuje ciotka Zoja. - Sama zmełłaś mięso, dodałaś cebulę i przyprawę?

Dziewczyna wzrusza ramionami, nie rozumiejąc, czego od niej chcą. Błądzi wzrokiem po elegancko utrzymanym otoczeniu domu, z koszem do piłki na garażu i spasionymi, zadowolonymi z życia psami, węszącymi przy barbecue. Ciotkom, mówiącym z silnym obcym akcentem, odpowiada po prostu:

- Dziś rano kupiliśmy je w supermarkecie.

- Wobec tego naszym zdaniem... - zaczyna ciotka Zina.

- ...nic tu sama nie zrobiłaś, po prostu je podgrzałaś - kończy ciotka Zoja.

Przechodząca akurat koło nich ciotka Katia czułym gestem obejmuje siostrzenicę.

- Pamiętaj - zwraca się do niej - że twoje starsze ciotki to relikty innego świata.

Świata, który już nie istnieje. Traktuj je z szacunkiem należnym eksponatom muzealnym. Takim jak na przykład...

- Kość dinozaura - podsuwa Sasza. - A zresztą, po co się ograniczać do kości?

Wyobraź je sobie jako dwa żywe, oddychające dinozaury.

Sasza zostaje przywołany do porządku przez matkę w języku rosyjskim.

Siostrzenica przysłuchuje im się przez chwilę ciekawie, po czym odwraca się i odchodzi.

- Obawiam się - mówi do mnie Sasza, kiedy gospodarze wyjmują desery z

zamrażarki - że dla takiej młodej Amerykanki i ja muszę być przeżytkiem jakiejś innej kultury. Ironia mojej sytuacji polega na tym, że kiedy jadę do Moskwy, jestem traktowany przez moich rosyjskich przyjaciół dokładnie w ten sam sposób.

Myślę o tym, jak w dniu mojego przyjazdu Jane uraziła Saszę, przypominając mu o jego narodowości, kiedy nie chciał się poddać procedurze pobierania odcisków palców.

- Och, ale ty mówisz po rosyjsku i zachowujesz się po rosyjsku - wyjaśniam skwapliwie.

Sasza przewraca niebieskimi oczami.

- Wiem tak wiele o sowieckim życiu naszych rówieśników, że mam takie uczucie, jakbym tam był. W snach odwiedzam obóz pionierski, gdzie noszę czerwoną chustę i rozpalam w lesie ognisko, z entuzjazmem śpiewając sowieckie piosenki. Te sny są tak realistyczne, że niemal czuję w palcach chłód metalowej pryczy. Kiedy się budzę, nie mogę uwierzyć, że to wycieczka w cudze dzieciństwo, nie w moje.

Milczę; zaczynam rozpamiętywać własne pogmatwane wspomnienia, myślę o tym, jak jeszcze kilka dni temu sądziłam, że za moją sprawą spełniają się sny na jawie Lindy Zaccaro.

- W gruncie rzeczy, kiedy nasi rówieśnicy skandowali różne slogany w swoich czerwonych chustach, ja grałem w parku w koszykówkę i przez krótki czas nierozsądnie fascynowałem się muzyką soulową. Ale tylko podczas wizyt w Moskwie uświadamiam sobie tak na dobre, że mnie tam nie było. Że tego wszystkiego nie doświadczyłem, że pojechałem tam dopiero po upadku żelaznej kurtyny. I chociaż moi rosyjscy przyjaciele mnie kochają, to jednak Sasza za mało wycierpiał, by rzeczywiście być jednym z nich. Dla mnie fakt, że jestem Rosjaninem, stanowi najistotniejszy element mojej tożsamości. Dla nich na zawsze pozostanę burżujem, Amerykaninem, kimś uprzywilejowanym, obcym.

Następnego dnia jest jeszcze goręcej. Kiedy otwieram drzwi frontowe domu taty, czuję, jak upał przepycha się koło mnie niby rozwścieczony tłum. Wysoka temperatura zintensyfikowała charakterystyczny zapach domu - mieszaninę drewna i oleju. Wypijam dwie szklanki zimnej wody i wyruszam do Hollerów. Nasza działka liczyła kiedyś cztery akry powierzchni, ale dwa ojciec sprzedał Hollerom. Pamiętam, jak się bawiłam koło fundamentów ich domu, a potem obserwowałam, jak z każdym dniem rosną mury. Wreszcie przyjechała rodzina. Tata i pan Holler żyli po sąsiedzku, ale jeszcze wtedy się nie przyjaźnili. Przyjaźń musiała się zacząć znacznie później, kiedy ich żon zabrakło, a te dzieci, które przeżyły, były już dorosłe.

Jak wiele budynków w okolicy, dom Hollerów opiera się o zbocze wzgórza, dlatego wjeżdżając na teren, ma się wrażenie, że jest jednopiętrowy, natomiast od strony doliny widać, że dwupiętrowy. W czasach mojego dzieciństwa wydawał się czysty i nowoczesny. Ganek nie był wtedy stary i obdrapany, a widne pokoje lśniły bielą.

Naciskam dzwonek i po dłuższym czekaniu słyszę przez głośnik pytanie Adama Hollera:

- Kto tam?

- Lucy Schaffer.

- Lucy. - Jest to stwierdzenie. Bez zdziwienia. - Kończę ćwiczyć, chwilę potrwa, zanim dojdę do drzwi.

- W porządku.

Próbuję sobie przypomnieć pana Hollera, ale nie przychodzi mi na myśl nic konkretnego, poza tym, że w sensie fizycznym jest sztywny i że się bardzo poprawnie wyraża. Wiem o nim niewiele; w zasadzie tylko tyle, że jest to człowiek, który musi żyć ze świadomością jednego z najpotworniejszych błędów, jakie zdarzyło mu się popełnić, i z nieustannym poczuciem winy, z którym nawet jego żona nie mogła sobie poradzić, bo to przecież nie kto inny jak właśnie on zainstalował na basenie światła dokładnie wtedy, kiedy Jim Bob skoczył do wody i zginął.

Zasuwy odskakują, klucze obracają się w zamkach i zza ciemnych okularów patrzy na mnie pan Holler. Trzeci mężczyzna, który pamięta o śmierci.

- Jak się masz, Lucy - mówi.

Natychmiast przypomina mi się jego biała skóra. Zazwyczaj nosił ciemne okulary, kapelusz, długie rękawy, długie spodnie, skarpetki i buty, ale wszelkie widoczne skrawki jego ciała łyskały nadnaturalną bielą.

Wyciąga do mnie wysuszoną rękę. Potrząsanie nią przypomina zgniatanie starego pergaminu.

- Chciałbym ci wyrazić najgłębsze współczucie z powodu śmierci ojca. Był człowiekiem kochanym przez wielu. Mieszka tu w okolicy sporo osób, które doświadczyły od niego różnych drobnych uprzejmości. Co do mnie, to mogę tylko powiedzieć, że będzie mi go bardzo brakowało. Miał w sobie nieprzeciętną energię i oryginalność myśli.

Teraz właśnie przypomina mi się oficjalny sposób wyrażania się pana Hollera. Kryje się za nim pewna niezręczność czy może nieśmiałość, o której wiedziałam zawsze, jeszcze jako dziecko, a którą poznawałam po jego sztywnych ruchach.

- Joe pewnie panu powiedział, że pogrzeb będzie we wtorek - zaczynam.

Kiwa głową i gestem zaprasza mnie do środka. Zamyka za nami drzwi na zamki.

- Jestem bardzo powolny - usprawiedliwia się, prowadząc mnie korytarzem. - To przez artretyzm, najgorzej czuję go w plecach. A teraz to już właściwie wszędzie. Cierpię na to od lat.

Artretyzm. To dlatego Hollerowie zbudowali basen na długo przed tym, nim się komukolwiek z sąsiadów przyśniło, żeby się wkuć w strome skalne zbocze dla prostokąta kosztownej szmaragdowej wody. Bo pływanie zalecił panu Hollerowi lekarz - właśnie na artretyzm.

Idąc za nim korytarzem, czuję się dziwnie duża, za duża na ten dom, jakbym tak bardzo urosła, że grozi mi rozbicie głowy o sufit, a łokci o drzwi.

- Wczoraj włączyłem klimatyzację - oznajmia pan Holler. Klimatyzacja była jednym z tych urządzeń, które sprawiały, że dom Hollerów uchodził za nowoczesny. Zawsze panował w nim chłód. - Normalnie w marcu tego nie robię, ale w tym roku wiosna jest wyjątkowa, a zapowiadają, że będzie jeszcze cieplej. Siadaj.

Rozglądam się dokoła. Jim Bob był o dwa lata starszy ode mnie, a jego brat o dwa lata starszy od Jane. Jane i Ed nie przyjaźnili się specjalnie, ale pamiętam takie wakacje -

miałam wtedy z dziewięć lat - kiedy przez cały czas bawiłam się z Jimem Bobem. Basen Hollerów był wtedy świeżo zbudowany i codziennie w nim szaleliśmy. A potem zaczął się nowy semestr i Jim Bob nagle zrobił się jakby o wiele starszy ode mnie i właściwie straciliśmy ze sobą kontakt.

Salon się nie zmienił. W dalszym ciągu jest w nim szklana ściana, z widokiem na dolinę, i skomplikowany system żaluzji, pozwalający w każdej chwili zasłonić ten widok czy dowolną jego część, gdyby ktoś uznał, że ma go za dużo. Jim Bob i ja byliśmy zafascynowani tym systemem żaluzji. Popsuliśmy go nawet w kilku miejscach, nie przyznając się do tego, i chyba nikt się nie zorientował. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek został naprawiony.

- Siadaj - poleca mi Adam Holler po raz drugi. Ale mnie ciągnie do okna. Piętro niżej jest taras. A za tarasem stopnie, które prowadzą w dół do szklistego oka, wbudowanego w zbocze wzgórza. Wpatruję się w błękitną tęczę basenu.

- Jak sobie radzisz, Lucy? - pyta, ale jego głos jest twardy. Przypomina mi się lato, które spędziłam na zabawach z Jimem Bobem. Był mały jak na swój wiek, bardzo opalony, a blond włosy miał ostrzyżone na jeża. Uczył się nurkować. Ja po prostu lubiłam skakać do wody i ją rozpryskiwać, chociaż pani Holler, która nas pilnowała, zawsze wtedy podnosiła wrzask. Ale właśnie tego lata Jim Bob zaczął nurkować. Początkowo skakał płasko, na brzuch, a potem z coraz większą gracją i pewnością siebie.

„Patrz, Lucy, patrz, już umiem”.

Podbiegał do basenu, zatrzymywał się, ale dosłownie na mgnienie oka, a potem wybijał się i leciał w nicość idealnym łukiem. Słychać było trzask, jakby ktoś tłukł szybę, kiedy jego ciało przecinało wodę, sprężyste i szybkie jak cienki, brązowy nóż.

Kiedy ma się dziewięć lat, można kochać i ja kochałam wtedy Jima Boba, kochałam go, kiedy jego głowa, mokra i ociekająca wodą, wyłaniała się na powierzchnię, a on patrzył na mnie mokrymi jasnymi oczami, domagając się pochwały.

Tańczyłam na brzegu basenu, klaszcząc w ręce.

„Fantasmagorycznie, Jim Bob!”.

Tak wtedy mówiliśmy, Jim Bob i ja, ponieważ naśladowaliśmy dzieci z jakiegoś programu telewizyjnego. Fantasmagorycznie. Czy właśnie w ten sposób kilka lat później Jim Bob oddał swój śmiertelny skok? Fantasmagorycznie? Z gracją i wprawą, które

wydawały się niemal liryczne? Mam nadzieję, że był to dobry skok, najlepszy skok Jima Boba.

- Dlaczego nie siadasz? - pyta cicho Adam Holler, a ja słyszę w jego głosie coś w rodzaju strachu. Wie, że wspominam Jima Boba. Że wspominam jego wielki błąd.

- Nie byłam tu od czasów dzieciństwa - mówię.

- Nieraz cała wasza rodzina tu przychodziła. Czasem zwała się połowa sąsiedztwa, a Bunny robiła hamburgery.

- Cała rodzina? - Ja pamiętam tylko, jak tamtego długiego, upalnego lata dzień w dzień pływalimy z Jimem Bobem, aż nawet Jane zaczęła się dąsać na moje długie nieobecności w domu.

- Jasne. Wy, wszyscy Schafferowie, Zaccarrowie, Dimotowie...

Próbuję sobie przypomnieć Schafferów, całą naszą czwórkę, na pikniku przy basenie.

Na samą myśl o tym czuję się zawstydzona. Matka na pewno musiała się dziwnie zachowywać. Nawet kiedy w klinice powiedzieli, że czuje się na tyle dobrze, że może być w domu, to i tak zawsze źle znosiła wszelkie towarzyskie okazje. Albo za bardzo się starała i zbyt wiele śmiała, albo siedziała w ponurym milczeniu, sztywna i nieprzystępna.

- Nie pamiętasz? Nie pamiętasz, jak się kiedyś o mały włos nie utopiłaś w naszym basenie, ucząc się pływać z rurką?

- Pamiętam, ale... ale myślałam, że to było na publicznym basenie.

- To było tutaj. Pływałaś w głębokim końcu basenu i wpadłaś w jakieś tarapaty. Nie pamiętam, co się stało. Może nabrałaś wody do maski. A może chciałaś płynąć za innymi dziećmi, które nurkowały głęboko, i nalało ci się wody przez rurkę. Nie wiem. Nikt nic nie zauważył, nawet inne dzieci w basenie, bo ty nie walczyłaś, po prostu spuściłaś głowę i bezwładnie szłaś na dno. Nawet nie próbowałaś się ratować. Tylko twoja matka zauważyła, że coś jest nie w porządku, i wskoczyła, tak jak stała, w ubraniu, do wody i cię uratowała.

Wpatruję się w jego czarne chrapaszczcze oczy.

- Pamiętam, że się o mały włos nie utopiłam, i pamiętam, że zostałam uratowana, ale to Jane...

- Nie, uratowała cię Tania.

- Ale mama nigdy nie pływała. Nie umiała.

- Skoczyła do wody i wyciągnęła cię. Położyła cię na brzegu basenu i dopiero wtedy włączyła się Jane. Prawdopodobnie jeszcze kilka osób, ale przede wszystkim Jane. Przewróciła cię na bok, jakby zwijała dywan w rulon, a potem znów na plecy i tak długo cię pompowała, aż wyrzuciłaś z siebie całą wodę. Była spokojna i fachowa. Nie wiem, ile mogła mieć wtedy lat, może ze dwanaście, ale pamiętam, że Bunny powiedziała do waszego ojca: „Zobaczysz, Jane będzie lekarzem. Tylko poczekajcie”.

- Ale mama nigdy nie wchodziła do wody, przenigdy, ponieważ nie umiała pływać...

Adam Holler podnosi głos:

- Lucy, ja to widziałem na własne oczy.

Oczy Adama Hollera. Przypominam sobie, jak się cofałam przed ich bezbarwnością, kiedy zdejmował do pływania ciemne okulary. Mam wrażenie, że te oczy nie są wiarygodnymi świadkami.

- Lucy... - Zastanawia się, po co tu przyszłam. - Czy... mogę coś dla ciebie zrobić? Czy... potrzebujesz tam... mojej pomocy?

Mówię wolno:

- Przypuszczam, że policja z panem rozmawiała...

- Tak. Kobieta. Mniej więcej w twoim wieku.

- Czy pytała pana, kiedy pan ostatni raz widział tatę?

- Oczywiście.

- I co pan jej powiedział?

- Że w niedzielę wieczorem. U Joego.

- Panie Holler, co pan robił w niedzielę wieczorem?

Adam Holler gestykuje, a jego gesty są zbyt szerokie i za swobodne jak na człowieka, który zwykle tak bardzo kontroluje swoje ruchy.

- To znaczy... - mówi niezręcznie. Szuka tego luźnego beznamiętnego stylu bycia, który czasem prezentował tata, a który Joe Zaccaro doprowadził do perfekcji. Ale Adam Holler nie potrafi stroić się w cudze piórka. Słowa mu się jeżą. - To znaczy... - zaczyna od nowa. - A co mogą robić tacy starzy faceci jak my?

Patrzę na jego sylwetkę, kwadratową jak pudło, ponieważ ramiona Adama Hollera

od lat są napięte. W jego własnym dobrze oświetlonym domu nie wydaje się taki blady. Za sobą ma białe ściany, od przodu wlewa się oknami słońce.

- Pamiętacie o śmierci, tak? To jest to, co wy, starzy faceci, robicie? - mówię.

Nagle targa nim gwałtowny skurcz - drobny niekontrolowany ruch. Ale już po chwili odzyskuje panowanie nad swoim ciałem, przybierając zwykłą sztywną postawę. Patrzy na mnie w milczeniu. Usta ma zacięte, jak ja, kiedy Rougemont postawił mnie wobec faktu znalezienia moich butów.

W dalszym ciągu stoję przy oknie. Słońce zalewa pokój swoim blaskiem. Może pan Holler widzi tylko moją sylwetkę, może wydaję mu się tylko cieniem, tak jak Rougemont mnie.

- W niedzielę wieczorem pan, Joe Zacarro i tata pojechaliście do nadbrzeżnej autostrady starą platformą holowniczą - mówię. - Przy drodze porzuciliście wrak samochodu, żeby nazajutrz rano przypominał kierowcom, jak cenne jest ich życie. Dla nich samych i dla innych. Człowiek patrzy na taki wrak i od razu wyobraża sobie swoje dzieci jako sieroty bez ojca. Żona widzi w mężu wdowca. Młodzi ludzie w rodzicach nieszczęśników oplakujących dzieci. Wszyscy myślą o niepozałatwianych sprawach, o tym, jakby to było, gdyby tak nagle ich życie zostało przerwane, zanim zdążyli zrobić to, co zaplanowali, zanim osiągnęli to, co sobie zamierzeli, zanim powiedzieli to, co chcieli powiedzieć. I wtedy na chwilę, choćby na krótko, zwalniają, jadą ostrożnie, żyją troszeczkę inaczej. A to wszystko dzięki panu, Joemu i tacie.

Adam Holler milczy.

- Założę się, że robicie to często, że porzucacie takie wraki w całej okolicy. I ja was z tego powodu nie krytykuję. Przeciwnie, podziwiam was, że przypominacie tak wielu ludziom, by zrewidowali swoją hierarchię wartości. Uważam, że mimo śmierci taty pan i Joe dalej powinniście to robić. Nie mam zamiaru zawiadamić policji ani wam w tym przeszkadzać. Chcę tylko jednego.

Holler patrzy na mnie. Jego okulary są tak ciemne, że widzę w nich odbicie okna, a za oknem doliny. Małeńkie kropeczki dalekich drzew, kąty proste dróg, rudobrazową żyzną ziemię. Wszystko to znajduje się między oczami moimi a oczami pana Hollera.

- Chcę, żeby mi pan powiedział, kim jest tamten facet - mówię. - Mam na myśli właściciela platformy holowniczej. Muszę z nim porozmawiać.

Zanim ma czas pomyśleć, odpowiedź dosłownie z niego wyskakuje.

- Nie, Lucy, nie.

- Ale ktoś musi z nim porozmawiać. Jeśli nie ja, to policja. A wydaje mi się, że nikt z nas nie ma na to ochoty.

Holler zmienia pozycję nóg. Prostuje się. Chwyta kurczowo poręczę fotela.

- Lucy, chcę ci coś poradzić. Trzymaj się od tej sprawy z daleka. To ciebie nie dotyczy. Gdyby twój ojciec chciał, żebyś wiedziała, toby ci sam powiedział. Po prostu... - Macha ręką. - Po prostu załatw, co masz do załatwienia, sprzedaj dom, weź pieniądze i wracaj na wschód. Nic więcej nie potrzebujesz robić. To wszystko, czego Eryk od ciebie oczekiwał.

Czuję przyspieszone bicie serca. Złość uderza mi do krwi, jakbym dostała zastrzyk.

- Panie Holler, tata nie umarł tak, jak powinien był umrzeć: w spokoju, w otoczeniu rodziny, zgromadzonej przy jego łóżku. Chciałabym wiedzieć dlaczego. I nie zamierzam wracać na wschód tylko dlatego, że pan mi mówi, bym się niczym więcej nie interesowała. Mam poważne powody, by kojarzyć kierowcę platformy holowniczej ze śmiercią taty. A pan może mi pomóc go odnaleźć.

Podniosłam głos. Podniosłam głos na tego starego, bladego, połamanego artretyzmem człowieka. Ciekawe, co by pomyślał ktoś, kto przyglądałby nam się przez okno? Jakie by wyciągnął z tego wnioski? Odwracam się znów w stronę doliny, ale nie tej odbitej w okularach przeciwsłonecznych Adama Hollera, tylko tej prawdziwej, gdzie kolory są jaskrawsze, a kontury ostrzejsze. Mój wzrok podąża starą znajomą trasą, jak pies, który sam potrafi wrócić do domu. Obok miejsca wypadku samochodowego z Robertem Josephem, obok farmy, do której zawędrowaliśmy z Lindy.

- Nie - mówi. Wpatruję się w niego.

- Nie udziele ci żadnych informacji, które nie były dla ciebie przeznaczone przez ojca.

- Tata nie wiedział, że ktoś chce go zabić.

- Nie zamierzam zdradzać informacji poufnych. Pod żadnym pozorem. Jeżeli chcesz dalej wyjaśniać tę sprawę, to rób to z pomocą policji, a nie moją. Taka jest moja decyzja i Joe Zacarro mnie w tym poprze.

Czuję przyspieszone bicie serca, skurcz zakończeń nerwowych.

- Niech pan mnie posłucha, panie Holler... Holler podnosi białą rękę, żeby mnie uciszyć.

- Nie chcę więcej na ten temat rozmawiać, Lucy.

Opierając się na lasce, wyprowadza mnie w milczeniu. Jest człowiekiem, który do perfekcji opanował metodę pokrywania upokorzeń milczącą godnością. Popołniając błąd, zabił syna. Koszmarny strzał do własnej bramki. Drobną pomyłką, źle obliczona grubość przewodu elektrycznego, a konsekwencje gigantyczne. Otwiera drzwi. Żałuję, że nie wspomniał o Jimie Bobie. Chude, smagłe ciało Jima Boba, z jasną, ostrzyżoną na jeża czupryną zdaje się leżeć między nami.

- Do widzenia, Lucy. - Jego głos jest płaski jak dno doliny. - Sprawy wyglądają tak, jak sobie życzył twój ojciec. Mam nadzieję, że zanim podejmiesz dalsze kroki, dobrze się zastanowisz nad jego wolą.

30

W taką pogodę jak ta nikt by się nie wybrał w dolinę bez klimatyzacji w samochodzie. Byłoby to szaleństwo. Wszystkie linie normalnie proste tam okazują się niewyraźne, rozmazane z upałem. Upał unosi się z asfaltu, jak duch, sprawiając, że brzeg drogi wydaje się krzywy, a zniekształcone rzędy drzew przypominają zataczający się pijany chór.

Do skrzyżowania jest bardzo daleko. Patrząc z pomostu, ma się wrażenie, że samochody, maleńkie jak owady, potrzebują kilku minut, by tam dotrzeć z głębi doliny. Teraz, kiedy sama jestem na dole, mam uczucie, że jadę po niekończącym się dnie oceanu.

Wreszcie dojeżdżam do skrzyżowania, ale z samochodu nie wyróżnia się ono niczym szczególnym. Skręcam na południe. Kiedy docieram do Sunnyfruit Orchards, usiłuję dokładnie zlokalizować miejsce, w którym Robert Joseph rozbił samochód swojego ojca. Pomiedzy rzędami drzew owocowych wybieram jedno miejsce, potem drugie i trzecie. Wreszcie przyznaję sama przed sobą, że nie wiem dokładnie, gdzie to się stało.

Mam nadzieję, że dom Josephów wygląda tak jak dawniej. W mojej pamięci pozostał jako plama zielonego światła i zielonego cienia. Spięta, kurczowo trzymam

kierownicę, kiedy przejeżdżam przez akwedukt i skręcam w podjazd. Natychmiast znajduję się wśród nowych kształtów i kolorów i znów doznaję przyjemnego uczucia, jak zwykle, kiedy zostawiam za sobą spieczoną słońcem brązową ziemię i równe rzędy upraw i przybywam do tej innej krainy. Tu byłam szczęśliwa. Na widok wielkiej zielonej płaszczyzny trawnika moje serce unosi się w górę, zawsze się tak unosiło. Uśmiecham się na widok bogactwa kwiatów i krzewów, bo zawsze się uśmiechałam. Wzory, w jakie układają się cienie pod wielkimi drzewami, cieszą oczy, bo zawsze je cieszyły. Szukam wzrokiem hamaka, w którym spędziliśmy z Robertem tamto lato, ale widzę, że jednego z drzew, na których wisiał, już nie ma; nie ma także hamaka. Zastanawiam się, czy drzewo runęło. I jak głośny musiał być trzask.

Duży dom, świeżo pomalowany, lśni tam, gdzie między drzewami przedziera się słońce. Parkuję przed domem. Widzę pochyloną nad klombem kobietę, która prostuje się i patrzy na mnie. Ma słomkowy kapelusz z szerokim rondem, spod którego nie widać twarzy. Serce wali mi jak szalone. Może to być ogrodniczka albo żona Roberta czy któregoś z jego braci, czy nawet sama pani Joseph. Słyszę bicie własnego serca, jakby obok przejeżdżał traktor.

Stoję niepewnie koło samochodu, patrząc na dom, na jego bardzo zielone otoczenie i na kobietę, która zbliża się do mnie wolno. Dopiero kiedy jest całkiem blisko, orientuję się, że to mężczyzna w długiej, luźnej, spłowiałej sukience.

- Ralph! - mówię.

Chuda, bladą twarz rozjaśnia uśmiech. Szedł tak wolno, bo się mnie bał. Ale teraz przyspiesza i wyciąga do mnie rękę. Jego dotyk jest lekki. Patrzy na mnie wesołymi niebieskimi oczami, z uśmiechem, który nie gaśnie.

- Cześć, Ralph, jestem Lucy. Lucy Schaffer. Nie widzieliśmy się od ładnych paru lat.

- Cześć, Lucy - mówi radośnie.

Ralph, brat pani Joseph, nie jest transwestytą, po prostu to, co większość mężczyzn powstrzymuje przed noszeniem w upały luźnej, chłodnej sukienki, na niego nie działa. Na skutek wadliwego systemu dystrybucji pani Joseph przypadły wszystkie geny, decydujące o energii, bystrości, inteligencji i zręczności. Ralph nie byłby zdolny do podjęcia żadnej pracy czy ukończenia choćby szkoły średniej, ale pani Joseph zadbała, by nie musiał.

Kiedy wyszła za mąż za ojca Roberta, wzięła ze sobą Ralpa. Tamtego mojego lata z Robertem Ralph był zawsze obecny, najczęściej w ogrodzie: sadił, przycinał, podlewał.

Chciał widzieć, co Robert i ja robimy w hamaku i za klombem róż. Zgodnie z jego wiedzą, kochaliśmy się. Nie miałam wtedy żadnego doświadczenia seksualnego, a Robert miał mniejsze, niż się do tego przyznawał. Technicznie byliśmy beznadziejni. Robert na ogół kończył wcześniej, niż chciał, z okrzykiem „och, nie!”. Było to bez znaczenia. Śmiałam się z jego skrępowania i jego usprawiedliwień. Mówiłam: „Ja to lubię, mam wtedy poczucie, że jestem nieodparta”. „Bo jesteś” - odpowiadał. Nie rozumiał, że sposób, w jaki mnie tulił do siebie, jego potrzeba trzymania mnie w ramionach, przyjemność, jaką znajdował w mojej przyjemności, rozkosz, jaką czerpał z mojego ciała, z każdego jego centymetra, łącznie z łokciami, miłość zawarta w jego dotyku - że wszystko to razem było znacznie ważniejsze od tego ułamka sekundy, jakiego nam brakło do idealnego zgrania w czasie. A może zresztą rozumiał. Może wiedział, że jego miłość czyniła ze mnie zupełnie inną Lucy, i bojąc się tej władzy nade mną, zniknął?

Wiedziała i Jane. Rozumiała, że Robert wyzwolił mnie od samotności, i była z tego zadowolona. Nie rozmawialiśmy na ten temat. Raz tylko spytała, czy się w jakiś sposób zabezpieczamy. Byłam rozmarzona i tajemnicza. Powiedziałam po prostu, że tak.

Ale tak się składało, że ile razy próbowaliśmy się schować i uprawiać seks, Ralph zawsze potrafił nas znaleźć. Z reguły najpierw sprawdzaliśmy za krzewami i drzewami, czy go przypadkiem nie ma, albo wysyłaliśmy go pod jakimś urojonym pretekstem do sadu, czasem nastawialiśmy mu telewizję, ale kiedy później, po wszystkim, podnosiliśmy wzrok, zawsze napotykaliliśmy łagodne, niebieskie, szeroko otwarte oczy, którymi Ralph obserwował nas z pozbawionym skrępowania zaciekawieniem.

- Jak się masz, Ralph? - mówię.
- Dobrze. - Uśmiecha się bezmyślnie. Nie poznaje mnie.
- Czy zastałam panią Joseph?
- Nie.
- A kiedy będzie?
- Ona jest u Roberta.

Czuję w żołądku skurcz rozczarowania.

- O, to wielka szkoda. Chciałam się skontaktować z kimś ze starych przyjaciół

waszej rodziny. O nazwisku Marcello...

- Barbara - mówi Ralph. - Barbara umarła.

Kolejne rozczarowanie. Fundusz powierniczy Marcello i Barbara Marcello to z pewnością zbieg okoliczności. Mam już podziękować Ralphowi i wracać, kiedy przypomina mi się Barbara.

- O, ale ja ją znałam! To była przyjaciółka pani Joseph. Bardzo miła osoba. - Ta sama przyjaciółka, która była u nich w dniu wypadku i trzymała mnie za rękę, łagodnie do mnie przemawiając aż do przyjścia Jane.

- Shelley kochała Barbarę - potwierdza Ralph.

Barbara często bywała w domu Josephów. Była wysoka i nosiła długie, luźno puszczone włosy jeszcze wtedy, kiedy większość naszych matek robiła sobie trwałą. Miała jednego syna, samotnego, dość absorbującego chłopaka, wówczas jedenastolatka. Kiedy Robert i ja nie ukrywaliśmy, że wolimy swoje towarzystwo, zamiast grać z nim w futbol czy oglądać telewizję, wybuchał złością niewspółmierną do przyczyny. W końcu jednak wyczekiwaliśmy jego wizyt, bo kiedy mu znikaliśmy, zmuszał Ralpa do gry w karty i wtedy mieliśmy z głowy ich obu.

- Ona była malarką, tak? - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek widziała jej obrazy, ale talent tworzył wokół niej aurę tajemniczości.

Ralph się uśmiecha.

- Rak - wyjaśnia.

- Wydaje mi się, że miała syna... nie pamiętam jego imienia...

- Ricky. Ricky umie pięknie naprawiać samochody.

- Ricky. Tak, rzeczywiście Ricky. - A potem na chwilę wszystko się zatrzymuje.

Serce przestaje mi bić, krew przestaje krążyć w żyłach. - Ralph, czy ty powiedziałeś, że on teraz naprawia samochody?

Ralph kiwa głową.

- W San Strana.

Zaczynam się spieszyć. Idę szybko. Potrzeba znalezienia się w San Strana już, zaraz, jest we mnie tak dojmująca, że nawet nie pytam o Roberta. Dziękuję Ralphowi serdecznie, raz jeszcze potrząsam jego dłonią i wycofuję się do samochodu.

- Shelley będzie dziś wieczorem - mówi, kiedy wsuwam się za kierownicę. -

Przyjedź niedługo ją odwiedzić, ucieszy się.

Trzaskam drzwiami, Ralph woła jeszcze coś do mnie, ale ja go nie słyszę, więc opuszczam okno, czekając, żeby powtórzył.

- To, co robiliście zawsze z Robertem... - mówi. - Musiał się tego dobrze nauczyć, bo ma trójkę dzieci.

Uśmiecham się milcząco.

- Przyjedź tu jeszcze - powtarza Ralph. - Czekaliśmy na ciebie długo, Lucy.

Macha mi ręką na pożegnanie.

W gorącej dolinie, gdzie wszystko poza mną porusza się wolno, jestem szybka. Jadę szybko. Serce bije mi szybko. W poszukiwaniu Funduszu Powierniczego Marcello, w pogoni za platformą holowniczą ani przez chwilę nie kojarzę jednego z drugim. Podróż zajmuje mi prawie godzinę i przez cały ten czas czuję mrowienie w czubkach palców. Oczekiwanie. Dopiero kiedy zbliżam się do doliny San Strana, uświadamiam sobie, jak bardzo boję się tego człowieka i jego wozu holowniczego. Był dziwnym, samotnym nastolatkiem, który ledwie otarł się o moje życie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek znów się w nim pojawi. Wiem o nim w tej chwili jedynie, że jest wysoki i ciemnowłosy, unika wszelkich kontaktów z moją rodziną, szybko biega i chce czegoś z naszego domu, a także że był agresywny wobec taty.

Znalezienie warsztatu Ricky'ego Marcello nie stanowi problemu. Pytam o niego w jednym z biur turystycznych w Cooper, głównym mieście San Strana, i co najmniej trzy osoby zapewniają mnie, że warsztat Ricky'ego znajduje się w odległości najwyżej kilku kilometrów. Najpierw zobaczę przerobioną stodołę o nazwie Galeria Marcello, a jakieś sto kilkadziesiąt metrów dalej warsztat.

- Ricky jest dobry, ale naprawia samochody tylko wtedy, kiedy mu się chce - ostrzega mnie jeden z mężczyzn. - Mam nadzieję, że się pani nie spieszy.

Opuszczam, miasto i jadę zieloną, porośniętą lasem doliną. Wielkie drzewa chylą się pod ciężarem liści, jakby cały dzień łądowały się na słońcu. Przez żyzną dolinę płynie rzeka, a skupione wokół niej domostwa są stare i ocienione drzewami, które nie mają w sobie nic ze smukłości wybujałych drzew wokół domu taty. Całe to miejsce przypomina obejście Josephów, jakby ktoś wykroił kawałek San Strana i przeszczepił go w dużą gorącą dolinę.

Wkrótce mijam znaki kierujące do galerii i zaczynam zwalniać. Zamierzałam wjechać na teren warsztatu, ale na widok stojącego przed nim wozu holowniczego tracę odwagę i zamiast zwolnić, przyspieszam. Po kilku minutach zawracam. Ponownie przejeżdżam koło warsztatu, tym razem naprawdę bardzo wolno. Jest szyld, ale mały i niezachęcający. WARSZTATY SAMOCHODOWE E. MARCELLO. Ricky musi być piśmiutliwym przewiskiem albo zdrobnieniem imienia. Zastanawiam się, co może znaczyć E.

Nie ma tu dystrybutorów, jaskrawych czerwonych plakatów reklamujących opony czy krzykliwie zachwalających wysokogatunkowy olej. Warsztat to kilka starych szop, platforma holownicza i niewielka kolekcja samochodów, w większości, tak jak wóz holowniczy, antycznych. Wszystko to razem jest zbyt malownicze na prawdziwy interes.

Raz jeszcze przejeżdżam koło warsztatu, a potem znów zawracam i zatrzymuję się w pobliżu drogi. Wreszcie podchodzę do budynków spokojnie, na piechotę, jak ktoś, komu właśnie gdzieś niedaleko popsuł się samochód.

Drzwi szop są zamknięte. Stoję za platformą holowniczą i nasłuchuję, ledwie oddychając i modląc się, żeby moje serce biło ciszej. Jestem napięta jak struna, czekam, aż mnie zaatakują jakieś hałasy czy zapachy. Pobrzękiwanie kluczy. Pogwizdywanie mężczyzny. Zapach rozgrzanego oleju. Ale moje zmysły nic takiego nie wychwytyją. Stoję w cieniu platformy holowniczej jeszcze długo po stwierdzeniu, że w warsztacie nie ma nikogo.

Widzę stąd większość samochodów. Są w różnych stadiach naprawy. Dwa robią wrażenie kompletnych wraków. Stary granatowy samochód w kształcie cygara ma wokół reflektora białą farbę niczym bandaż. Są też dwa modele sportowe w całkiem dobrym stanie.

Wkrótce będę musiała opuścić swoją kryjówkę. Stanie tutaj w milczącym bezruchu, w nieustannej gotowości do ucieczki, sprawia, że w palcach rąk i nóg czuję mrowienie. Ale przypominam sobie, jak to czasem, kiedy tata leżał pod traktorem, nawet nie wiedzieliśmy, że on w ogóle jest. Można było bardzo długo czekać na ruch czy odgłos. Nasłuchuję - wszystkie zmysły mam wyostrzone, ciało napięte, uszy nastawione.

Za szopami widzę wysypaną żwirem ścieżkę. Idę bezszelestnie po trawie jej skrajem. W pewnej chwili potracam starą beczkę na paliwo i pod wpływem brzęku, jaki

wydaje, zastygam w pół ruchu. Następnie obchodzę budynki. Za nimi jest niewielka otwarta przestrzeń. Do ledwie widocznego między drzewami domu prowadzi wydeptana ścieżka. Oceniam, że dom musi się znajdować za stodołą przerobioną na galerię.

Na otwartym terenie czuję się niebezpiecznie odsłonięta. Słońce jest jak okrutnie palący się reflektor. Szybko pokonuję tę przestrzeń. Przechodzę przez mostek nad potokiem i z ulgą chowam się wśród okalających dom drzew. Widzę ruch na werandzie na tyłach domu. Padam płasko na ziemię i patrzę. Kobieta z dzieckiem. Dom jest duży, połączony werandą z otaczającymi go drzewami. Widzę, jak dziecko wypełza na werandę, kobieta wychodzi za nim i bierze je na ręce. A potem przez chwilę trzyma malca wysoko nad głową. Z daleka słyszę, jak dzieciak zanosi się śmiechem. Nagle przychodzi mi do głowy gorzka myśl: Stevie nigdy się niczym nie cieszył. Kobieta stawia dziecko na podłodze i wchodzi do domu. Malec drepcze za nią. Zostawiają po sobie pustkę. Są razem w domu, a ja jestem sama na zewnątrz. Co ja tu robię, leżąc na ziemi, wśród łaskoczących mnie po twarzy traw? Naruszam cudzą własność. Podglądam cudzą rodzinę. Podążając jakimś własnym samotnym szlakiem. I kiedy tak leżę płasko, na brzuchu, w cudzym lesie, w cudzej dolinie, wydaje mi się, że przez całe życie wybierałam samotne szlaki.

Chce mi się płakać, ale zamiast tego podnoszę się i wracam między drzewami, przez rzekę, przez pole. Nawet nie zadaję sobie trudu, żeby się chować. Nikt nie wie i nikogo to nie obchodzi, że tu jestem. Idę między szopami, okrążam platformę holowniczą i wtedy, tak nagle, że nie mam czasu pomyśleć czy w jakikolwiek sposób zareagować, czuję na szyi czyjeś ramię i zaraz potem twarde chromy wozu holowniczego miażdżą mi twarz, a ja odnoszę wrażenie, że policzek mam w ustach. Głowę wypełnia zapach oleju, za sobą słyszę syk:

- Czego tu, do cholery jasnej, niuchasz?

Nie mogę odpowiedzieć, bo ramię wciska mi się pod szczękę i przygniata szyję. Przewracam oczami w prawo i w lewo. Nie widzę napastnika, ale orientuję się, że trzyma jakąś broń. A potem mnie odwraca, czuję jego wielką siłę i wiem, że nie ma najmniejszego sensu walczyć, bo i tak się nie wyrwę. Patrzę na broń i natychmiast poznaję małe czarne pudełko. Zbliża ją do mnie groźnie. Kiedy naciska guzik, w powietrze lecą maleńkie niebieskie syczące błyskawice. Słyszę głos Kirsty tak wyraźnie, jakby była w mojej głowie: „Wystarczy tylko kogoś dotknąć, żeby na piętnaście albo trzydzieści minut

porazić jego system nerwowy".

Powoli spoglądam w oczy Ricky'ego Marcello. Natychmiast kojarzę tę twarz. Obrośniętą teraz, ale z tym samym nawiedzonym, przenikliwym spojrzeniem, które zapamiętałam z czasów, kiedy ja byłam duża, a on mały. Jeśli zachował jakieś ciepłe wspomnienie tamtych lat i mojej skromnej roli, w najmniejszym nawet stopniu tego nie okazuje.

- Czego tu, do cholery jasnej, niuchasz? - powtarza.

Usta ma wygięte w dół, a w oczach jakąś ciemną asymetrię i bez trudu poznaję, że jest wściekły albo szalony, albo jedno i drugie. Czuję jego pot. Czuję zapach jego ciała. Olej, szmaty, kawa, warsztatowa stęchlizna.

- Szukam ciebie - mówię. Mój głos jest bardzo słaby. Odmawia mi posłuszeństwa, ale wyduszam z siebie słowa. - Mam do ciebie kilka pytań. Czego potrzebujesz z domu mojego ojca? Czy on ci płacił? I dlaczego? Dlaczego na niego krzyczałeś tuż przed jego śmiercią? Wrzeszczałeś na niego i groziłeś mu, a zaraz następnego dnia...

Jest siny na twarzy. Obraca mnie jak lalkę, tak że plecami przylegam do jego ciała, i zatyka mi ręką usta. Miażdży mi wargi o zęby, wpiera kciuk w policzek, rozciąga skórę na brodzie i uciska nos tak, że nie mogę oddychać. Dopiero teraz zaczynam się wyrывać. Duszę się, próbując odgiąć mu palce, ale zbyt mocno przyciska je do mojej twarzy.

- Nie chcę, żebyś tu była. - Mówi mi prosto do ucha, jak kochanek, tyle że jest to syk, a ja w jego gorącym, wilgotnym oddechu wyczuwam nienawiść. - Nie chcę cię tutaj. Nie chcę widzieć twojej cholernej twarzy koło mojego domu, mojej rodziny, mojego wozu, mojej stodoły.

Unoszę gwałtownie prawe kolano i najmocniej, jak tylko potrafię, kopię butem w jego nogę. Widzę, jak go przeszywa elektryzujący ból. Dłoń na mojej twarzy rozluźnia się nieco i wtedy próbuję zaczerpnąć tchu. Ale zaraz uścisk Ricky'ego odzyskuje dawną moc i wiem, że go jeszcze bardziej rozwścieczyłam.

Widzę przed sobą, w odległości zaledwie kilku centymetrów, paralizator. Moje oczy wypełnia nienaturalnie błękitny syczący przejaw jego mocy. Jedno dotknięcie i zostanę unieszkodliwiona, nie będę mogła się bronić. Ponownie unoszę kolano i spuszczam nogę z jeszcze większą siłą. Udaje mi się ustawić stopę pod kątem, tak że obcas, masywny, choć niewysoki, tnie boleśnie ostrą krawędzią. Czuję ciche chrupnięcie kości. Prawdopodobnie

nie połamałam mu stopy, ale zadałam dotkliwy ból, więc nie czekając, aż ochłonie, ponownie unoszę nogę. Myślę o tacie, porażonym paralizatorem i spadającym z Foczych Skał, i tym razem wbijam mu obcas głęboko i jeszcze dodatkowo wkręcam. Kiedy dla ulżenia sobie przenosi ciężar ciała na lewą nogę, i ja wychylam się w lewo. Mój napastnik zatacza się, a ja w tym czasie próbuję mu się wyrwać. Jeżeli mam uciec, to tylko teraz. Usiłuję odgiąć jego palce - wierzgam do tyłu, wciskam mu łokcie w żebra. Ale uścisk na mojej szyi, na ustach, na nosie zacieśnia się.

Powoli słabną mi nogi, a potem ramiona. Przestaję się wyrwać. Przestaję walczyć o tlen. Duszę się. Robię się bezwładna jak papier i w tym momencie, o dziwo, mój wróg mnie puszcza. Lecę do przodu, nie wierząc, że to prawda, i gryząc powietrze, jakby było ciałem stałym.

- Wynoś się! - wrzeszczy za mną.

Dotykam palcami ust i stwierdzam, że krwawią. Policzki mnie pieką, jakby były obdarte ze skóry. Odchodząc, słyszę, jak za mną krzyczy:

- Wynoś się stąd! I zatrzymaj przy sobie swoje cholerne oskarżenia! I trzymaj tę swoją cholerną gębę na kłódkę, żebym ci jej nie musiał zamknąć na dobre.

Zaczynam biec. Czuję, jak krew kapie mi na bluzkę. Nie oglądam się za siebie.

Dopadam samochodu i szybko odjeżdżam. Ricky Marcello stoi przed warsztatem, z rękami na biodrach, i patrzy za mną.

Jest późne popołudnie upalnego dnia. Nic w dolinie San Strana nie porusza się szybko. Ani konie, które opędzają się od much pod drzewami, ani samochody. Jazda jest frustrująca. Trzymam chusteczkę przy krwawiących ustach i co chwilę patrzę nerwowo w lusterko wsteczne, czy nie ma za mną platformy holowniczej.

Wyjeżdżając z doliny, skręcam na zakurzony parking. Jest tu parę stoisk z owocami, które mimo tablic rekomendujących niskie ceny są już zamknięte. Manewruję między nimi tyłem. Z ukrycia obserwuję drogę. Czekam, nie pozwalając sobie nawet na mrugnięcie. Kiedy wreszcie ruch się zmniejsza, próbuję się przejrzeć w lusterku. Na mojej bladej twarzy widać świeżo przeżyty szok, wargę mam spuchniętą. Pod nosem zaschnięta krew. Wycieram twarz, nie spuszczając oczu z drogi.

Czekam na platformę holowniczą, ale kiedy przejeżdża granatowy samochód z białym bandażem wokół reflektora, moje ciało reaguje natychmiast. Zapalam silnik i

wyjeżdżam z parkingu. Docieram do drogi o sekundę za późno, żeby się znaleźć przed sunącą wolno pod górę półciężarówką. Jest załadowana pomarańczami. Za nią ciągną się na niskim biegu cztery samochody. Próbuję je wyprzedzić, co wywołuje wściekłe trąbienie i wyzwiska i zmusza mnie do powrotu w szereg. Kiedy wreszcie droga robi się płaska i zostawiam za sobą półciężarówkę, wiem, że Ricky Marcello musi być daleko przede mną.

Na autostradzie włączam się w ruch w kierunku południowym. W dole widzę czerwone cegły Lowis. Na chwilę przed oczyma mojej wyobraźni pojawia się czerwony na twarzy chłopak, siedzący na deskorolce, ale kiedy przyspieszam, zostawiając Lowis w tyle, znika. W zapadającym zmroku szukam granatowego samochodu. Nie widząc go, przyspieszam jeszcze bardziej, aż do przekroczenia dozwolonej szybkości, niebezpiecznie zmieniając pasy. Pamiętaj o śmierci. Joe Zaccaro powiedział: kiedy pamiętasz o tym, że któregoś dnia umrzesz, żyjesz inaczej. Wzdycham i znów przyspieszam.

Granatowy samochód pojawia się dopiero, kiedy dojeżdżam do mostu. Wyłania się tak nagle, że muszę przyhamować i zjechać na pas wolniejszego ruchu, by pozostać niewidoczna. Trudno trzymać go cały czas na muszce, sama nie będąc widziana. Teraz, kiedy nad miastem szybko zapada noc, wiele samochodów robi wrażenie granatowych, żeby więc, wśród tylu innych, nie stracić z oczu jego tylnych świateł, muszę się trzymać bliżej, niżbym chciała.

W ostatniej chwili zauważam, że zjeżdża z autostrady, i jadę za nim. Serce bije mi szybciej. To jest zjazd najbliższy Jane i Larry'ego. Utrzymuję odległość, ale co zrobić ze światłami. Trzymanie się w odległości jednego skrzyżowania od niego byłoby trudne nawet w dzień, a po ciemku jest niemożliwe. Od Ricky'ego Marcello dzieli mnie dwa samochody.

I wtedy popełniam błąd. I to bardzo poważny. Zaczynam jechać za niewłaściwym samochodem. Ricky Marcello, którego ścigam, jedzie szybko, często zmieniając pasy, a ja przyspieszam, żeby go nie zgubić. Kiedy zatrzymuję się na światłach, spostrzegam, że samochód z białym zderzakiem stoi obok mnie. Nie patrzę na niego. Nie patrzę na kierowcę. Udaję, że wracam z pracy do domu i tylko robiłam zakupy w sklepach po drugiej stronie ulicy, ale przez cały czas mam świadomość bliskości Ricky'ego Marcello, czuję, że jego twarz jest zwrócona w moją stronę, a gniewne oczy utkwione we mnie.

Światła się zmieniają i samochody ruszają z gracją zsynchronizowanych pływaków. Ricky Marcello jedzie równoległe do mnie. Usiłuję zostać w tyle, ale i on zwalnia. We wstecznym lusterku widzę, jak gromadzą się za nami samochody. W drodze do następnych świateł w dalszym ciągu na niego nie patrzę, ale kiedy je przejeżdżamy, stwierdzam, że znikł, że skręcił w jedyną drogę w prawo. Teraz odważam się spojrzeć. Granatowy samochód znika pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do mojego.

Próbuję objechać cały kwartał ulic, a potem wykonuję ósemkę. Wkrótce wpadam w rozpacz: w mieście pełnym świateł nie mogę znaleźć tych jednych jedynych. W nadziei, że spotkam go na miejscu, kieruję się do Jane i Larry'ego. Nie podjeżdżam pod sam dom, tylko z najbliższego skrzyżowania obserwuję ulicę. Jest. Widzę, jak granatowy samochód podjeżdża do parkometru po przeciwnej stronie ulicy. Miałam rację. Ricky Marcello śledzi Larry'ego i Jane.

Zawracam na stromym zboczu i parkuję pod kątem ostrym. Mam stąd bardzo dobry widok na ulicę i dom. Na razie nie widzę granatowego samochodu, ale z pewnością go zobaczę, kiedy będzie wyjeżdżał. Wzgórze jest dobrze oświetlone, więc zobaczę i Ricky'ego Marcello przechodzącego przez ulicę.

Jest to stara, malownicza część miasta. Domy są gęsto skupione na wzgórzu, a białe mieszkanie mojej siostry mieści się na pierwszym piętrze. Ktoś musi być w domu, bo palą się światła. Prawdopodobnie Larry jeszcze szlifuje i ćwiczy przemówienie przygotowane na jutrzejszy pogrzeb taty. Być może Jane też. Była dziś w szpitalu, ale z pewnością wróciła wcześniej do domu, żeby dopilnować wszystkich przygotowań. Na ulicy stoi samochód, który może być samochodem Jane. Nie mam ochoty wysiadać, żeby to sprawdzić.

Przez dłuższy czas nic się nie dzieje. Temperatura spada, a ja jestem zeszywniała, brudna, zmarznięta, ale staram się zachować czujność, żeby szybko odjechać, gdyby mnie Ricky Marcello zobaczył.

Ktoś się pojawia w oknie. Sztywnieję. To Larry, który z niepokojem sprawdza, czy jest dziś obserwowany. Może Ricky Marcello za każdym razem przyjeżdża innym samochodem, bo spokój, z jakim Larry zaciąga zasłony, świadczy o tym, że nie widzi nic podejrzanego.

Ramiona i twarz zaczynają mi pulsować. Kiedy będą mnie pytać, co się stało,

powiem, że wpadłam na drzwi. Nie mogę nikomu powiedzieć o Rickym Marcello, w każdym razie dopóki się nie dowiem, dlaczego był jedną z tajemnic taty.

Kiedy tak siedzę w samochodzie bez ruchu i czekam, moją wyobraźnię na krótką chwilę zajmuje kobieta, którą widziałam na werandzie i która trzymała wysoko w górze dziecko. Była zajęta w domu, ale wyjrzała na malca, który wypełził na werandę, i spadła na niego z góry, biorąc na ręce i zabawiając przez chwilę. Mały zanosił się śmiechem. Rzadko miałam przyjemność takiego obcowania z moim dzieckiem, chyba że spało, i nie pamiętam, by kiedykolwiek w ten sposób wyrażało radość.

Ricky Marcello musi mieszkać w domu wśród drzew, a ta kobieta musi być jego żoną. A dziecko jego dzieckiem. Zbieram informacje o nim, chociaż nie wiem, czy któreś z nich okażą się przydatne. Próbuję sobie przypomnieć młodego Ricky'ego, którego znałam u Josephów. Ale przypomina mi się jedynie towarzysząca mu energia kinetyczna, a także jego gorączkowe i często irytujące wysiłki w kierunku zwrócenia na siebie uwagi. Za każdym razem, kiedy byłam u Josephów, skupiałam się wyłącznie na Robercie. A Ricky był dla mnie co najwyżej brzęcząca wokół niego mucha.

Wreszcie, kiedy całe moje ciało jest już wyczerpane beczynnością, ramiona i nogi bolą z braku ruchu, w żołądku burczy z głodu, a w głowie nieustannie odwija się taśma z walką, jaką stoczyłam po południu przed warsztatem Marcello, coś się w końcu zaczyna dziać. W mieszkaniu gasną światła. Rozsądna Jane, rozsądny Larry. Idą na wczesny spoczynek przed pogrzebem. Jestem im absurdalnie wdzięczna, kiedy widzę, jak granatowy samochód wyjeżdża ze swojej zatoczki. Jadę za nim. Teraz kiedy ruch jest niewielki, płyniemy bez trudu przez noc, Ricky Marcello i ja. Eskortuję go do autostrady, a potem skręcam do ciotki Ziny. Zadaję sobie pytanie, co mu przychodzi z tego, że cały wieczór sterczy pod domem Larry'ego i Jane, ale jestem zbyt odrętwiała, żeby znaleźć na nie odpowiedź.

W dniu pogrzebu taty budzę się obolała; jakby mnie ktoś przez wiele godzin szczypał we wszystkie możliwe miejsca. Prawie cała pościel leży na podłodze. Nie czuję się wypoczęta. Wieczór wspominam jako maraton złości i łez, ale nie mogę sobie przypomnieć żadnych szczegółów dzisiejszego snu. Wstaję sztywna, moje ciało jest jak z metalu. Kiedy oglądam w lustrze swoją pozbawioną wyrazu twarz, ze zdziwieniem widzę, że nie ma na niej śladów wczorajszego spotkania z Rickym Marcello.

Wkładam na siebie nowojorskie ubranie. Będzie mi w nim za gorąco, ale przynajmniej wygląda poważnie. Kiedy się ubieram, mam wrażenie, jakbym była sztywnym manekinem. Kostium na mnie wisi, nie układa się płynnie jak dawniej. Nie jestem w stanie przełknąć niczego z tego, co mi podsuwa ciotka Zina. Nawet smak kawy na moim metalowym języku wydaje się kwaśny. Nie pomaga cukier, kawa w dalszym ciągu jest kwaśna.

Sasza z ciotkami pojechał już do Redbush; mnie zabiera Scott.

- Jak się miewasz, Luce? - pyta, przyglądając mi się badawczo. Jest bardzo blady. Źle spał, a teraz denerwuje się mową pożegnalną, którą ma odczytać podczas uroczystości.

- Chciałabym, żeby już było po wszystkim - mówię.

Kiedy wsiadamy do samochodu, Dmitrij Sergiejewicz, najwyraźniej uprzedzony przez Saszę, ogranicza wyrażanie swojej dezaprobaty do rzucania nam spojrzeń spode łba.

Dołączamy do Jane i Larry'ego, którzy są już w przedsionku kaplicy cmentarnej. Jane wita mnie całusem. Pachnie, jak zwykle, kwiatami i jest prawie przezroczysta w swojej urodzie. Jej oczy przypominają błękitne motyle, które właśnie usiadły na bladej, bardzo bladej twarzy mojej siostry.

Schodzą się pozostali uczestnicy pogrzebu. Poznają tylko kilka osób. Inni przedstawiają się, a wszyscy wyrażają szeptem współczucie i mówią o tacie miłe słowa. Próbuję im jakoś dziękować, ale ten nowy język, twardy i lśniący, nie chce wypowiadać właściwych słów.

- Kochanie - mówi jakaś duża kobieta, kładąc mi rękę na dłoni. - Żal ma to do siebie, że się kumuluje. Każda strata przypomina wszystkie poprzednie. Ten cykl nigdy się nie kończy, ale człowiek powoli zapomina.

Kiwam głową i odkładam sobie jej słowa na później, żeby się nad nimi zastanowić. Jestem zbudowana z metalu, więc ich na razie nie wchłaniam.

Przychodzą Seymour i Katherine i jedno po drugim zamykają mnie w czułym uścisku.

- Od czasu, kiedy u nas byłaś, Lucy, jesteśmy o ciebie bardzo niespokojni - mówi Katherine.

Zastanawiam się, co zrobiłam czy powiedziałam, że tak ich to zaniepokoiło.

- Wszystko będzie dobrze - odpowiadam gładko.

Seymour przytula mnie jeszcze raz, ale ciepło jego ciała nie przenika mojej nowej twardej powłoki.

Widzę, jak kuśtykając, wchodzi Joe Zacarro. Za nim podąża sztywno Adam Holler. Na mój widok Joe zaczyna płakać.

- Mój Boże, Lucy - mówi, ujmując moją rękę w obie dłonie. - Dopiero kiedy człowiek przychodzi na pogrzeb i widzi cholerną trumnę, zaczyna wierzyć, że ten ktoś naprawdę umarł. Ale ja nadal nie wierzę. Eryk był z nas najsprawniejszy, nie on miał pierwszy odejść. Lucy, to się nigdy nie powinno było stać. On nie powinien był do tego dopuścić.

Ciekawe, dlaczego Joe myśli, że tata „dopuścił do tego”, że został zabity. Ale przecież nie zapytam go o to teraz, kiedy płacze. Przyglądam mu się biernie. Wiem, że muszę coś powiedzieć, wyciągnąć rękę. Z nadludzkim wysiłkiem kładę mu rękę na ramieniu. Joe łapie ją i nakrywa swoją wielką wilgotną dłonią.

- Lucy, twój ojciec był piekielnie inteligentnym człowiekiem - mówi pan Holler. - Zwykle ludzi o takim typie inteligencji trudno jest kochać, ale on... - Głos odmawia mu posłuszeństwa. Nie jest już taki sztywny; przypomina budynek, który ma za chwilę runąć. Opiera się na Joem i dopiero potem prostuje. Wyjmuję z torebki jednorazową chusteczkę, którą przyjmuje ode mnie z wdzięcznością. - Nie sądziłem, że będę potrzebował czegoś takiego. - Pociąga nosem. - Człowiek nigdy nie wie, jakie uczucia go dopadną.

Żal ma to do siebie, że się kumuluje. Każda strata przypomina wszystkie poprzednie. Adam Holler opłakuje tatę, ale również utraconego syna i żonę, która go opuściła.

Wkrótce rozdaję chusteczki na prawo i lewo, i już po chwili okazuje się, że wszyscy

w kaplicy, poza mną, wycierają oczy. Jestem jedyną osobą w tym pomieszczeniu, której całe ciało, łącznie z językiem i sercem, wykuto z metalu.

Prawie spóźnieni, przybywają Rosjanie. Przychodzą w gromadce, z matką pośrodku. Matka mocno trzyma Saszę pod rękę. Mimo że obiecałam sobie jej unikać, kiedy wchodzi, robię się bezwolna i jakaś siła pcha mnie do tej kruchej, powłóczącej nogami kobiety. Jestem przygotowana na jej małość, ale na tle tego dużego pomieszczenia wydaje się zaskakująco drobna.

Jane całuje ją lekko, a potem wtapia się w tłum żałobników, zanim rosyjskie ręce mają czas ją wciągnąć. Zamiast niej łapią mnie i wloką prosto do matki.

- Tanieczko, nie cieszysz się, że widzisz swoją Lucię? - wykrzykuje ciotka Zina i chociaż mówi po rosyjsku, jej słowa, jak to się czasem w niewytłumaczalny sposób dzieje, pokonują barierę językową i rozumiem wszystko. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, przez kosmyki siwych włosów przebija się nieobecny wzrok matki i spoczywa na mnie. Matka wykonuje jakiś trzepoczący ruch, jej twarz się rozjaśnia, oczy robią się większe, wyraz zagubienia gdzieś znika i matka znów jest sobą. Na jeden ulotny moment wraca nawet jej uroda. Wyciąga do mnie rękę. Na mojej dłoni siada delikatny ptak, a ja mu nie pozwalam odfrunąć. Jakby za sprawą jakiegoś milczącego porozumienia cała grupa rusza do przodu. Ciotka Zoja, której włosy wymykają się spod zapinki, łapie mnie w podnieceniu za ramię.

- Zobacz, jaka ona jest szczęśliwa, że cię tu widzi.

Goście usuwają się przed żoną zmarłego. Sasza prowadzi ją do otwartych teraz drzwi kaplicy. Ruszamy wszyscy za matką, która wchodzi wolno, z godnością. Sasza odwraca się, już prawie w drzwiach, i mruga do mnie konspiracyjnie poprzez tłum.

Na widok trumny od nowa idą w ruch chusteczki. Jane drży na całym ciele, płacząc bezgłośnie, Larry zamyka oczy i stoi bardzo prosto, z nerwowym tikiem ust, Scott szlocha bez żadnych hamulców. Podczas gdy gra muzyka, rozglądam się po tłumie żałobników, ale jak ich poznać, skoro mają twarze ukryte w chusteczkach. Scottowi, zgodnie z przewidywaniami, łzy przeszkadzają w czytaniu.

„Wziął swoją wielką świecę I poszedł do innego pokoju, Którego nie mogę znaleźć”.

Przestaje nad sobą panować, a wraz z nim załamuje się reszta uczestników uroczystości. Patrzę na Joego Zacarro i Adama Hollera, których zeszywniałe nogi są

skierowane każda w inną stronę. Podtrzymują się nawzajem, szlochając bez skrępowania. Seymour i Katherine stoją z pochylonymi głowami, trzymając się za ręce.

Scott odzyskuje głos i jakoś udaje mu się skończyć wiersz. Przy samych drzwiach kaplicy widzę Rougemonta i Kirsty. Oboje mają suche oczy. Pilnie obserwują wszystkich obecnych. Napotykam wzrok Rougemonta.

Znów gra muzyka, a potem jest kolej Larry'ego. Zajmuje miejsce z przodu, koło trumny. Przygotował sobie tekst mowy pożegnalnej na kartkach, ale prawie w nie nie patrzy. Wyobrażam go sobie, jak wczoraj wieczorem ćwiczył przed lustrem w łazience albo w salonie przy zaciągniętych zasłonach.

- Zastanawialiśmy się, co sprawiło, że Eryk Schaffer był nam tak drogi. Otóż postaram się odpowiedzieć na to pytanie. Tak, jestem psychiatrą, jak większość z państwa wie, i moje przygotowanie zawodowe z pewnością nie jest tu bez znaczenia. Ale proszę się nie martwić, z góry rezygnuję ze swego zwykłego honorarium.

Widać niewielki ruch, który może być przejawem rozbawienia, ale Larry przekłada kartki i mówi dalej:

- Próbując zrozumieć człowieka, zwykle cofamy się do jego dzieciństwa. W przypadku Eryka nie jest to łatwe: prawie nigdy nie mówił o tym okresie swojego życia. Wiemy, że pochodził ze skromnej górskiej społeczności skupionej wokół Kościoła. Nie był to jednak ściśle ortodoksyjny Kościół mormoński, tylko jakiś jego odłam, który z powodu znacznej izolacji miał własną historię, podstawy wiary i liturgię.

Niewiele wiemy o rodzinie Eryka, ale wszystko wskazuje na to, że była kochająca. Jako najmłodszy z ośmiorga dzieci z pewnością korzystał ze szczególnych względów matki, podobnie jak i starszego rodzeństwa, a jeśli społeczność, w której wzrastał, była poligamiczna i jego ojciec miał jeszcze inne żony, być może zażywał też czulej opieki ze strony szeroko pojętej rodziny. Skąd to wszystko wiem? Otóż wiem to stąd, że Eryk był kochającym człowiekiem. Nie pomylę się chyba, jeśli powiem, że każdy z nas, tu zgromadzonych, w jakimś stopniu doświadczył jego miłości. Że żona i córki, to oczywiste, ale nie tylko one, poza nimi jeszcze wiele innych osób w różnej mierze uczestniczyło w jego potrzebie dawania i przyjmowania miłości. A tę mógł wynieść tylko z domu.

Po drugie, Eryk był dobrym człowiekiem. Współczuł innym w ich cierpieniu, a to dlatego, że sam wiele wycierpiał. Nie wiemy, w jaki sposób. Wiemy tylko, że było to w

dzieciństwie, kiedy jako nastolatek opuścił rodzinę i samotnie stanął czoło światu. Był człowiekiem bardzo zdolnym, ale do szesnastego roku życia nie miał formalnego wykształcenia.

Wiemy, że małżeństwo przyniosło mu wiele szczęścia, ale kiedy jego piękna żona zachorowała, nie załamał się, bo już w dzieciństwie nauczył się znosić cierpienie. Gdy stracił syna - a była to tragedia, o której prawie nigdy nie mówił - cierpiał, ale również się nie załamał. Cierpiał bardzo, kiedy umarł mu wnuczek, ale i wtedy się nie załamał. Większość z nas, zebranych z okazji tej smutnej uroczystości, doznało w życiu od Eryka takiej czy innej drobnej uprzejmości. Każda z nich zawierała przesłanie: rozumiem twoje nieszczęście, ponieważ dawno, dawno temu sam go zaznałem. Chcę ci pomóc, żebyś się nie załamał, tak jak ja się nie załamałem wtedy, dawno, dawno temu.

Po trzecie, potrafił być bezwzględny. Musiał być bezwzględny, skoro zdecydował się opuścić kochającą rodzinę i zacząć wszystko od nowa, całkowicie samotnie, w zupełnie nieznanym świecie. Zachował tę bezwzględność w jak najlepszej postaci. Był bezwzględny w przestrzeganiu zasad, które uważał za najważniejsze. Robił zawsze to, co słuszne, bez względu na cenę, jaką musiał nieraz zapłacić.

Po czwarte, rozdawał kamienie. Jeśli jest tutaj choćby jedna osoba, która nie dostała od Eryka kamienia, niech podniesie rękę. Tak myślałem. To była jego osobista misja: dokonać redystrybucji kamieni świata. A może próbował rozebrać górę? Na przykład tę, na której się wychował?

I wreszcie, Eryk był outsiderem. Życie w odizolowanej, może poligamicznej, quasi-mormońskiej społeczności, na wysokości tysiąca ośmiuset metrów nad poziomem morza, musiało się różnić od warunków, w jakich wzrastaliśmy my tutaj. Eryk właściwie nie pasował nigdzie, o czym zresztą dobrze wiedział. Ale był wspaniałym szefem wydziału na uniwersytecie. Kierował swoim zespołem z miłością, nie angażując się ani w partykularne interesy jednych czy drugich, ani w drobne rozgrywki, nieuniknione w życiu uczelni. Wychował się na Olimpie i potrafił patrzeć na to wszystko z góry. Nie łączył się z żadnymi grupami. Miał wielu przyjaciół, ale unikał działań zespołowych. A kiedy miał się ożenić, wybrał Tatianę, uroczą imigrantkę i tak jak on outsiderkę.

Czy Eryk lubił status outsidera? No cóż, sądzę, że był samotny. Z pewnością cierpiał na głęboką, bardzo głęboką samotność. Nigdy z nim na ten temat nie

rozmawiałem. Nigdy nie próbowałem mu pomóc. Dziś tego bardzo żałuję.

Wiele osób pytało mnie: dlaczego Eryk umarł w taki sposób? Jak dotąd nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. Trudno uwierzyć, że człowiek tak skromny, o tak łagodnym usposobieniu mógł paść ofiarą zabójstwa, stać się celem na zimno przygotowanej zbrodni. Otóż, interesując się problematyką zabójstw, dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy. Między innymi tego, że w statystykach kryminalnych samotni outsiderzy stanowią wśród ofiar bardzo liczną grupę. Jednakże nie zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby mówić o śmierci naszego drogiego zmarłego, i niech słowo „zabójstwo” nie stanie między nami a Erykiem, jakiego znaleźliśmy. Celebруем jego życie.

Larry zbiera kartki i kłania się zebranych, siadając w ławce przy pierwszych taktach koncertu fortepianowego Mozarta. Po raz pierwszy w mojej zbroi coś zaczyna pękać. To, co teraz czuję, nie jest jednak ani smutkiem, ani złością. Larry się myli. Myli się co do dzieciństwa taty, które miało go ukształtować jako samotnika. Cierpiał, cierpiał tak bardzo, że aż próbował popełnić samobójstwo. Wielka samotność przyszła później. Wiem, bo na zdjęciu przedstawiającym naszą rodzinę na plaży ojciec się śmieje. Śmieje się szczerze, nie tak jak człowiek w głębi duszy samotny i nieszczęśliwy. A potem przestał się śmiać, ale nie z powodu tego, co się stało przed wielu laty w Utah. Z powodu tego, co się wydarzyło tutaj.

Po skończonej ceremonii rodzina wychodzi za trumną. Najpierw idą Rosjanie, a wśród nich mama, tak maleńka, że ledwie ją widać. Potem Scott, Larry, Jane i ja. Chowamy tatę, więc niebo powinno być szare, zasnuć chmurami, zamiast tego jednak oślepia mnie blask słońca. Odbija się od nagrobków i pomników, odskakuje rykoszetem od mosiężnych elementów trumny ojca jak piłka w szybkiej, ostrej grze.

- Czy uważasz, że ojciec był samotny? - pytam szeptem Scotta. - I że był outsiderem?

Scott kiwa głową. Chce coś powiedzieć, ale łzy mu nie pozwalają.

Ziemia, która ma przykryć tatę, jest całkowicie pozbawiona wilgoci. Kiedy pierwsza jej garść dosięga trumny, chmura pyłu wypełnia wnętrze grobu niczym mgłą. Sądziłam, że widok grobu i trumny taty wywoła we mnie silne emocje i słabość. Przypuszczałam, że zwilżę ziemię własnymi łzami, tymczasem, gdy inni stoją złamani bólem, zapłakani, moje nowe metalowe serce nie czuje nic. Wszelkie doznania spływają po jego lśniącej po-

wierzchni. Widzę trumnę głęboko w ziemi i świadomość, że tata staje się warstwą geologiczną, małą ludzką żyłką w skalistej glebie, sprawia mi dziwną przyjemność.

Podnoszę wzrok znad grobu i widzę matkę. Z ręki wypada jej róża, a z oczu płyną łzy - drobne perełki. Jak wszyscy, stoi bez ruchu, wpatrzona w trumnę taty. Za nią, w pewnej odległości, wyczuwam ruch. Ptak, który przelatuje z nagrobka na nagrobek. Szukam go wzrokiem i wtedy widzę, że to człowiek. Wstrzymuję oddech. Jest wystarczająco blisko, żebym mogła zobaczyć jego twarz. Ricky Marcello i ja patrzymy sobie w oczy. Mam ochotę wyć. Mam ochotę ścigać go i żądać wyjaśnień. Ale szczerzy żal obecnych przygważdża mnie do miejsca i mogę tylko patrzeć, jak nagle Ricky Marcello chowa się za jakimś nagrobkiem, a potem znika niczym wąż w wysokiej trawie. Porusza się szybko, przemykając między pomnikami i przeskakując przez groby. W miarę jak się oddala, jego postać staje się coraz mniej ostra, aż wreszcie całkiem tracę go z oczu.

Wypatruję go jeszcze, kiedy ruszamy wolno z powrotem w kierunku kaplicy. Na drodze, po przeciwnej stronie cmentarza, widzę coś, co może być błyskiem chromów w ostrym słońcu. Odległy pomruk może być warkotem silnika platformy holowniczej albo samolotu. Dokoła mnie żałobnicy trzaskają drzwiami samochodów i zapalają silniki. Jadą do domu taty.

Przed kaplicą stoi Michael Rougemont, jakby na mnie czekał.

- Czy pan kogoś widział? - pytam.

Słońce z całym okrucieństwem oświetla jego dziwną fizjonomię.

Patrzy na mnie i kiwa głową.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, goście tworzą na stopniach ganku długi nierówny szpaler. Są przyzwyczajeni, że do lekkiej pracy w ogrodzie zakładają kombinezony. Garnitury, które powyciągali z szaf, pachną naftaliną, często na nich nie pasują. Matka została już odwieziona do Redbush, Jane i ja ściskamy ręce, przyjmując kondolencje. Scottowi i Larry'emu gratulują przemówień, Scottowi ciepło, Larry'emu z wyrazami podziwu. Scott rumieni się pod wpływem pochwał; Larry przyjmuje je rutynowo. Kieruje gości do stołów, rozstawionych na pomoście. W mrocznym kącie ganku, w cieniu konarów drzewa, stoi dwoje detektywów. Uderza mnie ich nieruchomość.

Wkrótce ludzie rozsiadają się na ganku, na pomoście i we wszystkich pokojach na parterze. Tylko pokoik komputerowy jest przed nimi zamknięty. W domu aż brzęczy od

rozmów, prowadzonych ściszymi głosami. Goście wymieniają informacje, roztrząsają nowiny, przepowiadają koniec fali upałów. Jest to pierwsze zebranie towarzyskie w naszym domu. Przez wszystkie lata, kiedy tu mieszkałam, nie było u nas ani razu przyjęcia, a rzadko kiedy wpadali znajomi. Jeśli nie liczyć krzyków matki, jest to największy hałas, jaki ten dom pamięta.

Kiedy Jane sadza mocno starszego pana, a Scott idzie mu przynieść coś do jedzenia, u mojego boku pojawia się Larry.

- Larry, czy ty kiedykolwiek dzwoniłeś na policję w sprawie faceta, który się pęta koło waszego domu? - pytam.

Patrzy na mnie zdziwiony.

- Raz. Ale tak zwlekali z przyjazdem, że kiedy się wreszcie zjawili, już go nie było. Nie widziałem go od jakichś dwóch dni, może zrezygnował.

- A może się ukrywa? Może siedzi w samochodzie?

- Może. Tak czy owak, nie jest to przyjemna świadomość.

- W każdym razie jak tylko się ściemni, zaciągaj zasłony - radzę mu. - Albo zostaw rozsunięte, ale zgaś światło w salonie, jakby was nie było w domu.

Larry nie przyjmuje ode mnie żadnych rad, a już szczególnie w sprawach bezpieczeństwa.

- Muszę porozmawiać na ten temat z Kirsty - mówi i zaczyna się przepychać w jej stronę.

- A przy okazji - wołam za nim jeszcze. - Skąd wiesz, że tata pochodził ze społeczności poligamicznej?

Zatrzymuje się i wzrusza ramionami.

- Nietrudno się tego domyślić.

Steruje między ludźmi w stronę dwójki detektywów i pogrąża się w ożywionej rozmowie z nimi. Kirsty słucha Larry'ego, podczas gdy wzrok Rougemonta wędruje po pokoju. Od czasu do czasu napotyka moje spojrzenie, ale ja nie zwracam na niego uwagi i kiedy posyła mi jeden ze swoich zagadkowych uśmiechów, nie odpowiadam na niego. Nieco później podchodzi do mnie. W ciemnym garniturze i ciemnym krawacie bardziej niż zwykle przypomina cień.

- Jak się czujesz, Lucy?

- Dość dziwnie - przyznaję.

- Jakbyś nie czuła? - pyta. Kiwam głową, on też kiwa. - Taaak - mówi - tak.

Zapada milczenie. Zastanawiam się, czy będzie mnie jeszcze pytał o tamten weekend spędzony w Kalifornii. Zamiast tego mówi:

- Jim Finnigan to przyzwoity facet i bardzo cię lubi, ale tak naprawdę to on cię nie zna. Tak samo jak wszyscy inni, z którymi się spotkałem w Nowym Jorku.

Gapię się na niego zdziwiona.

- Pojechałaś tam, żeby być kimś innym, i oni znają taką właśnie Lucy. Ale przez cały czas ta stara Lucy tu na ciebie czekała. - Myślę o dawnej sobie, w obszarpanych szortach albo niebieskiej letniej sukience, jak sterczę na lotnisku i czekam, aż z samolotu wysiądzie szczupła, energiczna Lucy. - Szkoda, że jej nie słuchałaś. Ponieważ ta druga Lucy, ta stara, ta, od której uciekłaś, zna wszystkie odpowiedzi.

Patrzę na niego z kamienną twarzą.

- O czym pan mówi, panie Rougemont? Pracuję w banku. Wzięłam dwa tygodnie urlopu okolicznościowego z powodu śmierci ojca i w sobotę wieczorem wracam do Nowego Jorku podjąć pracę.

- Taaak. - Jego usta rozciągają się w czymś, co może być uśmiechem albo tylko jakimś grymasem. Odwracam głowę. Jim już do mnie dzwonił, by mi powiedzieć, że bank udostępnił policji taśmy z nagraniami moich rozmów telefonicznych.

„Może potrzebujesz dobrego adwokata, Lucy?” - zapytał.

W jego tonie zamiast zwykłego ciepła wyczułam pustkę, jakby mnie nie było przez rok, a nie przez tydzień.

„Ależ skądże, Jim. Czy są jakieś korekty w sprawie Hifelda?”.

„Gregory Hifeld zdecydował się nie sprzedawać firmy, a kiedy powiedziałem o tym Jayowi Kentowi, potraktował mnie wręcz po chamsku i oświadczył, że już nigdy nie będzie korzystał z usług naszego banku”.

„O Boże”.

„Semper uważa, że twoja kariera nie wygląda w tej chwili obiecująco, Lucy - ostrzegł mnie Jim. - Zrobiłem, co mogłem, ale sama rozumiesz, cała ta nieudana transakcja plus policja i te wszystkie pytania o twoje sprawy osobiste... to w sumie bardzo niefortunna kombinacja”.

„Czy zostałam już zwolniona?”.

Jim się zawahał.

„Jeszcze nie umarłaś. Ale jesteś poważnie chora - powiedział w końcu. - Przykro mi, Lucy. Mogło być inaczej. Powinno być inaczej”.

Podchodzę do stojących samotnie Joego Zacarro i Adama Hollera i pytam:

- Czy w dalszym ciągu macie zamiar pamiętać o śmierci na autostradzie? To znaczy bez taty?

Pan Holler ma kamienną twarz, za to Joe uśmiecha się szeroko.

- Lucy, jakim cudem zorientowałaś się, co robimy? - pyta. - Widzę, że odziedziczyłaś bystrość po ojcu.

- Jest tu dwoje detektywów, Joe - mówi Adam Holler. - Jeśli już musisz o tym mówić, to czy przynajmniej mógłbyś to robić ciszej?

- Przepraszam - ryczy Joe. - Przedstawię ci nasz plan, Lucy. - Nachyliła się do mnie, ale nie zniża głosu. - Twój ojciec zawsze myślał o zablokowaniu mostu. Czy możesz w to uwierzyć? Mostu! Wyobrażasz sobie ten bałagan i te korki, jakie by powstały, gdybyśmy tak zatarasowali most jakimś wrakiem? Pomyśleliśmy, że byłby to najlepszy sposób upamiętnienia twojego ojca. Coś w rodzaju skromnego pomnika. Wrak imienia Eryka Schaffera.

Adam Holler nerwowo rozgląda się po pokoju, czy przypadkiem ktoś nas nie podsłuchuje.

- Problem polega na tym - ciągnie Joe, przestępując niepewnie z nogi na nogę - że na moście są kamery. I to jest prawdziwe wyzwanie. Musimy kilka razy przejechać się mostem tam i z powrotem, żeby się im przyjrzeć.

- Ciii - syczy Adam Holler.

Joe głośno wzdycha i skubie źle leżący garnitur.

- Musimy być bardzo sprytni, bo inaczej nas złapią.

- No pewnie - mówię. - Mogłabym się do was przyłączyć.

- Co, Lucy, chcesz nam pomóc? - ryczy Joe.

- Dlaczego nie? Podoba mi się pomysł wraka imienia Eryka Schaffera.

W obawie, że Joe stanie się jeszcze hałaśliwszy, Adam Holler wyciąga go z przyjęcia.

Joni Rimbaldi, była sekretarka taty, która miała się z nim spotkać na lunchu akurat w dniu jego śmierci, opowiada, że właśnie wychodziła z domu, kiedy zadzwonił do niej Scott z tą tragiczną wiadomością.

- I wiesz co - mówi - kiedy dziś rano otworzyłam szafę, pomyślałam, że nie włożę takiej ładnej granatowej sukienki, którą noszę od wielkiego dzwonu. Wybrałam coś, co włożyłam w tamtym dniu na spotkanie z Erykiem. Wiedziałam, że muszę w tym właśnie być na pogrzebie. Trzeba mieć świra, nie uważasz?

Wybuchła śmiechem, ale ten śmiech jest nerwowy, więc ją uspokajam. Joni, starsza pani z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami, to w gruncie rzeczy osoba przytomna i obliczalna, dlatego widzę, że jest przestraszona własnym zachowaniem.

- Czy ten żakiet nie wydaje ci się za jaskrawy? - pyta.

- Nie. Jest w porządku, Joni, wyglądasz bardzo dobrze. Tata też na pewno byłby tego zdania.

- Wieczorem muszę włożyć coś cieplejszego. Lecimy do Maine.

- Po co spędzać wakacje w Maine, kiedy się mieszka w jednym z najpiękniejszych zakątków świata?

Po przejściu na emeryturę Joni wraz z mężem przeniosła się do Tigertail Bay, miejscowości co roku uznawanej za jedną z najpiękniejszych, o plaży najbardziej obfitującej w foki.

- Moja siostra obchodzi jutro sześćdziesiąte urodziny. Mieliśmy wylecieć wczoraj, ale przecież nie mogłabym opuścić pogrzebu Eryka. To tak, jakbym nie przysłała na umówione spotkanie. - Joni uśmiecha się łzawo.

Kiedy wszyscy goście jedzą i wydaje się, że już nic więcej nie zostało do powiedzenia, podchodzi do mnie wysoka, szczupła, siwa kobieta i dotyka mojego ramienia.

- Lucy... pewnie mnie nie poznajesz?

Przyglądam się kobiecie. Siwe włosy ma luźno podpięte. Piwne oczy, ogorzała cera, miły uśmiech.

- Pani Joseph! - Znów jestem nieokrzesaną nastolatką. - To pani. - Czuję, jak się rumienię.

- Kiedy ostatni raz mnie widziałas, moje włosy z pewnością nie były siwe. - Śmieje

się. - No i ważyłam z pięć kilo mniej. - Wiek dopadł w końcu panią Joseph. Mąż umarł, dzieci dorosły, urodziły się wnuki. Kwituje upływ czasu smutnym uśmiechem. - Miło cię widzieć. Przykro mi, że mnie wczoraj nie było, kiedy wpadłaś. Latami czekałam, aż przyjedziesz w dolinę i nas odwiedzisz. Bardzo nam było cię brak po tym koszmarnym wypadku. Mam nadzieję, że do tej pory wybaczyłaś już Robertowi.

Kiedy nie mogę znaleźć słów, pani Joseph przychodzi mi z pomocą.

- Długo nie mógł cię przeboleć. Ale wreszcie się ożenił, i to chyba dobrze.

Mieszkają w Wirginii, a ich najmłodsze dziecko ma teraz osiem miesięcy. Byłam u nich jakiś czas, wróciłam wczoraj wieczorem.

Mówimy o tym, jak Robert po tak długim pobycie w szpitalu mógł zostać lekarzem.

- Mam nadzieję, że ta sprawa nie wpłynęła na twoje życie, w każdym razie nie w sposób zasadniczy - mówi.

- Oczywiście, że wpłynęła. - Ale nie wdaję się w szczegóły, nie mówię, że po tym, jak rodzina Josephów całkowicie się ode mnie odcięła, w mojej głowie i w moim sercu zamknęły się jakieś drzwi. - Przez dłuższy czas miałam kłopoty z poruszaniem się, więc tego lata dużo czytałam i myślałam i to właśnie wtedy zdecydowałam się na pracę w bankowości.

Pani Joseph opowiada mi, jak pewnego dnia, w dwadzieścia cztery godziny po wyjeździe Roberta do szpitala w Baltimore, w którym wówczas pracował, jej mąż umarł w sady na atak serca. Gdyby urlop Roberta był o jeden dzień dłuższy, niewykluczone, że zdołałby uratować ojca. Step wykłada na Instytucie Technologii w Massachusetts, a Morton, najstarszy z trzech braci, prowadzi farmę.

- Ale przede wszystkim chciałam ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca. Przez te wszystkie lata dość dobrze go poznałam i bardzo polubiłam.

- Pani? - Uważałam, że jej obecność na pogrzebie taty jest niczym więcej jak tylko dobrosąsiedzkim gestem.

- Lucy, może byś odwiedziła mnie i Ralpha w najbliższym czasie?

- Bardzo bym chciała - przyznaję. - Od lat miałam na to ochotę. Ale już w sobotę wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- A co robisz zaraz po pogrzebie? - pyta. - Och, pewnie musisz być z rodziną...

Mam ochotę odwiedzić panią Joseph i przez dziwną krępującą chwilę wydaje mi

się, że to właśnie Josephowie są moją rodziną.

- Przyjadę... przyjadę na farmę trochę później - obiecuję.

32

Przejeżdżam akwedukt i skręcam w bujną oazę Josephów, która wydaje mi się swojska i przyjazna jak dom. Wieczne słońce tworzy na trawniku kieszenie cienia i otula duży dom światłem ulotnym jak tajemnica.

Ralph i pani Joseph słyszą mój samochód i wychodzą naprzeciw. U ich boku biegają dwa psy, dysząc i leniwie machając ogonami. Pani Joseph przebrała się w jasną luźną sukienkę i zaczesła włosy do góry. Ralph ma na sobie spodnie ogrodniczek. Gdy jego siostra ściska mnie wylewnie, on uśmiecha się i znika w ogrodzie.

- Jadłaś coś dzisiaj? - pyta pani Joseph, prowadząc mnie do domu.

- Nie.

- Jesteś głodna?

Ze zdumieniem stwierdzam, że jestem, i zjadam całą porcję apetycznej sałaty, którą gospodyni stawia przede mną. Wielkie psiska nie spuszczają mnie z oka, czekając na kawałki chleba i waląc ogonami w podłogę.

- O, bardzo dobrze - mówi na widok mojego pustego talerza pani Joseph, która właśnie wróciła do pokoju. Poszła po zdjęcia i teraz siada z nimi koło mnie. - To jest pierwsza sprawa, którą chciałabym załatwić. To znaczy zaspokoić twoją ciekawość na temat Roberta.

Jedno po drugim wręcza mi, z krótkim komentarzem, zdjęcia Roberta, ślubne i jeszcze wcześniejsze, ale w większości te najświeższe.

- Nic się nie zmienił - mówię.

- Niezupełnie. Wydaje mi się, że dojrzał i mimo wszystko po wypadku trochę się zmienił. Myślę, że to się bardzo szybko odbiło na jego twarzy.

- Ma bardzo piękną żonę.

- Jest podobna do ciebie. Też pracuje w banku. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Może zresztą nie. O, a tu twoje bardzo stare zdjęcie ze wszystkimi chłopcami.

Trzej chłopcy w wieku od pięciu do piętnastu lat. Wszyscy mają takie same czarne

kręcone włosy i leżą porozwalani na kanapie i na sobie nawzajem. A pośrodku - dziewczynka, pewnie dziesięcioletnia. Leży tak jak chłopcy i uśmiecha się jak oni.

- Ale... co ja tutaj robiłam?

- Chodziłaś po drzewach, ryzykowałaś życie na huśtawce, budowałaś najróżniejsze kryjówki - to, co normalnie robią dzieci.

Patrzę to na zdjęcie, to na panią Joseph.

- Ale przecież ja tu nie przychodziłam jako dziecko.

- Jak to nie? Oczywiście, że przychodziłaś. Twojej mamy nie było, a tata sporo wyjeżdżał, więc ty zostawałaś u nas.

- Często?

- Były takie lata, że często.

- Lata? To trwało latami?

- Nie pamiętasz. A szkoda, bo bywały naprawdę dobre chwile. - Głos pani Joseph jest spokojny, chociaż wyczuwam w nim nutę rozczarowania, wołałaby, żebym pamiętała te dobre chwile.

- Och, oczywiście, że przeżywałam tutaj cudowne chwile, ale wydawało mi się, że tylko tamtego lata, to znaczy tamtego lata z Robertem.

- Robert był twoim kumplem na długo, zanim został twoim chłopakiem. Dlatego pewnie skoczyliście od razu na głęboką wodę. Bo przez lata ćwiczyliście na płytkiej.

Wzdycham. Teraz rozumiem, dlaczego czuję się tu jak u siebie w domu.

Ograniczyłam związane z tym miejscem wspomnienia - ale nie uczucia - do jednego krótkiego lata.

- A... gdzie była wtedy Jane? Pani Joseph wstaje.

- Wasz ojciec zostawiał ją chyba u Carmichaelów. Albo u Spelmannów. Nie pamiętam. Lucy, mam jeszcze jedno twoje zdjęcie. Poczekaj chwilę, zaraz je przyniosę.

Po jej wyjściu przyglądam się zdjęciom znacznie dokładniej, niż mi wypadało przy niej. Najpierw ja i chłopcy. Leżymy swobodnie na kanapie. Robię wrażenie wyluzowanej i szczęśliwej. Mam warkocz, który jeden z chłopaków podnosi pionowo do góry.

A potem wyciągam całkiem świeżą fotkę Roberta. Podchodzę do okna i obracam ją do światła. Widzę, że czas obszedł się z nim łagodnie. Może trochę zmienił mu twarz, bo linie, które na niej wyrzeźbił, nadały jej pewną surowość.

Kiedy podnoszę wzrok, widzę Ralpa. Stoi przy oknie kuchennym i uśmiecha się do mnie, podobny w swoich ogrodniczkach do Rebeki z Sunnybrook Farm. Zastanawiam się, czy ktokolwiek w tym domu ma jakieś tajemnice, których by nie znał Ralph.

- Cześć, Ralph - mówię z rezygnacją.

- Ładne zdjęcie. - Uśmiecha się i znów znika, wtapiając się w zielenią ogrodu.

- Poznajesz te dwie młode osoby? - pyta pani Joseph, która właśnie wróciła z małym zdjęciem w ręku. Młody Robert z burzą loków opadających na twarz. Mocno obejmuje ramieniem zielonooką ciemnowłosą dziewczynę, która śmieje się nie do obiektywu, tylko do niego. Patrzę na dziewczynę, jakbym patrzyła na własnego ducha.

Pani Joseph czeka, gdy ja oglądam zdjęcie. Ponieważ się nie odzywam, pyta:

- Co cię tak w tym zdjęciu intryguje?

- Jej uśmiech. To znaczy mój uśmiech.

- Czujesz się, jakbyś patrzyła na kogoś obcego, tak?

- Tak. Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek byłam tą dziewczyną.

Pani Joseph delikatnie bierze ode mnie zdjęcie i sama mu się przygląda.

- Dlaczego, Lucy? - Oddaje mi zdjęcie. - Przecież jest do ciebie podobna.

- Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek byłam taka szczęśliwa.

Pani Joseph wstaje.

- Oczywiście, że byłaś. - Popycha w moją stronę maszynkę do robienia lodu, a odgłosy, jakie ona wydaje, bulgoty i chrupanie, kojarzą mi się ze zbrodnią, która się dokonuje w środku.

Opieram nogi na poprzeczce krzesła i obejmuję ramionami kolana.

- Byłam tu szczęśliwa. Lubiłam ten dom. Zawsze kłębił się u was tłum ludzi - jedni wchodzili, inni wychodzili, dużo gadania, śmiechu i psów. Podobało mi się, jak pani rozmawiała z mężem, grzecznie, a jednocześnie tak jakoś intymnie. I z takim szacunkiem. Nigdy przedtem nie zdawałam sobie sprawy, że w miłości tak ważne jest wzajemne poszanowanie.

Pani Joseph się uśmiecha.

- A ty myślałaś, że na czym polega miłość? Na władzy jednej strony nad drugą?

Ja też się uśmiecham. Czuję się teraz silna. Dostatecznie silna, żeby zapytać:

- Czy pani winiła mnie za ten wypadek?

- Czy ja cię winiłam? Jak ktokolwiek mógłby cię za to winić?

- Robert prowadził, obejmując mnie ramieniem.

- Gdybym już miała kogokolwiek winić - choć nie wydaje mi się to w ogóle możliwe - winiłabym Roberta. - Stawia na stole dwie szklanki z wodą i lodem i siada przed jedną z nich.

- Ja go nie prosiłam, żeby mnie obejmował - dodaje. - Ale może zareagował w ten sposób na coś, co powiedziałam czy zrobiłam. I wobec tego mogłam być odpowiedzialna za wypadek w sensie technicznym.

Pani Joseph w milczeniu sączy wodę. I to milczenie zmusza mnie do dalszego mówienia.

- To znaczy... myślałam, że właśnie dlatego Robert się do mnie więcej nie odezwał. I że pani też dlatego się ze mną nie skontaktowała po wypadku. Bo uważaliście, że to moja wina...

Pani Joseph w zamyśleniu odwraca głowę. Popija wodę. Wreszcie mówi:

- To dawne dzieje i nie ma sensu do tego wracać, ale chciałabym cię o coś zapytać.

Czekam.

- Czy kiedykolwiek zadzwoniłaś do Roberta po wypadku?

- Nie...

- A do mnie?

- Nie, to znaczy pani nie dzwoniła, więc myślałam, że pani jest na mnie zła, i dlatego...

- A my pewnie uznaliśmy, że skoro się nie odzywasz, to znaczy, że masz do nas żal.

Słońce pada przez kuchenne okno prosto na moją twarz.

- Och, nnnie - jąkam się. - W żadnym razie nie miałam żalu do Roberta, do pani ani do nikogo.

Pani Joseph przygląda mi się badawczo. Jej uśmiech jest pełen zrozumienia. Zastanawiam się, co ona rozumie.

- Ktoś musi pierwszy podnieść słuchawkę, Lucy. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. - Popija wodę. - Dziś już z pewnością nie jesteś tą osobą, która siedzi i czeka, aż inni do niej zadzwonią. Ojciec był z ciebie naprawdę dumny, mówił, że świetnie sobie radzisz w inwestycjach bankowych.

- Chodzi o finansowanie przedsiębiorstw. Tyle że tata tego nie odróżniał.

- Może był zbyt zajęty cierpieniem, żeby się nad tym zastanawiać. - Pani Joseph chichocze, tak jak dawniej, jakby bąbelki powietrza wydostawały się na powierzchnię wody. - Przykro mi, Lucy, ale przemówienie twojego szwagra było nie do przyjęcia. Tak mnie zirytował, że całe popołudnie o tym myślałam. Chodzi mi o to, że każdy z nas jest w jakimś stopniu samotny i każdy z nas czuje się czasem outsiderem. Nie wiem, czy to ma cokolwiek wspólnego z wychowaniem w społeczności poligamicznej.

W duchu cieszę się tą krytyczną opinią pani Joseph o przemówieniu Larry'ego. Jego pozycja jest w naszej rodzinie nienaruszalna.

- Mnie się też to przemówienie nie podobało - mówię z pewnym entuzjazmem. - Okropnie się czułam, słuchając o samotności taty. Zwłaszcza kiedy pomyślę, jak bardzo go musiało boleć, że mnie tu nie było i że nie mogłam złagodzić jego samotności...

Pani Joseph potrząsa głową.

- Moim zdaniem twój ojciec nigdy nie był człowiekiem samotnym, w żadnym razie.

Myślę o białej prędze wokół nadgarstka taty. Szesnastolatek, który świeżo przyjechał wozem dostawczym z rybami, leży w obcym pokoju w akademiku i słucha obojętnego chrapania współlokatorów. Albo ruchu ulicznego czy głosów za oknami, do których nie jest przyzwyczajony. Nie może zasnąć z powodu zapachów i świateł miasta, ponieważ tam, gdzie się wychował, znał tylko głęboką ciszę gór i światło księżyca. I tęskni za rodziną, a także za wszystkimi i wszystkim, co kochał.

- Ale tata nigdy się nie śmiał - mówię cicho. Z trudem przechodzi mi to przez gardło. Bo jest to rodzaj krytyki. Ojcowie powinni się śmiać,

- Jak to się nie śmiał?! - wykrzykuje pani Joseph, szeroko otwierając oczy.

- Ale nie tak prawdziwie. Nie z brzucha. Nie od serca.

- Jak najprawdziwiej! Na miłość boską, Lucy, siedział dokładnie w tym samym miejscu co ty teraz i śmiał się do rozpuku.

Patrzę z niedowierzaniem na panią Joseph, która jest szczerze ubawiona.

- To zasługa Stepa, że twój ojciec tyle się śmiał. Step był w dzieciństwie istnym klaunem.

- Nie pamiętam, żeby ojciec kiedykolwiek śmiał się do rozpuku.

- A czy świadomość, że tak było, poprawia ci samopoczucie?

- Chyba tak.

- No to wiedz, że śmiał się długo, serdecznie i często. A poza tym miał poczucie humoru i potrafił rozśmieszać innych.

Tata w domu Josephów wśród całego tego zgiefku, tłumy ludzi i śmiechu. Siedzi w ich kuchni i patrząc na dziecinne wygłupy Stepa, zarykuje się ze śmiechu. Zna Josephów tak dobrze, że wyjeżdżając w teren, nie waha się zostawiać mnie pod ich opieką.

Pani Joseph zdaje sobie sprawę, że o tym myślę. Śledzi moje myśli jak ktoś, kto stoi na dworcu kolejowym i obserwuje nadjeżdżający wolno pociąg. Czeka w miejscu mojego przeznaczenia.

- Jak to się stało, że pani znała tatę tak dobrze? Chciałam panią o to spytać. I pani przyjaciółka, Barbara Marcello. Może mi pani powiedzieć, czy ojca coś łączyło z nią albo z jej synem?

- A czy ojciec ci mówił o jakichś związkach z nimi?

- Nie.

- To znaczy, że albo nic takiego nie było, albo było to coś mało ważnego, albo bardzo osobistego.

- Tata co roku wpłacał pieniądze na coś, co się nazywa Funduszem Powierniczym Marcello. Jestem przekonana, że ma to coś wspólnego z Rickym Marcello. Ricky znał tatę. Kiedy próbowałam go o to pytać, dostał szału. Rzucił się na mnie.

- Bardzo przykro mi to słyszeć. Czy zrobił ci krzywdę?

- Krzywdę może nie. Ale trzymał mnie i mi groził.

- Cieszę się, że nie zrobił ci krzywdy. A ty? Zrobiłaś mu coś?

Wstydzę się przyznać do tego, jak bardzo chciałam złamać mu stopę. Na życzenie pani Joseph demonstruję moje zachowanie, delikatnie wkręcając obcas w jego wyimaginowaną stopę. Odgrywam to zupełnie beznamiętnie, a pani Joseph wybucha śmiechem, w którym poznaję te jej charakterystyczne bąbelki.

- Wygląda na to, Lucy, że z was dwojga to on wyszedł z tej konfrontacji bardziej poszkodowany.

- Musiałam się bronić. Zachowywał się tak, jakby naprawdę chciał mnie zabić.

- Wierzę ci. Ricky rzeczywiście potrafi być groźny, jeśli chce. Nie zapominaj, że zawsze miał bardzo gwałtowne usposobienie. Barbara się tym martwiła, ale nawet ona

przyznawała, że Ricky muchy by nie skrzywdził. I jest bardzo dobry dla Ralpa.

Pani Joseph najwyraźniej mówi o kimś innym niż Ricky, z którym ostatnio miałam do czynienia.

- Zabiera go na przejażdżki starymi autami, które naprawia w swoim warsztacie w San Strana. Od czasu do czasu wsiada z nim nawet do wozu holowniczego i pozwala mu pojeździć po terenie farmy. A to graniczy z bohaterstwem. Nikt z nas jeszcze nigdy nie pozwolił Ralphowi prowadzić żadnego pojazdu. Potrząsam głową.

- Myślę, że Ricky Marcello ma drugą naturę, której pani nie zna.

- Możliwe. Dotyczy to większości z nas.

- Ale to podła natura. Naprawdę podła. Jeśli mam być szczerą, podejrzewam, że Ricky w jakiś sposób przyczynił się do śmierci taty.

Pani Joseph dolewa nam wody. Duży plaster cytryny z dzbanka wpada do mojej szklanki i rozpryskuje wodę na stół.

- Posłuchaj, Lucy. - Twarz pani Joseph odzyskuje siłę, a kiedy jej piwne oczy zapalają się blaskiem, również i urodę. Zastanawiam się, czy jej oczy iskrzą humorem, czy ciekawością. Ale kiedy mówi, w jej głosie słyszę ostrzeżenie. - Jakie masz dowody, by stawiać tak ciężkie zarzuty?

Do ciotki Ziny wracam późno. Sasza czyta gazetę; na szerokiej twarzy ma niewielkie połówkowe okulary. Ciotka, która codziennie uczy się po troszku Puszkina, siedzi z nosem w starym rozpadającym się egzemplarzu, a nie - ku mojemu rozczarowaniu - w nowiutkim ode mnie.

Są zadowoleni, że przyszedłam. Czekali na mnie, chcieli omówić pogrzeb, wystąpienia Larry'ego i Scotta, żałobników.

Zapadam się w fotel wuja Pawła, Siadywał tu codziennie, paląc fajkę, i fotel nosi świadectwo jednego i drugiego.

- Dziękuję wam bardzo za przywiezienie mamy. I za wszystko - mówię, a oni z mojego tonu domyślają się, że zaraz zapowiem swój wyjazd. Miny im się wydłużają.

- Jeszcze nie mam rezerwacji, ale mam zamiar lecieć w sobotę.

Namawiają mnie, żebym została dłużej.

- Naprawdę muszę wracać, bo wyrzucą mnie z pracy - staram się ich przekonać.

- To wobec tego - mówi ciotka Zina, która zdążyła już wstać i człapie w stronę

kuchni - znajdź sobie inną. Tu, w Kalifornii.

Zapewniam ją, że już jadłam, i błagam, żeby mnie nie karmiła, ale mimo to pojawia się z talerzem ciasteczek domowej roboty. Omawiamy pogrzeb i zgadzamy się, że tym razem matka zachowywała się nienagannie i przyniosła chlubę rodzinie, uświetniając swoją obecnością uroczystość. Mówią mi, że Larry się postarzał, a Scott jest przystojny.

- I Jane - dodaje ciotka Zina - nadal jest bardzo piękna. Może nawet piękniejsza niż dawniej.

- Mamo, ona zawsze była podobna do Greta Garbo - wtrąca Sasza, który w młodości spędzał znacznie więcej czasu, oglądając stare filmy, niż ciotka uważała za wskazane.

Ciotka Zina wstydliwie wyciąga małą paczkę, zawiniętą w bibułę i związaną wstążeczką, zapewne wielokrotnie używaną. Wstążka jest miejscami różowa; reszta spłowiła i straciła wszelki kolor.

- Ze względu na ciebie, Lucy, wykonałam pewną pracę. Do soboty ją skończę. Mam tylko nadzieję, że sprostam zadaniu.

Wręcza mi paczkę. Pociągam za wstążeczkę i rozwijam bibułę, która cicho szeleści. Wewnątrz są listy.

- To są listy matki do córki. Zostały napisane przez babcię do twojej mamy. Kiedy babcia umarła, przekazał mi je twój tata, co było wspaniałomyślnym gestem, tak typowym dla tego przyzwoitego człowieka. Postanowiłam specjalnie dla ciebie te listy przetłumaczyć. Mam nadzieję, że to docenisz.

Wyciągam z koperty cienki, kruchy arkusik papieru. Jedna strona jest zapisana cyrylicą. Ciotka Zina stara się z tych suchych kartek wycisnąć to, co matka powinna dać córce, ponieważ wie, że - cokolwiek to jest - od własnej matki dostać tego nie mogłam. Papier szeleści w moich palcach i ten dźwięk rezonuje boleśnie w jakimś czułym miejscu mojej duszy. Nic z tego, co zostało tu napisane, nie zastąpi czulego matczynego dotyku.

- Dziękuję ci bardzo, ciociu - mówię. - Doceniam ten prezent.

- Tłumaczenie będzie skończone przed twoim wyjazdem - zapewnia ciotka i pokazuje na zniszczonego Puszkina. - Zaczęłam od przetłumaczenia dla ciebie fragmentu naszego największego poety, ale bardzo szybko się okazało, że moja angielszczyzna jest zbyt uboga.

Sasza bierze stos listów i przygląda się im przez swoje małe okulary.

- Czy te listy są ciekawe? - pyta.

- Są pełne macierzyńskich rad, bardzo cennych dla młodej kobiety.

Sasza wybiera na chybił trafił jedną z kopert i czyta wyjęty z niej list.

- Mamo, Lucię naprawdę niewiele obchodzi, ile trzeba wziąć mąki na pieróg - mówi.

- Ale ja bym się bardzo chętnie nauczyła piec pieróg - zapewniam go szybko.

- Rad można udzielać na różne sposoby - mówi ciotka Zina. - Babcia nie lubiła używać telefonu, wolała pisać, i to całe szczęście.

Wpatruję się w nieprzeniknioną cyrylicę kolejnego listu, jakby to był szyfr.

- Pokaż - mówi Sasza. - O, ten nosi datę pierwszy czerwca. „Moja najdroższa Tanieczko...”. Hmmmm. - Wzrokiem przebiega stronę. - Dobrze. „Moja najukochańsza Tanieczko, brak mi słów, żeby wyrazić smutek, jaki czuję w swojej duszy, a także ze względu na twoją rodzinę i na biednego maleńkiego Nikołaja...”.

- Ach, tego jeszcze nie przetłumaczyłam. To jest ostatni list, który mama napisała, i odnosi się do śmierci twojego brata. Potem babcia przeniosła się na dłuższy czas do was.

- „...ale przede wszystkim ze względu na ciebie, maleńka. Tylko matka, która straciła syna, może zrozumieć twój ból i...” - Sasza wzrusza ramionami i przerywa czytanie. - Och, nie wiem. *Toská*.

- Może nieszczęście? - podsuwa ciotka Zina.

- To nie dość mocne. Rozpacz? Rozumiesz, o co chodzi, Lucia.

- Aha. - Nieoczekiwanie mam w gardle wielką kluchę.

- „Będziesz teraz patrzyła na inne dzieci, nawet na drzewa, jak rosą i dojrzewają, i będziesz z bólem myślała, jakim wspaniałym mężczyzną mógłby być twój Nikołaj...”. Boże, jaki styl miała babuszka. No, ale czytam dalej. „Przyjadę do was, a kiedy już będziesz mogła mówić, opowiesz mi, jak doszło do tej straszliwej... katastrofy... wypadku. I potem możesz mi to opowiedzieć... jeszcze raz. Bo wiesz, nigdy nie zapomnę zgrozy, kiedy straciłam mojego ukochanego Paszę. Wyrazu twarzy strażnika kolejowego, który powiedział, że dziecko nie żyje i że musi je zabrać. Nie mogę nawet myśleć o pustce moich rąk, kiedy ten człowiek wziął z nich maleńkie, doskonałe ciało mojego synka.

Miałam ochotę chodzić po pociągu i wyć, i opowiadać każdemu o mojej stracie, a potem to samo na statku i kiedy przyjechaliśmy do Ameryki. Tutaj też chciałam każdemu opowiadać o moim synu i o tym, jak umarł...".

Sasza przerywa i patrzy na mnie figlarnie.

- Jeśli mam być szczery, Lucia, to opowiadała. Musieliśmy słuchać tej historii w kółko, bez końca.

- Moja matka bardzo cierpiała, gdy Tania straciła syna - mówi ciotka Zina. - Zachowywała się tak, jakby to jej syn umarł po raz drugi. Nie ukrywam, że byliśmy radzi, kiedy do was wyjechała. Z pewnością była Tani potrzebna.

- Zupełnie nie pamiętam mojego brata - mówię. - W ogóle sobie nie przypominam jego śmierci.

Ciotka Zina podnosi wzrok i wpatruje się we mnie surowo.

- Jak to w ogóle? Nic?

- Nic.

- Nie mów, wiem, że byłeś mała, ale ja też byłem mały - odzywa się Sasza - a przecież pamiętam ten potworny wypadek.

- Saszeńka, miałeś cztery latka. Co ty mogłeś pamiętać? - dziwi się ciotka Zina.

- Wszyscy płaczą. Ciotka Zoja siedzi tu, gdzie teraz siedzisz ty, i powtarza w kółko: „Moja biedna, kochana Tania”. Babcia rozpacza. Myślę, Lucy, że w związku z historią twojego brata po raz pierwszy w dzieciństwie otarłem się o śmierć, nie, może nie tyle o śmierć, ile o żałobę.

Potworna katastrofa, wypadek. Wszędzie *toská*. Cała rodzina we łzach. Babcia w rozpacz, jedzie na pomoc mamie. Gładka tafla naszego życia rozbita, może na zawsze, przez fakt śmierci maleńkiego chłopca.

Głos odmawia mi posłuszeństwa, jest chropawy, jakbym weszła na pełen kurzu strych.

- Ja nawet nie znam jego imienia.

- Amerykanie nazywali go Nicky, ale my nie. Dla nas on był Kola.

- Kola? Kola. - Mam ochotę powtarzać to w kółko. - Kola. - Jakby to imię mogło mi przybliżyć wspomnienie małego braciszka.

- Kola to popularne zdrobnienie od Nikołaj - wyjaśnia Sasza. - Czy imię Nikołaj,

Kola, brzmi dla ciebie znajomo, Lucia?

- Nie... nie sądzę... - mówię przez zaciśnięte gardło, które próbuje ocenzuować moje słowa. Nigdy nie zadałabym tego pytania, gdyby żył tata albo gdyby była z nami Jane.

- A co się właściwie takiego stało, w jaki sposób mały umarł? Sasza i ciotka Zina wymieniają spojrzenia.

- Może zwróciłaś uwagę na dziwny zbieg okoliczności, że ojciec i syn zginęli w tym samym miejscu?

- Owszem. Potraktowałam ten fakt jako jeszcze jeden dowód na to, że morderca taty musiał go dobrze znać. Jeśli wiedział, że jego dziecko zginęło w Big Brim, to uznał, że jest to miejsce dostatecznie wiarygodne, by upozorować w nim samobójstwo.

- Słusznie. - Sasza kiwa głową.

- Chociaż - dodaję - nie można wykluczyć szczególnego zbiegu okoliczności.

Matka i syn znów wymieniają spojrzenia.

- Zbiegi okoliczności się zdarzają - mruczy Sasza.

- O, tak, spotkałam się z wieloma - spieszy z poparciem ciotka Zina. - Im człowiek dłużej żyje, tym częściej się o tym przekonuje.

Zapada milczenie.

- No więc, powiedzcie mi wreszcie, co się stało wtedy na plaży w Big Brim?

- Tania posadziła dziecko za blisko wody, pewnie uważała, że światło i ruch fal spodoba się małemu. I nagle usłyszała straszny huk... - Ręce ciotki Ziny są pełne ekspresji. Są całym Oceanem Spokojnym... - Huk wielkiej, ogromnej fali, jakiej tego dnia jeszcze nie było. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, jak fala zabiera jej synka. Wskoczyła do morza, ale on już był tam, gdzie jest głęboko, poza jej zasięgiem. Bardzo szybko poszedł pod wodę.

Wpatruję się w ciotkę Zinę. Wielka fala, ogromne masy wodne, bezradność małego, targanego to w tę, to w tamtą stronę i w końcu pochłoniętego przez głębię.

- Ale przecież mogła popłynąć...

- Tania była bardzo kiepską pływaczką.

Przypomina mi się, jak Adam Holler mówił, że to matka uratowała mnie w basenie.

- Ale przecież mogła...

Sasza patrzy na mnie sponad połówkowych okularów i unosi brwi. Ciotka ucina moje protesty.

- W żaden sposób nie byłaby w stanie go uratować.
- To znaczy... że widziała, jak jej dziecko umiera?
- Kilka razy wypływał na powierzchnię, ale w końcu poszedł na dno.
- Widziała, jak jej dziecko umiera... - powtarzam. - Po tamtym wszystkim, co

widziała wcześniej...

Ciotka Zina energicznie kiwa głową.

- Tak, tak, widziała, jak umiera.
- Ciało - dodaje Sasza - nigdy nie zostało znalezione.
- Czy można się dziwić, że zwariowała? - pyta ciotka Zina.

Leżę w łóżku babki i patrzę, jak kurz krąży po pokoju niby ławica srebrnych rybek. Nie mogę zasnąć. Myślę o dziecinie, najpierw miotanej, a później połkniętej przez wielki ocean, i o Steviem, leżącym w błękitnej kołysce, i po chwili te dwa maleństwa zlewają się w jedno.

33

Nazajutrz rano idę szybko przez miasto. Wydaje mi się, że minęło wiele czasu od chwili, kiedy chodziłam do pracy, jak ci wszyscy ludzie. Oczy mam utkwione przed siebie, myśli skupione na tym, co przyniesie dzień.

Cieszy mnie świeżość wczesnego poranka. Wkrótce miasto będzie puchło i buzowało, ale teraz można się jeszcze posuwać szybko, bo nie przeszkadza upał. Mam wyostrzone zmysły. Zauważam urwane obrębki spódnic i zepsute kolczyki, a w górze głębię błękitnego nieba. Zapach wydostający się z barów śniadaniowych jest tak intensywny, że czuję się, jakbym sama jadła. Zauważam, że w kafejce ulicznej przy każdym stoliku siedzi tylko jedna osoba. Obserwuję stadko białych mew, które spada z góry na jednego z gości. Mężczyzna tupie nogą i macha ręką, płosząc ptaki, które zrywają się i odlatują, najpierw śmigając między ludźmi, a potem żeglując wysoko nad ich głowami. Przez chwilę mam uczucie, że jakaś cząstka mnie unosi się nad chodnikiem i budynkami, wysoko jak mewy. Widzę z góry siebie daleko w dole, jak idę szybko ulicą, a także ludzi siedzących przy stolikach i czytających gazety.

W końcu docieram do biblioteki. Jest wielka jak katedra. Panuje w niej chłód i zimne powietrze sprawia wrażenie, jakby się odbijało od ścian. Proszę pracownicę biblioteki o pomoc i już po upływie kilku minut zamówione gazety pojawiają się na moim stoliku.

Zaczynam od pierwszej z brzegu. Szerokim zamachem ramienia, z szacunkiem, odwracam kolejne strony. Spodziewałam się, że ton prasy z czasów mojego dzieciństwa będzie wyciszony i stonowany jak podstarzały krewny. Tymczasem jestem zaskoczona hałaśliwymi nagłówkami.

Początkowo pozwalam sobie na przeglądanie wszystkich artykułów, które mnie interesują, dopiero potem zaczynam szybciej przewracać strony. Wiadomości przelatują przed oczami jak wehikuł czasu.

List kondolencyjny babki nosi datę pierwszego czerwca. Nie spodziewam się więc sprawozdań ze śmiertelnego wypadku mojego brata przed trzydziestym pierwszym maja. Mogą być także pierwszego czerwca. Kiedy docieram do drugiego czerwca i w dalszym ciągu nie widzę żadnej wzmianki o wypadku, tracę nadzieję. Trzeci i czwarty czerwca przeglądam pobieżnie. Może śmierć małego dziecka na plaży nie wydawała się wydarzeniem na tyle ważnym, by je odnotować w prasie. I wreszcie na pierwszej stronie gazety z piątego czerwca widzę: „Dziecko ginie, porwane przez nienaturalnie wielką falę”.

Nachylam się nad tekstem i czytam: „Ośmiomiesięczny Nicholas Schaffer został wczoraj na plaży Big Brim porwany przez nienaturalnie wielką falę.

Śmierć nastąpiła o 10.10. Pani Tatiana Schaffer, bawiąca się na plaży ze swoimi dwiema córkami, pozostawiła na brzegu maleńkiego synka, którego porwała ogromna fala. Pani Schaffer nie umie pływać. Mimo to z pomocą innych próbowała, niestety bezskutecznie, ratować dziecko. Później do akcji poszukiwania ciała włączyła się straż graniczna, ale do dziś nie odnaleziono zwłok. Nieobecny w tym czasie doktor Schaffer, wykładowca uniwersytecki, poszedł za wydmy do samochodu po swetry dla dzieci. Nikt poza tym nie widział, jak fala zabiera dziecko, chociaż cytuje się świadka nieskutecznych prób ratowania maleństwa przez matkę.

Doktor i pani Schaffer są przesłuchiwanymi przez policję - kończy autor artykułu. - Detektyw Rougemont odmówił jakichkolwiek komentarzy w tej sprawie”.

W następnej gazecie czytam: „Policja ostrzega rodziców, żeby uważali na fale”.

Artykuł opisuje okoliczności śmierci Nicholasa, datując ją również na czwarty czerwca.

„Policja ostrzegala dzisiaj rodziców, żeby nie zostawiali dzieci bez opieki nad brzegiem morza bez względu na to, czy jest ono spokojne, czy nie. Ciało Nicholasa dotychczas nie odnaleziono. Miejscowy rybak, Kurt Langheim, tak skomentował tragiczny wypadek: »Big Brim to śmiertelna pułapka, ale ciała topielców zwykle wypływają w okolicach Retribution Bay. Może zwłoki dziecka były na to za małe«.

Ojciec małego Nicholasa jest wykładowcą uniwersyteckim na wydziale geologii i geofizyki. Pani Tatiana Schaffer pozostaje w szoku. Jej mąż potwierdził, że korzysta z opieki lekarzy, którzy stosują leki uspokajające. Policja wydała komunikat co do środków ostrożności związanych z korzystaniem z plaży, ale odmówiła jakichkolwiek komentarzy w tej sprawie".

Wracam do samochodu i stwierdzam, że promienie słońca odbijają się od maski. Kierownica jest gorąca i twarda, jakby ją ktoś upiekł w piecu.

Kiedy podjeżdżam do domu taty, widzę już na miejscu Jane. Otwiera drzwi stodoły, sięgając wysoko do zasuw. Jej postać jest wyciągnięta w znak wykrzyknika. Jest mi przykro, że była w domu sama, wystawiona na niebezpieczeństwo, więc przepraszam ją, że tak późno przyjechałam.

Natychmiast mi wybacza.

- Jest dziś za gorąco na to, żeby się bać - mówi. - Poza tym geolodzy z uniwersytetu będą tu lada chwila. Mam nadzieję, że się spodziewają takiej ilości kamieni.

Jej włosy mają w słońcu metaliczny połysk. Okrągłe kamienie w podjeździe wyglądają jak bańki we wrzącym kotle dnia.

Wchodzimy do stodoły i przystajemy przy drzwiach, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

- Jane, jest coś, czego nie rozumiem. Moja siostra się śmieje.

- Tylko jedna rzecz?

- Jane... - W stodole jest ciemno, ale nie chłodno, w ustach mam słoną suchość. -

Dowiedziałam się o... to... to bardzo trudne... o naszym bracie. O jego śmierci.

Jane odwraca się do mnie gwałtownie, tak że końce włosów odskakują jej od twarzy.

- W jaki sposób?

- Wczoraj wieczorem Sasza przetłumaczył mi list. Od babci do naszej mamy. I w tym liście babcia pisze, jak bardzo jest jej przykro z powodu śmierci małego. I... i wtedy zaczęły mi się nasuwać pytania.

Jane unosi brwi.

- Na przykład jakie?

- To się nie trzyma kupy, Jane. Cała ta historia o śmierci dziecka nie pasuje do faktów.

Moja siostra przygląda mi się badawczo w rzednącej ciemności. Ostre słońce tu nie dociera, ale jestem świadoma jego silnego światła i gorąca za plecami.

- Do jakich faktów?

Zaczynam jej opowiadać, jak to pewnego dnia mama i tata wzięli całą naszą trójkę na plażę do Big Brim, ale w tym momencie słyszę chrzęst kamyków na podjeździe i jęk silnika samochodu. Przyjechali geolodzy.

- Pokażę im to wszystko - mówi Jane - i będziemy mogły sobie dalej rozmawiać. - Nagle rozmowa na temat naszego brata wydaje się tak pilna, jakby dotychczasowe milczenie wokół tej sprawy załamało się pod ciężarem lat.

Geolodzy powoli, w lepkim upale, wysiadają z samochodu. Jeden z nich, wysoki, o miłej twarzy, przypomina tatę. Drugi ma brodę i koniecznie chce nam powiedzieć, ile ojciec go nauczył i jak mu pożyczał pieniądze na wyjazdy w teren, kiedy był biednym studentem.

- Takie gesty są bezcenne - mówi. - Absolutnie. Jestem jedną z licznych osób, które mają profesorowi Schafferowi wiele do zawdzięczenia, i bardzo chciałbym spłacić ten dług.

Przynoszę im zimne napoje, a Jane prowadzi ich do stodoły i wyjaśnia, jak Larry i Scott uporządkowali wielką kolekcję kamieni taty. W dalszym ciągu rozmawiają, kiedy podaję im drinki. Idę powoli na pomost, żeby tam poczekać na Jane. Po drodze zbieram serwetki, które po wczorajszym lunchu przeoczyła firma cateringowa.

Nad doliną ciągle jeszcze unosi się mgiełka upału. Wkrótce przebije się przez nią słońce. Kiedy upał osiąga taką intensywność, wtedy siedzi nad doliną jak otyły, leniwy mężczyzna i tylko gwałtowna burza może go przegonić.

Zwiedle liście wiszą w górze, jak mokra szmata, chociaż są suche. Pode mną dolina

opada i ciągnie się daleko jak ocean, mimo że jest lądem, brunatnym i spieczonym. Nagle koło mnie pojawia się Jane.

- Wszystko w porządku. Mają dużo pracy, mają dzban wody i na razie nas nie potrzebują. Możemy wrócić do naszej rozmowy.

Idę za nią przez dom i ganek. Trzask zamykających się za nami drzwi przesuwanych i stukot naszych kroków na deskach podłogi mogą być z powodzeniem odgłosami z dowolnego okresu naszego życia. Przechodzimy przez ogród i przez sad Hollerów. Słońce i upał leją się na nas z nieba, idziemy, jakbyśmy pokonywały opór wody.

- Dokąd idziemy? - pytam, chociaż już czuję się tak wyczerpana, że jest mi wszystko jedno.

- W dolinę, tak żeby nikt nas nie słyszał. Pamiętasz ten stary szlak?

Pamiętam, ponieważ szłam nim w przeddzień śmierci taty. Od tamtej pory upał wysuszył ziemię i zwarzył krzewy. Wydaje mi się, że w paru miejscach widzę własne ślady. Jane idzie zarośniętą ścieżką, trzymając ręce z dala od liści, a jej biodra i długie, szczupłe nogi kołyszą się w rytmie kroków stawianych po nierównym terenie. Dokoła stóp unoszą się obłoczki rudego pyłu.

Obchodzimy drzewa w sadzie Schnecków, ostrożnie jak zwierzęta. W butach mamy piasek. Schylamy głowy pod niskimi gałęziami, a potem przecinamy teren Spelmanów, brunatny i zaniedbany na obrzeżach. Wszędzie dokoła domów jest pełno kwiatów, nienaturalnie zielonych trawników, syczących zraszaczy.

I wreszcie znajdujemy się u stóp wzgórza. To już dolina. Spokojna, niesamowicie spokojna, jakby ktoś rzucił na nią czar. Ziemia jest spieczona. Słońce króluje tu niepodzielnie i nie ma jak się przed nim bronić - żadnych zraszaczy, basenów czy klimatyzacji. Praży drzewa, ziemię i skały - wszystko musi się poddać jego dyktatowi.

- Siądźmy - proponuje Jane. U stóp wzgórza sterczą duże głazy. Są rozgrzane, ale przed okrucieństwem słońca chroni je cień drzewa, pochylonego nad nimi, jak sądzę, od zawsze. Siadamy, nadal dręczone upałem, ale przynajmniej znajdujemy nieznaczną ulgę od światła, które oślepia.

- W porządku - mówi Jane. - Jestem gotowa. Podaj mi fakty dotyczące śmierci Nicky'ego.

Ze zdumieniem słyszę jego imię wypowiedziane zwykłym tonem, tak jak się mówi o czymś znanym, codziennym. Myślałam, że Jane, tak jak i ja, całkowicie o nim zapomniała.

Pocę się. Brak mi tchu, jakbym dalej szła w duszącym upale. Opowiadam Jane historię tamtej naszej wyprawy na plażę Big Brim, kiedy ja miałam cztery, a ona siedem lat. Mówię jej, jak tata poszedł po swetry i że właśnie wtedy niespotykanej wielkości fala zabrała małego, a mama nie mogła go uratować.

Jane kiwa głową.

- Tak - mówi. - Mniej więcej tak to wyglądało.

- Pamiętasz?

- Jasne. Przecież to była tragedia, którą przeżywałam w kółko tysiące razy.

Pamiętam dosłownie każdą sekundę.

- To dlaczego powiedziałaś policji, że wszystko zapomniałaś?

- Dlatego, że śmierć Nicky'ego nie ma nic wspólnego ze śmiercią taty. Jestem zdumiona, że oni ciągle do tego wracają. To była potworna tragedia, która dosłownie doprowadziła matkę do szaleństwa. Wiem, że w niektórych rodzinach mogłoby to wyglądać inaczej, ale myśmy uznali, że najlepszą metodą, by poradzić sobie z taką tragedią, jest najpierw ją opłakać, a potem zapomnieć. Tak zrobił tata, tak zrobiłam ja. A ty po prostu nie pamiętałaś. Aż do teraz. Z jakichś względów po śmierci taty ludzie znów zaczęli mówić o Nickym. Nie mogłam w to uwierzyć, kiedy Larry wyciągnął tę sprawę wobec wszystkich na pogrzebie. Przełykam i czuję w ustach smak sadu.

- Powiedz mi, Luce, jakie fakty odkryłaś, które nie pasują do tej historii?

- A, nic takiego.

- Proszę cię, powiedz. Powiedz mi, Luce.

- Pomyślałam, że to wygląda tak, jakby śmierć Nicky'ego została wyreżyserowana - mówię, a Jane patrzy na mnie z lekko uchylonymi ustami.

- Wyreżyserowana? - pyta cicho. - Boże, Luce, co masz na myśli?

- Tę nienaturalnie wielką falę, która miała porwać małego. Trudno sobie wyobrazić, że coś podobnego mogło się zdarzyć na plaży Big Brim... - Moje słowa posuwają się wolno po stromym zboczu, stopniowo jednak nabierają tempa i zaczynają toczyć się bez żadnych hamulców. - Chodzi mi o to, że to miejsce jest prawie jak laguna. Tam właściwie

nie ma fal. Ono nie jest bezpieczne, ale nie z powodu fal, tylko z powodu prądów. No i ta historia, że mama nie uratowała małego, bo nie umie pływać. Umie. Wiem, że nigdy nie pływała, ale pan Holler pamięta, jak kiedyś skoczyła do ich basenu i wyciągnęła mnie z wody, kiedy się topiłam. Ty mi zrobiłaś potem sztuczne oddychanie, ale z wody wyciągnęła mnie ona. Dlaczego nie zrobiła tego samego, kiedy topił się jej syn? Jednakże najdziwniejszy w tym wszystkim jest list, który napisała babcia, kiedy zginął Kola, Nicky. Pociesza w nim mamę, a list nosi datę pierwszego czerwca. A przecież w gazetach napisali, że mały utopił się dopiero czwartego. To znaczy, że babcia napisała list z wyrazami współczucia na trzy dni przed śmiercią dziecka? Czy nie wydaje ci się to dziwne?

Brak mi tchu i brak mi słów. Jane wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami, włosy ma przyklepione do policzków, i ciało z wdziękiem wychylone do przodu.

- Ale jak mogli wyreżyserować jego śmierć? - pyta.

- Nie wiem... Może dziecko było już martwe, może umarło wcześniej, w inny sposób, a oni tylko udawali, że się utopiło, żeby zatrzeć ślady...

Jane wzdycha.

- Nie ma się co przejmować datą listu babci. Mogła się łatwo pomylić co do daty, tak samo jak i gazety.

- A co z tą falą? Pamiętasz falę?

- Nie - przyznaje Jane. - Nie pamiętam. Żadna z nas jej nie widziała, chociaż potem wydawało mi się, że słyszałam jakiś huk.

- Co pamiętasz, Jane?

Odchyła się do tyłu i stopami opiera o głaz. Jej ciało jest długie i smukłe, nieznieształcone przez poród.

- Każdy szczegół - mówi w końcu. - Pamiętam dokładnie stopień szarości nieba. Kolor naszej piłki. Koszulę, jaką miałam na sobie. Mama kopnęła piłkę do ciebie, a potem się odwróciła i spostrzegła, że Nicky zniknął. Siedział na piasku, lekko przygarbiony, jak to niemowlaki, i potem nagle... już go nie było. Matka zaczęła krzyczeć, więc myśmy do niej podbiegły i wszystkie trzy gapiliśmy się w ten piasek, jakbyśmy sądziły, że im bardziej będziemy się w niego wpatrywały, tym większa szansa, że Nicky się pojawi. Upuściłaś wtedy piłkę i małe falki ją zabrały, i... do dziś ją widzę, jak tańczy przed nami

na wodzie. A Nicky'ego ani śladu. Tylko ta piłka podskakująca w górę i w dół. Matka zaczęła krzyczeć i machać rękami jak gigantyczna mewa. Prawdopodobnie myślała, że ktoś go zabrał, bo biegała wzdłuż brzegu tam i z powrotem, ale nie było nikogo na tyle blisko, by mógł to zrobić. I potem nagle - zobaczyłam go, to znaczy zobaczyłam niebieską czapeczkę. Całkiem niedaleko. A że morze było spokojne, więc weszłam po nią do wody. Matka rzuciła się za mną, rozpryskując wodę i krzycząc, a potem wyrwała mi z ręki czapeczkę i weszła jeszcze głębiej, mniej więcej po pas, tak że spódnica unosiła się za nią na powierzchni.

Zapada milczenie, które się przedłuża. Wysysa z powietrza cały tlen.

- Czy nikt nie pomógł? - pytam. - Nie było na plaży nikogo, kto mógłby pomóc?

- Owszem, przybiegło kilka osób, ale dopiero po chwili. Myśleli, że nam chodzi o piłkę. A zresztą zaraz pojawił się tata.

- A czy ty w ogóle widziałaś małego?

- Tak, z daleka, unosił się na wodzie. Leżał twarzą w dół, jakby pływał, ale jestem przekonana, że już wtedy się nie ruszał.

- Dlaczego mama po niego nie popłynęła? Dlaczego nie próbowała dostać się do niego w jakiś sposób? Jakikolwiek?

- Tata próbował. I to bardzo długo, ale Nicky'ego nie było już wtedy widać i tata musiał zrezygnować, bo prądy mało go nie wciągnęły pod wodę. Wtedy już wiedzieliśmy, że jest na wszystko o wiele za późno.

- Ale dlaczego matka nie weszła do wody, jak tylko zauważyła, że mały zniknął? - Głośno domagam się odpowiedzi. Strome ściany doliny ciskają we mnie moimi słowami. Zniknął, zniknął, nikał...

Jane płacze cicho.

- Luce, ja tego nigdy nikomu nie opowiadałam. Nigdy nie rozmawiałam na ten temat nawet z tatą, ale myślę, że i on musiał o tym wiedzieć.

Czekam, aż Jane powstrzyma łzy.

- Podejrzewam... zawsze podejrzewałam... że mama mogła utopić swoje dziecko.

Upał przygważdża mnie do kamienia, na którym siedzę. Czuję, jak ostre zadziorki i krawędzie pęknięć wrzynają mi się w ciało, ale nie mam siły się ruszyć. Ta skała jest tu od setek, tysięcy, może milionów lat i trzeba było jeszcze wielu milionów, żeby się

uformowała. Jest wytworem żywiołów, nieustępliwych jak dzisiejsze słońce, które ją rozciągały, kurczyły, omywały, kruszyły i rzeźbiły. Spod skały wygląda jaszczurka, wypęła z kryjówki i zamiera w bezruchu, w pyłe, jakby i ją upał przygwoździł do ziemi. Jej sucha, łuskowata skóra jest ponadczasowa, jej sposób życia jest ponadczasowy, jej prymitywne myśli są ponadczasowe. W potwornym upale nie wiem, gdzie jaszczurka, skała i Jane się kończą lub zaczynają. Wszyscy jesteśmy wytworem tych samych żywiołów, tak jak ziemia na dnie doliny.

- Nicky stanowił dla matki problem - mówi Jane. Jej głos jest monotony. - Ty i ja nie stwarzaliśmy problemów, a Nicky bez przerwy płakał i płakał. Był taki słodki. To znaczy, kiedy spał albo się bawił, był naprawdę rozkoszny. Ale głównie się darł. Matka nie mogła nic na to poradzić, więc w końcu zaczęła się wczuwać w jego nastroje i sama w kółko płakała. Kochała go bardzo, ale sobie z nim nie radziła, więc tata musiał gotować wszystkie posiłki i brać urlop w pracy, żeby pomagać przy dziecku, i w ogóle w domu panowało nieustanne napięcie. Wierz mi, Luce, zawsze miałam nadzieję, chciałam wierzyć, że matka nie zaplanowała utopienia swojego dziecka. Że to nie była chłodna kalkulacja. Nie, myślę raczej, że podjęta pod wpływem impulsu decyzja, żeby go nie ratować.

Teraz już i ja płaczę. Czuję, jak łzy pozostawiają na mojej zakurzonej twarzy gorące koleiny.

- Nie sądź jej zbyt surowo, Lucy. Wiem, że ją zrozumiesz.

- Nie będę jej sądziła - szlocham. - Jak bym mogła? Jane wstaje i zaczyna iść, obejmując mnie ramieniem.

- Musisz przecież wiedzieć, co się z nią działo. Kochała to dziecko i czuła się odpowiedzialna za jego śmierć.

Wyję. Jak zwierzę. Jak wilk. Ściany doliny powtarzają echem mój płacz. Jesteśmy z Jane otoczone przez stado wilków.

Przypomina mi się, jak to za czasów Stewego miłość dosłownie wylewała się ze mnie, rozchlapując się dokoła w ilościach dotychczas mi nieznanych. Masz, tak jak twoja matka - powiedziała ciotka Zina - zdolność kochania. Wydaje mi się, że moja miłość do Stewego odznaczała się nieprzewidywalnością i siłą pochłaniającej wszystko powodzi. Ale mój syn zdawał się kompletnie na nią nieczuły. Był niezadowolony z moich niesatys-

fakcjonujących wysiłków, by go nakarmić i zabawić, i nieustannie to niezadowolenie okazywał. Płakał i płakał, a ponieważ czułam, że jest częścią mnie, jego zawodzenie wyrażało jakiś wielki smutek, który w sobie miałam, i jakiś ból, którego istnienia nawet nie byłam świadoma. Wydalał z siebie moje cierpienie tak, by go słyszał cały świat. I kiedy odkryłam kocyk i z dziwnego spokoju zorientowałam się, że nie żyje, to czyż moją pierwszą reakcją, jeszcze przed szokiem, jeszcze przed cierpieniem, nie było uczucie zwykłej ulgi, że oto wreszcie zapanowała cisza?

- Jane, to była moja wina, że Stevie umarł - mówię. - Całkowicie moja wina.

Kiedy Stevie umarł i policja opuściła nasz dom, a ciemno ubrana kobieta zabrała jego ciało, spałam. Spałam przez dwadzieścia cztery godziny.

- Ciiii - mówi Jane, kiedy szlocham jej w ramię. - Ciii. Wiem. Ciii. - Uspokaja mnie czule, jakbym była małym dzieckiem. - To już przeszłość. Nicky nie żyje. Stevie nie żyje. To wszystko jest już za nami.

- Matka zachorowała zaraz po śmierci Nicky'ego. Teraz już rozumiem. Jej rozpacz była zaprawiona poczuciem winy.

Jane kiwa głową.

- Prawdopodobnie za szybko po jego śmierci pojechaliśmy do Arizony. To musiało być zaledwie w tydzień czy dwa po tragedii.

- Jakże te wakacje musiały być dla niej potworne. Jane bierze mnie za rękę i mocno ściska.

- Luce, czy kiedykolwiek myślisz o śmierci? - pyta.

- Myślę, i to dużo.

- Boisz się?

- Tak. - Chlipię.

- Czasami wydaje mi się, że to musi być coś cudownego. Te wszystkie głupie rzeczy, o które się martwisz, ta szaleńcza pogoń za szczęściem, to cierpienie, któremu nawet bogactwo nie jest w stanie zapobiec, świadomość, że druga połowa życia to nieuchronny schyłek... Widziałam ludzi umierających i bez względu na to, jak bardzo bali się śmierci, zawsze zapadali się w nią z czymś w rodzaju ulgi. Jakby się kładli do łóżka po naprawdę ciężkim dniu. A kiedy wreszcie przekraczali tę granicę, robili wrażenie naprawdę szczęśliwych, że już po wszystkim. Mówię ci o tym, bo chcę, byś wiedziała, że

to nie było takie straszne dla Steviego. Ani dla Nicky'ego.

Jestem wdzięczna Jane. Jej dobroć działa na mnie jak słońce. Dziękuję i wstaję. Rzędy dużych drzew owocowych ciągną się aż do mglistego horyzontu. Każde jest inne. Gałęzie opadają inaczej. Pnie są powyginane inaczej. Każdą korę pokrywa inny nalot. Ziemia pod drzewami jest porwana w głębokie bruzdy i kipi życiem jak morze.

Wiedząc, że teraz, po śmierci taty, nie mamy na całym świecie nikogo poza sobą i że tylko my dwie jesteśmy strażniczkami rodzinnej przeszłości, wsparte jedna na drugiej, ruszamy pod górę. Słońce osusza nasze twarze, kiedy brniemy, omijając domy, przedzierając się przez pozarastane działki, przez sad. Wysilek wspinania się całkowicie uniemożliwia myślenie i dopiero w naszym ogrodzie zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem brudna. Osiadły na mnie obłoki pyłu. Mam kurz w butach, kurz pokrywa moje nogi, czuję kurz w ustach.

- Powinnyśmy wziąć prysznic - mówi Jane zachrypniętym głosem.

Pokazuję jej gestem, żeby szła pierwsza, a sama stoję na pomoście i patrzę na miejsce, które dopiero co opuściliśmy. Z góry wygląda zupełnie inaczej. Jego rozległość jest uporządkowana. Drzewa wydają się identyczne, rosną w równych odstępach, są symetrycznie ukształtowane i powielone przez lustrzane odbicia swoich krótkich zgrabnych cieni.

Chowam się w domu. Na górze mijam pokoje taty, Jane i mój, aż wreszcie dochodzę do pastelowego niebieskiego pokoiku, o którym Kirsty powiedziała, że musiał należeć do mojego brata. Siadam na zakurzonym pudle i wyteżam pamięć. Usiłuję sobie przypomnieć cokolwiek na temat Nicky'ego. Jego łzy, jego uśpioną buzię, śmierć na plaży Big Brim. Ale mam całkowitą pustkę. Za każdym razem, kiedy próbuję sięgnąć do niego pamięcią, staje mi przed oczami małe białe ciało Steviego.

Na zewnątrz dolny ogród jest tak spokojny, że wygląda na własną fotografię, i tak nieruchomy, jakby wstrzymał oddech.

Siadam przy nagrobku taty. Myślę o potwornym ciężarze, jaki dźwigał, o potwornym ciężarze jego wiedzy.

- Cześć, Lucy.

Odwracam się i widzę kościstą twarz Michaela Rougemonta. Jego szare oczy przyglądają mi się ze smutkiem. Schodzi do dolnego ogrodu i siada koło mnie w

cętkowanym cieniu; za nim idzie Kirsty.

- Wszystko w porządku, Lucy? - pyta. Patrzy na moją zapłakaną twarz, na przyprószone rudym pyłem włosy.

- Wyglądasz, jakbyś uprawiała zapasy w błocie - mówi Kirsty.

- Po prostu wybrałam się na spacer w dolinę.

- O, musi ci się tam bardzo podobać - mruczy Rougemont. - Byłaś w dolinie również w przeddzień śmierci ojca. Dałem twoje buty do badania w laboratorium kryminologicznym i na podstawie ziemi, jaką na nich znaleźli, powiedzieli, że musiałaś być nie tylko tu, w ogrodzie, ale i w dolinie.

Wzdycham.

- W dolinie zaparkowałam samochód, to wszystko.

- A dlaczego w ogóle tu przyszłaś tamtego dnia? - pyta Kirsty. Patrzę na ich twarze - Rougemonta, zniszczoną jak egzemplarz Puszkina ciotki Ziny, i Kirsty, oświetloną nagle, kiedy gałąź w górze, odgięta lekkim podmuchem wiatru, przepuszcza promień słońca, który odsąca kolor z jej oczu, nadając im nową przenikliwość.

- Chciałam zobaczyć tatę. Ale nie było warunków do dłuższego spotkania. Zaglądałam do domu z pomostu przez zasuwane drzwi. Ojciec siedział w fotelu. Potem wróciłam w dolinę. A następnie do miasta. Byłam tu prawdopodobnie około wpół do drugiej.

- Taaak - mruczy Rougemont i głowa mu podskakuje. - Dziękujemy ci, że nam to powiedziałaś, Lucy.

Patrzę na jego dziwną twarz. Rozciągnięte usta, duży nos. Po raz pierwszy uderza mnie jego ostra inteligencja. Czy prowadząc dochodzenie w sprawie śmierci Nicky'ego, podejrzewał prawdę?

- Przepraszam, że wtedy skłamałam.

- Kiedy człowiek kłamie - mówi Rougemont - to przeważnie chce kogoś osłonić, nie siebie.

Kirsty kiwa głową.

- Musisz przestać brać odpowiedzialność za innych, Lucy. To może być niebezpieczne.

Patrzę na nią zdeorientowana.

- Gdzie byłaś w poniedziałek wieczorem po zapadnięciu zmroku? - pyta.

- W poniedziałek? - Siedzę w samochodzie i obserwuję Ricky'ego Marcello obserwującego Jane. - Och, tak sobie pojeździłam po mieście, a potem wróciłam do ciotki.

- Taaak - mówi Rougemont.

- Nie wysiadałam z samochodu. Dopiero kiedy przyjechałam do ciotki - podkreślam. Miło jest mówić prawdę, to tak, jakby pływając w morzu, poczuć pod nogami piaszczyste dno.

- Nie wysiadałaś z samochodu - powtarza Kirsty - ale też i nie bardzo jeździłaś po mieście.

- Właśnie - dodaje Rougemont. - Przez cały wieczór byliśmy pod domem twojej siostry.

Rumienię się. Usiłuję powstrzymać łzy, łzy małego rozzłoszczonego dziecka, które ma ochotę tupnąć nogą i walić pięściami. Nie powiedziałam im o Rickym Marcello, bo to była tajemnica taty, ale teraz widzę, że oni musieli cały czas o nim wiedzieć.

- Nie chcę, żebyś nas źle zrozumiała - mówi Rougemont. - To naprawdę bardzo ładnie z twojej strony, że dbasz o bezpieczeństwo siostry. Ale mamy dla ciebie pewną radę, do której bądź uprzejma się zastosować.

- A rada jest taka. - Kirsty przejmuje pałeczkę. - Zostaw policji to, co do niej należy.

- Dobrze? - Rougemont posyła mi swój upiorny uśmiech. - Wiemy, co robimy, i to jest naprawdę bardzo ważne. Jak się już zapewne zorientowałaś, w grę wchodzi niejedno zabójstwo. Mamy nadzieję, że przy okazji tej sprawy uda nam się rozwiązać parę innych, które od dłuższego czasu pozostawały niewyjaśnione.

Moje serce jest ciężkie jak ołów. Chciałabym spytać Rougemonta o te inne zabójstwa, ale mam zbyt suche gardło. Kusi mnie, żeby natychmiast wstać, iść do kranu i wlać w siebie dużo czystej, zimnej wody.

- My będziemy robili to, co do nas należy - mówi Rougemont - a ty wrócisz do Nowego Jorku.

- W Nowym Jorku, gdzie odpowiadasz tylko za siebie, będziesz bezpieczniejsza - zgadza się z nim Kirsty.

Patrzą na mnie oboje. Jestem pokryta kurzem i bliska łez. Ich spojrzenia są życzliwe.

- Lucy, Lucy - odzywa się Rougemont - przestań brać tyle na siebie, zawsze to robiłaś, nawet kiedy byłaś małą dziewczynką i gapiałaś się na mnie otwarcie, pokazując na mój nos. Wtedy też nie oszczędzałaś moich uczuć.

Znów się rumienię pod warstwą kurzu.

- Obojętnie, o co cię pytałem, przeważnie płakałaś. Nigdy mi nie pomogłaś. Z twoją siostrą było inaczej. Miała zaledwie siedem lat, ale dokładnie opowiedziała, co się działo, kiedy zginął wasz brat, i to z wielką precyzją. Wasza matka podchodziła do tego zbyt emocjonalnie i jej świadectwo było niespójne. A ojciec miał w sobie jakąś ponurą zaciętość. Bez trudu poznałem jego ówczesny nastrój; sam miałem nie lepszy. No i byłaś ty, mała Lucy. Czterolatka, która bez przerwy ocierała sobie nogi o trujący bluszcz. Płakałaś za swoim braciszkiem. Płakałaś i płakałaś, i powtarzałaś w kółko, że to wszystko przez ciebie. Już wtedy brałaś na siebie odpowiedzialność za całą rodzinę.

Siedzę pogrążona w milczeniu.

- Czy naprawdę nic z tego nie pamiętasz? - pyta Kirsty. - Kompletnie nic?

Głowę mam ciężką, jakby była pokryta grubą skorupą.

- Próbowałam. Naprawdę próbowałam coś sobie przypomnieć, ale bez skutku.

Policjanci wychodzą, a Jane ofiarowuje się, że zostanie z geologami, i wobec tego mogę wracać do miasta. Powietrze jest teraz chłodniejsze i jak gdyby rzadsze. Może to wreszcie koniec fali upałów. Po drodze zbaczam na cmentarz, gdzie jest pochowany Stevie. Kładę na grobie małe żółte kwiatki z ogródka taty i kiedy się pochylam, z trudem opanowuję idiotyczną chęć objęcia ramionami zimnego kamienia.

Z nagłą, zaskakującą natarczywością zaczyna mi łomotać w głowie jakaś melodia. Wsłuchuję się w nią pilnie. Jest to dziecinnie prosta piosenka, którą ktoś nuci. Początkowo chwytam poszczególne nuty, potem takty i wreszcie poznaję nieomylnie głos matki, która śpiewa całą piosenkę. Słowa są niezrozumiałe, ale mimo woli podnoszę ręce, naśladując trzepoczącego się ptaszka, który odlatuje w ostatnim takcie. Muzyka przepływa przez moją głowę jeszcze kilka razy i wreszcie, kiedy schodzę ze wzgórza, gdzieś się ulatnia. Usiłuję zatrzymać poszczególne nuty czy całe frazy, ale przepadła tak nagle, jak się pojawiła.

Po powrocie do domu dowiaduję się, że ciotka Zina poszła do ciotki Zoi. Sasza siedzi sam w kuchni.

- Tego, co mama zostawiła, starczyłoby co najmniej dla dziesięciu osób - mówi, nakładając mi jedzenie na talerz. - Ale ja już połowę zjadłem.

- Dzięki, Sasz, nie jestem głodna.

- Jak pewnie wiesz, moja droga, nie jest to w naszej rodzinie wystarczający powód, żeby odmawiać jedzenia.

Kiedy milczę, Sasza przygląda mi się badawczo. U taty wzięłam prysznic, ale nie miałam ubrania na zmianę i nadal mam na sobie pełno kurzu.

- Coś się stało. Co takiego? Chowam twarz w dłoniach.

- Lucia?

Patrzę na Saszę. Na jego pocziwą, szeroką rosyjską twarz, na przerzedzone włosy, na niebieskie, pełne troski oczy. Dobry człowiek.

- Policjanci, którzy prowadzą dochodzenie w sprawie zabójstwa taty, twierdzą, że nie chodzi o jedno zabójstwo.

Sasza podaje mi talerz z jedzeniem, dokłada sobie, a następnie siada i bierze widelec.

- To mnie specjalnie nie dziwi. Czy policja zdradziła jakieś szczegóły co do tamtych innych śmierci?

- Tylko tyle, że wydarzyły się wiele lat temu. Sasza, mnie się wydaje, że im chodzi o Nicky'ego. I o Steviego.

Sasza gapi się na mnie z niedowierzaniem.

- O twojego brata? I syna?

- To nie może być przypadek, że wyciągnęli starego Michaela Rougemonta. On się zajmował przed laty sprawą utonięcia Nicky'ego. A Kirsty - bo prowadziła dochodzenie w sprawie śmierci Steviego.

- Ale przecież żaden z tych wypadków nie może być uważany za zabójstwo.

- Myślę, że oni znają prawdę.

- To znaczy?

- Że za śmierć Nicky'ego ponosi winę matka. A za śmierć Steviego ja.

Sasza odkłada widelec i odsuwa talerz.

- Czy to jakieś szaleństwo? Przez chwilę milczę.

- Szaleństwo macierzyństwa.

- Lucia!

- Macierzyństwo to nie jest to, co widzimy w telewizyjnych reklamówkach. To jest potworna, najpotworniejsza mieszanina wielkiej miłości i nienawiści. Miłość, jaką czułam do mojego syna, w niczym nie przypominała tego wszystkiego, z czym się do tej pory zetknęłam, absolutnie nie potrafiłam sobie z nią poradzić. A on był wymagający, samolubny, nieprzejednany. Małe dzieci nigdy nie biorą pod uwagę potrzeb swoich matek, a to, co od nich dostają, połykają i domagają się więcej. Nie panujesz nad nimi, a przez to i nad swoim życiem, i czasami ich za to nienawidzisz.

- I wobec tego zabijasz? Na miłość boską, Lucia!

- Były chwile, kiedy chciałam, by Stevie umarł. To chyba wystarczy.

- Twój Stevie umarł tragicznie, ale w sposób naturalny. Co roku zdarzają się przypadki zespołu nagłej śmierci łóżeczkowej i to był jeden z nich. Nikt nie jest za to odpowiedzialny. Chciałem ci powiedzieć, że dopóki nie zaczniesz swobodniej o nim mówić, a nawet nie opowiesz o jego śmierci w parku na ławce całkowicie obcej osobie, nigdy tego w sobie nie przezwyciężysz.

- Nie mam najmniejszego zamiaru przesiadywać w parkach i opowiadać o Steviem!

- Wszyscy mamy potrzebę opowiadania różnych historii. Opowieści stanowią oprawę zdarzeń. Kiedy nam się uda podgoić rany balsamem słów, to wszystko staje się mniej groźne. Fakt śmierci Nicky'ego może budzić niekontrolowane emocje, ale opowieść o tym, jak się utopił w Big Brim, może nam przynajmniej pomóc sobie z nimi poradzić.

Zastanawiam się nad słowami Saszy.

- Jak ta opowieść babci o dziecku w pociągu?

- No właśnie. Ta opowieść z całą pewnością odegrała istotną rolę w procesie rodzinnej żałoby. Nawet jeśli jest nieprawdziwa.

Wpatruję się w Saszę, który znów nabiera jedzenie na widelec i podnosi do ust.

- Jeśli cię to interesuje, mogę ci opowiedzieć, jak było naprawdę.

Skinieniem głowy zachęcam go do mówienia. Sasza przełyka i zmienia pozycję na

fotelu.

- Po pierwsze, pamiętaj: jedna z zalet emigracji polega na tym, że jesteś jak gad, powiedzmy wąż. Możesz zrzucić skórę i ją zgubić. Muszę cię jednak uprzedzić, że tak na dobre nigdy jej nie gubisz. Prędzej czy później wypłynie jak szczątek zatopionego statku. Ale wielu emigrantów tego próbuje. Może zresztą o tym wiesz. Bo kiedy wybrałaś wygnanie w Nowym Jorku, zapewne wykorzystałaś izolację, jaką daje wielkie miasto, by przetworzyć swoją przeszłość.

- Nie.

- Absolutnie?

- Ja ją po prostu skasowałam.

- Nigdy o niej nawet nie rozmawiałaś? Potrząsam głową.

- To jedna metoda. Ale kiedy nasza rodzina - dziadek, babcia i ich córki - przyjechała tutaj, wybrali inną metodę: nadali swojej przeszłości nową interpretację.

- To znaczy...

- To znaczy, że nie wszystko, co mówili, jest prawdą.

- Ale mieszkanie w Moskwie, gry, w które grali, to, jak ich tata zapomniał czapki...

Czy to też wymyślili?

- Trudno powiedzieć, co zostało zmyślane, a co nie. Tamten epizod z twoją matką, jak to w lesie była świadkiem morderstwa, jest z pewnością prawdą: dziadek niewątpliwie pracował w NKWD i niewątpliwie był wystarczająco bezwzględny, żeby zorganizować morderstwo swojego najlepszego przyjaciela, jeśli już musiał.

- Ja go prawie nie pamiętam.

- To dlatego; że nie żyłaś w zasięgu jego ręki. Bo ja aż za dobrze pamiętam jej ciężar na swoim siedzeniu. Oczywiście, sam był zarówno ofiarą, jak i sprawcą gwałtu. Dla niego uderzenie małego dziecka było niczym. Ale najlepszym, wielopiętrowym lukrowanym tortem weselnym ich kłamstw była historia pod tytułem „Ucieczka z Moskwy”.

- Sasza, do czego ty zmierzasz? - Zaniemówiłam, słysząc, jak mój kuzyn rzuca wyzwanie rodzinnym mitom.

- Podróż pociągiem... to wszystko bzdura. Najprawdopodobniej w końcu sami w nią uwierzyli, ze wszystkimi szczegółami, w które obrosła, a których, mam nadzieję,

przynajmniej część została ci oszczędzona. Ciotka Zoja, na przykład, nigdy nie ominię opowieści o mężczyźnie, który wyciągnął z kieszeni kanapkę i zjadł ją na oczach głodnych dzieci. Patrzyły, jak on zmiata wszystko co do okruszyny, a same musiały czekać kilka dni na nędzny posiłek, składający się z paru łyżek kaszy. Sądząc z tego, jak bardzo ciotka nienawidziła kaszy, z pewnością musiała to zmyślić.

- Ale przecież... - protestuję słabo - była jakaś podróż pociągiem. Zawsze wiedzieliśmy o podróży pociągiem. Mama opowiadała nam tę historię, kiedy byliśmy jeszcze w pieluchach.

- I to było właśnie to: opowieść.

- Ale... co z dzieckiem? Co z maleńkim chłopczykiem, który nie przeżył takich ciężkich warunków? I ze strażnikiem kolejowym, który zabrał od babci jego ciało i nie chciał na nią patrzeć, kiedy go błagała, żeby mały został przyzwoicie pochowany?

- W tym nie ma ani krzty prawdy.

Obserwuję Saszę, który energicznie macha widelcem.

- Skąd wiesz? - pytam w końcu.

- Nie trzeba zbyt wiele wiedzieć o Europie czterdziestego pierwszego roku, by zdawać sobie sprawę, że taka jazda przez cały kontynent była całkowicie niemożliwa. Wkrótce przed śmiercią tata potwierdził, że to był mit, i mam wszelkie powody, by mu wierzyć.

- Och, Sasza, a dlaczego mieliby budować takie skomplikowane kłamstwo?

- Z powodów, które ci przedstawiłem. Potrzebna im była historia, która pozwoliłaby chaotycznemu życiu nadać jakiś sens i - w ich przypadku - ukryć niestrawną prawdę.

- Czy wobec tego był w ogóle jakiś brat?

- O, tak. Z pewnością był mały braciszek, który umarł. I jeśli sugerujesz, że cała ta opowieść została upichcona wokół tej historii, to masz całkowitą rację.

Ukrywam twarz w dłoniach.

- No więc jak umarło dziecko?

- Powiem ci, jeżeli rzeczywiście tego chcesz. Bo jeśli wolisz, możesz wybrać wersję z pociągiem. Zostajesz w pociągu czy wysiadasz, Lucia? To jest stosowny moment, żeby podjąć decyzję.

- Mów.

- Znając twoje przywiązanie do wersji z pociągiem, wiem, że będziesz zadowolona, kiedy ci powiem, że owszem, była podróż pociągiem. Ale tylko z Moskwy do Rygi. Dziadek rzeczywiście został wysłany na Łotwę jako szef delegacji handlowej i rzeczywiście zabrał ze sobą rodzinę, ale to było w sumie zaledwie trzydzieści godzin, z częstymi postojami, a więc warunki nie tak bardzo uciążliwe. Ta rodzina to: dziadek, babcia i trzy córki, żadnego syna z nimi nie było. W Rosji stalinowskiej nawet najbardziej ceniony i prześwietlony funkcjonariusz NKWD nie mógł zostać wysłany za granicę bez gwarancji, że nie ucieknie. Jeden członek rodziny musiał zostać jako zakładnik. Dziadek pozostawił babci decyzję, kogo wybrać. Było to jednak coś w rodzaju propozycji nie do odrzucenia. Babcia zdawała sobie sprawę, że dziadek zamierza uciec z Rygi i że to dziecko, które zostanie, wraz z opiekunami (w tym wypadku jej bratem i jego żoną), trafi do obozu pracy, co się równało z niemal pewnym wyrokiem śmierci. Co za potworna decyzja. Nietrudno sobie wyobrazić bezsenne noce babci, kiedy leżała i myślała, które dzieci mają jechać do Ameryki, a które ma skazać na śmierć. Wreszcie zdecydowała się zastawić życie maleńkiego synka w zamian za wolność reszty rodziny.

- Ale co się z nim stało?

- Zgodnie z przewidywaniami cała rodzina brata babci wraz z maleństwem zniknęła.

Nie wiemy, co się z nimi stało, ale nietrudno się domyślić.

- Czyli... babcia właściwie... - Mam kompletnie sucho w gardle. Słowa, kiedy je wreszcie wydobywam, dosłownie o nie szorują - Zabiła swego syna.

Sasza patrzy na mnie i mruga.

- A co z ucieczką? - pytam.

- Wkrótce po ich przyjeździe do Rygi, pewnej słonecznej niedzieli, powiedzieli córkom, że jadą na piknik. Dziewczynki się nawet dziwiły, że kosze piknikowe są takie ciężkie, ale jakoś je dotaszczyły nad brzeg wielkiej rzeki Dźwiny, skąd, jedząc, miały obserwować statki. Jednakże, kiedy się znalazły nad rzeką, kazano im szybko i cicho wsiadać do kutra rybackiego, który już na nich czekał. Dziadek przekupił rybaka, żeby ich zawiózł do Szwecji. Przedsięwzięcie nie było wolne od ryzyka, ale kiedy się już znaleźli po drugiej stronie Bałtyku, wiedzieli, że są wolni. Tam wsiedli na liniowiec płynący do Ameryki. Na statku panowały z pewnością dobre warunki, a ucieczka nie wiązała się z zagrożeniem, przynajmniej dla nich osobiście.

Sasza wyciąga papierosa, którego zapala, mimo że nie wolno mu tego robić w mieszkaniu poza własnym pokojem. Pali wolno przez chwilę, po czym podsumowuje:

- To historia, którą chyba słusznie ukrywali. Zwróć jednak uwagę, że ta nasza stara, siwa babuszka o słodkiej twarzy, która, jak to powiedziałaś, właściwie zamordowała swojego syna, musiała cierpieć i że przecież jej ból nie był przez to mniejszy, a może nawet jeszcze większy.

Przez chwilę milczę.

- Babcia powinna odmówić ucieczki, prawda? - mówię wreszcie.

- To też nie byłoby dobre wyjście z sytuacji. Bo jeśli dziadek zdecydował się uciekać z rodziną lub bez niej, a jestem pewien, że był dostatecznie egoistyczny na to, by uciec samemu, to przecież cała reszta, która by została, poszłaby do łagra.

- Wobec tego, jak babcia powinna postąpić, żeby było słusznie?

- Słusznie? Mój Boże, Lucia, spróbuj sobie wyobrazić takie czasy i tak zdemoralizowany kraj, w którym nie ma czegoś takiego jak „postąpić słusznie”.

Masuję skronie. Wreszcie podnoszę wzrok na Saszę.

- A co ty byś zrobił w tej sytuacji? - pytam.

- Oczywiście zamordowałbym jedną z dziewczynek - odpowiada. - Jestem zdumiony, że dziadek tego nie zażądał od babci, ponieważ większości mężczyzn zależy na potomku stworzonym na jego obraz i podobieństwo. W Rosji ojcowie podkreślają swoje prawa do dzieci poprzez *otczestwo*. Dzieci przyjmują nie tylko nazwiska ojców, ale i ich imiona. Dziadek był Dmitrij i jestem przekonany, że zawsze cierpiał z tego powodu, że ceną jego ucieczki był młody Dmitrijewicz.

Później, kiedy wstaję i idę się położyć, Sasza obejmuje mnie czule krótkimi ramionami.

- Och, Lucia - błaga. - Przestań czuć się odpowiedzialna za śmierć swego syna i zacznij opowiadać historie na ten temat. Bo to naprawdę nie ma żadnego znaczenia, czy one są prawdziwe, czy fałszywe. Jeśli będziesz je opowiadała dostatecznie często, zapomnisz o najważniejszym i ból stanie się łatwiejszy do zniesienia.

Temperatura jest teraz niska, niższa niż od wielu dni. Biorę dodatkowy koc i natychmiast zasypiam. Zasypiając, usiłuję jeszcze pochwycić tamtą melodię, która pojawiła się w mojej głowie przy grobie Steviego. Przez chwilę wydaje mi się nawet, że

słyszę głos matki, czysty, młodzieńczy, ale znika, zanim udaje mi się go dosięgnąć.

35

Fala upałów rzeczywiście się kończy. W domu taty zrobiło się nie tylko chłodniej, ale wręcz rześko.

Jane jest dziś w szpitalu, geolodzy znów są u nas i z pomocą Larry'ego pracują w stodole. Ja siedzę w pokoiku komputerowym. Mam nadzieję, że jeśli się skupię, skończę rano czynności związane z przygotowywaniem materiałów dla Scotta, a po południu dam mu do podpisania ostatnie listy.

Nikt mi nie przeszkadza; tylko raz wchodzi Larry, przynosi mi kawę i ogromne ciastko z orzeszków ziemnych - jego przysmak.

- Nie mogłem się oprzeć - przyznaje z poczuciem winy. - Przejeżdżałem koło tego sklepu i było akurat wolne miejsce do zaparkowania przed samym wejściem. Kto by się oparł? Los tak chciał.

- Larry, czy aby na pewno musiałeś jechać właśnie koło tego sklepu? - pytam. - Czy to jedyna droga do taty?

- No wiesz, mówisz zupełnie jak ja. - Larry się wycofuje.

Korzystam z drukarki, żeby wydrukować ostatnią partię listów dla Scotta. A potem zamykam wszystkie segregatory i układam je w pustych pudłach, zapewne przeznaczonych na kamienie, bo znalezionych w stodole.

Jednakże przy segregatorze z dokumentami dotyczącymi płatności za ropę zatrzymuję się i zamiast go schować - otwieram. Przynajmniej w życiu finansowym taty wszystkie sprawy zostały zakończone, a niekonsekwencje wyjaśnione - wszystkie poza tą jedną.

Jeszcze raz przeglądam zawartą w dokumentach długą historię szybu naftowego. Początkowo tata odbierał należne sobie płatności, po czym, kilka lat później, kiedy dochody Simmsa-Roedera gwałtownie poszły w górę, przestał brać pieniądze. Od tej chwili nie byłam w stanie śledzić jego wpływów. Wiem jedynie, że przekazywał je na jakiś tajemniczy Fundusz Powierniczy Marcello. Usiłuję ocenić, ile lat mógł mieć Ricky Marcello, kiedy jego rodzina zaczęła otrzymywać te pieniądze. Ja miałam wtedy około siedmiu. A to znaczy, że Ricky Marcello musiał być niemowlęciem albo go nawet jeszcze

nie było na świecie.

Wychodzę na pomost i spostrzegam, że roztaczający się z niego widok nabrał jakiejś nowej ostrości. Nie ma żadnej mgiełki. Widać nawet zarysy wzgórz po drugiej stronie doliny. Jej linie i kąty proste, a także równe odstępki między drzewami porządkują moje myśli. Kiedy tak patrzę, dolina wydaje się do mnie zbliżać, wyskakuje na powitanie jak pies.

- Dokąd się wybierasz? - pyta Larry, kiedy mu mówię, że muszę już iść. Razem z geologami zrobili w stodole tymczasowe oświetlenie, tak mocne jak słońce w środku lata, i stodoła dosłownie jarzy się lampami, które rozjaśniają wszystkie ciemne od tak dawna kąty i szczeliny. Trzej mężczyźni pocą się w tym niewielkim kręgu upalnego lata. Larry i geolog z brodą przycupnęli na pudłach i coś notują, trzeci siedzi w milczeniu wśród kamieni na zakurzonej podłodze ze szkłem powiększającym przy oczach.

Odpowiadam ogólnikowo:

- Nie mogę sobie poradzić z jedną partią dokumentów i zamierzam zrobić z tym porządek.

Zbliżając się do domu Josephów, widzę, jak zwykle, w ogrodzie Ralpha. Psy machają ogonami, Ralph mnie wita. Dziś ma na sobie ogrodniczki i jest bez koszuli. Skóra na jego plecach i ramionach ma barwę ciemnobrązową. Szyja i twarz pod wielkim kapeluszem wydają się nienaturalnie białe.

- Zastałam panią Joseph?

- Tak. Dopiero co wyszedł Morton.

- Wkrótce wyjeżdżam z Kalifornii. Przyszłam się pożegnać.

Ponieważ Ralph się nie rusza, podchodzę do domu, dzwonię i dopiero wtedy się do mnie przyłącza. Stoimy pod drzwiami we dwójkę, jak para mormońskich misjonarzy, czekając, aż ktoś nam otworzy.

- Cześć, Lucy, cześć, Ralph - mówi, jakby była i rada, i zdziwiona tym, że widzi nas oboje. Czuję charakterystyczny zapach domu. Stary drewniany dom, kochany, zadbany, pełen kwiatów.

Idziemy we trójkę do kuchni, tej samej, w której pani Joseph i Barbara Marcello spędzały razem tyle czasu. Nieraz, przechodząc koło kuchni w drodze do sypialni albo na hamak, słyszeliśmy z Robertem ich głosy. Pochłonięte rozmową, mówiły cicho i nagle,

bez uprzedzenia, wybuchały salwami śmiechu.

Teraz Barbara Marcello uśmiecha się do nas z wysokości kredensu. Długie włosy wymykają jej się spod chusteczki. Uniesioną ręką osłania zmrużone oczy, patrząc w aparat, jakby to było słońce. Zdjęcie świadczy o jej urodzie i sile, chociaż szczegóły twarzy są w cieniu.

- Kiedy umarła? - pytam, pokazując na fotografię, gdy tymczasem pani Joseph podaje nam zimne napoje. Dzisiaj zajmuje się gotowaniem i wszędzie stoją porozkładane brytfanki, do połowy wypełnione czymś, co wygląda na ciasto czekoladowe. W całej kuchni pachnie czekoladą.

- Myślę, że jakieś dwa i pół, nie, już prawie trzy lata temu - mówi, zatrzymując się, jakby w wyrazie hołdu, przed zdjęciem przyjaciółki. - Rak jajników - wyjaśnia. - Lekarze myśleli, że złapali go w porę. Ale się mylili. Wtedy wydawało się to czymś naprawdę strasznym, ale sama śmierć nie była taka zła; ostatecznie każda osoba po pięćdziesiątce zetknęła się w życiu z podobnym przypadkiem na pewno niejednym raz. W każdym razie ja tak. Barbara przyjęła to bardzo dzielnie i pracowała nad swoimi bliskimi, usiłując im pomóc, by zaakceptowali fakt, że się wkrótce rozstaną. Umierała spokojnie. Oczywiście, wszystkim nam jej ogromnie brakuje. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślała.

Skromna śmierć. Barbara Marcello była skromną osobą. Nagle odnoszę wrażenie, że tata, ze swoją energią i rozmachem życiowym, zasłużył na śmierć w sprawie migających świateł policyjnych i taśm przeciągniętych w poprzek podjazdu.

Pani Joseph wraca do gotowania.

- Jak tylko z tym skończę, zaraz zrobię jakiś lunch - mówi. - Jestem trochę zapóźniona z robotą, bo nie chciałam piec podczas upałów.

- Ciasto czekoladowe - oznajmia Ralph.

- W chwili słabości obiecałam Komitetowi Tańców Wielkanocnych w Stodole, że im upiekę sto pięćdziesiąt sztuk ciasta czekoladowego. I teraz piekę je partiami i zamrażam.

- Na rosyjskie sieroty - dodaje Ralph.

- Ale nie ciasto, tylko pieniądze, które zbieramy - prostuje pani Joseph.

Ralph zdejmuje kapelusz. Włosy pod nim są śnieżnobiałe. Kontrast z jego dziecinną twarzą jest szokujący.

Siedzimy w milczeniu i popijamy. Pani Joseph wlewa do blach ciasto z dużej zielonej miski. Kiedy miska jest pusta, wyskrobuje resztki ciasta drewnianą szpatułką. Szpatułka zostawia wewnątrz miski czyste zielone linie.

- Ricky nie jest prawdziwym imieniem Ricky'ego Marcello, prawda? - pytam. -
Znacie jego prawdziwe imię?

Ralph wzrusza ramionami.

- Zawsze mówiłam na niego Ricky - odpowiada pani Joseph.

- Na jego szyldzie nad warsztatem widziałam literę E. Myślę, że to od „Eryk”.

Oboje robią wrażenie bardzo zajętych - pani Joseph pieczeniem ciasta, Ralph swoją szklanką.

- A kto jest ojcem Ricky'ego? - pytam.

Pani Joseph odstawia miskę, Ralph zakłada kapelusz, jakby się zanosilo na deszcz.

- Barbara nie miała zwyczaju się zwierzać - mówi w końcu pani Joseph. Otwiera piec i przez chwilę czujemy jego gorący oddech. Wsuwa do środka blachy i szybko zamyka drzwiczki. Następnie zdejmuje kuchenną rękawicę i siada przy stole naprzeciwko mnie. Jest otwarta i szczerza, ale w jej piwnych oczach widzę troskę.

- Czy Ricky Marcello w dalszym ciągu cię niepokoi, Lucy? Daj sobie z tym spokój.

- Ricky to mój przyjaciel - zapewnia mnie Ralph.

- Jestem przekonana, że nie ma zamiaru zrobić ci krzywdy - dodaje pani Joseph.

- Przypuszczam, że Ricky jest moim bratem - mówię.

Kiedy słyszę te słowa, kiedy już mi się wymknęły z ust z tą samą precyzyjną szybkością, z jaką pani Joseph wsunęła swoje blachy do gorącego pieca, z ciszy, jaka po nich zapadła, domyślam się - ba, wiem ponad wszelką wątpliwość - że powiedziałam prawdę.

Pani Joseph nadal na mnie patrzy, może jej oczy są teraz trochę szerzej otwarte niż zwykle. Czeka, aż zacznę mówić.

- Mężczyźni lubią mieć dzieci stworzone na swój obraz i podobieństwo. Chcą, żeby nosiły ich imię. Jeśli już nie nazwisko, to chociaż imię. A czasami jedno i drugie.

- Ale przecież na tej podstawie, że mają to samo imię, nie możesz wnioskować, że są ojcem i synem - mówi ostrożnie pani Joseph.

- O, jest na to znacznie więcej dowodów, o których dotychczas nie wiedziałam czy

których nie widziałam. Jak choćby to, że tata przestał brać pieniądze z tytułu eksploatacji szybu naftowego i zaczął je wpłacać na Fundusz Powierniczy Marcello mniej więcej wtedy, kiedy urodził się Ricky. Nauczył Ricky'ego naprawiać różne urządzenia i podarował mu starą platformę holowniczą. Ojciec, przychodząc tu z Barbarą, był zupełnie innym człowiekiem, był szczęśliwy, śmiał się, jak pani sama powiedziała, do rozpuku. To przez Barbarę panią poznał, tak? A kiedy mnie tu zostawiał, to... jeździł w teren? Czy spędzał wtedy czas z Barbarą i Rickym?

Pani Joseph wzdycha.

- Masz rumieńce na twarzy, Lucy. Jesteś zła, czujesz się zraniona.

Spoglądam spode łba na Barbarę Marcello. Uśmiechniętą. Na pół ukrytą w cieniu.

- Wydawało mi się, że ją lubię. Była dla mnie miła - mówię z goryczą. - Po

wypadku, zanim Jane tu dotarła, była dla mnie cholernie miła. Nie wiedziałam wtedy, że ukradła mi tatę i dała Ricky'emu.

Wyczuwam ruch i widzę, jak Ralph kurczy się pod swoim kapeluszem. Jest tak roztrzęsiony, że robi mi się głupio.

- Nie cieszysz się, że twój tata był szczęśliwy? - pyta. Chce mi się płakać, ale jestem na to zbyt zła.

- Dlaczego musiałyśmy mieć samotnego, smutnego ojca? Dlaczego dla nas nie mógł być szczęśliwy? Wydaje mi się przez to, że go wcale nie znałam.

Pani Joseph ma minę pełną współczucia. Twarz jej opada, jakby miała za chwilę zacząć płakać nade mną.

- Nigdy nie jesteśmy w stanie poznać człowieka do końca.

- Nie wiedziałam, że był kłamcą i oszustem. Zawsze uważałam, że robił to, co jest słuszne. Szanowałam go. Oceniałam innych według jego standardów.

Ralph i pani Joseph milczą. Zdaję sobie sprawę, że na dworze drzewa drgają w jakimś nowym powiewie wiatru. Rośliny i krzewy uderzają w szyby, jakby chciały wejść do środka. Mocny aromat jednej z nich przedostaje się do kuchni i osiada na panującej tu ciszy. I wtedy pani Joseph zaczyna mówić:

- Nie wiem, czego mąż ma prawo oczekiwać od żony. Żeby była towarzyszką, matką, pomocną dłońią, opoką, kochanką, twórczynią dobrobytu, kucharką, kapłanką ogniska domowego, dekoratorką i przyjaciółką. Obojętne, jaką przyjmujemy definicję żony,

twoja matka, nie z własnej winy, nie spełniała tych warunków. Wasz ojciec poznał Barbarę wkrótce po tym, jak ona zachorowała, i bardzo szybko urodził im się Ricky. Ich związek trwał aż do śmierci Barbary. Robił wrażenie udanego i szczęśliwego. Żyli jak mąż z żoną, chociaż przez większość czasu nie mieszkali razem. Ale było im z tym dobrze.

Gdzieś daleko, w dolinie, szczeka pies.

- Ale... przecież on był naszym ojcem! Jane i moim - protestuję. - Jak mógł w tym czasie mieć drugą rodzinę?

- On się z nimi widywał tylko raz na tydzień, czasem częściej. Spędzali razem wakacje, kiedy ty byłaś na obozie albo tu, u nas. To, że ich miał, w najmniejszym nawet stopniu nie oznaczało, że kocha was mniej. To był człowiek wielkiego serca.

- Był wielkim oszustem - mruczę pod nosem.

- Potrzebował wsparcia i serca. Musiał sobie jakoś radzić z waszą matką, no i samotnie wychowywał dwie córki.

Słyszę we własnym głosie pochlipywanie.

- Ale to była taka okropna zdrada...

- Dlatego że wam nie powiedział?

- Część swojego życia utrzymywał przed nami w tajemnicy.

- Myślę, że nie chciał, by wasza matka się o tym dowiedziała. Bał się ją zdenerwować. Choć uważam, że kiedy byliście już na tyle dorosłe, by dochować przed nią tajemnicy, powinien był wam powiedzieć. Na pewno byście go zrozumiały, bo Widać było, że jest szczęśliwy. Nie zrobił tego; naprawdę nie wiem dlaczego.

- Przyjechał do mnie do Nowego Jorku...

- Zaraz po jej śmierci. To był dla niego bardzo dobry urlop, Lucy.

- Ona dopiero co umarła, a on mi nic nie powiedział. Rozpaczał po niej, ale nie dał tego po sobie poznać. Nic nie wiedziałam...

Tata w Nowym Jorku. Pamiętam go, jak się uśmiecha w windzie.

- Wydaje mi się, że miał niezły trening w ukrywaniu uczuć. Bardzo uważał, nawet po śmierci Barbary, żeby te dwie strony jego życia nigdzie się nie spotkały. Było to bardzo trudne dla Ricky'ego, który przecież wiedział o tobie i o Jane. Jemu też było niełatwo, Lucy. Ale obiecał ojcu, że nie będzie się z wami kontaktował. Żadnych kontaktów pod

żadnym pozorem. A do tego poczucie, że wy jesteście jego pierwszą rodziną, a on i Barbara są dopiero na drugim miejscu.

Podnoszę się i staję przy oknie, tyłem do pani Joseph i Ralphi, tak żeby nie widzieli, że płaczę.

- Czy Ricky wiedział? Kiedy się tu spotykaliśmy jako dzieci? A Robert?

- Nikt nie wiedział poza mną. No i oczywiście Ralphem.

- Ja wiem wszystko - oświadcza Ralph. - Bo ja podsłuchuję. Ale nikomu nie mówię, co usłyszałem.

- Kiedy Ricky się dowiedział?

- Och... - pani Joseph się zastanawia. - Mógł mieć wtedy z osiemnaście lat czy coś koło tego. Barbara chciała, żeby zrozumiał sytuację, a wtedy mogła mu już zaufać, że dochowa tajemnicy. Powiedziała mu pod warunkiem, że nie będzie miał z wami żadnych kontaktów.

I dotrzymał słowa. Nikt nie był dla mnie bardziej odpychający niż Ricky. Przypominam sobie, jak mi syczał do ucha przy platformie holowniczej.

- On mnie musi nienawidzić - mówię. Mimo woli zakrywam ucho.

- Nie sędzę. Długo trwało, zanim się pogodził z sytuacją. Zawsze był trudnym chłopcem. W okresie dojrzewania Ricky'ego Barbara miała z nim wielkie kłopoty. Ale się ożenił z uroczą dziewczyną, Martą, i mają bardzo słodkiego malucha.

- Jordana - podpowiada usłudźnie Ralph. Teraz, kiedy nastrój w kuchni się poprawił, jest już spokojniejszy, ale nie na tyle, by zdjąć kapelusz.

- Marta urządziła w stodole galerię i całkiem nieźle sobie radzi. Ricky odziedziczył po matce kawałek ziemi i jakiś tam kapitał, a poza tym zawsze może zarobić pieniądze, naprawiając różne rzeczy, bo ma złote ręce. Poza tym całkiem dobrze maluje. Lubię go teraz, nawet bardzo. Spędził tu wiele czasu.

Ricky Marcello. Najpierw ukradł mi ojca, a teraz i Josephów. Przez te wszystkie lata mojego wygnania kradł mi ich śmiech, ich towarzystwo.

Nie zdążyłam się jeszcze odwrócić, ale pani Joseph już wie, po moich plecach poznaje, co myślę.

- Nie bądź taka rozgoryczona, Lucy. Ojciec zawsze był dla was, zawsze gotów do pomocy, ilekroć go potrzebowaliście.

Tato, myślałam, że jesteś dla mnie opoką w moim oceanie, ale teraz pamiętam cię jako ciąg nieobecności. Ojciec, którego nie było, kiedy dzieci go wołały, a matka była psychicznie chora. Ojciec, którego nie mogliśmy znaleźć tamtego wieczoru, kiedy przyszła pani Zacarro szukać Lindy. Ojciec, który wiecznie wyjeżdżał w teren. Ojciec, który nas zdradził, nie dlatego, że kłamał, tylko dlatego, że nie powiedział prawdy.

Czuję na sobie czyjeś ramię, czułe, ale nieśmiałe. To Ralph. Wstał i podszedł do mnie tak cicho, że go w ogóle go nie słyszałam.

- Przebaczysz mu, Lucy? - pyta.

- Może - pochlipuję.

Czuję, jak ramię opada, i kiedy się odwracam, Ralpa już nie ma. Pani Joseph siedzi sama przy stole, wyprostowana, i patrzy na mnie przenikliwie.

- Nie ma powodu, żebyś była zazdrosna o Ricky'ego - mówi.

- A jak mogę nie być? Razem stanowili prawdziwą rodzinę. Dwoje kochających się rodziców i syn. O to jestem zazdrosna.

- Ty też miałaś dużo miłości. Twoja matka może nie zawsze wiedziała, jak ją wyrazić czy okazać, ale przecież cię kocha.

Jeżeli to prawda, co mówi Jane, że matka zabiła swoje dziecko, to skutki jej czynu wydają się teraz jeszcze rozleglejsze. W jednej potwornej, rozpaczliwej chwili straciła dziecko, zdrowe zmysły i męża.

- Biedna mama - mówię łagodnie. - Biedna, biedna mama. Trzeba było lat, ale w końcu przestałam być na nią wściekła, a zaczęłam ją rozumieć.

Pani Joseph promienieje.

- Naprawdę, Lucy? Jestem z ciebie dumna.

Za oknem pojawia się Ralph - jak koliber krąży po trawniku dokoła wielkich kwiatów, które zdają się krzyczeć swoją wspaniałością.

- Masz zamiar ją odwiedzić przed wyjazdem? - pyta pani Joseph.

- Moja ostatnia wizyta nie była szczególnie udana.

- Spróbujesz jeszcze raz?

Tak wiele moich wizyt zaczynało się nadzieją, a kończyło katastrofą. Staram się być ostrożna.

- Matka jest kompletnie nieprzewidywalna - mówię.

- Ale jeżeli twój stosunek do niej się zmienił, to może powinnaś jej o tym powiedzieć. Może wtedy i jej stosunek do ciebie się zmieni. .

Ogarnia mnie ciepło na myśl o maleńkiej, kruchej postaci, rzucającej różę do grobu taty. Jest ofiarą, ofiarą okoliczności i swojej własnej niepohamowanej natury. Straciła tatę na rzecz Barbary wiele lat temu, ale niecałkowicie. Ojciec w dalszym ciągu ją odwiedzał, dbał o jej potrzeby, utrzymywał ją i - kto wie - może nawet kochał. Teraz, jeśli nie liczyć Jane i mnie, jest przeraźliwie samotna.

- Pójdiesz do niej? - pyta ponownie pani Joseph.

- Pójdę.

36

Wizytę w klinice Redbush planuję na późne popołudnie. Przedtem wybieram się do Scotta, do jego nadmorskiego domu, a jeszcze wcześniej do doliny San Strana. U taty mam dla Ricky'ego Marcello mały prezencik.

Prezent leży na biurku.

W drzwiach pokoju komputerowego pojawia się Larry. Jest zgrzany i zmęczony.

Biorę segregator pod pachę i teczkę z listami dla Scotta.

- Znów muszę wyjść - mówię.

- Dlaczego?

- Chodzi o te dokumenty, o których ci wspominałam. Już wiem, co z nimi zrobić.

Potem muszę coś zanieść Scottowi. I na koniec idę się pożegnać z mamą.

- Ale ja ci przygotowałam kanapkę. Prawdziwy francuski chleb z francuskim serem. Nie zjesz jej przed wyjściem? - Na myśl o niezjedzonej kanapce Larry robi nadąsaną minę.

- Dobrze, zjem, dzięki.

Idę za nim do kuchni. Przysuwa do mnie kanapkę i nalewa nam wody.

- Teraz, kiedy zainstalowaliśmy światła, w stodole zrobiło się niesamowicie gorąco - narzeka. - Nie wiem, jak ci faceci to wytrzymują. To gorsze niż fala upałów. Nie zjedli nawet lunchu. Muszą być sporo młodszy ode mnie.

- Czy ten facet dalej się pęta koło waszego domu? - pytam.

- Tak. Szkoda, że nie mogę jakoś bardziej zainteresować tym Kirsty.

Jemy w milczeniu. Zawsze gdy jestem sama z Larrym, nie wiem, co powiedzieć. Rozmawiamy o fali upałów, o tym, że już się kończy, na jutro przepowiadają deszcz, i znów milkniemy.

- To powiedz, dokąd jedziesz z tym segregatorem, Lucy? - pyta w końcu. - Do miasta?

- Do doliny San Strana.

Kiwa głową i urywa zębami kawałek kanapki.

- Od lat tam nie byłem. Ostatni raz z wami. Spotkaliśmy się na lunchu w jakiejś restauracji nad rzeką.

Wtedy był już na świecie Stevie. Ta sama biała drewniana restauracja, ta sama rzeka, tak samo zamówiliśmy jajka po benedyktyńsku, ale z dzieckiem było już inaczej. Ciągłe domaganie się uwagi ze strony Steviego i jego nieustanny płacz zamieniły nasze spotkanie w męczarnię. A jajka po benedyktyńsku okazały się suche.

- Do kogo jedziesz do San Strana? - pyta Larry.

Nie zamierzałam mówić nikomu o Rickym Marcello poza Jane, ale ponieważ prędzej czy później Larry musi się dowiedzieć, więc mówię:

- Do mojego brata. A dokładniej: do mojego brata przyrodniego.

Miło jest wprowadzić Larry'ego w osłupienie. Zastyga, z kanapką w ustach i z szeroko otwartymi oczami, i ta moja krótka chwila władzy nad nim sprawia mi przyjemność. Kiedy mu opowiadam o drugim życiu taty, przerywa mi wykrzyknikami niedowierzania.

- Nie mieliśmy o tym pojęcia. Nigdy niczego nie podejrzewaliśmy... Czy kiedykolwiek widziałas tego faceta? Poznałaś go?

Nie zamierzam się zdradzać z moimi ostatnimi spotkaniami z Rickym - ani tutaj, ani w San Strana czy w Big Brim, ani wreszcie przed ich domem. A przynajmniej dopóki lepiej tego wszystkiego nie zrozumie.

- Chyba mignął mi na cmentarzu podczas pogrzebu taty - mówię.

- To smutne - kwituje Larry moją opowieść. - Naprawdę smutne. Zamiast się chować i ukradkiem spoglądać na trumnę, powinien być jednym z głównych uczestników pogrzebu.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może Ricky wystaje pod domem Jane, bo jest w nim jakaś samotność Schafferów. Nagle przestaje być dużym, ciemnym,

groźnym mężczyzną, a staje się samotnym młodym człowiekiem, który poszukuje swoich siostr, a kiedy znajdzie się za blisko, ucieka.

Wstaję do wyjścia.

- Nie mam pojęcia, jak na tę wiadomość zareaguje Jane - mówi Larry. - Chyba do niej zaraz zadzwonię, żeby z nią na ten temat porozmawiać. - Niewykluczone, że Larry jest głodny tej samej władzy, jaką przed chwilą miałam nad nim ja.

Kiedy przyjeżdżam do San Strana, warsztat, tak jak wtedy, wydaje się zamknięty, ale galeria jest otwarta. Jak zwyczajny klient wjeżdżam na parking, spory wyżwirowany plac przed stodołą, obsadzony dokoła kolorowymi kwiatkami. Na drugim planie widzę ogromne, pokryte łuską kory pnie starych drzew. Na jednym z nich, wysoko, są jeszcze resztki domku dla dzieci. Galeria ma duże okna nowoczesnego budownictwa, ale ściany z surowego drewna i wysoki dach stodoły. Wewnątrz jest pełno słońca. W rogu przy biurku siedzi kobieta. Kiedy wchodzę, odgarnia włosy i uśmiecha się do mnie.

- Dzień dobry - mówi. - Proszę sobie swobodnie oglądać, co się pani podoba, i powiedzieć, gdybym mogła w czymś pomóc.

Poznaję w niej kobietę, która wtedy wzięła dziecko na ręce i przez chwilę trzymała je nad głową. Jednocześnie słyszę jakiś ruch koło jej nóg i spod biurka wypełza tłusty, zaśliniony malec. Wymachuje kolorową drewnianą zabawką. Może produkcji Gregory'ego Hifelda.

- On nie będzie przeszkadzał - mówi kobieta, idąc za moim wzrokiem. Malec się uśmiecha. Pełźnie w moją stronę. Cofam się. Od trzech lat nie miałam na rękach dziecka.

Obrazy są w większości duże i kolorowe. Ze dwa namalowała Barbara Marcello. Jest na nich sto odcieni zielonego. Kobieta, widząc moje zainteresowanie, podchodzi do mnie. Jest tak wysoka, że idąc, wygląda, jakby się lekko chwiała.

- Czy zna pani twórczość Barbary Marcello? - pyta.

- Nie. Ale te obrazy mi się podobają.

- Tutaj Barbara Marcello mieszkała i pracowała przez całe życie. Mieli farmę w dolinie San Strana. Jej syn zgromadził sporo prac matki, reszta jest po ludziach. Stale zyskują na wartości. Kiedy mogę, to je odkupuję. Chciałabym z tej galerii uczynić miejsce wystawowe jej prac, ale... - Krzywi się. - Za szybko się sprzedają.

Moją uwagę przyciąga jeszcze jeden obraz. Kiedy przyglądam mu się dłużej, uderza

mnie coś znajomego: widok z domu taty. Dolina, sady, skrzyżowanie dróg.

Pokazuję na obraz.

- A to jest praca jej syna, Eryka Marcello - wyjaśnia kobieta. - Widać podobieństwo stylów.

- A czy może go zastałam? - pytam. Kobieta patrzy na mnie niepewnie.

- Chce pani poznać Ricky'ego?

- Ja się już z nim kilka razy widziałam.

Malec zbliża się i próbuje stanąć, przytrzymując się jej długiej spódnicy. Kobieta pochyla się i bierze go na rękę.

- A jak pani nazwisko? - pyta. Dziecko wtula swój miękki porośnięty puszkciem łepk w jej szyję i zerka na mnie z bezpiecznej wysokości ramienia matki.

- Lucy Schaffer.

Jej twarz cechuje piękno idealnej symetrii, ale teraz widzę, jak tężeje, jakby kobieta nagle zatrzasnęła drzwi. Wzdycha.

- Po co pani tu przysła?

- Muszę z nim porozmawiać.

- Nie musi pani.

- Mam wiele pytań. On może mi na nie odpowiedzieć.

- Te odpowiedzi nie są pani do niczego potrzebne. Niech pani wraca do Nowego Jorku, do swojego banku.

- Nie mogę. To tak, jakby ktoś ustawił w szeregu ołowiane żołnierzyki i kiedy tata umarł, a może jeszcze przed jego śmiercią, pierwszy żołnierz się przewrócił i teraz wszystkie padają po kolei i nic nie można na to poradzić.

Drzwi galerii otwierają się z dziwnym zgrzytem i wchodzi Ricky. Na mój widok zatrzymuje się w drzwiach.

- Poznałem twój samochód. Wynoś się stąd. - Jest agresywny, ale jego ton wydaje mi się dzisiaj trochę łagodniejszy, może dlatego, że zauważył dziecko tulące się nerwowo do matki.

Wyciągam do niego gruby zielony segregator.

- Wyjeżdżam z Kalifornii. Przyniosłam ci coś, czego szukałeś.

Bierze ode mnie niepewnie segregator.

- To są wpływy ojca z tytułu eksploatacji szybu naftowego. Szukałeś tego, prawda? Za pierwszym razem spłoszyli cię faceci, którzy przyholowali oldsmobila taty. Za drugim razem nie mogłeś znaleźć tych dokumentów, myślałeś, że mam je u siebie. A za trzecim razem, kiedy próbowałeś się wślizgnąć do pokoju komputerowego, natknąłeś się akurat na mnie, więc uciekłeś. Ale chodziło ci o te dokumenty, prawda? Proszę, masz.

Ricky patrzy na segregator, ale tylko przez chwilę; tak naprawdę wzrok ma utkwiony w mojej twarzy.

- Wiem, że jesteś moim bratem - mówię.

Cisza, jaka zapada w pomieszczeniu, jest krótka i przenikliwa.

W końcu Ricky, w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, patrzy na kobietę, ale jej twarz jest dalej zamknięta; odwraca się od niego. Dziecko zaczyna pisać i wyciąga rączki do ojca, który bierze je czule w ramiona. Malec, zadowolony, uśmiecha się szeroko.

- Posłuchaj - zwraca się do mnie Ricky. - Tata cię tutaj nie chciał. Nigdy cię tu nawet nie przyprowadził. Nigdy ci o nas nie powiedział. Bo nie chciał, żebyś wiedziała. I kazał mi obiecać, że nie będę się z wami kontaktował. A ja lubię dotrzymywać słowa, ale Bóg mi świadkiem: nie mówił, co mam robić, gdybyś się tu zaczęła kręcić i niuchać.

- Dotrzymałeś tajemnicy najlepiej, jak tylko mogłeś - mówię. - Ale teraz musisz mnie do niej dopuścić.

Ponownie spogląda w stronę kobiety, ale ona się odwróciła i odeszła od nas, lekko potrząsając głową. Siada za biurkiem i udaje, że jest bardzo zajęta.

Przed galerią zatrzymuje się samochód.

- Chodźmy lepiej do domu - rzuca energicznie Ricky. - Takie rzeczy są niekorzystne dla interesów.

Kiedy drzwi stodoły zamykają się za nami, mówi:

- Idź sobie stąd, na miłość boską, i daj mi święty spokój.

- Nigdy nie sądziłam, że brat może się odzywać do siostry tak jak ty do mnie - mówię.

Wzdycha i, z dzieckiem na ręku, wchodzi do domu. I choć mnie nie zaprasza, to zostawia drzwi otwarte, więc wchodzę za nim.

Natychmiast poznaję szczególny rodzaj nieporządku, jaki panuje w kuchni. Bałagan związany z obecnością dziecka. Pootwierane szuflady, ich zawartość na podłodze,

zabawki, dokoła wysokiego krzeselka jedzenie, butelki, okruchy.

- Siedź, Jordan - mówi Ricky, sadzając malca na podłodze pośród zabawek. Jordan ignoruje zabawki i zaczyna oglądać jakieś buty. Przypatruję mu się z zazdrością. Drugi wnuk taty. Mam nadzieję, że tata nie kochał go bardziej niż pierworodnego.

Ricky jest czymś zajęty w kącie. W dalszym ciągu nic nie mówi. Kiedy się odwraca, widzę, że przygotował kawę. Popycha do mnie filiżankę i gestem wskazuje, bym usiadła.

- Kawa jest w porządku - mówi. - Nie nasypałem do niej arszeniku. - Siada i prawie się uśmiecha. - W ubiegłym tygodniu przesłuchiwała mnie policja.

- Jak się o tobie dowiedzieli?

- W domu taty pełno było moich odcisków palców. A żeby dostać prawo jazdy na platformę holowniczą, trzeba dać odciski palców. Kiedy tamten policjant z drogówki powiedział, że widział tatę w wozie holowniczym, najzwyczajniej ich do mnie doprowadził.

- Wiedzieli o tobie wszystko?

- Aha. I wiedzieli, że ja tam byłem w niedzielę po południu i że ty też byłeś.

Powiedziałem im o wszystkim.

Czerwienię się.

- A tobie kto powiedział o mnie? - Ricky prostuje swoje długie ciało. - Zacarrowie? Joni Rimbaldi?

- Sama się domyśliłam. Słusznie szukałeś tych dokumentów, bo to było jedyne ogniwo, które nas w jakiś sposób łączyło. Nie znalazłam poza tym w domu nic, co by mogło wskazywać na twoje istnienie - żadnych zdjęć, nic... Ale dokumenty, zawarte w tym segregatorze, wyraźnie mówiły o tym, że mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłeś, tata przestał brać pieniądze należne mu z tytułu eksploatacji szybu naftowego. I kiedy zaczęłam ich szukać, natrafiłam na ciebie.

Z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu sięga po segregator, a następnie go otwiera.

- Simms-Roeder - mamrocze, wyciągając pierwszy z brzegu dokument. - Simms-Roeder umożliwił mi skończenie college'u i jeszcze dużo więcej.

Jordan tymczasem podczołgał się do moich stóp. Czuję na sobie jego małe rączki. Cofam nogi pod krzesłem.

- Przypuszczam, że nienawidziłeś nas - mówię. - To znaczy Jane i mnie.

- Tak - zgadza się ze mną. - Kiedy się dowiedziałem, że jesteście pierwszą rodziną taty i że nam poświęca czas tylko wtedy, kiedy wy się spotykacie w waszym wesołym klubie towarzyskim czy wyjeżdżacie na jakiś obóz, to rzeczywiście, tak, przyznaję, że was nienawidziłem. - Milknie na chwilę. - Ale za to miałem fantastyczną matkę - podejmuje. - Której sprawiałem cholernie dużo kłopotu. I jest mi teraz z tego powodu bardzo głupio. Ale ona była wspaniała. A twoja siedziała zamknięta w domu wariatów. Dlatego wydaje mi się, że w ostatecznym rozrachunku nie wyciągnąłem najgorszego losu.

Wydaje się w tej chwili rozluźniony. Długie nogi trzyma oparte na krześle. Jestem zła, że ma dostęp do historii mojej rodziny, sam nie ponosząc takich ciężarów. Obserwuję moją kawę, jakbym oczekiwała po niej czegoś szczególnego. Kiedy znów zaczyna mówić, jego ton jest trochę uprzejmiejszy.

- Musiało być wam naprawdę ciężko z taką matką. Kiedy zwariowała?

- Zaraz po tym, jak straciła dziecko. Miałam wtedy cztery lata.

Jordan podpełza do niego i Ricky schyla się i delikatnie podaje mu klucze. Mały łapie je i pakuje do buzi, ile tylko zmieści. Ricky głaszcze synka po włosach. Jest w tym geście, w jego delikatności i czułości coś wzruszającego. Po czym podnosi wzrok i czeka, żebym mówiła dalej.

- Byliśmy w Arizonie, pojechaliśmy do kanionu. Tata, Jane i ja poszliśmy tam szukać kamieni i tata, jak zwykle, zostawił nas daleko w tyle. A ja przewróciłam się i złamałam rękę, i wtedy Jane poszła sprowadzić pomoc, ale jakoś w końcu sama sobie poradziłam i o własnych siłach wydostałam się z kanionu. Zobaczyłam mamę, tatę i Jane stojących na asfalcie, tak lepkiem od upału, że miałam wrażenie, iż za chwilę wyparuje razem z nimi. I mama wrzeszczała. Szaleńczo wrzeszczała.

Usiłuję przypomnieć sobie jej słowa, więc zamykam oczy. Widzę, jak potykając się, dochodzę do wylotu kanionu, ramię mi pulsuje, upał blokuje wszelkie mechanizmy chodzenia czy myślenia, i cały czas słyszę ten krzyk, głośny i wysoki, jakby się wydobywał z samego środka rozpalonego słońca. I cały czas szukam słów. Chcę je przechwycić, sięgam po nie, ale one mnie ranią i uciekają.

- I... już? - pyta Ricky. - I to wszystko?

Jeszcze raz wracam do Arizony, znów asfalt smaży się w słońcu, znów upał odbija

się rykoszetem od skał i znów jej słowa mi się wymykają.

- Nie pamiętam, co ona wtedy mówiła. Ale ton jej głosu nie przypominał niczego, co do tej pory w życiu słyszałam.

Ricky poprawia się trochę na krześle.

- Zaraz, to znaczy, że kiedy szłaś do tego kanionu, twoja matka była przy zdrowych zmysłach, a kiedy wróciłaś, już nie?

- Tak to wyglądało.

- Coś musiało się stać.

- Zaledwie parę tygodni wcześniej straciła dziecko. Przypuszczam, że jej rozpacz osiągnęła punkt kulminacyjny tam, w tej straszliwej spiekocie.

Ricky potrząsa głową.

- Wydaje mi się, że coś się musiało wydarzyć w tym czasie, kiedy byliście w kanionie.

Odsuwa brudne talerze, żeby oprzeć łokcie na stole, i podpira brodę dłonią. Uśmiecha się nagle, dziwnie krzywo, i ten uśmiech bierze się jakby z jego palców.

- No cóż, w każdym razie oboje mieliśmy wspaniałego ojca. Patrząc w ciemnozielone oczy Ricky'ego. Są tego samego koloru co moje.

- Dlaczego na niego krzyczałeś? Wtedy, tamtego dnia, kiedy was widziałam z pomostu?

Ricky wzdycha.

- Nie ma dnia, żebym tego nie żałował. Ja na niego nie krzyczałem, ale może rzeczywiście mówiłem za głośno. Przekonywałem go, że czas najwyższy, by wyniósł się wreszcie z tego starego, paskudnego domu i zamieszkał z nami. Mógł mieć dla siebie całą część domu, a ja bym przynajmniej był spokojny, że jest bezpieczny. Ale nie. Nie z jego uporem.

- Bezpieczny? A uważałeś, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo?

- Tak. Ze strony córek, które się zakradały pod jego dom, i węszyły.

Próbuję się jakoś nieporadnie wytłumaczyć. Ricky słucha i mówi:

- I to właśnie wtedy widziałas go po raz ostatni? Smutno kiwam głową.

- Ja go widziałem ostatni raz w niedzielę późnym wieczorem, kiedy odprowadzili wóz holowniczy - mówi Ricky. - Wiem, że dowiedziałaś się o tym wszystkim. Nie chcieli

nam wtedy w nocy przeszkadzać, ale ja ich usłyszałem i wyszedłem zobaczyć, jak sobie radzą. Wydawali się szalenie podnieceni, bo ich o mało nie zwinął patrol drogowy.

- A w jakiej formie był tata?

- Och... bardzo zmęczony. Prowadził ten ciężki wóz, sprawdzali mu prawo jazdy, i w ogóle... I... odniosłem wrażenie, że jest jakby... smutny.

- Smutny?

Ricky mówi teraz cicho.

- Jakby wiedział, co się stanie. To znaczy, kiedy mu powiedziałem dobranoc, podszedł do mnie i...

Gapię się na niego. Głos więźnie mu w gardle, jakby zgubił drogę. Krzywi się. Spogląda w dół, na małego, bierze go nagle na kolana i tuli mocno, jakby próbował się nim odgradzić od swojego bólu. Jordan łączy do ojca, ale nie może ukryć jego łez. Ricky nie daje za wygraną. Nie chce płakać, chce dokończyć to, co zaczął. Kiedy mu się wreszcie udaje, jego słowa są ledwie zrozumiałe.

- Uściskał mnie i powiedział do widzenia. Nie dobranoc. Nie do zobaczenia. Tylko do widzenia, ale jakoś tak, jakbyśmy się mieli więcej nie widzieć...

Ricky płacze już teraz na dobre i małemu się to nie podoba. Wrywa się ojcu. Wstaję i, z oporami, sięgam po wiercącego się Jordana, który wychyla się do mnie ufnie, a ja biorę go na ręce. Dziecko w moich ramionach - tuli się do mnie, patrzy mi w oczy, sięga paluszkami do twarzy. Czuję jednocześnie wielką radość i wielki ból. Klękam i drugim ramieniem obejmuję Ricky'ego. Ostatecznie jest moim bratem.

- O, nie - słyszę. W drzwiach stoi oniemiała Marta. - Nie - mówi. - Wykluczone. Tego już za wiele.

Patrzemy na nią wszyscy i Jordan zaczyna się do niej wrywać. Marta podchodzi do mnie i energicznym ruchem zabiera dziecko. Cofam się o krok od Ricky'ego. Jego twarz jest mroczna, broda ukryta w cieniu, a źrenice tak rozszerzone, że oczy wydają się czarne; pod nimi ciemne smugi - linie papilarne smutku.

- Nic się nie stało - zwraca się do żony. - Ona i tak o wszystkim wiedziała.

- I co z tego? Dałeś ojcu słowo. Żadnych kontaktów. A ja tu widzę kontakty, i to jeszcze jakie!

- Marto, ona jest moją siostrą i teraz, kiedy tata nie żyje...

- Obiecałeś - powtarza kobieta. - Nie wymagałby od ciebie takiej obietnicy, gdyby nie miał po temu ważnych powodów. - Patrzą na siebie wojowniczo.

Marta zwraca się do mnie:

- Po co... - pyta - po co tu ciągle przychodzisz?

- Gdybyś się dowiedziała, że masz brata, czy nie chciałabyś go poznać?

- Nie potrzebowałaś go do tej pory. To i teraz się bez niego obejdziesz.

Jednakże mimo wrogości Ricky'ego i tego, co mnie tu spotyka, wydaje mi się, że czekałam na niego przez całe życie. Brata, którego kochałam, zabrano mi jako niemowlę, a teraz mam takie uczucie, jakby do mnie wrócił w postaci tego gniewnego obcego mężczyzny.

- Popełniłaś błąd - mówi Marta, wracając do galerii z Jordanem pod pachą. - Wasz ojciec nie chciał, żeby jego dwie rodziny kiedykolwiek się poznały, ponieważ wiedział, że stanie się z tego powodu coś złego.

- Ale co złego może się stać? - pytam, jednakże Marta energicznie wychodzi, trzaskając drzwiami. - Dlaczego tata nie chciał, żebyśmy się poznali? Dlaczego? Czy kiedykolwiek podał ci powód?

Ricky potrząsa głową.

- Marta się uspokoi. Po prostu musi trochę potrwać, zanim się oswoi z nową sytuacją.

- Czas na mnie - mówię. - Jadę jeszcze do Scotta i do matki do kliniki. A tam nie pozwalają na późne wizyty.

Kiedy wychodzimy, dom z zewnątrz przedstawia miły widok. Dom i stodoła, drugi dom i druga stodoła taty, ciepła, jasna strona jego życia.

Stojąc koło mojego samochodu, Ricky pyta:

- To co, zobaczymy się jeszcze?

- A chciałbyś?

- Lucy, czuję coś w rodzaju wielkiej ulgi. Myślę, że to może być jeden z pozytywnych skutków śmierci taty.

I ku mojemu bezgranicznemu zdumieniu obejmuje mnie nagle długimi ramionami i przytula - ten nieznajomy, który jest moim bratem.

Scott siedzi na ganku i patrzy przez lornetkę, a wiatr od oceanu rozwiewa mu włosy we wszystkie strony.

- To może być wielorybnicza łódź patrolowa - donosi. - Pewnie już się zaczęły migracje.

Wiatr od morza jest tak zimny, że Scott dał mi swoją ogromną bluzę dresową. Na wybrzeże wrócił marzec. Fala upałów przypominała czerwiec, ale było to dziwne, fałszywe, duszące lato i tylko ocean nie dał się nabrać, zachowując lodowatą głębię swego koloru.

Poza pogrzebem prawie nie widywałam się ostatnio ze Scottem. Podejrzewam, że z Francji wróciła Brigitte, mam tylko nadzieję, że nie przyjdzie akurat w tej chwili.

Kładę przed nim dużą teczkę.

- Popatrz sobie na to przez lornetkę - mówię. Nawet próbuje, żartuje, ale odkłada lornetkę i bierze teczkę do ręki.

- Czy to są dokumenty związane z wykonaniem testamentu? - pyta.

- Tak. To jest wszystko. Załatwione. Skończone. Zadzwoiłam tam, gdzie trzeba. Porobiłam odbitki aktu zgonu i dołączyłam do stosownych dokumentów. Masz tylko podpisać listy, powkładać je do kopert i wysłać. Są już nawet przyklejone znaczki.

- O Jezu, Luce...

Scott przewraca kartki, wypełnione zgrabnymi cyframi, listy, koperty.

- Nie wiem, jak ci dziękować... - Nachyla się przez nędzny drewniany stół i całuje mnie. Nie jest to długi pocałunek, ale dostatecznie długi, by co najmniej wyrazić wdzięczność.

- Kiedy masz samolot? - pyta.

- Jutro o trzeciej.

- Mogę przyjechać na lotnisko?

- Możesz, ale i tak się pewnie niedługo zobaczymy. Myślę o tym, żeby jednak wrócić do Kalifornii.

Przez sekundę, nie, przez ułamek sekundy widzę na twarzy Scotta coś w rodzaju osłupienia i wiem, że sprawy z Brigitte zaszły za daleko na to, by uznał, że stan Kalifornia

jest wystarczająco duży dla nas obydwu. Ale już po chwili otrząsa się i uśmiecha, szczerze zadowolony.

- To fantastycznie - mówi. - Jakim cudem?

- Teraz, kiedy tata nie żyje, mogę być potrzebna mamie. Ostatecznie, jest tu cała moja rodzina. Grób Steviego... Mam wiele powodów, żeby wrócić do Kalifornii.

Wstaję; mało brakuje, żeby mnie wiatr z powrotem rzucił na krzesło.

- Muszę jechać do Redbush. Chcę się pożegnać z mamą.

- Są może jakieś wieści z policji? - pyta Scott. Potrząsam głową.

- Trudno mi wracać do Nowego Jorku, nie znając przyczyn śmierci taty. Ale w ciągu tych dwóch tygodni tak wiele innych spraw się wyjaśniło.

Scott też wstaje. Trzyma mnie za ramiona, przypatrując się mojej twarzy.

- Wyglądasz bardzo dobrze, Luce. Wspaniale, tak ożywiona. Uśmiecham się do niego.

- Bo zaczynam się wreszcie dobrze czuć.

Całuję go i wychodzę. Zbiegam na plażę, stukając butami o stopnie. W zetknięciu z piaskiem moje kroki cichną.

Jadę wzdłuż wybrzeża do Redbush. Kiedy po raz pierwszy odwiedzałam matkę w klinice, miasto Redbush prawie nie istniało. Pamiętam je jako niewielką wiejską osadę, która ostatnio rozrosła się nie do poznania. Domy są przestronne, z dużymi ogródkami od frontu i dobrze podlewanyymi trawnikami. Wiele z nich ma już swoje lata: dzieci, które się tu urodziły, same mogą być rodzicami - domy mają już dzieciństwo, historię i wspomnienia.

Wiem, że przed nimi były inne historie i inne wspomnienia. Próbuję bezskutecznie przyrównać dojrzałe drzewa do tych, które rosły w obejściach małych farm. Odnajduję wzrokiem linie asfaltowych szos, szukając wśród nich dróg, które za mojej pamięci prowadziły do odosobnionych gospodarstw z porzewiałymi półciążarówkami, zaparkowanymi na pełnych kurzu podwórkach koło starych traktorów. Nagle poraża mnie świadomość, że tamtą znajomą przeszłość coś zastąpiło, że została zabudowana, jakby nigdy nie istniała. Domów, ludzi i koni tutaj, na wzgórzu, już nie ma, ale jeśli ja to wszystko pamiętam (grupa spieczonych słońcem dzieciaków, pijących różowy napój w cieniu drzewa pod okiem zażywej kobiety w fartuchu; mężczyzna, kopiący ze złością

ciężarówkę z przedziurawioną oponą; niski czerwony dom i koń tego samego czerwonego koloru, stąpający elegancko w przyległym korralu; czasem siodło, zawieszone na drewnianym płocie, czasem jeździec, pod którym koń wykonuje dziwne tańce), to czy mogło całkowicie przepaść?

Jak długo pamięta się przeszłość, tak długo ona trwa, choć w sposób oczywisty już jej tam nie ma. Pamiętam opalonych ludzi, ich domy i sady. Zawsze kiedy tędy przejeżdżaliśmy, wypatrywałam czerwonego konia i prawie zawsze koń tańczył i lśnił w słońcu, a czasem stał spokojnie i jadł siano. Moje wspomnienie tej drogi ma intensywność bardzo świeżej przeszłości, dlatego tak trudno, a może nawet w ogóle nie da się pogodzić z domami, basenami i trawnikami, które istniały tutaj od wielu lat, tworząc swoje własne wspomnienia.

Kiedy przyjeżdżam do kliniki, strażnik dokładnie sprawdza moje prawo jazdy, po czym, w dalszym ciągu pilnie mi się przyglądając, dzwoni na oddział i w końcu kiwa głową.

- Proszę.

Duży, uśmiechnięty pielęgniarz mamy czeka na mnie w oranżerii.

- Cieszę się bardzo, że pani się jednak zdecydowała spróbować jeszcze raz - mówi. - Po ostatniej wizycie bałam się, że nie będzie pani miała ochoty.

Korytarze są ciche i dopiero kiedy mijamy jakieś drzwi, słyszę śmiech. Chór pięciu czy może sześciu głosów w wybuchu wspólnej spontanicznej radości.

- To grupa chorych na alzheimera tak się dobrze bawi - wyjaśnia pielęgniarz.

- Nie wiedziałam, że mieć alzheimera to takie zabawne.

- O, nie, to nie jest zabawne nawet w najmniejszym stopniu, może mi pani wierzyć. Ale ta grupa ma wspaniałą terapeutkę, która mówi: słuchajcie, macie drugie dzieciństwo, cieszcie się nim tak samo, a może nawet jeszcze bardziej niż tym pierwszym. Jej metody mogą się wydawać kontrowersyjne, ale ludzie zjeżdżają tu z całego stanu, żeby ją obserwować przy pracy, i na ogół są pod wielkim wrażeniem.

- A co na to pacjenci?

- Pacjenci ją ubóstwiają. Chcą, żeby zajęcia grupy alzheimera trwały cały dzień.

- A może mojej matce by to pomogło? Mijamy jakieś drzwi. Mężczyzna się zatrzymuje.

- Hmm, pani matka nie ma alzheimera... I jeśli mam być szczery, to nie wyobrażam sobie, by mogła się tak śmiać razem z grupą. Ona... ona jest jakaś smutna.

Matka nad grobem, roniąca małe łzy jak perełki. Otoczona przez ludzi, ale bardzo samotna po odejściu taty.

- Przykro mi, że Tania pokazała się pani z tej nieprzyjemnej strony - mówi pielęgniarz. - Potrafi być taka w stosunku do pani siostry, ale trudno mi było uwierzyć, że po takim długim rozstaniu zachowa się tak paskudnie wobec pani.

- Jane twierdzi, że matka jej najczęściej nie poznaje. Pielęgniarz odrzuca głowę do tyłu, zarykując się ze śmiechu.

- O, poznaje Jane, poznaje, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Zatrzymuję się pod drzwiami matki. Serce zaczyna mi walić jak oszalałe. Ręce robią się lepkie. Wchodzę do pokoju i wśród ozdobnych zasłon, poduszek i pluszowych krzeseł zaczynam szukać wzrokiem maleńkiej, kručzej postaci. - Proszę chwilę zaczekać, zaraz ją przyprowadzę. Zajęcia już się skończyły.

- Jakie zajęcia?

- Ceramika. Właśnie pięć minut temu skończyli.

Na łóżku leży niebieski album w filcowych okładkach, z pozaginanymi rogami od częstego przeglądania. Kiedy pielęgniarz zostawia mnie samą, wyglądam przez okno, żeby się upewnić, czy nie obserwuje mnie ktoś w ogrodniczkach. Po czym otwieram album. Jest w nim pełno fotografii. Mały Nicholas. Ja. Tata. Babcia, ciotki. Znów ja. Tata i ja. Jeszcze jedno dziecko, prawdopodobnie Nicky. Ja, patrząca z zachwytem na Nicky'ego w łóżeczku. Dom, dziwnie nagi, bez osłony liści, tata stojący przed domem. Oprócz fotografii są pocztówki, z moim pismem na odwrocie. Pocztówki z abstrakcyjnymi błękitami, z brązowym psem, z wieśniakami rosyjskimi w walonkach w starej Rosji. Wszystkie pocztówki, jakie kiedykolwiek przysłałam matce, z oślimi uszami od częstego oglądania, jak zdjęcia.

Dochodzę do końca albumu i tam znajduję jeszcze jedno zdjęcie. Jest na nim klasa - trzy rzędy uśmiechniętych dzieciaków. „Szkoła Cornington, druga klasa” - mówi mała tablica, którą trzyma nauczycielka. Przypominam sobie, kiedy to zdjęcie było robione: zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego, ledwie zdążyliśmy poznać imię naszej wychowawczynie. Jako pierwsza rzuca mi się w oczy Lindy, ładna blondyneczka, z głową

lekką przechyloną na jedną stronę, a koło niej ja. Patrząc w aparat, uśmiecham się lekko i trzymam przed sobą zgięte ramię - w gipsie. Przyglądam się zdjęciu bliżej. Do drugiej klasy poszłam jako sześć-, prawie siedmiolatka. Ale przecież wiem, że złamałam rękę parę lat wcześniej, w kanionie Arizony, ponieważ w tę podróż wybraliśmy się zaraz po śmierci Nicky'ego, a wtedy miałam cztery lata, tego jestem pewna. Gapię się na gips na fotografii, usiłując sobie wmówić, że jest to biały rękaw albo biały papier, a może po prostu żart. Ale sposób, w jaki trzymam tę rękę, w jaki ją osłaniam, nie budzi wątpliwości.

Słyszę w korytarzu głosy. Szybko chowam zdjęcie i zamykam album. Moje myśli wzbijają się w górę i szybują jak mewa. Nicky zginął, kiedy miałam cztery lata. Nie pojechaliśmy do Arizony zaraz po jego śmierci. Ta historia z mamą w kanionie musiała się zdarzyć wiele lat później. Mam w uszach słowa Ricky'ego: „Wygląda na to, że coś się stało, kiedy byliście w kanionie”.

Otwierają się drzwi i wchodzi matka pod rękę z pielęgniarzem. Dziś jest w okularach. Ramki są surowe i sprawiają, że jej twarz wydaje się mniej nieobecna.

Podchodzę prosto do niej. Nie chcę jej przestraszyć, więc mówię łagodnie:

- Cześć, mamó, to ja, Lucy.

- Lucy.

Wyciąga rękę i czuję delikatne, ciepłe pociągnięcie za ramię - matka ostrożnie, leciutko mnie obejmuje. Poddaję się macierzyńskiej pieśczości i ta chwila odznacza się dziwną, niepowtarzalną słodyczą.

- Chyba zostawię was same - mówi pielęgniarz. - I to już, teraz.

Słyszę ciche trzaśnięcie drzwi, gdy się za nim zamykają.

- Mamó, przypomniałam sobie piosenkę, którą mi śpiewałaś, kiedy byłam mała...

Matka czeka. Robi wrażenie przestraszona. Mam nadzieję, że teraz, kiedy mi tak bardzo zależy, odnajdę melodię. Sięgam w głąb pamięci, w to dziwne nieuchwytnie miejsce, w jakie zapada muzyka. Wypływa z niego kilka niepełnych taktów dziecinniej piosenki. Zaczynam ją nucić i na twarzy matki pojawia się szeroki uśmiech; przez chwilę oczy jej błyszczą. Powoli podejmuje melodię i, początkowo niepewnie, zaczyna śpiewać. Zamykam oczy, a ona śpiewa cicho, trzymając mnie za obie dłonie. Kiedy dochodzimy do końcowych taktów, obie naśladujemy rękami odlatujące ptaki. Patrzymy na siebie zachwycone, uśmiechnięte.

- Mamo, chcę z tobą porozmawiać o moim dziecku - mówię. - O Steviem. I o jego śmierci. Ostatnio zaczęłam trochę o tym mówić, ale przede wszystkim chciałabym porozmawiać z tobą, bo ty mnie najlepiej zrozumiesz.

Podchodzimy do okna i siadamy na tych samych krzesłach, na których siedzieliśmy ostatnim razem. Matka patrzy na mnie, czekając, aż zacznę mówić, a ja widzę, że jej umysł jest w pełni skoncentrowany. We włosach ma resztki gliny. Ma glinę za paznokciami.

Opowiadam jej, jak Stevie bez przerwy płakał i płakał.

- Jego krzyki po troszku mnie zjadały. Jego rozpacz była moją rozpaczą. Nieszczęście, które wyrażał, tkwiło w moim wnętrzu. Kochałam go tak bardzo, ale wymagania Stewiego, jego ciągle niezadowolenie i płacz zrobiły ze mnie zupełnie inną kobietę, która, Bóg mi świadkiem, nieraz miała ochotę go udusić. Chciałam, żeby przestał. I kiedy umarł, poczułam, że było to nieuchronne. Tak wiele razy uciszałam go w myślach, że w końcu uznałam jego śmierć za swoją winę.

Płaczę teraz, a matka zamyka moje palce w swoich małych dłoniach. Kiedy podnoszę na nią wzrok, widzę, że i ona płacze.

- To była moja wina - mówi.

Wpatruję się w nią. Po jej oczach poznaję, że jest całkowicie przytomna, skoncentrowana. Łzy lecą jej po policzkach, już nie milcząco, tylko przy akompaniamencie wysokiego, przenikliwego zawodzenia, które pamiętam z moich snów.

- Znów to zrobiła! To moja wina, że znów to zrobiła!

Jej słowa przedostają się szczelinami. Jestem sama w rozprażonym krajobrazie piętrzących się czerwonych skał i spieczonej ziemi. Zbliżam się do wylotu kanionu, moje ramię pulsuje z bólu i słyszę wrzask, który w pierwszej chwili biorę za krzyk jakiegoś rozzłoszczonego pustynnego ptaka. A potem zdaję sobie sprawę, że jest to głos kobiety i że tą kobietą jest moja matka. Wsluchuję się w jej słowa, które odskakują od skalnych ścian, odbijają się echem w kanionie, pełną wzdłuż wyschniętych koryt rzecznych.

- To moja wina, że ona to znów zrobiła! Ona to znów zrobiła! O Boże, ona to znów zrobiła!

- Powiedz, kto znów to zrobił? Kto? - pytam.

Przyglądam się matce, jej niebieskim oczom i jasnej skórze, glinie we włosach.

Wpatrzona we mnie, trzyma mocno moją rękę, czekając, aż pojmę sens jej słów.

W Arizonie byliśmy dwa lata po śmierci Nicky'ego, a nie dwa tygodnie. Jane i ja poszliśmy do kanionu. I Jane wyszła z niego sama. Wtedy matka zaczęła wrzeszczeć. Dokładnie w tym momencie przekroczyła cienką granicę pomiędzy rozpaczą a szałem. Dlatego kiedy się pojawiłam, cała trójka stanęła jak wryta, ale dla matki było już za późno. Matka już uznała, że Jane zrobiła to znowu.

- Jane - mówię cicho. A potem głośniej: - Jane. Całe ciało matki dosłownie skręca się z bólu.

- Jane... - powtarzam. - To Jane zabiła Nicky'ego. - Te słowa wydostają się ze mnie tak łatwo, tak naturalnie, że nie rozumiem, jak mogłam je w sobie dławić od czwartego roku życia.

38

Siedzę przy parkingu, tak jak wtedy z Saszą i ciotkami, zapatrzona w beżowy nienaturalnej zieleni trawnika. Zróżnicowane tworzą na nim wzór jednakowych graniastosłupów ciągnący się przez środek aż do muru po przeciwległej stronie. Kiedy matka nie mogła przestać płakać, pielęgniarka powiedziała mi, żebym wyszła. Przyłgnęła do mnie wtedy mocno, a potem złożyła na moim czole mały smutny pocałunek. Obiecałam jej, że wkrótce wrócę.

Bluza Scotta jest tak wielka, że bez trudu mogę w niej zmieścić kolana i przytulić je do siebie, ale ostre, chłodne powietrze przenika ubranie i czuję się, jakbym była naga. Wiatr gna chmury po niebie i kiedy przesłaniają słońce, następuje wyraźny spadek temperatury. Ale nie zwracam na to uwagi. Nie zwracam uwagi na to, że jest mi zimno. Chcę, żeby mi było jeszcze zimniej, chcę być całkowicie znieczulona. Gdyby tak mój umysł przestał pracować. Ale on w dalszym ciągu myśli. Myśli nieubłaganie jak maszyna.

Zastanawiam się, jak Jane zabiła Nicky'ego. Może go udusiła. Jakkolwiek to zrobiła, miała zaledwie siedem lat i rodzice uchronili ją przed konsekwencjami tego czynu, reżyserując w wiele dni później w Big Brim scenę utopienia. A Nicky? Wydaje mi się, że pamiętam, jak chowali psa Nikla, ale teraz nie jestem nawet pewna, czy w ogóle taki pies istniał. Może został wymyślony po to, żeby odwracać uwagę od wspomnień o Nickym. Tata trzymał na rękach zawinięte w koczek dziecko, matka rozpaczliwie zawodziła, a koło

nich stała Jane. Była bardzo blada, oczy jej płonęły, nerwowo przebierała palcami. Uciekłam. Potykając się, minęłam lśniąca platformę holowniczą, a potem biegłam przez ogród, między drzewami, koło trującego bluszczu, aż wreszcie okrążyłam pachnące krzewy i dotarłam do nory, którą sobie zrobiłyśmy pod gałęziami. W środku był dywanik, kilka koników zabawek i Lindy.

A więc Lindy Zacarro wiedziała, co zrobiła Jane. Może właśnie dlatego zginęła. Może w kilka lat później była między nimi jakaś kłótnia i Lindy zagroziła, że powie.

Pamiętam matkę wychodzącą od Zacarrów i jej palce roztrzepotane jak uwięzione ptaki. I wyraz zgrozy na twarzy. Bo wiedziała, że Jane znów to zrobiła.

- I... - Zrywam się z ławki. Wykrzykuję to głośno, chociaż nie ma nikogo, kto mógłby mnie słyszeć, z wyjątkiem może kilku osób przechodzących właśnie przez parking i przygotowanych na takie zachowania w klinice typu Redbush. - I Stevie! I Stevie też...!

Twarze dokoła niebieskiej kołyski, ściągnięte zgrozą. Oczy Jane płoną, palce tańczą. Oczy taty, szeroko otwarte, wychodzące z orbit, powoli zsuwają się ze mnie i przenoszą na stojącą obok Jane. Tata wpatrywał się w nią, bo wiedział. Wiedział, co zrobiła.

Wydaję cichy jęk.

Z bólu prawie nie mogę oddychać. Prawie nie mogę oddychać z pragnienia, by znów poczuć na sobie delikatny ucisk ciała Steviego. Wydaje mi się, że jestem za mała na to, by pomieścić tak wielki ból. Moje wycie zdaje się rozdzierać zielony trawnik jak cienki papier. Słyszę, jak ktoś powtarza w kółko imię Steviego, a potem jak je wymawia wśród szlochów i wreszcie szeptem. Domyślam się, że tą osobą jestem ja. Nie potrafię jej uciszyć. Łzy bez końca, żal bez granic.

Zrywam się z ławki, jakby się pode mną paliła.

- Czy dobrze się pani czuje? - pyta ktoś. Nachyla się nade mną jakiś mężczyzna, może lekarz w drodze do lub z kliniki.

- Muszę iść do telefonu! - mówię. - Muszę zaraz zatelefonować.

Mężczyzna jest wyraźnie zatroskany. Pokazuje na klinikę, a ja dosłownie wbiegam do budynku. Recepcjonistka gapi się na mnie w osłupieniu i pokazuje na publiczny płatny aparat. Sprawdzam numer Ricky'ego i dzwonię, odbiera Marta.

- Tu Lucy, nie odkładaj słuchawki, to pilne - mówię. - Czy jest Ricky?

Czuję chłód w jej odpowiedzi.

- Akurat wyszedł.

- Dokąd?

Marta zaczyna swoją płytę, jak to tata nie chciał żadnych kontaktów między nami, ale przerywam jej.

- I miał rację, Marta. Ale teraz już wiem dlaczego. Teraz już wszystko rozumiem. Muszę Ricky'ego ostrzec, proszę cię bardzo, powiedz mi, gdzie on jest.

Słyszę westchnienie.

- W Tigertail Bay.

- Tigertail?

- Podglądanie wielorybów. Dzwoniła Joni Rimbaldi. Ona tam mieszka i powiedziała, że jest w tej chwili wielkie stado wielorybów.

- Ale Joni tam nie ma! Nie ma jej w cholernym Tigertail. Ona jest teraz w Maine. To nie Joni dzwoniła...

Wybiegam błyskawicznie - nie jestem nawet pewna, czy odłożyłam słuchawkę. Jadę z taką szybkością, że natychmiast zapominam każdy odcinek drogi, gdy tylko znajdzie się za mną. Przekraczam dozwoloną prędkość, zmieniam pasy ruchu, irytuję kierowców, trąbię. Od Tigertail Bay dzieli mnie jakieś czterdzieści minut drogi i cały czas ścigam się z moim sercem. Pocieszam się tylko jedną myślą: Ricky musi podejrzewać Jane. Dlatego ją śledzi. Mam nadzieję, że śledził ją i teraz.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, parkuję samochód na szczycie skały i pędem biegnę na samą jej krawędź, tam skąd widać całą zatokę. Jeden rzut oka mi wystarcza: jestem za późno. Szok. Chwila jednoczesnej informacji i niedowierzania. Synteza nowej straszliwej rzeczywistości i rzeczywistości dotychczasowej. Moment, w którym widzę platformę holowniczą, leżącą na boku jak mała srebrna zabawka, zmiażdżoną o skały, i dokoła bezkresny błękit oceanu. Tam gdzie jej chromy wystają z wody, przezierające przez chmury słońce tańczy na gładkiej powierzchni metalu.

Otwieram usta i słyszę długi, głośny krzyk, napędzany rozpaczą, nabrzmiały niedowierzaniem. A potem zbiegam po skalnych stopniach. Po dwa, po trzy naraz. Mijam ludzi stojących i gapiących się; jeden wrzeszczy; dwoje krzyczy, ale ja ich roztrącam i gigantycznymi krokami pokonuję dzielącą mnie od oceanu odległość.

Na dole jest tylko wąski pasek suchego piasku i zaraz potem czuję pod nogami twardsze wilgotne podłoże. Jeszcze chwila i brodzę w wodzie. Woda kąsa mnie najpierw w stopy, a potem w łydki. Lodowaty krąg sunie coraz wyżej po moim ciele i raz jeszcze błogosławię znieczulające działanie zimna. Nie waham się. Przed sobą widzę srebrny wóz holowniczy. Nawet z bliska wydaje mi się mały wobec ogromu oceanu. Nie chcę myśleć o tym, jak spada ze skały, jak powoli zakreśla łuk, kiedy koła, zamiast na opór ziemi, natrafiają na opór powietrza, nie chcę sobie wyobrazać, jak wali się w dół i uderza o skały, jak podskakuje jeszcze, nim wreszcie spocznie na boku w całkowitym bezruchu wśród niespokojnego oceanu.

Gdzieś poza rozbijającymi się falami, wysoko w górze, słyszę głosy, krzyki, syreny. Ale nie patrzę w tamtą stronę. W dole jest cisza śmierci, bez trudu ją poznaję.

Drzwi od strony kierowcy są całkowicie pod wodą. Wdrapuję się na jedno z kół, a z niego na drzwi od strony pasażera. Zaglądam do ciemnego wnętrza kabiny. Jest do połowy zatopiona. Widzę jakieś nieruchome kształty. Kładę się na boku kabiny i otwieram drzwi do góry, a następnie podpieram je ciałem, żeby się nie zamknęły.

Pode mną ciało Ricky'ego, wsparte o kierownicę, wisi w wodzie na pasie. Jego włosy kołyszą się delikatnie w rytmie fal. Dobrze, że nie widzę jego twarzy.

Mały jest w dalszym ciągu przypięty do fotelika, woda jeszcze go nie dosięgła. Bardzo ostrożnie odpinam pasy i ciało dziecka dosłownie wpada mi w ramiona.

- Mój maleńki - szepczę. Nikt mnie tu nie słyszy, poza zmarłymi. Powoli wycofuję się z kabiny z dzieckiem, przewieszonym przez ramię. Drzwi zatrząskują się za mną nad Rickim. Siedzę na boku wozu holowniczego, tuląc do siebie małe ciało Jordana i kołysząc je lekko jak morze.

Robi się coraz większy ruch - u góry, na plaży. Siedzę na ciężarówce, słuchając, jak małe fale rozbijają się o skały. Morze ma swój rytm, ale trudno na nim polegać. Czasem czeka się na następną falę, a ona wcale nie nadchodzi i wtedy wydaje się, że fala jest nieruchoma, ocean jest nieruchomy, cały świat jest nieruchomy.

W pobliżu krążą helikoptery, powodując hałas, szaleńczy ruch w wodzie. Kiedy patrzę na plażę, widzę nurków, ciągnących wzdłuż wybrzeża ponton. Dwóch z nich wchodzi do wody. Na szczycie skały jest wóz policyjny i tłum ludzi. Mam powtórkę z mundurów, migających świateł, taśmy policyjnej.

Woda jest w tej chwili za wysoka, żebym mogła wrócić wplaw. Muszę czekać na pomoc. Po chwili dopływają pierwsi ratownicy.

- Jest ktoś żywy? - spluwają wodą. Trzymając się kierownicy wozu holowniczego, jednym szybkim ruchem wydzwigają się na bok maski.

- Tylko ja - mówię.

Jeden z mężczyzn zagląda do kabiny i patrzy na ciało Ricky'ego, drugi bierze ode mnie dziecko i bada jego piersi, usta, nadgarstki.

- Dziecko prawdopodobnie zginęło od uderzenia - oznajmia. - Kim pani jest?

Patrzę na jego mokrą twarz, obleczoną w dziwną plastikową maskę.

- Jestem siostrą kierowcy - mówię. Staję na boku ciężarówki. Woda przykrywa teraz moje stopy.

Przypływa ponton z nurkami. Dwóch z nich bierze mnie i mkniemy ślizgiem po powierzchni wody w stronę brzegu, gdzie czeka kolejna łódź z następną grupą nurków. Gromadka umundurowanych i nieumundurowanych funkcjonariuszy otula się płaszczami w porywach przenikliwego wiatru. Wpatrują się w platformę holowniczą, teraz ledwie widoczną, łatwą do pomylenia ze skałą albo z jakimiś pływającymi szczątkami.

- Spóźniłaś się, Lucy - mówi, podchodząc do mnie, Michael Rougemont. Jego twarz, z wystającymi kośćmi policzkowymi, pod którymi widać głębokie cienie, przypomina maskę bólu. - Tak samo jak ja.

Jakiś mężczyzna, z radiem w rękę, wykrzykuje nazwisko Rougemonta. Detektyw zdejmuje płaszcz.

- Włóż to - poleca mi. Słyszę krzyk i helikopter obniża się nad platformą holowniczą, powodując niewielki sztorm, z wiatrem i falami. Wkładam na siebie ogromny płaszcz. Kiedy idę, zamiatam nim ziemię.

W połowie drogi pod górę mijam spieszącą w dół wysoką postać. Poznaje Martę - twarz ma na pół odwróconą, z trudem łapie powietrze, wiatr targa jej włosy, przesłaniając oczy.

- Szkoda, że nas znalazłaś! - krzyczy do mnie, nawet się nie zatrzymując. - Po co nas nachodziłaś?! To wszystko przez ciebie!

Wracam do samochodu. Siedzę w środku i tutaj, gdzie wiatr nie wrzeszczy mi do ucha, cisza dosłownie ogłusza. Tak, to wszystko przeze mnie. Gdybym się tylko

zorientowała wcześniej, gdybym myślała szybciej, pilniej słuchała.

Moje ciało wypełnia jeden wielki bezgłośny krzyk.

39

Kiedy docieram do domu taty, słońce powoli zachodzi za wzgórze, zupełnie jak tata, gdy po długim, ciężkim dniu zapadał powoli w swój ulubiony fotel. Noc już zagęszcza powietrze. Świerszcze zaczynają swój koncert.

Wielkie drzwi do stodoły otwierają się z ciekawym piskiem. Czekam, aż moje oczy oswoją się z ciemnością, po czym naciskam stary metalowy włącznik światła. Unikając lamp geologów, biorę kilof, łopatę i pręt i idę z tym sprzętem krętymi ścieżkami do dolnego ogrodu.

Kucam mniej więcej w jego środku, żeby dokładnie obejrzyć kamienie, które muszę usunąć. Najpierw powoli podważam na rogach nagrobek taty. Pamiętaj o śmierci. Potem próbuję ruszyć duże głazy pod nim. Są osadzone w gruncie, nie w betonie, ale leżą tu od tak dawna, że wyschnięta ziemia trzyma je mocno. Wbijam kilof w szczeliny. Wkrótce jestem złana potem. Zdejmuję płaszcz Rougemonta i pracuję dalej, aż widzę, że metalowy palec kilofa wciska się pod największy z głazów. Stopniowo odrywam od podłoża wielkie, okrągłe kamienie i usuwam z miejsca, w którym tyle lat temu ułożył je tata. Opór, jaki stawiały ostrzu kilofa, nie był taki wielki. Pozostawiają po sobie idealny odcisk w ziemi - świadectwo ich wieloletniej obecności. Kamienie są gładkie i niemal jednakowo okrągłe. Ich waga jest akurat odpowiednia. Mniejsze idealnie pasują do moich dłoni. Układam je pod eukaliptusem wśród gnijących długich, wąskich strzępów kory. Niskie dźwięki kamieni padających jeden na drugi sprawiają mi przyjemność.

Zaczynam odgarniać pierwszą warstwę sypkiej, piaszczystej ziemi. Praca fizyczna dobrze mi robi. Rytm łopaty, łagodnie wchodzącej w akceptującą glebę, rozciąganie mięśni przy podnoszeniu ciężarów - wszystko to razem stanowi idealne znieczulenie: przestaję się bać tego, do czego muszę się w końcu dokopać.

Pod warstwą luźnej ziemi jest ziemia ubita. Prostuję się i świeża bryza przenika moje rozgrzane ciało. Unoszę kilof wysoko nad głowę, by poczuć idealną równowagę; ciężkie narzędzie jak gdyby wyrasta z mego ciała. Biorąc zamach, jednocześnie zsuwam dłoń po trzonku kilofa. Jego ostrze wbija się głęboko w twardą warstwę ziemi i drobnych

kamyków. Wyrywam je, spulchniając nieco to zbite podłoże.

Pracuję dalej, aż natrafiam na skałę. Skała nie ustępuje, ale zgrzyt metalu o kamień brzmi gniewnie, a iskry, które się przy tym sypią, mają w sobie coś przerażającego. Odkopuję ziemię, którą spulchniłam. Od czasu do czasu przerywam pracę i oparta o szpadel odpoczywam, ale wiatr, który po zachodzie słońca błyskawicznie się ochładza, szybko daje mi ostrogę do nowego wysiłku.

Wskakuję do dołu, żeby wybrać jeszcze więcej luźniej ziemi razem ze zbutwiałymi kawałkami drewna. Kiedy już zdążyłam wyrzucić z dołu większość ziemi, uświadamiam sobie nagle, że oto znalazłam zapowiedź tego, czego szukam. Tata z pewnością zawiązał w coś ciało i włożył je do jakiejś skrzynki. Właściwym słowem byłaby trumna, ale przy takim pogrzebie normalne słownictwo nie znajduje zastosowania.

Słyszę silnik samochodu i widzę jego światła, posuwające się wolno po drodze gruntowej. Przykucam i w ciszy i bezruchu czekam, aż samochód przejedzie. Tylne światła rzucają na pozostającą za nimi chmurę pyłu nienaturalnie czerwony blask.

Zaczynam teraz delikatniej operować kilofem, wybierając ziemię nie tylko łopata, ale i rękami. Dużo widzę w tym perłowym świetle, ale dodatkowo wspomagam wzrok delikatnym dotykiem opuszkami palców. Za paznokciami mam pełno ziemi.

Chwilę później pojawia się jeszcze więcej kawałków drewna i zaraz potem łopata uderza w coś, co sądząc po dźwięku, nie może być ani kamieniem, ani drewnem, ani ziemią. Wydaje jakiś swój własny głuchy odgłos.

Wyteżam wzrok i wpatrzona w czarną dziurę, próbuję się przyjrzeć cętkowanemu przedmiotowi, który w niej majaczy. Wygląda jak stara, brudna porcelanowa skorupa i - paradoksalnie - chciałabym, żeby to była lalka albo jakaś mała czarka, ale po szczególnej kragłości kształtu poznaję, że jest to czaszka, i ta świadomość spada na mnie tak nagle, że jest raczej instynktowna niż wykonywana.

Nie dotykam mojego znaleziska, tylko badam dokoła ziemię, która przecieka mi między palcami z jakąś nową płynnością. Szufluj. Kop. Teraz kopanie odbywa się nierytmicznie, szybko, w takt mojego oddechu i łomotu serca. Czuję mdłości, najpierw w żołądku, a potem w całym ciele. Moją skórę pokrywają małe perełki potu. Po odkopaniu połowy szkieletu robię przerwę, żeby przyjrzeć mu się w mrocznym świetle.

Nie są to kości psa, ponieważ psa nigdy nie było. Przedemną leży doskonale

zachowany szkielet maleńkiego dziecka. Wiem, że ludzki kościec to skomplikowany mechanizm, ale nie tu. Nie po śmierci. Tu jest prosty jak linia drzew na horyzoncie.

Przez chwilę udaję, że to nie mój brat. Że to jakieś starożytne szczątki. Dolny ogród jest usytuowany nad prehistorycznym cmentarzyskiem. Muszę zawiadomić o moim odkryciu uniwersytet, żeby przysłali ekipę archeologów. Podziela cały teren na małe kwadraty i będą metodycznie grzebali w pyłe przez całe długie, gorące lato. I wszystkie eksponaty elegancko opiszą. Każda kostka będzie opatrzona numerem. Zmarłe dziecko zostanie odczłowieczone. Jego cierpienie i cierpienie jego bliskich zobiektywizuje się za sprawą czasu i badań naukowych, tak że będę mogła stać nad maleńkim szkieletem z jakimś archeologiem i omawiać go w sposób wyprany z wszelkich emocji.

Wreszcie moje łzy zmywają obraz archeologa. Czuję siłę mego szloch, ale go nie słyszę. Kiedy usuwam w końcu ostatki ziemi i odkrywam do końca kompletny szkielet, trzonek łopaty jest mokry. Sięgam w dół i odmiatam z kości resztki luźnej ziemi z taką samą pieczołowitością, jakbym odkrywała dziecięcy kocyk. Pochylam się nad szkieletem, tak maleńkim, że wołałabym w nim widzieć szczątki ptaka czy jagnięcia, i zdmuchuję z niego drobiny pyłu.

Miniaturowa klatka piersiowa, maleńkie stópki, dłonie, lekko zagięte, stawy paluszków zalepione ziemią. Martwe niemowlę. Chłopczyk. Odwracam się, nie mogę patrzeć na ziejącą pustymi oczodołami czaszkę z dwoma ząbkami w otwartej buzi.

Zmęczona, prostuję się. Ubranie mam splamione ziemią jak krwią. Ziemia przyłgnęła do moich nóg, zmatowiła buty. W pewnym momencie szpadel ześlizgnął się z kamienia i uderzył mnie w piszczel. Na nodze zaschła cienka strużka krwi. Ranka zaczyna boleć. Zmęczone członki ciężą. Próbuję przywołać pocieszającą wizję archeologów w dżinsach i z notatnikami, ale nie mogę, bo wiem, że dziecko zostało pogrzebane za mojego życia przez mojego własnego ojca i że jest moim bratem Nickym. Ale równie dobrze mogłoby być Steviem albo rosyjskim niemowlęciem, które zginęło, pozostawione przez rodzinę na pastwę losu, czy nawet Jordanem, który jeszcze dziś rano był okrągłutkim jak pączek w maśle chłopaczkiem, a w tej chwili jest niczym więcej jak leżące przede mną szczątki.

Stoję w całkowitym bezruchu, w ciemności, i słucham szmerów małych stworzeń i owadów w trawie, szeptów liści i cienkiego pisku świerszczy, który w końcu poprzez to

wszystko do mnie dociera. Boli mnie kark. Wyginam się do tyłu, aż brodą wskazuję w niebo. Pogodne. Rozciągające się w nieskończoność, usiane gwiazdami. Niektóre są większe i jaśniejsze od innych, ale to wcale nie znaczy, że bliższe. Zasady perspektywy musiały się ugiąć przed potęgą kosmosu.

Siadam i słucham silnika zbliżającego się samochodu. Słyszę, jak skręca w podjazd i parkuje przed stodołą. Nic mnie już teraz nie dziwi. Nic nie przeraża. Czekam spokojnie w ciemności. Trzaśnięcie drzwi samochodu. Od strony kierowcy. Trzaśnięcie drzwi przesuwanych. Cisza. Znów drzwi przesuwane. Znów cisza. I wreszcie kroki.

Jestem motylem, przyszpilonym do tektury ostrym snopem światła latarki Jane. Świeci najpierw na mnie, potem na stertę kamieni i wreszcie na dół, który wykopałam, ze spoczywającym na dnie maleńkim ptasim szkielecikiem.

Jej głos jest dziwny. Lodowaty.

- Luce - mówi. - Och, Luce. - Sposób, w jaki używa mojego imienia, świadczy o jej smutku, o rozczarowaniu.

- To wszystko stało się po śmierci taty nieuchronnie. Wszystko, co się działo, przypominało ołowiane żołnierzyki, którymi bawiłyśmy się w dzieciństwie. Ustawiasz je w szeregu i potem wystarczy popchnąć jednego, żeby runęła reszta.

- Nigdy nie miałyśmy żadnych żołnierzyków - mówi Jane. - To może miał kto inny, nie pamiętam kto.

Światło znów kieruje się na mnie. Dygoczę na całym ciele. Chcę, żeby Jane wyszła zza tego światła.

- Dobrze, Luce - mówi. - Czas iść.

Wstaję. Zakładam płaszcz Rougemonta i podchodzę do Jane. Brudna, dygocząca, w podartym ubraniu.

Idziemy wąskimi ścieżkami, ale przy podjeździe, zamiast skręcić do domu, Jane kieruje mnie w stronę drogi gruntowej.

- Dokąd idziemy, Jane? - pytam obojętnym tonem. Odpowiedź nie jest dla mnie ważna.

- Popływać.

- To miło.

- Załatwiłam tak, żeby Joego Zacarro nie było dziś wieczór w domu, żebyśmy

mogły sobie popływać w jego basenie - mówi. - Przez dłuższy czas go nie będzie.

Pojechał do miasta...

- Jestem za brudna na to, żeby wchodzić do jego basenu - mówię.

- Och, chlor sobie z tym poradzi - uspokaja mnie Jane.

Czuję się słaba po wysiłku, jakim było rozkopanie grobu Nicky'ego, więc się potykam na podjeździe Joego Zacarro i wspieram mocno na siostrze. Potrącam nogą liście jednej z roślin i rozlega się słodkomdłący aromat, w którym rozpoznaję zapach melancholii.

- Boże, ależ ten zapach jest mocny - mówi Jane.

Ciągnie mnie przez boczną bramę, a ja z daleka widzę basen, który przypomina czarny prostokąt wypolerowanego obsydianu.

Sadza mnie na brzegu i coś pokazuje - małe czarne pudełko.

- Dobrze się czujesz, Luce? - pyta uprzejmie.

- Tak, dziękuję.

- Mam nadzieję, że to zbytnio nie boli. Z tego, co do tej pory o tym czytałam, nie mogłam się zorientować.

- Mam odejść?

- Twoja kolej, Luce. Tyle razy próbowałam ci pomóc, a ty zawsze wracałaś jak bumerang.

Kiwam głową na znak zgody.

- Kiedy popchnęłaś mnie w kanionie, tylko złamałam rękę. A w basenie matka skoczyła za mną i mnie uratowała.

- Matka strzegła cię jak najcenniejszego klejnotu. Prawie cię nie spuszczała z oka.

- To dlatego, że pomogłaś odejść Nicky'emu.

- Nicky był pierwszy.

- Po nim Lindy.

- To było łatwe, Luce. Powiedziałam jej tylko, że to jest taka fantastyczna kryjówka, i sama wskoczyła do bagażnika.

- A jak dziś rano dokonałaś tego, że Ricky Marcello zwałił się z tym swoim wozem ze skały?

- Och, wystarczyło tylko dotknąć go paralizatorem i uruchomić silnik tej starej

landary.

- Jane... żałuję, że pomogłaś odejść też i Steviemu. Naprawdę żałuję.
- Nie cierpiał. Prawie się nie bronił.
- A czy tata się bronił?
- Nie, tata właściwie wiedział, że to się musi stać, i w pewnym sensie to akceptował.

Ostrzegałam go, żeby nie spędzał tyle czasu z tymi śmiesznymi starymi dziadami...

- Masz na myśli Joego Zacarro? I pana Hollera?

- Za dużo paplał. Po co miałam się denerwować, że im coś wygada. Kiedy ludzie się starzeją i dziecinnieją, powoli przestają panować nad językiem, tak jak nad pęcherzem.

Ostrzegałam tatę, ale on mnie nie słuchał, dlatego nie był zdziwiony, kiedy mu powiedziałam, że nadszedł jego czas. Nie bronił się. Jak ty. Może nawet wiedział, że to w sumie będzie przyjemne. Mam nadzieję, Luce, że i ty się o tym przekonasz.

Dotyka mojej szyi pudełkiem i w tym momencie przeszywa mnie błyskawica bólu, paraliżując myśli i ruchy. Przed oczami mam iskry, w palcach czuję ogień, twarz mało nie pęknie od siły wybuchu w moim wnętrzu. Padam do tyłu, ale Jane łapie mnie, zanim sięgnę głową betonu.

- Nie chcemy żadnych siniaków. - Kładzie mnie płasko na obrzeżu basenu.

Nie mogę się ruszać. Nie mogę mówić. Widzę Jane przez zasłonę z iskier. Kiedy fajerwerki przygasają, mam wrażenie, że twarz nade mną nie jest twarzą mojej siostry. Że należy do kogo innego. Wydaje mi się chudsza, oczy płoną nienaturalnym blaskiem, usta wykrzywia grymas.

- Próbowałam polepszyć twoje życie. Usiłowałam się tobą opiekować. Ale jednocześnie wiem, że przeżyłaś trudne chwile, wiem, jak ci było ciężko. Teraz cię od tego wszystkiego uwolnię. Uwolnię cię od tego, co cię gnębi, co ci się śni po nocach, co sprawia, że rano, zanim się jeszcze na dobre obudzisz, serce ci wali, bo już o tym myślisz. Uwolnię cię od tych transakcji w Nowym Jorku, które są dla ciebie takie ważne. Od przykrych, gorzkich słów, odrzuceń, rozczarowań. Od rozpaczliwego pragnienia rzeczy, których nie możesz mieć. Od tej naszej zwariowanej matki, która syczy, warczy i wrzeszczy. Od wyrzutów Scotta. Od krytycznych uwag Larry'ego. Od lepkich Rosjan. Od całego tego smutku, Luce. Pomyśl tylko... Te straty, których było tak wiele. Od maleńkości nasze życie to seria ciosów i strat, nieustanny ból i męka, czy nie mam racji,

Luce? To dzięki mnie Stevie tego wszystkiego uniknął. Wierzę, że w głębi duszy jesteś mi wdzięczna. Sama przez to przeszłaś i z pewnością nie chciałabyś patrzeć, jak on też to przeżywa. Od tego wszystkiego, co wydawało ci się takie ważne, teraz cię uwolnię. Mam nadzieję, że zaznasz prawdziwej rozkoszy.

Nad nami widzę gwiazdy. Ich skala czasowa jest poza moim wyobrażeniem. Okres mojego życia w ich wszechświecie nie ma żadnego znaczenia, jest zbyt krótki, żeby go zmierzyć.

- Będzie mi naprawdę smutno, kiedy odejdziesz, tak samo jak było mi smutno po odejściu taty i Steviego, i Nicky'ego, i wszystkich innych. Było mi nawet trochę smutno dzisiaj, kiedy się z nami rozstawali Ricky Marcello i jego mały. Ale chcę, żebyś wiedziała, Luce, że najbardziej ze wszystkich kocham ciebie.

Mam ochotę jej podziękować, ale usta nie chcą się otworzyć, a ciało już jest w powietrzu. Zrzuciła mnie z taką siłą, że czuję, jak moje ręce i nogi, rozkrzyżowane jak u lalki, lądują każda w inną stronę. Słyszę gigantyczny plusk, fontanny piany strzelają do gwiazd, a nade mną zamyka się woda. Lecę w dół, w dół, na dno basenu, woda wypełnia mi nos, usta i uszy. Oczekuję takiej samej śmierci, jaka zaledwie kilka godzin temu spotkała Ricky'ego i Jordana.

Myślę o Scotcie, jak stoi w Needle Bay - ręce w kieszeniach dżinsów, plecy lekko przygarbione - i rozmarzony patrzy w morze. Pierwszy bezzębny uśmiech na buźce Steviego. Sasza nalewa whisky i kiwa się z komicznym piskliwym chichotem, opowiadając o swoich kolegach. Ciotka Zina kręci w prawo i w lewo patelnię, na której podrzuca bliny. Tata gramoli się spod starego traktora z wyrazem spokojnej koncentracji i z rękami usmarowanymi olejem. Jane płacze nocą na pomoście z oczami jak dwie kropki światła. Larry wcina ciastko z orzeszków ziemnych i z poczuciem winy poklepuje się po wydatnym brzuszku. Ricky, mówiąc o tacie, przyciąga do siebie małe ciało Jordana. Kruche ramiona mamy zamykają mnie w czułym uścisku. Mam poczucie straty, tak dojmującej, że to już prawie żałoba, ale zaraz potem woda jest we mnie i na zewnątrz i powoli zaczynam tracić świadomość. Tak, smutno jest odchodzić, ale jednocześnie moje ciało popada w stan błogiego, niemal nadnaturalnego relaksu: nikt mi nie odbiera życia, oddaję je sama, z chęcią, z radością. Jane ma rację: umieranie jest rozkosznym uczuciem.

Leżę na tapczanie, zawinięta w rodzaj płaszcz kąpielowego, przykryta szorstkim kocem, który łaskocze mnie w nogi, ilekroć się poruszę. Nie ruszam się. Nie otwieram oczu. Słucham głosów. Jest ich parę, szepczą cicho w pobliżu, ale na zewnątrz rozmowy są głośne; słyszę głównie mężczyzn, którzy od czasu do czasu coś do siebie wołają. Jakaś kobieta mówi przez trzeszczące radio jakby w innym języku.

Otwieram oczy i wpuszczam promyk światła. Kolory zmieniają się nieustannie jak w świątecznej dekoracji. Czerwony, niebieski i biały. Kiedyś, nie pamiętam kiedy, był tak oświetlony dom taty: na czerwono-niebiesko i potem biało, ale to wcale nie było ładne, tylko przeciwnie - jakieś niesamowite, wręcz nieprzyjemne.

Otwieram oczy trochę szerzej i widzę Lindy Zacarro. Przez chwilę się zastanawiam, czy już umarłam, ale Lindy ma twarz w ramce i siedzi na koniu, który jest najpierw czerwony, potem niebieski, wreszcie biały. To znaczy, że w dalszym ciągu jestem u Joego Zacarro, i może jeden z tych głosów na zewnątrz należy do niego.

- Lucy... - mówi ktoś do mnie, ale ten głos wydaje mi się pozbawiony wyrazu. - Lucy, otwierasz oczy.

To Adam Holler, poznaję jego sposób mówienia, wyprany z jakiegokolwiek intonacji czy emocji. Ale Adam jest niewidoczny. Pewnie gdybym się poruszyła, tobym go zobaczyła, ale nie mam ochoty się ruszać.

- Dziękuję panu bardzo, panie Holler, chciałabym z nią teraz porozmawiać, jeśli odzyskała przytomność - mówi ktoś inny. Kobieta, młoda, głos ma spokojny, ponieważ latami pracowała nad tym, żeby wyeliminować z niego wszelkie emocje, jak gracz w pokera. Nie znam żadnych pokerzystów, ale ten głos poznaję, chociaż nie mogę sobie przypomnieć jego właścicielki.

- Luce, tu Kirsty. - Przesuwa się w moje pole widzenia i nachyla nade mną, a jej piwne oczy wpatrują się we mnie badawczo. Aha, więc te światła to nie Boże Narodzenie, tylko radiowóz policyjny, który musi stać na asfalcie przed oknem salonu Joego.

- Ratownicy medyczni uważają, że nie muszą cię zabierać do szpitala. Czekają tylko na lekarza, żeby to potwierdził.

Patrzę na nią bez ciekawości.

- Czy wiesz, co się stało? - pyta. Mrugam.

- Czy rozumiesz, co się stało? - powtarza, tym razem trochę głośniejsze. Robi wrażenie zmęczonej. Kosmyki jej włosów wymykają się ze swoich zwykłych miejsc.

Nie bardzo mam ochotę mówić, ale Jane wychowała mnie na osobę grzeczną, więc dokonuję gigantycznego wysiłku. A nie jest to łatwe. Coś dziwnego dzieje się w moich płucach, coś mnie szarpie za gardło. Wydaję dziwny zduszony odgłos.

- W porządku - mówi Kirsty. - Widzę, że masz trudności. Próbuję ponownie. Chcę jej powiedzieć, że wkrótce będzie tu

Jane, ale wychodzi mi coś w rodzaju ryku osła. Kirsty marszczy brwi, bo nic nie rozumie, więc ponawiam próbę i tym razem chrypiące odgłosy, jakie wydobywają się z mojego gardła, zaczynają przypominać słowa. Podnosi wzrok i widzę, że na kogoś patrzy. Na Adama Hollera? Czy może jest w pokoju jakaś trzecia milcząca osoba?

- Wydaje mi się - mówi smutno - że nie pamiętasz, dlaczego się tu znalazłaś.

- Pamiętam. - Czeka, aż wychrypię do końca to, co mam do powiedzenia: - Przyszła moja kolej, by odejść, i Jane chciała mi w tym pomóc.

Kirsty znów patrzy na milczącą osobę. Wyjaśniam:

- Nicky, Lindy Zaccaro, mój Stevie, tata, Ricky, Jordan... no i przyszła kolej na mnie.

- To ty wiedziałaś? - pyta inny głos. Ostry, charakterystyczny. - Lucy, ty od początku wiedziałaś o swojej siostrze? Tylko udawałaś, że nie wiesz?

- Nie, panie Rougemont... - Wolałabym, żeby podszedł bliżej, tak żebym go mogła zobaczyć. Nigdy nie przepadałam za jego widokiem, ale teraz szukam go oczyma. Posłusznie staje w moim polu widzenia, a mnie ogarnia dziwny przypływ ciepłych uczuć dla tych szerokich, nieforemnych ust, ogromnego nosa, dla tego mężczyzny-cienia. - Ale w końcu do tego doszłam, tylko że za późno. I dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że ja to właściwie wiedziałam od początku.

- Ja też to chyba wiedziałem od początku - mówi smutno Rougemont - ale nic z tym nie mogłem zrobić. Z wyjątkiem tego, by nie dopuścić, żeby dobrała się do Marcella i jego małego. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Jane to wszystko wyjaśni, gdy tylko tu wejdzie - mówię ufnie. Pewnie nadal jest przy basenie.

Rougemont patrzy na mnie z wyrazem troski.

- Lucy... Jane już tu nie ma. Jestem zaskoczona.

- A gdzie jest? Czy ona nie wie, że tu leżę?

Rougemont robi wrażenie kompletnie załamane, więc wyręcza go Kirsty:

- Trzeba ją zamknąć, Lucy, żeby nie mogła już nikomu zrobić krzywdy.

- Och, nie, nie - protestuję. - Ona właśnie ratuje ludzi przed krzywdą i bólem.

Pomaga im odejść.

- Ona ich zabija, Lucy, metodycznie i bez najmniejszych skrupułów.

Przy drzwiach odzywa się jakiś głos. Kirsty znika, a Rougemont prostuje się z trudem. W innej części pokoju toczy się szeptem jakaś rozmowa. Słyszę samochody wycofujące się i zawracające na podjeździe. Kolorowe światła, które przeświecały przez moje powieki, nagle gasną. Słyszę jakieś krzyki. Kobięcy głos przez radio. Więcej głosów, wrzaskliwych, też kobiecych, podnieconych, z obcym akcentem. To moje rosyjskie ciotki mówią coś jednocześnie do policjantów i kłócą się między sobą. Są z nimi Sasza i Scott; tłumaczą coś rzeczowo, ale nieustępliwie. Joe Zaccaro ryczy:

- Do jasnej cholery, to jest mój dom! I mój basen! Pomagałem wam, jak mogłem, razem z Adamem braliśmy udział w zorganizowaniu zasadzki, a teraz mi nie pozwalacie wejść na własny ganek i z własnej lodówki wyjąć cholerne piwo?! Tylko na nią zerknę i powiem jej cześć i to wszystko. - Jego słowa zagłuszają wznoszące się crescendo głosy ciotek.

Uśmiecham się i zamykam oczy. Czuję się, jakby ktoś okrył mnie dodatkowym ciepłym kocem.

Kiedy znów się rozglądam dokoła, widzę obok siebie Adama Hollera. Pochyliła się nade mną tak nisko, jak tylko pozwala mu sztywny kręgosłup. Nie ma na sobie ciemnych okularów. Obserwuje mnie bezbarwnymi oczami.

- Lucy - szepcze. W jego głosie jest jakaś nowa nuta nalegania, bólu. - Czy możesz mi powiedzieć, jakie to jest uczucie?

- Ale co?

- Umieranie. Jak to jest, kiedy się umiera?

- A czy ja umarłam? - pytam szeptem.

- Jasne. Przynieśli cię tu Joe z policjantem. Nie pamiętasz? Nie żyłaś, Lucy.

Policjant zaraz wszedł po ciebie do wody, ale Jane zaczęła uciekać i była taka szybka i silna, że musieli ją złapać i unieszkodliwić. Dlatego trwało to dłużej, niż myśleli. Najprawdopodobniej jakąś minutę znajdowałaś się w stanie śmierci. Jakie to uczucie? Możesz mi powiedzieć?

Wzdycham.

Błada cera Adama nabiera lekkich rumieńców.

- Lucy, czy pamiętasz Jima Boba? - pyta. To imię, o którym myślał, a którego najprawdopodobniej latami nie wymawiał, teraz z niego dosłownie wyskoczyło.

- Oczywiście, że pamiętam - mówię. Problem Adama Hollera wydaje się teraz szczególnie trudny. Śmierć dziecka, i do tego jeszcze nienaturalna, w sąsiednim domu. Ale Jim Bob nie był ofiarą Jane, tylko kogoś kochającego, kto od tamtej pory nieustannie cierpi.

- Pan chce wiedzieć, co czuł Jim Bob, kiedy umierał, tak? W kącikach jego oczu widzę małe brylanciki światła i poznaję w nich łzy.

- Mogę pana uspokoić - mówię z takim entuzjazmem, że prawie siadam. - Nie musi się pan tym więcej zadreć. Jim Bob nie cierpiał. Ani przez chwilę.

Drzwi się otwierają i dobiegające z zewnątrz rozmowy na moment stają się głośniejsze. A potem drzwi się zamykają i ktoś mówi:

- Jezu, co za tłum. Czy to reporterzy?

- Nie, rodzina.

- Chcą tu wejść.

Mężczyzna się przedstawia. Mówi, że jest lekarzem, i prosi, żebym powiedziała, jak się nazywa prezydent Stanów Zjednoczonych.

Słyszę swój śmiech, dziwny, czysty dźwięk, jak ciurkanie wody czy dzwonek. Zastanawiam się, kiedy ostatni raz się śmiałam. Z Saszą albo może ze Scottem.

Wymieniam nazwisko prezydenta i zwracam się do lekarza:

- Kojarzę dobrze. Może nawet lepiej niż zwykle.

Po powrocie do domu ciągle śpię. Nie mogę się nadziwić, że potrafię zasnąć natychmiast, kiedy tylko poczuję zmęczenie, czasami nawet zaraz po przebudzeniu albo w trakcie rozmowy z ciotką Ziną. I ten mój sen jest spokojny jak blade światło.

- Co się ze mną dzieje? - pytam z niedowierzaniem, budząc się po raz kolejny w

jednym z foteli. Widzę koło siebie pochyloną nad Puszkinem ciotkę Zinę. Jej usta poruszają się nieznacznie, ciotka uczy się na pamięć poezji.

- Nadrabiasz zaległości w spaniu. Nie chodzi tu o dni czy tygodnie, tylko o wieloletnie zaległości - wyjaśnia.

Mogę prowadzić samochód, ale na ogół wozi mnie Scott.

Wiem, że wróciła Brigitte, i jestem przygotowana na to, że pewnego dnia Scott mi powie, że jest zajęty, i nie przyjedzie, ale na razie pojawia się często, zawsze wpatrując się we mnie z niepokojem.

Ze dwa razy przejeżdżamy przez San Strana i zatrzymujemy się przed galerią Marcello. Chciałabym się zobaczyć z Martą, ale zarówno dom, jak i galeria są zamknięte. Przez duże okna widzę zielone obrazy Barbary Marcello i pejzaż Ricky'ego, przedstawiający dolinę.

Idziemy do domu taty, gdzie dalej jest gorąco. Mimo że fałszywe lato się skończyło, dom zachował w sobie jego pozostałości, jak ktoś, kto boi się stracić opaleniznę.

- Co zamierzasz z tym wszystkim zrobić? - pyta Scott, pokazując na otaczającą nas graciarnię. Niczego nie ubyło. Larry i Jane rozpoczęli czystkę, ale jak na razie niczego się nie pozbyli.

- Muszę to wszystko przebrać, usunąć stąd, a potem sprzedam dom.

- Wydawało mi się, że byłaś lekko obrażona, kiedy Jane i Larry zabrali się do tego tak szybko po śmierci Eryka. I najwyraźniej nie miałaś zamiaru im pomagać.

- Ale to już minęło. Teraz chcę to robić sama. Wracam do Kalifornii, więc mogę się tym zająć.

Scott wpatruje się we mnie badawczo.

- Naprawdę wracasz? Podjęłaś taką decyzję?

- Koniec z ucieczkami, Scott.

Urządzamy Nicky'emu skromny pogrzeb; chowamy jego szczątki obok Steviego. W uroczystości na własne życzenie uczestniczą Joe Zacarro i Adam Holler. Płaczą, wsparci jeden o drugiego. Jest dla mnie jasne, że stojąc nad grobem tego prawie nieznanego, dawno zmarłego dziecka, oplakują swoje dzieci, tak jak ja Steviego. Każdy ma kogo oplakiwać. Nicky'ego oplakuje matka. Patrzymy na jego trumienkę, objęci ramionami, zjednoczeni w bólu.

- Jak myślisz, czy ona to rozumie? - pyta cicho Sasza, kiedy wracamy razem przez cmentarz.

- Rozumie aż za dobrze. I czuje aż za dużo - mówię. Odwozimy matkę do Redbush. Po oddaniu jej w ręce pielęgniarza Sasza i ja zatrzymujemy się jeszcze niezdecydowanie na parkingu. Mimo deszczu wszędzie są włączone zraszacze. Ale bez słońca rozpylona woda się nie iskrzy.

- No i co? - pyta Sasza. - Nie zmieniłaś zdania?

- Nie, Sasz.

Jane też siedzi zamknięta w Redbush. Larry wynegocjował tyle, że za poręczeniem umieszczono ją w skrzydle o wzmocnionych środkach bezpieczeństwa.

- Larry nas uprzedzał, że spotkanie nie będzie przyjemne - mówi Sasza. Od czasu aresztowania Jane Larry robi wrażenie człowieka starego i zmęczonego. Ostatnio oznajmił, że przechodzi na emeryturę.

- Muszę do niej iść, ona jest całkowicie samotna - upieram się.

Scott odmówił wizyty u Jane, i ma rację. Zabiła mu syna, nie ma prawa do jego współczucia.

- Nikt jej tego nie wybaczy - mówię ostrożnie. Czuję, jak deszcz moczy mi włosy i rzęsy. - Ale jedno jest pewne: rodzice nie powinni byli ukrywać pierwszego zabójstwa. Chroniąc ją, narazili na niebezpieczeństwo nas wszystkich.

- Jeśli popełnili błąd, to drogo za niego zapłacili - matka chorobą psychiczną, a ojciec życiem.

Odwracam się ku skrzydłu budynku o zaostrzonych środkach ostrożności.

- Muszę iść - mówię. - Jane mnie potrzebuje. Sasza zapala papierosa i rusza za mną.

- Lucia, czy rzeczywiście musimy traktować jej potrzeby jako pierwszoplanowe?

- Kochała mnie i latami się mną opiekowała. Czy mogę teraz o tym zapominać?

- Kochała cię i opiekowała się tobą! - parska Sasza. - Podawała się za twoją opiekunkę, a w rzeczywistości chciała tobą rządzić, o czym wiedzieli wszyscy poza tobą. Ciągle wmawiała ci jakieś urojone choroby, żeby sterować twoim życiem. Separowała cię od twoich rówieśników; wiele razy pod pozorem ratowania ci życia usiłowała cię zabić. Stworzyła fałszywą wersję twojej przeszłości, zmyślając całą serię fikcyjnych epizodów, które miały służyć ukryciu jej destrukcyjnej roli.

Sasza gwałtownie zaciąga się papierosem.

- Ale, Sasz, wszyscy dla własnych celów tworzymy jakieś fikcyjne wersje swojej przeszłości. Nie dalej jak parę dni temu sam mi to rekomendowałeś - przypominam mu. - A kto sobie wymyślił rosyjską przeszłość z czerwonymi chustami i śpiewaniem pionierskich piosenek przy ognisku?

- Mamy prawo kształtować własną przeszłość, nie cudzą. - Sasza macha do mnie papierosem. - Skoro jesteś zdecydowana bronić Jane, to chodźmy. Ale nie spodziewajmy się wdzięczności za nasze trudy.

Mimo ostrzeżeń ze strony wszystkich wyobrażam sobie, że omówię z Jane ostatnie wydarzenia. Wierzę nawet, że próbuje jakoś wyjaśnić swoje postęпки. Jestem przekonana, że przynajmniej ucieszy się na mój widok.

Dowiaduję się, że mogę z nią rozmawiać tylko przez kratę. Z niepokojem wypatruję Jane, jakbym była w zoo i szukała wzrokiem gada o szczególnie skutecznym kamuflażu. Wreszcie dostrzegam ją, w odległości jakichś dwóch metrów. Siedzi nieruchomo, z odwróconą twarzą; między nami jej włosy jak zasłona.

Wołam ją łagodnie, po imieniu, ale nie odpowiada.

- Tu Lucy, Jane - mówię. - Lucy.

Wiem, że na pewno odwróci się i uśmiechnie, kiedy usłyszy moje imię, podejdzie do mnie i spyta, jak się czuję. Serce bije mi szybciej. Ale Jane ani na mnie nie patrzy, ani się nie odzywa.

Wracamy z Saszą w milczeniu. W domu, w kuchni, gdzie ciotka Zina dzwoni garnkami, pytam:

- Sasz, co chciałeś powiedzieć, mówiąc, że Jane próbowała mną rządzić?

- Właśnie dokładnie to. Na przykład chciała decydować o twoich wizytach u nas, kiedy byłaś mała.

- Jane przychodziła do nas bardzo rzadko - wtrąca ciotka Zina - a jeśli już, to siedziała nadąsana i zazdrosna.

- Dla babci, mamy i mnie było jasne, że nie lubiła, jak nawiązywałaś relacje, na które nie mogła mieć bezpośredniego wpływu - mówi Sasza. - Przypuszczam, że często próbowała cię odwieść od wizyt u nas i nieraz jej się to udawało.

Pani Joseph, która przysłała mnie odwiedzić, powiedziała, że po wypadku w dolinie

Robert dzwonił do mnie wiele razy. Ona też dzwoniła i pisała. Ale wszelkie próby nawiązania ze mną kontaktu udaremniała Jane, mówiąc, że nie chcę z nimi rozmawiać.

- Gdybyś tylko miała więcej pewności siebie, żeby osobiście odebrać telefon - powiedziała pani Joseph - nigdy by nie mogła tak skutecznie sterować twoimi sprawami.

- Ale przecież podświadomie o niej wiedziałas - mówi Sasza. - Uciekłaś przed nią do Nowego Jorku w świat cyfr, nad którym sama mogłaś panować, a kiedy przyjechałaś, wolałaś zamieszkać u nas, nie u niej. Musiałaś to wszystko wiedzieć.

W Nowym Jorku, dokąd pojechałam, żeby pożegnać się z Jimem i zlikwidować mieszkanie, słońce praży, a Manhattan mieni się w upale. Taksówkarz informuje mnie, że akurat zmieniła się pogoda. Fala upałów z zachodu przemieściła się przez cały kontynent i - lekko osłabiona przez tę podróż - dotarła właśnie do Nowego Jorku.

- Coś fantastycznego, mamy lato! - zachwyca się.

- Mamy wiosnę - uświadamiam mu.

Z torebką przewieszoną przez ramię i stertą korespondencji pod pachą stoję pod drzwiami mojego mieszkania i wkładam klucz w dziurkę. Zamek jest jakby lekko zdziwiony, trochę sztywniejszy niż zwykle, ale drzwi otwierają się zupełnie lekko. Czekały na mnie od dawna.

Wszystko jest tak, jak zostawiłam. Na łóżku leży kilka sztuk garderoby, którą początkowo przygotowałam do zabrania, a potem się rozmyśliłam, cały czas słuchając, jak w salonie Jim Finnigan mówi do mnie i płacze. Telefon trochę przestawiony: dzwoniłam wtedy do Saszy i odsłuchiwałam wiadomości. Kamienie od taty, poprzekładać przez Jima, który się nimi bawił.

Siadam i napawam się spokojem i ciszą własnego mieszkania. Nic się tu nie porusza. Godzina mija za godziną i wszystkie cztery cyfry na zegarze elektrycznym zmieniają się jednocześnie i bezszelestnie na cztery inne cyfry. W mieszkaniu panuje całkowity bezruch. Słyszę hałas z ulicy, warkot samolotów w górze, daleką muzykę od sąsiadów, ale tu nie ma żadnego hałasu, chyba że go sama wywołam, żadnego ruchu, chyba że go sama wykonam.

W końcu przeciągam się, wstaję i przynoszę pocztę, którą zabrałam z portierni. Zaczynam ją segregować. Śmieci na jedną kupkę, to, co do czytania, na drugą, rachunki na trzecią. Moją uwagę przyciąga jeden z listów. Koperta zaadresowana ręcznie. Znajome

pismo, drobne, inteligentne, schludne. Ręka zaczyna mi się trząść. Nie mogę złapać tchu, łązy pieką w oczy.

Siadam i gapię się na list, który został do mnie wysłany w jakiejś innej epoce i czekał, aż wrócę z mojej długiej, długiej podróży. Patrzę na niego i staram się przygotować na jakąś nową rzeczywistość, którą może zawierać, na kolejne z licznych przesunięć w moim stanie wiedzy - teraz, kiedy wydawało mi się, że wiem już wszystko.

Powoli, z ociąganiem, rozrywam kopertę i wydaję list.

„Moja kochana Lucy, nie mogłem się dodzwonić, więc piszę, ponieważ zdaję sobie sprawę z tego, że niedługo już mnie nie będzie. Nie chcę odchodzić, Lucy. Nie chcę cię opuszczać, ale kiedy to się stanie, proszę cię, nie smuć się za bardzo zła. Nie pytaj też, dlaczego tak się stało, chyba że jesteś przygotowana na to, co możesz odkryć. W każdym razie nie wracaj do Kalifornii. Nie miej tu więcej dzieci, postaraj się je urodzić w jakiejś innej części świata, ale, na miłość boską, zrób to. Byłaś dobrą matką i niech ci nikt nie śmie mówić, że było inaczej. Nie myśl źle o swoim ojcu, który naprawdę czule cię kocha. I żebyś się nie ważyła mnie zapomnieć. Jak długo będziesz mnie pamiętała, tak długo będę istniał. Tata”.